

Kurland Lynn

Marzenia z gwiazdneho pyłu

Występują:

Anglia, rok 1227

Rhys de Piaget, lord Artane Gwennelyn, żona Rhysa Ich dzieci: Robin

Anne, żona Robina

Nicholas

Amanda

Miles

Isabelle

John

Montgomery

Berengaria, uzdrowicielka Christopher z Blackmour, paź Robina

Anglia, rok 2005

Jackson Aleksander Kilchurn IV

Kendrick de Piaget, lord Seakirk

Genevieve, jego żona

Ich dzieci:

Phillip

Robin

Jason

Richard

Christopher
Adelaide Anne
Edward de Piaget, earl Artane Helen, jego żona Gideon, ich syn
Megan MacLeod McKinnon, jego żona
Aleksander Smith, earl Falconberg, powinowaty Gideona

Ród de Piagetów poznasz w książce „Czas na marzenia”

Prolog

Artane, Anglia

Wczesna wiosna roku 1227

Co ty tutaj robisz?

Amanda de Piaget spojrzała na nóż, który trzymała w ręce, i rzuciła przekleństwo. Niech to diabli, czy dama nie może się czasem uciec do drobnego podstępu, nie narażając się na takie niepożądane najścia? Zmitrężyła niemal godzinę pod drzwiami zbrojowni, starając się nie zwracać na siebie uwagi, póki nie nabrała pewności, że w środku nikogo nie ma. Nikogo, kto mógłby pospieszyć i donieść jej ojcu, że Amanda przebywa w niedozwolonym miejscu.

Kiedy nadarzyła się okazja, bez wahania przystąpiła do intensywnych poszukiwań w dostępnym arsenale. Właśnie wpadła jej w ręce doskonała broń, gdy usłyszała nieprzyjemny głos najstarszego brata. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do Robina z najniewinniejszym spojrzeniem, na jakie było ją stać.

- Nic - odrzekła, chowając klingę za plecami. - A co ty tutaj robisz?
- Przyszedłem zobaczyć, czy nie znalazłby się jakiś sztylet.

- Do czego? Robin zamrugął.

- Potrzebuję jednego.

*** 3 ***

- A gdzie jest twój dawny sztylet?

- Czy nie można mieć dwóch?

- To dla mnie marnotrawstwo - rzuciła Amanda z powątpiewaniem.

Robin podrapał się w głowę, jakby właśnie zastanowiło go marnotrawstwo przyszłego lorda Artane, który miałby posługiwać się więcej niż jednym sztyletem.

- Nie masz czym się zająć? - naciskała Amanda. - Nie wzywają cię żadne obowiązki w donżonie?

Niezawodnym sposobem, by zdekoncentrować Robina, było żądanie odpowiedzi na pytania, które nie wymagają głębszego namysłu. Zwykle wprawiało to jej brata w zakłopotanie.

Waha! się chwilę, potem zmarszczył brwi.

- Mam zajęcie tutaj - oznajmił w końcu. - Zamierzam poszukać sztyletu. Nie rozumiem jednak, co ty masz nadzieję tu znaleźć.

Amanda pozbierała myśli. Obawiała się, że brat zrobi się podejrzliwy i wyśledzi jej knowania, ale z drugiej strony, mógłby jej pomóc i wybrać dla niej lepszą broń. Czyż nie był to dostateczny powód, by okazać odrobinę uczciwości? Niedbałym ruchem wyciągnęła z za pleców sztylet, jakby nie można było na nią liczyć, że dokładnie wyjaśni, skąd się tam wziął.

- A co sądzisz o tym? - spytała. - Nadawałby się? Robin wyteńczył wzrok.

- Przydałby mi się, jak najbardziej.

- Ależ nie tobie, półgłówku, tylko mnie! Zmrużył oczy.

- A po co, na wszystkich świętych, tobie sztylet?

- Żeby wbić go w ciebie, kiedy mnie zbytnio zirytujesz - odcięła się. - A do czegoż by innego?

*** 4 ***

Robin sprawiał wrażenie, jakby już miał zripostować złośliwą uwagę, lecz Amanda dostrzegła, że wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze, a potem przetrawił słowa, zanim starannie dobrał te, które ostatecznie z siebie wyrzucił.

- Do czego jest ci potrzebny? - zapytał spokojnie.

- Żeby się bronić.

Robin parsknął śmiechem, potem wyciągnął rękę.

- Pokaż.

Amanda zjeżyła się.

- O nie, na pewno nie...

- Jest nieodpowiedni - przerwał jej głośno. - Na takich tęgich zawadiaków jak ci, którzy na ciebie niedawno nastawali, będziesz potrzebować czegoś dłuższego. I ostrzejszego. Pozwól, że zrobię małe rozpoznanie, czym tutaj dysponujemy.

Amandę tak bardzo zaskoczyły słowa brata, że bez oporów pozwoliła sobie odebrać broń. Robin przebiegł wzrokiem po orężu rozłożonym przez płatnerza do wglądu pana i jego ulubionych gwardzistów. Zadumał się, potarł podbródek, odchrząknął raz lub dwa, a potem zdecydował się i podniósł jeden ze sztyletów.

- Ten się nada - powiedział, podzuczając broń w powietrzu i zręcznie łapiąc dwoma palcami za ostrze.

- Widzisz, jak jest doskonale wyważony? Dobry do dźgnięcia w górę, kiedy wywiąże się zaciekle walka z bliska.

- I jaki piękny klejnot w rękojeści - dodała Amanda.

Prychnięcie brata prawie zamknęło dziewczynie usta.

- Na wszystkich świętych, Amando...

*** 9 ***

- Stroję sobie żarty, Robinie! - wykrzyknęła. Zabrała mu sztylet. - Jestem pewna, że pomoże mi w nocy w ciemnych zaułkach, gdzie będą na mnie czatować jacyś mężczyźni.

- Czyżby którykolwiek tego próbował? - Oczy Robina wyraźnie pociemniały.

- Udaje mi się ich przepędzić, zanim wyrządzą mi krzywdę - zapewniła brata.

- Bez wątpienia. Lecz po cóż ci sztylet, skoro potrafisz wygarbować skórę swoim kąśliwym językiem? Spojrzała na niego zdumiona. A po chwili mimowolne, zupełnie niepożądane łzy napłynęły jej do oczu. Wściekle zamrugowała. Przeklęty Robin, bezduszny gbur...

Jednak mimo przekonania Amandy o bezgranicznej tępcie brata Robin przewrócił oczami i zaczął przeproszać. Szybko znalazł dla siebie sztylet w pochwie, który wsunął za cholewę buta, a następnie wziął siostrę za ramię i pociągnął w stronę drzwi.

- Jesteś mniej niezdnośna, niżbym sądził - przyznał szorstko. - I każdy mężczyzna miałby szczęście, gdyby mógł cię nazwać swoją.

- Gdyby mógł nazwać moje złoto swoim - poprawiła brata z goryczą.

- Mężczyźni to głupcy, siostrzo. Ty potrzebujesz kogoś z własnym majątkiem, kto nie będzie potrzebował twojego bogactwa.

- Upłynęły już cztery lata, Robinie, i wciąż przewija się ten korowód kandydatów, a ja nie spotkałam żadnego zalotnika, który by się tu pojawił tylko ze względu na moją osobę.

- Cztery? - powtórzył. - A mnie się zdawało, że to już niemal cztery dziesiątki! - Rzucił jej spojrzenie

*** 10 ***

nie z ukosa. - Być może można by ci wybaczyć ten cięty język, gdyby wziąć pod uwagę to, co musisz znosić.

- Być może - zgodziła się Amanda, ale tak naprawdę cięty język był jej najmniejszym zmartwieniem. Martwiło ją, że przez ostatnie kilka lat przyglądała się wielu mężczyznom i nie spotkała ani jednego, który by się jej spodobał. Lecz jak miała któregośkolwiek z nich wybrać, skoro wyraźnie widziała, że

każdy z konkurentów miał przed oczami jedno: wizję siebie samego wyjeżdżającego z zamku z workami złota pobrzękującego przy strzemionach.

A teraz ojciec ponaglał ją, by, nim skończy się lato, podjęła wreszcie jakąś decyzję.

- Znajdziemy ci kogoś, kto będzie ciebie wart - pocieszał Amandę Robin, obejmując ją ramieniem w rzadkim geście przyjaźni. - A dopóki nie pojawi się w bramie zamku, nauczę cię paru przydatnych sztuczek, na wypadek gdyby przyszło ci stanąć z kimś w szranki.

Zaskoczona podniosła brwi. Robin nigdy nikomu nie proponował nauki. Nigdy. Bez wysiłku mogłaby sporządzić aż nadto długą listę mężczyzn, którzy przybywali, by prosić go o coś podobnego.

Zawracali już na progu zamku, niedopuszczeni choćby raz do ćwiczeń, i bez cienia satysfakcji.

Zmrużyła oczy. Na pewno sobie drwi. A poza tym, nawet jeśli nie był teraz skory do żartów, w ciągu miesiąca miał wyruszyć do warowni swojego teścia. Ledwo wystarczyłoby czasu na naukę odróżniania rękojeści od czubka miecza. Spojrzała na brata wilkiem.

- Czyż nie wybierasz się wkrótce w drogę?

- A czyż ty nie uczysz się szybko?

* 7 *

Ach, więc o to chodzi, uznała.

- Zaczniemy od jutra - powiedział Robin. - Musisz zadowolić się tym, czego będę miał czas cię nauczyć.

Mocno ścisnął Amandę, omal nie gruchocząc jej ramion, a na dokładkę klepnął po plecach. Dziewczynie udało się nie przewrócić na twarz, chociaż niewiele brakowało. Złapała równowagę i popatrzyła, jak brat pomknął gdzieś w niecierpiących zwłoki sprawach. Sama była wciąż dość zaskoczona propozycją Robina i przepełniona wdzięcznością. Gdyby wiedział, co ona naprawdę zamierza... Jednak nie wiedział i nie powinien się dowiedzieć. Nie była dość ostrożna tego ranka, ale już więcej nie popełni podobnego błędu.

Amanda stała na dziedzińcu i patrzyła na Artane wznoszące się nad nią niczym skrzydlaty drapieżnik. Doprawdy, zamek onieśmielał, lecz kochała go z całego serca. Najmilsze wspomnienia Amandy były związane właśnie z tym miejscem, wspomnienia dotyczące rodziny, którą kochała tak bardzo, że sprawiało jej to ból. Sama myśl o tym, co zamierzała zrobić, chociaż wiedziała, że nie ma wyboru, wystarczała, by rozerwać jej serce...

Robin pojawił się przed nią tak niespodziewanie, że aż pisnęła. Mocno marszczył brwi.

- Zamierzasz tylko bronić się przed zalotnikami, prawda? - spytał ostrym tonem.

- A cóż innego miałabym robić?

- Hm, tak też sędzę. Poza tym, do czego innego potrzebna byłaby ci umiejętność władania bronią. Do czegoż innego, zaiste, pomyślała.

Robin w zamyśleniu znów poklepał siostrę po ramieniu, po czym odwrócił się i zajął swoimi sprawami.

* 8 *

Amanda westchnęła. Czuła wdzięczność za wiele rzeczy, a zwłaszcza za to, że brat się oddalił, nim pomyślał sobie coś jeszcze. Była wdzięczna za pomoc z nieoczekiwanej strony. A najbardziej za to, że ta strona przestała zadawać pytania.

Gdyby Robin miał jakiegokolwiek pojęcie o jej planach, Amanda nie maszerowałaby z nim ścieżką na skróty w nauce szermierki. Popędzono by ją do lochu, a Robin bez wątpienia byłby niezwykle szczęśliwy, pełniąc rolę strażnika.

,1-

Londyn, Anglia Wczesne lato 2005 roku

Jackson Aleksander Kilchurn IV stał ze wzniesionymi rękami na parkingu samochodowym w podziemiach szpanerskiego londyńskiego biurowca. Podczas napadu zastygł w pozie największej uległości, na jaką było go stać. Dokonywał przeglądu wydarzeń tego ranka, aby zorientować się, gdzie i kiedy popełnił błąd.

Po pierwsze obudził się. Obudził się i jego oczom ukazał się niemiły widok nachylonego nad nim wściekłego ojca, już w pełni ubranego - ojciec był gotowy, a on sam bynajmniej - który krzyczał, że się spóźnia, jeżeli Jake natychmiast nie zwlecze z łóżka swojego żalosego tyłka. Tak, to był wystarczający sygnał, który powinien skłonić Jake'a do ponownego zarzucenia kołdry na głowę.

Oczywiście, rano nie był w najlepszej formie.

Po drugie, nie posłał ojca do wszystkich diabłów. Drugi błąd. Gdyby to zrobił, mógłby sobie oszczędzić nie tylko nieprzyjemności wstawania przed świtem, by zawieźć obrzydliwie bogatego, ale znanego ze skąpstwa ojca na lotnisko, ale i wysłuchiwanie kolejnego irytującego ojcowskiego kazania na temat mankamentów syna. Zarzuty dotyczyły (ale nie wyłącznie) stanu cywilnego Jake'a (wolny), pragnienia ruszenia śladami ojca w świecie biznesowych

* 10 *

wpływów (brak kroków podejmowanych w tym kierunku także wzbudzał niepokój) oraz obecności w londyńskim biurze ojca (w najlepszym razie niedostatecznej).

Kiedy ojciec zaczął porównywać swojego syna do skorupiaka przyczepionego do jachtu dobrobytu, Jake zatrzymał się przy krawężniku, szybko wysadził starego i wystawił jego walizkę na chodnik. Następnie błyskawicznie wsiadł z powrotem do samochodu, by nie powiedzieć, czego mógłby potem żałować, czegoś w rodzaju: „Jasne, wezmę tę cienką manilową* kopertę i doprowadzę do tego, że jakiś ogromny bezduszny koncern, z którym właśnie prowadzisz interesy, podpisze te papiery w środku... Jeśli tylko dasz mi wreszcie spokój”.

Co jednak praktycznie zrobił, gdy ojciec rzucił kopertę na siedzenie pasażera, zanim Jack zdążył zamknąć drzwi.

A to doprowadziło do błędu numer trzy: *skapstwa*. Tak, to była trzecia, ostatnia i zapewne najbardziej katastrofalna decyzja, jaką podjął tego fatalnego ranka, kiedy wszystko szło na opak. Skapstwo było widocznie cechą odziedziczoną po wyżej wymienionym obrzydliwie bogatym ojcu. Jake wolał jednak pomyśleć o tym później, kiedy będzie mógł wszystko spokojnie przemyśleć. Może kiedy indziej nazwałby to zapobiegliwością i przeszedłby nad tym do porządku dziennego.

W tej chwili musiał jednak przyznać, że był skąpy i zgodził się być chłopcem na posyłki ojca, zamiast wybulić 50 funtów na kuriera - te same 50 funtów, które prawdopodobnie straci na rzecz

Szczególny rodzaj brązowego papieru pakowego wyrabianego z konopi rosnących na Filipinach (przyp. tłum.).

*** 16 ***

bandziora, który właśnie wciskał mu lufę między łopatki.

Czy to był pistolet? Trudno powiedzieć. Mocno znoszona, ale jednocześnie bardzo droga skórzana marynarka nie pozwalała precyzyjnie określić prawdziwego charakteru śmiertelnej broni.

Jake błyskawicznie przeszukał arsenał znanych mu zabójczych technik samoobrony, próbując się zdecydować, którą z nich zastosować, żeby nie wpakować się za kratki. Powinien był skonsultować

się z tym kosztownym ochroniarzem, którego najął w zeszłym roku dla swojej równie kosztownej młodszej siostry. Nazywa się MacLeod, czy jakoś tak, pomyślał.

Cóż, nazwisko nie na wiele się zda, skoro go nie zanotował ani nie wpisał do telefonu komórkowego, a ponieważ komórka właśnie opuszczała kieszeń marynarki Jake'a, podążając w nieznane, samo nazwisko przyniosłoby mu jeszcze mniej pożytku. Gdzie się podziewa ten MacLeod, kiedy akurat jest potrzebny?

- Niech to szlag, gdzie masz kluczyki, koleś? - spytał bandytę, zupełnie zbity z tropu. - Według mnie powinny być tutaj - dorzucił, przeszukując po raz trzeci kieszenie marynarki Jake'a.

Jake odmówił komentarza. Było już dostatecznie źle, skoro go napadnięto. A teraz okazało się, że napadł go kretyn. Posłał ojcu nieżyczliwą myśl. Gdyby nie starał się go zadowolić, zanosząc papierkową robotę biznesowemu wspólnikowi, który pracuje w tym samym budynku... no właśnie, to teraz na pewno, do cholery, nie stałby teraz tutaj obmacywany przez jakiegoś nicponia. Wygrzebywałby się z łóżka, żeby ruszyć do swojego biura, gdzie zajmował się zarabianiem pieniędzy na swój sposób.

*** 12 ***

I do czego by się zabrał natychmiast, gdyby tylko zdołał z wdziękiem wydostać się z tej niefortunnej sytuacji. Odchrząknął.

- Jakież kłopoty? - zapytał uprzejmie. Bandzior westchnął ciężko.

- Taaaak, trochę mnie to denerwuje. Nie sądzę, byś miał coś ciekawego w tej swojej wypasionej torebeczce, co?

- To aktówka i faktycznie nie ma w niej nic godnego uwagi.

- Tak właśnie myślałem. Aaa, tu coś jest - wyjął portfel Jake'a z wewnętrznej kieszeni marynarki. - No, a co będzie z tymi kluczami?

- Przednia kieszeń spodni - poinstruował go Jake.

- Już się robi - powiedział bandyta z kolejnym szczerym westchnieniem i wsunął dłoń do wskazanej kieszeni.

Skoro niedoszły napastnik zaczął macać nie tylko klucze, Jake postanowił, że nadeszła odpowiednia chwila. Błyskawicznie się odwrócił przy akompaniamencie głośnego, rozdzierającego odgłosu kieszeni porzucającej towarzystwo spodni i bardzo drogą aktówką zderzył z łokciem złodzieja w twarz. Potem dołożył mu jeszcze pięścią w szczękę. Bandzior osunął się bezwładnie na ziemię.

Jake schylił się, żeby odzyskać telefon i portfel i nagle sam zobaczył gwiazdy.

- Cholera - zaklął, łapiąc się za nos. Krew kapłała przez palce, gdy rzucił spojrzenie przeciwnikowi, gotów oddać cios.

Ale niedoszły rabuś leżał na ziemi, śliniąc się w ciszy i spokoju.

Jake zastanawiał się, jak, do diabła, napastnikowi udało się przemieścić jeden ze stawów, łokieć albo kolano, w okolice jego twarzy, lecz po chwili

*** 18 ***

uznał, że nie zasługuje to na dalsze dochodzenie. Upewnił się, czy odzyskał wszystkie dobra, a następnie wyciągnął z teczki jeden z najmniej formalnie wyglądających papierów i wytarł nim nos. Nie

był idealną chusteczką, ale to wystarczyło. Jake wepchnął pokrwawioną kartkę do kieszeni, a potem ruszył przez parking w stronę wind.

Kilka minut później, po krótkiej wizycie w toalecie, wszedł do bardzo ekskluzywnego holu Artane Enterprises Inc., *amour du jour** ojca. Nie miał pojęcia, jakiego rodzaju złoty interes szykuje się między oboma przedsiębiorstwami, jednak skoro nie wiedział nic o AE Inc. i nie miał zamiaru dowiedzieć się ani odrobiny więcej o koncernie ojca, uznał, że może radośnie błędzić w mrokach niewiedzy. W końcu był tylko napadniętym chłopcem na posyłki, niczym więcej.

Podszedł do kontuaru recepcjonistki i uśmiechnął się.

- Jestem z firmy Kilchurn i Synowie - przedstawił się. - Mam przesyłkę dla szefa.

Kobieta spojrzała z powątpiewaniem na nos Jake'a.

- Mały wypadek na dole - wyjaśnił niechętnie. Najwidoczniej odniósł tylko nieznaczący sukces, rozpraszając obawy recepcjonistki, gdyż szepcząc do słuchawki, przysłoniła usta ręką. Jake czekał cierpliwie z niewinnym uśmiechem, dopóki nie zjawiała się druga kobieta, żeby go przejąć. Zlustrowała przybysza, a potem skrzywiła się, wyraźnie niezadowolona z tego, co zobaczyła.

- Spóźnił się pan - zbesztła go.

- Przepraszam.

- Ma pan krew na koszuli i dziurę w spodniach.

* **Miłość dnia - fr. (przyp. tłum.).**

* **14** *

- Napadnięto mnie na państwa parkingu - wyjaśnił bez skrępowania.

Spojrzała na Jake'a z powątpiewaniem, w sposób, jakiego pozazdrościłby jej Kilchurn senior, a potem westchnęła.

- Najpierw interesy - mruknęła, po czym energicznym krokiem zaprowadziła go długim korytarzem w stronę okazałych dwuskrzydłowych drzwi. Otworzyła je zamaszystym gestem, wpuściła gościa do środka, a następnie zamknęła z dyskretnym trzaśnięciem.

Jake znalazł się w gabinecie, który w pewien sposób przywodził na myśl dawną epokę, a jednocześnie był dość nowoczesny. Wrażenie wywoływał prawdopodobnie zapach pieniędzy. Nic dziwnego, że ojciec lubił tę korporację. W tym miejscu zalaływało finansowym powodzeniem.

W gabinecie siedział mężczyzna o rudoblond włosach i pisał coś w firmowym notatniku.

- Spóźnił się pan - odezwał się, nie podnosząc wzroku.

- Byłem zajęty, gdyż napadnięto mnie na pana parkingu - wytłumaczył się Jake.

Mężczyzna uniósł głowę.

- Czyżby?

Jake pokazał jako dowód oddartą kieszeń.

- A nos?

- Nie mówmy o tym.

- Hm - mężczyzna przyglądał się Jake'owi przez sekundę lub dwie. - Jest pan z firmy Kilchurn i Synowie.

- Zgadza się.

Rudowłosa mężczyzna wciąż badał Jake'a wzrokiem.

- Wie pan - zaczął w zamyśleniu. - Bardzo pan przypomina pana Jacksona Kilchurna III.

* 20 *

Zważywszy, że ojciec był wciąż przystojny, nawet przekroczywszy sześćdziesiątkę, Jake bez wahania przyjął stwierdzenie jako komplement.

- Rzeczywiście - przyznał. - Tak szczęśliwie się składa, że jestem jego synem.
 - Faktycznie - odpowiedział powoli mężczyzna, jakby nie mógł do końca w to uwierzyć.
 - Proszę się tym nie przejmować. Dziś pełnię funkcję chłopca na posyłki.
 - Dość drogiego chłopca na posyłki.
 - Niespecjalnie, proszę mi wierzyć - podał rozmówcy manilową kopertę. - Proszę.
 - Dziękuję - mężczyzna wstał, odbierając przesyłkę, a następnie wyciągnął dłoń. - Gideon de Piaget. Zarządzam AE Inc. Dziwi mnie, że nie spotkaliśmy się wcześniej. Miałem wrażenie, że spędzam ostatnio w spółce Kilchurn i Synowie zbyt dużo czasu, ale nigdy tam pana nie widziałem.
 - Staram się nigdy tam nie bywać - wyjaśnił Jake. - Mam trzech całkiem zdolnych braci, którzy wytrwale walczą, by przynieść chlubę rodowemu nazwisku. Większość życia spędzają w biurach ojca na Manhattanie, ale czasem pojawiają się także tutaj, w Londynie, by poświęcić firmie nieprzyswoiciele długie godziny pracy. Jestem im za to niezmiernie wdzięczny, gdyż dzięki temu mogę swobodnie realizować inne, całkiem nieodpowiednie zainteresowania.
 - Hm... - Gideon wyglądał na niezbyt zaciekawionego.
 - Takie tam amatorskie paranie się drogimi kamieniami - wyznał skromnie Jake.
- Tak naprawdę to „paranie się” zawiodło go do wszystkich zakątków świata w poszukiwaniu tego, co niezwykle i kunsztowne, a także pozwoliło

* 16 *

mu opracować jedyne w swoim rodzaju klejnoty, które osiągały ceny szokujące nawet ojca. W związku z tym nie miał ani czasu, ani chęci, by tracić osiemdziesiąt godzin tygodniowo w finansowej maszynie rodzica. I nie chodzi o to, że nigdy by się nie podjął czegoś takiego. Nie potrafił znieść myśli o tych wszystkich dniach spędzonych nad papierkową robotą wyłącznie po to, by się wykazać.

Fascynacja Gideona nieodpowiednimi zainteresowaniami najwidoczniej się ulotniła. Znów opadł na fotel, skupiając uwagę na dokumentach, które trzymał w dłoni.

Jake również usiadł na chwilę. Nie chciał tracić czasu w korporacyjnej klatce, choćby najbardziej luksusowej. Pragnął przedzierać się przez moczary opanowane przez moskity, poszukując zapomnianej kopalni, gdzie mógłby odkryć jakieś rzadkie okazy. Miał już zaplanowaną taką podróż na następny dzień - gdyby tylko mógł wyjść z AE, Inc.

I udać się do biura ojca, żeby wykonać zadanie, nim umrze od korporacyjnej duchoty.

Wstał, zanim zdał sobie sprawę, że to zrobił. Gideon przewrócił tylko kolejną stronę i czytał dalej, więc Jake uznał, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli on obejrzy sobie eksponaty w gabinecie. Ku zaskoczeniu Jake'a biuro Gideona nie było zastawione znaczącymi, lecz bezosobowymi dziełami sztuki wybranymi przez dekoratora wnętrz. Gabinet był ozdobiony całkiem niezłymi scenami sielankowymi, które bez wątpienia miały wzbudzać tęsknotę za przyjemnym popołudniem, spędzonym na łagodnych wzgórzach Lake District. Miłe, łatwe w odbiorze obrazy, które niczego nie wymagały i tchnęły spokojem.

*** 22 ***

No, poza jednym obiektem, który zajmował ścianę na lewo od Jake'a.

Zatrzymał się gwałtownie, gdy spojrzał na olbrzymią fotografię zamku. Był przyzwyczajony do oglądania zamków, biorąc pod uwagę fakt, że mieszkał w Anglii dobrze ponad połowę życia. Ale tu chodziło o coś zupełnie innego.

Nie o faktyczny ogrom budowli ani o to, że robiła niesamowite wrażenie. I nie o to, że aż kłuła w oczy czymś pierwotnym i surowym.

Sedno tkwiło w tym, że zamek wyglądał tak... znajomo.

Jednak Jake był przekonany, że nigdy przedtem twierdzy nie widział. *Artane...*

Nazwa zadźwięczała w jego duszy niczym powiew nadmorskiego wiatru, aż gwałtowne ciarki przebiegły mu po plecach. Nigdy nie drżał, nawet w trzewiach dżungli Ameryki Południowej, stając twarzą w twarz z pajakami wielkości jego głowy.

Przez moment zastanawiał się, czy to przypadkowe uderzenie w nos nie uszkodziło mu także zdrowego rozsądku.

- Artane - odezwał się Gideon w roztargnieniu. Wiem, pomyślał Jake, zachłystując się niczym topielec łapiący ostatni haust ukochanego powietrza, zanim ulegnie wciągającej go otchłani.

- Rodzinna posiadłość.

- Słucham? - udało się wydusić Jake'owi nadludzkim wysiłkiem, lecz nadal nie mógł oderwać wzroku od fotografii. - Pańska rodzinna posiadłość?

- Właściwie tak - potwierdził Gideon. - Nigdy pan tam nie był?

- Nigdy.

- Dlaczego?

*** 18 ***

- Trudno mi powiedzieć.

Jeśli gwałtowna reakcja na to miejsce miała jakiegokolwiek uzasadnienie, to może powinien być wdzięczny za to, że nigdy nie postawił tam nogi.

- Nie słychać w pana akcencie silnych amerykańskich naleciałości. Długo pan mieszka w Anglii?

Jake z przyjemnością odwrócił się od zdjęcia Artane i oparł o etażerkę Gideona.

- Wiele lat. Ojciec wysłał mnie do Eton, gdy dowiedział się, że trochę za bardzo podoba mi się w drogiej szkole z internatem w Nowej Anglii.

- A podobało się panu?

Jake już miał rzucić odzywkę typu „to było jedno piekło”, ale fotografia zamku zbyt wytrąciła go z równowagi, zdobył się więc z trudem na inną odpowiedź.

- Było w porządku - odrzekł w końcu.

- Studiował pan także w Anglii? Mieszka pan teraz tutaj, jak sądzę.

- Tak. Studiowałem i mieszkam.

Gideon wykonał gest w kierunku zamku za plecami Jake'a.

- Powinien pan złożyć tam wizytę.

- Naprawdę, nie bardzo mam czas...

- Jest pan żonaty?

- Na to również nie mam czasu, prawdę mówiąc

- odpowiedział Jake, prostując się i stanowczym ruchem zacierając ręce. - Tak naprawdę nie mam zbyt wiele czasu na cokolwiek. Muszę już iść, jeśli pan skończył...

- Krążą pogłoski, że zamek jest nawiedzony

- ciągnął temat Gideon, nie zauważając, że Jake zrobił się nerwowy. - Artane - dorzucił, jakby myślał, że rozmówca może nie być pewien, o który zamek chodzi.

* 19 *

- Ciekawe - rzucił Jake, szukając najbliższego wyjścia.
- Naturalnie w Artane nie ma duchów, jak w innych zamkach - przyznał Gideon. - Na przykład w Seakirk.
- Co za pech - mruknął współczująco Jake, ruszając do drzwi.
- Ale czasami, o przypadkowych godzinach, dzieje się coś dziwnego.

Jake nie wierzył w duchy ani w nic, czego nie mógł zobaczyć, chyba że w grę wchodziła plotka o okruchu szafiru czy opalu w jakimś tajemniczym kraju Trzeciego Świata. Plotka, która wymagała od niego, by założył filcowy kapelusz i ruszył przez malaryczne dżungle albo trzęsawiska opanowane przez pijawki. Mimo to nie mógł zaprzeczyć, że samo patrzenie na Artane wzbudzało w nim poczucie *déjà vu*, i to bardzo niepokojące. A to wszystko przemawiało za tym, by wynosić się stąd, póki jego zdrowie psychiczne pozostawało nienaruszone.

Tego ranka wstał zbyt wcześnie, to jasne. Odbiło się to na jego zdrowym rozsądku.

- Artane było domem rodu de Piagetów od początku trzynastego wieku - kontynuował Gideon, najwyraźniej nieświadom zakłopotania Jake'a. - Całkiem przyzwoite dziedzictwo, ogólnie rzecz biorąc.

- Jak miło...

- Mamy fantastyczną kolekcję średniowiecznych artefaktów - opowiadał dalej Gideon. - Wygląda na to, że pochodzę z rodziny moli i nałogowych zbieraczy. Księgi, miecze, klejnoty. Jeśli interesuje się pan starociami, wystarczy poprosić.

- Muszę już iść - powiedział Jake, zastanawiając się, czy byłoby bardzo nieuprzejme z jego strony,

*** 25 ***

gdyby po drodze do drzwi zwyczajnie wyrwał dokument z rąk Gideona.

- Udostępniliśmy obiekt turystom - kontynuował Gideon. - Wie pan, mój ojciec nie jest tym zachwycony, i w ogóle nie jest zbyt postępowym człowiekiem, ale czego się nie robi, aby zadowolić urząd skarbowy. No i mamy jeszcze AE i kilka innych koncernów na całym świecie. Mam nadzieję, że interes z pana ojcem przyniesie dodatkowe korzyści.

- No cóż, jeśli chodzi o pomnażanie pieniędzy, może pan być pewien, że ojciec nie wzięłby udziału w czymś, co nie rokuje widoków na pokaźny łup

- odpowiedział krótko Jake. - A teraz, jeżeli nie ma pan nic przeciwko...

Nagle jedno ze słów wypowiedzianych przez Gideona dotarło do przeciążonego mózgu Jake'a.

- Klejnoty, powiedział pan?

- Mnóstwo. Czy działa pan w tego typu... - Gideon urwał, a potem spojrzał na Jake'a zaskoczony. -

Chyba nie jest pan związany ze spółką Kilchurn Ltd.? Importerem rzadkich, wyjątkowych i absurdalnie drogich-okazów?

- Nie jesteśmy absurdalnie drodzy - odparł Jake spokojnie. - O ile weźmie się pod uwagę to, co muszę przejść, aby pozyskać te rzadkie, wyjątkowe i słusznie wycenione okazy, a także czas, który jest potrzebny na projektowanie...

- Zajmuje się pan również obróbką tych znalezisk? - zapytał Gideon z lekkim niedowierzaniem.

- Nie wygląda pan na projektanta.

- Świadczę pełen wachlarz usług - potwierdził oschle Jake. - Kupno, windykacja należności oraz ubezpieczenia. Mam mniej problemów, gdy ludzie myślą, że jestem tylko ochroniarzem.

*** 26 ***

- Też tak uważam - uśmiechnął się Gideon, przyklepując dłonią papiery na stole. - Tym bardziej powinien pan pojechać na północ. Dostanie pan bzika na widok tych rupieci piętrzących się pod ścianami skarbcza. Może nawet uda się panu znaleźć coś przydatnego.

- Nie - wyrwało się Jake'owi, nim zdołał się powstrzymać.

Artane...

- Nie - powtórzył twardo. - Nie mogę.
 - Mój ojciec musi to podpisać - oznajmił Gideon.
 - Proszę zatem wysłać dokumenty kurierem. Gideon podniósł na niego wzrok i Jake mógłby przysiąc, że nos mężczyzny drgnął, jakby wyczuł coś podejrzanego. Niech to szlag.
 - Nie - odrzekł powoli Gideon, przyglądając się Jake'owi całkiem poważnie - nie, nie sędzę. Albo pan tam pojedzie, albo z interesu nici.
- Jake poczuł, jak opada mu szczęka.
- Słucham?
 - Mam po prostu przecucie, że w zamku mojego ojca może być coś, co musi pan zobaczyć
 - urwał i uśmiechnął się przelotnie. - Może pan to nazwać przeznaczeniem.
 - Nie wierzę w przeznaczenie.
 - Mój ojciec zapewni panu nocleg - ciągnął Gideon, jakby nie usłyszał. - Może pan też przenocować w gospodzie mojej żony.
 - Prowadzi gospodę?
 - Jest jej właścicielką - poprawił Gideon
 - Pod Głową Dzika. Bardzo urokliwe miejsce. Bardzo szesnastowieczne. Zadzwońię tam i poproszę o wolny pokój.
 - Potrzebuję...

*** 22 ***

- Rezerwacji? Proszę się nie martwić. Zaiatwię to za pana. - Wręczył Jake'owi dokumenty. - Przy-
puszczam, że uda się pan teraz do domu, żeby doprowadzić się do porządku?

Jake spiorunował rozmówcę wzrokiem. To nie było grzeczne, ale nic nie potrafi! na to poradzić.

- Niech cię cholera - mruknął. Gideon zaśmiał się.

- W ciągu godziny przekażę panu wszystkie szczegóły. Proszę pozdrowić ode mnie moją rodzinę.

Życzę miłego pobytu w gospodzie.

Jake spojrział na niego uważnie.

- Dlaczego mam wrażenie, że chodzi tutaj o coś więcej niż zwykły altruizm?

- Jak już wspomniałem, głęboko wierzę w przeznaczenie i mówi mi ono, że musi pan zobaczyć zamek
mojego ojca.

Jake zacisnął zęby. Nie miał czasu na przeznaczenie, nie teraz, gdy wpływowi nabywcy czekają na
towar, który miał przywieźć w ciągu niecałego tygodnia i którego zdobycie będzie od niego wymagać
zajadłego targowania się.

Znów przemknął mu w duszy powiew morskiego wiatru, niosąc ze sobą tak silną tęsknotę, tak słodką
radość, że wstrzymał oddech. On, Jackson Kilchurn IV, typ człowieka niebiorącego jeńców, po-
myślał, że chyba musi po prostu usiąść. Podniósł dłoń do oczu i przetarł powieki.

- Za mało spałem - wyjaśnił.

Gideon wstał i obszedł biurko. Poklepał Jake'a po ramieniu i odprowadził do drzwi.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę do mnie zadzwonić po powrocie i opowiedzieć, jak się
panu tam podobało. Być może wezmę parę ciężko zarobionych funtów i odwiedzę pana sklep.

*** 23 ***

- Postaram się nie sprzedać panu strasów - zapewnił cierpko Jake.

- Będzie pan się kapitalnie bawił - obiecał Gideon, nie ukrywając zadowolenia. - Proszę czekać na
instrukcje, będą w ciągu godziny.

- Jestem niezmiernie wdzięczny - bąknął Jake.

- Było mi bardzo miło - Gideon wyciągnął rękę i uściśnął dłoń gościa. - Życzę powodzenia w skarbcu mojego ojca.

- Przynajmniej tyle będę miał z tego przyjemności - powiedział do siebie Jake, gdy opuścił gabinet Gideona.

Niezaczepiany przez nikogo dotarł do samochodu i czym prędzej wrócił do mieszkania. Miał szczerzy zamiar położyć się od razu do łóżka i zapomnieć o niepokojących i dość wyczerpujących wydarzeniach tego dnia.

Zamiast tego zaczął przechadzać się pod drogimi oknami o podwójnych skrzydłach, co jakiś czas przystając, i spoglądał na podobnie kosztowne georgiańskie* rezydencje po drugiej stronie ulicy. I zamiast znaleźć ukojenie w symetrii sąsiadujących budynków, czuł się przytłoczony wizją posepnego, drapieżnego kamiennego ptaka, przyczajonego na urwisku nad morzem. Wizją twierdzy zwróconej na plażę, jakby każdemu rzucała wyzwanie, by przyszedł i spróbował ją zdobyć.

To był tylko zamek.

A więc dlaczego sam jego widok groził rozsypką męskiemu i zahartowanemu duchowi Jake'a?

Godzinę po wyjściu z biura Gideona, niemal co do minuty, Jake usłyszał dyskretne pukanie

Określenie stylu architektury i mebli z XVIII-XIX wieku, z czasów Jerzego I, II, III i IV (przyp. tłum.).

*** 29 ***

do drzwi wejściowych. Odebrał równie dyskretną manilową kopertę od elegancko ubranego chłopaka, który nie przyjął oferowanego napiwku. Najwidoczniej Gideon dobrze opłaca swoich ludzi.

Jake otworzył kopertę, w której było tylko kilka kartek. Na jednej zamieszczono wskazówki, jak dotrzeć do gospody Pod Głową Dzika. Na drugiej instrukcje dotyczące Artane. A ostatnia kartka to był krótki list od Gideona.

Jake,

Mój ojciec oczekuje Pana i zaprasza do swobodnego rozporządzania zasobami jego skarbcza.

Podobno kilka lat temu kupił u Pana jedno z najdroższych świecidełek dla mojej matki. Jest zachwycony, że zechce Pan zaszczyścić go swoją obecnością. Ma doskonałego szefa kuchni, a poza tym nie może Pan przegapić pięknych widoków. Czekam na wieści, jak podobała się Panu sterta starych kamieni.

Gideon

Jake nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Miał wrażenie, że coś nieuchronnie ciągnie go na północ.

Wbrew jego woli.

Nie zostawiając mu wyboru.

Jednak czuł, że mimo wszystko go przywabi.

Oby tylko były po temu wystarczające powody, do wszystkich diabłów. Wsunął wszystkie potrzebne papiery do aktówki, a potem z westchnieniem podniósł słuchawkę telefonu, aby poinformować asystentkę o zmianie planów.

2

Artane, 1227

Co ty robisz?!

Święci pańscy, czy nikt nie potrafi powiedzieć nic innego? Amanda była już znużona tym pytaniem - zwłaszcza że słyszała je od wielu dni od każdego, kto tylko umiał mówić. Niestety, nie złapała do tej pory i wciąż nie mogła złapać tchu, by odwzajemnić się pełną animuszu odpowiedzią. Skuliła się, opierając dłonie na kolanach, i rozpaczliwie usiłowała złapać powietrza. Robin podskakiwał w miejscu obok niej, przy czym nie można było zauważyć żadnej zmiany rytmu jego oddechu

- Ćwicz - odpowiedział beztrasko. - A na cóż to niby wygląda?

- To wygląda na największą głupotę, jaką kiedykolwiek wymyśliłeś - odciął się Nicholas. - Robin, na wszystkie świętości, ona wygląda, jakby miała zaraz stracić przytomność!

- Wcale... nie... - wykrztusiła Amanda.

- Właśnie - zgodził się Robin. - Idzie jej zupełnie nieźle jak na dziewczuchę.

Amanda zamachnęła się na brata, ale on zwinnie uskoczył na bok. Skierowała rozdrażniony wzrok na drugiego ze starszych braci.

- Ja... ćwiczę... - wysapała.

*** 26 ***

- Może się tak wydawać - odrzekł Nicholas. - Ale chciałbym znać powód tego stanu rzeczy. Co cię podkusiło, żeby biegać w kółko w chłopięcym stroju i ubłoconych cudzych butach, znosząc tortury zadawane przez Robina?

Amanda była wdzięczna, że może przerwać przynoszące udrękę ćwiczenia jednego brata i dla odmiany posprzeczać się z drugim. Wyprostowała się z trudem i wreszcie nabrała powietrza.

- Uznałam, że pożytecznie jest znać... pożyteczne rzeczy.

Nicholas objął Amandę ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Nie mogę pojąć, do czego by ci to mogło służyć - spojrzał surowym wzrokiem na Robina. - Powinieneś ślubować, że znajdziesz młodzieńców, którzy będą jej strzegli, zamiast ganiać ją w błocie, zmuszając do opanowania umiejętności, których nie potrzebuje. Obrona ukochanej niewiasty to powinność mężczyzny.

Amanda na chwilę zamknęła oczy. Doprawdy szkoda, że ona i Nicholas należą do tej samej rodziny. Nicholas - mogła to uczciwie przyznać, znając go, odkąd tylko sięgała pamięcią - był wspaniałym młodzieńcem o nienagannych manierach i godnym podziwu poczuciu rycerskości.

- Poza tym nie jest w stanie nauczyć się tego wszystkiego, zważywszy na to, że jest tylko kobietą...

Amanda szturchnęła Nicholasa łokciem w brzuch, aż puścił ją, burcząc pod nosem. Czasami wyobrażała sobie, że mogłaby go kochać, ale te fantazje prędko się rozwiewały, ledwo chłopak otworzył usta.

- Mam mężczyzn, którzy mnie strzegą - zauważyła figlarnie - których dostrzegłbyś, gdybyś tylko potrafił odwrócić wzrok od wypolerowanego zwierciadła.

*** 32 ***

- Jest w tym wiele prawdy - zgodził się Robin

- choć nie potrafię pojąć, jak udaje ci się znaleźć tak cierpliwych młodzieńców, którzy podążają za tobą podczas niekończących się wędrówek brzegiem morza. - Potrząsnął głową. - Piasek w butach, sól we włosach, spieczone karki i uszy...

- Spójrz na nią - parsknął Nicholas. - Powiedziałbym, że to wystarczająca nagroda.

Amanda nie zamierzała dać się udobruchać byle komplementem. Pokręciła nosem na Nicholasa:

- Widziałam, jak zajadali najwyborniejsze paszteciki pierwszego gatunku z pieca kuchmistrzynie, o których inni młodzieńcy mogą tylko śnić. Zatroszczę się, żeby w najbliższej przyszłości kokie-ciki nie znalazły się na twojej tacy z posiłkiem.

- Pociągnęła za rękaw Robina. - Chodźmy już. Śmiem twierdzić, że w tej chwili jednak przedkładam twoje towarzystwo nad jego.

Nicholas nie ukrywał przerażenia.

- Widzisz? - wykrzyknął. - Wyrządziłeś jej krzywdę, Rob. Gdy z większym upodobaniem będzie się zadawać z tobą niż ze mną, to będzie widoczna oznaka, że jej wzniosłe uczucia doznały poważnego uszczerbku.

Amanda zostawiła gderającego Nicholasa. Odeszła zdecydowanym krokiem, ciągnąc ze sobą nie-stawiającego oporu Robina. Oczywiście, że się nie sprzeciwił. Zmierzała na plac musztry. Według Robina nie było lepszego miejsca dla rozsądnego mężczyzny. Amanda zatrzymała się pośrodku ubitej ziemi i spojrzała na brata.

- A więc? - spytała. - Co teraz?

- Posługiwanie się nożem. Dopóki nie nabierzesz krzepy, poprzestaniemy na czymś mniej forsownym. Trzeba wziąć pod uwagę fakt, że należysz

*** 28 ***

do urodziwszej, słabszej i delikatniejszej płci i trzeba na ciebie chuchać...

Amanda dobyła noża, który wybrał jej brat, nie dbając o to, jakiego rodzaju broń trzyma w rękę, dopóki była to broń i była wycelowana w Robina. Świadomie dźgnęła nożem w jego kierunku. Robin tylko ziewnął, najwyraźniej niewzruszony atakiem siostry. To on był mistrzem, z czym by się ochoczo zgodził, a Amanda tylko uczniem.

I gdy zaczął ćwiczyć ją najpierw w ciosach obronnych, a potem uczyć ataku, musiała przyznać, że wszystko, co o sobie mówił, było prawdą. Oczywiście Amanda miała okazję obserwować, jak upokarzał wielu przeciwników w walce i paru w trochę mniej cywilizowanych okolicznościach, ale oglądać to jedno, a uczestniczyć - coś zupełnie innego.

Popołudnie ciągnęło się niemiłosiernie.

Jednak Amanda była nieugięta.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, gdy Robin wreszcie ogłosił zawieszenie broni. Z aprobatą skinął głową w stronę siostry.

- Jesteś naprawdę nieustraszona, Amanda - oznajmił. - Nie potrafię sobie przypomnieć ostatniego młodzika, który byłby równie wytrzymały. Niemniej jednak sądzę, że wystarczy na dziś. Przy czym nie chodzi o to, że nie mógłbym ćwiczyć do późna w nocy - dorzucił. - Wciąż nie brakuje mi wigoru.

I tak właśnie wyglądał, niech go wszyscy diabli! Lecz Amanda chętnie przyjęła komplement, a także skorzystała ze sposobności odpoczynku. Odgarnęła mokre włosy opadające jej na oczy i wzięła kubek wody od pazia Robina.

- Dziękuję ci, Christopherze - powiedziała z uśmiechem.

*** 34 ***

- Dość już noszenia tej wody - huknął Robin. - Christopher, chłopcze, weź ten miecz, który ci przyszykowałem, i poćwiczmy chwilę, podczas gdy Amanda da odpocząć kobiecej stronie swojej natury.

Biedny paż wyglądał tak, jakby skazano go na wędrówkę do wnętrza piekieł. Przełknął z trudem, wyprostował ramiona i dobył miecza. Amanda, popijając wodę z kubka, skryła uśmiech. Miała ochotę odciągnąć chłopca na bok i powiedzieć mu kilka słów na temat niegodziwej żartobliwości brata. Przez ostatnich parę lat, od chwili przybycia Christophera z Blackmore, próbowała złagodzić okrutny los pazia Robina, ale mogła zrobić tak niewiele. Jej brat był niemożliwy. Jak mogła temu zaradzić? Czekala, podczas gdy Robin ćwiczył, a następnie, kiedy już skończyli, poszła za nim i paziem do głównej sali zamku. Gdy pozwoliła oczom przyzwyczać się do nikłego światła, dostrzegła całą rodzinę zasiadającą na krzesłach w ciasnym kręgu blisko kominka. Ojciec, Rhys, podniósł wzrok z nad kufła szlachtetnego piwa i westchnął na widok córki.

- Robinie - odezwał się, a w jego głosie zabrzmiała cierpliwość - pewnego dnia wejdiesz z Amandą wyglądającą jak giermek i napotkasz tutaj zalotnika, na którym może chciałaby wywrzeć pozytywne wrażenie.

- A dlaczego nie miałyby zrobić na nim wrażenia właśnie w ten sposób? - zapytał Robin, rzucając się na krzesło obok swojej żony. - To urodziwa dziewczyna. Bardzo pożyteczna w zamku. Dobra kasztelanka i tak dalej. I umiałyby osłonić plecy w potrzebie. A poza tym, jeśli mężczyzna nie po-

trafi powstrzymać się i nie sfajdać na widok Amandy w męskim stroju, to niech go anieli strzegą, kiedy Amanda naprawdę pokaże pazury.

Ojciec rodzeństwa zaniósł się kaszlem, by ukryć coś, co dla Amandy równie dobrze mogło być szczerym śmiechem.

- Doprawdy, masz słuszość - spojrział na córkę z błyskiem w oczach. - Jedyne święci raczą wiedzieć, jak mógłby się zachować taki nieszczęśnik, gdybyś wymierzyła ostrze w jego kierunku.

- Jestem przekonana, że musiałby się wówczas uciec do modlitwy - oschle powiedziała Amanda.

- Wybaczcie, ale jeśli pozwolicie, oddalę się, by znów odzyskać swoje niewieście oblicze.

- Wrócimy do sprawy z pierwszym brzaskiem

- przypomniał jej Robin. - Lecz nie daj się omotać fatalaszkom i odciągnąć w ten sposób od trudów.

W odpowiedzi Amanda tylko machnęła ręką i ruszyła w górę schodów. Po drodze przeciągnęła dłonią po zimnym kamieniu murów, zastanawiając się, ile razy robiła to w przeszłości. Zbyt wiele, by to zliczyć. Artane zostało zbudowane, gdy była jeszcze dziewczynką, i od tamtej pory spędziła w jego murach całe swoje życie, włączając się po pięknych korytarzach i blankach. Miałaby już nigdy nie wbiegać przez frontowe wejście do głównej sali zamkowej, nigdy nie wąchać kuchennych zapachów, nigdy nie czuć powiewu morskiej bryzy na twarzy, stojąc na dachu?

Nie mogła znieść tej myśli.

Skoncentrowała się więc, tak jak nieustannie wymagał tego od niej Robin, na tym, co było akurat do zrobienia.

Przebrać się, a potem zejść na wieczerzę.

Na resztę przyjdzie czas później.

*** 31 ***

Wieczera upłynęła w miłym nastroju, choćby tylko z tego powodu, że Amanda przebywała w towarzystwie ukochanej rodziny i doceniała to.

Dopóki wszyscy nie zebrali się w prywatnej komnacie ojca.

Po tych wszystkich latach powinna się już do tego przyzwyczać. Kiedy zaczęli się zjawiać pierwsi kandydaci, prosząc o jej rękę, rozmowy były niefrasobliwe. Rodzina doszukiwała się u zalotników wad i znajdowała je, śmiała się z ich słabostek i odprowadzała młodzieńców z kwitkiem.

Jednak teraz sprawy przybrały inny obrót.

- Sytuacja na północy robi się poważna - powiedział Rhys, bez wątpienia już po raz setny. - Nie wiem, czy jesteśmy w stanie utrzymać granice siłami, którymi dysponujemy.

- Potrzebujemy sprzymierzeńca - stwierdził roztropnie Robin, ledwo dostrzegalnie kiwając głową w stronę Amandy.

Czyżby uważała, że jest znośnym towarzyszem? Zgromiła go wzrokiem, gdy tak siedział w niedbałej pozie, zachowując się beztrosko jak człowiek, którego najskrytsze marzenia się ziściły, i który nie musi się obawiać, że ojciec wyda go za kogoś nie do wytrzymania.

-I wszyscy wiemy, że szerzy się bezprawie - ciągnął Rhys.

Amanda zacisnęła usta. Nie cierpiała bandytów, jak każda kobieta, ale rozmowa wcale się jej nie podobała, gdyż wiedziała, ku czemu zmierza. Rhys, Robin i Nicholas zaczną zaraz, pocierając podbródki, zastanawiać się nad każdym z sojuszników po kolei, doszukując się w nich fatalnych skaz.

* 37 *

A potem cynicznie zwróca uwagę na panów z północy, którzy z niewiadomych powodów odnoszą się z rezerwą do zalet de Piagetów.

W tym momencie młodsza siostra Amandy, Isabelle, zaczyna się usprawiedliwiać bólem głowy, który może uśmierzyć, tylko natychmiast udając się na spoczynek.

Nicholas zaproponuje, że ojciec mógłby wysłać dwóch najmłodszych chłopców, Johna i Montgo-mery'ego, aby zostali giermkami wielmożów, których trzeba zjednać, a wtedy ci wielcy panowie będą mogli się przekonać, jakie klejnoty rodzą się w Artane.

Robin zasugeruje, że być może najznakomitszym darem, jaki mogliby zaoferować, byłaby panna na wydaniu o miłej aparycji. Taka panna mogłaby chyba jasno ocenić swoją sytuację i zgodzić się na zaręczyny z jednym z tych głupców z północy, by w ten sposób zapewnić całej rodzinie bezpieczeństwo na przyszłość.

Anne szturchnęłaby lekko brata łokciem pod żebro, Gwen zaczęłaby protestować, a pozostali mężczyźni przedstawiciele rodziny zaczęliby jeszcze usilniej pocierać w zamyśleniu podbródki. Stwarzaliby wrażenie, jakby samo wyrażenie tej idei było najcudowniejszym i najbardziej błyskotliwym pomysłem, jaki kiedykolwiek przyszedł komukolwiek do głowy w świętych murach Artane.

Oczywiście nie będzie już z nimi Isabelle, która mogłaby wyrazić swoją opinię, a zdanie Amandy nie należało do tych, które wygłasza się w wytwornym towarzystwie. Zostawały więc jej tylko gorzkie myśli i szukanie schronienia na którymś z dachów zamku.

Jednak tego wieczoru wybrała inną drogę. Siedziała spokojnie i słuchała, grzecznie kłoniąc głó-

*** 38 ***

wę, gdy o niej mówiono, i starała się sprawiać wrażenie tak potulnej, jak tylko było to możliwe.

A przez cały czas myślała, że może już po raz ostatni zasiada w rodzinnym gronie.

Jednak gdyby wydano ją za jakiegoś prostaka z innego zamku, także nie zobaczyłaby więcej rodziny.

Nie znalazłaby się więc w gorszej sytuacji, niż gdyby uciekła ze swoją cnotą - i zdrowymi zmysłami - nietknięta, zamiast przystać na plany ojca.

Przynajmniej tak sobie mówiła.

Pod koniec spotkania była zmuszona zamknąć oczy, by nie popłynęły nagromadzone pod powiekami łzy i jej nie zdradziły.

Wreszcie wstała, przeprosiła i wymknęła się z sali. Nie traciła czasu, biegnąc na górę schodami, przemykając się korytarzami i wspinając jeszcze wyżej, aż na zewnątrz południowo-wschodnią basztą. Ruszyła blankami do swojego ulubionego miejsca rozmyślań, gdzie mogła patrzeć na ocean. Jaka szkoda, że nie może być bliżej wody, bo wtedy mogłaby się w nią rzucić i oszczędzić sobie irytującego wyboru męża.

- Mandy?

Amanda odwróciła się i zobaczyła swojego młodszego brata, Montgomery'ego, idącego w jej kierunku wzdłuż murów. Była trochę zaskoczona, że go tu widzi, zważywszy że dyskusja na jej temat wciąż trwała. Montgomery był jej wiernym cieniem, najlojalniejszym orędownikiem i najzacie-klejszym obrońcą od chwili, gdy nauczył się mówić. Krzyczał najbardziej zaborczym tonem: „Manee, moja!” na każdego, kto próbował zabrać mu siostrę. Amanda kochała go za to i tęskniła za nim, gdy w zeszłym roku został giermkim u lorda Pe-vensey'a. Na szczęście dla Montgomery'ego

Rhys

* 34 *

niechętnym okiem patrzył na to, by ktoś inny poza nim uczył jego najmłodszych synów, więc udreka rozłąki rodzeństwa trwała tylko rok.

Amanda podejrzewała, że jej udreka potrwa dziesiątki lat.

Montgomery liczył sobie piętnaście wiosen, lecz był wciąż chłopcem, toteż siostra mogła go objąć i w tkliwym geście zmierzwić mu włosy.

- Wybrali już kogoś dla mnie? - spytała lekkim tonem.

- Nie - odpowiedział Montgomery. - Kiedy wychodziłem, ustalali ostateczną datę twojej decyzji.

Robin proponował miesiąc, licząc od dziś.

Niech go diabli! Przy najbliższej okazji wrzuci najstarszemu bratu do owsianki coś wstrętnego.

- Ojciec mówi, że ze schyłkiem lata - kontynuował Montgomery.

- Mówił tak już przedtem.

- Wierzę, że i tym razem tak myśli. Amanda także w to nie wątpiła. Jeszcze jeden powód, aby wprowadzić plan w życie, dopóki jest to możliwe. Przynajmniej może się spodziewać, że rodziny nie będzie w pobliżu, kiedy ona podejmie starania, by zyskać wolność. Matka, ojciec i siostra Isabelle wybierali się w podróż do Francji, aby odwiedzić babkę ze strony ojca, która wreszcie zaczęła odczuwać swój wiek. Robin i Anne pojedą na miesiąc do Fenwyck, żeby, jak co roku, zaprezentować ojcu Anne syna. Nicholas zamierzał pojechać do Wyckham, gdzie usilnie pragnął naprawić dach swojego zamku. Po raz kolejny, jeśli to kogoś interesuje. Najmłodszy, bliźniacy, mieli wyruszyć razem z nim. Milesa, jeszcze jednego brata Amandy, oczekiwano w domu za miesiąc.

*** 35 ***

W związku z tym, skoro większość rodziny wyjedzie, zostawały jej dwa tygodnie na udaną ucieczkę, zanim wróci Miles i przejmie nad nią opiekę. Mogło się udać. W rzeczy samej, wszystko miała zaplanowane niemal do chwili wymknięcia się z zamku...

- Co takiego? - rzuciła, patrząc na Montgome-ry'ego. - Co powiedziałaś?

- Nie wybieram się z Nicholasem - powtórzył chłopak, niepewny, czy ma się radować, czy smucić. - Bardzo jestem do niego przywiązany, jak ci wiadomo, ale myśl o zostawieniu cię samej...

- Nie jedziesz? - spytała z niedowierzaniem. - Ale...

- Ale...? - Montgomery patrzył na nią ze zdziwieniem. - Ale co?

- Nic takiego - uśmiechnęła się mimo zaciśniętych zębów. - Nic, cieszę się, że będziesz tutaj, żeby nade mną czuwać. To bardzo miłe z twojej strony.

- John również zostaje - dodał Montgomery. -1 John... - powtórzyła niepewnie.

Niech to diabli wezmą! Zniweczono jej plany, i to tak szybko! Montgomery opowiadał dalej o zadaniach, jakie powierzono jemu i Johnowi podczas nieobecności Rhysa, lecz Amanda nie bardzo mogła słuchać. Na wszystkie świętości, co ma teraz czynić? Jak uda jej się uciec braciom? Byliby gotowi uczepić się szat siostry na stałe. John spędzałby czas na przypominaniu Amandzie, że ojciec zostawił go na straży. Montgomery sto razy dziennie będzie chciał wiedzieć, co siostra robi.

Wszyscy święci, to była katastrofa.

Cóż, w tej chwili najlepsze co mogła zrobić, to zejść z dachu zamku na dół, zanim zechce rzucić się z murów. O szczegóły ucieczki będzie się martwić później, kiedy stanie już bezpiecznie na ubitej

* 41 *

ziemi. Westchnęła głęboko i spojrzała na Montgomery'ego.

- Czy na dole dałoby się znaleźć coś słodkiego? - spytała. - Czy też kuchnię po zmroku zamknięto?

- Wyobrażam sobie, że mogłabyś zbałamucić kuchmistrzynie, by ci coś dała - uznał Montgomery.

- Ja się uśmiechnę, a ty użyjesz swojego daru gładkiej mowy - zaproponowała Amanda. - Nikt nie oprze się tak potężnej miksturze uroku de Pia-getów.

- Mandy, właśnie znalazłaś doskonały sposób, by zdobyć męża. Ty będziesz się uśmiechać, a ja będę za tobą się wstawiać.

Obróciła brata w kierunku wartowni i popchnęła lekko.

- Jednakże konkurent koniec końców zetknie się z moim nikczemnym językiem i będzie boleśnie rozczarowany tym, co nabył. Lepiej niech zobaczy, co bierze, od razu, na początku. Jednak nie omieszkam wykorzystać twojej strategii, żeby zdobyć jeden ze słodkich pasztecików kuchmistrzynie. Chodźmy.

Amanda zeszła za Montgomerym do głównej sali zamkowej. Wypowiedziane przez nią słowa były prawdziwe: znalazłaby odpowiedniego kandydata, lecz potem straciłaby go wyłącznie z własnej winy...

A gdyby znalazła młodzieńca, który pokochałby Amandę, a nie bardzo majątną córkę Rhysa de Piageta?

Niemożliwe!

Weszła do sali i w tym samym momencie znalazła się kolejny krok bliżej porzucenia tego miejsca na zawsze.

3

Jake zacisnął dłonie na kierownicy, włączył wycieraczki na najszybszy bieg i wbił wzrok w zacinające strugi deszczu. Zastanawiał się, czy stracił rozsądek podobnie jak zgubił drogę. Powinien był wyjechać z Londynu wcześniej i sprawdzić prognozę pogody.

A tak w ogóle powinien był polecieć na Bahamy.

Koła jego bardzo rzadkiego, bardzo drogiego w naprawie jaguara rocznik 1967 wpadły w poślizg i ugrzęzły w ogromnej kałuży na wertepach, które kiedyś były drogą numer B6499. Powinien był pójść po rozum do głowy, zamiast ruszać drogą klasy B. W końcu był wyznawcą zasady: nic, co jest warte ponad 40 tysięcy funtów, nie powinno znaleźć się na nawierzchni gorszej od zalecanej drogi klasy A. Jake serdecznie żałował, że nie posłuchał sam siebie. Żałował, że nie wyruszył w drogę range roverem, zahartowanym na wszelkiego rodzaju surowych szkockich bezdrożach, któremu nie zaszkodziłaby odrobina wilgoci udająca małą rzeczkę.

Zapadła noc.

Wyglądało to tak, jakby słońce nagle zgasło, jakby znikło światło, które niczym zasiedziały gość nie daje spać małym dzieciom i wyczerpanym rodzicom. Jake opuścił szybę i wyjrzał na zewnątrz, ma

*** 38 ***

jąc nikłą nadzieję, że dostrzeże jakąkolwiek wskazówkę. Za cholere niczego nie mógł wypatrzeć, a w ogóle miał poczucie, jakby ktoś zawiązał mu oczy i zakręcił nim ze sto razy w miejscu. Zwykle całkiem dobrze orientował się w terenie, ale teraz zupełnie nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, w jakim kierunku zmierza i czy w ogóle jest na dobrej drodze.

A wychylając się na nocne powietrze, nie zyskał nic poza dokładnym zmoczeniem włosów.

Schował więc ociekającą głowę z powrotem do auta, zwolnił, zatrzymał się i przeanalizował sytuację. Mógł jechać dalej, mając nadzieję, że droga zakończy się czymś bardziej solidnym, albo mógł zawrócić i spróbować się cofnąć do drogi A, którą mknął jak wariat.

Podejrzał, że dalsza jazda przed siebie okaże się szaleństwem.

Ale nie lubił się wycofywać.

Usiłował wysledzić cokolwiek na mapie, lecz w samochodzie było zbyt ciemno, bo beznadziejny mechanik zapomniał naprawić lampkę do czytania mapy. Zbyt fikuśna i folgująca kaprysom zabawka. I jak widać, wyjątkowo przydatna.

Jake cisnął mapę na siedzenie pasażera, zaklął z entuzjazmem, zacisnął ręce na kierownicy i rzucił się w objęcia nieznanego.

Warunki pogodowe jeszcze się pogorszyły.

Słownictwo Jake'a także.

W pewnym momencie auto wpadło w poślizg, zsunęło się i na koniec wdzięcznie zatrzymało na przeciwko masywnej kutej bramy. Jake poluźnił uchwyt na kierownicy, a następnie dodał gazu, tak na wszelki wypadek: co doprowadziło do ostatecznego zagrzebania się w błocie.

*** 44 ***

Zaklął ostatni raz, potem wysiadł z samochodu i brnąc przez błoto po kostki, dotarł do żelaznej bramy. Huknął w nią pięścią raz czy dwa. Ku jego kompletnemu zdumieniu skrzydła wrót otworzyły się, najwidoczniej sterowane jakimś zdalnym mechanizmem. Wszedł z niezwykłą dla siebie niepewnością, ale pogoda była wyjątkowo paskudna, a w dodatku ta noc trąciła czymś nadprzyrodzonym.

Gdyby wierzył w zjawiska nadprzyrodzone, ale tak nie było.

Powlókł się dróżką do wejścia, nie dziwiąc się ani trochę, że prowadzi do zamku. Chlupotało mu w butach, gdy wchodził po stopniach, wziął głęboki, oczyszczający oddech i zapukał.

Drzwi skrzypnęły i po chwili snop światła padł na bardzo schludnego, wyglądającego na lokaja dżentelmena w nieokreślonym wieku.

- Pan raczył dzwonić? - zapytał mężczyzna. Jake odgarnął z oczu przemoczone kosmyki włosów.

- Mój samochód ugrzązł w błocie tuż przed pańską bramą - wyjaśnił. - Czy mógłbym skorzystać z telefonu?

Kamerdyner zlustrował gościa wzrokiem i najwidoczniej uznał go za niezbyt groźnego, gdyż zrobił dwa precyzyjnie odmierzone kroki wstecz. Skłonił się lekko.

- Gościnne Seakirk jest zawsze otwarte dla zbłąkanych podróżnych.

Jake zamarł w połowie kroku przez próg. Majordomus podniósł jedną srebrzystą brew.

- Tak, proszę pana. Czy słyszał pan o zamku? Niewątpliwie słyszał o Seakirk, i nie tylko od Gideona. W Eton, już na samym początku studiów, zaprzyjaźnił się z Alistairem McKinnonem, synem

* 40 *

szkockiego właściciela ziemskiego, który wyciągał Jake'a w różne miejsca w poszukiwaniu wszystkiego, co stare, zbutwiałe i ostre. Tak, słyszał o zamku od kolegi, a poza tym jeszcze o osobliwym szkockim artefakcie, który Alistair czuł się zmuszony zwędzić i umieścić z powrotem w prawowitym miejscu, po właściwej stronie granicy, ale to już całkiem inna historia.

Alistair chciał wybrać się do Seakirk i nawet kilkakrotnie próbował dostać się za jego bramy, lecz za każdym razem spotykał się ze stanowczą odmową. Przyjaźnili się przez wiele lat i Jake otrzymywał okresowe doniesienia na temat postępów Ali-staira w jego nieustających poszukiwaniach i możliwościach zbadania wszelkich zakamarków Seakirk. Pogłoski o duchach i niesamowitych artefaktach sprawiały tylko, że tym trudniej było się oprzeć wyzwaniu.

- Czy słyszałem o zamku? - powtórzył Jake. - Och, tylko mimochodem. Ale czy mogę przypuszczać, że dysponują państwo tutaj nie najgorszym zbiorem średniowiecznego oręża?

- Zgadza się, proszę pana.

- Jak to miło - przyznał Jake. Wpatrywał się w kamerdynera. Kamerdyner wpatrywał się w Jake'a.

No dobrze, czyli on musi zrobić pierwszy krok. Nie był mięczakiem, ale mimo wszystko znajdował się w Seakirk. Wszedł do holu i pozwolił majordomo-musowi zamknąć za sobą drzwi. Zatrzasnęły się stanowczo ze złowróżbnym stuknięciem.

Za późno na odwrót. Jake spojrzął na kamerdynera i spróbował się uśmiechnąć.

- Mój samochód ugrzązł w błocie - zaczął znowu. - Gdybym mógł skorzystać z telefonu...

*** 46 ***

- Niestety, obawiam się, że jest zbyt późno, by ktokolwiek mógł tutaj teraz przyjechać - odpowiedział majordomus. - Jednak pan, naturalnie, jest mile widziany i może przenocować.

Jake nie mógł się powstrzymać od bardzo długiego milczenia, zanim udało mu się odpowiedzieć. W końcu to było Seakirk.

- Jasne - odezwał się w końcu. - Dziękuję. W takim razie skoczę tylko do auta po torbę.

- Zajmę się tym, proszę pana - odrzekł mężczyzna sztywnym i oficjalnym tonem. - Zadzwońę również jak najrychlej do miasteczka.

- Będę wdzięczny - przyznał szczerze Jake. Wyciągnął dłoń. - Nazywam się Jake Kilchurn.

- Worthington - przedstawił się kamerdyner, dyskretnie omijając rękę Jake'a. - Proszę tędy, panie Kilchurn. Pokażę panu pokój, w którym może pan spędzić noc.

- Chciałbym złożyć uszanowanie właścicielowi...

- Jaśnie pana nie ma w domu - odpowiedział Worthington. - Podobnie jaśnie pani oraz dzieci. Jest - oznajmił bez cienia uśmiechu - bardzo spokojnie.

Jake miał poważne wątpliwości, czy jakakolwiek liczba niesfornych dzieci mogłaby wyprowadzić Worthingtona z równowagi, jednak ponieważ pomylił się już wcześniej, więc podejrzewał, że może nie mieć racji również teraz. Uczciwie mówiąc, było mu to obojętne. Czuł wdzięczność za zaproszenie na nocleg i propozycję wyciągnięcia samochodu z błota.

Ruszył posłusznie za Worthingtonem przez bardzo średniowiecznie wyglądającą główną salę z wmurowanymi w ściany kominkami i podestem na tyłach. Na podeście stał szeroki stół z bardzo

*** 42 ***

starymi, troskliwie odrestaurowanymi krzesłami odsuniętymi od blatu. Na ścianie za stołem wisiały proporce, a pozostałe mury sali zdobiły gobeliny znakomitej jakości.

Jake nie przestawał podziwiać niesamowitej rewii antyków, podążając za Worthingtonem schodami, a potem korytarzem do pomieszczenia, które zapewne miało być pokojem gościnnym. Olbrzymie, osłonięte baldachimem łoże z grubymi, aksamitnymi zasłonami stało na widocznym miejscu pod ścianą, otoczone innymi ciężkimi meblami.

Potrafił wypatrzeć szlachetne kamienie w mętnym świetle dżungli, podczas gdy pająki i węże radośnie grasowały po jego ciele, i z pewnością umiał określić wiek osobliwego miecza albo innej broni, dzięki wyczuciu Alistaira w takich sprawach, ale antyki nie były jego mocną stroną. Jednak miał oczy i to wystarczyło, by zdawać sobie sprawę, że to, na co patrzy, jest bardzo stare i w zdumiewająco dobrym stanie.

- Ładne - przyznał szczerze.

- Jaśnie pan nie lekceważy swoich gości - oznajmił Worthington.

- Czy nie obawia się, że ktoś obcy mógłby ukraść te piękne antyki?

Kamerdyner patrzył na niego długą chwilę, potem zachichotał.

Jake uznał, że to był bardzo nienaturalny dźwięk.

- Ukraść? - powtórzył. - Nie, proszę pana, jaśnie pan się tym nie martwi. Ma wyjątkowy system zabezpieczeń.

Jake rozejrzał się.

- Kamery w każdym z pokoi? Worthington wycofał się tylko do drzwi.

*** 48 ***

- Pokój jest naturalnie z łazienką. Proszę się odświeżyć, a ja przyniosę pana bagaż. A jeśli chodzi o służących mojego pana, to są duchami, nie wiedział pan?

Jake roześmiał się, ale zabrzmiało to dość głucho, nawet w jego własnych uszach. Odczekał, aż majordomus zamknie drzwi, a potem pozwolił sobie na porządne dygotki. Nieważne, jakie chodziły

słuchy i bez względu na to, czy zawierały ziarno prawdy, czy też nie, jedna rzecz była pewna: Seakirk przyprawiało go o ciarki na plecach.

Poszedł do łazienki z poczuciem, że jest w niej dokładnie obserwowany, a później wrócił do sypialni jako nowy i trzeźwiej patrzący człowiek. Nie wierzył w duchy. To był prawdopodobnie pomysł na zwiększenie biznesowych obrotów pana Seakirk.

Jednak nawet zakładając, że właściciel Seakirk był odludkiem i najwyraźniej nie potrzebował rozkręcać działalności, pogłoska brzmiała raczej niepokojąco.

Delikatne pukanie Worthingtona kilka minut później sprawiło, że Jake niemal wyskoczył przez sufit.

Nabrał głęboko powietrza, a następnie poszedł otworzyć. Odebrał od kamerdynera swoją torbę na kilkudniowe wyjazdy i dowiedział się, że niebawem piętro niżej na stole pojawi się posiłek. Jake patrzył za Worthingtonem, jak opuszcza pokój i znika za szybko zamykającymi się drzwiami.

Ile ma jeszcze czasu do chwili, kiedy będzie mógł kulturalnie zejść na dół, i jak by wpłynęło na jego własny wizerunek prawdziwego mężczyzny, gdyby po prostu od razu umknął z tego miejsca?

Uznając, że nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby ocenić jego zachowanie, jeśli postąpi roztropnie i wcześniej zajmie doskonałe miejsce przy stole, wyszedł z pokoju i skierował się do głównej sali.

*** 44 ***

Kolacja była wyśmienita.

Była także o wiele za krótka.

Jake wyraził swoją najgłębszą i najbardziej należytą, jak miał nadzieję, wdzięczność. Worthington, jak widocznie miał w zwyczaju, pozostał całkowicie niewzruszony ani pochlebstwami, ani szybkością, z jaką Jake pochłoniął posiłek. Stał na baczność, z każdym srebrnym włosiem ułożonym na miejscu, i cierpliwie czekał.

Jake opanował się i bawił resztkami pysznego musu czekoladowego tak długo, jak długo tylko to było możliwe.

- Czy rodzina ma gromadkę dzieci? - zagał.

- Trzech siedmioletnich chłopców, trojaczki - odpowiedział Worthington bez jednego drgnienia. -

Poza tym jeszcze dwóch synów i córeczkę.

- Boże drogi! - wyrwało się Jake'owi. - Biedne maleństwo.

Worthington tylko podniósł brew.

- Panienska Adelaide Anne jest najgłośniejsza z całego towarzystwa.

Na dość długą chwilę Jake pograżył się razem z majordomusem w wygodnym milczeniu.

- A kiedy wracają? - zapytał w końcu.

- Być może nazajutrz.

- A zatem powinienem zostawić pana dla chwili ciszy i spokoju. Jestem bardzo wdzięczny za posiłek.

Worthington skinął głową i zaczął zbierać naczynia.

- Mam schadzke, proszę pana, zatem byłbym niezmiernie zobowiązany.

- Schadzke? - spytał Jake, tłumiąc uśmiech. Cóż za staromodne określenie!

- Dyskretne piwo w pubie, z pewną panią o imieniu Adelaide - zwierzył się ostrożnie ka-

* 50 *

merdyner. - Prowadzi w miasteczku sklep z antykami.

- Lubię antyki.

- Tak też uważam, widząc pana automobil w tak nieskazitelnym stanie - zgodził się Worthington z zachwytem. - Zadbam, by zajęto się nim z rana. Naciągnąłem na auto brezent i ustawiłem na noc z tyłu światła odblaskowe, żeby nikt nie uszkodził tak cudownego przedstawiciela historii.

- To wspaniały samochód - przyznał Jake.

- Bardzo dziękuję za trud.

Majordomus skłonił głowę i Jake wstał, by udać się na górę. Nagle odeszła go ochota na spoczynek. Nie uważał, że w sypialni straszy, lecz na zewnątrz było ciemno i burzliwie, więc trochę towarzystwa by nie zawadziło.

Ale z drugiej strony, Worthington, biedaczyna, prawdopodobnie bardzo chciał wyjść tego wieczoru. Jake odniósł wrażenie, że kiedy cała rodzina właściciela wróci, nie wszystkie nieskazitelnie uporządkowane, zadbane srebrne włosy pozostaną na swoim miejscu.

- Mój pan dysponuje dość interesującą garstką artefaktów - zaproponował nieoczekiwanie kamerdyner, zatrzymując się w drodze do kuchni.

- Trzeba przejść tędy, do biblioteki. Naturalnie są to pospolitsze egzemplarze. Jeśli naprawdę pasjonuje się pan historią, mogę pokazać panu prywatne zbiory jaśnie pana.

- A skąd pan wie, że nie jestem złodziejem?

- spytał Jake, szczerze zaskoczony, że Worthington tak chętnie udostępnia prywatne pokoje jego lordowskiej mości.

Majordomus tylko się uśmiechnął.

- No tak - westchnął Jake. - Duchy.

* 46 *

Kamerdyner odstawił naczynia na koniec stołu.

- Proszę za mną, proszę pana.

Jake znów posłusznie ruszył za Worthingtonem po schodach, a następnie długim korytarzem.

Wprowadzono go do bardzo elegancko umeblowanego gabinetu, gdzie nie zabrakło ogromnego telewizora plazmowego w rogu pomieszczenia, który musiał kosztować tyle co małe bmw. Jednak to nie kino domowe było tutaj prawdziwym skarbem. Kamerdyner otworzył drzwi w drugim końcu gabinetu, włączył światło i cofnął się.

- To tutaj - zaprosił.

Gdy Jake zajrzał do środka, zaparło mu dech w piersiach.

- Och! - wyraził treściwie autentyczne uznanie.

Zwykle reagował w ten sposób na koniec mozolnej wędrówki do kopalni, gdy nie spodziewał się niczego znaleźć, a nieoczekiwanie natrafiał na skupiska czystego kwarcu i korundu.

Patrzył teraz w głąb holu tak długiego, aż zaczął się zastanawiać, czy nie biegnie przez cały zamek.

Galeria była pełna wszelkiego rodzaju broni, kompletnych zbroi oraz innych rekwizytów wojennych.

Po prawej stronie było wejście. Jake obejrzał się na Worthingtona, który dał mu znak, by szedł dalej.

Jake otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- Jeszcze większe och - zdołał powiedzieć.

- Miłego oglądania, proszę pana.

- O, na pewno - zgodził się Jake.

Galeria robiła duże wrażenie, ale najcenniejsze okazy znajdowały się najwyraźniej tutaj. Miecze, sztylety, włócznie, zbroje, tarcze, a wszystko o zdecydowanie średniowiecznym charakterze. Zauważył, że Worthington poszedł, a potem już nie bardzo zwracał uwagę na to, co się dokoła niego dzie-

* 52 *

je, gdyż z przyjemnością spacerował wśród śladów historii, czując się jak w domu. Zachwycił się doskonałością i rozpiętością czasową zbiorów, wiekiem eksponatów, ich świetnym stanem.

Po prostu niesamowite.

Czas mijał.

Choć Jake nie potrafił określić, jak długo trwało, nim to dostrzegł.

To, czyli ogromny miecz leżący w otwartej, wyłożonej aksamitem skrzyni, wabiący go z siłą o mocy pieśni syreny. Jake podszedł i wyciągnął rękę, by dotknąć oręża, zanim się rozmyśli. Przesunął palcami po słowie *Artane* wykutym na jelcu rękojeści.

Znowu *Artane*.

Nie powinien być zaskoczony.

Ale co, u licha, robi tutaj, w Seakirk, jeden z mieczy z *Artane*? Może właściciel Seakirk zbaczał trochę z drogi przy okazji różnych podróży w poszukiwaniu idealnie zachowanych staroci? Jake sięgnął dłonią, by przejechać palcem po ostrzu...

„Lepiej nie”.

Odwrócił się zaskoczony.

W pomieszczeniu nie było nikogo.

Pohamował dreszcz i wrócił do miecza. Ponownie wyciągnął rękę.

„Przeklęty głupiec” - mruknął ktoś za jego plecami - „nie potrafi posłuchać przyjacielskiej rady?”.

„Raczej nie” - odezwał się drugi głos. - „Oni nigdy się niczego nie uczą, nieprawdaż? Niech się sam posieka, a my potem posprzątamy, co napaskudzi”.

Jake potrząsnął głową, mając nadzieję, że porządny wstrząs albo przeczyści mu uszy, albo odegna to, co sprawiało wrażenie halucynacji. Uznał, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc wsunął dło-

* 48 *

nie w kieszenie, wyobraźnię trzymając na wodzy, a uwagę skupiając na czymś poza mieczem, czymś, co zdecydowanie ostrzegało go przed dotykaniem ostrza.

Kontynuował badanie skarbów Seakirk niena-pastowany przez nikogo i nie słysząc komentarzy, aż zatrzymał się naprzeciwko biurka. Popatrzył na wiszący nad nim rodzinny portret. Widać było na nim piękną kobietę z długimi, jasnymi włosami. Młodsza wersja starszej damy siedziała na kamiennej ławie. Miała ciemne włosy. Obok kobiety stał ciemnowłosy mężczyzna o szarych oczach, bez wątplenia jej mąż. Trzech młodzieńców w różnym wieku przedstawiono albo siedzących na ławie, albo w pozycji pólężącej na ziemi u jej stóp.

A w tle widać było twierdzę. Część budowli. Jednak wystarczyła tylko część, by Jake wiedział, że nie jest to ten zamek, w którym się teraz znalazł.

Artane...

Jake zamknął oczy. O co chodzi, co to za miejsce, że gdziekolwiek się ostatnio zwrócił, napotykał jego ślad?

Nabrał głęboko powietrza, otworzył oczy i popatrzył na portret. Mógł tylko się domyślać, że rodzina zebrana przed majestatycznym zamkiem przynależała do tej twierdzy. Dawny władca ze swoją żoną i dziećmi? Szczęściarz, gdyż kobieta z włosami spływającymi na ramię długim i prostym jasno-blond pasmem była naprawdę piękna. Jake stanął na palcach, by się lepiej przyjrzeć.

„O tak, lady Anne była bardzo urodziwa” - rozbrzmiał głos tuż za nim.

Jake przewrócił się na biurko. Na szczęście nie piętrzyły się na nim zwykłe biurowe akcesoria, więc potrafił tylko pusty wazon. Starannie ustawił

*** 54 ***

naczynie, dając sobie czas na opanowanie nazbyt bujnej wyobraźni. *Jego służący są duchami, nie wiedział pan?*

Słowa Worthingtona powróciły do Jake'a wraz pół tuzinem innych niewiarygodnych plotek, które słyszał przez lata. Wysunął krzesło spod blatu i usiadł. Oczywiście nie dlatego, że nie mógł utrzymać się na nogach, tylko ponieważ chciał zmitrężyć tu trochę czasu i sprawdzić, co można podsłuchać.

„Święta racja, Anne była piękna” - zgodził się drugi głos. - „Jednakże ja wolałem lady Gwenne-lyn. Włosy ciemne jak niebo o północy, modre oczy, alabastrowa cera...”.

„Tak jakbyś kiedykolwiek widział alabaster tak blisko, żeby poznać jego barwę” - przerwał mu z parsknięciem inny głos. - „Stephen, ty tłusty koński zadzie!”.

„Nie wolno ci pożądać lady Anne, Colinie z Ber-kamshire!” - zawołał głos należący do Stephena. - „Jesteś poślubiony i to szczęśliwie”.

„Nie pożądam jej” - rzucił urażonym tonem Colin z Berkamshire. - „Pragnąłem jedynie zwrócić uwagę, że jak na białogłową była niebywale urodziwa. A nie że spędziłem całe życie, marząc o niej tak jak ty o lady Gwen. Ja poświęcałem czas na doskonalenie moich umiejętności szermierczych, jak przystoi prawdziwemu mężczyźnie”.

„Moja szermierka była bez zarzutu! - krzyknął Stephen. - „A moje oczy należycie mi służyły...”.

Szczęk broni był tak wyraźny, że Jake musiał się odwrócić, bo mogłoby mu grozić odrąbanie głowy. To, co zobaczył, zważyłoby go z nóg, gdyby już nie siedział na krześle.

Pośrodku galerii wypełnionej bronią stało trzech mężczyzn w kolczugach. Zdawało się, że ledwo co

* 50 *

zeszli z hollywoodzkiego planu filmowego. Dwaj dobyli mieczy i spoglądali na siebie takim wzrokiem, jakby chcieli się nawzajem pozabijać. Trzeci stał z boku, z rękami założonymi na piersi, słuchając, jak kompani zaciekle kłócili się o zalety dam, najwidoczniej wybranych, by je czcić i bronić ich honoru.

„Anne!”

„Gwen!”

„Tępy przygłup!”

„Ślepa, cuchnąca kupa gnoju!”

Jake z otwartymi ustami słuchał zniewag, które odwoływały się do kwestii i części ciała uprzednio jeszcze nieporuszonych i niezelżonych.

A potem zaczęła się walka na miecze. Jake, wciąż przy zdrowych zmysłach, zerwał się z krzesła i przycupnął za nim. Uważał się za mężczyznę czującego się pewnie w obecności własnej płci, ale ci tutaj mimo wszystko byli duchami. Kto wie, czy miecze są prawdziwe? Poza tym, nie umiałby zastosować wobec tej zgrai żadnej skutecznej techniki samoobrony. Wątpił, czy w ogóle byłby w stanie ich dotknąć. _..

Ale z drugiej strony, może oni byli w stanie dotknąć jego, więc ukrywanie się pod biurkiem mogłoby nie przynieść mu wiele dobrego, gdyby naprawdę zaczęli się bić. Postanowił, że będzie się tym martwić później. Tymczasem miał przynajmniej jakąś osłonę.

Walka przybierała na sile, podobnie jak ciskane obelgi. Padały skargi na temat walki wręcz. Spekulowano na temat ewentualnego przypadkowego zamachu mieczem, który mógłby roztrzaskać szkło delikatnych gablot jego lordowskiej mości, oraz konsekwencji, jakie mogłoby to za sobą pociągnąć.

* 56 *

Nowe duchy, które pojawiały się znikąd, wykrzykiwały inne imiona, najprawdopodobniej niewiast, które mieszkały w Artane przez lata i były uważane za całkiem atrakcyjne.

Te kobiety niestety wykluczano, gdyż były oszałamiające, lecz nie dorównywały przymiotami pierwszym damom Artane. Damy te, jak Jake się domyślił po dobrym kwadransie podsłuchiwania i uchylania się przed zabłąkanymi ciosami miecza, odznaczały się niedościgłą urodą.

Zastanowiło go, kto w końcu wygra: Gwen czy Anne. Anne była kobietą na obrazie powyżej (znowu coś, czego dowiedział się obserwując konkretnie wymierzone w jej kierunku dźgnięcie mieczem), a Gwen, którą zidentyfikował po wyjątkowo barwnym opisie, była nikim innym, jak matką męża Anne, Robina. Ów rycerz był panem Artane zdaje się w połowie trzynastego wieku.

Jake znów rzucił na Anne szybkie spojrzenie ponad krawędzią stołu. Nie mógł odmówić kobiecie urody, lecz intrygowało go, jak też mogła wyglądać Gwen, skoro jej uroda cieszyła się takim uznaniem.

Zastanawiał się także, z jeszcze większą ciekawością, dlaczego ukrywa się za krzesłem, obserwując duchy walczące ze sobą z powodu kobiet, które nie żyją od wieków. I na dodatek ogląda to wszystko, jakby było czymś tak normalnym jak krótki wypad do MiniMartu po porcję skwarek.

No tak, oczywiście, zbyt wcześnie dzisiaj wstał.

Pojedynek rozkręcił się na dobre bez widoków na rychłe zakończenie. I wtedy przemówił trzeci z duchów, który nie brał udziału w awanturze. Powiedział tylko jedno słowo, lecz to natychmiast podziałało na walczących i ukróciło całe zamieszanie.

„Amanda”.

* 52 *

Colin z Berkamshire zawahał się, a potem skierował miecz w stronę podłogi i oparł się na nim. Potarł podbródek.

„Cóż, w rzeczy samej, tu masz rację”.

Stephen z Burwyck on the Sea oparł miecz na ramieniu i popatrzył gdzieś w przestrzeń.

„Prawda, muszę się zgodzić”.

Tuzin albo więcej pozostałych duchów, które obserwowały kłótnię, odłożyło sztylety i inne uzbrojenie i także spoglądało przed siebie, jakby przywołując jakieś szczególnie miłe wspomnienia.

Natychmiast rozległy się pomruki aprobaty.

Stephen schował miecz do pochwy i zatarł ręce.

„Robercie, sądzę, że rozstrzygnąłeś spór”.

„Po raz kolejny” - zgodził się Robert.

„Jej włosy...” - westchnął Colin, gładząc własne przepocone pukle.

„Jej oczy...” - Robert miał inne zdanie.

„Jej twarz...” - rzekł Stephen, a spod powieki wymknęła mu się łza. - „Na wszystkie świętości, miała twarz, która...”.

Urwał. Wszyscy inni także umilkli, jakby kontemplowali, co też ta twarz mogła uczynić. Jake czekał, a następnie odchrząknął.

- Co? - ponaglił ich zza krzesła. - Jej twarz mogła co?

Wszyscy odwrócili się, by nań spojrzeć. Jake powiedziałby, że włosy na karku stanęły mu dęba, lecz był już na to za stary. Ciekawość, jak niejednokrotnie bywało podczas poszukiwań, wzięła górę.

- Jej twarz? - naciskał. - Co potrafiła sprawić? Duchy popatrzyły po sobie.

Potem jak jeden mąż i jak na komendę zaczęły gestykulować, pokazując dłonią obok skroni, i w ten sposób dobitniej niż słowami wyrażać, co

* 58 *

też myślą o Jake'u. Naturalnie kilka z nich nie przestało przyglądać się intruzowi, potrząsać głowami i mamrotać niepoehlebnych określeń, gdy przenikały przez ściany i na wszelkie możliwe sposoby opuszczały komnatę. Jake podniósł się, uderzył potylicą w krawędź biurka, a wreszcie wyprostował, miotając przekleństwa.

- No więc? - zapytał ostatnie trzy duchy, które wciąż stały w swoim dzielnym gronie, dzieląc się wrażeniami z potyczki.

„Na wszystkich świętych, panowie” - pokręcił głową Colin. - „Czy wy też postradaliście resztki rozumu, jakie wam pozostały?”.

„W rzeczy samej” - zauważył smutno Robert.

Stephen popatrzył podejrzliwie na Jake'a, jakby miał go nie tylko za wariata, lecz także zdolnego do wyniesienia pod koszulą co bardziej misternych sztuk broni jego lordowskiej mości.

„Cóż” - zaczął Robert, odwieszając miecz.

- „Wybieram się do Conyers. A wy, bracia?”.

„Ja zostaję w okolicy” - odpowiedział Stephen, rzucając kolejne spojrzenie w stronę Jake'a - „żeby czuwać nad zamkiem, podczas gdy jego lordow-ska mość wyjechał. Colin, a ty?”.

„Wracam do domu, oczywiście” - oznajmił z werwą. - „Alienore mnie oczekuje”.

Robert potrząsnął głową.

„Naprawdę nie wiem, po co tu przybyłeś, Colin. Berkham jest daleko stąd, nie sądzisz?”.

„Przyjeżdża tu, ponieważ Kendrick jest tutaj”

- wyjaśnił Stephen. - „No... mm... bo... Kendrick był... cóż...”. Głos mu zamarł i wyglądał na zmieszanego.

Colin podrapał się z ukontentowaniem, potem odłożył miecz.

*** 54 ***

„To diabelnie długa droga, przyznaję, ale po tylu wiekach już się przyzwyczailem. Poza tym moja pani jest złakniona odrobiny spokoju za dnia, wiecie, odpoczynku od tych moich ćwiczeń i doskonalenia umiejętności, o co ciągle dbam. Gdy raz zostaniesz wojownikiem...”.

„Zostajesz nim na zawsze” - dokończyli jednocześnie Robert i Stephen.

Colin sprawiał wrażenie urażonego, ale Jake podejrzewał, że nie powstrzyma go to od powrotu następnego dnia, z jakiegokolwiek powodu.

Jake nie był taki pewien, czy chce znać ten powód.

Toteż patrzył, jak duchy opuszczają pokój, słuchał ich rozmów, gdy wychodziły z gabinetu jego lordowskiej mości, i nadal stał w miejscu, masując sobie tył głowy, nawet gdy już zapadła cisza. I zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

Zastanawianie się nie było dobre.

Zwykle pakowało Jake'a w kłopoty lub prowadziło do miejsc, od których mądrzej było trzymać się z daleka. I wszystko zawsze zaczynało się od pogłoski o czymś naprawdę bajecznym, typu: „Hej, Kilchurn, słyszałeś-**O** tym gigantycznym złożu szmaragdów w Brazylii? Głęboko, w samym sercu Brazylii?”.

I, jak stwierdził, niezmiennie wiązało się z ogromnymi pajakami i przedzieraniem się przez nienadające się do zamieszkania ostępy.

Mimo wszystko, chcąc nie chcąc, nie potrafił na to nic poradzić, więc zastanawiał się, jak wyglądała Amanda.

Może lepiej nie wiedzieć.

Po powrocie do siebie sprawdził całą sypialnię, ale za zasłonami nie znalazł żadnych duchów, a w szafach ani śladu spasionych gryzoni.

* 55 *

Amanda.

To imię pobrzmiwało mu szeptem w głowie, gdy kładł się do łóżka. Nie mógł przestać o niej myśleć. O kobiecie żyjącej wieki temu, jeżeli można było ufać halucynacjom w muzeum Seakirk jako rzetelnym źródłom prawdy, która sprawiała, że jedni dorośli mężczyźni milkli, a inni przestawali ze sobą walczyć.

Przyszło mu na myśl, że w Artane może jest jakiś portret Amandy. Kusiło go, żeby popytać, aby przekonać się, czy zasługiwała na te wszystkie zachwyty.

Cóż, tyle tajemniczości może wystarczyć, by służąca jej rozwianiu wyprawa do Artane była warta zachodu.

* * *

Nastał już bardzo późny ranek, kiedy zacisnął dłonie na kierownicy uwolnionego z grząskiej pułapki jaguara. Czuł się mniej więcej tak samo jak zeszłej nocy, tylko że teraz kurczowo trzymał się czegoś stabilnego nie tyle ze względu na stan drogi, ile z powodu bólu głowy.

Miał okropną noc, dręczyły go sny, w których widział mnóstwo niezrozumiałych rzeczy i słyszał hałasy, których nie był w stanie zidentyfikować. A zarazem spał bardzo mocno, na tyle mocno, że wstał dopiero późnym rankiem.

Zszedł potem na dół i zobaczył na dziedzińcu czysty jak łąza samochód, w doskonałym stanie i gotowy do drogi. Worthington podał obfite śniadanie, ale Jake nie miał apetytu. Marzył tylko o tym, by wydostać się z tego nawiedzonego, zakłócającego sny zamku i dotrzeć do wygodnej gospody Me-

gan de Piaget, gdzie mógłby rzucić się na łóżko i przespać resztę dnia, zanim ruszy w podróż do Artane.

Omiał nie wpadł na rangę rovera, nim w ogóle go zauważył. Przeklął kierowcę i pojechał dalej, przeklinając także siebie. Nie miał w zwyczaju narzekać, ale głowa mu pękała. Irytując się, był w stanie mieć oczy otwarte mimo oślepiającego słońca.

I wtedy, zupełnie nagle, światło słońca skurczyło się do cząstki mniejszej niż ułamek błysku.

Poczuł, że wiruje. Wszystko działo się tak szybko, że jedyną jasną myślą Jake'a była świadomość, że zaraz umrze.

Och, i to, że jego auto zostanie kompletnie skasowane.

Wrażenie wirowania, staczania się i lotu trwało wieczność. Faktycznie zajęło dużo więcej czasu, niż powinno. Uznał, że na pewno zginie, kiedy szaleńcze tornado ustało i znów zetknął się z ziemią. Było to twarde lądowanie.

A potem stracił przytomność.

***4**

Genevieve de Piaget złapała się kurczowo deski rozdzielczej w rangę roverze i aż zatkało ją z przerażenia.

- Kendrick, patrz, jak jedziesz!

Jej mąż gapił się na czarnego jaguara, który właśnie przemknął obok nich po rozmokłej po wiosennej ulewie drodze. To był bardzo elegancki jaguar, nawet ona musiała to przyznać. Nie można być żoną Kendricka de Piageta i nie umieć choćby z grubsza ocenić doskonale skonstruowanego samochodu. Jednak musiała zareagować, gdy za sprawą bezgranicznego zachwyty jej łatwo dający się zdekoncentrować małżonek niemal przebił na wylot kamienny mur, wioząc ze sobą żonę i sześcioro dzieci.

- Wybacz mi, kochanie - uśmiechnął się Kendrick i wjechał z powrotem na drogę.

- To był piękny model z 1967 roku - zauważyła od niechcienia.

- O tak, w rzeczy samej - przyznał, ale fakt, że żona bezbłędnie zidentyfikowała czarną rakietę, którą właśnie minęli, nie zaimponował mu tak, jak powinien. - Ciekawe, czy ten człowiek był w zamku.

- Wkrótce się dowiemy. Może zatrzymał się, żeby go obejrzyć.

*** 58 ***

- Być może - zgodził się Kendrick, lecz bez przekonania. - Gen, podwiozę cię z maluchami do domu i pojedę na male polowanko, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Naprawdę? - zdumiała się. - Coś się stało? Potrząsnął głową.

- Nie, nie, tylko mam jakieś dziwne przeczucie. Wiesz, że nigdy nie lekceważę dziwnych przeczuc.

- Tato, ja też chcę jechać - odezwał się Phillip z tylnego siedzenia auta.

- Ja też - zawołali równocześnie Robin i Jason, a zawtórowali im pięcioletni Richard i trzyletni Christopher.

Niemowle, rozkoszna Adelaide, tylko zagruchało wesoło.

- O nie, dzieciaki - odrzekł Kendrick. - Pomożecie mamie. Zaraz wrócę i przystąpimy do ćwiczeń. Nic tak nie wzbudza w mężczyźnie poczucia, że odwalił kawał porządnej roboty, jak trochę tarzania się w błocie, co?

Wyglądało, że taka nagroda pocieszenia jest wystarczająca, choć Genevieve podejrzewała, że Kendrickowi nie uda się odjechać bez co najmniej jednej pociechy.

Weszła z większością dzieci do zamkowego holu. Dopilnowała przebiegu pospiesznej gry w ka-mień-papier-nożyce, aby rozstrzygnąć, kto w samochodzie usiądzie z przodu obok taty, by zasmakować przygody, po czym wzięła się za rozpakowywanie po podróży - zadanie nie do pozazdroszczenia.

Nie trwało to długo, w każdym razie zanieśenie rzeczy z powrotem do pokoi, gdzie miały poczekać na poukładanie. Genevieve szybko znalazła się z malutką córeczką w bujanym fotelu w dużej sali,

* 59 *

przy kominku, w którym buzował ogień rozpalony przez Worthingtona. Siedziała i karmiła niemowlę, z lubością grzejąc stopy. Uwielbiała karmienie, przede wszystkim dlatego, że zmuszało ją, by usiąść nieruchomo, co bywało niekiedy dość trudne, kiedy trzeba dopilnować pięciu rozbrykanych chłopców. Wpatrywała się w ogień i pozwoliła sobie na chwilę refleksji nad kolejami losu w swoim życiu. Kto by przypuszczał jeszcze osiem lat temu, kiedy była bez grosza, bez pracy i bez domu, a jej jedyną deską ratunku był odziedziczony zamek w Anglii, że pewnego dnia wygodnie osiedli się w tymże zamku z cudownym mężczyzną i wspaniałą rodziną?

Kendrick spędził ostatnie osiem lat, pełniąc rolę ojca, zarządzając majątkiem i ćwicząc synów w rycerskim rzemiośle. Napisał jedną czy dwie książki na temat średniowiecznej broni i taktyki wojennej. Dzieła te znalazły swoje miejsce na półkach bibliotek naukowych. Jednak Genevieve wiedziała, że mąż skrycie marzy o czymś więcej.

Chciał wrócić do domu.

Dlaczego tego nie zrobił, nie miała pojęcia. Może dlatego, że to było skomplikowane. A może obawiał się wyruszyć do Artane, gdzie dorastał, i zobaczyć to miejsce tak odmienione, że złamałoby mu to serce.

W końcu od jego młodości do obecnego wieku średniego minęło sporo czasu.

Być może nie bardzo wiedział, jak miałby się przedstawić aktualnemu dziedzicowi Artane.

Genevieve nie potrafiła rozstrzygnąć. Lecz miała wrażenie, że Kendrick dojrzał już, by coś z tym zrobić. Krzątał się wokół domowych spraw, zarabiał pieniądze, poświęcał mnóstwo czasu rodzinie, ale czegoś mu brakowało. Kilka razy przejeżdżali

*** 65 ***

koło Artane - a dokładnie trasą A1, skąd mogli z daleka dostrzec posiadłość - jednak nigdy nie znaleźli się na tyle blisko, by Genevieve mogła zobaczyć, jak zamek wygląda w rzeczywistości, a nie tylko oglądać go na obrazach.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Wrócili Kendrick z Phillipem i chłopiec natychmiast powędrował do kuchni, by sprawdzić, co jest w lodówce. Genevieve podniosła wzrok i uśmiechnęła się do męża, który padł na krzesło naprzeciwko niej.

- Znalazłeś to, czego szukałeś? Kendrick westchnął.

- Muszę wezwać policję, choć chyba nie zrobię tego jako pierwszy.

Genevieve popatrzyła zaskoczona.

- Co się stało?

- Jaguar przekoziółkował i stanął w płomieniach.

- Koziółkował? - wydusiła osłupiała. - Tutaj? Nieopodal?

- Na polu Keeneya. Wygląda na to, że kierowca wziął za szybko zakręt, wypadł z drogi i stoczył się z nasypu.

- Och, Kendrick! To straszne!

- Ano - mężczyzna zamyślił się i zapatrzył w ogień. - Mimo wszystko nie widziałem kierowcy. Ciało nie leżało wyrzucone z auta, nie spłonęło w środku, nikt nie wołał o pomoc. - Przez chwilę zastanawiał się nad słowami, nim spojrzał na żonę.

- To był błysk. Widziałem z bardzo daleka. - i jak sądzisz, co to znaczy?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odpowiedział z półuśmiechem. - Mogę tylko snuć domysły.

- Nie wyglądasz na zmartwionego, a powinieneś

- skarciła męża Genevieve.

* 61 *

Przeciągnął się i uśmiechnął.

- Zbyt długo żyję, żeby się martwić. Poza tym mieszkamy w bardzo dziwnej części kraju. W okolicy mają miejsce różne osobliwe wydarzenia.

- Jakbym nie wiedziała - mruknęła. Kendrick roześmiał się, wstał i pochylił, żeby przelotnie pocałować żonę.

- Powiadomię policję i zajrzę do chłopców. Ciesz się czasem spędzonym z malutką. Rośnie zbyt szybko.

- Już przypomina twoją matkę.

- Szczęśliwe połączenie ciebie i mojej rodzicielki. Będzie piękną dziewczynką.

Genevieve odprowadziła męża wzrokiem, gdy poszedł do kuchni. Nie zdziwili jej stojący przy nim dwaj mężczyźni, których jeszcze przed sekundą tutaj nie było. Garnizon duchów nie był niczym nowym. Miała własną małą męską świtę, której się zdawało, że należy ogłosić powszechny stan wyjątkowy za każdym razem, gdy wystawiała nos za drzwi bez ich obstawy. Już się do tego przyzwyczała, a co gorsza, przyzwyczały się i dzieci. Oswoili się z tym nawet koledzy synów, co nie pomagało ukrócić nieznośnych plotek krążących wokół Seakirk niczym mgła, która nie daje się rozwiać mimo największego słońca.

Jeszcze raz popatrzyła na Kendricka, zanim ponownie zajęła się dzieckiem. Cokolwiek zamyśla, powiadomi żonę o tym w swoim czasie. Na razie Genevieve miała zamiar skupić całą uwagę na kochanej kruszynie spoczywającej w jej ramionach i pozwolić pozostałym mieszkańcom zamku zatroszczyć się o wszystko inne.

5

Amanda stała na progu głównej sali mocno rozżłoszczona. Irytowało ją, że tłum przy wejściu ogranicza jej przestrzeń do sali zamkowej. Rozdrażniło ją, że opóźnia się realizacja jej planów z powodu Robina, który nie wyjechał w oznaczonym czasie. I drażniły ją szwy w najlepszej tunice Johna, ponieważ pod suknią obcierały jej ciało do żywego.

Niech to diabli, mogła wybrać jedną z jego starszych, wygodniejszych koszul, zamiast tej najświeższej, która była czysta tylko dlatego, że nigdy jej nie założył.

Amanda czekała niespokojnie, podczas gdy świta Robina irytująco opieszale schodziła na dół i dosiadała koni. Robin wchodził i wychodził z głównej sali, swoim zwyczajem nie uznając żadnego innego kierunku poza górą i dołem. Amanda zastanawiała się czasem, jak to możliwe, że cieszył się reputacją kategorycznego człowieka, skoro z takim trudem znajdował drogę do stajni.

Robin rzucił siostrze spojrzenie spode łba, gdy przechodził obok.

- Nie podoba mi się to.

- Cóż takiego? - zapytała grzecznie.

*** 68 ***

Burknął zdenerwowany i kontynuował swoje bezowocne poszukiwania sensu i porządku. Amanda trzymała się z boku i przypatrywała tym wszystkim poczynaniom, starając się być na tyle cierpliwa, na ile tylko pozwalała jej niespokojna natura. Bratowa stała niepewnie obok konia. Amanda nie zazdrościła jej podróży do Fenwyck nie tylko z racji odległości, lecz także z powodu stanu - Anne była przy nadziei i ciągle źle się czuła. Jedynym powodem, dla którego wyruszyli w takim pośpiechu, był fakt, że mdłości Anne ustały na dłużej niż dobę. Biedaczka. Nie dość, że musi znosić Robina jako męża, a do tego jeszcze cierpi, nosząc w łonie jego dziecko.

Przy czym Amanda cieplejsze uczucia żywiła wyłącznie wobec potomstwa Robina. Możliwe, że jego pierwszy syn był najwspanialszym chłopcem, jaki kiedykolwiek przyszedł na świat.

Oczywiście za sprawą Anne.

Amanda aż podskoczyła, gdy Robin wyrósł nagle tuż przed nią.

- Życzyłabym sobie, żebyś tego nie robił - poskarżyła się. - Zawsze wyskakujesz tam, gdzie nikt się ciebie nie spodziewa...

- Nie podoba mi się to - oznajmił już chyba po raz setny tego ranka. - Żałuję, że Nicka jeszcze nie ma.

- Wróci niebawem - zapewniła brata Amanda. - Jestem tego pewna.

- Ale ja nie. Znam stan zamku Wyckham równie dobrze jak ty. Nicholas zostanie tam całe lato, wykonując osobiście pracę, którą mógłby z powodzeniem powierzyć kamieniarzom.

- Nikt nie zrobi tego tak doskonale jak on. Robin zaklął.

*** 64 ***

- Mnie powtarza to samo, ale to mi teraz nie pomaga. Co mam zrobić? Muszę ruszać w drogę, lecz nie mogę cię tu zostawić samej.

- Nie jestem sama - powiedziała. Byłoby dużo łatwiej, gdyby rzeczywiście tak było. - Poza tym - do-rzuciła, żałując, że nie może po prostu popchnąć Robina z całej siły w stronę jego wierzchowca, nie okazując jednocześnie, jak bardzo chciałyby już zobaczyć plecy brata - Miles wkrótce wróci do domu.

- Miles to dzieciak.

- Liczy sobie już osiemnaście wiosen, nie taki z niego dzieciak. Pomyśl, jaki sam byłeś w jego wieku. Czyż nie potrafiłeś wzbudzić respektu?

- Pochlebstwo może poskutkować. Amandzie jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby schlebianie nie przyniosło pożytku, jeśli rzecz dotyczyła Robina.

- Wzbudzałem respekt już w wieku pięciu lat

- odciął się. - A Miles to wciąż dzieciak.

- Mam aż nadto straży - argumentowała, tłumiąc nieodparte pragnienie, by się w końcu podrapać pod niewygodną najlepszą koszulą Johna.

- Nic mi nie będzie.

- Nie wychodź poza-główną salę zamku.

- Wszystko będzie dobrze.

- Nie ruszaj się poza główną salę - powtórzył, wymawiając powoli i jakby ostrożnie każde słowo.

- Przysięgnij, że nie wyjdiesz.

- A jeśli salę ogarnie ogień? - spytała słodkim głosem. - Mam w niej pozostać? Poza tym pomyśl o moich ostatnio nabytych umiejętnościach. Będę dobrze chroniona. To tak, jakbyś był nadal tutaj i miał nade mną pieczę.

Obrzucił siostrę chmurnym spojrzeniem. Amanda zaprezentowała swój najniewinniejszy i najbardziej pojednawczy uśmiech.

* 65 *

Robin głęboko westchnął i zbiegł po schodach. I kiedy wydawało się, że Amanda może już odetchnąć i dyskretnie się podrapać, odwrócił się i utkwiał w siostrze stalowoszare spojrzenie.

- Bacz, co masz za plecami - nakazał poważnym tonem. - Nie wychodź poza bramy. Przysięgam... Amando, doprawdy nie masz pojęcia, ile jesteś warta, i myślę tu nie tylko o twoim wianie.

I uśmiechnął się. Był to ten czarujący uśmiech Robina przeznaczony dla żony, matki i wszystkich, których naprawdę kochał.

Niech go diabli! Przyrzekała sobie, że się nie rozpłacze. Ani przy planowaniu, ani przygotowaniach, a już z pewnością nie w chwili ucieczki. O dziwo, Amanda nie była zaskoczona, że to właśnie Robin skłonił ją do łez. Będzie zadowolona, że go nigdy więcej nie zobaczy. Niewątpliwie był najgorszym z braci, z wieloma denerwującymi nawykami i mnóstwem niepożądanych cech - oszaleje z radości, gdy już nigdy więcej nie będzie na to wszystko narażona.

- Jedź - rzekła zdławionym głosem, wściekle mrugając powiekami. - Jedź, póki twoja pani utrzymuje posiłek tam, gdzie powinien być. Do twojego powrotu będę całkowicie bezpieczna, zdając się na własne siły.

Robin posłał siostrze ostatnie, przenikliwe spojrzenie, a potem odwrócił się i głucho dudniąc po stopniach, zszedł na dół. Amanda patrzyła z troską, jak pomaga żonie umościć się w siodle, jak wydaje ludziom ostatnie rozkazy, a wreszcie sam wskakuje na konia. Zmusiła się, by wesoło pomachać bratu i Anne, gdy tymczasem jej żołądek podjechał tak wysoko, jak zapewne jej bratowej.

Nigdy więcej nie zobaczy Robina... Z trudem mogła uwierzyć w swoje... szczęście, naturalnie.

*** 71 ***

Czekała, aż brat wyjedzie za bramy, nim zaczęła wprowadzać w życie swój plan. Szybki rzut oka w głąb głównej sali zamkowej uświadomił jej, że Montgomery i John jak zwykle przeszukują najwyższy stół, mając nadzieję znaleźć coś porzuconego, ale pożytecznego. Dawno już się pożegnali z Robinem i teraz spierali się, który z nich ma sprawować władzę podczas jego nieobecności. Nie będą tęsknić za Amandą przez dobrą godzinę.

Wystarczy czasu, by mogła ruszyć swoją drogą.

Amanda zaczerpnęła głęboko powietrza, postanowiła stawić czoło losowi i pośpiesznie zeszła po schodach. Teraz już nie pora na łzy. Dla każdego z członków rodziny zostawiła pożegnalny list wyjaśniający, co zrobiła, w którym zapewniała, że powiadomi ich, skoro tylko odnajdzie swoją przyszłość. Wylała wszystkie łzy, które musiała wylać. Teraz zostało jej tylko zrealizować zamiary. Amanda skierowała się do kaplicy zamkowej i dotarła tam bez przeszkód. Nikt nie zadawał pytań, gdy wczesnym rankiem wybrała się tam ze sporym zawiniątkiem, ani nikt nie zatrzymywał jej teraz, kiedy szła z pustymi rękami. W końcu pobożność to wysoko ceniona zaleta u kobiety w jej wieku, a Amanda może być przecież przekonana, że tylko liczne modlitwy wybawią ją z niezamężnego stanu.

Wślizgnęła się przez drzwi, sprawdziła, czy na pewno jest sama, a następnie szybko zdjęła suknię. Zwinęła ją w ciasny pakunek i ukryła w torbie na siodło, którą właśnie na tę okazję schowała za relikwiarzem świętego. Sprawdziła, czy wsunięty za cholewę buta nóż wciąż tam jest, wcisnęła warkocz pod koszulę i zarzuciła pelerynę z kapturem, którym opatulila ciasno głowę. Tak ubrana ostatni raz opuściła rodzinną kaplicę.

*** 72 ***

Przekroczyła próg, mimo przemożnej pokusy, by się zatrzymać i rzucić pożegnalne spojrzenie. To był tylko budynek. Poza tym nie będzie tęsknić za lodowatą posadzką w zimowe poranki.

Będzie jednak tęsknić za ciepłem rodziny zgromadzonej razem z nią przy ołtarzu.

- Do diabła - rzekła, trąc ze złością oczy wnętrzem dłoni. Nigdy nie dopnie swego, jeśli tak będzie stać i beczeć jak jakaś głupia służka. Ma mnóstwo rzeczy do zrobienia, czekają na nią nowe miasta, które zamierza zwiedzić, i szlachetni ludzie, których ma spotkać.

Wszystko to czeka ją w bezpiecznej przyszłości.

Pomknęła po schodkach na dziedziniec i pospieszyła do stajni. Weszła do środka, jakby czekało tam na nią jakieś zajęcie. Dopiero gdy zabrała się do siodłania Jaspersa, najbardziej nieokiełznanego rumaka ojca, sprawy zaczęły przybierać zły obrót.

- Hej, a co ty tam porabiasz? - zapytał stajenny. - Coś mi się widzi, że nie powinno cię tu być, bratku! Amanda odwróciła się i spojrzała na chłopaka.

Zagapił się na nią z szeroko otwartymi ustami, a przy tym sprawiał wrażenie, że nie potrafi zdecydować, czy powinien krzyczeć o pomoc, czy uklonić się, szurając nogą. Amanda wzięła dłoń parobka, włożyła do niej złotego suwerena, a następnie zacisnęła palce chłopaka na monecie. I zajęła się siodłaniem konia. Parobek coś pomrukiwał i gderał pod nosem, jakby usiłował znaleźć stosowne słowa.

Amanda wyprowadziła ogiera na zewnątrz, zostawiając bełkoczącego chłopca samemu sobie.

Koniuszego nie było nigdzie widać, prawdopodobnie dlatego, że Robin posłał biedaka do piwnic po coś pokrzepiającego. Amanda w duchu ser-

*** 68 ***

decznie za to podziękowała bratu, wskoczyła na siodło i przejechała przez wewnętrzną bramę barbakanu. Mężczyźni przyglądali się jej, mogła to stwierdzić, lecz żaden nie zaprotestował. Nie była pewna, czy powinna odczuwać z tego powodu ulgę, czy też się niepokoić. Może przebranie okazało się lepsze, niż sądziła.

Albo też Robin zostawił swoich ludzi na czatach, na wypadek gdyby zechciała opuścić bramy zamku! W ten sposób mógłby ją zamknąć pod kluczem w komnacie ojca, dopóki nie zjawi się Nicholas.

W związku z tym ostrożnie ruszyła w stronę zewnętrznej bramy.

Jednak Robin nie obserwował jej pod zamkiem, więc pokłusowała dalej niezaczepiana przez nikogo. Przejechała wioskę i szmat drogi przez okoliczne łąki, gdzie zamierzała zmienić kierunek.

Szlak wyznaczała jej północ, dopóki nie minie twierdz, gdzie mogłaby zostać rozpoznana. Potem skieruje się na południe, by dotrzeć do Londynu. Pogoniła Jaspera ostrogami, a koń wyskoczył naprzód, jakby wydano go na świat właśnie dla tej jednej chwili. Amandajroześmiała się wbrew woli. Może porzuciła rodzinę, ale w tym momencie rozkoszowała się tempem jazdy. Być może ta radość będzie trwać. Z drugiej strony, może wcale nie. Za jej plecami rozległy się wołania, bardzo dalekie i bardzo nikłe. Spojrzała przez ramię. Do wszystkich diabłów! Szturchnęła konia piętami. Jasperowi nie potrzeba było lepszej zachęty, aby przejść ze zwykłego biegu w szaleńczy galop. Ciche okrzyki gniewu, hen, za nią, zmieniły się w paniczne nawoływania! Zlekceważyła je. Umie panować nad wierzchowcem

*** 74 ***

i będzie umiała pokierować swoim losem. Nie potrzebuje pomocy w żadnej z tych spraw.

Byłaby skazana na potępienie, gdyby o jej przyszłości miało decydować dwóch zbyt rycerskich wyrostków o niezbyt dużym rozumku.

Zaryzykowała i zerknęła za siebie. Zobaczyła, że bracia zostają coraz bardziej w tyle. W każdym razie wyruszyli we dwóch, a nie z całą strażą ojca. Ale pomyślała też, że pościg gwardii jest tylko kwestią czasu.

Zaklęła ponownie. Co teraz?

Nie ma wyboru, musi pędzić dalej i zostawić braci, by radzili sobie sami, jak potrafią najlepiej. Bliźniacy nigdy jej nie prześcigną. Podebrała najlepszego konia ojca, na którym nawet on nie ośmielał się wyjeżdżać za bramy, by zwierzę go nie zrzuciło i nie pomknęło przed siebie, nie oglądając się wstecz. Szybkość Jaspera szła w parze z jego wytrzymałością. Mogłaby znaleźć się w Edynburgu, czego w ogóle by nie spostrzegła, gdyby koń niespodziewanie nie zwolnił.

Przeszedł w klus przed jakąś przeszkodą ukrytą w trawie, którą następnie zwinnie przeskoczył.

Amanda wystraszyła się na tyle, że zawróciła wierzchowca, aby sprawdzić, co ominął.

To był człowiek leżący twarzą do ziemi.

Zatrzymała konia.

Jasper posłuchał.

Wydawało jej się, że nawet czas zwolnił.

Amanda zsunęła się z siodła przy akompaniamencie krzyków niosących się z oddali. Podniosła głowę i zobaczyła mknących w jej stronę braci; każdy z nich wydzierał się i gestykułował, by znów wsiadła na konia. Zignorowała chłopców i pode-

*** 70 ***

szła do nieznanego. Musiała przyznać, że był pięknie zbudowany.

A poza tym, jakby jakimś zrzędzeniem losu, nie miał na sobie nic poza czymś, co wielce przypominało cienkie szkockie galoty.

Chętnie przyjrzałyby się bliżej tej wyjątkowo interesującej części garderoby, gdy nagle znalazła się twarzą i całym ciałem na ziemi, przygnieciona przez brata. Jasper zarżał z przejęcia i Amanda uznała, że tylko dzięki opiece świętych nie została zmiażdżona także przez konia.

- Precz - wysapała, wypluwając kępki trawy.

- Postradałaś zmysły? - spytał John. - Moje najlepsze ubranie. Ten diabelski koń. Dziwny człowiek na łące, który równie dobrze mógł się tutaj zasadzić na ciebie, żeby tym łatwiej się rzucić i poderżnąć ci gardło! Co ty sobie myślisz?

- Złaż ze mnie - wyrzęziła.

John dźwignął się na nogi, burcząc gniewnie, ale zapomniał o kurtuazji i nie pomógł Amandzie wstać. Nachylił się z zaciekawieniem nad nieruchomym mężczyzną, zupełnie lekceważąc fakt, że sam mógł wyrządzić siostrze większą krzywdę, niż zdołałby tego kiedykolwiek dokonać nieprzytomny człowiek.

Amanda leżała na ziemi obok nieznanego i wpatrywała się w tył jego głowy, zastanawiając się, jak też może wyglądać jego twarz. Wyciągnęła dłoń, by dotknąć ręki mężczyzny leżącej w trawie.

Szok tego doświadczenia niemal znów zaparł jej dech w piersiach.

Pisnęła, gdy niespodziewanie szarpnięto ją i postawiono na nogi. Montgomery trzymał siostrę pod pachami. Dała radę wciągnąć i wypuścić powietrze, choć nie była pewna, czy w najbliższym czasie uda jej się odetchnąć bardzo głęboko.

* 76 *

- Możesz stać? - zatroszczył się Montgomery.
- Nie. To przez Johna - odpowiedziała Amanda. Zrobiła chwiejny krok i oszacowała stopień poniesionych szkód. Nic nie zostało złamane ani trwale zmiażdżone. Strzepnęła ubranie, a potem odepchnęła Johna z drogi.
- Odejdź, prostaku bez krzty wychowania. Rycerz nie rzuca się na damę i pomaga jej wstać.
- Nie jesteś damą, tylko moją siostrą - poskarżył się John. - A w dodatku masz mniej rozumu od kwilącego oseska. Ten człowiek mógł cię poważnie zranić.
- John, on jest nieprzytomny!
- Na to wygląda - odrzekł John. Odwrócił się, by znów popatrzeć na mężczyznę, i potarł podbródek. Tym gestem niepokojąco wiernie naśladował odruch Robina, gdy się zastanawiał: „ale czy jest tak naprawdę?”.

Amanda przewróciła oczami, schyliła się i przyłożyła palce do szyi nieznajomego. Dawał oznaki życia i nadal oddychał. Wyprostowała się i przyjrzała uważniej. Było jasne, że został obrabowany. Żaden człowiek, no, może poza Szkotem oczywiście, nie wybrałby się nigdzie w tak skąpym odzieniu. Co prawda wciąż było lato, ale ta pora roku nie zawsze oznacza koniec deszczów lub chłódów. O nie, temu mężczyźnie musiało się przydarzyć coś niefortunnego, zanim go tu znaleźli. Jedynym słusznym rozwiązaniem było pospieszyć mu z pomocą. Lecz gdzieś w tyle głowy Amandy zatliła się myśl, że jeśli teraz pomoże temu człowiekowi, zaprzęści szansę ucieczki od korowodu nieodpowiednich zalotników.

Dom.

* 72 *

Ta myśl była jak chłodna morska bryza. Przez chwilę mocowała się ze wspomnieniami, ale wizja domu, poczucie bezpieczeństwa i przynależności - wszystko łączyło się w całość, z którą nie potrafiła walczyć.

Po policzkach Amandy spłynęły łzy i nawet nie starała się ich powstrzymać. Znowu spojrzała na obcego mężczyznę.

- Nic mu nie jestem winna - szepnęła. - Nie muszę zabierać go pod dach. Mogę go tutaj zostawić i ruszyć dalej swoją drogą, trzymając się planu ucieczki.

Mężczyzna nie zareagował.

Tak samo nie odpowiadali jej bracia, jak zauważyła po chwili czy dwóch kompletnej ciszy.

Odwróciła się powoli i spojrzała na bliźniaków. Wlepiali w siostrę okrągłe oczy, a buzie mieli otwarte. Amanda przygryzła wargę i popatrzyła na chłopców, rozważając, co mogłaby powiedzieć, żeby zetrzeć z ich twarzy to wrażenie.

Pierwszy ochłonął Montgomery.

- „Ruszyć dalej swoją drogą”?

- „Trzymając się planu ucieczki”? - powtórzył z niedowierzaniem John.

Po raz pierwszy w życiu Amanda znalazła się w sytuacji, której nie potrafiła rzeczowo skomentować. Spróbowała się uśmiechnąć, ale zupełnie jej to nie wyszło.

A bracia wciąż patrzyli na nią tak, jakby właśnie przeszła im pierś sztyletem.

- Dałbym ci ubranie, gdybyś poprosiła - odezwał się ściszym głosem John.

- Zwędziłbym Johnowi ubranie dla ciebie, gdybyś poprosiła - wyznał Montgomery.

Amanda wpatrywała się w braci, w ich poważne, szare oczy wypełniane się łzami, w twarze o bliź-

* 78 *

niaczym wyrazie konsternacji i poczuła, że z całą siłą dociera do niej, co próbowała zrobić.

Na wszystkie świętości, co ona sobie wyobrażała?

Wyobrażała sobie, że gdy wyjdzie za mąż, tak czy owak przyjdzie jej porzucić chłopców. Wyobrażała sobie, że zostawione liściki skwitują sprawę pożegnania, pozwalając jej beztrąsko uciec bez nieprzyjemnych i niezręcznych konfrontacji.

Ale to spotkanie twarzą w twarz z najmłodszymi braćmi okazało się dużo bardziej przerażające, niż zakładała.

Amanda zamknęła oczy i opadła na kolana.

Jeżeli tak zareagowali bracia, którzy niemal czcili ją od czasu, gdy przekonali się, że jest gotowa razem z nimi brnąć przez błoto i nie narzekać przy tym na uwalane szaty, to co powiedziałyby reszta rodziny?

Co by powiedziała matka?

Amanda ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Objęły ją ramiona. Przytuliła braci i nie znalazła żadnych słów na swoją obronę.

- Jak mogłaś? - zganił siostrę John. - Jak mogłaś odjechać, nie mówiąc nam o tym?

- Nie jestem w stanie w to uwierzyć - dodał Montgomery. Głos drżał mu nadzwyczaj dziecinnie. -

Mandy, jak mogłaś?

Amanda obejmowała bliźniaków przez dobrą chwilę, a następnie się odsunęła.

- A cóż innego mogłam zrobić? - wyrzuciła z siebie, ocierając łzy z policzków. - Pozwolić, żeby jakiś mężczyzna wywiózł mnie do obcego zamku jedynie dla mojego posagu...

- Jak każdą inną kobietę w Anglii - zauważył John.

- Ale nie mnie - obruszyła się Amanda, lekko trzepiąc brata w kark, żeby dać mu do zrozumie-

* 74 *

nia, że powinien zachować niektóre myśli dla siebie. - Wolałabym bodaj, żeby już nigdy nie było mi wolno wrócić do domu. Byłoby dużo lepiej, gdybym odjechała z własnej woli, wyruszyła, gdzie chcę, niż żeby spotkał mnie los niewiele lepszy od doli więźnia. Montgomery odchrząknął.

- Możemy ci znaleźć męża. Prawda, John? John skinął żywo głową.

- Pewnie, że tak.

- Wystawiano mnie jak na targu przez cztery lata i nie spotkałam mężczyzny, którego mogłabym poślubić, nie mając noża na gardle. Kogo znajdziecie, kogo jeszcze nie znam?

Montgomery rozejrzał się dokoła, aż jego wzrok padł na nieprzytomną postać leżącą u ich stóp.

- Tu masz mężczyznę. Czego mu brak?

- Poza tym, że nie mamy pojęcia, kim jest? - zauważyła Amanda.

John wzruszył ramionami. - Nie ma śladów po ospie...

- John! - krzyknęła. Poczła jednak, że nie może pohamować uśmiechu. - Jesteś niemożliwy!

Montgomery objął ją ramieniem.

- Nie zamierzasz nas opuścić, co?

- Teraz nie mogę. Nie wiem, czybyście to przeżyli.

- Na pewno nie - zgodzili się chórem.

Święci pańscy, była zgubiona. Cały plan, przygotowania, udręka, wszystko poszło na marne. A teraz będzie musiała zabrać listy, które napisała. Zwłaszcza Robin prawdopodobnie nigdy nie doszedłby do siebie, czytając o wielkim uczuciu, które precyzyjnie opisała w adresowanym doń piśmie. Reszta, czytając te wszystkie miłe rzeczy, które

* 80 *

musiała im powiedzieć, pomyślałaby, że Amanda postradała rozum. Doprawdy, jeśli wróci do Artane, musi koniecznie pozabierać wszystkie listy. Amanda westchnęła głęboko i wstała.

- No dobrze, moi mili, ruszajmy stąd, nim ktoś nas obrabuje, jak tego nieszczęsnego głupca - spojrzała na leżącego mężczyznę. - Ale nie możemy go tutaj zostawić.

- W rzeczy samej, nie możemy - przyznał Montgomery. Ukląkł i ostrożnie obrócił człowieka.

Stan mężczyzny nie zmienił się, podobnie jego oddech.

Amanda żałowała, że nie może tego powiedzieć o sobie.

Rzecz nie w tym, że nigdy nie spotkała przystojnego mężczyzny. Musiała przyznać, że jej bracia byli wyjątkowo przystojni. Wszyscy. Zdarzyło się nawet czasem zauważyć kandydata do ręki o znośnej aparycji. Jednak ten człowiek mógł łatwo równać się z każdym młodzieńcem z Artane, i nie był to pośledni komplement. Amanda oparła się

o plecy Montgomery'ego, żeby móc lepiej się przyjrzeć nieznanemu.

Mężczyzna poruszył się lekko. Otworzył oczy

i skupił wzrok na Amandzie.

Czas się zatrzymał.

Ogarnęło ją takie samo uczucie jak wtedy, gdy pierwszy raz go dotknęła.

Wszechogarniająca słodycz, zapierająca dech w piersi radość, rozzierająca serce tęsknota.

Na wszystkie świętości, kim jest ten mężczyzna?

A potem jego oczy o barwie morskiej zieleni znów się wywróciły i tak jak chwilę wcześniej pograżył się w nieświadomości. No, z tą tylko różnicą, że teraz zaczął chrapać.

*** 76 ***

Amanda tak mocno oparta się o brata, że aż musiał podeprzeć się rękami, by nie rozplaszczyc na ziemi.

- Mandy, na niebiosy - zaśmiał się Montgomery, próbując wstać z siostrą na plecach - zejdz ze mnie.

Amanda wyprostowała się nachmurzona.

- Wybacz mi. Straciłam równowagę.

- O tak. I najwidoczniej na tym obcym wywarłaś podobne wrażenie - odchrząknął John.

Montgomery przygarnął siostrę ramieniem w przyjaznym geście.

- A może najlepsza koszula Johna i jedyna para niepołatanych rajtuzów sprawiły, że biedak omdlał.

John rzucił siostrze lekko rozdrażnione spojrzenie.

- Dlaczego zawsze wykradasz mój przydzwiek, kiedy chcesz szukać przygody? Nie możesz przerobić jakiegoś własnego?

- Twój lepiej leży - wyjaśniła spokojnie.

- Dlaczego nie możesz wykorzystać odzienia Montgomery'ego ?

- Nie jest takie czyste.

- Chyba nie muszę ci zazdrościć noszenia tych ubrań - utyskiwał John.

- Też tak sądzę. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, gdy jest się uwięzionym w zamku.

- Ha - parsknął John. - Powinnaś zobaczyć, jak to jest być giermkim u Pevenseya. Równie dobrze mogłabyś być więźniem w jego lochu z racji posiadanej swobody. Nigdzie nie byłbym szczęśliwszy niż w domu, po którym mogę włóczyć się, ile dusza zapragnie.

- I dręczyć mnie w wolnych chwilach - dodała Amanda.

* 77 *

Uśmiechnął się i urok tego uśmiechu jak zwykle sprawił, że zaczęła się zastanawiać, dlaczego chciała zadać mu tyle cierpień.

- Zaiste, to też.

- A co z nim? - przerwał Montgomery, wskazując na obcego człowieka. - Jak zabierzemy go do zamku?

- Wsadzimy na mojego konia, a ja pojedę razem z tobą, Montgomery - rzekła Amanda. - Twój rumak nawet nie odczuje mojego ciężaru.

- A co z nim zrobimy - spytał John, sadzając bezwładnego mężczyznę - gdy dowieziemy go do domu?

- Będziemy się martwić później - odpowiedziała Amanda, patrząc, jak Montgomery dźwiga dolną połowę ciała nieznanego.

- Loch - mruknął John.

- Komnata ojca - podsunął Montgomery, pomagając bratu podnosić obcego.

- Może być banitą - wycedził John przez zaciśnięte zęby.

- Jest za czysty na banitę - wysapał Montgomery. Amanda zgodziła się w duchu; poza odrobiną ziemi we włosach i śladów krwi tu i tam, zagadkowy człowiek był niezwykle czysty. Stała obok i patrzyła, jak bracia sadowią zdobycz w jej siodle. Zawahała się, potem spojrzała na chłopców.

- Myślę, że powinnam siedzieć za nim i czuwać, żeby nie spadł. Ugościmy go w naszym zamku, gdy wrócimy, ale będziemy pilnie obserwować, gdyby się okazało, że jest oszustem.

- Sir Walterowi to się nie spodoba - ostrzegł John. - Zażąda, by zamknąć go pod kluczem, dopóki się nie dowiemy, kto zasz.

*** 83 ***

- Zapewne tak będzie - przyznała Amanda, lecz nie chciała o tym myśleć. Głowę zaprzętały jej dużo bardziej interesujące sprawy.

Dzisiejsza poranna wyprawa dostarczyła dziewczynie dwóch chwil kompletnego oszołomienia, kiedy myślała, że jej dusza przeszła drogę od radości do szaleństwa.

Pierwsza chwila nastąpiła wtedy, gdy Jasper pomknął najszybciej jak potrafi i Amanda pomyślała, że byłby w stanie pofrunąć, gdyby tylko o to poprosiła.

A druga - gdy nieznajomy otworzył oczy i na nią spojrział.

Przetarła twarz dłońmi, zaczerpnęła głęboko powietrza i pozwoliła się podsadzić Montgome-ry'emu na końskim grzbiecie. Być może wyruszyła prosto w objęcia szaleństwa, porzucając rozsądek i ostrożność. Być może zbyt długo więziono ją w ojcowskiej twierdzy.

A może powinna była jechać dalej, lekceważąc porzuconego, wyraźnie potrzebującego pomocy podróżnego.

Amanda położyła dłoń na plecach zabłąkanego wędrowca i poczuła przebiegający przez rękę dreszcz, jakby dotknęła czegoś, czego nie powinna.

- Loch - powiedział John do nikogo konkretnego.

- Loch - zgodziła się Amanda, choć zmieniła zdanie co do tego, kto powinien się tam znaleźć.

Wziąwszy pod uwagę trudne do opanowania uczucie, które ogarniało dziewczynę, gdy tylko spoglądała na tajemniczego mężczyznę, loch mógłby być najbezpieczniejszym miejscem dla niej.

***6**

Jake zerwał się ze snu. Usiadł gwałtownie i stwierdził, że był to wyjątkowo zły pomysł. Ścisnął głowę dłońmi, dopóki nie przestało w niej huczeć na tyle długo, by mógł jasno myśleć. Siedział w samochodzie. Ostatnią zapamiętaną rzeczą było wirowanie, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność. W istocie wirowanie trwało nadal, tyle tylko, że teraz Jake był pewien, że siedzi na czymś solidnym.

Kierując się niesłychanie silnym instynktem samozachowawczym, wciąż miał oczy zamknięte i pięści przyciśnięte do powiek. Postanowił spokojnie uświadomić sobie, gdzie się znajduje.

Przez chwilę po prostu siedział nieruchomo. Był prawdopodobnie w czymś w rodzaju stodoły zbudowanej ze starego kamienia. W powietrzu nie unosił się żaden wstrętny zapach, ale też nie czuć było niczego przywodzącego na myśl gotujący się obiad, co nie wróżyło dobrze burczącemu żołądkowi.

Powinien był dzisiejszego ranka skorzystać z przygotowanego przez Worthingtona tradycyjnego angielskiego śniadania i zjeść trochę smażonych pomidorów ze skwierczącymi kiełbaskami.

Ostrożnie pomacał ławę, na której siedział. Była drewniana, dość gładka i w żaden sposób nie wskazywała ani na swoje pochodzenie, ani na tożsa-

*** 80 ***

mość swojego właściciela. Przycisnął wierzch ręki do skroni i powoli zsunął stopy na podłogę, by oprzeć łokcie na kolanach i pozwolić głowie oswoić się z nową pozycją.

Gdy już to zrobił, obrazy zaczęły do niego wracać.

Zwłaszcza jeden obraz.

Oczy. Turkusowe... nie, barwy akwamarynu. A może raczej delikatnego, bladego szafiru. Nie, jednak akwamarynu, zdecydował. Błękitnozielone oczy i twarz, która anioła przyprawiłaby o łzy.

Rany boskie, gdyby kiedykolwiek potrafił wywoływać halucynacje na zawołanie!

Potrząsnąłby głową, ale wiedział, do czego by to w tej chwili doprowadziło, więc pozostał w bezruchu, aż huczenie w głowie odrobinę zelżało, i uznał, że uda mu się zatrzymać skromne śniadanie tam, gdzie powinno się znajdować. Oderwał pięści od powiek i mocno podparł dłońmi podbródek. W ten sposób ręce najlepiej wspierały obolałą głowę. Powoli otworzył oczy z nadzieją na najlepsze.

No cóż, teraz wiedział z całą pewnością, że nie jest w szpitalu. To było pocieszające. Mankamentem była natomiast świadomość, że nie miał pojęcia, gdzie, do diabła, się znajduje.

Rozejrzał się niespiesznie, próbując przyswoić sobie szczegóły otoczenia. Przebywał, z tego co mógł zaobserwować, w swego rodzaju gabinecie. Lecz w niczym nie przypominało to gabinetu w Sea-kirk.

Rażącym zaniedbaniem był brak szeroko-ekranowego telewizora i wygodnej kanapy. W pomieszczeniu stały drewniane krzesła i choć musiał przyznać, że leżące na nich poduszki wyglądały względnie miękko, nie były w stylu tych z Seakirk. Pod głęboko osadzonym oknem stał pulpit zarzucony różnego rodzaju papierami.

*** 81 ***

Prawdę powiedziawszy, były to pergaminy.

Pod jedną ze ścian ustawiono półkę. Zajmowało ją dokładnie dziesięć ksiąg. Mógł je policzyć z miejsca, gdzie siedział. Pozostałe półki były wypełnione naczyniami przypominającymi kształtem słoiczki z atramentem, drewnianymi skrzyneczkami i innymi przyborami do pisania, dopuszczalnymi w domu osoby, która niespecjalnie dba o bibeloty.

Ciężkie drewniane okiennice były otwarte. Jake żałował, że nie zasłaniają tu okien, bo zdrętwiał z zimna. Chłód ciągnął również od kamiennej podłogi, ogołoconej z porządnego, grubego dywanu, a w zamian zarzuconej słomą. Jake zmarszczył brwi, potem wzruszył ramionami. Zdarzają się dziwacy, pomyślał. Powiódł wzrokiem po podłodze aż do kominka po drugiej stronie, w którym niestety nie płonął ogień.

Ogólnie rzecz biorąc, całe miejsce mogłoby ująć po porządnym remoncie.

Z drugiej strony, jeżeli właściciele zamierzali nadać pomieszczeniu średniowieczny charakter, trafili w dziesiątkę. Jake zwiedził dostatecznie dużo zamków, aby móc docenić autentyzm miejsca. Wolałby jednak zachwycać się otoczeniem, siedząc naprzeciwko buzującego kominka w oczekiwaniu na duże piwo i odliczając czas do końca dnia.

Na razie jedyną rzeczą, której mógł się domyślić, był fakt, że w jakiś sposób wydobyto go z samochodu i zabrano do najbliższego domu, by mógł dojść do siebie. Przypuszczenia nie wróżyły nic dobrego jaguarowi, ale skoro wyglądało na to, że on sam nie poniósł żadnego uszczerbku, poza dotkliwym bólem głowy, to może i auto także wyszło z wypadku bez szwanku.

*** 87 ***

Wstał, zachwiał się i odczekał, aż w głowie mu się uspokoiło. Pomacał kieszenie i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z czegoś dosyć niepokojącego.

Stał pośrodku pokoju w samych bokserkach.

Nic dziwnego, że było mu tak zimno.

Boże drogi, co się z nim dzieje? Zaczął gorączkowo myśleć. Może go obrabowano? Może został uprowadzony? A może został okradziony, a potem uprowadzony?

A może zabrała go tutaj jakaś dobra dusza - oby była to ta kobieta, którą widział w halucynacjach, o urodzie zapierającej dech w piersiach - oddała jego ubrania do wyczyszczenia i wkrótce przyniesie je z powrotem, razem z kluczami i portfelem. Wtedy opuści ten dom i znajdzie jaguara stojącego na zewnątrz w nienaruszonym stanie.

Mogło się tak zdarzyć.

Nabrał głęboko powietrza i podszedł do drzwi. Czuł się znakomicie. Poczuje się jeszcze lepiej, gdy wsiądzie do auta i znów ruszy swoją drogą. Może będzie mógł zadzwonić do earla* Artane i przeprosić go za spóźnienie, a w związku z niefortunnym zajściem wykupi sobie-dodatkowe kilka dni w gospodzie Pod Głową Dzika na odzyskanie sił. Wyglądało na to, że ostatnio dotkliwie odczuwa brak snu.

A trop prowadzący do przyczyny wszystkich perypetii wskazywał bezpośrednio na ojca, niech go szlag.

Jake sięgnął do klamki w drzwiach i nacisnął. Bez rezultatu. Niedobrze.

Spróbował jeszcze raz. Na próżno. Zorientował się, że go zamknięto. I z jakiegoś powodu było to fatalne potwierdzenie jego najgorszych obaw.

Tytuł arystokratyczny oznaczający trzeciego w hierarchii parów Anglii, odpowiednik hrabiego (przyp. tłum.).

*** 88 ***

Na szczęście podczas długiej i znakomitej kariery poszukiwacza szlachetnych kamieni i innych skarbów, których zdobycie wymagało pokonywania nie lada trudności i sięgania do półlegalnych środków, Jake opanował szeroki wachlarz raczej kompromitujących umiejętności. Na pierwszą wyprawę w głąb Ameryki Południowej w poszukiwaniu doskonałego kawałka szafiru najął jako przewodnika niejakiego Thada, który nauczył go kilku co bardziej nieszkodliwych sztuczek. Mężczyzna poznał je w jednostce do zadań specjalnych, o której nie chciał mówić. Jake'a kusilo, aby wycisnąć z Thada parę wyjaśnień, zanim rozbili obóz. Przewodnik zdradził mu wtedy hasło, na wypadek gdyby Jake musiał wstać w środku nocy i udać się na stronę. Najwidoczniej Thad z trudem się budził. A pozostali towarzysze wyprawy nie budzili się w ogóle, chyba że pierwsi powiadamił Thada, że zamierzają ruszać dalej.

Jake uśmiechnął się do dawnych wspomnień. Wówczas zastanawiało go, w co, do diabła, się w ogóle wpakował, wynajmując człowieka o tak krótkim i niepozostawiającym wątpliwości życiorysie. Mimo wszystko odnalazł szafir, zdobył bardzo zabójczego przyjaciela i nauczył się, jak po cichu i z minimum narzędzi sforsować każde zamknięcie na swej drodze.

Teraz wcale nie zachowywał się cicho i operacja wymagała wyjęcia bardzo prymitywnego zawiasu z okiennicy, by posłużył jako narzędzie, lecz ostatecznie Jake otworzył drzwi. Szkoda, że Thad nie był równie biegły w temacie średniowiecznych zamków w drzwiach, w przeciwnym razie Jake byłby w stanie zostawić osłonę okna nienaruszoną. W każdym razie dawnego przewodnika nie było

*** 84 ***

teraz w pobliżu i nie spoglądał na Jake'a tym swoim wymownym aż do bólu spojrzeniem, sugerującym, że wyszedł na kompletną oferę, gdyż nie zdołał otworzyć czegoś za pomocą życzenia, modłów i kawałka zgiętego zardzewiałego drutu.

Jake wyszedł na korytarz. Przypominał ten z Sea-kirk, ale miejsce zdecydowanie prosiło się o odrobinę czystości spod znaku Worthingtona. I jakiegoś centralnego ogrzewania. Jake potarł nagie ramiona i ruszył w lewo, kierując się nosem. Z tej strony pachniało kolacją, a kolacja musiała oznaczać gości, a to oznaczało wyjaśnienia i być może jakieś wskazówki, jak dojechać do gospody. Pochodnie palące się w kinkietach wzdłuż ścian korytarza były prawdziwe, z prawdziwymi płomieniami i bardzo prawdziwym dymem. Jake potrząsnął głową. Tanie środki to jedno, ale takie coś, to już zupełnie nowy poziom oszczędności. Co jest niewłaściwego w jednym lub dwóch przenośnych grzejnikach?

Dotarł do krętych schodów i zszedł nimi, nie czyniąc hałasu, co było nie lada wyczynem, zważywszy chwilowe zaburzenia równowagi. Schody rozszerzały się u stóp kondygnacji i wtedy, zupełnie nagle, Jake znalazł się w wielkiej sali.

I, najwyraźniej, trafił w sam środek balu kostiumowego.

Stanął jak wryty z szeroko otwartymi ustami. Czuł, że opadła mu szczęka, ale nic nie mógł na to poradzić.

Masywne polana trzaskały we wpuszczonych w mury kominkach. Nieopodal jednego z nich stał długi stół, a przy nim siedzieli ubrani w kolczugi rycerze posilający się z entuzjazmem i rozmawiający z równym ożywieniem. Po prawej stronie Jake'a,

*** 90 ***

na podwyższeniu, znajdował się drugi okazały stół przykryty obrusem i zastawiony słuszną ilością jedzenia. A wokół niego imponujące rzeźbione krzesła. W tej chwili tylko trzy siedzenia były zajęte, dwa przez młodych mężczyzn i jedno przez kobietę.

Właśnie tę kobietę.

Tę błękitnooką.

Jake zamknął usta, choć udało mu się to tylko częściowo. Chciał potrząsnąć głową, lecz tylko chwycił się kurczowo stołu, by ustać na nogach. Obraz przed oczami stracił ostrość, ale nie na tyle, by nie zdążył zauważyć, że dwaj młodzieńcy zerwali się z miejsc i jęli wrzeszczeć z przerażenia. Nim zdołał poprosić, by przestali krzyczeć, poczuł, że chwytają go za ramiona i przyduszają plecami do muru.

- Hej! - wykrztusił zirytowany. - Co, do diabła...

Nóż przy gardle skutecznie uciął dalszą część zamierzonej wypowiedzi. Jake szamotał się przez chwilę, lecz broń była dość ostra, więc przestał.

Sytuacja przedstawiała się kiepsko.

Jake słuchał gwaru, który podniósł się dokoła i próbował go rozszyfrować. Sprawiało mu to trudność, ale przypuszczał, że po części jest temu winna krew hucząca mu w uszach. Zamknął oczy i wsłuchiwał się przez kilka minut.

Cóż, z pewnością mógł stwierdzić, że rozmawiali po francusku albo może w jakimś pokrewnym dialekcie. Niestety, francuski Jake'a, pomimo lat poświęconych na naukę w Eton i podczas dalszych studiów w Cambridge, pozostawiał wiele do życzenia. Był jednak na tyle dobry, że mógłby spróbować wykorzystać znajomość języka, gdyby tylko dano mu choć jedną szansę, słuchając go w spokoju.

*** 86 ***

Ale na to mógł liczyć tylko po wyplątaniu się z obecnej mniej niż komfortowej sytuacji. Zakładał, że byłby w stanie uciec. W końcu Thad, w zamian za kilka jedynych w swoim rodzaju świecidełek dla uwielbianej żony, nauczył go nie tylko otwierania zamków. Jednak zastosowanie tych technik oznaczałoby, że Jake skrzywdziłby ludzi, od których musiałby się uwolnić i nie był jeszcze na to całkiem gotów. Uznał, że lepiej poczekać i zobaczyć, co się święci - i gdzie się w ogóle znalazł. A poza tym spokojne zachowanie da mu wystarczająco dużo czasu, by mógł popatrzeć na stojącą przed nim kobietę i złapać oddech.

Otworzył oczy i przyjrzał się nieznajomej. Długie, czarne włosy odgarnęła z twarzy i przytrzymała srebrną opaską. Kimkolwiek naprawdę była, prawdopodobnie nie miało to znaczenia. W grze, w którą bawili się ci ludzie, rekonstrukcję zdarzeń czy cokolwiek innego, była księżniczką i wcielała się w rolę do złudzenia przypominającą jej życie. Nosiła się po królewsku, miała szlachetny profil. Mówiła z przekonaniem głębokim i melodyjnym głosem, który wzbudzał w Jake'u pragnienie, by zrobić coś, co skłoni ją, by ponownie się odezwała.

Kłótnia przybrała na sile.

Kobieta zgromiła wzrokiem starszego mężczyznę, a młodzieńcy stojący za nią przytakiwali głowami, dopóki starszy rozmówca nie cofnął się o mały krok.

A potem Jake zobaczył, że kobieta odwraca się do niego.

Stracił resztki tchu.

Nie sądził, by w jakimkolwiek języku na świecie, choć trochę mu znanym, znalazły się słowa, które byłyby w stanie oddać jej urodę. Nazwanie niezna-

jomej piękną po prostu nijak się miało do rzeczywistości. Była bez skazy, niczym kamień o doskonałej przejrzystości, cięty przez jubilerskiego mistrza u szczytu swoich możliwości. Jake mógł tylko stać i podziwiać kobietę, zahipnotyzowany szlifem* jej twarzy, włosami i oczami, które zwyczajnie nie dawały się opisać.

Stała kilka kroków przed nim w towarzystwie trzech mężczyzn, z którymi wygrała spór. Zwróciła się do Jake'a, ale zupełnie nie rozumiał, co powiedziała. Gdyby tylko dano mu parę dni, aby ucho zdążyło się przyzwyczaić do tego, co słyszy, nie miałby żadnych problemów.

Tymczasem jednak może jakiś inny język byłby rozumiała. Jake zastanawiał się, czy nie spróbować gaelickiego, ale słowa wypowiedane przez kobietę w żadnym razie nie przypominały jakichkolwiek dosadnych wyrażen, których nauczył się od Alistaira i jego krewkiej babki. Zwroty, z których ostatnio zasłyszane stanowiły złowieszcze ostrzeżenia na temat bezżenności Jake'a, i jeszcze bardziej złowróźbne na temat tego, co może się stać z człowiekiem, który bez pozwolenia, o jeden raz za dużo, splądrowałby pachnący mięsem garnek babci. Nie, gaelicki na nic się nie zda.

Kobieta stojąca przed nim zadała mu kilka pytań.

Nie był w stanie sklecić nawet dwóch słów odpowiedzi.

Chłopcy strzegący kobiety, którzy byli do niej na tyle podobni, że Jake założył, że są jej braćmi - i na dodatek bliźniakami - zakręcili palcami przy skroniach. Znak, który jest rozumiała w każ-

Świadomie użyty termin jubilerski (przyp. tłum.).

*** 88 ***

dej kulturze. Jak nie mógł nie przyznać im racji. I na wszelki wypadek, gdyby naprawdę miał postradać rozum, w gonitwie myśli rozważył kilka możliwych wyjaśnień swojej bieżącej sytuacji, zanim straciłby istniejące jeszcze szare komórki.

Wpadł w ręce grupy Cyganów. Być może ten kunsztowny okrucieństwo akwamarynu, za który dał grosze i zarzekał się, że nigdy nie zostanie pocięty na szlachetne kamienie, faktycznie był przeklęty i teraz spadła na niego klątwa za to, że ośmielił się pociąć akwamaryn na klejnoty. Otrzymał z niego kilka przepięknych wyrobów i nie dręczyły go żadne wyrzuty sumienia, choć musiał przyznać, że teraz zaczął bardzo żałować swojego postępu.

A może został schwytyany na rozkaz tej kobiety, aby zostać jej niewolniczym kochankiem.

A może naprawdę przeżoziółkował razem z samochodem i znajduje się teraz w stanie śpiączki, przeżywając najdziwniejsze średniowieczne fantazje.

Rozważył ostatnią możliwość i uznał za najbardziej prawdopodobną. Kto wie, jakie ci aplikują leki, kiedy jesteś nieprzytomny, i jakiego rodzaju halucynacje wywołują te środki? Czyż nie położył się spać po spotkaniu z czymś, co rzekomo było grupą średniowiecznych duchów spierających się o urodę paru średniowiecznych dam? Wszystkie wrażenia wniknęły zapewne do jego uszkodzonego mózgu. To miało sens.

Oczywiście, czuł dość ostry kawałek stali uciskający szyję, ale może było to coś w rodzaju szpitalnej rurki, która go uwierała.

Albo tak się sprawy mają, albo naprawdę został schwytyany przez grupę Cyganów i tylko Bóg raczy wiedzieć, czego mogą od niego chcieć.

*** 94 ***

Nagle starszy mężczyzna ostrym tonem wydał rozkaz. Kobieta zaprotestowała, ale Jake zorientował się, że jej słowa mogą zostać zlekceważone, gdy zobaczył, jak kilku odzianych w kolczugi rycerzy wstaje od stołu niedaleko drzwi. Jake wątpił, by mieli zamiar okazać jeszcze większą gościnność. Trzeba było działać. Przystawił się na tryb Thada, jak sam Thad skromnie to nazywał, i najpierw błyskawicznie opadł na ziemię, by zaskoczyć porywaczy, a potem unieszkodliwił dwóch, którzy przyparli go do muru. Przed pozostałymi Jake zrobił unik lub równie łatwo ich obezwładnił. Naprawdę starał się nie zostawiać za sobą ofiar, choć musiał przyznać, że kolczugi, które nosili, były dla niego nowym doświadczeniem. Niewykluczone, że ci spośród mężczyzn, którzy próbowali go zatrzymać, za chwilę będą lizać rany lub oglądać swoje połamane członki. Za plecami Jake'a podniosły się krzyki, kiedy puścił się pędem przez zarzuconą słomą podłogę i szarpnął masywne drzwi wyjściowe. Pomknął po schodach w dół i był już w połowie dziedzińca, gdy wtem poczuł, że zwalnia. Miał wrażenie, jakby ktoś nieoczekiwanie wpuścił mu w żyły melasę, melasę i poczucie nieuchronności, wsiąkające weń do szpiku kości. Nigdy nie czuł czegoś podobnego. W końcu przystanął. Wieczne słońce świeciło w twarz, lecz nie ono przysparzało mu problemów. To, co piętrzyło się za Jakiem, powinno wzbudzać niepokój. Przyjrzał się pilnie powierzchni dziedzińca. To była goła ziemia, jednak mógł dostrzec pas precyzyjnie ułożonych kocich łbów, który przez spory szmat drogi wił się w kierunku barbakanu. Bez względu na to, co to był za zamek, najwyraźniej niezczędzono wydatków na jego konstrukcję.

*** 90 ***

Jake zebrał się w sobie i powoli odwrócił, podnosząc jednocześnie wzrok.

Przed jego oczami wyrastał zamek, surowy w swojej prostocie, ogromny i bezwzględny w militarnej wyższości. To było miejsce schronienia podczas wojny, osłona przed żywiołami, ukojenie dla zdrożonego wędrowca.

Artane...

Oczywiście! Jednak dręczyło go przypuszczenie, że to nie jest to samo Artane, które zaprasza turystów z tylnej okładki broszurki Instytutu Dziedzictwa Kulturowego*.

Wszystko pasowało.

Jake spojrzął na frontowe drzwi. Ludzie wyroili się z zamku i zbiegli po schodach, a wszyscy patrzyli na niego tak, jakby naprawdę postradał zmysły. Jake odwzajemniał te spojrzenia, ponieważ któraś ze stron z pewnością zwariowała. Chciał wierzyć, że to nie był on. Niestety, to właśnie on sprawiał wrażenie, że jest w nie swoim żywiole, więc prawdopodobnie najlepiej było przyjąć, że jako jedyny nie pasuje do otoczenia.

Kobieta ruszyła w jego stronę, kobieta o twarzy, która przypuszczalnie mogła zmieniać bieg wojen.

- Amanda! - krzyknęli jej bracia, nim wciągnęli siostrę z powrotem w tłum.

Amanda.

Naturalnie. Jake uzmysłowił sobie, że mniej zaskoczyło go odkrycie tożsamości kobiety, niż uświadomienie sobie, na jakim dziedzińcu stoi. Nic dziwnego, że duchy rozpływały się nad nią w eksta-

National Trust - instytucja zajmująca się ochroną zabytków i krajobrazu w Anglii, Walii i Irlandii Północnej (przyp. tłum.).

*** 91 ***

tycznych zachwytach. On postąpiłby tak samo, gdyby miał ku temu możliwości.
Na szczęście dla jego niezbyt giętkiego języka ktoś uderzył go czymś ciężkim w głowę. Jake z przyjemnością pogrążył się w nieświadomości, zamiast szukać dalej najbardziej trafnych określeń do opisanja najpiękniejszej kobiety, jaką w życiu widział.

7

Amanda zakradła się do mrocznej kuchni. Drgnęła na odgłosy przekleństw dobiegających z kazamatów zbudowanych w dość dogodnym miejscu, czyli za murami zamku od strony morza. Podejrzewała, że w środku lata lochy nie są takie przykre z racji wpadających przyjemnych, a nawet dość ciepłych powiewów morskiej bryzy. Jednak na zewnątrz szalał dziki sztorm i akurat ten loch z żelazną kratą wpuszczoną głęboko w mury wykusza był chyba niezbyt przytulny. Amanda zadrżała i to nie tylko od chłodu. Miała poczucie, że popełniają straszny błąd. Nie pozwolono jej patrzeć, jak strażnicy wtrącili więźnia do celi. O świcie udało jej się podejść na tyle blisko, by usłyszeć, jak mężczyzna mocuje się z zamkiem odcinającym go od świata. Na nieszczęście dla nieznanomego wartownicy jej ojca nie należeli do tych, których można zaskoczyć we śnie podczas pełnienia straży. Więzień przeklinał ich za każdym razem, gdy czymkolwiek, co mieli pod ręką, tłukli go po dłoniach usiłujących znaleźć wyjście z sytuacji. W końcu zarzucił próby otwarcia rygla i pozostał jedynie przy miotaniu przekleństw. Przeklinał tak już od dłuższego czasu.

*** 98 ***

Intonacja obelg nie przypominała prostego wiejskiego akcentu, lecz słowa z pewnością brzmiały jak marne naśladownictwo chłopskiego angielskiego. Nieznajomy przeklinał w paru jeszcze innych językach, których Amanda nie rozumiała, choć odebrała staranne wykształcenie. Jeden z rycerzy z ojcowskiego garnizonu powiedział, że niektóre słowa przypominają mu gaelicki, którym porozumiewał się pachołek jego ojca. O świcie Amanda doszła do wniosku, że może człowiek, którego zamknęli w piwnicy, nie jest wieśniakiem, ale wielkim szkockim lordem, który mało interesował się językiem używanym na południe od własnego domu.

Niestety, gdy próbowała przekonać do swoich przypuszczeń bardzo zaspanych braci, nie doczekała się niczego prócz głośniejszego chrapania. Sir Walter był podobnie obojętny na jej próby wejścia do zamkowego garnizonu, by porozmawiać z nim na osobności.

W związku z tym Amandzie została tylko jedna możliwość.

Musi uwolnić więźnia sama.

Sadza z paleniska w komnacie ojca wystarczająco dobrze zamaskowała prawdziwą twarz Amandy, a najbardziej połatane i poplamione rajtuzy Johna były kolejnym elementem przebrania. Prawdę mówiąc, poważnie rozważała, czy z kufra brata nie wziąć czegoś mniej paskudnego. Zasłużył na to, łobuz, bo spał w trakcie jej szczerzej, naznaczonej wyrzutami sumienia przemowy na temat bezzasadnego więzienia człowieka. John podrapał się tylko, czknął i przewrócił na bok, aby jeszcze raz zapaść w słodki sen. O tak, zasłużył na to, by cokolwiek zniknęło z jego kufra.

*** 94 ***

Ostatnim elementem przebieranki było kilka sztuk odzieży Nicholasa, którymi owinęła się pod koszulą. W tym wszystkim przypominała młodego, niewątpliwie dobrze odżywionego kuchcika. Nicholas chyba nie żałowałby swojego przydzwiewku. To nie były jego najlepsze ubrania, ale nadawały się do noszenia i z pewnością przydadzą się więźniowi.

Wszystkie zabiegi służyły samowolnej wyprawie z wykorzystaniem wszelkich podstępów i kamuflażu. Amanda przeszła przez kuchnie, mijając kuchmistrznię, która tylko ziewnęła na widok kolejnego umorusanego pachółka zajętego porannymi czynnościami. Potem dziewczyna skierowała się do lochów. Kolejnym wyzwaniem było zdobycie kluczy.

Wartownicy skoczyli na równe nogi, gdy zeszła na dół. Przyjrzała im się. Nie chowali żadnych bukłaków z winem za pazuchą, niech to szlag, więc nie mogła liczyć na to, że spróbuje zabrać im klucze spomiędzy palców, gdy będą pijani. A poza tym strażnicy spoglądali na nią krzywo, co nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

Rozważyła sposoby, jakimi mogłaby ich skłonić do posłuszeństwa. Zdecydowała się na bezpośrednie działanie.

- Dajcie mi klucze - zażądała.

Zamrugali. Amanda mogła niemal zobaczyć, jak rozważają, skąd mogą się spodziewać większych kłopotów, gdyby jej posłuchali - ze strony sir Waltera od razu, czyjej ojca, kiedy wróci do zamku.

- Jestem tu panią - oznajmiła, a potem urwała. - Na razie - dodała, pragnąc, by zabrzmiało to szczerze.

- Dopóki nie wróci moja matka.

* 95 *

Wartownicy zawahali się, następnie potrząsnęli głowami, prawie jednocześnie.

- To zbyt niebezpieczne - rzekł jeden.

- Mamy stanowczy rozkaz, by trzymać go tu, gdzie jest - odezwał się drugi.

Sfrustrowana, wskazała ręką w kierunku krat.

- Czy on sprawia wrażenie groźnego? Bynajmniej. Wygląda na zirytowanego. Z tego, co nam wiadomo, jest lordem spoza naszych granic, który ściągnie na nas równie rozzłoszczonych członków klanu za brak szacunku, który winniśmy byli okazywać mu od początku.

Zakłopotany strażnik po prawej poruszył się.

- W rzeczy samej, mam kuzynkę, która poślubiła Szkota, i muszę przyznać, że słyszałem, jak tamten człowiek wypowiadał się podobnie jak ten Szkot, kiedy się rozeźli.

- Widzicie? - podchwyciła Amanda. - To wiele wyjaśnia.

- Ale przez resztę czasu bredzi w chłopskiej gwarze - zaproponował drugi wartownik. - I to tak słabo, że nawet ja, ze sporą wiedzą o językach, nie potrafię się połapać, gdzie jest początek, a gdzie koniec kwestii.

- Jeszcze jeden powód, by go puścić - oświadczyła stanowczo Amanda. - Uwolnimy go i wypuścimy za bramy. Pójdzie swoją drogą i sprawa będzie zakończona.

Strażnicy zawahali się. Amanda zrobiła krok naprzód i przejęła klucze od wartownika po lewej. Kiedy kwiknął w proteście, spojrzała na niego tak jak na braci, gdy wyprowadzali ją z równowagi.

Mężczyzna wyglądał na okropnie niezdecydowanego, co pozwoliło Amandzie odwrócić się i otwo-

* 101 *

rzyć zamek, który tak skutecznie ryglował cele. Rzuciła kłódkę na ziemię i odchyliła kratę... I nagle poczuła, jak czyjeś ramię oplata jej szyję i jednym szarpnięciem wciąga do lochu. Do wszystkich diabłów, kiedy nabierze dość rozumu? Być może nigdy, skoro zaraz zginie... Wyszła na głupią, dając się omamić pięknej twarzy...

Wartownicy podnieśli krzyk. Amanda zaklęła. Dostanie teraz za swoje.

- Idioto - rzuciła trzymającemu ją człowiekowi

- teraz oboje wylądujemy za kratkami. A ja przyszedłam cię oswobodzić. Ha!

- Iść do domu - odezwał się więzień.

A przynajmniej Amandzie wydawało się, że tak powiedział. Na wszystkich świętych, nie potrafił wygłosić nawet prostego zdania, nie kalecząc mowy! Może następnym razem posłucha rządcy ojca, rycerzy z garnizonu i głosu rozsądku. Mężczyzna za jej plecami nie musiał być głodującym wieśniakiem, ale zaczęła mieć poważne wątpliwości, czy jest lordem. Nawet marnie wykształcony szkocki właściciel ziemski zdołałby w krytycznej sytuacji zdobyć się na składniejszy francuski niż ten jego-
mość.

- Pomoc - dorzucił.

- O, tak - odpowiedziała Amanda ze złością

- taki miałam plan. Przyniosłam nawet ubrania na tę okazję, ty tłusty koński zadku.

Odburknął, ale wyglądało na to, że nie ma nic do powiedzenia.

Amanda zacisnęła usta. Być może był tylko członkiem szkockiego klanu, zagubionym po złej stronie granicy. W tym momencie, z jego ręką zaciśniętą na szyi, przyciśniętą doń ciałem, myślała nad tym wszystkim jeszcze bardziej intensywnie.

*** 97 ***

Może on należy do szkockiego klanu, został napadnięty i porzucony na śmierć na ziemi jej ojca. To także było możliwe.

Ale dokąd ten człowiek zmierzał? Co go tu przywiodło? Skąd tak naprawdę pochodził?

Skądkolwiek był, łatwo ziębnął. W roztargnieniu przesunęła jego przedramieniem po swoim gardle. Nie umiała nic na to poradzić, ale trochę współczuła nieznajomemu, który został uwięziony w tym przeklętym miejscu na całą noc, zmarznięty, głodny...

Wtem mężczyzna kichnął.

- No właśnie - odezwała się Amanda.

Rozluźnił uścisk na tyle, że mogła się wyswobodzić i odsunąć. Wyciągnęła spod koszuli ubrania Nicholasa i podała je więźniowi.

- Proszę. Weź je.

Przyjął odzienie z zaskoczeniem, potem zawahał się, jakby nie był pewien, co powiedzieć.

- Dziękuję - podpowiedziała.

- Dziękuję - powtórzył i przynajmniej to słowo wymówił bezbłędnie.

Strażnicy nadal bili na alarm. Amanda odwróciła się od więźnia, by zapewnić mu odrobinę prywatności i dała znak wartownikom, by się uciszyli.

Czekała, stukając stopą, w tym lodowato zimnym lochu i nasłuchiwała ubierającego się za jej plecami mężczyzny. Gdy przestał szeleścić, znów się odwróciła i zobaczyła go w stroju brata. Stał nieruchomo.

Wpatrywał się w swoje stopy.

Nie mogła go winić za to zachowanie. Niestety, jedyne buty, które zdołała znaleźć, to były cizmy, które Nicholas - naturalnie głośno protestując - wkładał na dworskie okazje albo gdy do Artane zjeżdżali członkowie rodziny królewskiej. Wyglą-

* 103 *

dały prześmiesznie na stojącym przed Amandą umięśnionym mężczyźnie, lecz tak samo prezentował się w nich Nicholas, a więc przypuszczalnie nic na to nie można było poradzić. Jednak gdy Nicholas je wzuwał, wkładał do nich wytworny strój. Tajemniczy nieznajomy był odziany w zgrzebny roboczy kaftan; zdobne ciżmy nie były do niego odpowiednim dodatkiem. A potem mężczyzna podniósł wzrok na nią. Amandę zdumiało, jak to możliwe, by w tak zimnym pomieszczeniu ogarnęło ją takie gorąco.

Była przyzwyczajona do widoku przystojnych mężczyzn, o czym desperacko starała się pamiętać. W jej rodzinie nie było żadnego, który mrugnięciem nie wywoływałby ładnego rumieńca u kobiet w każdym wieku albo nie skłaniał ich do wachlowania się, gdy już się oddalił. Amandy nie zachwycaly piękne oblicza, nie robiła na niej wrażenia miła powierzchowność, zupełnie nie wzruszała jej siła męskiego ramienia.

Lecz mimo obojętności na te wszystkie uroki nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że czuje się rozbita. Oto stała w niegościnnym lochu ojca, ziębnąc i płonąc jednocześnie, wpatrując się w zachmurzone oczy i jedyne, co mogła zrobić, to żałować, że użyła tyle sadzy do zamaskowania twarzy.

Nieznajomy wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

Próbowała zlekceważyć ten fakt. Nie chodziło o to, że nigdy wcześniej nie dotykała mężczyzny. W istocie, kilku spoliczkowała. Lecz nigdy w życiu leciutkie dotknięcie czyjejś dłoni tak bardzo nie wytrąciło Amandy z równowagi.

A była o krok od decyzji o odesłaniu go z zamku.

Mężczyzna przesunął dłonią wzdłuż jej ramienia, aż zacisnął dłoń na jej palcach.

*** 104 ***

Drugą ręką wskazał w stronę otwartych drzwi.

Nagle cały czar prysł. Spodziewała się, że ów człowiek odejdzie. Czyż nie zeszła tutaj właśnie w tym celu? Dlaczego więc to rozwiązanie wydało jej się nagle najgorszym pomysłem, na jaki kiedykolwiek wpadła? A wzięwszy pod uwagę, ile w życiu miała pomysłów, które okazywały się fatalne, ta gwałtowna zmiana nastroju wiele znaczyła.

Zanim w ogóle pomyślała, pociągnęła nieznajomego za sobą, ignorując protesty strażników lochu. Kuchmistrzynie, mieszając w garnku, ledwo rzuciła okiem na dziwną parę, a kuchcikowie byli zbyt zdumieni, by pisnąć choć słowo.

W głównej sali przeprawa okazała się trudniejsza. Byli już tutaj ziewający i drapiący się bracia. Sir Walter w pośpiechu wkładał koszulę przez głowę i krzychał na giermka, by przyniósł mu miecz. Jednak nawet on umilkł, gdy zobaczył Amandę holującą swojego towarzysza. Ludzie sir Waltera miotali się, usiłując utworzyć jakikolwiek szyk bojowy. Amanda jednym spojrzeniem zmusiła zszokowanych braci do posłuszeństwa, lecz drogę zablokował jej sir Walter i reprezentacja jego co bardziej zawziętych żołnierzy.

- Pani - zaczął - muszę nalegać...

- Ja również nalegam - odrzekła stanowczym tonem, zasłaniając uwolnionego więźnia ciałem. - Zaszła okropna pomyłka.

- O tak, te ciżmy do tej koszuli - mruknął John.

- Milcz, błażnie - odcięła się Amanda. Przeniosła wzrok na sir Waltera i nabrała głęboko powietrza. - To nie jest wieśniak.

Pomijając oczywiście kwestie językowe.

- Jeśli nie potrafimy zaoferować miejsca przy stole człowiekowi o tak oczywistym szlachetnym uro-

* 100 *

dzeniu, musimy mu pozwolić skorzystać z drzwi. Wiążąc go, ściągniemy na nasze bardzo na to zasługujące głowy jedynie katastrofę.

- *Oui* - zgodził się mężczyzna za jej plecami, a jego głęboki, melodyjny głos brzmiał w każdym calu jak u wykształconego, pełnego ogłady lorda.

Jaka szkoda, że nic nie wskazuje na to, że mógłby wydusić z siebie jakieś inne zdanie, co sprawiłoby, że nie wydawałby się takim głupcem. Amanda

O mało nie odwróciła się, aby mu to powiedzieć, ale to przed nią toczyła się walka, a nie z tyłu.

- Pozwolić mu odejść? - miał wątpliwości sir Walter.

- A co mielibyśmy innego zrobić? - spytała Amanda. - Trzymać go tutaj, aż przyjdą za nim jego krewniacy i złączą oblężenie zamku w odwecie za znieważenie ich pana? Jeżeli obstajesz przy zamknięciu w lochu, najlepiej zabij go od razu i wyrzuć ciało na skraju drogi, aby jego ludzie mogli go tam znaleźć i uznać, że to wina rzezimieszków. Ale wtedy, sir Walterze, ty będziesz miał na rękach krew tego człowieka, nie ja.

Sir Walter zawahał się - niezawodny znak, że jeszcze trochę, a da się pokonać. Był jednak starym i przebiegłym wojownikiem i nie zyskał sławy, będąc nieprzejednany w próżnej walce.

- A jeśli go wypuścimy, skąd będziemy wiedzieli, że wróci do swoich? - zapytał. - I tak już go znieważyliśmy. Możliwe, że przyczai się poza bramami, czekając na okazję do zemsty.

- Jeśli my będziemy bezpieczni w środku - zauważyła Amanda - jakie to ma znaczenie?

Sir Walter uśmiechnął się uprzejmie.

* **Tak - fr. (przyp. tłum).**

* **106** *

- Tak też i ja sędzę. A więc, moja pani Amando, zgadzasz się, dopóki twój starszy brat lub ojciec nie wróci, przebywać w murach zamku? Przez wzgląd na bezpieczeństwo?
- Niech go diabli! Zwycięski błysk w oku sir Waltera był aż nadto wyraźny. Spojrzała nań wilkiem, ale nie widziała żadnego innego wyjścia, by ziszczyć swoje pragnienie bez poświęcania czegoś w zamian.
- Nie wyjdę poza bramy bez eskorty - ustąpiła. - Ale nie pozwolę traktować się jak więzień we własnym domu. Nie posunę się tak daleko nawet ze względu na tego człowieka.
- Sir Walterowi nie brakowało oleju w głowie i Amanda wiedziała, że zrozumiał, iż nic więcej u niej nie wskóra. Skinął głową z zadowoleniem.
- Zgoda.
- Hm - odchrząknęła Amanda dobitnie, ciągnąc za sobą powód utraty wolności. Pozostali mężczyźni rozstąpili się, aby zrobić jej przejście, lecz bracia natychmiast ruszyli za siostrą niczym kilwater, od którego nie można się uwolnić.
- Przynajmniej tym razem to są ubrania Nicholasa - rzekł John bez ogródek. - I nie będzie tęsknić za cizmami.
- Cicho bądź, John - skarciła go Amanda, szarpnięciem otwierając drzwi wyjściowe. Pociągnęła jeńca, ale ten nie zrobił ani kroku. Odwróciła się, by zobaczyć, co się dzieje.
- Musiała przyznać, że na twarzy nieznajomego malował się prawdziwy żal.
- Już dał się zauroczyć - oznajmił rzeczowo Montgomery. - Kolejny powalony bez uderzenia.
- Obawia się wrócić do domu - uznała Amanda bezbarwnym tonem. Spojrzała na mężczyznę i skinęła głową w kierunku schodów. - Tędy.

Nie drgnął. Pokazał na nią.

- Amanda.

- Owszem, tak mam na imię - przyznała żywo - A ty?

Gapił się na nią tępym wzrokiem.

- To głupek - zauważył John, raczej rozczarowany tym odkryciem. - Może dlatego go obrabowano.

Był zbyt nierozgarnięty, żeby uciekać.

- A może to tylko dlatego, że nie mówimy w jego języku - stwierdził Montgomery. - Spróbuję po szkocku.

Powiedział coś do mężczyzny, przy czym Amanda mogła tylko założyć, że to gaelicki. Lord Peven-sey miał wielu służących ze Szkocji, chłopaków sprowadzanych zza granicy, którym było obojętne, czy służą Anglikowi, czy nie. Montgomery zawsze mamrotał coś w tym języku, choć jako pierwszy przyznawał, że nie nauczył się szkockiego na tyle, na ile mógłby, gdyby lord Pevensey dał mu co jakiś czas odetchnąć na pięć uderzeń serca.

Tajemniczy gość popatrzył na Montgomery'ego zaskoczony, a potem coś odrzekł.

Amanda przeniosła wzrok na brata.

- No więc, co takiego powiedział?

- Myślę - zaczął Montgomery niepewnie - że nazywa się Jake.

- Jake - powtórzyła Amanda obco i dziwnie brzmiące w jej mowie imię. Spojrzała na mężczyznę - Jake?

- Jackson Alexander Kilchurn IV - przedstawił się powoli.

- Kilchurn - powtórzyła - Czwarty.

- Jake.

- Jake.

John westchnął zirytowany.

*** 108 ***

- Nazwij go po prostu głupkiem i już. Ja w każdym razie chciałbym wrócić do łóżka!

Amanda wymierzyła bratu siarczyste i zasłużone trzepnięcie w głowę, gdyby John nie był taki żwawy. Poprzestała na ostrzegawczym spojrzeniu, zanim znów wróciła do Jake'a.

Jackson Alexander Kilchurn Czwarty. Jeśli to nie było szkockie nazwisko, i to właściwe dla lorda, a nie chłopca, to nie miała pojęcia, skąd mogło pochodzić. Oj tak, popełniliby błąd, zamykając go w lochu.

Nawet jeśli pobyt w lochu miałby oznaczać, że mogłaby czasem go widywać.

- Konia zatem - odezwała się w końcu - i niech rusza w drogę.

Przyjrzała się lordowi Kilchurnowi.

- Jesteś gotów na powrót do domu?

- Jesteś gotów na powrót do domu - powtórzył bezbłędnie.

- Przygłup - burknął John. - A wyglądał tak srogo...

Amanda syknęła na niego, by się uciszył. Popatrzyła na lorda Kilchurna i zauważyła, że podał jej rękę. Znieruchomiała.

Zalała ją słodycz, ogarnęło to samo uczucie, jakiego doznawała przez parę ostatnich miesięcy za każdym razem, gdy patrzyła na swój dom, to samo uczucie, gdy pierwszy raz dotknęła mężczyzny stojącego przed nią.

Dom...

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że może spotkała kogoś, kto wzbudziłby w niej czułość. Mogłaby spędzić wiele lat, wpatrując się w te piękne oczy, i z pewnością nie byłaby nieszczęśliwa z tego

*** 104 ***

powodu. To, że wyprowadzała go głównymi drzwiami z zamku ojca, nie powinno jej dziwić.

Nieszczęsny dostojny przyglup, którym był w istocie.

Nerwowym gestem potarł głowę, jakby sprawiała mu ból, a następnie zaczekał, aż poda mu rękę. Tak też zrobiła.

Aby się zupełnie nie zbłąźnić, zaprowadziła nieznanego do stajni, podczas gdy bracia deptali jej po piętach. Sir Walter i jego ludzie deptali po piętach braciom. W trakcie marszu Jake sporo czasu poświęcił butom, które miał na nogach. Potrząsał głową, jakby albo nie mógł uwierzyć, że paraduje w czymś tak skończenie odrażającym, albo nie mógł pojąć, że ktokolwiek mógłby połączyć takie kolory i nazwać je modnymi. Amanda zgadzała się z nim całkowicie, lecz wstrzymała się od komentarza. Przystanęła przed wejściem do stajni i czekała, aż koniuszy wyjdzie na zewnątrz. Ukłonił się wytwornie.

- Tak, moja pani? Czy dziś znów zamierzasz pozwolić pohasać najbardziej rączemu rumakowi swojego ojca?

Spojrzała na niego łobuzersko.

- Jestem bardzo dobrym jeźdźcem, mistrzu Otto.

- Powiedziałbym, że aż nadto dobrym - odparł, lecz z uprzejmym ukłonem. - Jakiego konia dziś potrzebujesz, pani?

- Czy nie mamy może jakiegoś wierzchowca, który mógłby zabrać stąd tego jegomościa do jego domu?

Mistrz Otto zmierzył Jake'a wzrokiem, a następnie skinął głową i zniknął w stajni. Wyszedł po-

*** 110 ***

nownie kilka minut później, prowadząc wysokiego, czarnego rumaka z białą strzałką na pysku. Zwierzę wyglądało na łagodne, ale niezupełnie ułożone. Amanda przypomniała sobie - ojciec kupił konia miesiąc lub dwa temu. Nigdy nie jeździła na tym wierzchowcu, ponieważ wybierała raczej bardziej narowiste sztuki, by dać im trochę swobody poza stajniami ojca. Może ten przypadnie Jake'owi do gustu.

Mistrz Otto zaprosił Jake'a, by dosiadł konia.

Jake wytrzeszczył na niego oczy.

John wydał z siebie odgłosy w stylu „a nie mówiłem”, które zmusiły jego siostrę, by wymierzyła mu kuksańca łokciem między żebra. Zakaszła i pograżył się w błogiej ciszy.

- Montgomery, powiedz mu, że może wziąć konia.

- Nie wiem, jak jest „koń” po szkocku - przyznał Montgomery.

- No to powiedz: „Wsiadaj i ruszaj w drogę” - podsunęła Amanda. - Powiedz cokolwiek!

Montgomery coś powiedział. Jake zastanowił się, a potem potrząsnął z uśmiechem głową. Poruszył palcami pokazując, że pójdzie pieszo.

- Mówiłem już - mruknął John. - Jest beznadziejny!

Amanda z trudem mogła uwierzyć własnym oczom. Czy to możliwe, że ten człowiek, ten przystojny, wyglądający na silnego mężczyzna nie umie jeździć konno? Patrzyła na niego zszokowana i skonsternowana. Być może było tak, jak uważał John: to prostaczek, który wyrwał się z wioski, gdy ktoś niezbyt bacznie go pilnował.

Ale, święci pańscy, był taki cudowny. Ledwo dawała wiarę, że nie jest tym, na kogo wygląda.

*** 106 ***

Doskonały.

Piękny ponad ludzkie pojęcie.

- Pokaż mu bramę - popędza! John - nim zapomni, do czego służą nogi.

Jake westchnął.

Z żalem, jeśli ktokolwiek to zauważył. Jakby wolał raczej zostać.

- Powiedz mu, żeby poszedł, Montgomery - nakazał dobitnie John. - Zanim nasza siostra nie omdleje do szczytu.

Montgomery westchnął i udzielił Jake'owi wyjaśnień. Jake wydukał coś w odpowiedzi. Montgomery spojrzał na Amandę.

- Mówi, ale to tylko moje domysły, że jest mu przykro, że musi tak szybko wstawać od stołu, ale nadmiernie wymieszana potrawka zmienia się w papkę.

Amanda przemyślała to.

No dobrze, a więc jest niezdrowy na umyśle.

- Powiedz mu, że może iść, ale niech będzie czujny. Rzezimieszków aż zatrząsienie, o czym pewnie dobrze wie. Czy trafi do swojej wioski?

Montgomery i nieznajomy dość długo usiłowali nawiązać rozmowę, nim chłopak wreszcie znów zwrócił się do siostry.

- Ma nadzieję, że znajdzie swoją wioskę. Jak już mówiłem, Mandy, jego szkocki jest bardzo kiepski. Ale obiecuje, że będzie ostrożny i dziękuje za gościnność twojego kuchennego paleniska. - Montgomery urwał. - Wygląda na to, że uczył się mówić przy kuchennym palenisku jakiejś gderliwej szkockiej babki.

Amanda zamrugwała.

- Też tak sędzę.

John głośno westchnął i poszedł.

*** 107 ***

Amanda pokazała ręką w stronę bramy przed nimi.

- No już dobrze - powiedziała do Jake'a. - Idź sobie.

Odwrócił się do niej. A potem, kiedy w końcu zdała sobie z tego sprawę, objął jej twarz dłońmi i otarł z sadzy. Wpatrywała się w niego zdumiona, choć potem żałowała, że tak zrobiła. Mógł być głupkowaty i niezrozumiale mówić, ale musiała przyznać, że był po prostu wspaniały.

A jego dotyk wzbudził w niej dreszcz.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze raz, a następnie odszedł.

Pośród gwaru i codziennej domowej krzątaniny Amanda patrzyła na Jake'a tak długo, jak mogła. Był wyższy od gromadek wieśniaków, gdy tak szedł w stronę wyjściowej bramy i dalej poza mury. Patrzyła, aż zniknął jej z oczu.

Zauważyła, z pewnym odcieniem satysfakcji, że kilka razy odwracał się, żeby jeszcze na nią popatrzeć.

Kiedy już nie mogła go więcej dojrzeć, chciała zawrócić, lecz drogę zatarasowali jej sir Walter i jego żołnierze. Amanda wiedziała, że rządca nie przejmuje się jej wędrówkami wzdłuż murów i była przekonana, że mogłaby mu z przyjemnością powiedzieć, by zabierał się razem ze swoimi ludźmi do wszystkich diabłów, ale to był wyjątkowo męczący ranek. Wszystko razem, w połączeniu z intrygami i kłopotami z poprzedniego dnia oraz perypetiami, które do tego doprowadziły, spowodowało u niej nieznośny ból głowy.

Nie zwracała uwagi na ból w sercu.

- Udam się do komnaty na odpoczynek - oznajmiła królewskim tonem.

*** 113 ***

- Jak sobie życzysz, pani - sir Walter skłonił się lekko.

Weszła statecznym krokiem do głównej sali, odpychając po kolei każdego z młodszych braci, gdy próbowali jej zastąpić drogę, a następnie poszła do swojej komnaty.

A potem pomknęła na dach zamku.

Zanim dotarła na zachodnie mury, Jake już opuszczał wioskę. Obserwowała go, aż stał się tylko odległym punkcikiem. A później nadszedł ten moment, kiedy nie była pewna, czy tak naprawdę patrzy na niego, czy na pyłki w porannym powietrzu.

Cóż, stało się, jak się stało. Dla niej tak było lepiej. Był piękny, ale brakowało mu rozumu. Ojciec by tego nigdy nie zaaprobował. Dużo lepiej, że mogła zobaczyć, jak odchodzi, zanim zaangażowałyby się uczuciowo.

Mimo wszystko uznała, że dobrze by było w ciągu paru godzin wybrać się na przejażdżkę za mury. Nie mogła pozwolić, by gościa napadli rabusie. Przecież, jak powiedziała by ojciec, bezprawie na północy tylko się wzmagało.

O tak, należało się upewnić, że Jackson Alexander Kilchurn IV nie wpadł ponownie w zasadzkę.

8*

Jake szedł zakurzoną drogą, kontemplując zawirowania losu. Kontemplował również zawijasy na czubkach cizem, które ledwo odwracały jego uwagę od irytujących, obcierających rajtuzów. Uznał, że los pod pewnym względem ma bardzo paskudne poczucie humoru. Podobnie jak Gideon de Piaget, któremu Jake ładnie podziękowałby za obecne tarapaty, gdyby tylko nadarzyła się okazja.

Zakładając, że w ogóle znalazłby Gideona, by mu odpłacić pięknym za nadobne. Jake podrapał się w głowę, lecz nie pomogło mu to w znalezieniu jakiegokolwiek zadowalającej odpowiedzi - a odpowiedzi były tym, czego w tej chwili na pewno potrzebował.

Wsunął ręce w kieszenie tylko po to, by zdać sobie sprawę, że nie ma kieszeni, niech to szlag, bo ma rajtuzy. Skrzywił się. Jeśli zdoła dotrzeć do domu, musi natychmiast zmienić ubranie, w przeciwnym razie nikt nigdy nie potraktuje go poważnie. Nie mówiąc już o tym, że nie potraktowałby go poważnie nikt, do kogo dotarłaby pogłoska, gdzie był przed chwilą.

I nie było mowy także o tym, by ktokolwiek mu uwierzył. Sam nie był pewien, czy wierzyłby w to, co mu się przydarzyło, gdyby nie niepodważalne fakty.

*** 110 ***

Poprzedniego wieczoru w głównej sali zamkowej miała miejsce inscenizacja, a wszyscy jej uczestnicy ubrali się w średniowieczne kostiumy. Cudaczne, ale mógł to być po prostu zbieg okoliczności. Ale obudzić się w lochu? Anglicy w dwudziestym pierwszym wieku nie wtrącają bliźnich do wilgotnych nor pod kuchennymi schodami i nie zostawiają ich tam na nie wiadomo jak długo.

Język był kolejnym problemem. Jake nie miał okazji zaznajomić się z nim poprzedniej nocy. Mężczyźni siedzący przed celą byli wyjątkowo małomówni. Z tego, co wyłowił, a także słuchając Amandy, zorientował się, że dziewczyna i jej rodzina mówią po francusku. Lecz nie był to współczesny francuski.

A poza tym strażnicy i ludzie z wioski rozmawiali między sobą w języku, który go zastanawiał. Angielski, którym porozumiewali się strażnicy i ludzie z wioski, też wymagał zastanowienia. Jake spędził w Anglii ponad połowę życia i przyzwyczyił się, jeśli nawet nie był w nich biegły, do wielu rozmaitych akcentów. Język, któremu przysłuchiwał się przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, pasowałby na zajęcia z anglosaskiego na Uniwersytecie Cambridge, a nie do okolic Artane.

Artane.

I na dodatek średniowiecznego Artane.

Pokręcił głową. Kto by pomyślał? Nic dziwnego, że miejsce przyprawiało go o ciarki, jeśli właśnie coś takiego chowało dlań w zanadrzu.

Jake przystanął. A co takiego kryło w zanadrzu? Oprócz podróży w przeszłość?

Amanda.

Gdyby nie rozpoznał w niej kobiety, nad którą rozplywała się z zachwyty rozanielona grupka śre-

*** 116 ***

dniowiecznych duchów, mógłby zwyczajnie pomyśleć, że jest piękną kobietą, i uznać, że to świetnie. A z drugiej strony, może jednak nie.

Uroda Amandy, mówiąc z ręką na sercu, przewyższała o niebo wszystko, czego mógł się spodziewać. Jake wbił wzrok w przestrzeń ponad drzewami, które w jego normalnym życiu wyglądały jak drzewa, i zastanowił się. Czy to możliwe? Czy ma halucynacje? Czy grupa rekonstrukcji historycznych oszalała, tworząc inscenizacje wykraczające daleko poza statut klubu? Czy może byli fanatycznymi wielbicielami Artane, którzy otrzymali pozwolenie od earla Artane, by przejąć zamek i wskrzesić w jego murach przeszłość?

Na pewno nie.

Jednak myśl, że faktycznie przeniósł się w czasie, była równie nieprawdopodobna. Takie rzeczy się nie zdarzają. Żył w nowoczesnej, racjonalnej epoce z nowoczesnymi, racjonalnymi zjawiskami. Sprawami paranormalnymi zajmowali się wyłącznie ludzie, którzy mieli za dużo wolnego czasu i usilną potrzebę mierzenia rzeczy małymi instrumentami własnego pomysłu. Świat Jake'a był zimną, twardą rzeczywistością: skały, minerały, to, czego można dotknąć, co można pociąć, wykopać i włożyć do kieszeni. Nie wierzył w zrządzenia losu, podróże w czasie i... hm... duchy.

Pokręcił się w miejscu, jakby coś go uwierało.

No dobrze, a więc widział duchy. Na to także zapewne można znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie. Świadomość, że egzystencja nie kończy się na śmierci, była w pewnym sensie pokrzepiająca.

Ale podróż w czasie?

O, nie!

*** 112 ***

Nigdy w życiu! I z tego też powodu Jake zaczął się rozglądać za znajomo wyglądającymi punktami orientacyjnymi typu droga, budka telefoniczna albo ślady zostawione przez rangę rovery jadące do miejscowego supermarketu po przekąski. Ostatnią rzeczą, jakiej mógłby szukać, byłoby coś oznaczonego krzykliwym napisem „Wehikuł czasu, wsiadaj!”.

Spochmurniał. Jego jaguar, rocznik 1967, okazał się prawdopodobnie takim wehikułem. Niestety, Jake przypuszczał, że po ostatnim koziołkowaniu samochód nie będzie nadawać się do jazdy, a tym bardziej do zakrzywania czasu wedle woli i upodobania Jake'a. A takie stwierdzenie oznaczałoby, naturalnie, że auto miało jakieś opcje do podróżowania w czasie - w co Jake szczerze wątpił.

Nie mając zatem innego wyboru, ruszył dalej w drogę.

Znów zaczął myśleć trzeźwo i zastanowił się, dlaczego nie poprosił w zamku o torebkę z resztkami jedzenia. Na prawo zobaczył drzewa i przystanął. Czy znajdzie tutaj przynajmniej wodę? Warto się rozejrzeć. —

Zboczył w stronę zagajnika, znalazł strumyczek i nawet nie zadał sobie trudu, by sprawdzić źródło przed zaczerpnięciem porządnego haustu. Woda była tak czysta i miała tak ostry smak, że nieomal sparzyła mu usta. Okazała się niezbyt zimna, lecz dokoła nie dostrzegął żadnych lodowców, więc może nie było w tym nic dziwnego. Jake pił, aż się nasycił, a potem przykucnął i rozejrzał się po okolicy. Znalazł się na dziewiczej polance, znikąd nie dobiegały do niego odgłosy ulicznego ruchu, cywilizacji ani działalności człowieka, które mogłyby zakłócić spokój.

*** 118 ***

Jednak nieoczekiwanie usłyszał podniesione głosy prowadzące rozmowę w języku, którego nie znał. Podniósł wzrok i dostrzegł grupę mężczyzn, którzy zatrzymali się po drugiej stronie strumyka. Mieli na sobie poszarpane rajtuzy i koszule, mówiąc bardzo oględnie. Dzięki temu Jake uświadomił sobie, jak ładne jest ubranie, które miał na sobie.

Zerwał się na równe nogi, ale włóczędzy trwali nieruchomo. Patrzył na nich, a oni na niego.

A potem któryś z nich wskazał na buty Jake[^] i wszyscy gruchnęli śmiechem.

A on zrobił to, co zrobiłby każdy szanujący się mężczyzna w takiej sytuacji.

Pokazał im środkowy palec w obscenicznym geście.

Najwyraźniej to jest oczywiste niezależnie od stulecia.

Mężczyźni zgodnie warknęli, a Jake szybko rozejrzał się dookoła, by ocenić sytuację. Zbyt skalisty teren. Odwrócił się i popędził w stronę zachęcająco płaskiej przestrzeni, gdzie mógłby mieć szansę z ośmioma obdartusami.

Niespodziewanie potknął się o coś w trawie i runął na ziemię. Przeklęte ciżmy. Kiedy udało mu się pozbierać, był już otoczony przez jakieś pół tuzina mężczyzn wyglądających, jakby od trzydziestu lat nie oglądali wanny.

Jake podniósł ręce z rozpostartymi dłońmi, aby pokazać, że nie jest uzbrojony. Wywróciłby kieszenie na lewą stronę, ale nie miał żadnych kieszeni do wywracania.

Rabusie na migi pokazali, żeby zdjął ubranie.

- Sami sobie weźcie - zaproponował.

Włóczędzy rozprawiali chwilę czy dwie nad propozycją, a potem zaatakowali, powarkując pod no-

*** 114 ***

sem. Przewyższali go liczebnie, ale nie chytrą. Jake robił uniki, błyskawicznie się obracał, uczynił z siebie tak nieuchwytny cel, na ile to było możliwe. A kiedy przyszło do konfrontacji, przeszedł do konkretów.

Dwóch ogłuszył i powalił na ziemię, mając nadzieję, że nie skreślił im karków, i już zabierał się do dwóch następnych, gdy kątem oka dostrzegł, że coś zbliża się w ich stronę z ogromną prędkością. W roztargnieniu zdzielił kolejnego zbira łokciem w gardło, gdyż patrzył na zbliżającego się jeźdźca.

To była Amanda.

Zarobił cios pięścią w żołądek, gdy się zapatrzył, jak mknęła w jego stronę na ważącym prawie tonę cisawym wierzchowcu z taką lekkością, jakby jechała na rowerze. Zauważył nóż wymierzony w swoim kierunku, lecz był zbyt zdekoncentrowany, aby uniknąć pełnej siły uderzenia. Amanda rozniosła grupę bandziorów niczym kupę liści. Jake chwycił się za ramię, by powstrzymać krwawienie, i obserwował kobietę, jak zatoczyła koło i zawróciła. Koń stanął dęba, co było samo w sobie imponującym widokiem[^] a kiedy opuścił kopyta, Amanda ześlizgnęła się z siodła i wylądowała, przykucając na ziemi. W dłoni trzymała groźnie wyglądający sztylet.

Jake pomyślał, czy zachowałby się bardzo znie-wieściale, gdyby zaczął bić brawo.

Najwidoczniej pozostali bandyci tak nie uważali. Zaprzestali ataków i wyrazili swoje uznanie.

Amanda powiedziała im coś, na co jeden z nich parsknął.

Jake trzepnął rzezimieszka w potylicę. W tej samej chwili, gdy zbir zamierzał zamachnąć się na Jake'a, Amanda wyciągnęła zza cholewy

*** 115 ***

nóż. Jake zobaczył dwa lecące w swoją stronę ostrza. Uniknął ciosu obnażonej klingi, a tym schowanym w pochwie zaczął nieporadnie machać. Uniknął kolejnego dźgnięcia i spojrzał na sztylet, który trzymał w dłoni. Amanda coś do niego krzyknęła. Zmarszczył brwi. Pojął, że właśnie podrzuciła mu broń, ale nie był pewien, czy może jej użyć. Bronić się rękami? Oczywiście. Ale nożem?! Nie, to zupełnie go nie przekonywało. W końcu nie szlachtuje się tak po prostu przypadkowo spotkanych ludzi.

Z drugiej strony, trudno było uznać napastników za Brytoli w podeszłym wieku, którzy mają chęć coś przekąsić i szukają miłego miejsca na swoje kosze piknikowe. Mieli broń i sprawiali wrażenie, że nie zawahają się jej użyć. Jeden z bandziorów bez odrobiny litości rozpoczął pojedynek z Amandą. Jake już miał skoczyć dziewczynie na ratunek, gdy okazało się, że jest zbyt zajęty, starając się uniknąć losu poduszczeni na igły, który chcieli mu zgotować pozostali napastnicy.

I wtedy, równie niespodziewanie, w pobliżu rozległy się krzyki. Zaskoczony Jake dostrzegł braci Amandy zeskakujących z koni i rzucających się w wir walki. Chłopcy trzymali w dłoniach miecze i wyglądało na to, że umieją z nich korzystać. Obrali sobie za cel największego przeciwnika i było widać, że są bezgranicznie dumni, drażniąc zbója do granic możliwości.

W ten sposób Jake'owi zostało tylko czterech bandziorów. Bezzwłocznie zaatakował pierwszego, który osunął się bezwładnie na ziemię. Trzech pozostałych sprawiło trochę więcej kłopotów. Jake był dobry w walce wręcz i przyzwyczajony do stawiania czoła zbirom z nożami w ciemnych zauł-

*** 121 ***

kach w krajach, gdzie małe morderstwo z wizją zarobku było na porządku dziennym. Jednak ci goście byli naprawdę zdesperowani. Draśnięto go raz czy dwa za dużo, niżby chciał, a on z pewnością wyrządził napastnikom więcej krzywdy, niż sam zaznał w zamian, lecz w końcu kolejnych trzech oprychów padło. Został jeszcze wielkolud i prześladowca Amandy.

Młodzi rycerze jakby nie widzieli problemu, by Jake zastąpił ich w akcji. Jedyne trudności wynikały z faktu, że największy bandzior wymachiwał mieczem, a Jake mógł się popisać tylko gołymi rękami.

Uchylił się przed morderczym pchnięciem i rzucił okiem na chłopaków.

- Pomóżcie jej! - zawołał, pokazując palcem Amandę.

- Dlaczego? - Jake bez problemu zrozumiał pytanie zadane chórem przez braci.

- Bo jest kobietą! - wykrzyknął swoją najlepszą szkolną francuszczyznę.

Najwidoczniej komunikat okazał się dostatecznie jasny, gdyż bracia-spojrżeli na Jake'a, jakby właśnie dobrowolnie wdepnął stopą w największy seksistowski kopiec, jaki kiedykolwiek wzniesiono na angielskiej ziemi.

Jeden z chłopaków wykonał lekceważący gest dłonią. Jake odpowiedziałby na to poważnym wykładem na temat opieki nad płcią słabszą, lecz nieoczekiwanie musiał zająć się własnym problemem, który z furją go zaatakował.

Koziółkował, wirował, uskakiwał. Wreszcie kopnięciem wytrącił bandycie miecz z rąk i od tej chwili walka trwała już krótko. Niedożywiony wieśniak nie dorównywał współczesnemu mężczyźnie, do-

*** 122 ***

brze karmionemu całe życie. Kiedy Jake pokonał napastnika, zrobił sobie przerwę. Bracia Amandy stali obok z rozdziawionymi ustami. Uśmiechnął się przelotnie, a potem przeniósł wzrok na Amandę, by sprawdzić, jak też sobie radzi.

Musiał przyznać, że było to imponujące widowisko.

Kilkakrotnie raziła przeciwnika i za każdym razem ciskała przekleństwa. Jake liczyłby kolejne zwycięskie ciosy i złorzeczenia, ale należał do staroświeckiego typu mężczyzn i nie potrafił po prostu stać, pozwalając Amandzie walczyć, podczas gdy mógł coś zrobić, aby ją obronić.

Kiedy ruszył naprzód, jeden z bliźniaków - ale który, Jake oczywiście nie potrafił powiedzieć - złapał go za zdrową rękę i powstrzymał. Chłopak potrząsnął głową, szeroko otwierając oczy.

- Potrzebuje pomocy - oznajmił stanowczo Jake. - Albo wy to zrobicie - w tym miejscu wskazał na braci, aby dobrze go zrozumieli - albo ja.

Gwałtownie zaprzeczyli głowami. Wskazali na Amandę, a ich gestykulacja nie zostawiała wątpliwości interpretacyjnych, że gdyby się wtrącili do pojedynku, groziłoby im to śmiercią z ręki siostry. Cóż, oni mogli się jej bać, ale Jake nie. Klepnął opryszka w plecy i odskoczył na bok, gdy ten błyskawicznie odwrócił się w miejscu z nożem gotowym do ciosu. Jake zaczął czekać, aż zbój wyczerpie repertuar opracowanych ruchów, a potem chwycił bandytę za nadgarstek i ciosem pięści wymierzonym w podbródek pozbawił przytomności.

Jake popatrzył po powalonych ciałach, żywych lub martwych - zależnie od okoliczności - i pomyślał, że z pewnością zacznie się dochodzenie...

Naturalnie, o ile znajdowali się we współczesnej Anglii.

*** 118 ***

Nie orientował się, jak wyglądała tutejsza procedura śledcza, wiedział jednak, że nie powinni zwlekać z opuszczeniem tego miejsca, w razie gdyby ekipa leżąca u ich stóp miała oddanych przyjaciół.

- Idź - nakazał mu jeden z bliźniaków.

- Kapitalny pomysł - mruknął Jake. Już miał życzyć całej trójce spokojnego powrotu do zamku, kiedy zaryzykował i spojrzął w prawo.

Amanda.

No dobrze, całe życie dawał się hipnotyzować barwie, wszystkiemu, co się mieniło, co było rzadkie i kunsztowne. Znano go powszechnie jako człowieka, którego mógł pochłonąć widok doskonale oszlifowanego kamienia, który rozplywa się w zachwytach nad niespotykanymi formacjami kwarcu, wpatruje się w rzęsiście oświetlone gotowe błyskotki.

Lecz w trakcie swojej długiej i błyskotliwej kariery poszukiwacza olśniewających klejnotów nigdy nie znalazł niczego podobnego do kobiety, która przed nim stała.

Była piękna, jak zauważył już wcześniej. Twarz Amandy charakteryzowała się idealnymi proporcjami, nieskazitelna cera promieniała, a figura cieszyła oko. Jednak choć wszystko nosiło znamiona ideału, rzeczą, od której Jake nie mógł oderwać wzroku, był ogień w jej oczach. Nic dziwnego, że mężczyźni na cześć tej kobiety przez wieki wznosili peany. Jake zaczął się zastanawiać, kto był tym szczęściarzem, któremu udało się zdobyć jej serce.

Nagle zdał sobie sprawę, że żałuje, iż to nie mógłby być on.

Amanda zrobiła krok w jego stronę. W jej oczach wciąż płonął dziki ogień, a dłoń nadal dzierżyła obnażony sztylet. Jake podniósł ręce w geście poddaństwa.

*** 124 ***

- O cokolwiek chodzi, to nie ja zawiniłem.

Kobieta nagle pochyliła się, odcięła długie pasmo z brudnej koszuli jednego z leżących oprysz-ków, a następnie wcisnęła sztylet z powrotem za pas. Podeszła z kawałkiem szmatki. Jake natychmiast zorientował się, co Amanda zamierza. Nie miał jednak serca powiedzieć jej, że ostatnią rzeczą, o jakiej myśli, jest to, by ten obrzydliwy strzęp zapchlonego łachmana zetknął się z powierzchnią raną, którą obnosił na ramieniu.

Co wcale nie znaczy, że by go w ogóle zrozumiała, gdyby próbował cokolwiek wytłumaczyć.

Zlekceważył więc pieczenie i niewykluczone zakażenie, gdy Amanda całkiem fachowo zawiązała mu na rękę prowizoryczny opatrunek. Nie zadała sobie trudu, by jakkolwiek się do niego odezwać.

Uznał, że nie może jej obwiniać. Jeżeli zobaczyłaby w nim coś więcej, niż tylko skończonego głupka, byłby zaskoczony. Postarała się tylko na tyle, by pokazać na swojego wierzchowca.

Jake westchnął. Chodziło o coś więcej, niż niewątpliwy fakt, że nie umie jeździć konno. Co ma zrobić ze swoją przyszłością?

Potał podbródek i odszedł krok na bok, aby to wszystko przemyśleć. Skończyło się jednak na tym, że mocno nadepnął na ciało powalonego bandziora. No tak, nad tym także należało się zastanowić.

Zerknął na Amandę i zadumał się jeszcze bardziej.

Zostać, czy sobie pójść?

W porządku, mógłby zostać chociaż na trochę - tylko dlatego, że byłoby wariactwem próbować przemierzać nieznaną kraj bez żadnych przygotowań, bez mapy albo innych terenowych przyrządów.

Musi się dowiedzieć, gdzie trafił, poznać je-

*** 120 ***

zyk na tyle, by w miarę swobodnie dogadać się podczas podróży przez kraj.

Jednak musiał też przyznać sam przed sobą, że prawdziwy powód, by pozostać, był inny. Chociaż Jake wiedział, że Amanda z Artane nigdy nie będzie jego kobietą, odejście od niej bez popatrzenia trochę dłużej przypominałoby odkrycie żyły naprawdę wspaniałego kruszcu i pozostawienie jej bez sprawdzenia, dokąd prowadzi.

- Jedźmy do domu - powiedział po francusku najpoprawniej jak potrafił.

Amanda przyglądała mu się chwilę czy dwie, potem skinęła głową i podeszła do swojego rumaka.

Jake musiał stawić czoło kolejnemu wyzwaniu: jak wrócić do zamku. Był w dobrej kondycji, ale koń Amandy wymagał wyczynów godnych skoczka wzwyż. Jake odwrócił się, aby ocenić wierzchowce chłopców i podejrzewał, że z jednym z koni mógłby sobie poradzić. Zanim ostatecznie zdecydował, czy faktycznie udałoby mu się wdrapać na siodło, jeden z braci wcisnął mu w dłoń lejce i lekko wskoczył na miejsce za Amandą.

Niech go trafi szlag, tak przy okazji.

Jake popatrzył na konia. Nie miał pojęcia, jak przedstawić się zwierzęciu, wobec którego ma się przyjacielskie zamiary, a równocześnie nie zrobić z siebie idioty wobec najpiękniejszej kobiety, jaką się w życiu spotkało.

Pojawił się brat Przydatny, jak Jake nazwał go na potrzeby chwili, i wyciągnął złożone w łódeczkę dłoń. Jake zrozumiał, o co chodzi. Postawił stopę w rękach chłopaka, a następnie podciągnął się na grzbiet wierzchowca z największą gracją, na jaką było go stać.

* 121 *

Nie wykazał się wielkim wdziękiem, ale przynajmniej nie doświadczył natychmiastowego twardego lądowania.

Podziękował bratu Amandy po gaelicku. Chłopiec uśmiechnął się i skinął głową, po czym pokazał na siebie.

- Montgomery - oznajmił.

- Montgomery - potwierdził Jake. - Dziękuję.

Montgomery uśmiechnął się, ponownie, wruszając przy tym ramionami. Spiorunował brata wzrokiem za jakąś przykrą uwagę, a następnie po-truchtał do swojego rumaka, na którego wsiadł z lekkością wynikającą z lat praktyki. Właśnie wtedy Jake przekonał się, że koń jest o wiele bardziej zwrotny niż nawet jego ukochany jaguar, rocznik 1967. Jednak zanim zdołał się nad tym faktem porządnie zastanowić, ruszyli w drogę.

To znaczy Amanda i jej bracia.

Jake został z tyłu, zastanawiając się, jak włączyć pierwszy bieg.

Montgomery spojrział przez ramię i zagwizdał. Jake zacisnął pięści na grzywie konia i postanowił, że będzie dla niego najlepiej, jeśli pozwoli rumakowi robić swoje, dopóki sam się nie zatrzyma. Skupił wszystkie siły na tym, by po prostu usiedzieć na miejscu.

Trzymał się w siodle, aż wpadli galopem za mury zamku. Na szczęście koń wiedział, kiedy ma stanąć. Amanda i jej bracia zeskoczyli z wprawą na ziemię. Jake'owi udało się jakoś spełznąć na dół, a zważywszy, że wylądował na nogach, a nie na głowie, uznał to za sukces.

Nieoczekiwanie pojawił się starszy mężczyzna z poprzedniego wieczoru, rzucając wściekle spojrzenia. Jake odgadł, że to nie jest ojciec Amandy.

*** 127 ***

Po pierwsze, byli do siebie zupełnie niepodobni, a po drugie, dziewczyna okazywała uprzejmość, ale nie głęboki szacunek. W rzeczy samej, był to szacunek innego rodzaju. Amanda w końcu skłoniła się i odeszła w stronę zamku. Jake patrzył za nią, aż zniknęła w środku.

Potem skupił uwagę na ożywionej konwersacji, która toczyła się między starszym mężczyzną a braćmi. Odniósł wrażenie, na podstawie wykonywanych przez nich co pewien czas gestów, że wszyscy trzej omawiają jego los. Postanowił, że nie spędzi już ani chwili więcej w piwnicy. Zaczął przekopywać swoje niedostateczne pokłady gaelickiego, aby znaleźć odpowiednie słowa w celu oddania sensu myśli, gdy starszy mężczyzna założył ręce na piersi i wbił w Jake'a surowy wzrok. Wyciągnął rękę w kierunku chłopców.

- Ty ich słuchać - głową wskazał na młodzieńców. - Oni cię uczyć.

Albo coś w tym stylu. Jake zdecydował, że pierwszą rzeczą, którą zrobi po zrzuceniu tych błażeńskich butów, będzie podjęcie błyskawicznego kursu średniowiecznej mowy.

Uklonił się mężczyźnie, a następnie przeniósł wzrok na swoich nauczycieli. Wysłuchali długiej listy zaleceń od starszego opiekuna, po czym obserwowali, jak odchodzi. Naradzili się między sobą, by w końcu z uśmiechami od ucha do ucha i błyskiem w oczach spojrzeć na Jake'a.

Cudownie.

Wprowadzenie w wieki średnie właśnie miało się zacząć, a za przewodników dostał dwóch piętnastolatków.

Po prostu nie mógł się doczekać.

***9**

Amanda włożyła kciuk do ust i zaczęła go ssać, przeklinając przy tym tak siarczyście, jak tylko umiała. Co ją naszło, żeby zaglądać do tego koszyka pełnego szycia? Była najzupełniej pewna, że sir Walter wytropił każdy kawałek sukna, z choćby najmniejszym rozdarciem, aby go jej wcisnąć. Spojrzała na koszyk z pocerowanymi sztukami odzieży i uznała, wzięwszy pod uwagę jego skromną zawartość, że zupełnie zmarnowała cały tydzień, chociaż z pewnością miała dzięki temu zajęcie z dała od głównej sali zamkowej i bardzo daleko od Jake'a. Była przekonana, że właśnie taki cel przyświecał sir Walterowi. I nie mogła o to nikogo obwiniać prócz siebie, zważywszy że obiecała zastosować się do polecenia sir Waltera, by pozostawała na piętrze, dopóki on nie wybada prawdziwych zamiarów Jake'a. W rzeczy samej, biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie bardziej niż sir Walter nadawała się do oceny charakteru tajemniczego gościa, nie widziała powodu, by od razu nie przystąpić do dzieła. Rzuciła więc kiepsko zacerowaną koszulę na stosik i pospieszyła do komnaty, by przebrać się w strój do ćwiczeń. Splotła włosy w warkocz, włoży-

*** 124 ***

la buty i przystanęła na chwilę, by przemyśleć plan, zanim wyszła na korytarz. Jeśli ktokolwiek potrafiłby wytropić wszystko, co należało wiedzieć o Jacksonie Kilchurnie Aleksandrze IV, to tylko ona. Latami uprawiała się, knując różnego rodzaju podstępny, a także ćwiczyła umiejętność docierania do prawdy. Jak inaczej miała sobie radzić dziewczyna, by poznać fakty o zalotniku, jeśli nie mogła obserwować go, sama nie pozostając niezauważona?

Szybko i bezszelestnie przemknęła w stronę głównej sali. Wyrzała zza zakrętu schodów. Jake siedział przy wysokim stole z jej braćmi. Montgomery i John paplali coś bez ustanku. Jeden podejmował opowieść, podczas gdy drugi robił przerwę na oddech.

Jednak zamiast okazywać poirytowanie, jak zachowałyby się większość mężczyzn, Jake tylko siedział i przykładał palce do ust, jakby bronił się przed uśmiechem. A kiedy Montgomery skończył opowiadać ulubiony dowcip Johna, Jake się roześmiał.

Amanda zadumała się. Bliźniacy. To zawsze był twardy orzech do zgryzienia dla gości. Fakt, że Jake tolerował jej młodszych braci, ba, wydawało się, że ich towarzystwo sprawia mu przyjemność, to było naprawdę coś.

Patrzyła, jak sięgnął po kubek, a następnie się skrzywił. Potarł lekko ramię, a potem powiedział coś do Montgomery'ego. Chłopak skinął głową i wszyscy trzej wstali i wyszli z głównej sali.

Ciekawe.

Amanda odebrała ze stołu kromkę chleba i podeszła do frontowych drzwi. Czy wybierali się do domu uzdrowiciela? Tak podejrzewała. Montgomery zdradził jej, przy różnych okazjach, gdy przebywała odizolowana, że Jake stosuje wyjątko-

*** 125 ***

wo osobliwą metodę leczenia ran. Amanda miała własne zapatrywania na znachorskie metody, lecz z drugiej strony dorastała przy kobiecie, która była uzdrowicielką w Artane i miała bardzo dziwne poglądy na te sprawy.

Dziewczyna westchnęła. Nic dziwnego, że odstraszała wszystkich mężczyzn. Miała własne zdanie, a przy tym zbyt cięty język.

Zerknęła za drzwi i zobaczyła, że cała trójka przemierza dziedziniec i kieruje się tam, gdzie się spodziewała. Stała i obserwowała mężczyzn w zamyśleniu, dopóki nie zniknęli we wnętrzu domku. Zapomniała już, jaki Jake jest wysoki i przystojny. Sir Walter kazał zanosić wszystkie posiłki dla niej na górę, więc widywała gościa przelotnie i z daleka, gdy podążał za chłopcami na ćwiczenia.

Zaiste, zapomniała już, jak Jake wygląda.

Cóż, nie miało to znaczenia przy jej zadaniu. Ruszyła szybkim krokiem w ślad za nimi i zatrzymała się pod drzwiami kwatery medyka. Uchyliła je i nadstawiła ucha.

- Wina? - zdumiał się mistrz Erneis. - Znowu, panowie?

- Jake chciałby przemyć nim swoje ramię - wyjaśnił poważnie Montgomery. - W ten sposób goi rany. Zupełnie nowa i interesująca metoda, nieprawdaż?

Amanda pomyślała, że dokładnie wie, co odpowiedziałby mistrz Erneis, i nie byłaby to pochwała nowych i interesujących sposobów leczenia. Znachor był z pewnością zdolny, ale niezbyt pomysłowy. Mimo wszystko słuchała, jak medyk przyniósł to, o co go poproszono, i wyraził swoje zainteresowanie listą ziół, którą Montgomery i Jake zdołali sformułować wspólnymi siłami.

*** 126 ***

- Dziękuję ci, uzdrowicielu - powiedział wyraźnie Jake.
- Chodzi mu o to, że nazajutrz wróci po więcej
- dodał Montgomery.
- W rzeczy samej, dziękuję - potwierdził Jake.
- Jestem wdzięczny.

No, przynajmniej nie przypominał już pachnącej róży, miejskiego piękniusia albo przyrumienionego świńskiego zadka, czym wszystkim w pewnym sensie zdążył być w ciągu pierwszego tygodnia - wedle braci Amandy i dzięki ich troskliwemu oku. Nic dziwnego, że na kilka dni Jake rzekomo zarzucił mówienie.

Ale tylko święci mogli wiedzieć, kim miałby się okazać, gdyby znów przemówił: wieśniakiem, wydziedziczonym synem, bandziorem o nienagannych manierach i bez skrupułów?

A może lordem, którego napadnięto i który teraz szuka schronienia pod jej dachem?

Amanda aż bała się odkryć prawdę.

Lecz trudno jej było trwać w nieświadomości.

Usłyszała kroki przy drzwiach. Odskoczyła i ukryła się za drewnem na opał ułożonym w stos pod murem. Czekala, aż trajkoczący bliźniacy i ich podopieczny oddalą się w kierunku stajni, a następnie wstała i wyjrzała. Patrzyła, jak odchodzą. Jake z winem i ziołami w ręku, a bracia rozgadani, aż uszy puchły.

Czy wybierali się na lekcję konnej jazdy?

Amanda przemknęła wzdłuż muru, kryjąc się za krzewami i innymi roślinami, na które można było natrafić za murami twierdzy. Podeszła ostrożnie do wrót stajni, lecz zaraz gwałtownie przystanęła na dźwięk głosu Jake'a. Jego język uległ nadzwyczajnej poprawie. Nie mogła się temu

*** 127 ***

nadziwić, gdy wtem usłyszała za plecami wyraźny oddech. Obróciła się w miejscu i ujrzała trzech swoich gwardzistów. Każdy z nich zasłaniał usta dłonią, jakby w ten sposób chciał stłumić odgłos oddychania. Amanda wzięła się pod boki i zmarszczyła brwi.

- Nie mam zamiaru opuszczać zamku - oznajmiła.

Jednocześnie skinęli głowami, ale nie poruszyli się.

- Jestem wam niesłychanie wdzięczna, panowie, za pomoc, ale właśnie prowadzę mały rekonesans i nie potrzebuję gromady mężczyzn deptających...

Głos Jake'a rozbrzmiał tuż za nią. Pomknęła na palcach, by ukryć się za strażnikami. Upewniwszy się, że jest dobrze schowana, wstrzymała oddech.

- Gwardziści Amandy - rzekł Montgomery.

- Wszędzie za nią chodzą, ale nie widzę jej tutaj. A ty, John?

- Nie widzę, lecz z pewnością jest gdzieś w pobliżu - burknął bliźniak. - Chodź, Montgomery, zabierzmy go do zbrojowni. Będzie potrzebować jakiegoś miecza, jeśli mamy z nim później poćwiczyć. Osobiście nadal uważam, że potrzeba mu lekcji konnej jazdy.

- Nie chce jeździć konno - sprzeciwił się Montgomery. - Nie z takim ramieniem i w ogóle.

- Jego ramię jest w porządku - przerwał John.

- Prawda, Jake?

- Już z nim lepiej, John - zgodził się gładko Jake. - Może później.

- Nie chcesz nauczyć się jeździć w siodle? - nie dowierzał John. - Jak możesz nie chcieć?

- Nie sądzę, żeby chodziło mu o to, że nie ma ochoty - bronił Jake'a Montgomery. - Śmiem twierdzić, że będzie się uczyć, kiedy wydobrzeje.

* 133 *

Na szczęście został ranny w lewe ramię. Zaczniemy na początek od ćwiczenia prawej ręki. Amanda słuchała dyskusji o tym, jak najlepiej zacząć treningi Jake'a, dopóki głosy chłopców nie ucichły w oddali. Gdy już mogła wyrzucić z za gwardzistów i sprawdzić, że cała trójka poszła na dobre, jąła zastanawiać się, co dalej. Mogła podążać za swoją „zwierzyną” do zbrojowni, jak planowała, ale co by na tym zyskała? Żywiła pewne wątpliwości, czy Jake odsłoni choć rąbek prawdziwego oblicza przed jej braćmi. Jeżeli skrywał jakąś wielką tajemnicę, czy oznacza to, że zawierzy dwom młodzieńcom o wątpliwej dyskrecji?

Bynajmniej.

Ruszyła powoli w stronę miejsca codziennej musztry, pogrążona w myślach o nieznanym.

- Pani?

Odwróciła się i spojrzała na Roberta z Conyers. Był to gwardzista sprowadzony przez ojca z Francji, z majątku nieopodal włości prababki, aby objął funkcję kapitana osobistej gwardii córki. Robert był niezłomny w swojej lojalności, ale okazywał Amandzie wyłącznie iyczliwość. Bez słowa skargi prowadził podległych mu gwardzistów w ślad za nią w każdą, choćby niepoważną przygodę.

- Cóż takiego, miły panie?

- Czy wybierasz się, pani, prowadzić swoje dochodzenie, czy raczej... - urwał i spojrzał na nią niepewnie. - Czy...

- Na ćwiczenia - oznajmiła. - Trochę się poruszać. Naturalnie nie musieliście przychodzić. Będę dostatecznie bezpieczna.

Robert skinął głową, a następnie razem z pozostałymi dwoma gwardzistami pokłonił się jej nisko i odszedł. Oczywiście Amanda wiedziała, że doko-

* 134 *

nają przegrupowania w pobliżu miejsca ćwiczeń, by nadal mieć ją na oku, ale przynajmniej będzie miała złudzenie prywatności. Poszła od razu na plac musztry, zanim gwardziści zmienili zdanie. Jeszcze nie rozpędziła się na dobre, gdy zaczął padać deszcz.

Jakoś nie była zaskoczona.

Pogoda pasowała do jej nastroju. Nie należała do osób, które pozwalają, by okoliczności wytrąciły je z równowagi, a wydarzenia wpędzały w przygnębienie, ale po raz pierwszy w życiu czuła się dość beznadziejnie. Cały plan, wszystkie intrygi i możliwość wykorzystania odwagi, wszystko poszło na marne. Wydarto Amandzie wolność, nim zdołała prawdziwie jej zakosztować. A teraz wróciła do punktu wyjścia: uwięziona w klatce miłego sercu domu, kochała go i nienawidziła jednocześnie, a jedynym dostępnym kluczem do wolności pozostawało małżeństwo.

A tymczasem, święci pańscy, lepszym pomysłem wydawała się chwila odpoczynku.

Zmagła się z tą pokusą dopóty, dopóki nie przemokła i uznała, że już nie da rady zrobić ani jednego kroku. Pochyliła się, opierając ręce na udach. Z trudem łapała oddech. Robin byłby pod wrażeniem, że przebiegła dwadzieścia okrążeń dokoła placu musztry, przy czym już jedno przyprawiło ją o zadyszkę. Amanda napisałaby bratu o swoim osiągnięciu, tylko że prawdopodobnie nie uwierzyłby, jeśliby sam tego nie zobaczył.

Wtem zdała sobie sprawę, i to z przerażeniem, że ktoś inny mógł być świadkiem jej wyczynu.

Jakiś mężczyzna niedbale opierał się o pobliski mur. Znalazł sobie wygodne miejsce pod nawisem,

*** 130 ***

jak mieli zwyczaj mniej zacięci strażnicy Artane chowający się przed nadciągającą słotą. Mężczyzna patrzył na Amandę. Trzymał coś przerzucone przez ramię. Pelerynę? Może pilnował, by okrycie nie zamokło, żeby później dać je Amandzie. A może zachowywał suchy płaszcz dla siebie.

Albo może też, w końcu, powinna się zapamiętać w ćwiczeniach tak jak Robin, który, jak głosiły legendy, potrafił biegać aż do wyczerpania. Wówczas wywietrzałyby jej z głowy te przekłete głupie myśli. Mężczyzna prawdopodobnie przyniósł sobie coś do siedzenia, gdyby przypadkiem trafił mu się tylko kawałek mniej-niż-gościnnej ławy.

Amanda doszła do siebie na tyle, by spostrzec, że wybałusza na nieznajomego oczy, dysząc po biegu. Prędko się wyprostowała, żeby nie wziął braku tchu za coś, czym nie było.

Trzeba jednak przyznać, że ten mężczyzna przyprawiał ją o brak oddechu w piersi.

Odwrócił się, by powiesić przyniesione okrycie na haku. Amanda mogła dostrzec, że w istocie była to jej peleryna. Potem ruszył przez zabłocony plac. Amanda przywołała na myśl wszelkie powody, dla których nieznajomy był nieodpowiednią partią. Nie władał mieczem. Nie umiał jeździć konno. Ledwo mówił w jej języku. Lecz, na wszystkie świętości, wystarczały jego inne zalety, by tamte wszystkie powody uleciały jak wiatr. Chodziło nie tylko o twarz, ale i o szerokie ramiona, lekki chód, który tak różnił się od dumnego kroku Robina. Ten mężczyzna stąpał w jej kierunku niczym polujące zwierzę. Poczuli się jak zdobycz.

*** 131 ***

Powachlowałyby niespodziewanie rozognione policzki, ale lało jak z cebra i to powinno było wystarczyć, by ją ostudzić.

Jake przystanął i uśmiechnął się, spoglądając poważnie.

- Skończyłaś? - spytał uprzejmym tonem.

Czy skończyła? Ach, uznała, że nigdy nie potrafiłaby przestać - patrzeć, słuchać i myśleć o mężczyźnie stojącym naprzeciwko. Jednak w tym momencie była w stanie tylko patrzeć i niesumienne wykonanie tej czynności nie miało sensu, więc natychmiast przystąpiła do dzieła.

Stał przed nią nie dalej niż na trzy kroki, z rękami założonymi na plecach. Rzuciłaby się całą sobą w otchłań pożądania, gdyby była przyzwyczajoną do takiego zachowania kobietą. Stare ubrania Nicholasa ledwo kryły znakomitą sylwetkę Jake'a. Gdyby nie ufała swojemu rozsądkowi, pomyślałaby, że oto stoi przed arystokratą o nienagannym rodowodzie, nieograniczonej potędze i wpływach. Nosił się dokładnie tak jak jej bracia, z pewnością siebie i swobodnie. A nawet gdyby nie dość było samej postawy, by zmiękczyć kolana, wystarczyłoby skończone piękno oblicza. Patrzy! na nią oczami koloru morskiej zieleni, które zdawały się parzyć Amandę tam, gdzie akurat kierowały spojrzenie, jakby mężczyzna usiłował wypalić ją sobie w pamięci.

I wtedy, jakby zdając sobie sprawę z przepaści pożądliwego zepsucia, w którą Amanda runęła, uśmiechnął się.

To był tylko leciutki uśmiech.

Jednak omal nie zwałił Amandy z nóg.

Chwyciła się gorączkowo strzepów zdrowego rozsądku, jakie jej pozostały. Bez względu na uwo-

*** 137 ***

dzicielską urodę wieśniaka, którego miała przed sobą, nie był dla niej odpowiednią partią. Nadal pozostawała więźniem „spizarni” ojca do chwili, aż zjawi się właściwy gość na kolację i w ramach głównego dania poprosi o Amandę. A na dodatek, niech to diabli, deszcz wzbierał na sile, zamiast zelżeć.

- Czy skończyłam? - wykrztusiła z siebie w końcu. - Ależ nie, wcale.

I po tych słowach zrobiła najrozsądniejszą rzecz ze wszystkich tego ranka. Pobieгла.

Po pewnym czasie zauważyła, że ma towarzysza swoich trudów. Amanda była w pełni świadoma faktu, że Jake biegnie obok niej susami z taką lekkością jak sam Robin. Rzuciła okiem na jego stopy i odrobinę zaskoczył ją widok butów. Były znoszone, lecz wciąż zdadne do użytku. Może ktoś zlitował się nad gościem i dał mu coś innego w miejsce paradnych cizem. Te buty to był ogromny postęp.

- Mogę się przyłączyć? - zapytał równie uprzejmie jak poprzednio.

- Wygląda na to, że już to zrobiłeś - zdołała odpowiedzieć.

Uśmiechnął się.

Ten uśmiech prawie Amandę pogrążył.

Okrażyła plac jeszcze pięć razy. Zatrzymała się z wielkim bólem, zważywszy że Jake nawet nie dostał zadyszki, a ona nie chciała słabo wypaść na jego tle, lecz wiedziała, że dalszy bieg by ją wykończył. Poza tym dzisiejszy ranek już wyczerpał jej siły - a dokonała nie lada wyczynu. Zasłużyła na odpoczynek.

- Teraz już skończyłam - oznajmiła, łapiąc hausty powietrza, trzymając się za bok i żałując, że nie

* 138 *

może nigdzie usiąść, nie pokonując kolejnych kilku kroków. Odgarnęła z oczu ociekające kosmyki włosów i podniosła na Jake'a wzrok. - A ty?

- Ja jestem tutaj... - wyraźnie szukał słów - ...dla towarzystwa.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Przebiegł ją dreszcz, który miał niewiele wspólnego z deszczem.

Święci pańscy, musiała jakoś zapanować nad galopującymi niewieściami emocjami. Jeśliby tego nie zrobiła, zaczęłaby błagać Jake'a, żeby ją szybko poślubił.

- Zechciej poczekać - poprosił i urwał, by przynieść Amandzie pelerynę.

Stała w strugach deszczu z boku placu musztry i dygotała, gdy okrył jej ramiona. Zawahał się, a po chwili wyciągnął dłoń i rozplótł jej warkocz. Potem odsunął się i znów uśmiechnął, tym swoim leciutkim uśmiechem zdradzającym tajemnice, do których tylko ona zostałaby dopuszczona.

Amanda dotknęła czoła.

Miała gorączkę, na pewno.

- Muszę wrócić do zamku - wybąkała słabym głosem.

- Jak sobie życzysz.

Skinęła głową, a potem szybko odeszła, mimo że o wiele bardziej wolałaby wlec się noga za nogą.

Jake towarzyszył jej w milczeniu. Amanda odkryła, że wspólny chód był niemal taką samą udawką, jak bieg przed chwilą. Miała pełną, bolesną świadomość obecności Jake'a i żadnej broni, by z tą świadomością walczyć.

Na wszystkie świętości, musi odpocząć.

Wbiegła po schodach do głównej sali, a potem zatrzymała się przy drzwiach, by spojrzeć na towarzysza.

*** 134 ***

- Mam dużo pilnych spraw do załatwienia - wyjaśniła z ważną miną.

Jake złożył jej głęboki ukłon.

- Jak sobie życzysz, pani.

Czy ten człowiek nie potrafi znaleźć innych słów? Rzuciła mu chmurne spojrzenie i wkroczyła do sali, a następnie na schody, którymi poszła w spokoju na górę. Nie traciła czasu na ciężkie tupanie, przygotowując się do swoich pilnych spraw. Gdybyż tylko miała coś ważnego do zrobienia...

Posprzątała w pokoju, który dzieliła z Isabelle - przy czym zajęło to niezbyt dużo czasu, jako że siostra zabrała większość rzeczy ze sobą, a Amanda swoich miała niewiele. Podeszła do okna, opadła na kamienną ławę i wbiła wzrok w deszcz.

Westchnęła, tęskniąc za życiem sprzed czternastu dni, kiedy wszystko było proste i kiedy obawiała się tylko kilku zbyt przejętych rolą zalotników.

Podeszła do drzwi, nim się zastanowiła, co robi. Tylko święci mogli wiedzieć, jakie psoty chodziły po głowie jej braciom. Najlepiej ich powstrzymać przed wdaniem się w intrygi, póki można.

A przynajmniej tak-sobie powtarzała.

Szczerze mówiąc, zupełnie nie interesowało jej co robi Jake.

Zeszła schodami i przystanęła na ostatnim stopniu, gdy usłyszała głosy chłopców. Wyjrzała zza rogu, tak jak ostatnim razem, i zobaczyła swoich braci i ich ucznia, jak siedzą przy wysokim stole. Rozmawiali o jedzeniu, co nie było niespodzianką.

- Węgorze? - zdumiał się Jake. - W sosie?

- Nie waż się ich jeść pod żadną inną postacią - ostrzegł go John. - W takiej formie to paskudztwo jest strasne, w każdym razie kuchmistrzynie potrafi dosmaczyć węgorze przyzwoitym sosem.

* 135 *

Na dworze lorda Pevenseya sosy są gorsze od mięsa.

Amanda niespodzianie odczuła wielką wdzięczność za to, że dorosła w miejscu, gdzie posiłki są jadalne.

- A wieczerza u króla? - ciągnął temat Jake.

- Jest lepsza?

- Musi być najlepsza - zaśmiał się Montgomery.

- Chociaż śmiem twierdzić, że Henryk nie szalałby z wściekłości, gdyby było inaczej. Nie tak, jak mógłby się zachować król Jan.

- Henryk III - rzekł powoli Jake. - Jest teraz królem?

Amanda skrzywiła się. Oczywiście, że jest królem. A któż by inny?

Podśluchiwała Jake'a, którego francuski nagle uległ ogromnej poprawie - był o wiele lepszy niż ten używany podczas rozmowy z nią - jak wypytywał jej brata o najnowsze wydarzenia, stan liczbowy armii króla, sytuację Anglii w chwalebnym Roku Pańskim 1227. Wtem dotarło do Amandy, z tą samą mocą co fakt, że niemal zasypia na stojąco, że Jake jest dużo bardziej inteligentny, niż to okazuje. A bliźniacy są za głupi, by to pojąć.

Wcale nie był taki, na jakiego wyglądał. Nie potrafiła zdecydować, czy powinna się bać, czy też odczuwać zaintrygowanie.

Podskoczyła, kiedy odwrócił głowę i zauważył ją. Bracia, siedzący nie-tak-niewinnie za plecami Jake'a, wyszczerzyli się w uśmiechach.

Niech ich diabli.

Amanda przemierzyła salę energicznym krokiem. Jaka szkoda, że już wyczerpała wszystkie siły na placu ćwiczeń, w przeciwnym razie od razu by się tam udała. Uznała, że mogłaby wycofać się

*** 141 ***

z powrotem na górę i pójść na blanki, ale było zbyt dżdżysto.

Pomyślała o zbrojowni. O nie, zbyt wielka pokusa, by wynieść coś, czego mogłaby użyć wobec kórkolwiek z trzech osób, które zostały w sali i domagały się, by porzuciła płac musztry i nie dręczyła go więcej swoim ciężkim tupotem.

Z hukiem zamknęła skrzydło drzwi wyjściowych. Spojrzała na przeciwległą stronę dziedzińca i odszukała wzrokiem kaplicę. To było dla niej idealne miejsce. Uzbierało się kilka spraw, z powodu których powinna wzbudzić w sobie żal: łgarstwa, podstępny, za dużo przeklinania...

A co najważniejsze - pożądanie.

10*

Jake wymachiwał ramionami, biegnąc po komnacie. Próbował w ten sposób rozluźnić obolały od napiętych mięśni kark oraz wygnać z kości chłód. W dwudziestym pierwszym wieku w zabytkowych domach bywały przeciągi, lecz większość budynków zmodernizowano, instalując ogrzewanie.

Średniowieczne Artane oznaczało brutalny kontakt z rzeczywistością - a był przecież czerwiec. Niech Bóg ma go w swojej opiece, kiedy nastanie grudzień...

Potrząsnął głową. Nie miał zamiaru zostawać tutaj do grudnia, w każdym razie nie w Artane wieków średnich.

Wykonał kilka kolejnych zamaszystych wymachów ramionami, aby się rozgrzać, i podszedł do ławy pod oknem, nim dobrze pomyślał. Otworzył okiennice i natychmiast owionął go podmuch wiatru.

Średniowieczne okna trudno byłoby uznać za energooszczędne.

Jake nie mógł wyjść ze zdumienia. Spotkała go niesamowita przygoda. Niesamowita i niemalże niewiarygodna.

Ale on w nią uwierzył. Jeżeli to, co go otacza, nie byłoby wystarczającym dowodem, rozmowy, które odbywał z piętnastoletnimi bliźniakami, dobitnie świadczyły, że nie ma mowy o pomyłce. Szczęśliwie

* 137 *

dla nich wszystkich Jake podczas swoich podróży wielokrotnie był zmuszony błyskawicznie uczyć się kluczowych zwrotów i prawidłowego akcentu. Wystarczyło połączyć doświadczenie i umiejętność odmieniania czasu zaprzeszłego we francuskim, i chłopcy mogli odebrać swoją nagrodę, gdy Jake z powodzeniem odświeżył językowe zdolności. Wszystko ładnie pięknie, ale wciąż nie było odpowiedzi na pytanie, które nie dawało Jake'owi spać przez ostatni tydzień.

Dlaczego się tu znalazł?

Czym kierował się los, wyrywając go z właściwej epoki i rzucając osiem wieków wstecz, poza chęcią przeprowadzenia jakiegoś paranormalnego doświadczenia, które poszło całkiem na opak?

Amanda.

Jake patrzył przez okno, ale przed oczami przesuwwały mu się obrazy wydarzeń z tych kilku dni, które spędził poza normalnym biegiem czasu. Amanda przemoczona do suchej nitki i biegająca dokoła zabłoconego placu. Biegająca tak, jakby pędząc do utraty tchu, chciała uciec od spraw, których nie potrafi zrozumieć. Amanda niczym furia atakująca jego napastników z rozwianymi włosami i płonącymi oczami. Amanda z twarzą umorusaną sadzą, w chłopięcym stroju, która przyszła wydobyć go z więzienia, oferując ubranie i przyjazną dłoń.

Amanda.

Jake odwrócił się gwałtownie od okna. Trafił tutaj z powodu jakiegoś dziwnego kosmicznego kaprysu, nie dlatego, że los przyłożył do tego rękę. Amanda nie jest mu przeznaczona. Nie miał jej nic do zaoferowania. Mógł być bezwzględny człowiekiem interesu, cholernie dobrym projektantem wyjątkowo kosztownych błyskotek i mistrzowskim

*** 138 ***

poszukiwaczem szlachetnych kamieni, ale żadna z tych umiejętności na nic by mu się nie przydała w średniowiecznej Anglii. A już z pewnością wszystkie zdolności nie wystarczyłyby, by zdobyć najpiękniejszą kobietę, jaką w życiu widział.

Nic dziwnego, że mężczyźni byli nią urzeczeni jeszcze osiemset lat później.

Cóż, nie ma sensu dalej się nad tym rozwodzić. Poduma jeszcze chwilę lub dwie wdzięczny w duchu, że nie siedzi w lochu, a potem zacznie nowy dzień.

Rozejrzył się po średniowiecznym mieszkaniu. Miał w każdym razie łóżko. John i Montgomery uznali, że najlepiej byłoby dla niego, gdyby cały czas przebywał z nimi, żeby przypadkiem nie pobłądził i nie poprosił jakiegoś wysoko postawionego arystokraty o kawałek podrobów w sosie własnym. Jake przełamał więc w ich komnacie na łóżeczku, w którym jeden z braci spał bez wątplenia pięć czy sześć lat temu. Nie narzekał, że nogi zwisały mu dziesięć cali za łóżkiem. To było i tak lepsze niż zakwaterowanie poniżej poziomu zamku w przewiewnej celi. Również towarzystwo było przyjemniejsze. Bliźniacy byli, no cóż, zawahał się, czy użyć słowa „fajni”, ale „zabawni” nie miało się zbytnio z prawdą.

Jego rodzeni bracia, Charles, Theodore i William stanowili żałosne trio. Między każdym z nich była różnica czternastu miesięcy, a razem wzięci byli starsi od Jake'a o kilka lat. Pojawił się na scenie niechciany i irytujący tylko po to, żeby parę lat po nim przyszła na świat dziewczynka, którą rozpieszczano już w łonie matki. Jake nie znosił ich wszystkich. Bracia byli samolubni, niewdzięczni i chciwi. Siostra była samolubna, niewdzięczna, chciwa i głupia. Cała czereda go nienawidziła, co Jake'owi specjalnie nie przeszkadzało.

*** 145 ***

W każdym razie tak sobie zawsze powtarzał.

A teraz, z dwoma młodszymi chłopcami chodzącymi za nim krok w krok, nie był pewien, czy nie tęsknił w życiu za braćmi, którzy by go lubili.

Bliźniacy Ignęli do Jake'a. Zdradzali się z tym, kiedy sądząc, że ich nie rozumie, omawiali jego zalety (wzrost, możliwości władania naprawdę dużym mieczem i oraz widoczną odporność na czar Amandy), a także wyliczali wady (marny francuski i oczywista nieumiejętność wskakiwania na konia w pełnym biegu). Jednak mimo wszystko znalazł w oczach chłopców uznanie.

Ogólnie rzecz biorąc, średniowieczna Anglia okazała się dobrym miejscem. Nadal nie miał pojęcia, co do diabła tutaj robi, ale może wcale nie było konkretnego powodu. Po prostu zdarzył się błąd. Taki, który będzie musiał prędko naprawić.

Może jutro.

A dzisiaj, pomyślał, wyginając zziębnięte palce, pozbędzie się tych braci de Piaget i spędzi czas z kimś, z kim nie powinien.

Stąpił po kruchym lodzie i zdawał sobie z tego sprawę. Amanda poślubi kogoś innego i z pewnością nie wypada się w ten sposób wtrącać. Ale jak można być tak blisko niej i nie pozwolić sobie na odrobinę uwielbienia? To tak, jakby dostać się do klejnotów koronnych, by móc je obejrzeć z bliska i... odejść. Nie mógł czegoś takiego zrobić.

Ochlapał się w wodzie zbliżonej do lodowatej, wytarł twarz rękawem i wyszedł z sypialni. Miał zamiar z rana dotrzymać Amandzie towarzystwa. Jeden ranek nie zaszkodzi.

Skierował się do głównej sali, poczęstował całkiem jadalną owsianką zostawioną na stole, a następnie wyruszył na swoją małą wyprawę.

*** 140 ***

Zajrzał na plac musztry, do infirmerii, ogrodu i do stajni. Wyszedł ze stajni i przespacerował się po dziedzińcu, rozdając spotkanym ludziom ukłony i uśmiechy. Wypróbował nawet kilka nieszkodliwych pozdrowień i spotkał się z autentycznymi odpowiedziami. Życie było piękne.

Zatrzymał się przed wejściem do kaplicy. Nie potrafił sobie wyobrazić Amandy siedzącej bez ruchu i medytującej, ale już wcześniej zdarzały mu się pomyłki. Wszedł na schodek, otworzył drzwi i znalazł się w środku. Nie musiał się zbytnio rozglądać, by dostrzec kobietę o królewskiej postawie siedzącą w pierwszej ławce.

Amanda.

Jake zamknął za sobą ciężkie drzwi tak delikatnie, jak umiał i oparł się o framugę. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek mógłby przywyknąć do jej widoku. Kobieta, która kładła kres kłótniom jeszcze osiemset lat później, a on był tuż obok niej, oddalony ledwo o dziesięć stóp. Niesamowite. Przy czym nie należał do osób, które oddają się paranormalnym praktykom.

Amanda siedziała zupełnie nieruchomo, z pochyloną głową, a na plecy spływała jej kaskada długich, prostych, ciemnych włosów. Z trudem mógł pogodzić widok kobiety, którą miał przed sobą, z tą, którą oglądał poprzednio - cwałującą niczym obłąkana, ścigającą się ze swoimi demonami, niosącą mu ratunek z rąk napastników o połowę większych od niej.

Drgnął lekko, gdy zdał sobie sprawę, że Amanda patrzy nań przez ramię. Jake uśmiechnął się.

- Przepraszam - powiedział.

Przyglądała mu się chwilę lub dwie w milczeniu, a potem skinęła głową w kierunku pustego miejsca

* 147 *

w ławce obok. Zaproszenie, czy też zaostrenie bólu w karku? Jake uznał, że chodzi o to pierwsze. Pomknął przejściem i szybko usiadł przy Amandzie, żeby nie zmieniła zdania i nie uciekła. Znow zapadła w bezruch i odrobinę pochyliła głowę, zamykając oczy. Jake wpatrywał się w nią, nie mogąc oderwać wzroku. Najzwyczajniej w świecie brakowało mu tchu w piersi. Gdyby chodziło tylko o piękno, to określenie by wystarczyło. Tylko że Amanda była też najwyraźniej wygadana i odważna. Bliźniacy nie mieli racji.

Jake był kompletnie nieodporny.

Nagle Amanda spojrzała na niego spod rzęs.

- Nie modlisz się?

- Powiniennem - przyznał gorliwie. Roześmiała się.

Jake poczuł się, jakby właśnie otrzymał ciężki cios.

Amanda zasłoniła usta dłonią, potem znow opuściła rękę na kolana i pochyliła głowę. Jednak nadal się uśmiechała. Jake'a zdumiało, jak to możliwe, że drobny objaw wesołości u kobiety, którą ledwo znał, mógł sprawić, że czuł się jak czternastolatek po raz pierwszy-poważnie zadurzony. Tylko że nie miał czternastu lat. A to zdecydowanie nie była kobieta, którą mógłby mieć.

Trwał tak przez jakiś czas, po prostu pozwalając sobie na przyjemność siedzenia obok tej cudownej istoty i rozważając absolutne nieprawdopodobieństwo sytuacji. Rzucił Amandzie ukradkowe spojrzenia, gdyż nie potrafił nad tym zapanować. Wreszcie musiał się odezwać, ponieważ na to również nie umiał nic poradzić.

- Co robisz? - wyszeptał.

Odpowiedziała dopiero po chwili lub dwóch namysłu.

*** 142 ***

- Żałuję za grzechy.
- Żałujesz za grzechy? - powtórzył. - Naprawdę musisz?

Spojrzała mu wtedy prosto w twarz.

- Zawsze.
- Co za awanturnica!
- Gdybyś tylko wiedział.

Nie umiał sobie tego wyobrazić. Jedyne awantury, jakie mogłaby powodować, to byłyby pewnie bójki o to, kto ma siedzieć obok niej przy wieczerzy.

- Często to robisz? - pytał dalej.
- Co takiego? Wzbudzam w sobie żal, czy robię to wszystko, co na niego zasługuje?
- I jedno, i drugie. Amanda uśmiechnęła się.
- Jestem tutaj każdego ranka, jeśli to wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie.

Wystarczyło. Może powinien przyjrzeć się lepiej własnemu życiu. Krótka wizyta w kaplicy także nie byłaby kiepskim pomysłem. Czy to źle odgrzebywać występki, jeśli oznaczałoby to spędzanie czasu z Amandą z Artane?

- Twój francuski od wczoraj znacznie się poprawił - zauważyła.
- To prawda.
- Moi bracia uważają, że wciąż się zmagasz z językiem.
- Lubię być... - szukał właściwego wyrazu - ...niedoceniany.
- Dlaczego?

Rzeczywiście, dlaczego? To był ulubiony chwyt jego ojca, by zyskać przewagę nad biznesowymi konkurentami.

- Daje mi to czas na zbadanie stanu rzeczy - wyjaśnił - zanim przystąpię do działania.

*** 149 ***

Albo coś w tym rodzaju, miał cichą nadzieję. Zaczynał się zastanawiać, czy nie przecenia swoich zdolności językowych.

- Mam braci takich jak ty - powiedziała Amanda w zamyśleniu. - Takich jak ty, a jednak nie całkiem. Porzucił jakiegokolwiek pozory, że się modli i przesunął się, by móc ją lepiej widzieć.

- Ilu masz braci?

- Pięciu.

- Pięciu? Biedaczka.

Znów się uśmiechnęła i znów ten widok niemal zwałił go z ławki na ziemię.

- O tak, zgodziłabym się z tym.

- A jakie ci ciemieżyciele noszą imiona?

- Montgomery'ego i Johna już znasz. Jeszcze jest Miles, Nicholas i wreszcie Robin. Robin jest najstarszy i najgorszy z całego towarzystwa.

Robin. Jake przypomniał sobie, gdzie słyszał to imię, i równie wstrząśnięty zdał sobie sprawę, że nie musi oglądać Robina, aby go poznać. Ani jego żony, Anny, i czwórki ich dzieci.

- Ile dzieci ma teraz Robin? - odważył się spytać.

- Jedno, ale Anne oczekuje kolejnego potomka zimą - rzuciła mu baczne spojrzenie. - Dobrze się czujesz?

Jake odpowiedział uśmiechem, choć podejrzewał, że wypadło to trochę słabo. No dobrze, skoczyć kilka wieków wstecz jak do sklepu, to jedno, ale znać przyszłość Robina to całkiem co innego.

A potem Jake uświadomił sobie kolejną rzecz i zdumiał się, dlaczego wcześniej mu to nie przyszło do głowy.

- Robin jest twoim bratem. Ach, czyli ty jesteś siostrą Robina.

* 144 *

Amanda popatrzyła na niego ponownie tak, jakby chciała powiedzieć, że wie, iż jest nieudacznikiem, ale teraz zamierza dorzucić do tego odświeżoną opinię, że jest również pomyleńcem.

- Przepraszam. - Przetarł dłońmi twarz. - Sądzę, że gdzieś przegapiłem porę snu.

- Może w lochu.

Teraz Jake się uśmiechnął.

- Bez wątpienia.

Amanda umilkła i cisza pogłębiła się. Jake doskonale wiedział, o czym dziewczyna myśli. Chciałaby zadać parę pytań. Nie był jednak pewien, czy potrafiłby na nie udzielić odpowiedzi.

Przypatrywała mu się chwilę, nim podjęła rozmowę.

- Jestem ciekawa paru rzeczy...

- A może pospacerowalibyśmy po plaży i powiedziałbym ci wszystko, co chcesz wiedzieć - zaproponował. No cóż, większość tego, co chciałabyś wiedzieć, dodał w duchu. - Macie tu w pobliżu plażę, prawda?

- Oczywiście.

Jake skoczył na równe nogi, a następnie wyciągnął do towarzyszki dłoń.

- No to chodźmy. Chyba że masz jakieś inne zajęcia.

- Bynajmniej - odrzekła. - Jedyne zadanie na dzisiaj to zaspokoić swoją ciekawość.

A potem Amanda bardzo ostrożnie położyła dłoń na dłoni Jake'a i pozwoliła podnieść się z ławki.

I to było dosłownie wszystko, co Jake mógł zrobić, by nie porwać jej w ramiona. Chciał otoczyć

Amandę jedną ręką w pasie, drugą zanurzyć w jej włosach i całować tak długo, aż oboje oszołomiłby brak tchu.

*** 151 ***

Zadrzała.

Może ona też to poczuła.

- Jadło - odezwała się nagle, cofając dłoń. - Zabiorę trochę jedzenia.

- Dobry pomysł - uznał Jake. Coś, co zajmie usta, a co nie będzie oznaczało całowania Amandy.

Ruszył razem z nią wzdłuż przejścia, powłócząc butami po wygładzonych kamieniach. Patrzył na kobietę idącą obok, zachwycając się jej średniowieczną suknią, i nie widział w tym wszystkim absolutnie nic osobliwego. Szybko dał się ponieść emocjom.

Na swoją obronę mógł powiedzieć, że Amanda miała dużo innych zalet, przewyższających li tylko niewieście przymioty. Jake naprawdę nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem szedł z kobietą, której nie zależało na nim z jakichś płytkich powodów. Amanda nie pytała go o portfolio ani nie prosiła o jeden tyciuteńki rzut oka do szkatuły, by sprawdzić, czy nie znalazłoby się tam coś odpowiedniego.

A poza tym Jake nie miał żadnych klejnotów w skarbcu, choćby w połowie tak efektownych jak ten, który szedł przy nim, więc nawet gdyby Amanda o coś takiego poprosiła, prawdopodobnie nie byłaby zachwycona.

-... zaczekać?

Jake zamrugał oczami, orientując się, że byli już w połowie dziedzińca, a Amanda coś do niego mówi.

- Proszę?

- Przyniosę jedzenie. Zaczekasz na mnie tutaj? Czy zaczeka?

Zaczeka, by ją pocałować. Zaczeka, by na jego życzenie pożegnała ostatnim pocałunkiem dawne życie i poszła razem z nim. Zaczeka, by poczuć, jak

* 146 *

znów spada o ziemię, ponieważ był niemal pewien, że wciąż wiruje w jaguarze, który przeniósł go tutaj.

- Tak - wykrztusił wreszcie. - Zaczekam.

Uśmiechnęła się ponownie, a potem odwróciła i wbiegła po schodach do zamku. Jake rozejrzał się za jakimś miejscem do siedzenia, ale nic takiego nie znalazł. Stał więc tylko na szeroko rozstawionych nogach, udając, że wcale nie czuje się tak, jakby ktoś po raz trzeci tego ranka zdzielił go w żołądek.

Wiedział, że wypływa na niebezpieczne wody, ale nie potrafił się powstrzymać. Nie potrafił się powstrzymać i nie chciał. Amanda nie mogła należeć do niego, ale przez dzień lub dwa mógł udawać, że tak jest.

Cóż to szkodzi?

Nie chciał odpowiadać sobie na to pytanie.

11-

Amanda stała w kuchni, trzymając koszyk, podczas gdy kuchmistrzynie napełniała go wszelkiego rodzaju strawą dla głodnych dusz porzuconych na lądzie. Dziewczyna usiłowała nie ścisnąć ucha koszyka, jakby był jedyną podporą utrzymującą ją w pionie. Tak naprawdę pragnęła opaść na ławę przy kominku po drugiej stronie, by sprawdzić, czy jest w stanie się ogrzać. Wczoraj była przekonana, że trawi ją gorączka. Dzisiaj przeszywały ją dreszcze.

Dreszcze, kiedy jej dotykał.

Dreszcze, gdy na nią-patrzyli.

Albo była o krok od poważnej choroby, albo coś z nią było nie w porządku, czego nie umiała nazwać.

- Bardzo proszę, milady - powiedziała kuchmistrzynie, przykrywając koszyk czystą ściereczką i przyklepując czułym gestem. - Wystarczy dla ciebie, pani, i dla pięknego panicza. Czy chciałabyś także coś do picia?

Amanda przytaknęła i wzięła gąsiorek wina. Zważyła w rękę koszyk, mocniej przycisnęła naczynie i podążyła z powrotem przez główną salę do wyjścia.

*** 154 ***

- Mandy, gdzie idziesz? - zawołał za nią Montgomery.

- Nigdzie - rzuciła przez ramię, otwierając drzwi. - Zajmij się szermierką.

Oczywiście gwardzistów nie udałooby jej się zbyć tak łatwo. Już mogła ich dostrzec, jak formują szeregi przy bramie zewnętrznego muru. Amanda zeszła po schodach i znalazła Jake'a tam, gdzie go zostawiła. Wyciągnął ręce i wziął od niej koszyk i gąsiorek, zanim jeszcze dotknęła stopą dziedzińca.

- Piękny dzień - odezwał się. - Doskonali, by udać się na plażę.

Skinęła tylko głową. Gdyby otworzyła usta, wybełkotałaby coś niezrozumiałego, więc trzymała się kurczowo milczenia, jakby tylko ono było w stanie ją ocalić. Ruszyli z Jakiem w stronę bramy.

Na pozór podzielał jej pragnienie spokoju, gdyż nic nie mówił, dopóki nie wyszli poza mury i nie skręcili w kierunku morza. Raz czy dwa obejrzał się przez ramię, a potem oddał dziewczynie koszyk i wino.

- Potrzymaj, proszę - rzekł cicho. - Ktoś nas śledzi.

Amanda spojrzała za siebie, ale zobaczyła tylko swoją obstawę. Uśmiechnęła się.

- Oni? Ci ludzie są moimi gwardzistami.

- Ubrali się bardzo swobodnie jak na ludzi udających, że cię strzegą. - Jake zmarszczył brwi.

- Mają wyglądać na opryszków, a przynajmniej kilku z nich. Zauważ, że paru innych ukrytych tu i tam nie pasuje do pozostałych, ponieważ noszą pełen rynsztunek.

Jake obserwował mężczyzn chwilę lub dwie, potem rozluźnił się i odebrał od Amandy kosz.

*** 149 ***

- Czy towarzyszą ci przez cały czas? - spytał na koniec.
- O ile nie uda mi się wymknąć im w przebraniu. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.
- W jaki sposób możesz ukryć, kim jesteś?
- Dzięki sadzy z paleniska.
- Na ile to skuteczne?

Amanda roześmiała się wbrew woli.

- Niestety, nie bardzo. Zdołałam uciec tego dnia, kiedy znaleźliśmy cię nieprzytomnego w trawie, ale do tej pory to mój najbardziej pamiętny fortel.

Jake sięgnął dłonią, by założyć kosmyk włosów za ucho Amandy.

- Biedne maleństwo - rzekł miękko. - Musi ci doskwierać takie ograniczenie swobody. Jak długo to trwa?
- Lata - odpowiedziała zaskoczona, że potrafił zrozumieć coś, czego jej ojciec i bracia w ogóle nie pojmowali.

Niewola Amandy z Artane.

Równie dobrze mogłaby być więźniem Tower w Londynie, biorąc pod uwagę zakres przysługującej jej swobody. _

Jake podał dziewczynie rękę.

- Chodźmy. Może przynajmniej dzisiejszy dzień przyniesie ci choć nikłe poczucie wolności.
- Przyjęła jego ramię i ruszyli przez wydmy aż na wybrzeże. Odkryła, a zresztą miała takie wrażenie za każdym razem, kiedy dotykała tego mężczyzny, że to za wiele jak na jej nieszczęsną osobę. Amandę dręczyła nieznośna świadomość każdego ruchu Jake'a. Gdyby potrafiła go zatrzymać, odebrać mu niesione rzeczy i postawić je na ziemi, a potem wtulić się w jego ramiona i zostać w nich na zawsze - byłaby szczęśliwa.

*** 156 ***

Wierzchem wolnej dłoni ukradkiem dotknęła czoła. Wciąż żadnych oznak gorączki.

Może traciła resztki rozsądku, jakie jeszcze miała. Czy właśnie tak się czuje człowiek, który pograża się w szaleństwie? Znała Jake'a od jakichś czternastu dni. To niemożliwe pokochać kogoś w ciągu niespełna dwóch tygodni. Ale z drugiej strony Anne pokochała Robina od pierwszego wejrzenia, od dnia, kiedy wrzucił jej robaka za sukienkę. Tajemniczy gość wykazywał się dużo większą kurtuazją. Jak kobieta mogłaby nie docenić takiej rycerskości?

Jake znalazł miły zakątek i postawił przyniesiony posiłek u ich stóp. Amanda usiadła, zdjęła pończochy i trzewiki. Westchnęła z ulgą, wsuwając bose palce w piasek. Jake roześmiał się.

- Żałuję, że nie mogę zrobić tego samego, ale wyszedłbym na bezwstydnika.

- To jedna z niewielu okoliczności, kiedy bycie kobietą ma swoje zalety - zauważyła filuternie. - Z radością zanurzę nogi w wodzie i ani trochę nie będę ci współczuć.

- Nie współczuj. W swoim życiu wystarczająco dużo brodziłem po falach, żeby dziś nie żałować, jeśli tego nie zrobię.

Przebywał nad morzem? Cóż, tym lepiej, ponieważ dzisiaj nie chciała, by piasek przepływający między palcami odwracał uwagę Jake'a od udzielenia odpowiedzi, które pragnęła otrzymać.

I nie nadarzyłaby się lepsza okazja, niż ta, aby zacząć pytać. Być może udzieli marnych wyjaśnień, ale wtedy będzie miała wystarczający powód, by porzucić go pod bramami zamku i nigdy więcej nie zaprzętać sobie nim głowy. Być może. Jednak w głębi serca miała nadzieję, że tak się nie stanie.

*** 151 ***

- Przejdziemy się? - zapytał Jake, wyciągając dłoń.

Amanda pozwoliła się podnieść, a następnie zatknęła kraj sukni za pasek, tak że mogła dużo swobodniej brodzić bosymi stopami w spienionych falach.

A potem jej dłoń znalazła się w dłoni Jake'a, jednak chodzenie po wodzie wcale nie stało się przez to łatwiejsze, w przeciwnym razie musiałyby dłoń puścić.

Ale uwolnienie tej dłoni było ostatnią rzeczą, jaką chciała zrobić.

- Mówiłaś, że masz jakieś pytania - przypomniał nieoczekiwanie Jake. - Na pewne sprawy nie mogę odpowiedzieć, ale...

- Nie możesz, czy nie odpowiesz? - przerwała mu.

Umilkł na chwilę, a potem się uśmiechnął.

- Nie odpowiem.

- Jesteś szpiegiem - stwierdziła. - John uważa, że udajesz, że nie znasz języka, nie umiesz walczyć na miecze ani nie posiadasz innych rycerskich umiejętności, ponieważ jesteś tutaj na rozkaz jakiegoś króla lub kogoś takiego.

Jake potrząsnął głową.

- Nie jestem szpiegiem.

- Montgomery myśli, że jesteś czarodziejem. Uśmiechnął się.

- Doprawdy? Dlaczego?

- Ponieważ sądzi, że posiadasz umiejętności znacznie przerastające możliwości zwykłego śmiertelnika. Ta historia z opryszkami siedem dni temu do końca rozwiała jego wątpliwości.

- Czy czarodzieje dopuszczają się takich rzeczy?

- Ty mi to powiedz.

* 158 *

Jake wybuchnął śmiechem.

- Amando, czy ja wyglądam na czarodzieja?

- Nigdy żadnego nie widziałam, więc trudno mi to oceniać. Podobno chowają się w trawie. Słyszałam nawet, że można patrzeć na najzwyczajniejsze pole i nagle ktoś taki pojawia się tuż przed tobą, pełnego wzrostu, w miejscu, gdzie rosną tylko chwasty.

Jake przystanął. Nie zatrzymał się nagle, ale nieoczekiwanie ogarnęło go uczucie, jakby czas przestał istnieć i dlatego on sam nie mógł iść dalej.

Potem powoli odwrócił się i spojrzał na Amandę.

Był bardzo blady.

- Ach tak? - spytał cicho. Bardzo cicho. Znieruchomienie Jake'a wzbudzało niemal przerażenie, tak jak silny uścisk jego ręki.

- Tak mówią - odparła, próbując uwolnić dłoń. - Ja nic o tym nie wiem. To tylko bajka z rodzaju tych, które opowiada się dzieciom, by zabawić je przed snem. Nie ma w tym ani odrobiny prawdy.

Jake zamknął na krótko oczy, otworzył je i spojrzał na Amandę z uśmiechem.

Słońce znów zaczęło świecić, fale na nowo podjęły swój nieustanny rytm, a ona mogła z powrotem oddychać.

Na wszystkich świętych, kim jest ten człowiek?

Jake wziął jej dłoń i pogłaskał delikatnie, jakby chciał przeprosić za to, że przed chwilą prawie ją zmiażdżył, a potem podjął wspólny spacer.

Amanda szła pewien czas w milczeniu, nim odważyła się odezwać ponownie. Rzuciła Jake'owi ukradkowe spojrzenie, by sprawdzić, czy odzyskał kolory, i dopiero wtedy zagała.

- A więc - zaczęła swobodnie - mówisz, że nie jesteś czarodziejem.

- Nie, nie jestem - odpowiedział równie lekko.

* 153 *

- To kim jesteś?

Spojrzał na Amandę spod rzes, tak samo jak patrzył na nią rano w kaplicy. Tak jakby już spędzili ze sobą całe życie i dzielili się tyloma sekretami, że wystarczy jedno spojrzenie, by odnowić zażyłość.

- Jestem po prostu człowiekiem.

- Nie władasz mieczem, nie umiesz jeździć konno i jeszcze dwa tygodnie temu nie potrafiłeś powiedzieć dwóch sensownych słów w mojej mowie.

- Rzeczywiście.

- A teraz mówisz tak płynnie, jakbyś znał mój język całe życie. Jednak wciąż nie potrafisz jeździć konno. Podejrzewam, że nie potrzebujesz miecza, lecz nadal nie pojmuję, dlaczego nie umiesz nim walczyć.

- To bardzo długa historia - zaczął Jake.

- Zatem ją zacznij - rzuciła ostro. - Może od początku. Może mówiąc mi, skąd pochodzisz.

Milczał kilka chwil, potem popatrzył na Amandę z ukosa.

- Z Londynu.

- O proszę, jak łatwo poszło.

- Ale nie urodziłem się tam - dodał z uśmiechem, który aż błagał ją, by ukryła się w jego ramionach i pozostała tam na zawsze.

Zdmuchnęła z oczu pasmo włosów.

- Teraz utrudniasz sprawę.

- Ale ty jesteś taka wspaniała, gdy się złościš. Amanda miała zamiar okazać trochę tej złości, gdy zorientowała się, że Jake ją prowokuje. W każdym razie pomyślała, że ją prowokuje. Zważywszy sposób, w jaki na nią patrzył, ze szczerym zachwytem, uznała, że niczego już nie jest pewna.

- Byłoby łatwiej, gdybyś nie patrzył tak na mnie - zauważyła.

*** 160 ***

- A jak na ciebie patrzę?
 - Jakbym cię bawiła.
 - Bo tak jest. Ale to nie wszystko - potrząsnął głową ze zrezygnowanym uśmiechem. - To tylko najmniejsza część. A gdybym powiedział więcej, powiedziałbym za dużo. Może jakieś inne pytanie? Amanda musiała stoczyć wewnętrzną walkę, by wymyślić inne.
 - Nie urodziłeś się w Londynie. To gdzie się urodziłeś?
 - Nie w Anglii.
 - Niedostateczna odpowiedź.
 - To najlepsze, na co mnie stać. Amanda spróbowała innej taktyki.
 - Dlaczego leżałeś nieprzytomny w trawie?
 - Szczerze? Sam nie wiem. Podróżowałem, a następnie, kiedy już wiedziałem, co się ze mną dzieje, przebudziłem się w komnacie twojego ojca.
 - Dlaczego znalazłeś się tutaj, na północy? Co cię tu sprowadza?
- W tej chwili Amanda zdała sobie sprawę, że zachowuje się jak jeden z zalotników, dokładnie wy-
pytujący ojca o wielkość posagu. Zaciśnęła usta i poprzysięgła sobie, że umilknie.
Przynajmniej na chwilę lub dwie.
- Znalazłem się na północy - zaczął Jake - gdyż jechałem do Artane, by dostarczyć... list lordowi Artane.
 - Mojemu ojcu? - spytała zaskoczona.
 - Mmmm - usłyszała tylko.
- A zatem kłamstwo. Spojrzała na niego spode łba.
- A twoje sprawy?
 - Jestem... - szukał określenia - ...kupcem. Kupuję i sprzedaję szlachetne kamienie i wyrabiam przedmioty dla bardzo zamożnych protektorów.

- Kupcem? - Amanda zamrugała oczami ze zdumienia.

- Kupcem - powtórzył, sprawiając wrażenie, że ani trochę nie jest przerażony tym faktem. - Bardzo dobrym, jeśli to ma znaczenie.

- Kupcem - rzekła cicho. - Rozumiem. Teraz rozumiała. Nic dziwnego, że nie potrafił posługiwać się mieczem.

Święci pańscy, żałowała, że zadała to pytanie.

Zabrała mu swoją dłoń i splotła obie - tak mocno, że aż ją zabolowało.

- Amando?

Patrzyła w piękne oblicze Jake'a i zastanawiała się, dlaczego los tak nią pogardza. Mężczyzna, któremu się przyglądała, był taki przystojny, o tak miłej dla oka sylwetce, tak pełen wiary i pewności siebie - miał wszystko, na co ojciec kładłby nacisk. A ponadto był zabawny, spełniał zachcianki jej braci i potrafił ją obronić gołymi rękami.

Kupiec.

Z trudem mogła w to uwierzyć.

- Coś się stało? - pytał dalej Jake.

- Nie - głos jej zachrypnął. - Nic. Nic takiego.

Nic z tego wszystkiego nie miało dla Amandy sensu. Nawet jeżeli był kupcem, musiał mieć choć trochę szermierczej wprawy. Przecież u wielu kupców przekraczających bramy zamku widziała solidne miecze i oni z pewnością umieli z nich korzystać. Mieli wozy i konie albo wjeżdżali na dziedziniec na pięknych rumakach, zakupionych za zarobione pieniądze. Mówili w języku jej rodzica i okazywali nienaganne maniery, dzięki czemu większość z nich była mile widziana przy stole - zwłaszcza ci, którzy przywozili cudne rzeczy, przypadające do gustu matce.

- Amando?

* 156 *

Zmusiła się do uśmiechu.

- Może powinniśmy coś zjeść. Jak przypuszczam, kuchmistrzynie zapakowała same smakołyki.

- Hm - uznał tylko.

Zanim wrócili tą samą drogą, John i Montgomery już wzięli szturmem zawartość koszyka. Amanda mocno szturchnęła Johna.

- Nie zostaliście tutaj zaproszeni, a już z pewnością nie dostaliście pozwolenia na swobodne rozporządzenie naszym posiłkiem.

- Zgłodnieliśmy - wyjaśnił John, nie przerywając jedzenia nawet wtedy, gdy stoczył się w trawę, by uniknąć kolejnego kopniaka.

- Poza tym - wtrącił Montgomery, częstując się winem - chcieliśmy wiedzieć, kiedy Jake będzie gotów na następną lekcję szermierki.

- Chyba że tego nie potrzebuje - powiedział John, zerkając porozumiewawczo na Jake'a. - Szpiegdy zwykle mają wielką wprawę, tylko udają ignorancję. Wówczas inni błędzą w ciemnościach i nie wiedzą, kim tamci są naprawdę...

- Milcz - uciszyła go Amanda kolejnym kuksańcem, nim zajęła miejsce brata. - Nie jest szpiegiem. Czyż nie mówił wam tego podczas długich godzin spędzonych za stołem?

- Jest czarodziejem - wyszeptał Montgomery.

- Bynajmniej, też nie, niemądry dzieciaku - odcięła się Amanda. - Nie jest szpiegiem ani czarodziejem. Jest przeklętym kupcem.

Ledwo wymknęło jej się to z ust, już pożałowała swoich słów. Nie tylko ze względu na siebie, ale przede wszystkim ze względu na Jake'a i bliźniaków. John i Montgomery patrzyli na mężczyznę, jakby właśnie wyrosły mu rogi. Amanda zakryła usta dłonią i zapragnęła zapaść się pod ziemię.

*** 163 ***

- Kupcem? - zapytał Montgomery wyraźnie przytłoczony tym odkryciem.
 - Sprzedawcą towarów. - John potrząsnął z niedowierzaniem głową.
 - Tak naprawdę - powiedział Jake, siadając na piasku i sięgając po gąsiorek - jest jeszcze gorzej. Kupuję i sprzedaję szlachetne kamienie.
 - Kamienie - Johna aż zatkało. - Na świecidełka?
 - Bardzo kosztowne świecidełka - uściślił Jake. - A chęć znalezienia ładnych kamieni na te świecidełka gna mnie po całym świecie - uśmiechnął się z zadowoleniem. - Bardzo mi się to podoba. John i Montgomery umilkli, widocznie zbyt zbulwersowani tym, co usłyszeli, by zareagować w jakikolwiek sposób, zamiast gapić się Jake'a, zapominając o jedzeniu wciąż trzymanym w ręku. Jedzeniu, które przed chwilą wpychali do ust tak szybko, jak szybko pozwalał im na to rozsądek. Z całej czwórki apetyt dopisywał tylko Jake'owi. Jadł z upodobaniem, jakby w najmniejszym stopniu nie przejmował się tym, co musi robić, by zapracować na codzienny chleb. Amanda poczuła, jak wstyd barwi jej policzki. Na wszystkie świętości, kiedy nauczy się hamować język?
 - Z pewnością posiadasz wiele umiejętności - odezwała się, gdy już uznała, że może mówić bez śladu tez.
- Jake spojrział na nią jasnozielonymi oczami, w których nie było cienia gniewu ani irytacji.
- W istocie - zgodził się.
 - A twój ojciec? - zapytał ponuro John. - Także nie ma żadnego tytułu?

* 158 *

- Może wyprowadzić przodków aż od szkockiej arystokracji. - Jake wzruszył ramionami. - Jednak choć posiada wielkie bogactwa, nie ma tytułu.

- Czy ojciec przekazał ci część majątku? - zainteresował się Montgomery.

- Tak, ale nigdy z niego nie korzystałem. Nie wziąłem z jego pieniędzy ani centa, poza tym co przysyłał mi na naukę tutaj, w Anglii, gdy byłem zbyt młody, by decydować o własnym losie. - Jake spojrzał na Montgomery'ego z uśmiechem. - To, co mam, zarobiłem samodzielnie.

- Jesteś majętny? - dopytywał się John.

- Bardzo - odpowiedział Jake bez śladu dumy. Amanda rozważała, czy byłaby w stanie wykopać sobie norę tak głęboką, aby w nią wpełznąć i zasypać się piaskiem. W takich warunkach czułaby się o wiele bardziej komfortowo.

- Tak jak Amanda? - ciągnął temat Montgomery. - Chociaż możesz nie wiedzieć, jak duży majątek posiada, nieprawdaż? Jej posag wabi mężczyzn ze wszystkich stron. Czy ciebie także to zwabiło? Jake zaczął rozrywać chleb na kawałki.

- Nic o tym nie wiem i nie obchodzi mnie, jak okazały ma majątek. Jej uroda i słodycz są prawdziwą nagrodą.

Montgomery zaśmiał się, a John parsknął. Amanda nie była pewna, czy mieli trudności z dostrzeżeniem w niej słodyczy, czy nie mogli wyobrazić sobie, że jakiś mężczyzna przybywa po nią z jakiegokolwiek innego powodu niż złoto. Cokolwiek miała oznaczać ich reakcja, Amandy nawet nie kusilo, by pacnąć ich w głowę, na co w pełni zasługiwali.

Miała ochotę się rozpłakać, a przecież nigdy nie płakała. Na wszystkie świętości, kiedy nauczy się powściągać język! Jake nie zasługiwał na to, co

o nim powiedziała ani na zrujnowanie jego stosunków z bliźniakami. Czy to jego wina, że jest kupcem, a nie znakomitym lordem? Taki jest przecież los narodzin, który równie dobrze mógł jej przypaść w udziale.

Ot, ironia losu. Spędziła wiele dni, gardząc wszystkimi zalotnikami, którzy przyjeżdżali, by się oświadczyć, ponieważ widzieli jedynie tytuł i pękata kiesę. A przecież ona sama odrzuca tego mężczyznę z dokładnie tych samych powodów, a ściślej rzecz biorąc, z braku tych powodów. Amanda wstała. Zatrzymała się na brzegu morza i pozwoliła łzom płynąć po policzkach. Uraziła mężczyznę, który był dla niej po prostu dobry. Umniejszyła wartość człowieka, który najwidoczniej zawdzięczał swoje bogactwa wyłącznie własnej pracy - czego nie mogła powiedzieć o sobie. Nie zdziwiłoby jej, gdyby nigdy więcej się do niej nie odezwał i byłaby to ni mniej, ni więcej tylko zasłużona kara.

Właśnie ona, spośród wszystkich ludzi. Ona, która gardziła mężczyznami zabiegającymi o jej rękę, ponieważ widzieli tylko jej posag, i tylko o to im chodziło, a nie o nią. Była głupia.

Odwróciła się i powędrowała brzegiem, oddalając się od zamku, nie zwracając uwagi na gwardzistów, nie dbając o to, czy są w pobliżu, przy czym i tak nie była w stanie ich zauważyć. Własne oskarżenia dzwoniły jej w uszach dostatecznie głośno. Gdy tak szła, odkryła, że ma bardzo długą listę zarzutów do wykrzyczenia w duchu samej sobie.

I przekonała się, jak głośne może to być zajęcie.

Musiała przystanąć na dłużej, by wylać kolejne łzy, i dopiero wtedy spostrzegła, że ktoś idzie za nią oddalony o krok czy dwa. Westchnęła, obej-

*** 160 ***

rzała się przygotowana, by oznajmić strażnikowi, że nie zamierza oddalać się już bardziej... tylko że to nie był gwardzista.

To był Jake.

Uśmiechnął się.

- Nie jestem pewny, czy wiesz, jak daleko zaszłaś. Amanda rozejrzała się i zdała sobie sprawę, że rzeczywiście zawędrowała bardzo daleko. Potrząsnęła głową.

- Nie zauważyłam.

- Może wrócimy?

Podniosła na niego wzrok. Nikt nie nazwie jej tchórzem ani nie oskarży, że wzbrania się i nie chce postąpić tak jak należy. Odchrząknęła.

- Pragnę prosić o wybaczenie - powiedziała, podnosząc podbródek, aby dodać sobie odwagi. -

Znieważyłam cię i bardzo mi przykro z tego powodu.

- Znieważyłaś mnie? -Tak.

- W jaki sposób?

Święci pańscy, czy ten człowiek nie jest w stanie uznać przeprosin, ostrzeliwujących go z siłą armatniej salwy? A może jest tak tępy, że nie potrafi ustalić, w którym miejscu uderzyła go pałka, ciskając okrutne słowa? Amanda poczuła, że jej skrucha się rozwiewa.

- Znieważyłam cię, kiedy nazwałam cię kupcem.

- Ależ ja jestem kupcem. Założyła ręce na piersi.

- Ale sprawiłam, że zabrzmiało to jak coś gorszego od rycerza. Czym jest w istocie, jednak nie ma powodu, bym się zachowała tak podle.

Jake patrzył na nią zdezorientowany, marszcząc czoło.

*** 167 ***

-1 to jest znieważenie?

- O, tak - odparła. - Nie zauważyłeś? Patrzył na nią chwilę i Amanda stwierdziła, że zauważył. W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

- Człowieka można obrazić tylko wtedy, gdy na to pozwoli. Powiedziałaś prawdę. Tym właśnie się zajmuję, choć żałuję - odrzekł powoli - że nie jestem rycerzem. Albo lordem, co byłoby lepsze, jak sądzę.

- Dlaczego jest ci przykro? - zapytała przygnębiona.

Jake przyglądał jej się kilka chwil w ciszy, a potem znów rozjaśnił twarz w uśmiechu.

- Ponieważ widzę ciebie, Amando - skinął głową w kierunku bliźniaków. - Martwią się o ciebie. Powinniśmy wracać.

Ponieważ widzę ciebie, Amando...

Nie jej szkatułę. Nie majątek jej ojca. Nie tytuły jej ojca, jego potęgę i umiejętności, dzięki którym każdy mógłby oczyścić imię, poślubiając jego córkę

Widział tylko Amandę.

Mężczyzna, który widział ponad tym wszystkim tylko ją. Nie mogła w to uwierzyć. A co gorsza, nie zasługiwała na to. Jeszcze gorzej - podejrzewała, że nigdy nie stanie się to jej udziałem.

Jake wyciągnął rękę.

- Pójdziemy?

Amanda zamknęła na moment powieki, potem otworzyła je, skinęła głową i wzięła Jake'a za dłoń. Nie umiała powstrzymać łez, wciąż płynących z oczu.

Wróciła z nim z powrotem plażą, w milczeniu, gdyż nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Jednak w głowie dziewczyny rozszalała się gonitwa myśli i łatwo wyciągnęła ostateczny wniosek.

Ten człowiek nie był szpiegiem czy kupcem, tylko oczywiście demonem. Zawstydył ją, a następ-

* 162 *

nie powiedział najszlachetniejszy możliwy komplement, a wszystko w ciągu paru chwil.

Na wszystkie świętości, ojcu ogromnie przypadłby do serca.

- Przypuszczam - odezwała się wreszcie, gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie czekali na nich bliźniacy - że wkrótce będziesz zmuszony wrócić do swoich zajęć.

- Jutro - przyznał. Spojrzała nań zaskoczona.

- Jutro? Ależ to bardzo szybko. Zapewne potrzebujesz... są... musisz...

Jake popatrzył na Amandę.

- Muszę iść. Muszę dopilnować pewnych spraw. Ty tak samo. Istnieje ktoś - niech go trafi szlag - kto przyjedzie po ciebie, zaproponuje małżeństwo i będziecie żyli długo i szczęśliwie. Ktoś z tytułem i kilkoma umiejętnościami niezbędnymi, by zapewnić ci bezpieczeństwo.

Amanda przygryzła bardzo mocno wargę. Niech to diabli wezmą, skąd się biorą te wszystkie przeklęte łyzy? Nigdy ich nie było na podorędziu, gdy mogły ją uratować od okropnej wieczerzy z jakimś nędznym kandydatem do ręki.

I oto, niestety, stała tak, Amanda o niezłomnym charakterze i najwidoczniej mokrych oczach, choć gdyby nie była ani niezłomna, ani płaczliwa, wy-szłaby na tym wszystkim o wiele lepiej.

- Bez wątpienia - udało jej się wydobyć z siebie głos. - Najlepiej będzie, jeśli wrócę do zamku i przygotuję się na jego przybycie.

Jake patrzył w milczeniu na dłoń Amandy ukrytą w swojej. A potem podniósł ją powoli do ust, ucałował i opuścił przy boku dziewczyny.

- Chodźmy - powiedział.

*** 169 ***

Nie chciała, by jej dotykał. Właśnie taka była prawda. Nie robiło to na niej wrażenia, nie interesował jej, był jej obojętny.

Do wszystkich diabłów. Jeszcze więcej powodów do odwiedzenia nazajutrz kaplicy.

Bez Jake'a.

Powiedziałaby, że to dobrze, ale wtedy oznaczałoby to kolejne kłamstwo i więcej czasu spędzonego na kolanach.

Zebrała całą swoją dumę, podniosła na Ja-ke'a wzrok i zrobiła wszystko, co było w jej mocy, aby nie chlipać jak kwilący ossek.

- Musisz jechać? - wyszeptała.

Przez chwilę, najulotniejszą z chwil, zobaczyła wyraźnie na jego twarzy, że przeżywa to nie mniej silnie niż ona.

Tęsknota, mimo że niedorzeczna, idealnie odzwierciedlała jej własne uczucia.

Wyciągnął rękę, znów założył Amandzie kosmyk włosów za ucho, potem przelotnie musnął policzek.

Opuścił bezradną dłoń.

- Jak mógłbym zostać? - zapytał miękko. W istocie, jak. _

Skinęła głową, przeciągnęła rękawem po twarzy i jeszcze raz przytaknęła.

- Wracajmy - oznajmiła stanowczo, z dużo większym przekonaniem, niż naprawdę czuła.

Zebrała braci, strażników i swojego kupca i ruszyła drogą powrotną do zamku ojca.

12*

Jake stał na schodach prowadzących z głównej sali zamkowej na dziedziniec i oglądał swoje włości. Cóż, tak naprawdę przyglądał się posiadłości Rhysa de Piageta, ale kto by się czepiał człowieka osiem wieków poza swoją epoką? A poza tym, biorąc pod uwagę fakt, że szykował się do powrotu do swoich czasów, kto by go winił, że bawi się, wyobrażając sobie swoją wielkość? Dzięki temu przeganiał na cztery wiatry marzenia o poślubieniu Amandy de Piaget. Tak czy owak, niech to wszystko trafi szlag. Wiedział, że na wieść, jak bardzo brakuje mu tytułu, Amanda zareaguje gwałtownie, ale nie spodziewał się jej przeprosin ani łez. Gdyby nie podszepty rozsądku, mógłby pomyśleć, że go lubi. A to, w ogólnym rozrachunku, musiało być najbardziej druzgocącą spośród wczorajszych nowin. Zszedł po stopniach na dziedziniec. Musi odejść, a ona musi zostać. Taka jest zimna, twarda rzeczywistość. Jest kupcem, ona - średniowieczną arystokratką. To dużo większy problem, niż życie w tej samej epoce. Oboje są niczym ogień i woda... Nagle po obu stronach Jake'a wyrosli John i Montgomery. Patrzyli na niego posępnym wzrokiem.

*** 165 ***

- Gotowy? - zapytał John.
 - Tak - potwierdził Jake. - Lepiej jedźmy, póki możemy.
 - Nie możesz tutaj zostać? - spytał Montgomery? Jake objął ramieniem chłopca i pociągnął w stronę stajni.
 - W domu czekają na mnie obowiązki.
 - No to dopilnuj ich i wracaj - podsunął Montgomery. - To takie proste.
 - Mam sprawy w Londynie. Nie mogę wrócić na północ.
- A raczej cofnąć się w czasie, dodał w myślach Spojrzał przez ramię na Johna, który włókł się za nimi.
- Idziesz?
- John westchnął i ruszył szybciej, by ich dogonić.
- Jestem, jestem. Jaki mamy plan?
 - Muszę wrócić w to samo miejsce, gdzie mnie znaleźliście - wyjaśnił Jake. - Może tam być coś co jest mi potrzebne.
 - Rabusie nie zostawili nawet twojego ubrania 7 zauważył John. - Dlaczego mieliby zostawić coś innego? _
 - Jednak muszę sprawdzić. Nigdy nic nie wiadomo.
- W stajni czekały dwa wolne konie, jeden dla niego, a drugi dla bliźniaków. Dwa, a nie trzy Jake me był zaskoczony. Nie spodziewał się, że Amanda pojedzie z nimi. W ogóle nie spodziewał się zobaczyć jej tego poranka - i nie zobaczył W sumie lepiej, że została w zamku. Kto wie jakiego rodzaju niebezpieczeństwa czyhają w dzikich zakątkach średniowiecznej Anglii? Jake zastanawiał się nawet, czy powinien zabierać ze sobą chłopców.
- * 172 ***

- Jesteś pewien, że nie chcesz wierzchowca?
- zapytał Montgomery, pewnie już dziesiąty raz tego ranka.
- Nie sądzę, bym znalazł sposób, by odesłać go z powrotem - wytłumaczył Jake.
- Ależ to nie ma sensu - zaprotestował John.
- Jak zamierzasz wrócić do domu bez konia?
- Poradzę sobie - obiecał Jake, rozważając jednocześnie, jak, do diabła, tego dokona. Może po prostu śmignie w czasie z powrotem, a wspomnienia chłopców zostaną przy okazji wymazane. A może zniknie w obłoku dymu i bliźniacy pomyślą, że był potężnym duchem i przez resztę życia będą o nim opowiadać.

A może potrzebował snu na łóżku o właściwych rozmiarach. Zaczynał mieć halucynacje.

- Sądzę, że powinieneś tutaj zostać - upierał się Montgomery. - Amanda cię lubi. My też cię polubiliśmy. Myślę, że nawet ojcu przypadniesz do serca.
- I niby jak ma to mu pomóc? - warknęła John na brata. - Jest kupcem, Montgomery. Ojciec nigdy nie odda jej zwykłemu kupcowi.

Rzucił spojrzenie Jake'owi.

- Wybacz mi, Jake.
- W porządku. - Jake uśmiechnął się. - Jestem pewien, że gdzieś tam jest mężczyzna ze znakomitym tytułem i odpowiednią połacią ziemi, który tylko czeka, by przyjechać i zawrócić w głowie twojej siostrze.

Jak należało się spodziewać, ta myśl wzbudziła w nim gwałtowną potrzebę zazgrzytania zębami. Aby nie zetrzeć trzonowców na proszek, poruszył szczęką, zatarł ręce i schwycił lejce.

- Jedźmy, póki słońce wciąż świeci. Jestem pewien, że długo to nie potrwa.

*** 167 ***

Montgomery i John mruknęli coś na zgodę i lekko wskoczyli na grzbiet drugiego rumaka. Jake wskoczył mniej lekko, ale poradził sobie.

Ruszyli w drogę.

Jake czuł się dokładnie tak, jak ślepiec wiodący ślepcą. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić poza tym, że chciał wrócić w to miejsce, w którym się tutaj zjawił. Kiedy już tam dotrze, nie wiedział, jak ma postąpić dalej. Wykonać parę gwiazd? Wyrecytować Burnsa*? Trzy razy zapukać?

Roztrząsał to wszystko w myślach, gdy wraz z najmłodszymi paniczami Artane przemierzał wioskę. Przypuszczał, że musi być coś, co wskazywałoby wrota czasu, lecz nie pamiętał żadnych kamieni, czarodziejskich kręgów czy wielkich czerwonych znaków X wskazujących odpowiednie miejsca w Northumberland.

A co gorsza, kogo w ogóle mógłby o coś takiego zapytać, w którymkolwiek czasie? Pomyślał, że mógłby zasięgnąć rady wioskowej akuszerki lub miejscowej wiedźmy, gdyby ktoś taki był w Artane. Jednak pytania tego rodzaju bez wątpienia roze-szłyby się wśród ludzi, więc przylepiono by mu etykietkę notorycznego wariata i kto wie, gdzie by w końcu wylądował.

Miał bardzo nieprzyjemne wspomnienia z nocy spędzonych w lochach Artane i nie marzył o kolejnych.

Kogo miałby zapytać w swojej epoce? Gideona? Jake przypomniał sobie spotkanie z tym człowiekiem i uznał, że nawet jeśli w Artane co pewien czas zdarzały się dziwne rzeczy, to jednak w grę nie wchodziły podróże w czasie.

Robert Burns (1759-1796), wedle tradycji najwybitniejszy poeta szkocki, prekursor romantyzmu (przyp. tłum.).

*** 168 ***

A może jednak?

Potrząsnął głową. Gideon był zbyt normalnym gościem, aby mieć kiedykolwiek do czynienia ze zjawiskami paranormalnymi. Gdyby wiedział, że coś naprawdę niesamowitego dzieje się w jego rodzinnej posiadłości, z pewnością by o tym wspomniał. Nieprawdaż?

Z kolei Seakirk to jeszcze inna bajka. Jake podejrzewał, że z Worthingtona można by wydusić sporo ciekawych szczegółów. Naprawdę żałował, że nie przepytął kamerdynera bardziej szczegółowo.

Seakirk nawiedzały duchy; czy nie mogli się tam trafiać także podróżnicy w czasie?

A nawet jeśli się tam nie zdarzali, to na pewno znalazłby się w dwudziestym pierwszym wieku jakiś świr, który miałby pojęcie o sprawie. Z pewnością Jake nie był pierwszą osobą, która przeniosła się o stulecia poza własny czas. Ludzie ciągle gdzieś giną, prawda? Muszą znajdować się na to lepsze wyjaśnienia niż tylko pożarcie przez niedźwiedzie.

Niestety, w chwili obecnej nie miał dostępu do żadnego z podobnych źródeł i był skazany wyłącznie na własny spryt i wrodzoną pomysłowość, by wydostać się z tej kabały.

Dotarcie na miejsce zabrało im niezwykle dużo czasu, prawdopodobnie dlatego, że Jake przez większą część drogi bacznie wypatrywał wskazówek w każdym źdźble trawy, które mijał jego rumak.

Nic nie wyglądało nadzwyczajnie.

Nic nie wyglądało choć w najmniejszym stopniu podróżniczo-w-czasie.

Bliźniacy zatrzymali się w końcu i popatrzyli na siebie, zanim przenieśli wzrok na Jake'a.

*** 175 ***

- To tutaj cię znaleźliśmy - wydusił z siebie John.

Jake siedział na koniu i rozglądał się. Otoczenie przypominało trochę okolice Seakirk, ale tak naprawdę, skąd mógł wiedzieć. Po raz pierwszy zobaczył je - albo właśnie nie zobaczył, jeśli tak na to spojrzeć - w strugach zacinającego deszczu. Następnego dnia uniknął oglądania okolicy z powodu ogłuszającego bólu głowy. Nie miał żadnej pewności, jak wyglądało tamto miejsce.

A więc otoczenie nie rozwiązywało sprawy. Wrócił do tajemniczego zniknięcia ubrania. Czy mógł zostać okradziony, czy też po prostu rozebrało go w trakcie podróży w czasie? Jake przeglądał pilnie trawę wokół końskich kopyt i nagle dostrzegł coś połyskującego. Zeskoczył na ziemię tak zwinnie, jak tylko potrafił i przeszukał zielone kępy, aż znalazł zgubę.

Jednofuntową monetę.

Zacisnął dłoń na znalezisku i poczuł, jak po plecach przebiegają mu ciarki. A więc mimo wszystko nie postradał zmysłów.

Stracił jednak ubranie i sądząc po wydeptanej trawie dokoła, jasne było, że ktoś mu w tym pomógł. A więc został obrabowany. Wręczył Johnowi lejce i kontynuował poszukiwania. Zataczał coraz szersze koła, ale nie znalazł nic więcej.

Jake przystanął wreszcie, spojrzął w niebo, zastanawiając się, co u diabła złodzieje zamierzają zrobić z jego portfelem, dzinsami, bardzo drogą skórzaną marynarką i martensami. Ostatecznie mógł sobie wyobrazić, co zrobią z butami i marynarką, martwił się głównie o portfel.

Miał nadzieję, że ta myśl nie będzie go prześladować.

*** 170 ***

Wrócił na miejsce, gdzie znalazł monetę, i został tam, usiłując uruchomić wszystkie swoje anteny na paranormalne zjawiska. Czekał, ale nic się nie działo.

Niezupełnie przypominał pana Poltergeista, ale w końcu zaczął podejrzewać, że nigdzie się zaraz nie przeniesie. Popatrzył na bliźniaków, którzy wlepiali w niego wzrok, jakby odebrało mu rozum.

- Co robisz? - spytał John.

- Szukam wskazówek - odparł Jake. Montgomery potrząsnął głową.

- Mówiłem ci, Jake, że nie znajdziesz rabusiów. Sądzę, że powinieneś zapomnieć o stracie i wrócić z nami do domu.

- Nie - odpowiedział Jake.

Chłopcy wyglądali na nieusatisfakcjonowanych tą odpowiedzią i Jake nie mógł mieć im tego za złe. Sam nie był zadowolony z obrotu spraw. Spojrzał na nich ponownie, próbując wymyślić coś pożytecznego, gdy dotarło do niego, że być może to oni stanowią po części przeszkodę. Zawahał się.

- Wiecie co, może udałoby mi się znaleźć to, czego szukam, gdybyście trochę się odsunęli.

Bracia zamrugali.

Machnął ręką, żeby ich przegonić.

John wzruszył ramionami i pociągnął za sobą wierzchowca Jake'a. A potem razem z Montgomerym posłuchali prośby i wycofali konie. Jake wpatrywał się w punkt na ziemi, gdzie znalazł jednofuntową monetę, usilnie pragnąc gdzieś się przenieść. Gdziekolwiek. Naprzód, w przyszłość.

Nic się nie wydarzyło.

Przeniósł wzrok na chłopców. Patrzyli z poważnym wyrazem oczu i w milczeniu. Jake znów odczekał.

*** 177 ***

Trwało to długo. Nadal nic się nie działo.

Bliźniacy zaczęli tracić cierpliwość, tak samo konie. Jake także się wiercił, ale nie miał żadnego wyboru poza tym, by pozostać tam, gdzie stał, tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie. Co miał innego robić? Musiał wrócić do domu.

Wyczuł tętent kopyt stopami, zanim go jeszcze usłyszał. Odwrócił się i zobaczył jeźdźca. Znajomego. Wątpił, by kiedykolwiek mógł ją pomylić z kimś innym. A więc przyjechała, by go pożegnać. Z jakiegoś powodu bardzo to Jake'a podniosło na duchu.

Amanda powściągnęła rumaka, ciężko dysząc. Jake już chciał jej podziękować za przybycie, lecz ona go uprzedziła.

- Musiałam uciekać - wysapała. - Widziałam zbliżającego się Ledenhama.

Jake poczuł, jakby całkiem z niego uszło powietrze. Próbowalby coś powiedzieć, czym uratowałby swoją dumę, ale zdekoncentrowały go spojrzenia, które wymienili między sobą John i Montgomery.

- Co? Co się stało? —dopytywał się.

- Nic - odrzekł Montgomery z niezbyt pewną miną.

- Zupełnie nic - zgodził się John.

- Łżecie. Kim jest Ledenham? - ciągnął Jake.

- To jeden z naszych sąsiadów - wyjaśniła Amanda ponurym tonem. - Choć nie z tych zaprzyjaźnionych. Jego zamek stoi na granicy, tak jak nasz, ale w głębi łądu. Za Wyckham. Dziwię się, że Nicholas nie zauważył, że nadjeżdża, i nie wysłał nikogo, by nas ostrzec - odrzuciła włosy na ramię. - To nikt znaczny.

*** 172 ***

- Ale on jest... - zaczął protestować Montgomery. - Mandy, jest potężniejszy, niż sądzisz. A także podstępny.

- A także podły - dorzucił John. - Na twoim miejscu wystrzeżałbym się tego człowieka. Lepiej go nie drażnić.

- A co on może takiego uczynić? - zareagowała ostro Amanda. - Wykradnie mnie? I ściągnie na swoją żalną głowę cały gniew Artane?

- Amando - przerwał jej poważnym tonem John. - Mógłby ci wyrządzić ogromną krzywdę, nim ktokolwiek z nas zdołałby nadciągnąć z pomocą. Mówię ci, nie można robić sobie z niego wroga.

- Ochronimy cię - rzekł Montgomery z dziarskim uśmiechem, wypinając pierś. - Nie obawiaj się, siostrzyczko. Nie pokona nas...

Sławne ostatnie słowa. Jake spojrzął za plecy Amandy i dostrzegł kilku jeźdźców zmierzających w ich stronę. Amanda rzuciła okiem przez ramię i przeklęła. Jake oszacował swoje ograniczone możliwości, które zamykały się w ucieczce albo walce, i podjął szybką decyzję. Wcisnął monetę do buta, a następnie zawołał chłopców.

- Kiedy nadjadą, chcę, żebyście wymknęli się, a potem pognali na złamanie karku do zamku.

- Ale... - zaczął John przerażony.

- Jedźcie po pomoc - nakazał Jake. - Nie będziecie uciekać, tylko sprowadzicie posiłki. Miejmy nadzieję, że pozwolą wam to zrobić.

Bliźniacy sprawiali wrażenie niezdecydowanych. To znaczy John wyglądał na niezdecydowanego. Montgomery był przestraszony i ze wszystkich sił usiłował tego nie okazywać. Jake bardzo ich obu polubił. Żywił nadzieję, że nie jest to ostatni raz,

kiedy widzi bliźniaków. Nie spodobało mu się to, co usłyszał o nadjeżdżających mężczyznach. A gdy ich zobaczył, spodobał mu się jeszcze mniej. Amanda podprowadziła konia tak, że znalazła się obok Jake'a. Chłopcy się wycofali, a potem zerwali do galopu. Jeden z ludzi lorda Leden-hama ruszył w pogoń, ale Ledenham przywołał go z powrotem.

To wyjaśniło Jake'owi wszystko, co chciał wiedzieć.

Położył dłoń na boku wierzchowca Amandy i czekał na pierwszy ruch lorda. Ledenham patrzył na Amandę z pogardą.

- A zatem, moja droga Amando, widzę, że masz tutaj wieśniaka, aby sprzątał po twoim koniu. Wygląda na krzepkiego.

- Nie jest wieśniakiem - odpowiedziała spokojnie Amanda. - Lecz by to dostrzec, trzeba oczu dużo bystrzejszych niż twoje, lordzie Ledenham.

Jake obserwował mężczyznę w bogato ozdobionych klejnotami szatach i zobaczył węża raczej niż człowieka, wijącego się i gotowego do ataku. Ocena Montgomery'ego 4 Johna nie była daleka od prawdy. Amanda musi mieć się na baczności.

Lord Ledenham machnął lekceważąco dłonią w kierunku swoich przybocznych.

- Bierzcie ją, kończę pertraktacje z Artane. Potrzebuję panny młodej, a dzisiejszy dzień jest równie dobry na zaślubiny jak każdy inny.

Jake przykucnął, jakby chciał uskoczyć przed jeźdźcami ruszającymi po Amandę. Nabrał w dłonie wyjątkowo świeżego, jeszcze dymiącego końskiego łajna, po czym cisnął nim na wszystkie strony. Kiedy najbliżsi gwardziści Ledenhama, przeklinając, otrzepywali przyodziewek, Jake klepnął ru-

*** 174 ***

maka Amandy w zad. Udało mu się wdrapać za nią, gdy zwierzę skoczyło naprzód. Niezły wyczyn. Najwidoczniej desperacja okazała się dobrym nauczycielem w zakresie umiejętności jeździeckich.

- Pędź! - krzyknął.

Wszystko, co mógł zrobić, to utrzymać się na grzbiecie i mieć nadzieję, że nie ocenił źle ani przeciwnika, ani własnych umiejętności konnej jazdy.

- Jesteś szalony! - krzyknęła Amanda przez ramię.

- Najprawdopodobniej - odkrzyknął. - Przepraszam za twoje ubranie.

Roześmiała się. Ucieszyłoby go, że doceniła ten rodzaj humoru, gdyby tak usilnie nie koncentrował się na tym, by po prostu utrzymać się na koniu.

I przez cały ten czas drżał w duchu, że strzała przeszyje mu plecy.

Amanda zerknęła za siebie.

- Wciąż tam są, ale zostają z tyłu - rzekła, a potem popędziła konia, by gnał jeszcze szybciej.

Dogonili bliźniaków sto jardów przed wioską. Jake wrzasnął, by się pospieszyli, czego posłuchali tak sumiennie, że szybko i sprawnie wpędzili w popłoch zarówno żywy inwentarz, jak i wieśniaków.

Cała czwórka pomknęła z głośnym tętentem po zwodzonym moście i w górę na zewnętrzne mury.

Amanda wrzasnęła, by podniesiono kraty, ale Jake obawiał się, że nie zdążą na czas.

Jednak opuszczana krata opadła z powrotem z donośnym szczękiem, natychmiast gdy chłopcy pod nią przemknęli. Koń Amandy zahamował gwałtownie przed stajniami. Jake ześlizgnął się

*** 181 ***

na ziemię i pochylił, opierając dłonie na udach. Łapczywie chwycił powietrze. Zobaczył, że Amanda zeskoczyła z siodła w podobny sposób. Wyprostował się, wziął ją za rękę i pociągnął w stronę zamku.

- Nie możesz tutaj zostać - oznajmił.

- Gwardziści mojego ojca mogą...

- Jestem pewien, że są wspaniali, lecz proszę cię, wejdź do środka.

Amanda zawahała się, a potem skinęła głową z westchnieniem.

- Jak sobie życzysz - rzekła i odeszła. Jednak po pięciu krokach odwróciła się i popatrzyła na Jake'a.

- Zostałeś.

- Zostałem - uśmiechnął się.

Patrzyła na niego, długo zaciskając usta, jakby zastanawiała się, co, jeśli w ogóle, miałyby powiedzieć. Najwyraźniej nie znalazła właściwego komentarza na temat kupca, który obiecał, że wyjedzie, by wciąż płatać się pod nogami, Bóg raczy wiedzieć jak długo. Amanda patrzyła jeszcze chwilę, a potem odwróciła się i poszła do domu.

Jake odprowadził ją wzrokiem, jednocześnie półświadomie rejestrując, że chłopcy odprowadzili wierzchowce do stajni. Obmył dłonie w końskim poidle, wytarł ręce o ubranie i stanął pośrodku dziedzińca Artane, by zastanowić się nad życiem i jego tajemnicami.

Wszystko to zajęło trochę czasu, ale Jake nie stał się ani odrobinę mądrzejszy.

Co, do diabła, miałby teraz zrobić?

Przetarł dłońmi twarz i ogromnie żałował, że nie ma kieszeni. Dużo lepiej mu się myślało, gdy mógł wcisnąć ręce w kieszenie i tak spacerować.

*** 176 ***

Z braku odpowiedniej odzieży splótł ręce z tyłu i zastanawiał się, chodząc tam i z powrotem przed stajniami.

Niestety, tą metodą nie znalazł żadnej odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Prawda, nieunikniona prawda wyglądała tak, że ugrzązł w tym miejscu i nie miał pomysłu, jak się stąd wydostać.

Nie dbał o to, że traci czas, użalając się nad swoim losem. W jego najlepszym interesie było znaleźć najlepsze rozwiązanie, przyjąć założenie, że był jakiś rozsądny powód, dla którego znalazł się w średniowiecznej Anglii. Przypuszczał, że musi czegoś dokonać, nim znajdzie puste miejsce w paranormalnym ekspresie jadącym z powrotem do przyszłości.

Co mógł innego zrobić?

Bliźniacy wyszli ze stajni. Montgomery przyjrzał się bacznie Jake'owi.

- Zostajesz?

Jake wziął głęboki oddech. - Tak.

- To dobrze - odrzekł Montgomery, z trudem powstrzymując szeroki uśmiech. - Miałem nadzieję, że tak się stanie.

- No cóż, tylko do czasu - stwierdził Jake. - By strzec Amandy, dopóki wasi bracia nie wrócą do domu.

- W takim razie trochę tutaj pobędziesz - zauważył John. - Któż wie, kiedy wrócą? Miles powinien zjawić się lada dzień, a Nicholas, cóż, zamek Nicka jest w opłakanym stanie, więc może się zdarzyć, że stawi się z powrotem dopiero u schyłku lata. Robin wróci do domu, gdy ojciec Anne zbytnio go rozdrażni. To może nastąpić już wkrótce.

*** 183 ***

Albo za miesiąc. A ponieważ Jake podejrzewał, że utknął w średniowiecznej Anglii na jakiś czas, musiał coś poradzić na niedostateczne obycie ze średniowieczną szermierką. Zręczność we władaniu mieczem mogłaby być tylko atutem, jeśliby doszło do obrony Amandy. Może o to w tym wszystkim chodzi.

Sam sobie przytaknął. Tak, całkiem możliwe, że został właśnie z tego powodu. Było oczywiste, że chociaż chłopcy z pewnością mieli najlepsze chęci, nie potrafili w pełni zadbać o bezpieczeństwo Amandy. I chociaż zdolności Jake'a w walce wręcz były na pewno użyteczne w niektórych sytuacjach, to dotkliwie odczuwał swoje braki, gdy przyszło się zmierzyć z wieloma przeciwnikami uzbrojonymi w miecze.

To może się zmienić.

Gdyby tylko znalazł odpowiedniego nauczyciela.

Jake stał przez dobrych kilka chwil, zastanawiając się, od czego należałoby zacząć poszukiwania, gdy zaintrygowało go poruszenie przy bramie. Patrzył, jak podniesiono odrobinę kratę, by prześlizgnął się pod nią młody człowiek. Pozbierał się na nogi, siarczyście przy tym przeklinając. Miał zszargane ubranie i był zlany potem.

- To Miles! - zawołał radośnie Montgomery. - Wrócił do domu!

John podążył za bratem i obaj popędzili w podskokach do przybysza. Jake'a dobiegały jego utyskiwania nawet tam, gdzie stał. Narzekania tylko przybrały na sile, gdy bliźniacy przyprowadzili brata do nowego znajomego.

- Przekłeta brama - gderał Miles. - Musiałem dołożyć Ledenhamowi i jego ludziom, zanim

*** 178 ***

w ogóle dotarłem do kraty. Te łotry wyroiły się tam niczym jakieś insekty.

Prawił dalej o swoich wyczynach, braku wsparcia przy tych wyczynach, narzekał na upał, a wreszcie przystanął przed Jakiem.

- A któż to?

- Jake Kilchurn - wyjaśnił bezzwłocznie Montgomery. - Ocalił Amandę dzisiejszego popołudnia.

Miles obrzucił go wzrokiem.

- Gdzie twój miecz?

Jake przyjrzał się Milesowi, dostatecznie rycerskiemu i najwidoczniej trochę zblazowanemu i uznał, że właśnie znalazł nowego opiekuna. Klepnął Milesa po ramieniu i uśmiechnął się.

- To długa historia. Opowiem ci później.

- Jak sobie chcesz. - Miles wzruszył ramionami. Obejrzał się na bramę - Ledenham bez wątpienia wróci do domu lizać rany, ale najlepiej będzie, jeśli pozostaniemy na razie w obrębie zamku. - Spojrzał na braci. - Czy możliwe, że zostało coś jeszcze do jedzenia, chłopcy, czy też rozpoczęliście oblężenie spiżarni?

Otoczył ramieniem każdego z bliźniaków i ruszył z nimi do głównej sali zamkowej. Jake patrzył za nimi podniesiony na duchu. Wtem Miles zatrzymał się, obejrzał przez ramię i zmarszczył brwi.

- Nie idziesz?

Jake skinął głową, z większym zadowoleniem, niż chciałby przyznać.

Posiadanie braci, nawet pożyczanych, miało swoje dobre strony.

Dołączył do całej trójki i razem wkroczyli do zamkowej sali, gdzie wziął udział w najeździe na kuchnię. Zasiadł z nimi do późnego obiadu

* 185 *

i poczynił ostateczne postanowienia odnośnie do swoich planów.

Umiejętności właściwe dla średniowiecza były zdecydowanie pożądane tego dnia i Miles był odpowiedzialny na tę potrzebę, a przynajmniej odpowiedzialny na jedyny problem, jaki Jake musiał w tym momencie rozwiązać.

Ochroni ją, a potem wróci do domu.

Ewentualności, że mógłby nie być w stanie wrócić do domu, po prostu nie brał pod uwagę. Za cholewą buta miał jednofuntową monetę, która była dowodem, że może to zrobić. Musiał tylko poczekać na odpowiednią porę lub chwilę, aż wypełni zadanie, które wyznaczył mu los, wysyłając do dawnego Artane.

Jake przystąpił do jedzenia, postanawiając z resztą przyszłości uporać się później.

13

Montgomery z Artane wiedział, jak ukrywać własne zamiary. Nawet lord Pevensey to dostrzegł, a trzeba wiedzieć, że ten człowiek zauważał niewiele ponad to, co przynoszono mu na tacy na wieczerzę. Pewnego razu podniósł wzrok znad posiłku i poczynił pod adresem Montgomery'ego uwagę, że nie jest tak głupi jak inni chłopcy i z pewnością umie trzymać język za zębami.

Montgomery uznał to za wielką pochwałę.

Westchnął z zadowolenia, częściowo z powodu ciepła bijącego od kominka, a częściowo z racji tego, że już nigdy więcej nie musiał zastanawiać się nad tym, co Pevensey o nim myśli. Montgomery wytrzymał rok w zamku Pevenseya tylko dlatego, że wiedział, iż ojciec nie będzie go zmuszać, by został tam dłużej, nie po tym, jak zorientował się, jak bardzo nieprzydatnym panem domu jest Pevensey. Jednak to nie był czas zupełnie zmarnowany. Montgomery nauczył się tego i owego o wojennym rzemiośle, nauczył trzymać język za zębami i uświadomił sobie, że kocha swój dom najbardziej ze wszystkiego.

Nic dziwnego, że Amanda nie chce wyjść za mąż.

Montgomery stał obrócony plecami do ognia, grzejąc dłonie i inne ważne części ciała. Rozmyślał

* 181 *

0 siostrze. Była doskonałym kompanem, nie brzydziło jej błoto ani robactwo, nie bała się wymachiwać mieczem ani pędzić na koniu jak potępieniec. Czy młodszy brat mógł za nią nie przepadać? Mimo wszystko zmieniła się przez ostatni rok. Nie śmiała się tyle co kiedyś. Gdy gnała na koniu, to tak, jakby uciekała przed czymś. Kiedy walczyła, walczyła tak, jakby szykowała się do bitwy. Montgomery zwątpił, czy jeszcze kiedykolwiek Amanda będzie szczęśliwa.

Do chwili, gdy pojawił się Jake.

Nieważne, że był kupcem. Montgomery zdawał sobie sprawę, że za tym kryje się coś więcej. W końcu czy do uratowania swojego dobytku przed rabusiami nie wystarczy trochę sprytu

1 szybkie ręce? Niepokoiło go, że znaleźli Ja-ke'a nieprzytomnego na ziemi, lecz nie miał pewności, czy wtedy nie wydarzyło się coś niezwykłego. Gdyby był sobą, na pewno wyszedłby z tego zwycięsko. Montgomery zachował żywe wspomnienie o tym, jak Jake obezwładnił kilku atakujących go mężczyzn, gdy on, John i Amanda przybyli mu na ratunek.

Na ratunek, którego Jake nie potrzebował.

O nie, nie było żadnego powodu, dla którego Jake nie mógł zostać rycerzem.

Montgomery zaczął się wiercić z zakłopotania. No dobrze, było kilka przeszkód, ale były absurdalne.

Dlaczego człowiek ma się cieszyć przywilejami rycerskimi tylko pod warunkiem, że się z nimi urodził? Mężczyzna pełen zapału i siły z pewnością mógł po prostu sięgnąć po tytuł szlachecki i wydrzeć go królowi - i zachować w nagrodę za swoją zmyślność.

A poza tym Montgomery lubił Jake'a.

*** 182 ***

Polubił go znacznie bardziej niż kogokolwiek innego spośród kawalerów ubiegających się o rękę Amandy.

Wciąż niejasne było dla niego, czemu Jake nie mógł wyruszyć do domu. Przecież Londyn znajduje się zaledwie parę dni jazdy na południe. Dlaczego nie może po prostu pojechać, przypilnować swoich spraw i wrócić? Najwidoczniej kupiectwo jest znacznie bardziej skomplikowane, niż sądził.

Montgomery spojrział w prawo, na Jake'a, który schodził po schodach z Milesem. Byli pochłonięci rozmową, bez wątpienia na temat ćwiczeń. Montgomery nie bronił Jake'owi skorzystania z doświadczenia Milesa. Wszak brat był wyjątkowo śmiałym wojownikiem, gotowym na wyzwania, których nikt inny by się nie odważył podjąć. Może Miles nauczy Jake'a umiejętności niezbędnych do dobrego zaprezentowania się przed ich ojcem. I bynajmniej nie oznaczałoby to, że te umiejętności zrobiłyby jakiegokolwiek wrażenie na Rhysie de Piagecie, najznakomitszym wojowniku w całej Anglii. Miejsce tuż za nim przypadło jego synowi, Robinowi de Piagetowi.

Montgomery poczuł, jak wzbiera w nim fala dumy na myśl, że w jego żyłach płynie ta sama krew. Nadal ogrzewał z ukontentowaniem zadek przy ogniu kominka, patrząc, jak Jake i Miles ostro zabierają się do sutego posiłku, a potem wstają i ruszają w stronę frontowych drzwi. Jake przystanął, uśmiechnął się i podszedł, by objąć Montgo-mery'ego ramieniem.

- Myślę, że będę potrzebował także twojej opinii, Montgomery. Chodź z nami i bacz na moją formę. Chłopcu aż serce urosło, pomimo wysiłków, by sprawiać wrażenie niewzruszonego.

*** 189 ***

Na wszystkich świętych! Zapragnął, by Amanda mogła poślubić tego człowieka. Nieważne, że w jego żyłach nie płynie szlachecka krew. Jake był dobry dla Amandy, a także dla jej młodszych krewnych. A był to rodzaj szlachetności, jakiej żaden z poprzednich zalotników Amandy nie okazywał. Montgomery'emu to wystarczało.

14

Powietrze aż iskrzyło od forteli. Dwaj przeciwnicy nachylili się, a każdy z nich usiłował uzyskać przewagę. Krążyli, nieruchomieli, by się zastanowić, a potem znów przypuszczali atak, nieustannie poszukując możliwości tak skutecznego pokonania rywala, że jedynym honorowym wyjściem z sytuacji pozostawała śmierć.

Amanda przyglądała się, jak Miles i Jake stają w szranki na szachownicy ojca i próbowała zgadnąć, który z nich okaże się zwycięzcą. Miles był świetnym graczem, lecz wyglądało na to, że Jake jest równie dobry. Obserwowała, jak obrzucają się obelgami, a potem blefują, przez cały czas postępując jak równi sobie.

Amanda pomyślała, że mogliby być sobie równi, gdyby sprawy miały się inaczej.

- Niech to diabli - Miles przewrócił figurę króla z westchnieniem. - Szach i mat.

Jake uśmiechnął się.

- Znakomita rozgrywka. Jesteś dobrym graczem.

- Powinienem być - burknął Miles. - Ojciec ćwiczy mnie w szachach od małego. Mówi, że to uczyni ze mnie lepszego rycerza - podniósł na Jake'a zachmurzony wzrok. - Nie mogę powiedzieć, by tak było.

- Żartujesz sobie? Kilka razy już mnie miałeś.

*** 184 ***

Żartujesz stanowiło kolejne ze słów, przy których Amanda kręciła głową. Mimo wszystko pojęła sedno i miała nadzieję, że Miles zrozumiał komplement. To była jedna z rzeczy, którą musiała Jake'owi przyznać: nie skąpił pochwałą.

I był nadzwyczajnym szachistą.

Miles westchnął, podniósł się, pokłonił nisko Jake'owi, a następnie usiadł obok Amandy na ławie.

Objął siostrę ramieniem i rzucił spojrzenie spode łba.

- Może i jest mocnym szachistą, ale nie potrafi unieść miecza, żeby ocalić swoje życie.

- Miles!

- Tak myślisz teraz, w tym tygodniu - zauważył Jake nonszalancko. - Daj mi miesiąc lub dwa, a wtedy powiesz, co sądzisz o mojej szermierce.

Amanda oparła się o Milesa i zadumała nad tajemnicą Jacksona Aleksandra Kilchurna IV.

Po pierwsze, dlaczego mężczyzna otrzymał takie wyniosłe imię, jeśli był synem zwykłego kupca? Po drugie, gdzie nauczył się z takim zacięciem grać w szachy i czemu nie przeniósł tego przebiegłego wyczucia wojennego rzemiosła na sztukę władania mieczem? Po trzecie, dlaczego człowiek, który zajmował o tyle niższą pozycję od jej braci, mógł zachowywać się tak nieskrępowanie w ich towarzystwie, miażdżąc chłopców w komnacie ojca przy grze jego figurami szachowymi?

I po czwarte, i gorsze, dlaczego nie był jednym z dziesiątków mężczyzn, którzy starali się o nią przez ostatnie cztery lata?

- Mruczysz coś pod nosem - zauważył uprzejmie Miles. - Bądź ostrożna, Amando. Zaczynasz przejmować co bardziej denerwujące nawyki Robina.

Pokazała mu język, lecz nie potrafiła dorzucić żadnej złośliwej uwagi, ponieważ twarz Milesa roz-

* 185 *

jaśnił delikatny uśmiech zarezerwowany tylko dla niej, jego, prawdę mówiąc, ukochanej siostry. Gdy tak się uśmiechnął, Amanda wybaczyła mu absolutnie wszystko. Przyjrzała mu się.

- Jesteś dziś bardzo radosny - stwierdziła.

- A dlaczegożby nie? - spytał wesoło. - Jestem w domu, mam tutaj ciebie, żebyś mi gotowała i cerowała przyodziewek. Właśnie zostałem pokonany z kretelem w szachy przez człowieka, który docinki obraca w żart. Czy jest na tej liście coś, na co powinienem się skarżyć?

- Nie chcesz, żebym cerowała twoje ubrania.

- Ani żebyś mi gotowała - Miles roześmiał się serdecznie. - Ale jestem równie szczęśliwy.

Amanda musiała przyznać, ku swojemu niemałemu zdumieniu, że ją również przepełniała radość. Siedziała wygodnie w ulubionej komnacie w zamku, mając przy sobie trzech z najukochańszych braci. Grzała się w bardzo domowym poczuciu przynależności.

- Amando, teraz ty?

Zamrugła, gdy zorientowała się, że Jake mówi do niej.

- Słucham?

- Czy grasz w szachy?

- Byłbym czujny, Jake - ostrzegł Miles. - Amanda ukrywa wiele talentów, a umiejętność zwyciężania na szachowym polu bitwy to jeden z nich.

- A zatem lepiej będzie, jeśli najpierw poćwiczę na twoich braciach - zgodził się Jake. Spojrzał na Montgomery'ego. - Chciałbyś teraz zagrać?

Montgomery wyglądał tak, jakby Jake zaproponował mu zawartość królewskiego skarbcza. Skoczył na równe nogi i rzucił się na puste krzesło przy szachownicy.

*** 193 ***

- Jestem gotów - oznajmił, wyginając palce.
- Mogę mieć tylko nadzieję, że i ja jestem - rzekł z ogniem Jake, lecz odwrócił głowę i mrugnął do Amandy.
- Nie miej litości, Montgomery - podsunęła Amanda.
- O, a ładnie to tak? - szepnął Miles. - Taki dobry człowiek. To bardzo brzydko z twojej strony tak się z niego wyśmiewać.
- Dręcę go świadomie - odpowiedziała głośno Amanda - żeby tym łatwiej zetrzeć później na proch. Jake roześmiał się i grał dalej. Amanda patrzyła nań, odkrywając po raz kolejny, że nie potrafi oderwać wzroku od tego mężczyzny. Przy czym nie chodziło tylko o jego niewątpliwą urodę ani równie oczywistą umiejętność gry w szachy, którą Amanda zawsze uważała za przywilej arystokracji. Chodziło o to, że okazywał życzliwość jej braciom.
- Patrzyła, jak Montgomery promienieje pod wpływem uwag Jake'a. Gość chwalił strategię chłopca, trapiła go groźba utraty własnego króla, zastanawiał się na głos, czy będzie w stanie pokonać kogoś tak młodego, lecz tak uzdolnionego w rycerskim rzemiośle.
- Montgomery przestał promienieć. Jął stroszyć piórka.
- Ostatecznie Jake osaczył jego króla, lecz zajęło to sporo czasu i wyglądało, jakby wymagało ze strony Jake'a dużego wysiłku.
- Och, święci pańscy - wyrwało się Amandzie. - Tym razem odniósł pełne zwycięstwo.
- A jeśli chodzi o ciebie? - spytał niewinnie Miles.
- O mnie?
- Czy już cię zupełnie pokonał?
- Dlaczego pytasz? - Amanda zmarszczyła brwi.

* 187 *

Miles wzruszył ramionami.

- Wydaje się dobrą partią.

- A jaki z tego dla mnie pożytek? Jest kupcem. Ja, zrzędzeniem losu przy narodzinach, nie. Nic się między nami nie wydarzy.

Miles pociągnął ją za włosy.

- Może i nie, ale przynajmniej mogłabyś się w ten sposób przekonać, że nie wszyscy mężczyźni są tak godni pogardy, jak ci, którzy przez lata rozbijali obozy pod naszymi murami.

- No dobrze, ale jaka płynie z tego dla mnie korzyść?

- Może żadna - stwierdził nonszalancko Miles. - Ale polubiłem go. Przyznaję, że jestem skonfundowany brakami w jego umiejętnościach, nawet jak na kupca, lecz sądzę, że dałoby się temu zaradzić.

Zważywszy, że ma, no cóż... - zawiesił skromnie głos - ...mnie jako nauczyciela.

- Biedaczysko...

- Powinnaś, siostró, zmierzyć się ze mną na miecze, a wtedy może zmienisz zdanie - skrzyżował nogi w kostkach i oparł plecy o mur. - Zaiste, bardzo mi przypadł do serca. Wiele podróżował, wiesz. Był w wielu miejscach, które sam bym chętnie odwiedził.

A to dopiero wieści! Amanda nie mogła wyjść ze zdumienia, jak to możliwe, że nie minęło siedem dni, jak Miles zawitał do domu, a już wiedział o Jake[^] tyle rzeczy, o których ona nie miała pojęcia.

A przecież to ona go znalazła.

- Gdzie bywał? - zapytała, starając się nie okazywać nadmiernej ciekawości.

- W Italii, Francji, Hiszpanii. I w innych krajach, o których nigdy nie słyszałem. Wszystkie bardzo ekscytujące i nowe. Zazdroszczę mu.

* 195 *

Amandy to nie zdziwiło. Miles był największym wędrowcem w ich rodzinie. Liczył sobie zaledwie kilka wiosen mniej, a już podróżował do Francji dwukrotnie częściej niż ona. Mimo wszystko rozumiała tęsknoty brata. Było coś pociągającego w tym, że można zobaczyć nowe miejsca, spróbować nowych rzeczy i poznać nowe zapachy.

Jednak w tej chwili nie potrafiłaby wskazać miejsca, na które by zamieniła komnatę ojca, gdzie przebywała w otoczeniu ukochanych osób.

Wieczór toczył się dalej. Johnowi zaproponowano grę podobnie jak Montgomery'emu, z tą różnicą, że Jake traktował Johna poważniej. Mówił mniej komplementów, jednak rozmawiał z nim tak, jak czynili to między sobą najstarsi gwardziści ojca. Przerzucali się uwagami i żartami, jakby tylko oni mogli zrozumieć tę szczególną wymianę zdań. Najwidoczniej w odczuciu Jake'a John był osobą wartą względów i zaufania.

Jake wygrał z łatwością, ale zdawało się, że to dla Johna nie miało znaczenia. Dołączył do Mont-gomery'ego obok kominka, gdzie razem sprawiali wrażenie nieznośnie zadowolonych z siebie. Jake rozsiadł się i spojrzał na Amandę.

- Twoja kolej?
- Mnie tak łatwo nie pokonasz.
- Nigdy, przenigdy nie przeszło mi to przez myśl.

Miles zakrztusił się ze śmiechu. Amanda uciszyła go wzrokiem, a potem wstała, by usiąść naprzeciwko Jake'a przy szachownicy.

- Damy mają pierwszeństwo - rzekł uprzejmie Jake.
- To twój pierwszy błąd - odrzekła równie uprzejmie.

Amanda w miarę rozwoju gry zauważyła, że Jake nie prawi jej komplementów i w ogóle nie jest

tak rozmowny jak z braćmi. Raz czy dwa dostrzegła, że marszczy czoło. I zawsze, gdy podnosił na nią wzrok, aby, bez wątpienia, sprawdzić, czy zмага się tak mocno jak on, Amanda posyłała mu swój najpiękniejszy uśmiech. Uśmiech, który sprawiał, że ojciec zgadzał się, by jeździła na każdym koniu, który się jej spodoba, i że nie będzie miał absolutnie nic przeciwko temu, jeśli będzie biegać w chłopcym, dużo wygodniejszym stroju.

Najwyraźniej uśmiech działał nie tylko na ojca.

Kilka minut później Jake oderwał wzrok od planszy, na której stał jego król, bezlitośnie przygwożdżony przez królową, gońca i skoczka Amandy.

Zamrugął.

- Myślę, że zostałem pokonany.

- A więc poddaj się.

Uniósł dłoń nad króla, popatrzy! na Amandę poważnym wzrokiem i z zamierzoną powolnością przewrócił figurę.

- Złożyłem broń w chwili, gdy gra się rozpoczęła. Amanda odniosła wrażenie, że mówi o czymś więcej, nie tylko o partii szachów.

Opar! się wygodnie i założył ręce na karku.

- Jesteś bardzo dobra - przyzna!.

- Strategię mam we krwi - wyznała. - Powinnam zostać dowódcą armii.

- Francja żyłaby w strachu - uśmiechnął się Jake.

- Moi zalotnicy z pewnością tak się czuli.

- A więc, co robisz w wolnym czasie, kiedy nie wymyślasz nowych strategii, aby okpić i wprawić w zakłopotanie zuchwalców, którzy próbują przemknąć się mimo twoich straży?

- Nie szyje - poddał John.

- Zdecydowanie nie gotuje - westchnął leniwie Miles.

*** 197 ***

Montgomery milczai. Jake przeniósł na niego wzrok.

- Ty nie masz żadnych propozycji? Montgomery potrząsnął głową z uśmiechem.

- Nie sędzę, żeby było coś, czego Amanda by nie umiała. Umie jeździć konno, wie, jak posługiwać się mieczem, potrafi tańczyć, wyszukiwać zioła...

- Chodzi ci o to, że zadaje się z wiedźmami - mruknął John.

- John! - skarcił go surowo Miles. - To nie więdźmy. Berengaria była słuźącą w Segrave i zapewniam cię, że babka nie tolerowałaby czarów na swojej ziemi. No - dodał z uśmiechem - w każdym razie żadnych haniebnych praktyk.

- Nie są czarownicami, tylko akuszerkami i uzdrowicielkami - objaśniła Amanda. - I nie zadaję się z nimi, tylko odwiedzam, kiedy przebywają w naszych okolicach. Nauczyłam się kilku pożytecznych rzeczy, które mogłyby ocalić twoje nędzne życie, John, gdybym kiedykolwiek chciała je ratować. A poza tym Berengaria mieszkała tutaj przez wiele lat. Jedynym powodem, dla którego odeszła, były twoje narodziny^ spojrzała na Jake'a. - Jeszcze jakieś pytania? - rzuciła energicznie.

Jake podniósł ręce w geście poddania.

- Żadnego. Widzę, że jesteś bardzo zabiegana.

- A ty? - odezwał się Montgomery. - Czym się dokładnie zajmujesz, będąc kupcem?

- Właśnie, chciałbym posłuchać o twoich wozach - wyznał Miles.

- A ja chciałbym posłuchać o klejnotach - ożywił się John. - Robin ma sztylet z bardzo pięknym czerwonym kamieniem w rękojeści, który moim zdaniem jest zbyt ozdobny jak na jego użytek, jednak Robin nie kwapi się, żeby mi go dać.

*** 191 ***

- Pozwoli ci go mieć, gdy będziesz na tyle zręczny, by odebrać mu sztylet w potyczce - uznała Amanda. Znowu spojrzała na Jake'a. - Jeśli o mnie chodzi, pragnęłabym się dowiedzieć, co tworzysz dla zamożnych protektorów. Mógłbyś nam o tym opowiedzieć?

- Mogę zrobić coś lepszego. Czy macie pergamin i coś do pisania?

- Umiesz pisać? - zapytał zdumiony John.

- Naturalnie - odrzekł Jake równie zaskoczony.

- A ty nie?

- Umiem, ale jestem synem lorda.

Jake uśmiechnął się tylko. Wziął arkusz ze stosi-ku, który Rhys de Piaget trzymał na pośledniejszą korespondencję, a także gęsie pióro i kałamarz.

Amanda zabrała szachy i zdążyła wrócić, by zobaczyć narysowane do połowy dzieło.

- Co to takiego? - szepnęła. - Wspaniałe.

- To tylko brosza - powiedział skromnie Jake.

- Klejnot z motywem kwiatów zaprojektowany dla kobiety, która uwielbiała różne barwy kamieni szlachetnych. Tutaj umieściłem cytryn, tu błękitny cyrkon, tam różowy granat, a w tym miejscu akwamaryn o wyjątkowym odcieniu, który było bardzo trudno znaleźć i jeszcze trudniej oszlifować - rzucił jej uśmiechnięte spojrzenie spod rzęs. - W istocie barwa kamienia bardzo przypominała kolor twoich oczu. Bardzo piękny i bardzo rzadki.

Amandę naszła myśl, by ktoś ze służby zakrzętał się i przyniósł im wina. Nagle całkiem zaschło jej w gardle.

- Oszlifować? - zapytał Miles, przysuwając sobie stołek, żeby usiąść obok Jake'a. - Co masz na myśli, mówiąc „oszlifować”?

*** 199 ***

- Amando, mogłabyś podać mi swój sztylet? - poprosił Jake.

Wyciągnęła broń zza pasa. Jake uniósł sztylet tak, aby wszyscy mogli zobaczyć ciemnoczerwony kamień w rękojeści.

- Kiedy znajduje się kamienie szlachetne, wcale tak nie wyglądają. Są przyćmione, dużo bledsze niż ten. Zadaniem rzemieślnika jest obrobienie ciemnego kamienia i przekształcenie go w coś pięknego. A żeby tego dokonać - dorzucił - trzeba umieć dostrzec więcej niż tylko pozory.

Patrzył na Amandę przez chwilę w milczeniu.

- Weźmy na przykład sztylet Amandy - ciągnął Jake. - To dobry kamień i całkiem nieźle oszlifowany, lecz spójrzcie tutaj. Gdyby go wygładzić z tej strony - wskazał palcem - i jeszcze tutaj, wtedy płomień, który kryje się wewnątrz kamienia, byłby lepiej widoczny. Oczywiście, nie mam teraz narzędzi, by tego dokonać...

Zmarszczył brwi w zamyśleniu i wpatrywał się w sztylet. Amanda pojęła, że przynajmniej w tej kwestii wie, o czym mówi.

I w tym samym momencie jakaś część jej istoty pozazdrościła Jake'owi zamiłowania do swojej pracy. Nagle zdała sobie sprawę, że sama nie ma prawdziwej pasji poza wynajdywaniem kolejnych skutecznych sposobów na uniknięcie małżeństwa. Posiadła sporą wiedzę o ziołach, znała języki, orientowała się w matematyce i innych męskich zagadnieniach, gdyż ojciec nalegał, by zdobywała wykształcenie. Potrafiła ujeździć konia, zajmować się dzieckiem, a także stanąć, jeśli ją do tego zmuszono, w szranki z mężczyzną i przeważnie wychodziła z potyczki zwycięsko.

Gdy tak patrzyła na małe, kunsztowne kształty, które wypływały spod pióra Jake'a, niemal na-

*** 193 ***

bierając życia podczas szkicowania, wydało jej się dziwne, że jeszcze kilka dni temu jej własne życie zdawało się tak ważne, a dola ludzi poza bramami zamku tak prozaiczna. Teraz mogła się przekonać, jak prosty kupiec może uosabiać coś więcej.

Jak fatalnie oceniła jego wnętrze.

A jak on wielkodusznie uznał jej zalety w dużo większym stopniu, niż na to zasługiwała.

Amanda zaczęła się zastanawiać, że wszystko, w co wierzyła, a co się tyczyło jej miejsca na ziemi i każdego innego człowieka o niższym statusie, było do gruntu błędne.

- Amando?

Spojrzała na Jake'a, odrywając się od swoich myśli.

- Proszę?

- Czy dobrze się czujesz?

Skinęła głową, starając się uśmiechnąć.

- Najzupełniej. Czuję się po prostu... dobrze. Nie miałam pojęcia, jak piękne są twoje towary. Są... zapierają dech w piersiach.

- Dziękuję - odrzekł.

Bez odcienia triumfu. Bez wyrazu twarzy mówiącego: „Ha, widzisz, jak mnie źle oceniłaś, ty arogancka dziewczko”. Może był zwyczajnie skromny, a może po prostu znał swoją wartość i nie potrzebował aprobaty.

Był, jak to ujął Miles, dobrym człowiekiem.

- Mógłbyś nauczyć nas rysować? - zapytał Montgomery, nie odrywając oczu od dzieła Jake'a. -

Bardzo bym chciał umieć rysować.

- Ja również - przyznał John. - Choć sądzę, że wolałbym rysować sceny bitew, a nie filigranowe błyskotki dla dam.

Jake zaśmiał się.

* 201 *

- Nie wątpię. Naturalnie, jeśli tylko macie chęć. W ten sposób odwdzięczę się za kolejne lekcje szermierki.

- Ja zadbam o twoją szermierkę - wtrącił się Miles. - Jeśli na koniec dnia będziesz jeszcze w stanie się ruszać, chłopcy mogą cię przejąć i możesz z nimi robić to, na co masz ochotę.

- A co o tym myśli Amanda? - zapytał Montgomery.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Obcięłaby sobie rękę, żeby nie spłonąć rumieńcem, ale jakoś nie zdołała dobyć sztyletu, zanim poczuła, że ogarnia ją niezręczne gorąco.

Odgarnęła włosy z twarzy, choć ten gest nie przyniósł jej ani krzty ochłody.

- Ja również chciałabym się nauczyć - przyznała opanowanym tonem.

- No to umowa stoi - podsumował Jake. - Zwłaszcza jeśli czasem mogłabyś nam pozować. - Spojrzał na bliźniaków. - Tylko pomyślcie, chłopcy. Długie godziny spędzone wyłącznie na studiowaniu waszej siostry i wymyślaniu, jak można ją uwiecznić - wzdrygnął się. - Tortura. _.

- Torturą będzie każdy wieczór zaczynający się i kończący tutaj - powiedziała Amanda, wskazując na szachownicę.

- Doskonale - odrzekł z uśmiechem. - A teraz, czy ktoś mógłby mi pomóc i podpowiedzieć, jak usunąć ten tusz, gdyż nigdy nie używałem do rysowania gęsiego pióra.

Amanda wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Milesem, który zdawał się równie skonsternowany jak ona.

- O nie, proszę, tylko nie to spojrzenie - westchnął Jake.

* 195 *

- Jakie spojrzenie? - zapytała Amanda.

- To, które mówi, że uważacie mnie za niespełna rozumu. Jest logiczne wyjaśnienie na to wszystko, czego nie wiem.

- Przedstaw je zatem - poprosiła.

Jake uśmiechnął się życzliwie, potem zatarł ręce i wstał.

- Montgomery, pomógłbyś mi usunąć te plamy? Udam się potem na spoczynek. Jutro czeka nas wielki dzień na placu musztry.

Amanda zacisnęła usta, lecz nie nalegała. Będzie jeszcze mnóstwo czasu, by poznać odpowiedź.

Podśluchała, jak Jake zwierzył się Milesowi, że zamierza zostać dłużej w Artane, przynajmniej do czasu, aż wróci Nicholas. Lord Ledenham przekonał go, że mimo wszystkich strażników pozostających wciąż w zamku, Amanda będzie bezpieczniejsza z nim jako dodatkową ochroną.

Jaką mógł zaoferować ochronę - nie wiedziała.

Jednak z chwilą, gdy ta myśl powstała jej w głowie, zdała sobie sprawę, że nie jest do końca słuszna.

Mężczyzna był sprytny i z pewnością potrafiłby poradzić sobie z każdym, gdyby tylko zdołał uniknąć ciosu mieczem aż do momentu zakończenia starcia na gołe ręce.

Ale gdzie nauczył się tej umiejętności?

Tyle pytań.

Chwała niech będzie wszystkim świętym, jeśli wystarczy jej czasu, by otrzymać upragnione odpowiedzi.

Uświadomiła sobie, że nie miałaby nic przeciwko temu, by dach Nicholasa wymagał porządnej naprawy trwającej jeszcze parę tygodni.

15*

Jake wbił pożyczony miecz w ziemię i otarł rękawem spocone czoło. Podniósł wzrok na zamek wznoszący się obok i potrząsnął głową. Kto by pomyślał, że zupełnie niewinna wyprawa na północ zakończy się w tym miejscu. W Artane.

Oczywiście bardzo okrężną drogą.

Jake popatrzył na miecz, który trzymał w dłoniach, podniósł go i przyjrzał mu się uważnie. Fakt, że znajdował się w średniowiecznym zamku, był wystarczająco osobliwy, jeszcze dziwniejsze było to, że stał tutaj z mieczem w ręku. A jeszcze bardziej niesamowite - że uczył się, jak go używać.

Jake spojrział na Milesa.

- Teraz wyszło lepiej.

- Lepiej - przyznał Miles. - Uciałem sobie drzemkę tylko kilka razy.

Jake roześmiał się.

- Jesteś bezlitosny.

- Bynajmniej, jestem dość łagodny, zwłaszcza w porównaniu z moim bratem. Robin nie tylko rozgniółby cię obcasem, ale kazałby ci odskrobać się z jego buta, aby mógł wygodnie wrócić spacerkiem do zamku.

*** 204 ***

- Jesteś dobrym nauczycielem - wyznał Jake. - Doceniam twoją pomocną dłoń.

Miles skłonił się lekko.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie, nie trzeba podziękowań. Powstrzymałeś bliźniaków, zanim doprowadzili mnie do szału. To bardzo dużo.

- Racja - odparł Jake, nie wierząc w to ani przez chwilę. Widać było, że Miles i jego młodsi bracia byli do siebie szczerze przywiązani, mimo utyskiwań Milesa, że bliźniacy zabierają mu za dużo czasu, i narzekania chłopców, że Miles nie zwraca na nich uwagi.

Jake zazdrościł całej trójce.

Chociaż musiał przyznać, że przez ostatni tydzień, od przerwanej próby powrotu do domu, czuł, iż stanowi część tego rodzinnego kręgu.

Było to bardzo miłe uczucie.

Chyba nawet Amanda doszła do siebie po wstrząsie, jakim była dla niej wiadomość, że jest zwykłym kupcem. Naprawdę nie spodziewał się, że przyjmie to inaczej. Jak miała zareagować? Taka była jej rzeczywistość. W świecie Amandy tytuł jest wszystkim.

- Napijmy się czegoś i odpocznijmy trochę - zaproponował Miles. - Potem znów wrócimy do ćwiczeń, jeśli sobie życzysz.

- Życzę sobie - zgodził się Jake. - Już doszedłem do tego, za który koniec miecza należy trzymać, ale to w zasadzie tyle.

- To dobry początek. Wyjdziemy poza ten etap dzisiejszego popołudnia.

Jake ruszył za nim do studni. Przyszło mu na myśl, jakie różności mogą znajdować się w takiej studni, lecz w tej chwili był zbyt wdzięczny za cokolwiek zimnego do picia, by się zbytnio

*** 198 ***

przejmować. Miles na początku tygodnia wynalazł mu jakąś zbroję i chociaż Jake był przyzwyczajony do parnego gorąca zarówno w dżungli, jak i w kopalniach, to trening w takiej blaszanej puszcze był zupełnie nowym doświadczeniem, jeśli chodzi o gotowanie się „wyczynowe”. Wylał sobie wodę na głowę i otrząsnął się.

- Nie rozumiem, jak wytrzymujecie ten żar

- parsknął.

- Człowiek się przyzwyczaja - zauważył Miles.

- Kiedy walczysz o życie, zaczynasz doceniać osłonę, jaką daje kolczuga. Zdumiewa mnie, że nie masz choćby skórzanego kaftana. Mógłby ochronić przed ciosem tępym nożem. Ewentualnie.

- Nosilem wcześniej skórę - przyznał Jake

- i zgadzam się, daje pewną ochronę. Pomyślał o skradzionej skórzanej marynarce, która grzała pewnie jakiegoś średniowiecznego oportunistę.

- Czy straciłeś ją, gdy obrabowano cię ze stroju?

- spytał Miles.

- Tak, razem z innymi rzeczami. Miles potrząsnął ze smutkiem głową.

- Nie powinieneś wędrować samotnie. Nawet najbardziej doświadczony rycerz nie wyrusza bez człowieka osłaniającego mu plecy.

- Ty tak zrobiłeś - zauważył Jake.

- No cóż. - Miles uśmiechnął się leciutko. - Nie najostrożniejsza ze mnie dusza.

Jake zaśmiał się. Oto stał przed nim Miles, średniowieczny rycerz posiadający wszelkie umiejętności niezbędne, by móc wypełniać rycerskie powinności. Osiągnięcie takiej sprawności wymagało od niego wielu lat ćwiczeń i samodyscypliny. A poza tym Jake dostrzegął, że Miles, podobnie jak on sam, pała żądzą podróży. Wyobraził sobie,

* 206 *

że gdyby Miles znalazł się w dwudziestym pierwszym wieku, prawdopodobnie włóczyłby się po całym świecie w poszukiwaniu tego co rzadkie, wyjątkowe i absurdalnie drogie.

Jake uśmiechnął się w duchu. Jaka szkoda, że nie może zamienić się miejscami z Milesem. Każdemu z nich rozwiązałyby to kilka problemów.

- Ruszajmy do stołu - ponaglił Miles. - Z tego, co mi wiadomo, Amanda będzie już czekała, by pokazać się jako pani tego zamku i nalać nam wina.

- Znam twoją siostrę niecały miesiąc i jestem przekonany, że nie będzie stała z gąsiorkiem w jednej ręce i z misą pysznego mięsiwa w drugiej.

- Pewnie nie - zgodził się Miles. - Niemniej powinniśmy zażyć trochę odpoczynku, zanim wrócimy do dalszych trudów.

Jake skinął głową i poszedł z Milesem do głównej sali. Już niemal przestawał zastanawiać się nad zupełnym nieprawdopodobieństwem tej sytuacji, jednak co pewien czas przyłapywał się na tym, że znów do tego wraca.

Na przykład w tej chwili, gdy przemierzał średniowieczny dziedziniec ubrany w kolczugę, z mieczem objającym się o biodro. Trochę ponarzekał, spocił się, a teraz nie mógł się doczekać węgorza podlanego sosem.

Kto by pomyślał!

Zastanawiał się, o czym myślą w tym samym momencie ludzie, których zostawił za sobą - albo raczej przed sobą. Albo co też akurat robią. Czy tam czas płynie tak samo? Czy minął miesiąc i ojciec Gideona został bez papierkowej roboty, a Jackson III wciąż zgrzyta zębami, bo interes przeszedł mu koło nosa? Czy Gideon przeprowadził jakiegokolwiek dochodzenie w sprawie zniknię-

*** 200 ***

cia Jake'a, czy też zapisał to na konto nieodpowiedzialności?

Jake'owi trudno było odpowiedzieć na te pytania i w ogóle się tym nie przejmował. Tego dnia zamierzał realizować plan i zmienić się w średniowiecznego rycerza - pomijając tytuł, oczywiście, aby móc strzec Amandy, dopóki nie wróci któryś z jej starszych braci. A potem miał zamiar wrócić do domu i zająć się własnym życiem.

Swoim nudnym i bezbarwnym życiem.

Wszedł do zamkowej sali i pierwsze, co zobaczył, z chwilą gdy oczy oswoiły się z mrokiem, to była Amanda. Stała blisko stołu na podeście, rozmawiając z jednym ze sług Artane.

I Jake'a zastanowiło, czy mógłby wrócić do życia w przyszłości, skoro wszystko, co promienieje blaskiem, znajduje się tutaj, w przeszłości.

Szedł przez salę z Milesem i czuł, że nie potrafi oderwać od Amandy wzroku. A kiedy skończyła rozmawiać, odwróciła się i spojrzała na niego, ogarnęło go najbardziej absurdalne uczucie zanurzenia w rozkoszy.

I jeszcze uśmiechnęła się.

Jake miał wrażenie, że pozbawiono go tchu.

- Spokojnie - mruknął Miles.

- Cicho bądź.

Miles cmoknął z dezaprobatą.

- Powinieneś być miłszy dla swojego mistrza miecza, zwłaszcza że na dziś jeszcze nie zakończyłeś ćwiczeń.

- Jestem od ciebie starszy. Mogę cię pokonać.

- Tak samo twierdzą bliźniacy, lecz z pewnością nie pokonasz mnie mieczem.

- Na pewno nie - przyznał Jake. - Ale gołymi rękami? Zdecydowanie.

* 201 *

Miles nie namyślał się długo.

- Pokażesz mi parę sztuczek?

- Naturalnie, ale jutro i bez kolczugi - uśmiechnął się Jake.

- Zgoda - Miles wykonał zamaszysty gest ręką w stronę Amandy. - Możesz wpatrywać się w moją siostrę, ile ci się żywnie podoba - oznajmił na głos.

Jake przyjacielsko klepnął go w plecy na tyle mocno, że Miles się zatoczył. Posłał chłopakowi ostrzegawczy uśmieszek, a następnie zwrócił uwagę na naprawdę interesującą osobę w zamkowej sali. Przystanął naprzeciwko Amandy i skłonił się lekko.

- Moja pani. Zmarszczyła nos.

- Przydałaby ci się kąpiel.

- Rycerze się nie kąpią - odrzekł Miles zza Ja-ke'a.

- W tym domu - tak.

- Nie przerobiliśmy jeszcze wszystkich ćwiczeń na dziś - upierał się Miles.

Amanda zacisnęła usta.

- Dobrze więc, możecie teraz cuchnąć, ale proszę wziąć kąpiel przed wieczerzą, bo inaczej nie dostaniecie posiłku. A przynajmniej nie przy moim stole.

Miles pokłonił się jej nisko, a potem okrążył w podskokach stół i usadowił się na krześle. Jake posłał Amandzie uśmiech.

- Czy powinienem zająć miejsce po nawietrznej?

- Zatkam nos. Chodź i jedz, żebyś miał siły na popołudniowe trudy.

Jake podszedł do stołu, usiadł i zabrał się do jedzenia. Przez cały czas był w pełni świadom obecności Amandy siedzącej tuż obok, spierającej się

* 209 *

z Milesem i usiłującej uspokoić fatalnie zachowujących się bliźniaków.

Bardzo mało się do niego odzywała.

Jake skończył jeść, rozsiadł się na tyle wygodnie, na ile to możliwe w przypadku człowieka w kolczudze i po prostu obserwował Amandę. Po raz ostatni pogroziła palcem Johnowi, po czym obejrzała się na Jake'a i zmarszczyła brwi.

- Cóż takiego?

Jake potrząsnął głową, nie mogąc przestać się uśmiechać.

- Nic. Tylko na ciebie patrzę.

- Dlaczego?

- Nic nie mogę na to poradzić. Bez wątpienia jesteś najbardziej przebojową, wygadaną i najbardziej fascynującą kobietą, jaką kiedykolwiek miałem przyjemność spotkać.

- Wygadana? - powtórzyła.

Jake wykonał dłonią gest przypominający kwakanie.

Amanda przez kilka chwil mrugała powiekami. Jeden z kącików jej ust drgnął.

- Myślę, że powinnam poczuć się urażona.

- Ależ to komplement!

- Robin powtarza, że mój ostry język odstrasza wszystkich rozsądnych mężczyzn - powiedziała jakby od niechcienia, przyglądając się swoim dłoniom.

- Ja wciąż tu jestem.

Znieruchomiała. To był ten sam bezruch, który ogarnął ją w kaplicy, tylko teraz ogarnął nie tylko Amandę, ale i resztę biesiadników. Miles skończył gderać, bliźniacy przestali przeżuwać. Wyglądało to tak, jakby wszyscy wstrzymali oddech, czekając na coś, co miało nastąpić.

* 203 *

- Czyżby? - zapytała cicho, wciąż patrząc na swoje mocno splecione dłonie spoczywające na kolanach.

- I nie chcę przez to powiedzieć, że przyniesie to jakiś pożytek - odpowiedział równie spokojnie Jake.

- Jednak, o ile ma to znaczenie, nic, co powiedziałaś, nie sprawiło, że uciekłem przez bramę.

Amanda bardzo długo milczała.

John czknął donośnie, po czym błyskawicznie zasłonił usta i spojrzał na Jake'a szeroko otwartymi oczami.

- Przepraszam - wyjąkał.

- Wzruszenie było ponad jego siły - rzucił oschle Miles. - Dziękuję ci, bracie, za uratowanie nas wszystkich przed Jakiem padającym na kolana i wyznającym dozgonną miłość. - Podniósł się gwałtownie. - Ruszajmy z powrotem do zajęć, Jake. Mamy sporo do zrobienia, a mało czasu.

Jake musiał się zgodzić. Opróżnił kielich, potem także wstał od stołu. Już miał ruszyć za Milesem, gdy nagle na rękę poczuł lekkie dotknięcie. Spojrzał w dół. Amanda spoglądała na swoje palce dotykające jego palców, a następnie cofnęła dłoń na kolana.

- Dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego to robisz? Odepchnął krzesło i ukląkł na jedno kolano obok niej.

- Święci pańscy - jęknął Miles.

Jake spiorunował go wzrokiem, a potem odwrócił się do Amandy.

- Ponieważ zrobię wszystko, by zapewnić ci bezpieczeństwo.

Uchwyciła jego spojrzenie. Widok łez w oczach Amandy niemal rozłożył go na łopatki.

*** 211 ***

- Tyle wysiłku - wyszeptała.

- To jest tego warte - odparł. Wyciągnął dłoń i dotknął twarzy Amandy, zajrzał w jej turkusowe oczy na kolejną nieskończenie długą chwilę, po czym prędko wstał i się odwrócił. Szedł za Milesem, aby obejść stół i wyjść z sali. Dobrze się złożyło, gdyż dając się prowadzić, mógł trzymać chłopaka za ramię i iść prosto.

- Nieszczęsny głupcze - odezwał się Miles, gdy schodzili na dziedziniec.

- Dziękuję - odrzekł grzecznie Jake. - Czy masz coś jeszcze miłego do powiedzenia, czy to już wszystko?

- Daj mi trochę czasu, a czuję, że coś jeszcze wymyślę - obiecał pogodnie Miles.

Jake pozwolił pograć się towarzyszowi w myślach, a przez ten czas przeklinał siebie po tysiakkroć i na tysiąc sposobów. Nie może być jego. Nie wolno mu z nią flirtować. Prawdopodobnie nie powinien nawet zbliżać się do tej kobiety na odległość mniejszą niż sto jardów. Amanda poślubi jakiegoś cholernego średniowiecznego gościa ze złotymi gwiazdami na koszuli i królewską pieczęcią na czole i tym gościem nie będzie Jake. On będzie musiał wrócić do domu, podjąć swoje życie i radzić sobie najlepiej, jak się da.

Radzić sobie w życiu bez tej wygadanej, przebojowej, niesamowitej kobiety, naprawdę zasługującej na faceta z dwudziestego pierwszego wieku - kogoś, kto pozwoliłby jej być sobą, przy kim nie czułaby się stłamszona do takiego stopnia, że aż zabiłoby to w niej ducha.

Jake był całkowicie pewien, że lord Ledenham nie potrafiłby tego dokonać, jeśli w ogóle dostałby Amandę w swoje łapska.

*** 205 ***

Szli z Milesem przez dziedziniec i dalej, na plac ćwiczeń. Miles zadowolony nucił coś pod nosem, aż nagle stanął. Odwrócił się i spojrzał na Jake'a.

Wyraz twarzy chłopaka sprawił, że Jake zamarł.

Niech to diabli, co takiego kryło się w tym miejscu? Albo los ma okropne poczucie humoru, albo Jake ugrzązł w jakimś nieustępliwym czasowym mule, albo też przechodził dietę, odstawiając niezdrowe jedzenie. Nie umiał powiedzieć. Jednak mógł stwierdzić, że jeżeli nie przestanie mieć tych chwil *déjà vu*, które groziły mu kompletnym nokautem, to będzie musiał coś na ten temat powiedzieć.

Odpowiednim paranormalnym władzom.

Kimkolwiek one są.

Splótł ręce za sobą.

- No dobrze, Milesie, wyrzuć to z siebie. Miles namyślał się przez kolejną chwilę trwającą wieczność.

- Znam - rzekł powoli - pewną opowieść, która mogłaby cię zaciekawić.

Jeśli miało to coś wspólnego z falami czegoś monumentalnego, co zdawało się go obmywać, Jake wiedział, że rzeczywiście będzie bardzo zainteresowany.

- Słucham.

- A więc, może o nim słyszałeś, a może nie, ale mój dziadek od strony matki był bardzo potężny - zaczął Miles. - Owdowiała babka wciąż jest potężna. Kiedy nadeszła pora zamążpójścia dla mojej matki, nie było wątpliwości, że nie poślubi nikogo innego, tylko kogoś równego stanu.

- Typowe - zauważył Jake.

- Zgadza się, lecz właśnie tutaj opowieść robi się zajmująca... - Miles urwał - ...dla ciebie.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, ponownie przyprowadził Jake'a o dreszcze.

* 213 *

- Zamieniam się w siuch.

- Mam nadzieję. Widzisz, mój ojciec, jak wiesz albo i nie, nie urodzi! się jako potężny lord, którym jest obecnie.

Jake nie miał choćby cienia pojęcia o życiu Rhy-sa de Piageta, lecz był gotów przyjąć na wiarę stwierdzenie Milesa.

- Nie był?

- Był zwykłym rycerzem - ciągnął Miles - ale nie miał ziemi. A co gorsza, związał się, i nadal jest związany, z bandą dość nikczemnych zbójów. To sprawiło, że był traktowany nie tylko jako prosty rycerz, ale też jako najbardziej niepożądany. - Miles urwał. - Uważano go za kogoś zupełnie, całkowicie i dokumentnie nieodpowiedniego.

Jake miał wrażenie, że nagle cały świat również wstrzymał swój bieg.

Tak jakby czekał razem z nim.

-1 co dalej? - zapytał Jake.

-1 pokochał moją matkę. Szczegóły są nieistotne, lecz wystarczy powiedzieć, że gdy matka była wreszcie wolna i mogła wyjść za niego za mąż, ojciec nabył dość umiejętności i stał się na tyle potężny, że przybył do króla i wytargował to, czego wymagało poślubienie mojej matki.

- A co to było?

Miles znów urwał, a potem uśmiechnął się.

- Ziemia i tytuł.

Jake zamknął na moment oczy. Świat wokół niego zadrżał. Ziemia i tytuł.

To wszystko było potrzebne mężczyźnie, by mógł poprosić o rękę osobę, o której posiadaniu nie pomyślałby w najśmielszych marzeniach.

Amanda...

*** 207 ***

- Rozumiem - wydusił z siebie Jake.

- Człowiek zdobywa to, czego mu trzeba, nie tylko siłą oręża. - Miles wzruszył ramionami. - Kup ziemię, a za tym przyjdzie tytuł albo kup tytuł, a otrzymasz ziemię. Wszystko się ze sobą łączy. Jake odwrócił się i odszedł kawałek. Wcisnął ręce w nieistniejące kieszenie, zaklął, potem splótł dłonie za sobą. Przez parę chwil przechadzał się przed Milesem. W końcu stanął i spojrzał na brata Amandy.

- Ile to by kosztowało?

- Prawdopodobnie wszystko, co masz.

Jake nie miał zupełnie pojęcia, ile by to mogło wynieść, gdyby zamienił współczesne pieniądze na średniowieczne monety, jeśli w ogóle zdołałby przenieść się do domu, by tego dokonać, a potem wrócić do Anglii wieków średnich, jak już raz mu się udało.

Jednak myśl, że to w ogóle możliwe, była po prostu szokująca. Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Mógłbym kupić Amandzie zamek, ale prawdopodobnie nie byłbym w stanie jej wyżywić.

- Ona i tak niewiele je.

Jake poczuł się nagle tak beztrąsko, tak pełen niedowierzania, tak znękany poczuciem kompletnej niedorzeczności, że aż się roześmiał. Gdyby miał całkowitą pewność, że nie przebiję ani siebie, ani Mileśa, z czystej radości podrzuciłby miecz w górę.

- To nie może być takie proste - uznał.

- O nie, na pewno nie będzie - potwierdził Miles. - Możesz zawieźć królowi złoto, lecz trzeba będzie czegoś więcej niż złoto, by dostać ją od mojego ojca.

* 215 *

- Czuje, że zacznę spędzać dużo więcej czasu na placu ćwiczeń - stwierdził Jake.
- Jeśli sprawa jest warta wysiłku. Jake klepnął Milesa w ramię.
- Oszalałeś? Przecież rozmawiamy o twojej siostrze.
- Lepiej, żebyś był pewien - odpowiedział poważnym tonem Miles.
- Kochać coś, dlatego że jest piękne i hipnotyzujące, równocześnie wiedząc, że będzie blisko ciebie przez krótki czas, to jedno - rzekł Jake. - Jednak myśleć, że można to mieć na zawsze, to zupełnie co innego.
- Nie ma łatwego charakteru - zauważył spokojnie Miles - i szczerze to mówię, mimo że bardzo ją kocham.

Jake podniósł wzrok i zobaczył Amandę, która wyszła z sali zamkowej i schodziła na dziedziniec. Miała na sobie ubranie brata, wyraźnie zamierzając zająć się czymś, czym nie powinna. Jeden z bliźniaków, prawdopodobnie Montgomery, otworzył drzwi i pomknął za nią po schodach. Dogonił Amandę, a ona objęła go ramieniem i przytuliła, zabierając ze sobą. A potem zwolniła kroku. Zatrzymała się.

Spojrzała na Jake'a.

I już wiedział.

Musiał oprzeć się o ramię Milesa, żeby utrzymać się na nogach.

- Zrobię wszystko - powiedział z przekonaniem.
- Dobrze. A więc pozwól nam działać, póki możemy. Skończymy tak, by mieć czas na kąpiel, inaczej nie dostaniemy wieszki. Wrócimy do ćwiczeń z pierwszym braskiem. Rozstrzygnięcie zagadki, jak zdobyć złoto, zostawiam tobie.

*** 209 ***

- Troszkę mi zajmie przygotowanie planu - uznał Jake. - Ale coś wymyślę.
- Dopóki nie wymyślisz, mądrze spożytkujemy twój czas.
- Wieczory wolne - nalegał Jake. - Mam wtedy z twoją siostrą szachowe schadzki, których nie poniecham.
- Im więcej czasu spędzisz na szermierce, tym lepiej.
- Nawet słońce chadza spać.
- Na krótko - Miles popatrzył na Jake'a, po czym pokręcił głową. - Mam nadzieję, że wiesz, jak będzie wyglądać twoje życie.

Jake mógł sobie tylko wyobrazić.

Gdyby miał majątek i potrafił władać bronią, byłby w stanie osiągnąć status, który pozwoliłby mu oświadczyć się Amandzie z Artane.

Pomyślał, że pewnego dnia zdołałby wybaczyć swojemu żalosnemu ojcu, że wysłał go do AE, Inc. Szczegóły, gdybanie, co by było, nieprawdopodobieństwa tylko czyhały, by zaatakować, lecz Jake nie zwracał na nie uwagi. Zajmie się nimi później, jeśli kiedykolwiek przybiorą realne kształty.

W tym momencie zamierzał wspomóc się swoją słynną samodyscypliną i skoncentrować się na tym, na co miał wpływ, na zadaniach, które już na niego czekały.

Rhys de Piaget tego dokonał.

Zatem Jake'owi także mogłoby się udać.

16

Amanda ruszyła ścieżką w stronę głównej bramy, rozpaczliwie szukając rozrywki. Od dobrych dwóch tygodni przyglądała się Jake'owi i Milesowi, jak stają w szranki. Jake ćwiczył z niemal przerażającą desperacją, a Miles, pozwalając mu na to, nie okazał się lepszy. Obaj byli szaleni i Amanda nie mogła już dłużej ze skraju placu obserwować, jak popadają w coraz większy obłąd.

Postanowiła więc, niezależnie od tego, co mogło jej grozić ze strony lorda Ledenhama, że wybierze się na małą przechadzkę po wiosce. Chętnie zboczyłaby nawet nad brzeg morza, gdyby pogoda dopisała. Był piękny dzień w pełni lata i kto wie, jak długo jeszcze bezchmurne niebo będzie jej sprawiać przyjemność?

- Pani, zaczekaj!

Westchnęła i przystanęła. Oddział gwardzistów gonił ją ze szczękiem i łomotem. John i Montgomery deptali strażnikom po piętach, wywrzaskując imię Amandy tak głośno, że prawdopodobnie słyszała to większość Szkotów.

Niestety, przyciągnęła większą uwagę, niżby pragnęła. Miles i Jake schodzili ścieżką spacerowym krokiem ze swobodą zadającą kłam godzinom spę-

*** 218 ***

na ćwiczeniach, o czym Amanda doskonale wiedziała.

Niech ich wszystkich diabli!

Wzięła się pod boki i wbiła wzrok w stojących przed nią mężczyzn.

- Doceniam wasze towarzystwo, panowie, ale czy wszyscy musicie za mną iść?

Gwardziści czekali cierpliwie, nie robiąc uwag. Bliźniacy sprawiali wrażenie niezdecydowanych, lecz nabrali otuchy, gdy strażnicy pozostali niewzruszeni. Założyli ręce na młodych, męskich piersiach i w geście uporu wysunęli podbródki.

Jake i Miles tylko wysunęli się naprzód, aż zatrzymali się po obu stronach Amandy w zupełnie niewymuszony i niezwracający uwagi sposób.

- Gdzieś się wybierasz? - spytał uprzejmie Jake.

- Jako żywo, poza bramy, niech cię diabli. Ciężta odpowiedź najwidoczniej nie zrobiła na nim wrażenia.

- My też pójdziemy.

- Chcę iść sama.

- Nie wątpię. Popatrzyła spode łba.

- Spędzasz za dużo czasu z moimi braćmi. Jake roześmiał się.

- Być może. Ale tak czy owak, dlaczego nie pozwalasz nam iść? Tak będzie bezpieczniej.

Amanda zdmuchnęła kosmyk włosów opadający na oczy.

- Dobrze więc - rzekła z rozdrażnieniem. - Widzę, że nie mam wyboru.

- Czy jesteśmy aż tak marnym towarzystwem? - zapytał Jake, z błyskiem w niecie pięknych oczach.

I co miała na to odpowiedzieć? Odwróciła się w kierunku bramy.

* 212 *

- Chodźcie zatem, bo widzę, że nie mam wyboru.
- Dokąd idziemy? - zainteresował się Miles, obstawiając drugi bok siostry. - Do wsi? Na poszukiwanie ziół? Siał spustoszenie w okolicy?
- Wychodzimy - wyjaśniła energicznie. - Nie mam konkretnego celu poza tym, że chcę znaleźć się jak najdalej poza murami zamku, gdzieś, gdzie mogłabym swobodnie odetchnąć.
- Przedwczoraj wzięliśmy kąpiel - bronił się Miles.

Wiedział, że Amanda nie to miała na myśli. Pragnęła trochę spokoju bez pouczających ją ludzi, braci gadających nieustannie między sobą, bez kolejnych rozważań nad doskonałym wyważeniem miecza i jakie to wyważenie niesie korzyści, kiedy człowiek chce zachować głowę na karku.

- Możecie iść - oznajmiła. - W milczeniu.

Tak też zrobili. W ciszy szli za Amandą przez wioskę. A potem jej śladem przez łąki, także po cichu. A kiedy weszła parę kroków na najżyźniejsze pole ojca i przystanąła, zatrzymali się wraz z nią.

W milczeniu.

Tuzin mężczyzn stało dokoła Amandy i czekało na decyzję, co zamierza robić dalej. Miles pociągnął nosem.

- Coś tu czuję.

Amanda także wystawiła nos i poczuła nie tylko rześki zapach ziemi i trawy. Kręciła się w miejscu, aż dojrzała dziwny kolorowy dym ulatujący znad dachu chaty na skraju wioski. Chatka, o ile dobrze pamiętała, była niezamieszka, choć przypuszczała, że przypadkowy wędrowiec mógłby skorzystać z tego schronienia, gdyby znalazł się w potrzebie.

Ruszyła w kierunku domku, nie zważając na pomruk protestu depreczających jej po piętach nazbyt przejętych mężczyzn. Podeszła aż pod drzwi chaty.

*** 213 ***

Wciągnęła zapach dymu głęboko w płuca, odkrywając, że nie zwiastuje niczego niemiłego, lecz raczej coś uzdrawiającego. Najwyraźniej gotujące się zioła, jednak nie potrafiła określić jakie.

Drzwi otworzyły się i przed Amandą stanął nie kto inny, tylko Berengaria z Segrave we własnej osobie, jeszcze niedawno z Artane, a całkiem ostatnio z miejsca, o którym Amanda nie miała pojęcia.

Berengaria, starsza najwyżej o osiem lub dziewięć wiosen od Amandy, uśmiechnęła się szeroko.

- Moja pani Amanda - rzekła z wyraźnym zadowoleniem. - Pięknie wyglądasz.

- A ty, pani Berengario - odpowiedziała Amanda - wróciłaś już z wojaży?

- Na razie - przyznała kobieta. - Nie ma szczególnego znaczenia, w jakie strony się udaję, skoro wygląda na to, że zawsze muszę wrócić do Artane, by poczuć się jak w domu.

- Cieszy nas twoja obecność. - Amanda zajrzała do chatki. - I wcale nie musisz pozostawać poza bramami. Z pewnością jest dla ciebie wystarczająco dużo miejsca w zamku.

Berengaria pochyliła głowę.

- Jestem wdzięczna za zaproszenie, lecz nie sądzę, bym długo tu zabawiła - uśmiechnęła się lekko. - Zamierzam odwiedzić jeszcze inne okolice.

Popatrzyła na mężczyzn otaczających Amandę.

- Masz ze sobą swoich strażników, jak widzę. I znamienitych braci. I...

Widząc Jake'a, zamarła.

Amanda zrozumiała. W końcu Jake był nadzwyczaj atrakcyjnym mężczyzną. Sama spróbowała spojrzeć na niego świeżym okiem. O, tak, był naprawdę przystojny, nawet w starym ubraniu, zdar-

* 221 *

tych i znoszonych butach i w kolczudze, która pamiętała lepsze czasy. Wyglądał, jeśli to możliwe, jak człowiek o nienagannym pochodzeniu, którego prześladował pech i starał się obejść bez tego, do czego był przyzwyczajony.

Amanda musiała przyznać, że czasem niemal zapominała, iż Jake jest zwykłym kupcem. Gdy teraz na niego patrzyła, z tym większym trudem przychodziło jej widzieć w nim kogoś niższego stanem od braci.

Berengaria z pewnością odniosła to samo wrażenie, gdyż skłoniła głowę przed Jakiem z takim samym szacunkiem, jaki okazałaby każdemu paniczowi z Artane. No, oczywiście poza Robinem, ale Berengaria spędziła zbyt wiele lat w Artane, by na utyskiwania Robina reagować inaczej niż tylko skrywanym za dłonią uśmiechem.

- Mój panie - zwróciła się do Jake'a. - Myślę, że mamy parę spraw do omówienia. Czy miałbyś ochotę na coś smacznego prosto z ognia?

- Wiem, że ja miałbym ochotę - wtrącił się Miles, odpychając Jake'a łokciem na bok. - Jeśli tylko mogę, pani Berengario?

Berengaria była dziwnie niepewna.

- Naturalnie, lordzie Milesie. Pozwól, że przyniosę coś, by ugasić twoje pragnienie, lecz są pewne sprawy, które muszę omówić z naszym miłym gościem sam na sam.

- Omów z nim konieczność spędzania więcej czasu na placu musztry - podsunął Miles.

- On już nie ma więcej czasu, który mógłby poświęcić na szermierkę - przerwała ostro Amanda. - Chyba że zamierzasz wynieść świece na błoto i walczyć po nocy. Pani Berengario, to jest Jackson Aleksander Kilchurn IV. Jest wędrowcem.

*** 215 ***

- Zaiste - uśmiechnęła się Berengaria - z bardzo daleka, jak śmiał przypuszczać.
 - Z Londynu - wyjaśnił usłużnie Montgomery.
 - Jest kupcem - ciągnął John. - Bardzo mającym.
 - Został obrabowany - dorzucił Montgomery. - Zaopiekowaliśmy się nim. Zwłaszcza Amanda. Amanda nienawidziła wymierzać bolesnych kuksańców łokciem w żołądek ukochanego brata, ale cóż innego mogła zrobić? Montgomery wydał z siebie treściwe uff. Amanda upewniła się, że brat wciąż może oddychać, po czym wróciła do rozmowy niedręczona już wyrzutami sumienia. Zaczęła opowiadać Berengarii o Jake'u, lecz gdy dostrzegła wyjątkową bladość gościa, zabrakło jej słów.
 - Jake? Jesteś niezdrów?
- Mężczyzna zamrugał, jakby go nagle zbudzono ze snu.
- Pić - wychrypiał. - Może coś do picia by pomogło. Gorąco dzisiaj na dworze.
 - Wcale nie - zwróciła uwagę Amanda. - Jest bardzo miło jak na tę porę roku.
 - Wejdz, proszę - rzekła Berengaria, odsuwając się od drzwi. - Usiądź.
- Jake już miał przestąpić próg, gdy nagle znieruchomiał. Spojrzał na Amandę, potem znów na Berengarię.
- Zastanawiam się... - zaczął powoli.
 - Prawdopodobnie powinieneś - kobieta pokiwała znacząco głową. - Sądzę, że mogę powiedzieć ci o pewnych rzeczach, które okażą się pomocne. Lecz są to sprawy, które mogą być dość... cóż...
- Amanda zauważyła, że oboje mierzą ją poważnym spojrzeniem. Cofnęła się o krok.
- Zostanę na zewnątrz, jeśli sobie życzycie.

- Nie - rzekł Jake. Sięgnął po jej rękę. - Nie. Chodź ze mną - pociągnął ją za sobą do chatki i zamknął drzwi.

Zaproponowano jej stołek, więc usiadła, oczekując na napój. Kiedy go spróbowała, okazał się bardzo smaczny i poczuła, że działa uspokajająco.

Natomiast rozmowa zbiła Amandę z tropu.

A narzekania Milesa dobiegające zza wątych drzwi na temat stanu jego zaschniętego gardła oczywiście tylko potęgowały uczucie zmieszania.

- Odbyłeś długą podróż - mówiła Berengaria.

- Bardzo długą - zgodził się Jake. - Martwię się, jak mam wrócić do domu.

- Skorzystaj z drogi - zaproponowała Amanda i natychmiast ugryzła się w język. Przecież nie chciała, by zaraz umknął do domu.

Wcale tego nie chciała.

Lecz Jake tylko uśmiechnął się do niej, a potem znów zwrócił się do Berengarii.

- Jesteś akuszerką czy czarownicą?

- Oczywiście, że akuszerką - odrzekła bez skrepowania. - Uzdrowicielką. Warzę zdrowe rzeczy.

Posiadam jeszcze jedną lub dwie pożyteczne umiejętności.

Jake sprawiał wrażenie, że rozważa to, co zamierza powiedzieć. Amanda obserwowała go, jak starannie dobiera słowa i zastanawiała się dlaczego. Czyżby aż tak nie darzył zaufaniem Berengarii?

A może chodziło o nią?

- Czy widzisz drogę, którą tutaj dotarłem? - spytał wreszcie Jake.

Berengaria wpatrywała się w przestrzeń przez dłuższą chwilę.

- Widzę zamek Seakirk - zaczęła powoli - i rycerzy w zbrojach, którzy powiedzieli ci o czymś,

* 224 *

o czym wcześniej nie wiedziałaś. Widzę czarny wóz wirujący bez końca. Inne rzeczy, które widzę, są zbyt mało ważne, by o nich teraz mówić.

Jake pochylił głowę, westchnął, a potem spojrzał na Berengarię.

- Jak wrócę do domu?

- Chcesz wrócić do domu?

Jake splótł dłonie i umilkł na moment.

- Na krótko - odrzekł.

Amanda słuchała tej wymiany zdań i zastanawiała się, czy dobrze rozumie. Jake odjeżdża? Czy zechce wrócić?

Popatrzyła na niego, jak siedział obok w przyćmionym świetle i zrozumiała, iż nazbyt oswoiła się z poczuciem bliskości Jake'a. Wyglądało, jakby czuł się zupełnie swobodnie w obecności kobiety nazywanej przez innych wiedźmą, jednakże był tak samo nieskrępowany przy najbardziej zręczliwym bracie Amandy i młodszych, najbardziej niesfornych bliźniakach. W rzeczy samej, im więcej dziewczyna o tym myślała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że Jake czuł się swobodnie w każdym towarzystwie.

Nie przypominał tych mężczyzn, których spotkała w swoim długim i nużącym życiu, którzy tolerują tylko ludzi swojego stanu.

- ... czarodziejskie kręgi albo może sterta głazów, która wygląda na trochę niezwykłą.

- A jeśli chodzi o odpowiednią porę? Berengaria uśmiechała się.

- Spróbuj ponownie, przyjacielu, kiedy poczujesz najsilniejsze wezwanie. Sama nie mam doświadczenia w podobnych sprawach, ale słyszałam trochę opowieści. Na tym świecie jest wiele rzeczy, które nie wpadają nam w ręce, do chwili

*** 218 ***

gdy po prostu nie możemy sobie bez nich poradzić.

Jake przytaknął w zamyśleniu. Amanda potrząsnęła głową, żałując, że nie słuchała uważniej. Czarodziejskie kręgi? Sterty kamieni?

- O czym wy mówicie? Głazy? Kręgi? Jake uśmiechnął się.

- O miejscach, w których mogłem zgubić rzeczy, które muszę mieć, by wrócić do domu - podał Berengarii kubek. - Bardzo ci dziękuję, pani Berengario. Znalazłaś się tutaj we właściwym czasie.

- Staram się - Berengaria odwzajemniła uśmiech. Przeniosła wzrok na Amandę. - A ty, moja pani? Czy cokolwiek mogłabym dla ciebie zrobić?

- Poza uwolnieniem mnie od irytujących zalotników?

- Może twój Jackson mógłby temu zaradzić.

- Będzie musiał spędzać więcej czasu na placu musztry.

Jake roześmiał się tylko i wstał, podając jej rękę.

- Pracuję nad tym. Myślę, że zaraz tam znów pójdę. Idziesz? —

- Powinnam - rzekła Amanda z westchnieniem. - Nie mam odwagi zostawiać chłopców samych sobie, nawet z moimi gwardzistami.

Jake podziękował Berengarii jeszcze raz za wszystkie rady, których mu udzieliła. Milesowi pozwolono na łyk napoju i zasięgnięcie porady, jak zmienić usposobienie na lepsze. Później wszyscy ruszyli w drogę powrotną do zamku.

Amanda przez jakiś czas szła w milczeniu obok Jake'a, aż dotarli do bramy wewnętrznych murów.

Wtedy podniosła wzrok i zaklęła.

- Co się stało? - zapytał Jake.

* 226 *

Amanda wskazała na grupkę arystokratów stojących przy drzwiach do donżonu.

- Lord Jedburgh.

- Kolejny?

- Mniej nikczemny niż Ledenham, lecz nie mniej przebiegły. Oczywiście wie, że mój ojciec wyjechał, inaczej nie przybyłby do zamku bez powiadomienia na dzień lub dwa naprzód. - Spojrzała na Jake'a. - To byłoby wytworne.

- Może nie zależy mu na tym, żeby być wytwornym.

Miles podał siostrze ramię.

- A zatem najlepiej będzie, jeśli cię zamkniemy pod kluczem. Nadszedł czas, bym pokazał pazurki i przyjął rolę kasztelana - zerknął figlarnie na Amandę. - A to, co to ma być?

- Drzę jak przed ojcem.

- Kpisz sobie teraz ze mnie, ale poczekaj do wieczery, a zobaczysz, że ci nie oszczędzę porządnej zgryzoty - zachnął się Miles. Spojrzał ponad jej głową. - Chodź ze mną, Jake, i przybierz zawzięty wyraz twarzy. Jedburgh nie jest głupcem i śmiem twierdzić, że będzie się zastanawiać, dlaczego jesteś tak blisko Amandy, nie nosząc barw Artane jak reszta strażników. Najlepiej będzie, jeśli udasz jednego z moich przyjaciół.

- Cokolwiek zamysłasz - odrzekł Jake. Amanda westchnęła, pozwoliła przeprowadzić się przez ciżbę świty Jedburgha i odprowadzić do komnaty.

Nie skłamała, mówiąc, że boli ją głowa, ale dzięki temu wymówiła się od kolacji.

Oczywiście wytrzymała w odosobnieniu tylko do chwili, gdy usłyszała, jak wartownik obwieszcza północ. Włożyła ubranie Johna i otworzyła drzwi

* 220 *

z mocnym zamiarem pospacerowania w spokoju po blankach zamku. Wpadła na czyjeś plecy i wbrew woli pisnęła. Jake odwrócił się i uśmiechnął.

- To tylko ja.

- Co, u licha, robisz tutaj?

- A na co to wygląda?

- Wygląda na to, że nadziejesz się jutro na miecz Milesa, gdy zaśniesz na stojąco - odparowała.

Uśmiechał się dalej.

- Jesteś mile widziana jako ochrona.

- Głuptak z ciebie.

- A z ciebie piękność. Wygładziła dłonią koszulę.

- Jak zwykle jestem ubrana po dworsku.

- Ubrałaś się na przechadzkę po dachach? - zapytał.

Czy ten człowiek odgadywał jej najskrytsze myśli? Przypomniała sobie, by zastanowić się głębiej nad stwierdzeniem Montgomery'ego, że Jake jest czarodziejem - ale później, gdy nie będzie przyzywać jej zew wolności. Skinęła głową zamiast odpowiedzi. _.

- Chcesz mieć towarzystwo? - Wyciągnął rękę. Złożyła dłoń w jego dłoni tak naturalnie, jakby czyniła to przez całe życie.

Jednak ogarnęło ją równie oszałamiające uczucie jak za każdym dotknięciem - a było ich wcześniej trzy, gdyż mogła bez trudu przywołać na myśl każdy przelotny dotyk. Trzymała go za rękę i szła z nim korytarzami, po schodach, by na koniec wyjść na blanki. Jake okrążył je z Amandą, aż dotarli na stronę wychodzącą na morze i razem oparli się o szeroki mur.

- Wspaniale - powiedział.

* 228 *

- To prawda - Amanda patrzyła na morze.

- Ten widok nigdy mi się nie nudzi.

- Nawet wiem dlaczego - rzekł Jake. Popatrzył na towarzyszkę. - Ale jak miałbym wybrać? Ty lub morze. Oboje jesteście urzekający.

Amanda odwróciła głowę, by na niego popatrzeć.

- Czy sądzisz, że Berengaria jest czarownicą? Czy jesteś czarodziejem? Czy zadawałeś jej pytania, aby dowiedzieć się, jak powrócić do domu?

- A jak myślisz?

- Myślę, że masz swoje tajemnice - odpowiedziała. - Wydajesz się zwykłym człowiekiem, lecz niektóre rzeczy, które ciebie dotyczą, nie mają dla mnie sensu.

- Czy możesz mi zaufać? Czy zaufasz mi?

- A czy nie zrobiłam tego do tej pory?

Wziął Amandę za rękę, nadal opierając się o mur. Delikatnie głaskał jej palce drugą dłonią, potem spojrzał w niebo.

- Tutaj gwiazdy są takie piękne. Można ich tu zobaczyć o wiele więcej niż w Londynie.

- Kiedy niebo jest bezchmurne - poprawiła go.

- A to nie zdarza się często, jeśli wolno mi dodać.

- Są niczym diamenty - ciągnął Jake, wciąż ze wzniesioną głową. - Diamenty rozrzucone po nieboskłonie niczym gwiazdny pył.

- Diamenty?

- Przezroczysty kamień wyglądający jak lód, wysoko ceniony w kupiectwie - wyjaśnił, patrząc znów na Amandę. - Jest wyjątkowo kosztowny w swojej najrzadziej spotykanej formie. Lecz bardzo przypomina gwiazdy.- Jak można ściągnąć coś z nieba na ziemię i nosić? - zapytała. - To przecież niemożliwe. Tak jak my - dodała cicho.

* 222 *

Ujął jej dłoń obiema rękami i oparł łokcie o mur.

- To nie jest niemożliwe.

- Jesteś kupcem. A ja córką lorda.

Jake wyprostował się i przyjrzał się jej uważnie.

- A gdybym był kimś innym? Kimś z tytułem, z ziemią, mającym pełne sakiewki? Czy wtedy byłoby to możliwe?

Amanda zadrżała, ale bynajmniej nie z zimna.

- Tytuły, włości i złoto nic dla mnie nie znaczą - popatrzyła na Jake'a. - Nic.

- Znaczą coś dla twojego ojca.

- To prawda.

- Mógłbym sprawić, by stały się rzeczywistością.

- Jak? - Potrząsnęła głową. - To tylko mrzonki. Nie ma sensu nawet o tym myśleć.

- To jak możesz mi wierzyć? - Jake machnął dłonią w kierunku gwiazd rozrzuconych po niebie jak pył. - Jeśli o mnie chodzi, to można ściągnąć odrobinę tego gwiazdnego pyłu na ziemię i przekształcić go w coś więcej niż marzenie, w coś prawdziwego, trwałego. Jeżeli... - umilkł na długą chwilę. - Jeżeli jest to coś[^]-czego chcesz.

Amanda patrzyła w dół.

- Lękam się tego pragnienia.

- Amando... - zaczął cicho.

Niech to szlag, gdzie podział się jej kąśliwy język, twarde serce, gdy naprawdę ich potrzebowała?

Znów podniosła oczy na Jake'a i z wściekłością otarła łzy z policzków.

- Jeśli nie masz zamiaru oświadczyć mi się jak należy, to ja ani myślę dawać ci należytej odpowiedzi.

- A jeśli to zrobię?

- Poproś mnie o rękę, to zobaczymy.

* 223 *

Jake roześmiał się. Amanda była zadowolona, że dostarczyła mu tak doskonałej rozrywki. Mimo wesołości, pochylił w jej stronę głowę. Zamknęła oczy, uniosła twarz i pomyślała, że mogłaby dostarczyć i sobie trochę idealnej rozrywki, sprawiając, że pierwszy pocałunek otrzyma od tego mężczyzny.

Pierwszy pocałunek, który miała nadzieję, przyniesie w sukcesji wiele innych w wykonaniu Jake'a. I nikogo innego.

Pocałował ją w policzek. Potem w drugi. Amanda otworzyła oczy i spiorunowała go wzrokiem.

- Niech cię diabli!

Lecz on przytulił ją i w jakiś sposób uczucie powrotu do domu, wrażenie uścisku, który został ofiarowany tylko jej, wystarczyły, by zdecydowanie odebrać Amandzie mowę.

- Pocałuję cię przy ołtarzu - obiecał.

- Ha! - powiedziała, opierając skroń o pierś Jake'a, by móc skomentować jego słowa. - Zakładasz, że tam będę, aby przyjąć pocałunek.

- Człowiekowi wolno mieć marzenia.

- I sądzisz, że człowiek może zgarnąć gwiazdny pył z nieba i włożyć go do sakiewki. To zuchwałe marzenia.

- Zaufaj mi, Amando.

Niech ją święci mają w opiece, ufała mu. Objęła go ramionami i przytrzymała mocno.

Niech ją święci mają w opiece, oczywiście, że mu wierzyła.

Jake spacerował dokoła wewnętrznego dziedzińca i cieszył się z chłodu poranka. Świt rozjaśniał już niebo, lecz słońce jeszcze nie wstało. Wkrótce Miles zbiegł susami po schodach, tymczasem jednak Jake miał chwilę na rozmyślania.

A miał mnóstwo rzeczy na głowie.

Nie był pewien, ile czasu stał na blankach, obejmując Amandę de Piaget, czując, że jest dla niego właściwą kobietą. Nieważne, że dzielą ich wieki. Naprawdę, nigdy wcześniej nie śmiałyby mieć na to nadziei. Nigdy by sobie nie pozwolił na marzenie, że wolno mu pragnąć jej, lub pomyślał, iż w jakiś sposób mogłaby do niego należeć.

A teraz sobie to wyobraża.

Rozmowa z Berengarią, choć zwięzła i niekonkretna, okazała się wielce pouczająca. Rzecz nie tylko w tym, że sama była podróżnikiem w czasie - czego Jake był nieomal pewien, choć któż mógłby być pewien, skoro krążyli wokół tematu ostrożnie ze względu na Amandę - lecz zapewne także miała do czynienia z rzeczami paranormalnymi.

Albo też miała w zanadrzu tyle zabobonów, których nie powstydziałaby się nawet doświadczona znachorka*.

W oryginale gra słów *old wives tales* - zabobony, przesady i *old wife* - stara kobieta, babka (przyp. tłum.).

*** 232 ***

Jeśli się dobrze zastanowić, to mógł wrócić do przyszłości, a potem do Artane. Mógłby kupić sobie tytuł i ziemię. Miałby warunki, by ubiegać się o rękę Amandy.

W końcu Rhys de Piaget podjął wyzwanie, nie mając nic poza sprytem i mieczem.

Jake przechadzał się po dziedzińcu, spoglądając na kamienie i kocie łby, cokolwiek, czego użyto, aby wybrukować plac. Czy mógłby coś takiego zrobić? Czy mógłby cofnąć się w czasie o osiem stuleci i przeżyć?

Zastanowił się nad współczesnymi udogodnieniami. No dobrze, uwielbiał swojego jaguara, ale przecież to tylko samochód. Nie dbał o diamenty, fast foody czy, niebiossa miejcie go w swojej opiece, piwo w pubie. Nie miał nic przeciwko zamieszkaniu w prowizorycznych, obozowych warunkach, brakowi bieżącej wody albo przypadkowej pluskwie w łóżku. Nie czekała na niego kochanka; nikt z rodziny nie będzie opłakiwać jego straty; nie miał żadnych godnych uwagi przyjaciół, w każdym razie nikogo, kto spędziłby resztę życia, usychając z tęsknoty za nim. Życiem Jake'a była praca i odwrotnie. Przystanął.

Musiał przyznać, że tęskniłby za pracą. Brakowałoby mu podróżowania samolotem, aby po kilku godzinach znaleźć się w egzotycznych i niebezpiecznych miejscach. Tęskniłby za przedzieraniem się przez zapomniane trzęsawiska, za przejmującym dreszczykiem emocji, kiedy natrafiał na coś zaginionego, coś, co można by pociąć na kształty o gwałtownie rosnącej cenie.

Jednak czy nie mógłby przenieść tej pasji w czasie i przekształcić w pasję życia?

*** 226 ***

Poza tym, dlaczego nie miałyby szukać kamieni szlachetnych w przeszłości? Człowiek zawsze podróżował, nawet w trzynastym wieku. Podejrzewał, że ludzie zawsze projektowali klejnoty, cięli kamienie i sprzedawali je z zyskiem.

Przypuszczał także, że mężczyzna, który poślubiłby Amandę de Piaget, byłby zbyt zajęty, by przejmować się którąkolwiek z tych spraw.

Jeśli przyjąć, że w istocie zostałby tym mężczyzną...

Niesamowicie.

- Spałeś w nocy?

Jake skoczył na stopę w górę. Był tego pewien. Obrócił się błyskawicznie i zobaczył Milesa stojącego z założonymi na piersi rękami i szczerzącego się radośnie w najbardziej wytrącający z równowagi sposób. Jake uznał w tym momencie, że woli go, gdy uśmiecha się złośliwie.

- Owszem, spałem - odrzekł Jake, nic sobie nie robiąc z braku snu.

- Dalej śniesz.

- Knuję, a to różnica.

- Spiski później, teraz do roboty. Jake pokłonił się nisko.

- Prowadź, Macduffie*.

- O kim mówisz?

- Nieważne. Ruszajmy.

Kilka godzin później Jake zastanawiał się, skąd Miles ma tak niewyczerpane zasoby energii. Ach, gdyby tak mieć osiemnaście lat zamiast trzydziestu dwóch i odpoczywać całą noc w dostatecznie długim łóżku!

Fikcyjna postać z Szekspirowskiego *Makbeta*, która w ostatnim akcie zabija bohatera sztuki (przyp. tłum.).

*** 227 ***

Ale na co miał się skarżyć? Spędził godzinę na dachu średniowiecznego zamku przy blasku setek gwiazd, przytulając najbardziej zadziwiającą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał. Czy to ważne, że każdy miesiąc domaga się odpoczynku, a nic do tej pory nie smakowało tak dobrze jak czarka cierpkiego wina i kromka czerstwego chleba z rodzaju tych, w których wciąż można znaleźć okruch kamienia młyńskiego?

Wyglądało na to, że instynkt podpowiadał Milesowi, iż Jake myśli o czymś jeszcze oprócz miecza nacierającego nań szybkim jak błyskawica ruchem, gdyż bezlitośnie wykorzystywał swoją przewagę. Jake zdał sobie sprawę, że ciągle się cofa, gdy znalazł się o kilka kroków od muru. Wykrzesał ze swoich nikłych umiejętności, ile tylko mógł, lecz było to naprawdę niewiele.

A potem zrozumiał, jak bliski był poddania się.

To go zaskoczyło.

Jake zaklął i odparł atak. Kusiło go, by rzucić miecz i rozegrać potyczkę z Milesem na staroświecki sposób, ale znał zasady gry i nie lubił oszukiwać.

Utrzymał pozycję.

A potem Miles ustąpił o krok.

Zanim słońce stanęło w zenicie, obaj ociekali potem. Ogłosili rozejm. Jake otarł czoło rękawem. Miles uczynił to samo, a następnie schował miecz do pochwy.

- Pić. Jeść.

- Popieram.

Miles umilkł na chwilę.

- To był kawał dobrej roboty.

- Omal mnie nie zabiłeś.

- Musiałem.

* 235 *

- Najwidoczniej - odrzekł beznamiętnie Jake. Ruszyli w kierunku donżonu.
- Być może dzisiejszego popołudnia wprowadzimy pewną zmianę w ćwiczeniach. Moglibyśmy poświęcić więcej czasu na twoje metody walki z użyciem samych rąk.
- Jeśli to oznacza, że mógłbym zdjąć tę kolczugę na kilka godzin, to jestem za - zapewnił Jake z przekonaniem.
- Zgoda - Miles klepnął towarzysza po ramieniu.

Jake wszedł do wielkiej sali zamyślony i zaskoczony, że tak bardzo się utrudził, a, jak się wydawało, tak niewiele zyskał.

Oczywiście będzie musiał ciężiej pracować.

* * *

Spędzili popołudnie z Milesem na plaży, która, co dziwne, wydawała się najbardziej ustronnym miejscem z możliwych.

Amanda przebywała w zamku pod czujną strażą. Cóż, Jedburgh także przebywał w zamku pod czujną, jeśli nie nadskakującą i przymilającą się strażą. Miles zrobił się podejrzliwy i Jake również. Jedburgh był chytry, lecz sprawiał wrażenie, że sama Amanda nie wzbudza w nim szczególnego zainteresowania. Wydawał się znacznie bardziej zainteresowany wagą gobelinów w Artane i solidnością pucharów niż prawdziwą nagrodą.

Idiota.

Miles okazał się zdolnym uczniem i po paru godzinach Jake stwierdził, że nasaczył tę żywą gąbkę sumą swojej wiedzy. Teoria wymagała praktyki, jednak wątpił, czy Miles kiedykolwiek zostałby przyparty do muru bez miecza i pokonany.

* 229 *

Powoli wracali do zamku. Miles na głos snuł rozważania, jak dopiero co poznane umiejętności posłużyłyby mu w przyszłości. Jake był tak zasłuchany w jego wymyślone historie o cudownych ucieczkach z podejrzanych ślepych uliczek Londynu, że zupełnie umknął jego uwagi tętent kopyt zbliżających się od tyłu, do chwili, aż został niemal potrącony. Odskoczył na bok, przeklinając pod nosem, a potem pomógł Milesowi pozbierać się na nogi. Miles obrzucił jeźdźca soczystymi obelgami.

- Powinniśmy coś z nim zrobić - oburzył się Jake.

- Próbowaliśmy przez lata - powiedział Miles, otrzepując ubranie. - To był mój brat Nicholas. Spieszy się nieprzytomnie. Może doszły jego uszu pogłoski o naszych gościach i postanowił, że najlepiej będzie, jeśli wróci do domu, by przejąć pieczę nad wszystkim.

- W ten sposób przejmuje pieczę? - zapytał Jake. Artańscy bracia wydawali się tym twardsi, im wyższe zajmowali miejsca w hierarchii.

- Zazwyczaj nie - odrzekł Miles. - Jest skłonny raczej siedzieć z założonymi rękami, podnoszenie rabanu zostawiając innym. No, chyba że Robin jest w domu. Wtedy walczą ze sobą jak dwa wściekłe psy.

- Ciekawe.

- Och, bardzo się kochają, ale zwykle ich pięści zastępują im słowa.

To było pocieszające, a w każdym razie Jake przypuszczał, że jeśli Nicholas pozdrowi go pięściami, to będzie w stanie mu odpowiedzieć w podobny sposób, nie wpadając w zakłopotanie.

- Dziękuję ci - powiedział nagle Miles.

- Za co? - Uśmiechnął się Jake.

- Za lekcję.

* 237 *

- Kiedy tylko będziesz chciał. Miło mi było dla odmiany być osobą, która udziela wszystkich odpowiedzi.

- O, z pewnością - teraz rozpromienił się Miles. Weszli pod górę na wewnętrzny dziedziniec. Jake czuł się zadowolony z życia i z obrotu spraw. Musi dołożyć więcej starań, lecz pewnego dnia będzie mógł naprawdę zaimponować ojcu Amandy. Jej bracia wydawali się ze wszech miar życzliwymi ludźmi, gotowymi pomóc, gdy zajdzie potrzeba.

Wyglądało na to, że Nicholas niezbyt różni się od reszty rodzeństwa. Stał obok stajni, ucinając sobie przyjazną pogawędkę z koniuszym. Kiedy dostrzegł Milesa, podszedł do brata, objął go za kark i przygarnął w męskim uścisku, poklepując kilka razy po plecach.

- Widzę, że donżon ciągle stoi - stwierdził, odsuwając się i uśmiechając do Milesa.

- Zdumiewające, prawda? - zauważył Miles. Jake przyglądał się, jak Nicholas odgrywa rolę starszego brata, dokuczając młodszemu, że nie ma wybranki i wypytyując czym się zajmował przez ostatnie kilka lat. Dzięki temu Jake miał okazję przyjrzeć się prawdziwemu średniowiecznemu rycerzowi w pełnym blasku chwały.

Musiał przyznać, że mężczyzna robił wrażenie.

Nicholas de Piaget był wysoki, niemal równy wzrostem Jake'owi, a Jake liczył sobie nieco ponad sześć stóp; miał świetną sylwetkę i bardzo hardy wygląd. Gdyby Jake należał do ludzi, których łatwo przestraszyć, mógłby się zląknąć. Na szczęście miał w życiu do czynienia ze wszystkimi rodzajami mężczyzn, którzy uważali, że są twardzi, i niełatwo dawał się zastraszyć.

*** 231 ***

Mimo wszystko był to brat Amandy, więc wypadało wywrzeć na nim dobre wrażenie. Nicholas wyciągnął do Jake'a dłoń.

- Nicholas de Piaget.

- Jackson Kilchurn - przedstawił się Jake, ściskając mocno rękę mężczyzny.

Nicholas skłonił się lekko, potem znieruchomiał, mierząc Jake'a wzrokiem od stóp do głów. Zmarszczył brwi, jakby coś mu nie pasowało. Wzruszył ramionami.

- Powinienem się zwracać sir Kilchurn czy lord Kilchurn?

- Po prostu Kilchurn - uśmiechnął się Jake.

- Został napadnięty przez zbójców - rzekł Miles. - Udzieliliśmy mu schronienia.

- Udzieliłeś mu schronienia? Zakładam, że jest twoim przyjacielem?

Miles potrząsnął głową.

- Teraz jest przyjacielem, lecz z początku nic

0 nim nie wiedziałem.

Życzliwe nastawienie Nicholasa natychmiast uleciało.

Jake pojął, co się święci. Ta sama antenka zaczynała nadawać w jego życiu, gdy wyczuwał niebezpieczeństwo.

- Pozwól, że upewnię się, czy dobrze rozumiem - powiedział Nicholas, zakładając ręce na piersi i patrząc na Milesa surowo. - Dałeś schronienie nieznanemu pod tym samym dachem, gdzie mieszka Amanda strzeżona tylko przez ciebie i dwóch dzieciaków?

- W istocie Amanda udzieliła mu schronienia, zanim przyjechałem - wyjaśnił Miles, najwidoczniej nie mając skrupułów przed rzuceniem siostry

*** 239 ***

na pożarcie wilkom. - Lecz John i Montgomery byli na miejscu, by ją chronić.

Jake myślał, że Nicholasa zaraz trafi apopleksja. Jeśli to był ten wyrozumiały człowiek, o którym mówili bliźniacy, to musiał głęboko ukryć swoją wyrozumiałość.

- Dała mu także twoje ubrania - ciągnął łagodnie Miles.

Jake miał ochotę przyłożyć chłopakowi. Nicholas nabrał głęboko powietrza.

- Moje uszy mnie zawodzą - powiedział spokojnym tonem, choć drganie policzka zdradzało furję. - Ten człowiek został wpuszczony do zamku i ani ty, ani bliźniacy, ani Amanda nie pomyśleliście, by dowiedzieć się, czy nie jest opryszkiem albo szpiegiem lub kimś, kto chce porwać Amandę dla okupu - wskazał oskarżycielsko palcem na miecz Jake'a. - Jest uzbrojony, do wszystkich diabłów!

Miles wzruszył ramionami.

- Nie jest zbyt niebezpieczny z mieczem, choć z gołymi rękami tak. Powinieneś to zobaczyć, Nick.

Apopleksja sięgnęła zenitu.

- Jest kupcem - dodał jeszcze Miles, zadając tym samym zabójczy cios.

Nicholas wydawał z siebie niewyraźne wściekłe dźwięki. Miles trwał nieruchomo, jakby nieświadom tego, co się dzieje, albo też miał stalowe nerwy. Jake wiedział, że Miles kontroluje sytuację. Pokręcił głową. Byłby się roześmiał, gdyby nie to, że tak naprawdę nie chciał robić sobie wroga ze starszego brata Amandy. Miles stał z łagodnym i uprzejmym uśmiechem.

Nicholas rzucił Jake'owi piorunujące spojrzenie.

*** 240 ***

- Trzymaj się z daleka od mojej siostry - warknął, a następnie odwrócił się i odszedł pełen złości.
- Dziękuję - zwrócił się Jake do Milesa.
- Nie mogłem się powstrzymać - wyszczerzył się chłopak.
- Och, doprawdy. Mogłeś trzymać buzię na kłódkę.
- I stracić taki widok? - zachichotał Miles. - Nigdy. Ale nie miej mu tego za złe. Dach w jego zamku przecieka i to go irytuje. Naprawia szkody ostatnie kilka miesięcy. Jak widać, dach wciąż przecieka.
- Najwyraźniej.

Miles klepnął Jake'a w ramię.

- Powinieneś dalej pracować nad szermierką. Musisz bardzo szybko udoskonalić umiejętności. Twoja droga do Amandy prowadzi przez moich starszych braci, a Nick nie będzie miły - zerknął w stronę donżonu. - Nie lubi cię, nie mam pojęcia dlaczego.
- Może dlatego, że uważa, iż splądrowałem jego skrzynię z przyodziewkiem.
- Być może - zgodził się Miles. - Powinniśmy coś zjeść. Może wpuści cię do głównej sali - mówiąc to, śmiał się przez cały czas, gdy szli do donżonu.

Jake nie widział w tym nic szczególnie zabawnego, ale z kim miał się spierać? Gdy weszli do środka, zastali Amandę, nad którą pochylał się groźnie starszy brat. Nicholas krzyczał na siostrę przez dobrych parę chwil, ona na niego, a potem porwał ją w ramiona i przycisnął tak mocno, że aż Jake mu pozazdrościł, bo sam marzył, by to zrobić.

Ach, to tak według niego wygląda braterska miłość.

*** 234 ***

Nicholas czuwał nad Amandą przez resztę wieczoru. Jake starał nie rzucać się w oczy, na ile tylko to było możliwe. Trzymał się w cieniu i obserwował, jak Nicholas wielokrotnie pokazywał lordowi Jedburghowi, gdzie jego miejsce. Jake był pełen uznania dla zdolności Nicholasa. Nie potrafił sobie wyobrazić, gdzie rycerz mógł nauczyć się skutecznego spojrzenia w stylu:

przezań-robalu--patrzeć-na-moją-siostrę-inaczej -rozmażę-cię-bu-tem, które zdawało się zamieniać Jedburgha w kawałek trzęsącej się galarety.

Po kolacji Jake zaszył się na blankach i spędził tam bardzo spokojny wieczór, dopóki nie zjawił się przy nim Montgomery. Jake zmierzwił chłopcu włosy i uśmiechnął się.

- Jak tam?

- Niedobrze - odrzekł Montgomery, potrząsając głową. - Za dużo krzyków. Nicholas jest w okropnym humorze.

Jake nie miał co do tego wątpliwości. Nicholas wydawał się zupełnie wytrącony z równowagi.

O wiele za bardzo, jak na normalnie zachowującego się w takiej sytuacji brata.

Jake poświęcił temu sporo uwagi i rozmyślał w ciągu ostatnich kilku godzin. Odkrył, że Nicholas jest zbyt zaborczy jak na kogoś, kto tylko opiekuje się siostrą.

Stanowczo zbyt zaborczy.

- A zatem, Montgomery - zaczął od niechcienia. - Jak wyglądają w obecnych czasach zasady wstępowania w związek małżeński?

- Co masz na myśli?

- Chodzi mi o to, że pary nie mogą łączyć zbyt bliskie więzi rodzinne? - Popatrzył na Montgome-

* 235 *

ry'ego. - Sądzę, że właściwym określeniem jest pokrewieństwo?

Montgomery wytrzeszczył na Jake'a oczy, opadła mu szczeka i trwał tak kilka chwil, aż coś mu zaświtało w głowie.

- Ahaaaa - odezwał się w końcu.

- Aha, właśnie - przyznał Jake. Montgomery rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. Potem nachylił się i popatrzył na Jake'a poważnym wzrokiem.

- Amanda i Nick nie są rodzeństwem.

Teraz przyszła kolej na Jake'a, by przytrzymać szczekę na miejscu. -Nie?

Montgomery zaczął się wiercić.

- W grę wchodzi pewna opowieść.

- Zamieniam się w słuch.

Montgomery spojrzał na jego uszy, po czym wzruszył ramionami.

Jake upomniał się w duchu, by nie używać więcej idiomów, które mogą być zrozumiane dosłownie.

- Mów dalej - zachęcił chłopaka.

- To wszystko było tak. Mój najstarszy brat, Robin, pochodzi i od mojej matki i od ojca, gdyż, no cóż... w przeddzień zaślubin matki ze złym Ala-inem z Ayre - i nie powtarzaj Amandzie tego, że był okropnym człowiekiem, ponieważ Alain z Ayre jest jej prawdziwym ojcem i byłaby gotowa upuścić sobie za niego całą krew... ale owego dnia przed ślubem, no, moja matka i ojciec... ee... - urwał i wyglądał na całkiem nieszczęśliwego.

- Rozumiem, Montgomery. Chłopak skinął głową z ulgą.

- Jednak najbardziej intrygujący jest fakt, że tej samej nocy, gdy matka została poślubiona Alaino-

* 243 *

wi z Ayre, mój ojciec został zaciągnięty przez swoich kompanów na bibkę i... hm... z matką Nicholasa... - znów urwał i zerknął na Jake'a. Jake przytaknął.

- To też rozumiem. Montgomery pokiwał głową z żalnością.

- Zatem teraz już wiesz. Robin i Nicholas mają tego samego ojca, ale nie matkę. Amanda i Robin pochodzą od tej samej matki, ponieważ matka została wydana za Alaina na tak długo, że Amanda zdążyła przyjść na świat, natomiast Nicholas i Amanda nie mają żadnych wspólnych rodziców.

- Pojmuję - odezwał się Jake. I rzeczywiście zrozumiał.

- A reszta z was? - spytał jeszcze.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi mojej matki i mojego ojca.

- Ciekawe.

- Wielu tak uważa - rzekł z wahaniem Montgomery. - A więc, jak widzisz, Amanda i Nicholas nie są spokrewnieni. Jednak wiele osób nie ma pojęcia o ich pochodzeniu. Zatem, czy Amanda i Nicholas kiedykolwiek... no cóż^..

- Jasne.

- Może właśnie dlatego Nick nie wydaje się, mm, zbyt ciębie lubić.

- Zauważyłeś to?

- Bardzo niepochlebnie wyrażał się o twoim pochodzeniu tam, na dole - wyznał Montgomery.

- Mmm - zadumał się Jake. - Interesujące. Faktycznie, powinien się poważnie zastanowić nad Nicholasem de Piagetem. Albo będzie musiał wyjść ze skóry, żeby się z nim zaprzyjaźnić, albo omijać go szerokim łukiem. Czas pokaże, która metoda będzie najskuteczniejsza.

* 237 *

Jake objął Montgomery'ego ramieniem.

- Chodźmy na dół. Robi się późno, a jutro od samego rana muszę być na nogach.

- Będziesz znów trzymał straż pod drzwiami Amandy?

-Tak.

- Zmienię cię na drugiej warcie - zaproponował Montgomery.

- Jeśli chcesz - uśmiechnął się Jake, lecz wcale nie miał zamiaru pozwolić chłopcu stać pod drzwiami Amandy, gdy w zamku przebywał ktoś obcy. Zszedł z Montgomerym na dół i wysłał go na spoczynek. Zajął stanowisko u wrót komnaty Amandy, opierając się o wejście plecami i zakładając ręce na piersi. W ten sposób lepiej mu się myślało.

Wtem drzwi uchyliły się, przerywając mu i tak bezużyteczne myśli. Jake odwrócił się i zobaczył Amandę ze świecą w dłoni.

Niech diabli wezmą tego Nicholasa de Piageta.

- Nie możesz spać? - uśmiechnął się. Amanda westchnęła.

- Będę spać lepiej, kiedy ten żaloszny Jedburgh zabierze się stąd ze swoimi ludźmi i odjedzie żerować gdzie indziej.

- Będę czuwać.

- Nidosypiasz.

- Sen można nadrobić.

- O tak, kiedy będziesz spoczywał na łożu boleści w domu uzdrowicielki, ponieważ Miles przez pomyłkę przeszyje cię na wylot mieczem.

- Będę ostrożny - zapewnił Jake.

Skinęła głową, lecz nie wycofała się do komnaty. Jake czekał i przyszło mu na myśl, że Amanda szykuje się, by mu powiedzieć, że chociaż to był in-

* 245 *

teresujący miesiąc, a nawet dłużej, to tak naprawdę kocha swojego brata i Jake powinien dalej waleśać się po drogach, próbując wrócić do domu.

Jeśli w ogóle byłby w stanie wrócić do domu, czemu nie poświęcał specjalnej uwagi. Świadomość, że mógłby ugrzęznąć w wiekach średnich bez kobiety stojącej teraz przed nim, która złagodziłaby ten ból, była ponad jego siły.

Jednak ewentualność, że ta kobieta jest zakochana w swoim bracie, z którym nie łączą ją więzy krwi, była także bardzo realna, i Jake pomyślał, że nie może Amandy za to winić. Jeżeli Nicholas był tak życzliwą osobą, jak każdy utrzymywał, i posiadał, co sugerował sam jego wygląd, wszystkie ważne rycerskie umiejętności czyniące z niego w trzynastym wieku dobrą partię, to Amanda naprawdę musiałaby być szalona, gdyby go nie chciała.

W tym momencie przestąpiła próg komnaty.

Wspięła się na palce, przyciągnęła jedną ręką głowę Jake'a do siebie i... zamknęła oczy w oczekiwaniu.

Amanda pocałowała go w czoło. Popatrzył na nią zdumiony. -Ale...

- Ha - parsknęła. - Teraz już wiesz, jakie to uczucie.

Potem uśmiechnęła się, cofnęła do komnaty i zamknęła drzwi z cichym: - Spokojnej nocy.

Przynajmniej nie zaczęła wzdychać ani nie wyglądała na niezadowoloną.

Lecz czy wyglądała na kobietę zakochaną w bracie?

Trudno powiedzieć.

- Chodź tutaj, śliczna dziewczko - rozbrzmiał bełkotliwy głos w głębi korytarza.

* 239 *

Jake przywarł plecami do drzwi, starając się ukryć, a równocześnie lepiej strzec drzwi Amandy. Usłyszał odgłosy szamotaniny, płacz kobiety, która znalazła się w opałach, i prostacki śmiech. Wahał się, czy zostawić Amandę bez ochrony, lecz usłyszał odgłos kroków. Miles i Nicholas z pewnością deptali po piętach obleśnemu natrętowi.

Miles przystanął i popatrzył na Jake'a.

- Zostanę tutaj - oznajmił. - Ty i Nick idźcie zająć się naszym zacnym lordem Jedburghiem.

Nicholas nic nie powiedział, a Jake nie miał powodu, żeby nie iść, zatem zostawił Milesa na miejscu i ruszył ze starszym, no cóż, chyba jednak bratem Amandy. Napięcie emanujące z tego człowieka było namacalne.

- Co z dachem? - zapytał uprzejmie Jake.

- Przecieka - odrzekł Nicholas, nie przerywając marszu. Rzucił Jake'owi nieprzyjazne spojrzenie.

- Kim jesteś? Tak naprawdę?

- Jackson Aleksander Kilchurn - odpowiedział Jake. - Czwarty. W odróżnieniu od mojego ojca, który jest Trzeci.

- Kupiec - burknął Nicholas.

- Tak - potwierdził Jake.

- Moja siostra nigdy nie zostanie żoną kupca

- oznajmił Nicholas po długim namyśle. - Jeśli myślisz, że zostanie, nie tylko nic nie wiesz, ale i nie rozumiesz.

- Ona właśnie tak myśli, więc jest raczej bezpieczna.

Odpowiedź nie zrobiła na Nicholasie większego wrażenia, ale Jake nie miał nic lepszego do powiedzenia, zatem szli korytarzem szybkim, lecz spokojnym krokiem, kierując się słabymi odgłosami szamotaniny. Niebawem dotarli do miejsca zamie-

*** 247 ***

szania w małej wnęce w ścianie korytarza. Nicholas zaklął i sięgnął po miecz u pasa. Jake położył dłoń na jego ramieniu.

- Chcesz go zabić? Jaki to ma sens? Nicholas strząsnął jego dłoń.

- A co takiego proponujesz?

- Pozwól, że ja się nim zajmę. Zaniesiemy go do stajni. Jutro obudzi się z potężnym bólem głowy i będzie się zastanawiać, jak się tam znalazł.

Nicholas założył ręce na piersi.

- Do dzieła zatem, jeśli potrafisz poprzeć swoje śmiałe słowa czynem.

Jake potrafił. Zrobił dobry użytek z jednego lub dwóch punktów ucisku, dzięki czemu lord Jedburgh najpierw krzyknął z bólu, a potem omdlał z powodu braku istotnych substancji fizjologicznych, takich jak powietrze. Jake złożył mężczyznę na ziemi i pomógł wstać przerażonej młodej służącej.

- Co z nią zrobimy? - spytał Jake. - Wygląda na poturbowaną, ale nie sądzę, by udało mu się dopiąć celu.

Nicholas popatrzył na dziewczynę, potem wziął ją za rękę i uśmiechnął się.

- Wszystko dobrze, Agnes?

- Tak, mój panie - odrzekła, szcękając zębami.

- Więc biegnij szybko do łóżka i powiedz kuchmistrzynie, że nakazałem ci odpoczywać przez parę dni.

Sam jej o tym jutro przypomnę. Przepraszam za te nieprzyjemności.

- Najuprzejmiej dziękuję, mój panie - odrzekła dziewczyna i dygnęła, po czym pobiegła korytarzem.

Jake przysłuchiwał się wymianie zdań i nie mógł wyjść ze zdumienia nad zmianą, jaka zaszła w bracie Amandy. A więc potrafi być miły. Nic dziwnego, że Amanda go lubi.

*** 241 ***

Tymczasem Nicholas odwrócił się do Jake'a i wszystko było po staremu. Obrzucił go od stóp do głów pełnym pogardy spojrzeniem.

- Czekaj na mnie rano na placu musztry - rozkazał. - Musisz się bardziej postarać, żeby zdobyć moją siostrę.

Jake nie zadał sobie trudu, by wypierać się swojego ostatecznego zamiaru. Skinął głową.

- Będę tam.

- Przejmę straż pod drzwiami Amandy - powiedział Nicholas. - Prawdopodobnie chętnie zakosztowałbyś całonocnego snu.

- Czuwałem już przez pół nocy - zauważył Jake. Nicholas spojrział nań wilkiem i odprawił gestem ręki.

Jake odszedł. Nicholas miał rację. Będzie potrzebował każdej pomocy, jaką uda mu się zdobyć.

18

Amanda skrzywiła się na dźwięk zderzających się ze sobą mieczy. Padały też przekleństwa i groźby. Szczęk metalu dobiegał coraz częściej. Dwaj walczący ze sobą mężczyźni wyglądali tak, jakby chcieli być pewni, że rywal opuści pole bitwy rzucony na wóz rzeźnika.

Jednym z walczących był Jake. Był bliski utrzymania swojej mocnej pozycji. Jednak Amanda przypuszczała, że długo już nie wytrzyma. Przynajmniej nie da się pokonać, okrywając hańbą. Oczywiście tym, który miał go pokonać w płomieniach gniewu, był nie kto inny, jak jej brat Nicholas. Walczył z zjadłością, jakiej mu zwykle brakowało podczas nonszalanckich ćwiczeń na placu. W rzeczy samej, miał fatalny nastrój od chwili, gdy wrócił do Artane. Być może jego dach nadal przecieka. Starcie trwało dalej, dużo dłużej, niż sądziła. Amanda zakładała, że Nicholas pokona Jake'a w parę chwil. A oto Jake wytrwał tak długo... - Nieźle sobie radzi.

Amanda omal nie wyskoczyła z butów. Błyskawicznie obróciła się, by spiorunować Robina wzrokiem.

* 250 *

- Na wszystkich świętych, kiedy wróciłeś?! - wykrzyknęła.

- Dopiero co. Zwabiło mnie poruszenie na placu musztry. Żałuję, że się nie pokazałaś. - Robin jak nieprzyjemny odór szamba pojawiał się zawsze wtedy, gdy człowiek najmniej się go spodziewał. Amanda zdecydowała, że nie podzieli się z bratem tym spostrzeżeniem.

- Myślałem, że usłyszysz mnie, jak wyrzucam Jedburgha przez główną bramę. Święci pańscy, jest bezużytecznym śmieciem. A to, któż to jest? - Robin wskazał na Jake'a. - Oczywiście musi jeszcze sporo popracować, lecz jest słusznej postury i wydaje się dość silny.

Montgomery pojawił się u drugiego boku Robina.

- To jest kupiec Amandy.

- Kupiec Amandy? - Robin spojrzał na siostrę, podnosząc jedną brew. - Czyżby?

- Jest więcej niż kupcem - zaznaczyła.
- Chodzi ci o to, że ma tytuł?
- Człowiek to coś więcej niż tytuł - Amanda przybrała obronny ton.

Robin potarł podbródek w zadumie.

- Ciekawe...

- Ciekawe będzie, jeśli uda mu się zejść z pola z głową na karku - stwierdził Miles, podchodząc do Amandy. - Moja szkoła, co można zauważyć - powiedział Robinowi.

- Ujdzie - Robin zaszczyił brata szczególną pochwałą. Przyjrzał się bacznie Milesowi. - Jak miło z twojej strony, że wróciłeś ze swojej włości.

- Nie włączyłem się - odrzekł niewzruszony Miles. - Oddawałem się zasłużonej zabawie po katorżniczej udreće zdobywania rycerskich ostróg u Whittenburgha.

* 244 *

- Oddawałeś się hulankom przez blisko dwa lata!
- A cóż innego miałem robić?
- Mogłeś wrócić wcześniej do domu, żeby ja nie musiał spędzać całego czasu w Fenwyck, obawiając się, że moja siostra zostanie porwana i przymuszona do poślubienia jakiegoś gbura bez reputacji, ponieważ mojemu młodszemu bratu nie chciało się wrócić do domu w stosownym czasie!
- zakończył Robin krzykiem. Miles tylko się uśmiechnął.

Amanda odsunęła ich obu z pola widzenia, by móc skupić się na ważniejszych sprawach rozgrywających się tuż obok, a mianowicie na tym, czy Nicholas zabije Jake'a, zanim ten zdoła wrócić do domu.

I spreparować ten gwiazdny pył, w którym był tak rozmówany.

- Zakochałaby się w nim, nawet gdybym był na miejscu - rzekł Miles ponad głową Amandy.
- Spójrz, jak na niego patrzy.
- Nie bardzo będzie miała na co patrzeć, jeśli Nick nie przestanie okazywać mu swoich względów - zauważył Robin. - Wydaje mi się, że ma zamiar skończyć z twoim kupcem. A tak przy okazji, jak on się nazywa?
- Jackson Aleksander Kilchurn.
- A zatem jest Szkotem? - pytał dalej Robin.
- To dlaczego nie umie walczyć? Nie znam Szkota, który stając w szranki, nie potrafiłby przynieść sobie chluby.
- Umie walczyć - wtrącił Miles, występując przed Amandę, aby swobodniej mówić do brata
- ale gołymi rękami. Powinieneś postarać się, by kiedyś ci to pokazał. To bardzo pożyteczna umie-

* 245 *

jętność, kiedy nie masz broni, a śmierć tuż-tuż. Zaiste, nie bardzo rozumiem, dlaczego pozwala Nickowi spuścić sobie takie manto. Jake mógłby kopnięciem wytrącić miecz z rąk Nicka i w parę chwil pozbawić go przytomności samymi rękami.

Robin sprawiał wrażenie zaintrygowanego. Amanda znów odepchnęła obu braci, by jej nie przeszkadzali, i podeszła do walczących. Wygląda na to, że Nicholas naprawdę mógłby pokonać Jake^, a wtedy będzie musiała skoczyć na ratunek.

Nagle Jake odskoczył z linii ciosu, o włos unikając miecza Nicholasa. Nawet Robin podszedł kilka kroków. Nie trzymał już rąk założonych na piersi i Amanda mogła zorientować się po ułożeniu jego ramion, że przestał traktować tę potyczkę jak poranną rozrywkę.

Najwyraźniej Nicholas podobnie.

Dopiero w tym momencie Amanda zdała sobie sprawę, że Nicholas do tej pory tylko igrał z Jakiem. Oczywiście powinna była to wiedzieć. Gość ćwiczył szermierkę ledwie kilka tygodni. Jak mógłby stawić czoło komuś, kto spędził całe życie z mieczem w dłoni i którego mistrzem był Rhys de Piaget? Po trzech lub czterech ciosach Jake zaczął się cofać. Odpierał ataki Nicholasa, trzymając miecz oburącz, i osłaniając się ostrzem jak tarczą.

- Dlaczego pozwala na to Nicholasowi? - Przerazona Amanda zwróciła się do Milesa. - Przecież to nie jest konieczne.

- Śmiem twierdzić, siostrzyczko, że Jake pozwala sobie tylko na rycerską walkę.

- A jeśli Nicholas go zabije? - spytała ostro. Miles wzruszył ramionami.

- Jake przynajmniej umrze jak szlachetnie urodzony.

*** 253 ***

Amanda obserwowała toczącą się przed jej oczami walkę w rosnącej panice. Nicholas był nieprzejednany i bezlitosny, tnąc miecz Jake'a, jakby chciał za wszelką cenę roztrzaskać ostrze na kawałki. Jednym potężnym ciosem, pozbawionym choćby krzty finezji, jaką Amanda zawsze widziała u brata, ciosem, który mówił o ślepej furii, Nicholas wybił miecz z rąk Jake'a. I zamiast uznać się za zwycięzcę, zamachnął się bronią prosto na nieosłoniętą głowę rywala.

- Nie!!! - krzyknęła Amanda, rzucając się naprzód.

Zanim jednak dotarła do Jake'a, nie wiedzieć skąd pojawił się miecz i zatrzymał Nicholasa w pół ciosu.

Amanda wpatrywała się z rozwartymi ustami w Robina, który znalazł się między Jakiem a Nicholasem.

Pomyślała, że mogłaby postarać się i wykrzesać z siebie parę miłych słów w ramach podziękowania.

- Odsuń się - warknął Nicholas.

- Nie - odrzekł spokojnie Robin. - Nick, wzięły nad tobą górę namiętności...

Nicholas uderzeniem wytrącił miecz z dłoni Robina i znów zamierzył się, żeby zadać cios, ale tym razem zatrzymała go ręka Robina. Jake, dość rozsądnie zdaniem Amandy, cofnął się o krok lub dwa.

Robin stanął twarzą w twarz z Nicholasem, trzymając go za nadgarstek.

- Dość - rzekł wyraźnie. - To szaleństwo.

- Nie lubię go - wystękał Nicholas.

- Czy to powód, by go zabić? - spytał Robin. - Nie podążaj ścieżką, której będziesz jutro żałować.

Amanda patrzyła, jak Nicholas, ciskając przekleństwa, chowa miecz do pochwy, obrzuca wście-

*** 247 ***

kłym spojrzeniem Robina, Jake'a, a najbardziej wściekłym ją, a potem odwraca się i rusza zamasywym krokiem przez plac w stronę donżonu.

- Zajmujące - mruknął Miles.

- Cicho bądź, błażnie - odcięła się Amanda, wymierzając mu na dokładkę kuksańca.

- Już milczę.

- Powiedziałaś za wiele - fuknęła.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, czy Nicholas kocha cię...

Amanda naskoczyła na młodszego brata i najwidoczniej coś, co kryła w sercu, uwidocznilo się na jej twarzy, gdyż, na szczęście, Miles zrezygnował z wygłoszenia innych niemądrych kwestii.

- Wybacz mi - poprosił. - Wybacz mi, Amando. To nie jest temat do żartów.

- Nie, oczywiście, że nie jest - odrzekła, czując, jak w oczach wzbierają jej wstrętne, piekące łzy.

Miles objął ją i przytulił.

- Jestem paskudnym bratem - szepnął. - Wybacz mi.

- Nigdy.

Odsunął się, by przyjrzeć się siostrze.

- Wiesz, że cię kocha - stwierdził cicho. - Nicholas.

- A ja jego - odrzekła, ocierając rękawem powieki.

- Nie - powiedział powoli. - Chodzi mi o to, że on cię kocha.

- Głupcze, myślisz, że o tym nie wiem? I co mam z tym zrobić? - Odwróciła się, by odszukać spojrzeniem Jake'a, który właśnie podnosił swój miecz.

- I proszę: kolejny mężczyzna, którego nie mogę mieć.

- Bidulko moja - powiedział z tkliwością Miles.

- W końcu wszystko się samo rozwiąże.

* 255 *

- Powinnam zostać mniszką.
- Niech cię Bóg broni - roześmiał się Jake. - Ty mniszką... To przekracza najśmielsze wyobrażenie.
- Bo co? - zachnęła się. - Uważasz, że nie mam dość charakteru?
- Sądzę, że biedne siostrzyczki nie miałyby dość charakteru. Każdy mężczyzna w kraju pielgrzymowałby do twojego klasztoru tylko po to, żeby popatrzeć na ciebie, gdy się modlisz. Nie - powiedział, chichocząc i potrząsając głową - nie, Amando, byłabyś marną mniszką, ale mogłabyś być wspaniałą żoną. Daj swojemu kupcowi szansę spełnić obietnicę.
- Jeśli uniknie śmierci z rąk moich starszych braci - mruknęła złowrogo.
- No cóż, tylko jeden z nich próbował. Popatrz, Robin jest wobec niego uprzejmy. To coś znaczy. Rzeczywiście. Obserwowała, jak najstarszy brat rozmawia z Jakiem i w obu wyczuwało się dobrze rokującą swobodę. Miles wziął siostrę za rękę i pociągnął w stronę Jake'a, którego właśnie otoczyli Montgomery i John. Gość popatrzył na Amandę.
- Byłem zbyt pewny siebie. Przez chwilę lub dwie sądziłem, że się nie poddam.
- Postradałeś rozum - odparowała. - Nicholas ma wady, ale potrafi władać mieczem. Ćwiczył się w szermierce całe życie. Co ty sobie myślałeś, błaż-nie, stając z nim w szranki!
Amanda zdała sobie sprawę, że krzyczy, lecz, niech święci mają ją w swojej opiece, co miała innego zrobić?
- Mógł cię zabić! - dorzuciła.
Robin pocierał w zamyśleniu podbródek.
Jake, ten wspaniały niezdara, tylko się uśmiechał. Wobec tego Amanda zrobiła jedyną rozsądną rzecz tego ranka.

*** 249 ***

Wybuchnęła płaczem.

Jake objął ją i przyciągnął do siebie. Łkała w jego połatana, odziedziczoną koszulę. Gdy tak stała, oplatając go ramionami i zraszając łzami, których nigdy nie wylałaby z powodu innego znajomego mężczyzny, zrozumiała, że naprawdę mogłaby bardzo go kochać.

Nieszczęśliwa z niej istota.

- Jak długo to już trwa? - zapytał Robin.

- Niecały miesiąc - podsunął uprzejmie Miles.

- My zaczęliśmy go uczyć - dodał pogodnie Montgomery. - Wspaniale się spisaliśmy, nieprawdaż?

- Wspaniale - przyznał Robin.

- Na początku musieliśmy nawet uczyć go mówić po naszemu - wtrącił John. -1 nie potrafił jeździć konno, prawda, Mandy?

- Ale umie walczyć, prawda, Mandy? - zwrócił się do siostry Montgomery. - Widzieliśmy, jak pokonał ośmiu zbirów, wyłącznie własnymi rękami. To było niezwykle ekscytujące.

- Tak też opowiadał Miles - potwierdził Robin, wyglądając na dość zainteresowanego. - Widzę, paniczku Kilchurn, że mamy wiele spraw do omówienia. Jeśli moja siostra zaniecha prób pokrycia twojej kolczugi rdzą, moglibyśmy udać się do jakiegoś wygodniejszego zakątka i porozmawiać.

- Idź sobie, Robin - burknęła Amanda, żałując, że ma załzawione oczy, w przeciwnym razie mogłaby dokładnie zlokalizować brata i porządnie go szturchnąć.

- Nigdy nie płacze - rzekł przyciszonym głosem Montgomery.

- Nigdy - zgodził się John. - Musi być mocno wzburzona.

*** 257 ***

- Oglądanie widowiska, w którym Nick próbuje skończyć z Jakiem, to było dla niej za wiele - uznał Miles. - Zostawmy ją, by przemoczyła kolczugę Ja-ke'owi, a sami chodźmy do środka, by się trochę pokrzepić. Kiedy skończy, może przyprowadzić swojego ukochanego.

Amanda już miała na końcu języka: „nie kocham go”, lecz nie była w stanie zdobyć się na wysiłek, by wydusić z siebie te słowa.

- A tak przy okazji, to nazywam się Robin

- przedstawił się Robin. - Jestem najstarszy z tego tałatajstwa. Chodź ze mną, przedstawię cię mojej pani, Anne. Potem udamy się na komnaty mojego ojca i porozmawiamy. Na osobności - podkreślił. Amanda słuchała, jak jej młodsi bracia protestują, lecz wiedziała, że nie zdołają go przekonać. Robin bardzo przypominał ojca; gdy obierał kierunek działania, nic nie mogło go powstrzymać. Była to cecha, która najwyraźniej łączyła go z Jakiem.

- Ja również udam się do komnaty pana zamku

- Amanda pociągnęła nosem.

Robin sprawiał wrażenie, że ma zamiar jej odmówić, ale uznała, że-wygląda na wystarczająco rozbitą, by skłonić go do przyzwolenia. Zatem kiedy Robin ruszył z Jakiem, opuszczając plac musztry, Amanda poszła za nimi, a za nią młodsi bracia.

Podczas gdy mężczyźni jedli, Amanda doglądała Anne, dbając, by bratowa otrzymała dość jedła i napoju. Sporą część popołudnia zajmowała się synem Robina, Phillipem. Gaworzenie dwulatka było przyjemną odmianą po napiętych nastrojach poranka.

Cały ten czas Jake i Robin miło gawędzili przy wysokim stole. Jak równi sobie.

*** 258 ***

W końcu Amanda przekazała Phillipa matce i odesłała oboje do komnat na mocno spóźnioną drzemkę. Przez większość popołudnia Jake i Robin jedli, więc zamiast dalej plądrować spiżarnię Artane, przenieśli się do prywatnej komnaty Rhy-sa z gąsiorkiem wina i koszykiem krzepiących i kojących różności, w razie gdyby rozmowa ich wyczerpała. Amanda podążyła za nimi i zajęła miejsce na stołku w zaciemnionym kącie, starając się na tyle nie zwracać na siebie uwagi, na ile to było możliwe.

- Partyjka szachów? - zaproponował Robin.

- Bardzo chętnie - przystał Jake.

Zasiedli do gry, ciągnąc losy o to, komu przypadną białe figury, i natychmiast przystąpili do boju. Amanda nie nawykła do trapienia się na kobiecą modłę i oglądała sobie paznokcie. Udałaby się raczej na plac musztry z mieczem w dłoni albo ukradkiem pokręciła po zamku, zostawiając zalotników zachodzących w głowę, gdzie też się podziała. Siedzenie beczynnie nie należało do jej ulubionych czynności.

Zdecydowanie nie.

Złożyła dłonie na kolanach i zaklęła. Czy to miałoby jakieś znaczenie, że Robin polubiłby Jake'a? To nie ma sensu. Przecież Jake nie może poprosić ją o rękę. I przecież nie przyjęłaby go, gdyby się oświadczył.

Westchnęła. Niech to diabli, czeka ją jeszcze więcej czasu na klęczkach za kłamstwa.

Skupiła uwagę nie na zimnej podłodze kaplicy, która przywitają następnego dnia rano, lecz na Ja-ke'u i Robinie, którzy siedzieli naprzeciwko niej nad szachownicą, tocząc pojedynek na inteligencję, a nie na miecze.

*** 252 ***

Jake wygrał pierwszą partię. Robin następną.

I tak to się toczyło do późnego popołudnia. Amanda od czasu do czasu przeproszała i opuszczała komnatę, a towarzyszące temu ziewnięcia ze strony pozostałych osobników wzbudziły w niej podejrzenia, czy nie zaczęła tracić na uroku. Przynosiła więcej jedzenia i wina, słysząc w zamian zdawkowe podziękowania. Krążyła z niepokojem wokół i pochylała się nad stołem, lecz ją ignorowano. Amandę ogarnęła niechęć. Jake zaczął się zachowywać, jakby był jednym z jej braci. Nie była pewna, czy to dobrze wróży.

Robin rozsiadł się na krześle, gdy cienie już się wydłużyły, a komnatę rozświetliła pochodnia i kilka świec. Przewrócił swojego króla z ukontentowaniem.

- Wygrałeś, Kilchurn - oznajmił. - I mówię to z wielkim zadowoleniem. Jesteś znakomitym graczem.

- Ty również - odrzekł wielkodusznie Jake.

- Uważam, że jesteśmy sobie jak najbardziej równi - ciągnął Robin, Potrząsnął głową. - Trudno mi uwierzyć, że jesteś tylko kupcem, lecz zgaduję, że nawet w kupiectwie musisz polegać na strategii.

- Rzeczywiście - przytaknął Jake. - Zwłaszcza w interesach, którymi się zajmuję. Ludzie chętnie ulegają urokowi kamieni szlachetnych, a niektórzy są gotowi uciec się do rozlewu krwi, by je zdobyć, jeśli tylko sądzą, że mogą sprzedać kamienie z dużym zyskiem.

- Prowadzisz swój interes w Londynie?

- W Londynie mam sklep. Moje interesy wymagają, abym podróżował po całym świecie.

*** 260 ***

Robin aż się nachylił.

- Do niebezpiecznych zakątków?

- Oczywiście. Tak często, jak daję sobie tam radę - uśmiechnął się do Robina. - A ty podróżujesz? Ach, drugi ulubiony temat rozmów Robina albo raczej trzeci, po szermierce i zawilościach walki, a przed urokami bycia mężem i ojcem - choć Amanda sądziła, że dwóch pozostałych tematów nie poruszał zbyt często. W każdym razie nie z obcymi ludźmi. Czasami zdarzało jej się usłyszeć z ust Robina uwagę przepełnioną dumą, której brat nie był w stanie ukryć, oraz głębokim, prawdziwym uczuciem zarówno wobec swojej pani, jak i synka.

- Wenecja - rzucił Jake z westchnieniem zadowolenia.

- O nie, wyspa Sycylia - poprawił go Robin. - Pałace słońce, wyborne jadlo, znakomite wino. Połacie wybrzeża stworzone dla człowieka po to, by mógł wyciągnąć się na piasku jak go Pan Bóg stworzył i zażyć dobrze zasłużonego odpoczynku.

Amanda siedziała na ławie pod oknem i słuchała, jak żartobliwie spierają się o zalety i wady wszystkich miejsc, które obaj zwiedzili. Gdy tak słuchała, wezbrało w niej ogromne pragnienie, by samej zobaczyć te zakątki. Powinna była przyoblec się w szaty giermka Milesa i wyruszyć razem z nim w kilka podróży. Może jednak było coś, co świadczyło na korzyść profesji kupca, jeśli tak wyglądało jego życie.

Zwłaszcza takiego kupca, który nosił się jak Jake.

Płynął wieczór. Jake siedział z jej najstarszym bratem, śmiał się i rozmawiał z nim, jakby znali się od lat i zawsze należał do najbliższego kręgu jego towarzyszy.

*** 254 ***

Gdyby tylko Jake wiedział, jakie to było niesłychane. Sama Amanda nigdy nie odczuła, że została obdarzona zaufaniem. Przypuszczała, że nikt poza Anne i Nicholasem nie dostąpił tego zaszczytu.

Zaiste, Jake powinien uznać to za prawdziwy komplement.

Amanda zdała sobie nagle sprawę, że mężczyźni ją obserwują. Robin pocierał podbródek. Jake rozparł się na krześle, przyglądając się jej z nikłym uśmiechem, trzymając ręce założone za głowę, jakby nie trapiły go żadne zmartwienia na świecie.

- I cóż? - zapytała. - Mam być teraz poddana oględzinom niczym przeklęte pole bitwy?

- Rzekłbym raczej, że niczym nagroda - zauważył Robin.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile wieczorów przesiedziałam tutaj, podczas gdy ty, ojciec i każdy inny przeklęty mężczyzna w tej rodzinie dyskutowaliście na mój temat, jakbym była klaczą do wystawienia na rynku? Mam uczucia! Upodobania! Może chciałabym kochać człowieka, którego mam poślubić!

- A więc? - spytał Robin.

- A więc co?

- Kochasz go? - Na domiar wszystkiego Robin od niechcienia skinął głową w kierunku Jake'a.

Amanda zacisnęła zęby.

- A dlaczego ja miałabym zdobywać się na takie wyznanie, skoro on nie odkrył sekretów swojego serca?

- Ach, nie? - zdumiał się Jake.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek padł przede mną na kolana, nie wręczałeś mi bukietów kwiatów, nie śpiewałeś pod oknem, nie układałeś pieśni

* 262 *

o mojej urodzie i łagodnym usposobieniu. Skąd mam wiedzieć, co czujesz?

- To sprawka mojej babki - rzekł Robin teatralnym szeptem. - Kiedy zalecałem się do mojej kochanej Anne, zostałem poddany wszelkim tego rodzaju głupstwom. - Spojrzał z żalnością na swoje dłonie. - Doprawdy, zniszczyłem swoje biedne palce, godzinami brzdąkając na lutni i trącając struny na wszelkie sposoby, tylko po to, by spełnić kobiece zachcianki.

- Możesz być pewien, że to nie twoja gra na lutni zapewniła ci zwycięstwo - zwróciła ostro uwagę Amanda.

Jake założył ręce na piersi i uśmiechnął się.

- Podaj swoją cenę, lady Amando, a z radością ją zapłacę.

- Szalenciec - uśmieł się Robin. - Przepadłeś. Każe ci harować dzień i noc, bez ustanku, tylko po to, by ją zadowolić.

- Mogę sobie wyobrazić gorsze sposoby spędzania czasu - powiedział Jake.

Amanda westchnęła i ukryła twarz w dłoniach.

- To jest niemożliwe - rzekła ze znużeniem. - Nic więcej, jak tylko marzenie.

- Ona marzy o tobie - zauważył Robin. - Obiecujący znak.

Amanda usłyszała, że ktoś wstaje, a potem poczuła, że podnosi ją na nogi. Spojrzała na Jake'a, który wpatrywał się w nią poważnymi oczami.

- Wiem, co muszę posiadać, by prosić cię o rękę. Jak mogę prosić cię, byś była moja, skoro wszystko co mam, to serce na dłoni i nazwisko bez żadnego tytułu?

Westchnęła.

*** 256 ***

- Nie możesz. Sądzę, że muszę się zadowolić świadomością, że w ogóle o tym pomyślałeś.
- Od chwili, gdy wybawiłaś mnie od lochu, przychodząc z twarzą pokrytą sadzą - odrzekł poważnym tonem Jake.
- Mam nadzieję, że pomyślałeś, co będzie oznaczało poślubienie tej dziewczyny - wtrącił Robin.
- Śmiem twierdzić, że już nigdy nie zaznasz spokoju.
- Już dość go zaznałem - odpowiedział Jake z uśmiechem. - Myślę, że dam sobie radę z odrobiną zamętu.
- O, to cię na pewno nie ominie - zapewnił go Robin. - A teraz udajmy się już na spoczynek. Jeżeli zamierzasz przyzwoicie zaprezentować się przed moim ojcem, najlepiej będzie, jeśli zaczniemy o pierwszym brzasku.
- Jesteś bardzo wspaniałomyślny - zauważył Jake.
- Nie rozumiesz - przerwała im Amanda. - Ojciec rzadko kogokolwiek ćwiczy. Giermków tak, ale bardzo, bardzo nielicznych dorosłych mężczyzn. _.
- A zatem dostąpiłem niezwykłego zaszczytu
- uznał Jake. - I jestem niezwykle wdzięczny. Robin wstał i ruszył w kierunku drzwi.
- Chodźcie oboje. Lepiej będzie, jeśli odprowadzę Jake'a do komnaty, aby Nickowi nie przyszło do głowy dla rozrywki popełnić w ciemnościach małego morderstwa. Nie wiem, co go nęka. Powinien się cieszyć na myśl, że Amanda nareszcie wyjdzie za mąż, wówczas mógłby szykować się do własnych zaślubin - przeniósł wzrok na Jake'a.
- Cały czas dręczy zalotników Amandy. Nie mam

* 257 *

pojęcia dlaczego. Sądzę, że sprawia mu to większą satysfakcję niż dręczenie samej Amandy.

- O tak, chciałbyś - powiedziała Amanda, tłumiąc chęć, by przewrócić oczami. Robin był doświadczonym wojownikiem, co dostrzegali bez wątpienia i inni, lecz gdy przychodziło do spraw serca, okazywał się głupcem.

Jake i Robin odprowadzili ją do komnaty. Robin przyglądał się z zainteresowaniem, jak Jake cnotliwie pocałował Amandę w czoło.

Niech go diabli!

Robin pokręcił na to głową.

- Powinieneś pocałować dziewczynę, Jake. Sprawdzić, czy poślubienie jej będzie tego warte.

- Oszczędzam się do ślubu - odrzekł Jake, mrugając do Amandy.

Zatrzaskała obu drzwi przed nosem. Głupki. Wślizgnęła się do łóżka, naciągnęła na głowę przykrycie i posłała ich do wszystkich diabłów.

Chwilowo, jeśli chodzi o Jake'a.

Zamknęła oczy i pomodliła się z całego serca, aby zdołał zrealizować swoje zamiary.

Nie chciała nawet myśleć, co by się stało z jej sercem, gdyby Jake'owi się nie powiodło.

Czy tak jest dobrze?

Jake spojrział na rysunek Montgomery'ego, który, musiał to przyznać, dobrze rokował, o ile mógł właściwie ocenić dzieło, ignorując pot spływający mu na oczy. Od Robina z Artane starał się nauczyć wszystkiego, co on mógł mu przekazać, i zadośćuczynić życzeniu Montgomery'ego z Artane, dając chłopakowi lekcje rysunku. Jednocześnie. Zastanawiał się, ilu chłopców uczyło się rysować na placu do ćwiczeń.

Przypuszczał, że niewielu.

Montgomery rysował Amandę stojącą z boku placu obejmującą się- ramionami i sprawiającą wrażenie mocno zaniepokojonej. Szkic Montgomery'ego był faktycznie niezły.

- Pamiętaj, czego cię nauczyłem wczoraj wieczorem o perspektywie - zaznaczył Jake. - Dzięki temu możesz sprawić, by plac wyglądał, jakby nikał za Amandą w oddali. Bardzo dobrze sobie radzisz.

- Dziękuję, że znalazłeś czas, by popatrzeć - uśmiechnął się Montgomery.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Jake z uczuciem. I rzeczywiście była to przyjemność - cokolwiek, byle przerwać na chwilę walkę.

- Chcesz się jeszcze napić?

*** 266 ***

Jake musiał mrugnąć kilka razy, by się upewnić, że pytanie zadaje mu Robin, a nie halucynacja wywołana przemęczeniem, która sprawdza, na ile jest spragniony.

A było dopiero południe, niech Bóg ma go w swojej opiece.

- Tak - skinął głową.

- No to masz jeszcze jeden kubek. I najlepiej będzie, jeśli przypomnisz Amandzie, że nadal żyjesz

- oznajmił Robin, chowając miecz do pochwy.

- Zanim zaczniemy od nowa - dodał.

Jake skinął głową i powlókł swoje ciało w opłakanym stanie w kierunku Amandy. Nie miał odwagi usiąść na ławie. Mógłby już nigdy nie wstać.

- Jak ci idzie? - spytała z troską.

- Świetnie, dziękuję.

Robin podszedł do nich i serdecznie klepnął Jake^ w plecy.

- Zaiste, jest twardy jak skała. Niech jeszcze raz popatrzy na swoją nagrodę, a potem znów zabierzemy się do pracy. Za godzinę pójdziemy się posilić.

- Z największą chęcią - potwierdził Jake, myśląc w duchu, że Robin z Artane byłby rozwiązaniem wielu problemów społecznych dwudziestego pierwszego wieku. *Spróbuj rozrabiać, a przez tydzień będziesz zdany na łaskę tego człowieka.*

Każdy zachowywałby się nienagannie. Jake był tego pewien. Amanda wręczyła mu kubek.

- Jeśli cię to pocieszy, Robin jest dla ciebie wyjątkowo surowy. Śmiem przypuszczać, że nie byłby taki, gdyby nie wierzył, że to zniesiesz.

- To mi schlebia - rzekł Jake, duszkiem wypijając kubek rozcieńczonego wodą wina. Poczul się

*** 260 ***

mile połączony. Gdyby tylko nie czuł się tak wdeptany w ziemię, wszystko byłoby w najlepszym porządku.

Minęły dwa długie tygodnie spotkań z Robinem de Piagetem *tête-à-tête* na placu musztry, trwających od świtu do zmierzchu. Jake'a dręczył ból mięśni, o których istnieniu nie miał pojęcia, jak również tych wszystkich, których był pewien, że je ma. Co wieczór kładł się do łóżka, dygocząc ze zmęczenia, i wstawał przed świtem, by zaczynać wszystko od nowa.

Średniowieczny obóz szkoleniowy dla rekrutów był piekłem.

Z drugiej strony Robin wyglądał tak cholernie zwawo każdego dnia, że jedyne, co Jake mógł zrobić, to mu nie przyłożyć pięścią. Codziennie rano zjawiał się rześki i radosny jak skowronek, a wieczorem szedł na spoczynek, wyglądając, jakby jeździł konno od niechcienia tu i tam, zajmując się wyłącznie mniej męczącymi sprawami królestwa.

Teraz nucił sobie pod nosem z uśmiechem i kołysał się w tył i w przód na piętach, z rękami splecionymi na plecach. Spoglądał na świat, jakby dopiero co wyskoczył z łóżka i czekał na swojego służącego, by przygotował mu jajka w koszulkach i zimne tosty.

Wzbudził w Jake'u chęć, by uciąć sobie drzemkę.

Jake mógł przyznać bez trudu, że nawet w przybliżeniu nie osiągał w szermierce tej klasy co Robin. Potrafił już dotrzymać kroku bliźniakom i był w stanie trzymać Milesa na dystans - przynajmniej przez krótki czas. Robin jeszcze ani razu nie musiał dwoić się i troić, a Jake już wiedział, że jest w poważnych tarapatkach. Mógłby ćwiczyć z Robinem przez rok i nadal mu nie dorównywać.

* 268 *

Z drugiej strony, sądząc po malej próbce sparingu na placu, podejrzewał, że Nicholas także nie dorównuje Robinowi, choć wątpił, by często poruszali ten temat.

Nicholas przez większą część minionych dwóch tygodni pozostawał w ukryciu. Zjawiał się na posiłki, przyglądał Jake'owi spokojnym, morderczo badawczym spojrzeniem, a następnie ruszał w nieznane, podczas gdy Jake z Robinem udawał się z powrotem na plac ćwiczeń.

Amanda spędzała czas albo w kaplicy na modlitwach za Jake'a, albo siedząc na ławie pod murem, jakby od tego pilnego obserwowania zależało jej życie.

Jake czasami zastanawiał się, czy tak właśnie nie jest.

Zaczerpnął jeszcze jeden haust wina, a potem popatrzył na Robina.

- Czy ktokolwiek z tobą wygrywa? - zapytał.

- Nikt - odrzekł Robin skromnie. - Może poza ojcem, kiedy dziarsko się czuje.

Amanda parsknęła.

- Wciąż może cię roznieść na strzępy, gdy zechce. Obawia się skrzywdzić twoje wybujałe ego, w związku z tym niezbyt często folguje swoim zachciankom. - Przeniosła wzrok na Jake'a. - Robin słynie z tego, że na placu musztry spędził tysiące godzin. Nie możesz się z nim równać.

- Nigdy bym tego nie zrobił - rzekł z przekonaniem Jake.

- Zupełnie nieźle sobie radzisz - uznał Robin, odstawiając kubek. - Masz do tego smykałkę. Z odpowiednim treningiem uda ci się zdobyć moją siostrę.

Jake spojrział na niego z powagą.

*** 262 ***

- Czy to wystarczy?

- Lepiej, by tak było, nieprawdaż? - zauważył uprzejmie Robin. - Zabierajmy się do roboty. Mamy dziś jeszcze dużo do zrobienia.

Jake odstawił kubek, rzucił Amandzie uśmiech i spróbował wrócić w podskokach na plac tak jak Robin. Kiedy zorientował się, że pochłania to zbyt wiele energii, po prostu poszedł, zostawiając skakanie na kiedy indziej.

A potem nie miał już czasu na zastanawianie się nad swoim chodem, gdyż Robin znów przystąpił do misji przekształcania go w średniowiecznego rycerza. Sam Jake nie zamierzał marnować czasu na zagadnienia, które można było roztrząsać później - powiedzmy za rok lub coś koło tego, gdy pozbiera się po szkole sztuki miecza i tortur Robina.

Jednak w pewnej chwili tego bardzo długiego popołudnia naszła go myśl, że powinien spróbować wrócić do domu.

Niebawem.

* * *

To wrażenie nie opuściło go ani po południu, ani następnego dnia, ani kolejnego. Odkładał to na później, aż upłynęło siedem dni, kiedy nie mógł już dłużej lekceważyć tej myśli.

Zrobili sobie właśnie z Robinem przerwę na oddech pośrodku pola i Jake poruszył temat.

- Powinienem wyjechać.

Robin popatrzył na niego z lekkim zaskoczeniem.

- Teraz?

Jake rozważał, ile może Robinowi powiedzieć, ile powinien mu powiedzieć, wzięwszy pod uwagę,

* 263 *

że Amandzie ani słowem nie zdradził swojego pochodzenia. Rozmyślał przez chwilę lub dwie i w końcu zdecydował, że najlepszą polityką będzie uczciwość. Przez ostatnie trzy tygodnie nabrał ogromnego szacunku dla najstarszego brata Amandy, nie tylko ze względu na jego umiejętności wojownika, lecz także z powodu jego trzeźwego umysłu. Amanda uważała, że nie jest zbyt bystry, ale Jake podejrzewał, że to tylko pozory. Robin de Piaget w rzeczywistości był sprytny. Jake sądził, że jeśli rycerz przetrzyma szok, poznając datę jego urodzin, może bez wielkiego trudu uwierzyć w kilka innych rzeczy.

- Muszę wyruszyć teraz - oznajmił Jake. Robin schował miecz do pochwy i przyjrzał się towarzyszowi.

- Czuję, że jest wiele spraw, o których mi nie powiedziałaś.

- Zgadza się.

- Powiesz mi o nich teraz, czy jak wrócisz z podróży do Londynu?

- O niektórych teraz, o innych później. Robin skinął głową.

- Niech tak będzie. Opowiadałaś o tych sprawach Amandzie?

- Nie. I uważam, że będzie najlepiej, jeśli nie będzie o niczym wiedziała, dopóki nie wrócę.

Jeśli wrócę, przyszło mu zaraz na myśl, jednak nie roztrząsał dłużej tej kwestii. Wróci, nawet gdyby musiał poruszyć niebo i ziemię, by tego dokonać.

- Kiedy wyruszysz?

- Dziś po południu.

Słowa wymknęły się z ust Jake'a, nim dobrze się nad nimi zastanowił. Jednak kiedy już je usłyszał, wiedział, że były słuszne. Musi wyjechać. Miał

* 271 *

wręcz poczucie, że nawet żywioły są gotowe połączyć się, aby błyskawicznie urzeczywistnić małą podróż w czasie, z nim jako pasażerem.

- Waham się, czy przerywać twoje ćwiczenia

- powiedział powoli Robin - lecz widzę, że już postanowiłeś.

- Jest dobra pora - rzekł Jake. - Ale chciałbym, żebyś poszedł ze mną, przynajmniej do wsi. Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Robin przyglądał mu się w milczeniu przez kilka chwil.

- Montgomery uważa - zaczął bardzo poważnie

- że jesteś czarodziejem.

- Nie jestem czarodziejem.

- Zatem jak człowiek może znaleźć się trzy mile od Artane bez odzienia, nie potrafiąc władać mieczem, nie umiejąc jeździć konno, nie rozumiejąc miejscowego języka i bez lepszego wytłumaczenia niż to, że został obrabowany?

- Mam na to wszystko dobrą odpowiedź.

- Doprawdy? Zależy mi na tym, żeby ją usłyszeć

- Robin urwał i zmarszczył brwi. - Wiesz, że moja siostra będzie zasmucona.

- Nie mogę jej poślubić, dopóki nie będę miał na to sposobu - odrzekł Jake. - Twój ojciec nie będzie chciał jej wydać za kupca, prawda?

- Prawda - westchnął Robin. - Widzę, że nie można nic innego zrobić. Lecz zostawiasz mnie, mój przyjacielu, żebym słuchał jej szlochów przez wiele godzin, dopóki nie wrócisz.

- Trzymaj ją na placu musztry. Nie będzie płakać, jeśli będzie myślała, że może posiekać cię na kawałki.

Robin roześmiał się.

* 272 *

- Święta racja. Nic nie sprawi jej większej przyjemności - urwał, potem uśmiechnął się. - Wiesz, kazała wykuć dla ciebie miecz. Został ukończony zeszłej nocy.

Jake zamrugał powiekami.

- Naprawdę?

- Tak. Jeszcze oczywiście nie jest przyozdobiony, ale oznaczenia można dodać później. Kiedy już zyskasz względy króla.

Jake osłupiał.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz: masz doskonały gust, jeśli chodzi

o broń, jak na dziewczynę, pocałuj ją, a potem ruszaj z kopyta w drogę, zanim złapie twój miecz i zdzieli cię nim w głowę.

- Dobra rada - Jake uśmiechnął się i spojrzał na Robina. - Dziękuję. Byłeś dobrym przyjacielem i niezrównanym nauczycielem.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem.

- Tą uwagą również jestem zaszczycony. Wrócę, aby kontynuować naukę.

- Wróc - odrzekł Robin. - W przeciwnym razie będę musiał wysłuchiwać skarg tej wybuchowej kobiety przez resztę moich dni.

Jake udał się z nim do głównej sali zamkowej, zastanawiając się, jak, do diabła, ma powiedzieć Amandzie, co zamierza. Nie znalazł jej w sali, więc poszedł na górę do komnaty bliźniaków, by zbierać swoje nieliczne rzeczy. Zostawił kolczugę rozłożoną na łóżku. Użyje jej znowu, gdy wróci, lecz z pewnością nie będzie mu potrzebna w przyszłości. Z konieczności zatrzymał strój, który znalazła mu Amanda. Jednofuntowa moneta schowana w bucie wydawała się dziwnie nie na miejscu,

* 266 *

ale Jake uznał, że może przydać się później. W każdym razie mógłby użyć jej do telefonu. Stał przez chwilę, patrząc na łóżko, które było za krótkie, i uśmiechał się na ten widok. Z trudem mógł uwierzyć, że spał na tym przeklętym meblu przez blisko dwa miesiące.

Jeszcze trudniej mu było uwierzyć, że swoje największe pragnienie odkrył w przeszłości, osiemset lat wcześniej.

Konsekwentnie unikał rozważania, że może... po prostu może nie był tym, za kogo miała wyjść. Nie, pozamyka swoje sprawy w przyszłości, przygotowuje się na życie w przeszłości i podejmie je.

Westchnął, po czym odwrócił się do drzwi. Niemal podskoczył na widok stojącej w nich Amandy, milczącej i czujnej.

W rękach trzymała nagi miecz, opierając go czubkiem o podłogę.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - odezwał się Jake z uśmiechem.

Amanda nie uśmiechała się.

- Wyjeżdżasz dzisiaj - szepnęła.

- Robin ci powiedział? Potrząsnęła głową.

- Wiedziałam.

- Wrócę.

- Tak - wzięła głęboki oddech. - To dla ciebie. Jake przeszedł przez komnatę i położył ręce na jej dłoniach, gdy podawała mu miecz.

- Nie wiem, jak ci dziękować - zaczął.

- Nie rób tego - odrzekła szorstko. - Nie dziękuj mi. Brzmiałoby to tak, jakbym dawała ci podarek na pożegnanie, a nie tego chcę.

- Wrócę - powiedział łagodnie Jake.

* 274 *

Po policzkach Amandy potoczyły się łzy. Otarła rękawem twarz.

- Niech to diabli, ale ze mnie głupia beksa. Nie obchodzi mnie, czy wrócisz.

- Kłamczucha - odrzekł z uśmiechem Jake. - Lepiej poświęć jutro trochę czasu na modlitwę w kaplicy.

Spojrzała na niego z policzkami mokrymi od łez.

- Nie obchodzi mnie - wyrzuciła z siebie desperacko. - Mówię ci, to, co jest między nami, to szaleństwo...

Pocałował ją. Naprawdę nie zamierzał tego robić, dopóki nie uda mu się spełnić średniowiecznych wymagań, zdobyć pozycji, która pozwoli mu poprosić ją o rękę. Lecz nie mógł się powstrzymać.

A gdy już zaczął, zrozumiał, że nie może przestać.

Jeśli nie pograżył się wcześniej, to pograżył się teraz.

Kiedy miecz gniotący mu żebro stał się w końcu tak niewygodny, że już nie mógł go dłużej ignorować, podniósł głowę i głęboko zaczerpnął kilka razy powietrza. Potem popatrzył na nią.

- To nie jest szaleństwo - powiedział. - Wrócę. Oczy Amandy znów się zaszklily.

- Ciężko mieć na to choćby cień nadziei.

- Wrócę. Wydrę królowi tytuł i spełnię wymagania twojego ojca.

Rzuciła mu ostatnie przenikliwe spojrzenie, a potem objęła go ramionami i mocno przytuliła.

- Pospiesz się - rzekła tylko, a następnie pobiegła korytarzem.

Jake podejrzewał, że poszła na blanki zamku. Nie chciał iść za nią, bo czuł, że gdyby to zrobił, nigdy nie miałby na tyle odwagi, by odejść.

*** 268 ***

Spojrzał na miecz, który wcisnęła mu w dłoń. Był piękny, z miejscem w rękojeści zostawionym na szlachetny kamień. Jake uznał, że znalazłoby się coś w jego roboczym skarbcu, co by pasowało.

Ujął oręż i zszedł do głównej sali. Czekał na niego Miles.

- Gotów? -Tak.

- Robin jest w stajniach. - Miles popatrzył na Jake'a pogodnie. - Pospiesz się ze swoimi sprawami.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Amanda będzie nie do zniesienia, dopóki nie wrócisz.

- Biedak z ciebie.

- No właśnie. - Miles uśmiechnął się lekko. Jake znalazł Montgomery'ego i Johna, którzy czekali z Robinem przed stajniami. Montgomery objął Jake'a w porywczym geście, a John uściskał mu po męsku dłoń.

- Wkrótce - rzekł Montgomery. - Wkrótce cię zobaczymy.

- Jeśli inni czarodzieje mnie puszcza - odrzekł Jake bez emocji. _

Oczy Montgomery'ego zrobiły się okrągłe, a usta otworzyły szeroko. Jake wyciągnął rękę i zmierzwił chłopcu czuprynę.

- Żartowałem, Montgomery. Wrócę niebawem. Chłopiec przytaknął, ale Jake domyślał się, że Montgomery jeszcze długo będzie przeżywał uwagę o czarodziejach.

Wskoczył na konia z zaskakującą łatwością, jeśli to kogoś interesuje, i ścieżką wyłożoną kocimi łbami ruszył za Robinem przez bramę i dalej przez wioskę. Dopiero kiedy ostatnie domy zostały za nimi, Robin ściągnął lejce i spojrzał na Jake'a.

*** 269 ***

- No dobrze, jesteśmy w szczerym polu. Jestem gotów usłyszeć wszystko, co masz mi do powiedzenia. Jake podał mu jednofuntową monetę, którą wyjął z buta, nim wsiadł na konia. Robin wziął pieniążek, obejrzał go uważnie, potem przeniósł wzrok na Jake'a.

- Ciekawe.

- Popatrz na datę. Te cyfry, o, tutaj.

Robin przyjrzał się jeszcze raz, potem znów popatrzył na Jake'a.

- 2005?

- Roku Pańskiego 2005.

- Nie rozumiem. - Robin potrząsnął głową.

- Będziesz musiał przyjąć pewne rzeczy na wiarę - wytłumaczył Jake. - Pomyśl o tym wszystkim, gdy odejdę.

Zakładając, że odejdę, dodał w duchu.

- Zanim znalazłem się pod bramami Artane, żyłem w roku 2005. Stamtąd pochodzi ta moneta. Z tamtych czasów.

Robin milczał. Spoglądał tylko na Jake'a i cierpliwie czekał.

- Żyłem w roku 2005 - ciągnął Jake. - Znajdowałem się w... wozie bez konia, pędzącym z ogromną prędkością, gdy nagle wypadłem z drogi. Pamiętam wirowanie, a następną rzeczą, jakiej byłem świadom, był fakt, że ocknąłem się w komnacie twojego ojca w roku 1227.

Robin popatrzył na monetę, obrócił ją w palcach. Znów spojrzął na Jake'a.

- Mów dalej.

- Dlatego nie rozumiałem waszej mowy, nie umiałem jeździć konno ani władać mieczem. W moich czasach handluje szlachetnymi kamieniami, ale w mojej epoce to nie jest zajęcie dla wie-

* 277 *

śniaka. Wiele lat się uczyłem fachu i na interesach zarobiłem bardzo dużo pieniędzy. To zawód wymagający szczególnych umiejętności. Tworzyłem klejnoty dla członków rodziny królewskiej. Przemierzałem świat w poszukiwaniu okazów, których inni po prostu nie potrafili znaleźć.

- Mieszkasz w Londynie?

- Tak, w Londynie w roku 2005.

Robin zastanowił się, potem uśmiechnął lekko.

- Czy nadal jest zatłoczony, hałaśliwy i brudny?

- Tak - odrzekł Jake. - I dużo większy, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Robin wpatrywał się w milczeniu w niebo przez kilka chwil. Potem przeniósł wzrok na Jake'a.

- Ta moneta jest częścią tajemnicy, nad którą będę musiał pomyśleć - urwał. - Mógłbym to wszystko zlekceważyć, traktując jak bełkot szaleńca - i prawdopodobnie tak powinienem zrobić

- ale obserwowałem cię przez ostatnie trzy tygodnie.

Jake czekał.

- I śmiem twierdzić, że nie jesteś obłąkany. Ale

- dodał poważniejszym tonem - bardzo trudno mi w to uwierzyć - podniósł dłoń z monetą. - Nawet w to.

- Rozumiem.

- Przypuszczam, że jakikolwiek inny dowód, który mógłbyś mieć, został ukradziony, ku twojej wygodzie.

- Albo raczej niewygodzie, nad tym można się spierać. - Jake skinął głową.

Robin znów popatrzył na monetę, potem włożył pieniądze do sakiewki przy pasku.

- Zachowam ją bezpiecznie na twój użytek, aż wrócisz. Dołożę wszelkich starań, by powstrzymać

* 271 *

moją siostrę przed zabiciem mnie na placu musztry. I rozważę to, co powiedziałeś. - Przetarł twarz dłonią, po czym zaczerpnął głęboko powietrza.

- A jak dostaniesz się do Londynu? Do twojego Londynu?

- Sądzę, że tam, gdzie mnie znaleziono, jest brama. Brama prowadząca przez czas.

- W trawie?

- A gdzieżby indziej? Robin ściągnął usta.

- To brzmi podejrzanie podobnie do jednej z historii uzdrowiciela ojca, którą opowiadał chłopcom, kiedy byli mali.

- Te historie musiały się skądś wziąć. Robin odchrząknął.

- Zapewne. No dobrze, ruszajmy zatem do twojej bramy i zobaczmy, co kryje w zanadrzu dla ciebie. Ośmielę się twierdzić, że widziałem osobliw-sze rzeczy niż to.

Jake szczerze miał taką nadzieję. Pojechał z Robinem w to samo miejsce, gdzie odnalazł monetę, gdzie lord Ledenham próbował urządzić na nich zasadzkę, gdzie według Berengarii mógł znaleźć wrota czasu.

Zsiadł z konia, odwiązał od siodła miecz i przekazał lejce Robinowi.

- Dziękuję, panie - rzekł oficjalnie. - Za nauki. I za przyjaźń.

Robin wyciągnął dłoń i uścisnął rękę Jake'a.

- Wróc - powiedział zwyczajnie.

Jake skinął głową, wziął miecz w dłoń i odszedł na bok. Nie czuł nic i zastanawiał się, czy nie wygląda przypadkiem na największego osła w historii

- a mógł się mierzyć ze sporym jej kawałkiem. Zatrzymał się na moment, rozważając, w jaki sposób

* 279 *

mógiby ewentualnie wytłumaczyć Robinowi, że brama nie działa, nie wychodząc przy tym na skończonego wariata, lecz porzucił ten zamiar. Może ugrzęźnie w wiekach średnich... bez pieniędzy, bez możliwości zarobienia ich... i nie mogąc prosić ojca Amandy o jej rękę. Z natury nie był czarnowi-dzem, roztrząsał po prostu pewne frapujące okoliczności, które sprzysięgły się przeciwko niemu.

Tak czy owak, niech to wszystko diabli!

Wziął głęboki oddech, westchnął i odwrócił się ze szczerym zamiarem powiedzenia Robinowi...

Ale Robin zniknął.

Jake rozejrzał się. Drzewa były inne. Niecałe pięćdziesiąt stóp od niego rozciągało się ogrodzenie z kamieni, którego przed minutą tutaj nie było.

Ledwo mógł w to uwierzyć. Udało mu się.

Tylko czy znalazł się w 2005 roku?

Kusiło go, by pozwolić sobie na odrobinę paniki, biorąc pod uwagę możliwość, że nie przeniósł się z powrotem do swoich czasów. Nęciła także perspektywa stania w miejscu w nieskończoność i zastanawiania się nad zagadką, jaką była Amanda z Artane. Czy będzie na niego czekać? Czy uda mu się wrócić do właściwej epoki - jeśli w ogóle wróci? Czy Rhys oddałby mu ją, czy też powiedział, by poszedł sobie precz?

Otrząsnął się z niespokojnych myśli. W tej chwili musiał znaleźć telefon i zająć się swoją przyszłością. Będzie miał - o ile szczęście dopisze - całą wieczność na myślenie o niej, gdy znów stanie w komnacie Rhysa de Piageta, starając się go przekonać, by oddał mu córkę za żonę.

Poświęcił chwilę na ustalenie swojego położenia, a następnie ruszył na wschód. Po niedługim marszu wyszedł na skupisko domków.

* 273 *

Współczesnych domków.

Jake pobiegł w kierunku zabudowań, wymyślając po drodze wiarygodną opowiastkę, dlaczego nosi ze sobą średniowieczny miecz. Przynależność do grupy rekonstrukcji historycznych wydawała się najbardziej logicznym wyjaśnieniem. Może zasnął nad mieczem i został z tyłu, zapomniany przez kumpli. Takie wytłumaczenie brzmiało sensownie.

Zatrzymał się przy pierwszym rokującym nadzieje domku. W drzwiach zjawił się starszy mężczyzna, który wcale nie wydawał się zaskoczony strojem Jake'a.

- Ech, głupie gnojki od przedstawień - powiedział, otwierając drzwi. - Nie macie kieszeni na komórkę?

Jake roześmiał się.

- Otóż to. Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że skorzystam z telefonu?

Starszy pan potrząsnął głową.

- Absolutnie nic. Nie sądzę, byś miał jakieś drobne w tych swoich nieistniejących kieszeniach, by zapłacić za telefon, co?

- Niech wczuje się pan raz w dobrego samarytanina - poprosił Jake.

- Chrzanić to - oznajmił wesoło mężczyzna i wrócił do oglądania telewizji.

Jake zakonotował sobie w pamięci, by przysłać człowiekowi coś ładnego dla żony, ubolewającej nad dziwnymi zdarzeniami, które mają miejsce, gdy ktoś jest takim pechowcem, że mieszka blisko Szkocji.

Kiedy Jake to usłyszał, przypuszczał, że mógłby dotrzeć piechotą do nowożytnego Artane, jednakże nie odważyłby się pokazać w rajtuzach i koszuli na progu domu współczesnego dziedzica. Może za długo żył w Anglii. Zaczynał cierpieć z powodu

* **281** *

zdecydowanie brytyjskiego poczucia przyzwoitości.

Stał przez dobrą chwilę przed aparatem telefonicznym. Sprzęt liczył sobie trzydzieści lat, ale czy liczył sobie trzydzieści lat, czy też był nowiuteńkim modelem? Ściszone odgłosy z telewizora nie podsuwały żadnych wskazówek. Jake wziął głęboki oddech i skoczył na głębinę. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do swojego biura. O tej porze prawdopodobnie asystentki już nie będzie, nawet jeżeli trafił do właściwego roku, ale...

- Firma Kilchurn, słucham - odezwał się obco brzmiący głos.

Jake wydał westchnienie ulgi, które wyszło z samej głębi jego jestestwa. Zaraz jednak zachmurzył się.

- Chciałbym mówić z Penelope Cleary. Czy jest w biurze?

- Bardzo mi przykro, jesteśmy tylko obsługą. Panna Cleary doznała załamania nerwowego i przebywa w szpitalu. Jesteśmy firmą sekretarską, którą zaangażowała, zanim opuściła biuro. Czy mogę panu jakoś pomóc?

- Naprawdę? - Jake był zdumiony. - Dlaczego... och, nieważne.

Dopytywanie się o szczegóły wydarzeń od wynajętej firmy usługowej nie miało sensu. Pojedzie do Londynu i jutro dowie się dokładnie, co zaszło.

- Mówi Jake Kilchurn. Utknąłem w Northumberland i miałem nadzieję, że Penelope zorganizuje mi samochód albo znajdzie bank...

Cóż, tak naprawdę, to nie bardzo wiedział, na co miał nadzieję. Zbyt duża dawka podróży w czasie i brak asystentki po drugiej stronie telefonu zbiły go z tropu.

- Gdzie pan się znajduje? - spytała wynajęta sekretarka. - Natychmiast wyślemy po pana auto.

*** 275 ***

- To bardzo miło z państwa strony. - Jake zapytał gospodarza o adres, przekazał go zastępczej obsłudze i odwiesił słuchawkę. Wetknął głowę do salonu.

- Posiedzę na dworze.

- Jak sobie życzysz - odrzekł mężczyzna.

Jednak żona gospodarza najwidoczniej nie mogła znieść myśli, że Jake siedzi na zewnątrz bez niczego na ząb. Ostatecznie czekał na transport na wygodnym rozkładanym krześle, a obok niego rozstawiono stolik i poczęstowano go herbatą i herbatnikami.

Nie był pewien, czy mógłby przyznać, że tęskni za węgorem w sosie własnym, ale nie był także pewien, czy nie będzie tęsknić za ciasteczkami z Tesco.

Zapadł już zmrok, kiedy pod domkiem zatrzymał się czarny mercedes. Jake zawołał na pożegnanie w głąb domu z podziękowaniem, gdyż już dawno naczynia odniósł do kuchni, i podszedł do samochodu. Z auta wysiadł szofer, a także jakiś inny człowiek w ciemnym garniturze. Jake zastanawiał się, czy to przyjechała policja, by sprawdzić, czy faktycznie jest tym, za kogo się podaje. Wtedy dopiero przyszło mu na myśl, że powinien był zapytać w domku o datę. Kto wiedział, ile czasu upłynęło od chwili, gdy przeniósł się w przeszłość?

- Pan Kilchurn? - zapytał ciemno odziany pasażer.

- Zgadza się - odpowiedział pogodnie Jake. - Nie chcę sprawiać panom kłopotu...

- Ależ skąd - rzekł mężczyzna, biorąc go za ramię. Bardzo mocno.

Jake popatrzył na niego z zaskoczeniem.

- Co...

Ledwo zorientował się, że poczuł ukłucie igły, gdy zapadła zupełna ciemność i Jake stracił przytomność.

Amanda biegła dokoła placu musztry, żałując, że choć trochę nie popadało, by dopełnić czary gorczy poranka. Tymczasem nad jej głową rozpościerał się czysty błękit nieba, który zwiastował piękny letni dzień.

Zakłęła, po prostu, dla zasady.

Wydawało jej się, że tylko tyle jest w stanie zrobić. Wybór innych zajęć był boleśnie ograniczony. Nie mogła wybrać się na przechadzkę brzegiem morza. Gdyby to zrobiła, na każdym kroku stawałby jej przed oczami duch Jacksona Kilchurna, jego błyszczące oczy i-beztroski uśmiech. Nie mogła pójść do kaplicy. Tutaj także jego duch siedziałby obok niej, zerkając ukradkiem spod brwi, podczas gdy powinien zadbać o swoje wieczne zbawienie.

Gdyby Amanda nie była tak zdesperowana, pragnąc przechytryć zdradzieckie serce, trzymałaby się z dala także od placu ćwiczeń. Z trudem mogła patrzeć, jak trenują Robin z Milesem i nie widzieć jednocześnie obok nich Jake'a. Odparowując ciosy, przerzucałby się żarcikami z jej najstarszym bratem, w którym równocześnie wzbudzałby podziw swoją zajadłością.

*** 284 ***

Mimo to Amanda mknęła w takim tempie, jakby od rytmu biegu zależała przytomność jej umysłu. Nagle Robin wstrzelił się w miejsce obok siostry. Podskoczyła, jak zawsze, i rzuciła mu gniewne spojrzenie. Niech go szlag, czy nigdy nie przestanie pojawiać się tak znienacka i bez ostrzeżenia? - Oszczędzaj oddech - poradził radosnym tonem. - Będziesz go potrzebowała na jeszcze jedno albo dwa okrążenia.

Uspokoiła oddech, lecz jednocześnie zaczęła zastanawiać się, co naprawdę przykrego mogłaby powiedzieć bratu. Niestety, obiegła już plac pięciokrotnie i właśnie dawała znać o sobie jej kiepska kondycja. Albo też była to wina niepokoju, że Jake nigdy nie wróci.

Trudno rozstrzygnąć.

Biegła z bratem w niekrępującej ciszy jeszcze przez dłuższą chwilę, nim zdobyła się na wyrzucenie z siebie słów, które rozpamiętywała od momentu, gdy Robin wrócił poprzedniego dnia bardzo późnym wieczorem. Wrócił do zamku zupełnie milczący, zabrał żonę i synka i bez słowa udał się prosto na spoczynek. Na pierwszy rzut oka Amanda zorientowała się, że jakieś poważne sprawy zaprzatają mu głowę i mądrzej będzie zostawić go w spokoju. Gryzła się więc pytaniami i przez całą noc dręczyła ją ciekawość, która w końcu z samego rana zaprowadziła dziewczynę na plac musztry. Powinna była wiedzieć, że Robin pojawi się raczej później niż wcześniej.

Amanda spojrzała nań z ukosa.

- A więc wyjechał. -Ano.

Czekała, lecz Robin wydawał się zadowolony, sunąc w podskokach, błogo i drażniąco fałszywie

*** 278 ***

nucąc pod nosem. W końcu klepnęła go w brzuch wierzchem dłoni.

- Mów, jakie są wieści, głupku.

- Nie myślałem, że cię to interesuje.

- Może nie powinienesz tyle myśleć.

Robin uśmiechnął się i zwolnił do marszu. Jednak nie patrzył na siostrę. Sprawiał wrażenie, że dalekie błękitne niebo jest niezwykle fascynujące.

- Ano, wyjechał - odezwał się w końcu.

- Ale przyprowadziłeś z powrotem dwa konie. Robin wzruszył ramionami, lecz nadal badał wzrokiem niebo.

- Udało mu się znaleźć inny sposób dotarcia do Londynu i nie potrzebował wierzchowca.

Amanda wzięła się pod boki.

- A więc? Jak to zrobił? Czy dołączył do innych podróżnych? Wyruszył pieszo? Wyrośli mu skrzydła i odleciał?

Święci pańscy, Robin potrafiłby doskonale trzymać język za zębami! Popatrzył na nią. -Ano.

-Ano, ano co, bezrozumny! - wykrzyknęła. - „Ano” to nie jest odpowiedź!

- Pozwolę mu powiedzieć, jak się tam dostał, kiedy wróci - rzekł Robin, wyciągając dłoń, by zmierzić siostrze włosy. - Najlepiej będzie, jeżeli skupisz się na ćwiczeniach, a potem zrobisz sobie wolne i zajmiesz się szyciem i innymi kobiecymi zajęciami. Nie możesz zaniedbywać swoich umiejętności, rozumiesz, o co mi chodzi.

- Jesteś irytujący - oznajmiła.

- Wiem - odrzekł uprzejmie. - Jesteś gotowa na kolejny bieg, czy mam kazać Christopherowi przynieść miecze?

* 286 *

- Miecze - odpowiedziała bez namysłu. - Sprawi mi ogromną przyjemność, jeśli będę mogła popsuć twój dobry nastrój. Może kiedy wytnę ci wielką, ziejącą dziurę w brzuchu.

- Na wszystkie świętości, Amando, jesteś dziś w paskudnym humorze - zaśmiał się Robin. - Sądzę, że w tak piękny poranek możesz dostarczyć mi niezłej rozrywki. Christopherze! Przynieś nam, chłopcze, narzędzia śmierci!

Amandę kusiło, by zadać ją bratu, ale wtedy nie byłby w stanie odpowiedzieć na pytania. Uznała, że jeśli wystarczająco długo będzie go dręczyć, udzieli jej lepszych wyjaśnień niż tylko: „ano”.

Ano?

Nic jej to nie mówiło.

- Wróci - powiedział nonszalancko Robin.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Ha, oczywiście, że tak, bezlitosna dziewczyno. Pragniesz, by wrócił, a potem kolejne lata będziesz go karać za to, że odszedł.

- Posiadanie go nie przyniesie mi pożytku - odpowiedziała ze znużeniem. - Nie ma tytułu.

- Kupi go.

- Ojcu to nie zaimponuje.

- Nie obawiaj się. Nie udzieliłem jeszcze Ja-ke'owi wszelkiej pomocy, jakiej mogłem.

Amanda spojrzała na brata i poczuła, jak ogarnia ją rzadkie w stosunku do niego poczucie wdzięczności.

- A zatem sprzyjasz mu? Naprawdę?

- Amando, spędziłem trzy tygodnie z tym człowiekiem na placu musztry, od świtu do zmierzchu. Na wszystkie świętości, czy marnowałbym swój cenny czas dla kogoś, kto nie cieszyłby się moimi względami?

* 280 *

- Zdarzało ci się robić bardziej niemądre rzeczy - zauważyła.

Robin sięgnął do najgłębszych pokładów cierpliwości; Amanda mogła obserwować ten proces. Zaciśnięła usta i przemówił po namyśle:

- Jeśli człowiek jest w stanie dać świadectwo charakteru w tak krótkim czasie, jeżeli ma tak niewiele do ukrycia na swój temat albo o kierujących nim pobudkach, wówczas łatwo mogę się przekonać, w co wierzy, i mogę za takiego człowieka ręczyć.

- Nicholas go nienawidzi - Amanda zawahała się.

Robin położył dłoń na ramieniu siostry.

- W przeciwieństwie do mnie, Nick jest bardzo zatroskany o twoje szczęście. Ja nie dbam o to, czy będziesz nieszczęśliwa.

- Jesteś nikczemnym prostakiem, Robinie de Piaget - rzuciła ostro, lecz tak naprawdę słowa brata wielce ukoili jej serce. Z pewnością nie nawykła do życia zgodnie z poglądami brata, ale świadomość, że nie jest przeciwny jej ukochanemu mężczyźnie, dodawała, jej w jakiś sposób otuchy.

- Jaką ty jesteś czułą dziewczyną - uśmiechnął się Robin. - Jake bez wątpienia marzy, by wysłuchiwać takich słodkich słów przez całe życie.

- I usłyszysz je - burknęła. Wzięła miecz od Christophera, potem znieruchomiła i popatrzyła na Robina.

- Powiedz, że nie poszedł z powrotem do Londynu.

Robin otworzył usta, lecz zaraz rozmyślił się i potrząsnął głową.

- Amando, to skryty człowiek. I nie powiem nic ponadto. Sądę, że w tym wypadku musisz mu po prostu zaufać.

*** 288 ***

- Niech mnie święci pańscy mają w opiece.
- O, zapewne, będziesz potrzebowała także ich pomocy. Ostatecznie ośmielę się stwierdzić, że do-wiesz się dużo więcej o Jacksonie Aleksandrze Kil-churnie niż ja - pokręcił głową. - Jake. Powinni-śmy znaleźć mu inne imię. Nie bardzo pasuje do współczesnej mowy.
- Ma szkockich przodków - zauważyła Amanda. - I sam wiesz, jakie dziwne rzeczy pochodzą z pół-nocy.
- Racja - przyznał Robin, biorąc swój miecz. Wycelował ostrze w siostrę w niegroźny sposób. - Zabierajmy się do pracy. Przypuszczam, że oboje potrzebujemy rozrywki.

* * *

Niestety, rozrywka na placu musztry nie trwała długo, gdyż w przeciwieństwie do Jake'a, Amanda nie miała ochoty zadrećcać się aż do zachodu słońca. Gdy wybiło południe, ogłosiła zawieszenie broni, wręczyła miecz Christopherowi i udała się do zamku na zasłużony odpoczynek. Porwała z wysokiego stołu w głównej sali kromkę chleba wraz z gąsiorkiem wina i ruszyła na górę, nie zważając na protesty i pytania bliźniaków i Milesa.

Dotarła do komnaty matki, by znaleźć tam bratową. Anne podniosła wzrok znad robótek i uśmiech-nęła się.

- Oto powraca zwycięski bohater - oznajmiła.
- Ha! - parsknęła Amanda. - Raczej wyczerpany bohater. - Padła na krzesło naprzeciwko Anne i odrzuciła głowę, zamykając oczy. - Mogłabym śmiało przespać dwa tygodnie.
- To dlaczego tego nie zrobisz?

* **282** *

Amanda otworzyła oczy.

- Ponieważ obawiam się, że jeśli będę spała, to on nie wróci.

Anne uśmiechnęła się.

- Wróci. Robin tak uważa.

- Czy cokolwiek ci opowiadał? Coś na temat ostatniej rozmowy z Jakiem?

- Nic poza tym. Dobrze wiesz, że Robin nie potrafi utrzymać długo tajemnicy, w każdym razie nie przede mną. Jednakże, gdy wrócił do domu, nie mówił nic więcej, a jego milczenie dzisiejszego ranka powiedziało mi, że nie zamierza mówić nic ponadto.

- Nie sądzę, by zmienił zdanie - mruknęła Amanda.

- I ja tak uważam, siostró - Anne urwała na chwilę. - Przykro mi, Amando. Myślę, że wszystko, co możesz zrobić, to wierzyć, że Jake cię kocha i że wróci.

- Chyba że po prostu spędzał ze mną czas - Amanda sposepniała.

Anne roześmiała się i z jakiegoś powodu było to piękne niczym słońce rozpraszające chmury.

- Amando, jak mógłby w ogóle znieść męczarnie zadawane przez Robina, humory bliźniaków i Nicholasa sztyletującego go bez przerwy wzrokiem, gdyby nie miał innego celu poza słodkim trwonieniem czasu z tobą u boku?

- Pewnie tak - odpowiedziała cicho Amanda.

- Poza tym widziałam, jak na ciebie patrzy - Anne uśmiechnęła się pokrzepiająco. - Nie tak trudno czytać z jego twarzy, podobnie jak z oblicza Robina, kiedy jeszcze nie byłam mu poślubiona.

- Robin jest nadal nie do zniesienia - burknęła złowrogo Amanda. - Przysięgam, Anne, nie mam pojęcia, jak ty z nim wytrzymujesz.

*** 290 ***

Bratowa rozpogodziła się.

- Wiesz, bardzo go przypominasz.

- Wcale nie!

- O, tak - potwierdziła Anne. - Głośno się odgrażać, by ukryć swoje prawdziwe, serdeczne uczucia. To dużo łatwiejsze, niż je okazywać.

- Łatwiejsze? - obruszyła się Amanda. - Powiedziałabym, że bardziej przerażające.

- To też - przyznała Anne. Zabrała się z powrotem do szycia z poczuciem największego zadowolenia.

Od czasu do czasu zerkała na Phillipa, który usnął na posłaniu z narzut na podłodze blisko stóp matki.

Amanda zazdrościła bratowej spokoju, lecz Anne z pewnością na niego zasłużyła. Zasługiwała na spokój każdego dnia od nowa z racji tego, że została poślubiona, biedaczka, Robinowi z Artane.

Amanda zastanawiała się, jak daje sobie z tym radę. Jak widać, miłość łagodzi ciernie.

Rozmyślała nad tym wszystkim przez resztę popołudnia, zadowolona, że może siedzieć przy Anne i patrzeć, jak szyje. Anne zaproponowała jej trochę robótek, lecz Amanda grzecznie odmówiła. Poza tym nikt by nie chciał, by zajmowała się szyciem. Jej umiejętności ograniczały się do strategicznego myślenia i wybiegów.

W rzeczy samej, lepiej, gdyby była mężczyzną.

Klepnęła dłońmi o kolana i wstała.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Anne zaśmiała się.

- Mówiłam ci: powinnaś przestać tyle myśleć.

- Powinam. Nigdy mi to nie służyło. Idę przejść się po blankach. Oby wiatr od morza przywiał trochę oświecenia do mojej biednej pustej głowy.

- Przyjdiesz na kolację?

* 284 *

Amanda potrząsnęła głową, idąc już do drzwi.

- Lepiej będzie, jeżeli nie przyjdę. Skubnę coś później w kuchni. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać ani cierpliwości, by udawać, że jestem radosna.

- Jak sobie życzysz.

Amanda wyszła z komnaty i poszła na dach zamku, starając się nie wspominać ostatniego razu, gdy tutaj stała. Było to wczoraj rano. Patrzyła, jak Robin i Jake przejeżdżają przez wioskę. Patrzyła tak długo, aż zniknęli w oddali.

A dokładniej mówiąc, mogłaby ich jeszcze dojrzeć, gdyby obrazu przed oczami nie zamazały jej łzy. Wybrała teraz inną część, tę, która wychodzi na morze, i przeklinała sama siebie za to, że pochlipuje jak idiotka. Był tylko mężczyzną. Znała wielu i nigdy nie spotkała żadnego, który byłby wart jej łez. Jake nie był wyjątkiem. Przypuszczalnie zacznie o niej zapominać gdzieś pomiędzy Artane a Yorkiem i nim dotrze do Londynu, wypełni ten przykry obowiązek.

A poza tym jest tylko kupcem. Handluje towarami, aby zarobić na chleb. Prawdopodobnie spędzał okropne miesiące na morzu bez porządnego kąta do spania i przymierając głodem, by móc utargować więcej szlachetnych kamieni, przywieźć je do Londynu i zrobić z nimi to, co robił.

Amanda westchnęła. Niech to diabli. Teraz nie będzie też mogła patrzeć na morze.

- Jak się miewasz?

Z zaskoczenia niemal spadła z murów, nie tyle słysząc niespodziewanie głos, ile widząc, kto się do niej odezwał. Otarła rękawem mokre od łez policzki i popatrzyła na brata.

* 285 *

- Dość dobrze. A ty?

Nicholas milczał chwilę, a potem skinął głową.

- Sądzę, że także dość dobrze.

Amanda stała obok niego w ciszy bardzo długo. Zdawało się, że nie miał ochoty na rozmowę, podobnie jak ona, lecz przypuszczała, że taki był męski zwyczaj. Wreszcie westchnęła i spojrzała na Nicholasa.

- Byłeś wyjątkowo nieprzyjemny od chwili, gdy wróciłeś.

- Mój dach nadal przecieka.

- Rozumiem. Amanda umilkła. On również.

A potem odezwał się.

- A zatem odjechał.

- Odjechał.

Nicholas zaczerpnął powietrza.

- Źle się zachowywałem, Amando. Wybacz mi. Potrząsnęła głową. Nie chciała z bratem mówić ani o tym, ani o niczym istotnym. Objęła więc Nicholasa w pasie, oparła głowę na jego ramieniu i westchnęła.

- Proszę, nie mów o tym. Nie mów o niczym, jeśli masz litość w sercu.

- Amando...

- Nicholasie, proszę - nakazała spokojnie. - Proszę.

On także westchnął i objął ją ramieniem.

- Jak sobie życzysz... - umilkł na parę chwil. - Jak sobie życzysz - powtórzył cicho.

Amanda myślała, że życie już nie może być gorsze. Nieskończony korowód nieodpowiednich żalotników. Mężczyzna, z którym przeżyła całe życie, a który nie był z nią spokrewniony, lecz mimo to

* 293 *

Jack ocknął się z uczuciem wirowania. Miał chęć donośnie jęknąć, lecz obawiał się, że to tylko pogorszy szaleńczy ruch. Leżał więc idealnie nieruchomo, skupiając się na rytmie oddechu, aż w głowie mu pojaśniało. Trwało to bardzo długo.

Najwidoczniej podróżowanie w czasie poważnie odbija się na organizmie.

Jack starał się ignorować wyjątkowo koszmarne samopoczucie. Z wysiłkiem przywołał z głębi prze-
rażliwie skołowanej głowy wspomnienia z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Pamiętał, że rozmawiał z Robinem. Pamiętał, że opowiedział mu o sobie, o tym, skąd i z jakiej epoki pochodzi, i gdzie zamierza spróbować wrócić. Przypominał sobie, że patrzył na trawę i zastanawiał się, co jest potrzebne, by wrócić do przyszłości. Pamiętał, jak odwrócił się i nie zobaczył już Robina.

Wspomnienie tego, co nastąpiło później, było trochę trudniej przywołać.

Przypominał sobie herbatę pitą na werandzie i ciemny samochód, który zatrzymał się przed domem-bliźniakiem. Pamiętał ukłucie igły. A potem nie pamiętał już nic.

*** 287 ***

Gdzie, do cholery, się znalazł?

- Obudził się?

Nastąpiła cisza i Jake poczuł, że ktoś się nad nim pochyla. W duchu dziękował za wszelkie najmniejsze wskazówki, lekcje szkoły przetrwania, których udzielał mu Thad, gdy byli zmuszeni przeczekiwać w hotelach złą pogodę. Teraz z łatwością potrafił utrzymać spokojny, głęboki oddech i skłonić serce, by było miarowo.

- Wciąż śpi, doktorze.

- Mimo wszystko daj mu kolejny zastrzyk.

- Ależ doktorze Andrews, to może być niebezpieczne!

- Nie sądzę, by nasz bogaty protektor dbał o to, siostró. Ma zostać pod wpływem środków uspokajających. Naszym obowiązkiem jest dopilnować, by tak było.

Jake w pierwszym odruchu chciał się zerwać i walczyć, lecz bezlitośnie stłumił instynkt. Ocknie się jeszcze raz i, o ile szczęście dopisze, będzie miał więcej czasu na określenie, gdzie się znalazł, nim przystąpi do działania.

Bogaty protektor, który nie przejąłby się faktem, że Jake umrze?

Poczuł ukłucie i bezbronny pograżył się w nieświadomości, zanim mógł rozstrzygnąć, czy była mowa o jego ojcu.

* * *

Obudził się ponownie, skołowany i zdezorientowany. Tym razem wspomnienia napłynęły z powrotem o wiele szybciej. Czekał całą wieczność, jak się zdawało, usilnie starając się pozostać nieruchomy i odprężony. Trwał tak do chwili, aż się

* 288 *

upewnił, że w pokoju nie ma nikogo poza nim i że nie jest podłączony do żadnych przyrządów.

Jednakże był przymocowany do czegoś innego.

Otworzył oczy. Przebywał w jakimś pomieszczeniu szpitalnym. Z łazienki sączyło się oślepiające światło z czegoś w rodzaju nocnej lampki. Zaskakujące było to, że został przywiązany do łóżka. Jake czuł się źle, lecz przynajmniej teraz trochę bardziej przejaśniało mu w głowie. Może zaczęli dawać mu mniej leków albo jego organizm zaczął szybciej się ich pozbywać.

Wzrok przywykł do półmroku. Jake przekonał się, że faktycznie znajduje się w przypominającym szpital pokoju i że rzeczywiście jest przywiązany do łóżka. Powód takiego stanu rzeczy był w tej chwili dlań niejasny, lecz podejrzewał, że wszystkiego dowie się w swoim czasie.

Zakładając, że najpierw nie nastąpi jego koniec.

Przyjrzał się więzom i odkrył, że są dużo luźniejsze, niż przypuszczał. Może jego nadzorcy ufali aplikowanym mu lekom bardziej, niż powinni. Może chcieli sprawić, by Jake spróbował ucieczki i zastrzelić go, posługując się wygodnym pretekstem.

A może naprawdę zasłużył, by znaleźć się w domu wariatów, gdyż nic z tego nie miało sensu i Jake zaczął się całkiem poważnie zastanawiać, czy przypadkiem nie postradał zmysłów.

Odłożył tę myśl na później. W tym momencie najrozsądniejszym pomysłem wydawała się ucieczka. Zaczął się wiercić, przesuwając łydki w dół, kręcić się, aż był w stanie przyciągnąć jedną z dłoni do zębów. Obawiał się, że będzie musiał odgryźć sobie rękę. Na szczęście wystarczyło parę mocnych szarpnięć, niewymagających, miał nadzieję, póź-

*** 297 ***

niejszych zabiegów dentystycznych. Sięgnął uwolnioną dłoń, by oswobodzić lewą rękę i zamarł. Usłyszał, że ktoś zatrzymał się pod drzwiami. Ułożył prawą rękę obok dawnego wiązania, a wtedy drzwi otworzyły się i ktoś podszedł do niego lekkim krokiem.

- Och - rozbrzmiał przestraszony kobiecy głos. - Zaczyna się rzucać. Lepiej dam mu kolejny zastrzyk, póki mogę...

Jake porwał strzykawkę i wbił ją w udo kobiety, nim w ogóle zdołała wydać jakiś dźwięk. Osunęła się na niego bez jednego piśnięcia. To już dawało do myślenia, lecz zostawił sprawę na później, gdy stać go będzie na luksus określenia siły działania zaaplikowanych środków. Usiadł i odwiązał sobie drugą rękę. Zerwał kroplówkę, a potem przesunął się na tyle, aby wydostać się spod siostry Hatchett.

Oswobodził stopy i dopiero wtedy zorientował się, że jest nagi. Cóż, temu trzeba było zaradzić od razu.

Wstał z łóżka, ale natychmiast musiał przystanąć. Ścisnął głowę dłońmi, gdyż pokój gwałtownie zawirował mu przed oczami. Czuł się tak, jakby od wielu dni nie jadł.

I prawdopodobnie nie jadł od wielu dni.

Odczekał, aż huczenie pod czaszką trochę zelżeje, a następnie rozejrzał się, by ocenić swoje położenie. Średniowieczny ubiór leżał złożony na stoliku, łącznie z mieczem. To przynajmniej był plus. Jake wrócił do łóżka, przymocował do niego pielęgniarkę, a potem zabrał ubranie. Włożył wszystko na siebie, przypasał miecz i zatrzymał się. Dobrze by było zasięgnąć informacji, gdzie jest i co mu dano.

Odnalazł swoją kartę pacjenta, na której wypisano szereg leków, zupełnie mu nieznanych.

*** 298 ***

Lecz nie to powaliło go na łopatki. Przeczytał, że nie miał kontaktu z rzeczywistością blisko miesiąc. Miesiąc?!

Nic dziwnego, że czuł się koszmarnie.

Odwiesił kartę i spróbował się zastanowić na tyle, na ile pozwalał mu skrajnie skołatany mózg. Mógł mieć tylko nadzieję, że czas w przeszłości płynął tym samym tempem. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, byłoby skoczyć z powrotem do wieków średnich i przekonać się, że Amanda jest już babcią. Potarł mocno twarz dłońmi i pozbierał resztki przytomności. Ucieczka była sprawą nadrzędną. O resztę będzie się martwił później, gdy już wydostanie się z tego miejsca. Wziął strzykawkę. Wciąż znajdowało się w niej trochę płynu, który z pewnością do czegoś mu się jeszcze przyda. Jake uchylił drzwi. Olśniło go, że powinien był włożyć strój pielęgniarstwa, ale zaraz równie jasno zdał sobie sprawę, że oczywiście nie myśli normalnie, ponieważ ten uniform z pewnością nie pasowałby na niego. Nigdy nie ćpał i to było widać.

Wymknął się na korytarz, rozejrzał się i puścił biegiem.

Jakaś siostra próbowała go zatrzymać. Krótkim ciosem zafundował jej odpoczynek.

Potężny mężczyzna z drewnianą pałką, w rodzaju wykidajły, także chciał go pochwycić. Jake, przepaszając, pogrążył go w chwilowej nieświadomości.

W korytarzu pojawił się lekarz w białym kitlu, dzierżąc jakąś strzykawkę. Jake udał, że zmarł z przerażenia, pozwalając nawet, by igła znalazła się w zasięgu ręki. Zrobił unik w prawo, porwał za-

*** 291 ***

strzyk i błyskawicznie zaaplikował lekarzowi. Wyglądało na to, że mężczyzna był gotów zrobić wszystko, by nie dopuścić do ukłucia.

Jake wskoczył do gabinetu miłego doktora, zamknął za sobą drzwi i skorzystał z okna, po drodze kradnąc kluczyki.

Ludzie naprawdę nie powinni zostawiać byle gdzie swoich kluczyków do samochodu. Taki zwyczaj może mieć przykre konsekwencje.

Jake już otwierał auto, które piknęło w odzewie na kluczyki, gdy uświadomił sobie, że nie pozostaje w pełni władz umysłowych. Mundurowi nie będą go ścigać, by zatrzymać bez powodu, ale z pewnością mogliby go przymknąć za oczywistą kradzież samochodu.

Zatrzasnął drzwiczki i zniknął w ciemnościach nocy z kluczykami. Liczył na to, że zyska na czasie, zanim dosięgną go fakty - ludzie lub szkodliwe działanie środków odurzających. Kluczyki zachowa na trochę, potem pozbędzie się ich i zmieni kierunek. Albo może zakopie na tyle głęboko, aby człowiekowi, który tak nonszalancko mówił o jego zgonie, przysporzyć bólu głowy z niepokoju, czy ktoś tych kluczyków nie znajdzie i nie zrobi z nich użytku.

Przynajmniej tyle Jake mógł zrobić.

Szedł przed siebie, aż zaczęło dnieć. Był już niemal w rozsypce ze znużenia i z powodu działania leków. Znalazł sobie w miarę przyjazny cierniowy zagajnik w odległym zakątku farmerskiego pola i ułożył się pod krzewami.

Miał nadzieję, że obudzą go kłujące kolce, nie igły

*** 300 ***

* * *

Zbudziło go słońce. Leżał chwilę kompletnie nieruchomo, starając się zorientować, czy to naprawdę jest światło słoneczne czy też mocna lampa, która ma zadawać mu torturę.

Nie, to było z pewnością słońce, a poza tym twardy korzeń wbijał mu się w plecy. Jake zmienił odrobinę pozycję, lecz nie wychylił się ze swojej kryjówki. Światło oznaczało dzień, a to oznaczało ewentualne rozwiązanie zagadki.

Zaczął przejmować w najdrobniejszych szczegółach umysłowość Thada - uczestnika akcji specjalnych.

Pozwolił ciału w pełni i spokojnie się obudzić, nim wymacał w swoim otoczeniu rośliny, co do których miał niemalże pewność, że go nie zabiją, jeśli je zje. Siedział dokładnie w tym samym miejscu, gdzie się ocknął, i przeczekiwał dzień. Bardzo by mu pomogła świadomość, gdzie jest, ale bał się zaryzykować i wybadać sytuację. Z pewnością przetrzymywano go bezprawnie, chyba że ktoś uznał go za niepoczytalnego. Ale kto mógł coś takiego zrobić? Nikt nie wiedział, gdzie przebywał, dopóki nie skontaktował się z biurem.

Panna Cleary doznała załamania nerwowego i przebywa w szpitalu. Jesteśmy firmą sekretarską, którą zaangażowała, nim opuściła biuro.

Jake przeanalizował tę rozmowę i znalazł dwie nieprawidłowości. Po pierwsze, Penelope była niczym czołg, mercedes 850 bez wgnieceń i z ramą mogącą wytrzymać uderzenie tira. Nigdy by sobie nie pozwoliła na załamanie nerwowe. A po drugie, ten pomysł z kimś, kto miałby przejąć jej stanowisko. To było po prostu niemożliwe.

* 293 *

A zatem, kto ją zamknął?

Jake spędził poranek na przeglądaniu w pamięci listy podejrzanych osób. Badał pod każdym względem mężczyzn i kobiety, z którymi miał do czynienia. Ostatecznie ustalił, że niemożliwe, by którekolwiek z nich uknuło taki plan.

Zaczął się więc zastanawiać nad dostawcami, jubilerami, ludźmi, z którymi targował się w różnych krajach. Kilku z nich mogło życzyć sobie jego śmierci, ale oni zabiliby go natychmiast, a nie trzymali pod kluczem. Należało także wziąć pod uwagę Cyganów, tych od akwamarynu, którego nie wolno było ciąć, lecz Jake podejrzewał, że wystarczyłoby im rzucenie krótkiej i zwięzłej klątwy.

Umieszczenie kogokolwiek w zakładzie zamkniętym nie było w ich stylu.

Nastało późne popołudnie, nim Jake dotarł do punktu, którego unikał cały dzień.

Ojciec.

To możliwe, ale dlaczego? Dlatego że Jake zapomniał dostarczyć dokumenty do Artane? Gideon z pewnością zadzwonił do Jacksona III, gdy Jake się nie zjawił. I bardzo możliwe, że taki telefon mógł wprawić maszynę zdarzeń w ruch. Ale dlaczego? Jaki powód mógł mieć ojciec, by pozbywać się asystenta i zamykać go w wariatkowie?

Jake'owi przychodziły na myśl tylko pieniądze, aczkolwiek wydawały się zbyt przyziemnym powodem, nawet jak na jego mało oryginalnego ojca.

Gdy zapadł zmrok, Jake wyruszył w dalszą drogę. Unikał cywilizowanych okolic, prędko przechodził przez drogi i na próżno szukał znajomych punktów orientacyjnych. Biegł dopóty, dopóki miał siły, a potem szedł, dość spiesznie.

Upłynęła noc.

*** 294 ***

Zdawało mu się, że usłyszał w oddali psy, lecz zrzucił to na karb głodu i pozostałości po nokautujących lekach.

Przestał słyszeć szczekanie psów, a zaczął słyszeć konie albo też mogły to być średniowieczne zbiry lub może, po prostu, stado ptaków.

Z nastaniem świtu ponownie zaczął się zastanawiać, czy na pewno nie postradał rozumu.

O mało co się nie poddał.

I wtedy zobaczył go w oddali, wynurzający się z otaczającego krajobrazu niczym nagrobny kamień. Zamek Seakirk.

Rzucił się pędem. Potykał się. Nie umiał powiedzieć, ile razy upadał czy też ile razy podnosił się na nogi. Wiedział tylko, że w murach tego zamku będzie bezpieczny. Jeśli nic innego się nie wydarzy, to Worthington wpuści go do środka i Jake natychmiast pójdzie do gabinetu Seakirk, by odbyć krótką, ostrą rozmowę z paroma duchami.

Dopadł bramy. Nie uniósł nawet dłoni, by zakolać, gdy skrzydła otworzyły się do wewnątrz. Zatoczył się do środka, a brama zamknęła się za nim, jakby sterowały nią niewidzialne ręce. Jake przypuszczał, że tak właśnie było.

Przemierzył dziedziniec chwiejnym krokiem i słaniając się, wszedł po schodach. Było straszliwie wcześnie, ale Jake nie dbał o to. Z całej siły dobijał się do drzwi. Musiał zniknąć z otwartej przestrzeni. Znów usłyszał psy i tym razem miał uczucie, że odgłosy były całkiem rzeczywiste. Ponownie uderzył w drzwi. Otworzyły się tak nagle, że przewrócił się na progu i rozciągnął na podłodze.

Leżał przez chwilę oszołomiony i przepełniony wdzięcznością. I zapewne leżałby w tym miejscu

*** 303 ***

przez resztę dnia, z twarzą przy zimnej kamiennej podłodze, gdyby nie głos, który przywrócił mu przytomność.

- W czym mogę pomóc?

To nie był Worthington. Jake zastanowił się nad akcentem i zdał sobie sprawę, że brzmi jak angielski z czymś w rodzaju nosowego tonu dialektu normandzkiego. Zaczerpnął głęboko powietrza, a następnie z heroicznym wysiłkiem wstał na nogi. Spojrzał na swojego wybawcę. Pierwsze wrażenia były związane z wysokim wzrostem, szerokimi ramionami i ciemnymi włosami. Po bliższym przyjrzeniu się Jake odkrył, że mężczyzna ma zielone oczy, bardzo przypominające jego własne.

Lecz jeśli chodzi o resztę, to nieznajomy tak bardzo przypominał Robina z Artane, że Jake mimowolnie wstrzymał oddech.

Mężczyzna zamknął drzwi i popatrzył na gościa z uprzejmym uśmiechem.

- Jakież kłopoty, prawda?

Jake wyciągnął brudną i krwawiącą dłoń.

- Nazywam się Kilchurn. Potrzebuję azylu. Nieznajomy uściskał mu rękę i znów się uśmiechnął.

- Kendrick, lord Seakirk. Znajdzie pan tutaj schronienie.

Jake roześmiałby się, gdyby ostatnie dni nie były tak ciężkie. Zabrał dłoń i rozpaczliwie poszukał kieszeni.

- Dziękuję - wydusił z siebie. - Jestem ścigany.

- Dlaczego? - spytał Kendrick.

- Choćby mnie pan zabił, nie mam pojęcia - rzekł po chwili wahania Jake. - Pewnie nie poprawi to panu samopoczucia, ale właśnie uciekłem ze szpitala wariatów.

* 296 *

Kendrick spojrział na miecz.

- Złudzenia średniowiecznej potęgi?

- Coś w tym rodzaju.

Kendrick założył ręce na piersi w geście, który Robin wykonywał setki razy. Jake nigdy nie uważał się za zbyt sentymentalnego, lecz teraz prawie się rozpłakał. To mogło być kuszące, po czterech tygodniach pozostawania pod wpływem otumaniających leków, uwierzyć, że cała ta podróż w przeszłość była tylko dziwną fantazją. Jednak gdy tak stał z ręką zaciśniętą na zimnej stali miecza, patrząc w oczy człowieka, który tak bardzo przypominał Robina de Piageta, że Jake ledwo mógł to znieść, wiedział, że nie stracił nad sobą kontroli.

- Mam do pana jedno lub dwa pytania.

- Ma pan tupet - odpowiedział lord Seakirk z zuchwałym uśmiechem. - Czy to nie ja powinienem być tą osobą, która zadaje pytania?

- A gdybyśmy pytali się na zmianę? Pan pierwszy.

- Doskonale - zgodził się Kendrick. - Jak brzmi pana pełne nazwisko?

- Jackson Aleksander Kilchurn IV - rzekł Jake. - Proszę zwracać się do mnie Jake. Jestem właścicielem Kilchurn...

- Spółki z o.o. - dokończył Kendrick. - Wiem. Kupiłem od pana jeden lub dwa klejnoty dla mojej żony. Bardzo piękne egzemplarze.

Wyciągnął rękę i położył na ramieniu Jake'a.

- Wygląda pan, jakby miał zaraz upaść. Czy nie wolałby pan wygodnie usiąść i coś przekąsić? Zakładam, że pana prześladowcy są wciąż na zewnątrz?

- Bardzo możliwe.

- Zajmę się nimi. Worthington! - krzyknął Kendrick. - Mamy gościa na śniadaniu!

* 305 *

Jake przyglądał się kamerdynerowi, gdy zmierzał w ich kierunku, wyglądając nie mniej nieskazitelnie niż ostatnim razem. Zbliżył się i skłonił głowę.

- Pan Kilchurn.

- Worthingtonie.

Kendrick popatrzył na każdego z nich podnosząc brew.

- Panowie się znają?

-Piękny jaguar pana Kilchurna zepsuł się pod naszą bramą, gdy pan wraz z panią i dziećmi przebywaliście poza domem. Udzieliłem gościowi schronienia - Worthington łagodnie spojrzął na Kendricka. - Mówiłem o tym, proszę pana.

- Wyleciało mi z głowy - rzekł beztróska Kendrick. - Choć cokolwiek, co ma związek z jaguarem rocznik 1967 raczej nie powinno. Wie pan

- ciągnął, zwracając się do Jake'a - kilka tygodni temu nie tak daleko stąd, w szczerym polu spłonął model tego samochodu z 1967 roku. Jednak w środku nie było kierowcy - urwał na chwilę.

- Bardzo dziwne.

Jake słuchał słów Kendricka i pomyślał, że chyba dzieje się tutaj więcej dziwnych rzeczy. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale o ile nie miało miejsca jakieś bardzo osobliwe pokoleniowe zawirowanie, Jake dałby sobie uciąć rękę, że Kendrick jest spokrewniony z Robinem.

- Wygląda pan jak ktoś mi znajomy - odezwał się nagle Jake.

- Któż taki?

Jake nabrał głęboko powietrza.

- Robin de Piaget.

Kendrick nawet nie mrugnął. Jake przez sekundę zastanawiał się, czy przypadkiem nie słyszy dzwonów, ale w całkiem niewłaściwym kościele,

* 298 *

lecz ostatecznie uznał, że się nie myli. Podobieństwo było zbyt uderzające.

- Doprawdy? - zapytał Kendrick.

- Na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu, tak, bardzo go pan przypomina - potwierdził Jake. - Zna go pan?

Kendrick uśmiechnął się i skinął głową w kierunku stołu.

- Proszę się posilić, przyjacielu, a potem porozmawiamy. Sądzę, że muszę się trochę rozejrzeć na zewnątrz i sprawdzić, kto tam dobija się do moich bram.

- Czy przyda się panu pomoc? - spytał Jake.

- Mam służących - Kendrick znów się uśmiechnął.

- Oczywiście - sarknął Jake. - Spotkałem ich, gdy byłem tutaj ostatnim razem. Wpędzili mnie w jeszcze większe kłopoty...

- Bez wątplenia. Wkrótce do was dołączę. Worthington, proszę zadbać o wszelkie wygody dla pana.

- Naturalnie, proszę pana. Panie Kilchurn, proszę pozwolić, że zajmę się bagażem. Ach, nie ma pan bagażu. Zatem zapraszam na śniadanie.

- Śniadanie to pierwszorzędny pomysł - Jake ruszył za kamerdynerem, zaraz jednak zatrzymał się i spojrzał na Kendricka. - Wie pan, przez bity miesiąc faszerowano mnie lekami. Mogłem mieć halucynacje, że ktoś mnie śledzi - umilkł na chwilę. - Mogę mieć halucynacje, widząc pana.

Kendrick klepnął go w ramię.

- Jestem najzupełniej prawdziwy, tak samo ten stół po drugiej stronie sali.

Jake skinął głową, a potem przemierzył znużonym krokiem wielkie pomieszczenie. Był zbyt zmę-

*** 307 ***

czony, by spierać się z Kendrickiem o udział w bitwie. Usiadł przy stole, położył głowę na blacie i miał wrażenie, że słyszał siebie, jak chrapnął z raz czy dwa. Zorientował się, że zasnął tylko dlatego, że Worthington dyskretnie dotknął jego ramienia.

- Może coś do jedzenia, proszę pana?

Jake wyprostował się na krześle, przetarł oczy, potem kiwnął głową.

- Jedzenie - wychrypiał. - A potem może drzemka w wystarczająco długim łóżku.

- Wrócę, by zaprowadzić pana na górę - obiecał Worthington i znów poszedł do kuchni.

- Kusi mnie, by udać się na górę samemu - mruknął do siebie Jake. - Ale może powinienem jednak grzecznie poczekać, aż ktoś przyjdzie mnie zabrać.

- Ja myślę - mruknął jakiś głos za jego plecami. Jake'a niewiele już mogło zdziwić. Obejrzał się przez ramię i zobaczył jednego z duchów z gabinetu. Usiłował skojarzyć z twarzą imię. Uśmiechnął się przelotnie.

- Sir Stephen - przypomniał sobie i pochylił głowę.

- W rzeczy samej - zgodził się duch - i najbardziej lojalny sługa jego lordowskiej mości, za pozwoleniem.

- Pozwalam - przystał Jake. - Nie dam rady dojść do łóżka i obiecuję, że nie zwędzę żadnego bibelotu jego lordowskiej mości.

- Hm - rzekł sir Stephen, wyglądając na nie-przekonanego. - Nie jestem ciebie wcale taki pewien.

- Może cię to pocieszy, ale i ja nie jestem siebie pewien.

* 300 *

Genevieve de Piaget szła korytarzem z niemowlęciem w ramionach, szukając niesfornego trzylatka, który wymknął się, gdy nie mogła za nim pobiec. Młody Christopher był niemal tak szybki jak jego starsi bracia, a to już coś znaczyło, biorąc pod uwagę, o ile miał krótsze nogi. Genevieve wyteżęła wzrok i nikogo nie mogła przed sobą dostrzec, więc tym bardziej przyspieszyła kroku. Kto wie, co ten maluch mógł napsocić?

Zwolniła, gdy zobaczyła odzianego w zbroję rycerza stojącego naprzeciwko wejścia do pokoju dla gości.

- Sir Stephenie?

- Nie troskaj się, moja pani - zapewnił sir Stephen. - Panuję tutaj nad wszystkim. Mamy w tej komnacie włóczęgę odsypiającego coś, o czym tylko święci raczą wiedzieć. Mój pan nie widzi powodów do zmartwienia, ale ja spotkałem już tego człowieka - rzekł, posyłając jej porozumiewawcze spojrzenie. - Oznacza tarapaty.

- Naturalnie nie przysporzy ci to żadnych kłopotów - powiedziała uprzejmie Genevieve.

- Naturalnie, moja pani - zapewnił ją sir Stephen. - A jeśli będzie trzeba, mój garnizon tylko czeka, by ruszyć z odsieczą.

Wykonał ruch głową w stronę niemowlęcia.

*** 310 ***

- Jak się miewa maleńka?

- Świetnie - odrzekła z uśmiechem Genevieve.

- Chociaż uważam, że wrzeszczy głośniej, niż kiedykolwiek zdarzyło się któremukolwiek z jej braci.

- Na pewno nie nasza panienka Adelaide Anne

- sir Stephen stanowczo potrząsnął głową. - Jest po prostu ideałem i wyzwę na pojedynek każdego, kto będzie twierdził inaczej.

- Zatem miejmy nadzieję, że wszyscy myślą podobnie. W przeciwnym razie nie zniósłabym ich widoku po spotkaniu z tobą.

Sir Stephen wypiął dumnie pierś i przybrał odpowiednio zawzięty wyraz twarzy. Genevieve uśmiechnęła się do siebie, życząc mu spokojnego ranka, i ruszyła dalej. Prawdopodobnie powinna była zapytać Stephena, czy nie widział Christophera, lecz patrząc na to z drugiej strony - przecież jej dzieciom nic nie mogło się tutaj stać.

Tak wyglądały zalety życia w nawiedzonym zamku. Mało rzeczy uchodziło uwagi.

Prawdę mówiąc, takie życie miało niewiele wad. Mogła z mężem cieszyć się prywatnością, wystarczyło, by Kendrick dopomniął się o to krzykiem. Genevieve wiedziała, że jej małżonka trafił fakt, iż zajmowali zaledwie siódme miejsce na liście miejsc w Anglii, gdzie najbardziej straszy. Sądziła jednak, że tylko dlatego, że Kendrick nigdy nie wpuścił za bramy nikogo, kto sporządzał podobne listy. Gdyby zespół odpowiedzialny za sprawy paranormalne mógł dobrze przyjrzeć się większości mieszkańców Seakirk, zamek z dnia na dzień wskoczyłby na pierwsze miejsce.

Ruszyła dalej korytarzem i zeszła do głównej sali. Znalazła tutaj Worthingtona, który polerował i tak już lśniące naczynia.

*** 302 ***

- Worthingtonie, czy nie widziałeś Christophera?
- Jest na placu musztry, pani, z resztą gromadki. Genevieve roześmiała się.
- Przypuszczam, że jest bezpieczny.
- Istotnie, jego lordowska mość dobrze pilnuje chłopca - uśmiechnął się Worthington. - Jak się czuje malutka?
- Śpi. Ale to nie potrwa długo.
- Nigdy nie trwa długo, moja pani - przyznał kamerdyner z anielsko cierpliwym westchnieniem. Genevieve tylko się uśmiechnęła, wyszła z don-żonu i przeszła przez dziedziniec. Taką samą drogę przebyła osiem lat temu, tylko że wtedy była w Seakirk kimś w rodzaju intruza, a Kendrick... no cóż, był czymś mniej, niż jest dziś.
Jednak plac ćwiczeń zupełnie się nie różnił. Rosły tutaj kwiaty i drzewa, tak jak teraz, był też połać gołej ziemi, gdzie męscy mężczyźni oddawali się swoim męskim powinnościom. Dziś wyglądało na to, że owe powinności polegały na nauce, jak należy dzierżyć miecz i wymierzać ciosy, imitując prawdziwe starcie.
Nawet mały Christopher trzymał miecz i wymachiwał nim tak, jakby sądził, że mógłby wyrządzić komuś krzywdę.
Genevieve zadygotała, idąc przez plac w stronę ławki, którą ustawiono pod murem. Wciąż było lato, ale w powietrzu czuło się już cień jesieni. Genevieve usiadła i przyglądała się, jak jej mąż, kapitan gwardii, chłopcy i kilku innych wybrańców pogłębia wiedzę w zakresie średniowiecznych umiejętności. Opatuliła Adelaide ciaśniej kocykiem i przytuliła do siebie. Cieszyła się z ciepła i bezpieczeństwa życia w takich czasach, kiedy jej małżonek nie musi codziennie ruszać z mieczem do boju.

* 312 *

Kilka minut później mąż podszedł do niej z mieczem objającym się o nogę. Wytarł skrajem koszuli czoło, a potem usiadł obok z uśmiechem.

- Jak się masz, kochanie?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedziała. Jego obecność tak blisko wywoływała taki sam dreszcz emocji jak osiem lat temu. - A ty?

- Ćwiczę razem z moimi synami. Jak mógłbym być niezadowolony?

Genevieve roześmiała się.

- Mogę tylko powiedzieć, że dobrze, iż nie mamy sześciu córek.

- Uważasz, że moja mała Addy nie będzie mieć własnego miecza jak inni? - zapytał Kendrick, a w jego przyćmionych, zielonych oczach zapaliły się iskierki.

- Po moim trupie!

Teraz Kendrick się roześmiał.

- Umiejętność władania mieczem nigdy nie zawadzi. Sama znasz się trochę na szermierce. Dlaczego ona miałaby nie umieć sobie radzić?

- Później - uznała Genevieve. - Później, kiedy wyrośnie z pieluch - uśmiechnęła się. - A więc, ktoś śpi w naszym pokoju gościnnym?

- Ktoś o nazwisku Kilchurn.

- Kendrick - rzekła ostrzegawczym tonem - nie przyjmujesz znowu obcych, prawda?

- *Moi*!* - zaprotestował, przykładając rękę do serca. - Wpuszczać nieszczęsnych obcych do mojego zamku, gdzie w nocy mogą ich przestraszyć niespokojne duchy?

- Kendrick...

ja? - fr. (przyp. tłum.).

*** 304 ***

- No, dobrze, pozwól, że opowiem ci trochę o naszym gościu - oznajmił poważniej. - Myślę, że to jego czarny jaguar wypadł z drogi jakiś czas temu tego lata. Najwidoczniej wyrzuciło go z auta.

- Gdzie wylądował?

- W średniowiecznej Anglii. Genevieve zamrugła.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi, że wielce przypominam Robina de Piaget.

- To by pasowało - przyznała, śmiejąc się cicho. - Co mu odpowiedziałeś?

- Powiedziałem, żeby odpoczął i że porozmawiamy później.

Genevieve uśmiechnęła się.

- Kendrick, a skąd wiesz, czy w ogóle cię skądś nie zna?

- Bo właśnie to dawał do zrozumienia. Powiedział, że wyglądam jak ojciec. Przypuszczam, że musiał go poznać, a w związku z tym znalazł się w chlubnych początkach trzynastego wieku. Zanim ja się pojawiłem - dodał skromnie.

- Tak, troszkę wcześniej - zgodziła się Genevieve.

- Przypuszczam, że będzie miał do mnie parę pytań - dumiał Kendrick.

- Też tak sędzę - przyznała. Ona tak samo chciała zadać kilka pytań Kendrickowi, gdy pierwszy raz się spotkali. Wyciągnęła dłoń i wzięła męża za rękę. - Bądź dla niego miły.

- A dlaczegoż miałbym nie być? Genevieve zacisnęła usta.

- Ponieważ masz paskudne poczucie humoru. Kendrick podniósł dłoń żony i ucałował ją szarmancko.

* 305 *

- Wydaje mi się, że dałaś sobie radę z tym, przez co musiałaś przejść z mojego powodu, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy.
 - Od tamtej pory mi to wynagradzasz - oparła się wygodniej i popatrzyła na męża. - Czyżby upłynęło już osiem lat?
 - Osiem cudownych lat - potwierdził Kendrick, a gdy się uśmiechnął, w jego policzkach pojawiły się dołeczki. - Dodaj do tego te wszystkie lata, gdy czekałem, aż się spotkamy, a wyrównam rachunek względem twojej kochanej osoby, nieprawdaż?
 - Wyrównasz. Czy zamierzasz opowiedzieć temu panu Kilchurnowi całą historię?
 - Nie mam powodów, by postąpić inaczej - uśmiechnął się. - Wiesz, ja nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w podróże w czasie.
- Genevieve parsknęła śmiechem tak głośno, że dziecko zaczęło marudzić. Zasłoniła dłonią usta, a następnie spojrzała na męża z niedowierzaniem.
- Mieszkasz w zamku gęsto zaludnionym przez duchy. Sam doświadczyłeś bycia duchem. Wszystko wydaje ci się normalne, a podróż w czasie nie wchodzi w rachubę?
 - Czujemy się swobodnie z tym, z czym jesteśmy obeznani - Kendrick wzruszył ramionami, a oczy mu zabłyśły. Nachylił się i pocałował delikatnie Genevieve. - Wołają mnie z powrotem w ogień walki. Jeśli ci zimno, schowaj się do środka, kochanie. Będę miał na chłopców oko.
 - A nawet jeśli nie ty, to tuzin innych strażników dzieci - mruknęła.
 - Ależ to są moi synowie - uśmiechnął się Kendrick - poświęcam im szczególną uwagę. Będą całkowicie bezpieczni.

*** 315 ***

- Wiem - odparła Genevieve. - Nie martwię się, naprawdę. To był tylko pretekst, by przyjść popatrzeć na ciebie.

Kendrick wstał, pokłonił się nisko żonie i wrócił na plac musztry swoim najbardziej zawadiackim krokiem. Genevieve zaśmiała się i jeszcze mocniej przytuliła do piersi dziewczynkę.

Miecz w dłoniach tego maleństwa?

Po jej trupie, niedoczekanie!

Jednak musiała przyznać, że nie wyglądało na to, by chłopcy byli niezadowoleni z ćwiczeń.

Uwielbiali spędzać czas z ojcem, czy to na placu musztry, czy też w gabinecie, przesiadując nad książkami albo szachownicą. Genevieve uznała, że mogliby oddawać się gorszym zajęciom, niż uczyć się na świeżym powietrzu, jak siał zniszczenie długim ostrzem.

Znów przebiegł ją dreszcz. Lato zdecydowanie odeszło, nim naprawdę to dostrzegła. Czas mijał.

Może nadeszła pora, aby poprosić Worthingto-na o zajęcie się kominkiem w gabinecie Kendricka, gdzie mogłaby udać się i nakarmić w spokoju córeczkę.

A poza tym, w ten sposób będzie miała szansę zająć dobre miejsce, by obserwować rozmowę między panem Kilchurnem i Kendrickiem. Spodziewała się, że będzie to bardzo interesujące spotkanie.

Jake zasiadł w bardzo wygodnym fotelu w gabinecie Kendricka z Seakirk i delektował się ciepłem ogniska zaledwie kilka stóp od miejsca, gdzie po raz pierwszy spotkał się z duchami. W zamku było tak zimno, jak powinno być, co nie dziwiło, i Jake odczuwał taką samą wdzięczność za płonący kominek jak osiemset lat temu. Oczywiście ciepło ognia pomagało pozbyć się dreszczy, które nieustannie przebiegały mu po plecach, po części na widok Kendricka, a po części z powodu jego niesamowitej opowieści.

- Proszę pozwolić, że ujmę to wprost - rzekł Jake już po raz trzeci tego wieczoru. - Zostałeś zamordowany u stóp schodów...

- Nie, zamordowano mnie w piwnicy - uściślił niewzruszenie Kendrick. - Nie w głównej sali zamku.

- I ile lat pozostawałeś duchem?

- Kilka.

- Kendricku - skarciła męża Genevieve. - Opowiedz wszystko ze szczegółami.

Siedziała obok z córeczką śpiącą w ramionach i sprawiała wrażenie zupełnie nieskrępowanej tą rozmową.

* 308 *

Z drugiej strony, była żoną tego człowieka od jakiegoś czasu. Może już nie mogło jej zdziwić żadne jego słowo.

- Już przekazałem wszelkie szczegóły - zaprotestował Kendrick. - Większość mojej opowieści przespał. Jeżeli naprawdę chce znów poznać detale, może zejść na dół i przeczytać moją historię w książce, którą kazałaś mi napisać. Może potrzebować kilku kolejnych dni snu, nim się tego podejmie - spojrzał na Jake'a. - Powiem jedynie, że Robin rzeczywiście był moim ojcem, jak się domyśliłeś.

Dzięki wydarzeniom w roku 1260 byłem w tamtych czasach duchem, lecz obecnie nie jestem

- uśmiechnął się do Jake'a lekko. - Szczegóły mojego... przeistoczenia się nie mają teraz znaczenia.

- To ty tak uważasz - mruknął Jake. Kendrick wzruszył ramionami.

- Taka jest prawda. Jaki związek ma moja przeszłość z twoją przyszłością?

No właśnie, pomyślał Jake. Tylko tyle, że Kendrick mógł jednym skinieniem głowy zapewnić Jake[^], że uda mu się powrócić w przeszłość, zdobyć tytuł i szczęśliwie przeżyć swoje życie u boku ciotki Kendricka. Czuł przemożną chęć, by zapytać: czy zostanie twoim ulubionym wujem, czy też jest - musiał wziąć głęboki oddech, by uniknąć niepochlebnego określenia - ktoś inny, kto dostąpił tej przyjemności?

Jednak nawet gdyby poznał prawdę, czy zmieniłoby to jego zamiary?

Kendrick przez chwilę przyglądał się gościowi w milczeniu, ale Jake nie pozwolił sobie na zastanowienie, dlaczego tak patrzy. Nie spytałby Kendricka, czy go rozpoznaje. Mimo wszystko zamek tego człowieka był pełen duchów. Może to spoj-

* 318 *

rzenie mówiące: ojej, wpadłeś do mojego zamku w średniowiecznym stroju, tak naprawdę znaczyło: moje duchy ubierają się lepiej od ciebie, a nie: wujku Jake, jak miło cię widzieć.

- Cóż - odezwał się Jake, zakładając ręce za głowę i zachwycając się, o ileż łatwiej wykonać ten ruch w pożyczonej bluzie niż w pożyczonej kolczudze. - Muszę się z tym zgodzić. Twoja przeszłość nie ma żadnego wpływu na moją przyszłość.

- I niestety nie mam pojęcia o podróżowaniu w czasie - przyznał uczciwie Kendrick. - Przypuszczam, że nie jesteś jedyną osobą, która tego dokonała. Mało tego, zawsze podejrzewałem, że jedna z moich ciotek nie urodziła się w średniowieczu.

- Tak? - wyrwało się zaskoczonej Genevieve.

- Nigdy o tym nie mówiłeś. Kendrick wzruszył ramionami.

- Myślę, że nigdy tak naprawdę nie łączyłem ich obojga, dopóki nie zjawił się Jake. Lecz zdecydowanie muszę przyznać, że Abby była kobietą wyprzedzającą swoją epokę - spojrzał na Jake'a.

- Poślubiła mojego wuja Milesa. Była bardzo wysportowana.

- Musiała taka być, by dotrzymać mu kroku

- uśmiechnął się Jake. - Mimo wszystko bardzo go lubiłem.

- O tak, ja również - pokiwał głową Kendrick. Jake zatarł ręce i uznał, że jedynym sposobem, by powstrzymać się od przyduszenia Kendricka do ziemi i wyciśnięcia z niego prawdy, jest znalezienie sobie zajęcia.

- Chyba muszę wykonać parę telefonów - oznajmił. - Dwa dni spędzone bez przytomności w twoim gościnnym pokoju pomogły mi na tyle, że powinienem wrócić do prawdziwego życia. Moja sekretarka podobno jest w szpitalu.

*** 310 ***

- Myślisz, że też została odurzona lekami? - spytał Kendrick.
 - Mam nadzieję, że nie - Jake sposepniał. - Mogę tylko powiedzieć, że nigdy by do czegoś takiego dobrowolnie nie dopuściła. Powiniennem postarać się dowiedzieć...
 - Nagle do Jake'a dotarło, jak niewiarygodnie fatalne skutki mogłoby za sobą pociągnąć takie postępowanie. Uświadomienie wszystkim, gdzie się znajduje.
 - To byłoby doprawdy bardzo groźne. Spojrzał na Kendricka.
 - Mam spory problem.
 - Dlaczego? - Kendrick nachylił się i oparł łokcie na kolanach. - Powiedziałaś mi, że umieszczono cię w sanatorium wbrew twojej woli, ale nie powiedziałaś, kto to uczynił. Masz jakiś pomysł, kto się za tym kryje?
 - Myślę, że to mój ojciec - rzekł powoli Jake. - To tylko podejrzenie. Któż inny mógłby przejąć moją firmę na tyle, że jeden niewinny telefon do mojej asystentki spowodował, że zostałem na miesiąc pozbawiony przytomności?
 - Kendrick potarł w zamyśleniu podbródek.
 - Przypuszczam, że może być więcej niż jedna odpowiedź. Mam ludzi, którzy mogliby przeprowadzić dla ciebie małe dochodzenie.
 - Mogliby dla mnie podsłuchiwać? - zapytał Jake. Kendrick uśmiechnął się szeroko.
 - Uznaliby to za świetną rozrywkę.
 - A więc, jeśli nie masz nic przeciwko, chętnie zadzwoniłbym w parę miejsc.
 - Pozwól, że zorganizuję dla ciebie posiłki. Jake obserwował, jak Kendrick wstaje i wychodzi z gabinetu sprężystym krokiem i z melodią
- * 320 ***

na ustach. Fałszując. Jake uśmiechnął się do Genevieve.

- Bardzo przypomina ojca. Genevieve odwzajemniła uśmiech.
- Zazdroszczę ci, że ich spotkałeś. Znaczący, Robina i Anne.
- Nie dziwię ci się - Jake potrząsnął głową.
- Możesz w to uwierzyć? Oto jesteśmy tu, przeciętni i standardowi Jankesi i przeżywamy niesamowite przygody. Kto by pomyślał?
- Rzeczywiście - zgodziła się. - Ale zauważ, że twoja przygoda była trochę bardziej zajmująca niż moja.
- Nie mieszkam z duchami. A ponad załogę twojego zamku przedkładam osobników z krwi i kości.
- A ja zachowam mojego Mini Marta - zaśmiała się Genevieve. Delikatnie poklepała niemowlę.
- Nie, nie sądzę, bym mogła wrócić do średniowiecza.
- Nawet dla Kendricka?
- To niesprawiedliwe - zaprotestowała.
- Co jest niesprawiedliwe? - przerwał im Kendrick, wpadając z powrotem do gabinetu. - To, że jestem przystojny, czy że tak znakomicie władam mieczem?
- I to, i to - odparła bez chwili namysłu Genevieve, biorąc męża za rękę, gdy znów usiadł obok niej. -1 wróciłabym do średniowiecznej Anglii dla ciebie. To jest moje oficjalne oświadczenie.
- Nawet rezygnując z czekolady? - Kendrick wzdrygnął się. - Musisz mnie naprawdę kochać.
- Bo kocham.

Kendrick objął żonę ramieniem, a potem spojrział na Jake'a.

*** 312 ***

- Moi ludzie są gotowi. Daj mi listę miejsc, gdzie mam ich wysłać, a w ciągu kilku minut będziesz mógł dzwonić - uśmiechnął się. - Nawet EasyJet nie jest tak skuteczny.

Jake skinął głową i zabrał się do sporządzania listy. Nie mógł się doczekać, by zobaczyć, co się wydarzy.

* * *

Godzinę później wszystko było przygotowane do co najmniej pierwszego ataku na bieżące wydarzenia. Jake podniósł słuchawkę i wybrał numer AE, Inc.

- Poproszę z panem Gideonem de Piagetem

- powiedział swoim najbardziej ugrzecznionym tonem, tym, którego używał, kupując diamenty.

- A kogo mogę przedstawić?

- Jestem jego dawnym przyjacielem z Eton

- skłamał Jake. - Będzie raczej zaskoczony, jeśli wolno mi zauważyć.

Sekretarka zaprotestowała. Jake upierał się. Wreszcie połączyła go, mrużąc pod nosem: „ktoś wyjątkowo niestosowny”.

Jake został przełączony jeszcze do dwóch sekretarek, a każda z nich była jeszcze bardziej wścibska niż poprzednie. Najwyraźniej dwa miesiące spędzone w wiekach średnich nie umniejszyły jego zdolności do gładkiego wysławiania się i torowania sobie drogi do szefa przez szeregi pracowników. Zajęło to dobrych kilka minut, jednak na koniec w słuchawce odezwał się Gideon.

-Tak?

- Gideonie, tu Jake.

Przez dłuższy czas po drugiej stronie panowała cisza.

* 313 *

- Jake? - wykrztusił Gideon zduszonym głosem. - Jake Kilchurn?!
- We własnej osobie.
- Myślałem, że nie żyjesz!
- Zdecydowanie żyję, choć mało brakowało.
- Gdzieś ty był? - nie dowierzał Gideon. - Szukaliśmy... myśleliśmy...
- To długa historia. Z chęcią wszystko ci opowiem, ale to nie jest rozmowa na telefon. Muszę tylko wiedzieć, co się działo przez ostatnich parę miesięcy. Możesz mnie uświadomić?

Gideon wypuścił powietrze.

- To porządny szok. Wciąż usiłuję odzyskać równowagę.
- Pospiesz się z tą równowagą.

Gideon roześmiał się, jednak jego śmiech brzmiał niepewnie.

- A więc kiedy nie stawiałeś się w gospodzie, założyłem, że... cóż, założyliśmy najgorsze. Mój ojciec oczywiście skontaktował się z twoim. Pan Kilchurn III przyleciał natychmiast z powrotem do Anglii i sam wszczął śledztwo. Powiedział nam, że lokalne władze poinformowały, że twój samochód zapalił się, a ty zginąłeś w płomieniach.

- Nie, przeżyłem. Byłem tylko... - posłał Ken-drickowi i Genevieve uśmiech - przez pewien czas poza zasięgiem.

- No, uznaliśmy, że nie żyjesz.

Jake zastanowił się. Instynkt podpowiadał mu, że Gideon trzyma jego stronę, a zawsze było najlepiej, gdy słuchał głosu intuicji. Ostrożnie dobierał kolejne słowa.

- Ostatnio przebywałem w szpitalu psychiatrycznym - zaczął wolno. - Pod wpływem środków

* 323 *

uspokajających. Umieszczono mnie tam wbrew mojej woli.

- Niemożliwe! - Gideon osłupiał.

- Bardzo możliwe - poprawił go Jake. - To właśnie dlatego nie potrafię teraz nikomu zaufać.

- Rozumiem - powiedział Gideon. - Powiedz, czego potrzebujesz. Pomogę, jeśli tylko będę mógł, i to na twoich warunkach.

- Powinieneś - poskarżył się Jake. - Przeznaczenie. Podróż do Artane. Co za bzdury.

- Nadal powinieneś pojechać do Artane - rzekł Gideon i Jake mógł usłyszeć uśmiech w jego głosie. - Mówię ci, są tam nieopisane rarytasy dla takiego łowcy skarbów jak ty.

- Pomyślę o tym.

- Koniecznie. A zatem co mogę dla ciebie zrobić?

- Znasz kogoś dyskretnego?

- Liczna rodzina mojej szwagierki, Iolanthe, najzwyczajniej w świecie roi się od ludzi o nazwisku Dyskretny. Powiedz, czego szukasz, a otrzymasz odpowiedzi tak szybko, jak to możliwe.

- Lepiej bądź ostrożny - ostrzegł Jake. - Wystarczyło, że zadzwoniłem do sekretarki i skończyłem otumaniony.

- Będę uważać.

- Jeśli więc możesz zrobić coś jeszcze, przeprowadź ciche śledztwo i sprawdź, co planował mój ojciec. Jeżeli uznał mnie za zmarłego...

- Pogrzeb odbył się miesiąc temu - przerwał mu Gideon. - Nie wiedziałeś?

Jake'owi dosłownie odebrało mowę. Tak, ojciec nie marnował czasu, prawda? Gdyby Jake nie był rozsądniejszy, podejrzewałby, że to ojciec zaaranżował całą jego wyprawę do średniowiecznej Anglii.

* 324 *

Lecz gdyby ojciec wiedział, co Jake znajdzie w przeszłości, bez wątpienia wysłałby syna w rejs na opanowane przez rekiny morze.

Jednak wiadomość, że został oficjalnie uznany za zmarłego, była niespodziewana.

Niespodziewana i niepokojąca. A co z jego majątkiem?

Co, jeśli już nie ma majątku?

- Jake?

- Przepraszam - Jake wrócił na ziemię. - Przeżyłem mały szok.

- Uważałem to za pochopny krok - ciągnął Gideon - i krążyły plotki, że nie odnaleziono ciała, ale twój ojciec jest potężnym człowiekiem, nawet w takich sprawach.

Jake wziął głęboki oddech.

- Co się stało z moją firmą?

- Z tego, co mi wiadomo, zostawił ją, jak była, chociaż ostatnio tego nie sprawdzałem.

No, przynajmniej coś zostało, tak jak Jake tego oczekiwał.

- Nie miałeś powodów, by to sprawdzać. Niech szlag trafi mojego ojca i diabli go wezmą - przetarł dłonią oczy. - Czy sfinalizowaliście swoją pierwszą wspólną umowę?

- Tak, zostały przygotowane dodatkowe dokumenty i twój ojciec dostarczył je mojemu osobiście.

- Mógłbym się założyć, że tak zrobi.

- To jakaś niesamowita zagadka - stwierdził Gideon. - Dzięki tej umowie zarobił najzwyczajniej w świecie górę pieniędzy. Nie potrafię sobie wyobrazić, po co by mu była jeszcze większa kasa... albo twoja firma, jeśli o tym mowa. Sądziłem, że nie przepada za szlachetnymi kamieniami.

*** 316 ***

- Nie przepada, a za mną jeszcze bardziej - westchnął Jake i wbił palce we włosy. - Potrzebuję jeszcze kilku szczegółów. Muszę wiedzieć, co się stało z moimi kontami, czy wyznaczył na moje miejsce pełnomocnika, czy moja asystentka także została odurzona jakimiś lekami, albo czy w ogóle jest przy życiu.

- Zostawiłeś testament?

- Wszystko zostawiłem mojej sekretarce - wyjaśnił Jake. - Penelope wiedziała o firmie wszystko i zatroszczyłaby się o nią. Poza tym dzięki mojemu testamentowi ojca trafiłby szlag.

- Nie wątpię - zaśmiał się Gideon. - Mam pomysł. Mam powinowatego, który jest bardzo dobrym prawnikiem. Skontaktuję się z nim, aby rozstrzygnąć kwestie prawne.

- Czy jest dyskretny?

- Alex jest dyskretny, że aż strach - uściślił Gideon. - Oprócz tego zna parę osób. Stanie po twojej stronie.

- Skoro tak mówisz - Jake zastanawiał się chwilę, a potem wysunął kolejną ostrożną propozycję. - Powinniśmy się spotkać.

- Naturalnie. Gdzie?

Jake rzucił okiem na Kendricka.

- Może w Artane? - poruszył bezgłośnie wargami. Patrzył, jak Genevieve bierze męża za rękę. Kendrick popatrzył na Jake'a przelotnie i bez wyrazu, a w końcu skinął głową.

- Mam upatrzone miejsce - odezwał się znów Jake. - Jednak ponieważ nie jestem pewien, czy twój telefon nie jest na podsłuchu, zachowam adres dla siebie. Niebawem prześlę ci namiary i czas spotkania.

- Wpadłeś w paranoję.

* 326 *

- Na moim miejscu zachowywałbyś się tak samo.
 - No dobrze, agencie 007, czekam na instrukcje. Zakładam, że ta linia jest bezpieczna?
 - Można mieć taką nadzieję - rzekł z przekonaniem Jake. - Zobaczymy się wkrótce.
 - Witaj ponownie w krainie żywych.
 - Chwilowo - odpowiedział Jake, gdy odłożył słuchawkę. Spojrzał na Kendricka i Genevieve z uśmiechem. - Jeden załatwiony.
 - A twój ojciec? - spytał Kendrick.
 - Domyślam się, że nie rozpaczał na moim pogrzebie - stwierdził oschle Jake. - Muszę zebrać więcej informacji, zanim się do niego zabiorę.
- Przyjrzał się uważniej Kendrickowi.
- Zawahałeś się, gdy wymyśliłem Artane. Kendrick zacisnął usta, lecz wstrzymał się od komentarza. Genevieve poklepała go po kolanie.
 - Nie wracał tam - wytłumaczyła męża. - Od tamtej pory, no wiesz. A wcześniej nie mógł opuścić Seakirk.
 - Naprawdę? - Jake był zaskoczony. - Nigdy tam nie wróciłeś?
 - Nie byłem pewien, jak miałbym się przedstawić - rzekł Kendrick z zupełnie szczerą miną.
 - Rozumiem.
 - Straszenie bez żadnego powodu wnuka z któregoś już pokolenia mojego brata nie miałoby sensu.
 - To też rozumiem - Jake uśmiechnął się. - Sądzę jednak, że mogłoby to być dla mnie najbezpieczniejsze miejsce, by spotkać się z Gideonem. Jeśli jakieś nienormalne typy ścigają mnie z bronią w rękę, to nie chciałbym ich sprowadzać tutaj.
 - Mimo mojej ochrony? - Teraz Kendrick się uśmiechnął.

* 318 *

- Masz małe dzieci - podkreślił Jake. - Nie wiem, czy jego lordowska mość ma, a jeśli nawet, to są pewnie już dorosłe i nie tak wrażliwe.

Kendrick spoważniał.

- Podchodzisz do sprawy bardzo serio.

- Przez miesiąc byłem nieprzytomny. Nie mam wyboru. A poza tym - zatarł dłonie - muszę zająć się sprawami, które popchną moje życie do przodu, a to wymaga przekształcenia mojego majątku zdobytego na interesach na majątek odpowiedni w średniowieczu.

- Jesteś pewien, że nie powinieneś czegoś zachować? Tak na wszelki wypadek - Kendrick był ostrożny.

Jake umilkł na chwilę.

- Mógłbym cię po prostu spytać, czy powinienem, prawda?

Kendrick zrobił się jeszcze poważniejszy.

- A chcesz wiedzieć?

Jake rozważył te słowa. Bardzo, bardzo poważnie. Oto siedzi przed nim człowiek, który zna odpowiedź na najbardziej dręczące go pytanie.

A może to on zna odpowiedź? Co by było, gdyby Jake znów się cofnął i zakrzywił czas, zmienił bieg wydarzeń, które nastąpiły? Nie był związany wersją przeszłości Kendricka... i niech diabli wezmą uświęcone kontinuum czasoprzestrzeni. Praktycznie rzecz biorąc, w dwudziestym pierwszym wieku już umarł. Natomiast było zupełnie możliwe, że może wieść bardzo dobre życie w trzynastym. Z pewnością okazałby się lepszym mężem dla Amandy niż ci dwaj mężczyźni, którzy przyjechali do niej w konkury.

Być może Nicholas to odrębna historia, ale Jake mógłby obojgu oszczędzić chaosu w życiu, gdyby poślubił Amandę.

* 328 *

Czy chciał znać odpowiedź?

W żaden sposób nie wpłynęłoby to na jego plany.

- Nie - powiedział wyraźnie. - Nie chcę wiedzieć. - I tak zrobisz po swojemu - uznał Kendrick.

- Tak.

- A zatem zaczekamy, aż wrócą moi podsłuchi-wacze - ciągnął Kendrick. - A potem przeprowadzimy kolejne dochodzenie. Mamy tutaj dostęp do Internetu. Możesz dowiedzieć się wielu rzeczy. Mam rozległą wiedzę dotyczącą zwierząt i wiele ulubionych stron.

- Chodzi o eBay - wyjaśniła oschle Genevieve. - Byłbyś zdumiony, jakie średniowieczne wyposażenie ludzie przechowują w ogrodowych szopach, jakby tylko czekali, aż mój mąż podłączy się do sieci i je kupi.

Kendrick nie miał nic na swoją obronę, więc zaprezentował tylko szeroki uśmiech i wzruszył ramionami.

- Człowiek dostosowuje się do swojego miejsca w dziejach najlepiej jak potrafi.

Jake pochylił się w przód.

- A więc, jakie to uczucie oglądać osiem wieków historii rozgrywających się na twoich oczach?

- Frustrujące - oświadczył Kendrick - biorąc pod uwagę fakt, że byłem duchem i nie mogłem postępować tak, jak mi się podobało, by wpływać na wydarzenia. Nie jestem przyzwyczajony do zajmowania wyłącznie pozycji obserwatora.

- Tylko pozycji obserwatora? - powtórzyła z niedowierzaniem Genevieve. - Seakirk przez wieki było okryte niesławą z powodu przerażających paranormalnych zjawisk zachodzących w jego murach.

Uważasz, że nie wpływałeś na bieżące wydarzenia?

* 320 *

- Nigdy nie mówiłem, że nie wpływałem - odparł Kendrick z błyskiem w oku. - Powiedziałem tylko, że nie mogłem wpływać na wydarzenia tak, jak życzylibym tego sobie - wplótł palce we włosy Genevieve. - Miałaś jakiegokolwiek pojęcie o reputacji Seakirk, gdy się tu pojawiłaś po raz pierwszy? - Wiesz, że nie - zacisnęła usta. - Inaczej prawdopodobnie nie miałabym odwagi, by tu przyjechać. Genevieve popatrzyła na Jake'a.

- Byłam ostatnią osiągalną potomkinią Matildy z Seakirk w prostej linii, więc odziedziczyłam zamek, chociaż prowadziłam szczęśliwe i pełne sukcesów życie w San Francisco.

- Jedyną osiągalną? - zapytał Jake. - Jestem zaskoczony. Można by pomyśleć, że potomków było wielu.

- Było paru - zaczął Kendrick ze skromnym uśmiechem - którzy dość pechowo nie byli w stanie udowodnić swoich praw spadkowych - wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że w rodzinie gwałtownie szerzą się choroby umysłowe. Oczywiście poza moją Gen, która jest niezwykle trzeźwo myślącą kobietą o doskonałym guście.

Genevieve pozwoliła mężowi się przytulić. Uśmiechnęła się do Kendricka.

- Święta prawda.

Jake także się uśmiechnął.

- A więc jesteście gotowi, by wyruszyć do Artane? Kendrick wziął głęboki oddech.

- Dlaczego nie? Widziałem fotografie. Zamek wygląda tak, jakby niewiele się zmienił przez wieki. Kilka rzeczy dodano, ale nic szokującego. Dam radę - spojrzał na Genevieve. - Dzieci będą bez wątpienia podekscytowane.

*** 330 ***

- A wiedzą? - wyrwało się Jake'owi. - O twojej przeszłości?

Kendrick potrząsnął głową.

- Postanowiliśmy, że powiemy im, kiedy osiągną wiek dwunastu lat. Przypuszczam, że najmłodszy dowiedzą się o wszystkim od starszych braci; tego należy się spodziewać. Już są przyzwyczajone do duchów, zatem przypuszczam, że kolejna podobna opowieść nie wytrąci ich aż tak bardzo z równowagi.

- Wyprawa do Artane mogłaby się okazać bardzo pouczająca - zauważyła Genevieve. - Ostatecznie trojaczki wiedzą, że jesteś spokrewniony z rodziną de Piaget. Nie wiedzą tylko, że Robin, Phillip i Jason, po których otrzymali imiona, żyli setki lat temu.

Kendrick skinął głową w kierunku Jake'a.

- Pojedziemy z tobą. Jeśli nic ciekawego się nie wydarzy, może uda nam się miło spędzić czas na placu musztry. Zakładam, że od kiedy masz miecz, to wiesz, jak go używać?

- Tydzień z twoim wujem Milesem, a potem trzy z twoim ojcem ku mojej chlubie. Trzy tygodnie czystej tortury.

- Potrafię to sobie wyobrazić - Kendrick uśmiechnął się szeroko. - Był również moim mistrzem. Jestem zaskoczony, że zgodził się uczyć ciebie. Słyszał z tego, że skąpił swojej wiedzy.

- Ja też tak słyszałem. Wiele razy - dodał Jake.

- Rzecz nie w tym, że nie miał ochoty uczyć innych - opowiadał dalej Kendrick. - Był po prostu bardzo wybredny. Nie zamierzał uczyć kogoś, kto, chępiąc się, że był jego uczniem, okazałby się zupełną porażką. Musiał widzieć, że uczeń rokuje nadzieje.

- Albo było tak, jak mówisz, albo wykazał się wielkim miłosierdziem - stwierdził sucho Jake.
- Ale przyjmuję twoją propozycję. Będę bardzo szczęśliwy, mogąc zdobyć nowe doświadczenie.
- Jeśli chcesz, możemy zacząć od jutra - oświadczył Kendrick.
- Chcę. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to czy mogę skorzystać z twojego komputera? Myślę, że mógłbym trochę pomyszkować, nie ujawniając się zbyt.

Jake pomyślał, że mógłby też zadzwonić do Tha-da i poprosić, by jeden z jego kumpli podjął się su-pertajnej operacji hakerskiej.

Kendrick wstał.

- Gabinet jest na końcu korytarza. Zaprowadzę cię. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, po prostu powiedz. Albo jeśli będziesz chciał się zdrzemnąć
- uśmiechnął się uprzejmie. - Mimo wszystko jestem synem swojego ojca i moje umiejętności szermiercze nie ucierpiały mimo ośmiuset lat przerwy.
- Ja myślę - mruknął Jake. Podziękował Genevieve za dotychczasową gościnność i podążył za Kendrickiem do biura, gdzie zostawiono go samemu sobie.

Przez moment kusiło go, by stanąć w oknie i patrząc przed siebie, zastanawiać się, co też akurat robi Amanda, ale to nie był dobry pomysł. Nie umiał kontrolować upływu czasu i nie miał pojęcia, jak długo trwałby powrót do średniowiecznego Artane.

Jeżeli dostanie się do średniowiecznego Artane.

Była też inna możliwość: że może nie wrócić, ale o tym nie chciał myśleć. Kendrick byłby mistrzowskim pokerzystą - niczego nie wyjawiał. Jake został rzucony na pastwę swoich urojeń, co nie wychodziło mu na dobre.

*** 323 ***

Znów z siłą oślepiającego błysku uderzyła go myśl, że mógł stracić wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość: firmę, środki na koncie i z funduszu powierniczego.

Wszystko, z czego zamierzał skorzystać, by kupić przychylność Rhysa de Piageta.

Jeśli jego ojciec uznał go za zmarłego, kto wie, co jeszcze kryje w zanadrzu?

Jake z wysiłkiem otrząsnął z siebie te nieprzyjemne i bezużyteczne myśli i skupił się na sprawach, na które miał wpływ, czyli na szacowaniu strat. Resztę zostawił na później.

Podniósł słuchawkę i zamówił połączenie z USA. Thad to dobry początek. W każdym razie Jake wiedział, że telefon starego znajomego nie będzie na podsłuchu.

W tej chwili to wydawało mu się najlepszą rzeczą, jaką usłyszał tego dnia.

24*

Amanda wpatrywała się w plik pergaminowych kart porozrzucanych na pulpicie ojca. Wprawiała się na nich w rysowaniu, tak jak uczył ją Jake. Niestety, na wszystkich widać było także straszne błędy: kleksy, skrzywione linie, nierozpoznawalne kształty.

Wzięła kartki w ręce i nagle gwałtownie zgmiotła je i rzuciła w ogień kominka. Patrzyła, jak płomienie liżą rysunki, a potem doszczętnie pochłaniają pergamin. To był właściwy ruch.

- Amando?

Obróciła się z poczuciem winy z powodu tego, co właśnie zrobiła. Ale właściwie dlaczego? Z pewnością miała prawo zniszczyć wszystko, co tylko miała chęć, zwłaszcza gdy to coś okazało się o wiele mniej warte, niż można było oczekiwać.

Miles spoglądał na siostrę zupełnie spokojnie.

- Co robisz? -Nic.

- Źle się czujesz? Potrząsnęła głową.

- Czekanie jest trudne - stwierdził Miles. Amanda wiedziała, że jeśli zostanie na miejscu, to się rozpłacze, więc przemknęła obok Milesa

*** 334 ***

i pobięła na blanki, nim brat zdążył się jej lepiej przyjrzeć. Wiedziała, co by odkrył. Odkryłby kobietę ze złamanym sercem, na próżno czekającą na mężczyznę, który najwyraźniej zmienił swoje zamiary wobec niej.

Nawet w Robinie obudziły się wątpliwości. Amanda dostrzegła to, gdyż starszy brat stał się dziwnie milczący, jeśli chodzi o całą sprawę. Wciąż ćwiczył z nią na placu musztry, ale jego wesołe usposobienie gasło w miarę upływu czasu, a na czole coraz częściej pojawiał się cień zachmurzenia. To musiało coś znaczyć.

Nicholasa ogarniało tym większe przygnębienie, im bardziej przedłużała się nieobecność Jake'a. Być może nie miało to nic wspólnego z Amandą. Być może zależało mu na powrocie do Wyckham i ukończeniu naprawy dachu przed zimą.

A może tylko czekał, by powiedzieć siostrze, że była głupia i teraz zasługuje na swoją rozpacz.

Amanda starała się nad tym zbyt dużo nie zastanawiać.

Natomiast myślała niemal nieustannie, od chwili, gdy odjechał, o Jake'u. Na początku niepokoiła się, czy nie wpadł w zasadzkę. Nawet Robin podrzucił taką myśl. Lecz Amanda widziała Jake'a, jak się bronił, nawet bez miecza. Nie miała wątpliwości, że w całej Anglii nie ma człowieka, który mógłby go pokonać, jeśli tylko Jake zdołałby uniknąć ciosu mieczem lub nie zostałby ugodzony w plecy strzałą z kuszy.

Czy o niej zapomniał?

Czy też zmienił zamiary?

Przez wiele dni próbowała siebie przekonać, że to ostatnie nie jest prawdą. Lecz teraz, gdy minęło tyle czasu bez żadnego listu, bez wieści czy znaku,

*** 326 ***

że wciąż ją kocha, musiała przyznać, że rzeczywiście zmienił zdanie.

W związku z tym wróciła do punktu, w którym była na początku lata.

Znow była gotowa do ucieczki.

Szła po blankach i spoglądała na okolicę. Już jej nie kusiło, by rzucać się w wodną toń. Morze leżało za daleko, ale nie to było powodem. Amanda zdawała sobie sprawę, że gdyby spróbowała, prawdopodobnie wyrządziłaby sobie tak poważną krzywdę, iż zrujnowałoby to jej życie, ale nie tak poważną, by je zakończyć. Oparła się łokciami

o mury i wpatrywała suchymi oczami w rozpościerające się przed nią morze.

Nie przynosiło jej to radości.

A z pewnością nie dawało spokoju.

- Amando?

Zamknęła na krótko oczy, pomodliła się o siły, a potem odwróciła, by spojrzeć na brata. Na tego, z którym nie była spokrewniona. Spróbowała się uśmiechnąć.

Nie udało się.

Nicholas podszedł-krok bliżej, zatrzymał się

i oparł o mur. Wahał się, potem spojrział na morze.

- Lato odchodzi.

- Istotnie - odrzekła ochryłym głosem. Nicholas dość długo milczał. Dla Amandy była to doskonała okazja, by popatrzeć na brata i jednocześnie spróbować spojrzeć na niego inaczej.

Był piękny. Nawet ona musiała to przyznać. Jasne włosy dodawały niepokojącego wyrazu szarym oczom, jakie miał i Robin. W całej Anglii nie znalazłyby się miłsze dla oka rysy twarzy. Nicholas szczyił się męską i mocną sylwetką. Każda panna poczytywałaby sobie za niezwykle szczęście pa-

* 336 *

trzeć na takiego mężczyznę przez całe życie. Nawet gdyby Nicholas mógł się pochwalić tylko powierchownością, byłby niewątpliwie najbardziej pożądaną partią i w Anglii, i we Francji.

Jednak był nie tylko urodziwy, lecz także rycerski, utalentowany, szlachetny i życzliwy. Zaiste, ucieleśniał wszelkie rycerskie cnoty.

I umiał ją rozbawić.

Zamknęła na chwilę oczy. Raz czy dwa razy

- a nawet więcej, gdyby była całkiem szczerą - wyobrażała sobie, że go kocha. Zastanawiała się czasem, w ciemnej ciszy nocy, czy nie byłoby sposobu, by tak się właśnie stało.

Być jego.

Czy w głębi duszy nie rozważała możliwości, że Nicholas byłby gotów zrzec się wszystkiego, by ją mieć? Gotów zrzec się tytułu, ziem, jej złota

- wszystkiego, tylko dlatego, że była dla niego ważniejsza niż doczesne dobra?

Gdyby ją poślubił, z całą pewnością straciłby wszystko, co ma.

A więc było to niemożliwe.

Tak samo przedstawiała się jej szansa na znalezienie mężczyzny, którego mogłaby pokochać.

Dopóki nie zobaczyła nieprzytomnego Jake'a leżącego w trawie.

Porównywanie go z Nicholasem było może niesprawiedliwe, ale mieli bardzo podobne usposobienie i dorównywali sobie urodą i sylwetką. Jake także ją rozśmieszał. Zapierał jej dech w piersi i kochał ją wbrew niej samej.

A przynajmniej tak myślała.

- Amando?

A teraz to. Odwróciła wzrok. Tylko to mogła zrobić, aby nie rozkleić się i nie zacząć szlochać.

* 328 *

Nicholas przykrył jej dłoń swoją.

- Amando, muszę ci coś powiedzieć.

- Nie, proszę, nie. Nicky, błagam cię. Położył ręce na ramionach siostry i odwrócił ją w swoją stronę, patrząc na nią poważnymi, szarymi oczami.

- Amando, powiem, a ty mnie wysłuchaj. Jeśli choć trochę mnie kochasz, wysłuchaj.

- Wiesz, że cię kocham - wyjąkała. - Ale to nie ma sensu.

- On nie wróci, Amando. Boli mnie, że to ja jestem tym, który zmusza cię, byś się z tym pogodziła, ale musisz się pogodzić. Niezmienna prawda jest taka, że czy to z własnej woli, czy to z jakiegoś innego powodu, on nie wróci - urwał. - Niech go diabli!

Amanda uśmiechnęła się wbrew sobie i łzom, które spłynęły jej po policzkach.

- Ach, Nicky.

Nicholas wpatrywał się w nią bacznie.

- Wyjdź za mnie. Zostaw to wszystko, wyjdź za mnie, a sprawię, że o nim zapomnisz.

- Gdybym - zaczerpnęła głęboko powietrza - gdybym miała cię poślubić, Nicholasie de Pia-gecie, to nie dlatego, by o nim zapomnieć.

Twarz mężczyzny rozjaśniła nadzieją. Amanda jeszcze nigdy w życiu nie widziała go tak desperacko, tak niesamowicie przepełnionego nadzieją.

- A więc mnie kochasz?

- Czy to ma jakieś znaczenie? -Tak.

Amanda odwróciłaby się albo rzuciła mu w ramiona lub też skoczyła do drzwi, ale Nicholas trzymał ją w miejscu, niech go szlag.

- Kocham go i nie mogę go mieć. Kocham ciebie i nie mogę cię mieć. Co mam czynić?

* 338 *

- Weź ze mną ślub - rzekł zapamiętale Nicholas. - Zostań moją żoną, a króla niech diabli wezmą. Nie jesteśmy spokrewnieni.

Amanda zamknęła oczy i pozwoliła, by niepowstrzymane łzy potoczyły się jej po twarzy. Rzecz nie w tym, że nie łączyły ich więzy krwi. Oboje utrzymywali, że Rhys de Piaget jest ich ojcem poprzez adopcję i tylko ten fakt wraz z towarzyszącą mu opinią miał znaczenie dla dworu i każdej innej osoby w Anglii.

Amanda nie dbała o zdanie innych ludzi. Jeśli niełaska króla i innych szlachetnie urodzonych miałaby stanowić cały kłopot, posłałaby ich do wszystkich diabłów i mimo wszystko poślubiła Nicholasa.

Jednak problem tkwił głębiej.

Głęboko w sercu Amandy.

Niech piekło pochłonie tego Jacksona Kilchur-na. Nie zasługiwał na jej uczucie, na względy ani poświęcony czas. Nicholas wręcz przeciwnie. Jaka szkoda, że nie mogła bratu tego wszystkiego dać.

Otworzyła oczy i spojrzała na Nicholasa, gotowa powiedzieć mu, by znalazł sobie kogoś innego, że tak naprawdę jej nie kocha, że będzie dużo szczęśliwszy z kimś innym...

Cokolwiek, byle nie to, że, koniec końców, nie potrafiłaby go kochać tak, jak by tego pragnął.

Amanda wzięła głęboki oddech.

- Jutro. Jutro dam ci odpowiedź.

- Jak sobie życzysz - odrzekł, wyglądając na niezbyt zadowolonego, lecz być może rozumiał, że nie powinien naciskać.

Amanda pomyślała, że bycie z kimś przez większą część życia ma jednak swoje zalety.

- Muszę iść - ostrożnie przemknęła obok Nicholasa i pospieszyła do wyjścia. Zatrzasnęła za sobą

* 330 *

drzwi strażnicy i pobiegła do sypialni. Drzwi komnaty także zatrzęsnęła, a potem dobrze zaryglowała. Stała przez chwilę z chłodnymi dłońmi przyciśniętymi do policzków, nieszczęśliwa do bólu i przerażona wyborem, którego starała się dokonać przez cały dzień. Ale cóż innego mogła zrobić?

Nie mogła wyjść za mąż za swojego brata.

Nie mogła czekać na mężczyznę, który nie wróci.

Musiała uciec.

Zapadał wieczór, gdy wymknęła się schodami na dół i dalej przez wielką salę. Służba przygotowywała wieczerzę. Nie było jeszcze nikogo z rodziny, więc mogła pobiec do stajni. Pod suknię włożyła najgorszy przyodziewek Johna, by tym łatwiej móc porzucić w boksie swoją tożsamość i wyjść jako zwykły wieśniak. Jeśli tylko udałoby się jej wyprowadzić wierzchowca ze stajni bez zbędnych pytań. Weszła do środka bez przeszkód. Chłopiec, któremu dała suwerena przy okazji ostatniej próby ucieczki, był akurat na miejscu. Szybko jednak odwrócił się i zajął uprzątnięciem gnoju z boksów. Rzuciła mu następną monetę i ruszyła swoją drogą.

Oczywiście z początku chciała wziąć Jaspiera, ale wiedziała, że nie przyniesie jej pożytku. Zauważą go, gdy będzie opuszczał bramy, a jeśli spostrzegą rumaka, zobaczą również Amandę. O nie, musi wybrać niepozornego konia i żywić nadzieję, że będzie wystarczająco dobry. Zamknęła się w boksie jednego ze starszych, mniej okazałych wierzchowców ojca, ściągnęła suknię i zarzuciła na ramiona połataną pelerynę. Osiodłanie konia i przygotowanie go do wyjścia zajęło jej jeszcze mniej czasu. Nagle podskoczyła. Zobaczyła Montgomery'ego, jak patrzy na nią ponad drewnianymi skrzydłami drzwi.

*** 331 ***

- Co robisz? - wyszeptał.
- Dobrze wiesz - odparła ponuro.
- Mandy, nie - błagał. - Zrobię wszystko...
- Daj mi swoje milczenie - nakazała. - Przysięgnij-
Chłopak wzbraniał się.
- Montgomery, jadę do opactwa Seakirk. Będę tam bezpieczna. Możesz mnie tam odwiedzić. Ale nie spełnię mojego marzenia. . . - i w tym miejscu musiała zaczerpnąć głęboko powietrza, by zebrać się na odwagę i wyrzucić z siebie resztę zdania - .. i nie zostanę mniszka, jeżeli dziś nie uda mi się odjechać. Zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.
Montgomery zacisnął białe palce na brzegu drzwiczek.
- Ale, Mandy, nie...
- Nicholas poprosił mnie o rękę - szepnęła ze złością. - Co mam zrobić? Skomplikować także jego życie? Pozwól mi zrujnować tylko własne, a jego zostawić w spokoju.
- Ale Jake...
- Nie wróci - ucięła. - Twoje milczenie, Montgomery. Przysięgaj.
Chłopak zamknął na krótko oczy, potem skinął głową.
- Powiedz to.
Wziął bardzo głęboki, drżący oddech.
- Przysięgam - szepnął.
Amanda otworzyła drzwiczki i przecisnęła się obok brata. Nagle jednak odwróciła się i objęła go i przytuliła tak mocno, że aż pisnął.
- Kocham cię - wyszeptała. I chwilę później ruszyła do wyjścia, prowadząc za sobą konia.
Opuściła zamek tak nonszalancko, jak tylko potrafiła, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Nikt

za nią nie wołał. Ani jeden człowiek nie starał się jej zatrzymać.

W najlepszym razie miała całą noc na spokojną podróż.

Nicholas będzie myślał, że modli się w swojej komnacie. Anne nie będzie jej niepokoić z tego samego powodu. Robin sprawiał wrażenie, że unika siostry, pomijając spotkania na placu ćwiczeń, więc nie będzie jej wypatrywać do wschodu słońca. Chwilowo z pewnością była bezpieczna.

A Montgomery, miała nadzieję, będzie milczeć jak grób.

Mknęła bez chwili wytchnienia, aż nastał świt. Nawet wtedy zatrzymała się tylko po to, by napić konia i pognąła dalej. Nie miała wyboru. Teraz już wiedzą, że nie ma jej w komnacie. Nigdy nie domyśliliby się celu jej podróży, a więc być może ma w zapasie więcej czasu, niż sądziła.

Jednak ryzyko nie miało sensu.

Galopowała zatem przed siebie na tyle zapamiętała, na ile starczało jej odwagi. Jechała dużo szybciej, niż się spodziewała. Minęły zaledwie dwa dni, gdy zobaczyła je w oddali.

Opactwo Seakirk.

Pierwsze promienie słońca otulały wzgórze i rozświetlały dzwonnice. To chyba pomyślny znak. Na pewno.

W tym miejscu pokładała jedyną nadzieję.

Jake przeciągnął rękawem po spoconej twarzy. Przeżył chwilę tak silnego *déjà vu*, że aż się zatoczył. Ciężko było mu uwierzyć, że nie znajduje się na placu musztry w Artane, walcząc przeciwko dziedzicowi zamku i wypruwając flaki z wysiłku. Zamrugał i popatrzył na nauczyciela szermierki, który stał przed nim w rowerowych szortach, podkoszulku NBA i trampkach. Kendrick, nie Robin. Choć kiedy przyszło do skrzyżowania mieczy, Jake naprawdę nie potrafił ich rozróżnić. Teraz jednak miał na sobie dres i trampki, a nie pozszywane z łąt rajtuzy i buty, które prawie pasowały. Otarł jeszcze więcej potu z twarzy i posłał Kendrickowi posępny uśmiech.

- Kiedy po raz pierwszy wzięłeś miecz do ręki?

- Miałem trzy latka. A może dwa. Z tego, co mi wiadomo, byłem dzieckiem, kiedy po raz pierwszy zacisnąłem dłoń na rękojeści. Szczerze mówiąc, nie pamiętam czasów, kiedy nie miałem miecza w ręku. - Kendrick uśmiechnął się. - Mam nad tobą przewagę paru lat praktyki i, jak już wspomniałem, jestem synem swojego ojca.

- Co ty powiesz - odparł Jake z przekonaniem.

- Nauczysz się. Szermierka to pożyteczna umiejętność. Nieważne, w której epoce, zawsze dobrze jest umieć zabić człowieka jednym pchnięciem.

* 334 *

Jake parsknął, po raz ostatni otarł rękawem twarz, a następnie podniósł miecz.

- No, dobrze, jestem gotów. Jedźmy dalej.

- Z przyjemnością - ucieszył się Kendrick. - A więc, jak już mówiłem, ostry koniec trzeba trzymać z dala od siebie, w kierunku przeciwnika. To bardzo ważne.

- Zamknij się - uciał Jake, przyjmując pozycję. Gdy sparował z mającym się dopiero urodzić bratankiem Amandy, dotarło do niego, że zaczyna się przyzwyczajać do rycerskiego rzemiosła. Co prawda, z początku był obolały i dość osłabiony, ale po paru dniach dobrego wypoczynku i ćwiczeń niemal zupełnie wrócił do formy.

Te same kilka dni, wraz z szansą na odzyskanie zdrowia, przyniosły mu odpowiedzi na parę ważkich pytań.

Czy umarł? Z punktu widzenia prawnego - tak.

Czy konta, o których wiedział jego ojciec, zostały zamknięte? Tak, całkowicie.

Czy jego firmowy majątek został przekazany w spadku? Tak, jeśli prawnicy ojca po gorączkowych poszukiwaniach znaleźli sposób na zmianę testamentu Jake'a, aby Penelope nie otrzymała nic, a Jackson III wszystko.

A fundusz powierniczy Jake'a? W tylnej kieszeni spodni Jacksona III.

Czy ojciec stał za jego uwięzieniem? Oczywiście.

Czy bandziory najęte przez Kilchurna III wciąż szukają Kilchurna IV? Zaciekle.

Jake przekonał się o tym osobiście, ponieważ zjawili się w Seakirk poprzedniego popołudnia.

Kendrick wpuścił ich za bramy i posunął się nawet do tego, że przywitał ich w drzwiach i zaprosił do środka. Kendrick wezwał do wielkiej sali także

*** 344 ***

kilku własnych ludzi, by zademonstrować mały pokaz niezwykłych sił, które zafundowały wstrząs nawet zaprawionym oprychom pana Kilchurna III. Kendrick nie reagował na nic, co działo się dokoła, wyraźnie dając gościom do zrozumienia, że postradali rozum.

Najemnicy odeszli niezadowoleni i pokonani.

Jake zdawał sobie sprawę, że zbliża się czas jego działania i nie będzie go zbyt dużo. Wszystko musi perfekcyjnie zaplanować i z równą perfekcją wykonać, inaczej, jak bez przerwy powtarzał jeden z najstarszych synów Kendricka, będzie spalony.

Szwagier Gideona miał stawić się w Seakirk po południu z aktówką pełną wszelakich prawniczych sztuczek, które mogłyby nawet najcwańsze-go biznesmena zaprowadzić za kratki. Aleksander Smith był kimś, z kim nie chciałoby się spotkać twarzą w twarz przy jakimkolwiek stole negocjacyjnym.

Jake był wdzięczny, że ma tego człowieka po swojej stronie.

A jeśli już mowa o stronach, to Jake musiał uskakiwać co chwila na bok, by uniknąć połaskotania w żebra klingą Kendricka.

- Ładnie - wyraził uznanie Kendrick. - Ale prawdziwi rycerze nie uskakują, oni przewidują.

- Byłem nieuważny.

- Nieuwaga oznacza śmierć - rzucił sentencjonalnie Kendrick. Uśmiechnął się. - Mój ojciec.

- To brzmi jak stwierdzenie twojego ojca. Kendrick oparł miecz na ramieniu i popatrzył na Jake'a w zamyśleniu.

- Jaki on był? Jako młody człowiek.

- Właściwie bardzo przypominał cię - przyznał uczciwie Jake. - Był bardzo zabawny, choć są-

* **336** *

dzę, że nie miał takiego zamiaru. Niesamowicie poważny. Bardzo pewny siebie.

- Arogancki - poprawił Kendrick. Jake potrząsnął głową.

- Był wyjątkowo świadomy swoich umiejętności. Myślę, że tak naprawdę był całkiem skromny. Nie potrafił znieść faktu, że jest najlepszy w Anglii.

Kendrick roześmiał się.

- Widzę, że cię dobrze zindoktrynował.

- Pewnie tak - Jake także się roześmiał. Spoważniał na moment, potem znów się uśmiechnął.

- Zostawiłem go z wieloma sprawami do przemyślenia, ale nawet nie mrugnął. Był dobrym przyjacielem, choć znaliśmy się tak krótko. Hojnie poświęcał swój czas dzieciom, otaczał wyjątkową opieką młodszych braci bliźniaków i bardzo kochał twoją matkę. - Jake uśmiechnął się do Kendricka.

- Gdybym mógł wybierać sobie brata, wybrałbym Robina de Piageta. Był dobrym człowiekiem. I nadal jest, z twojego punktu widzenia - wzdrygnął się. - Czas to dziwna sprawa.

- To prawda. - Kendrick kiwnął głową. Milczał chwilę - Dziękuję ci za-te słowa. Nie musiałem tego wiedzieć, niemniej to miłe.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Jake. Skoczył w miejscu, gdy tuż obok zmaterializował się sir Stephen. Niech to szlag, czy kiedykolwiek się do tego przyzwyczai? Zapewne nie, i dlatego lepiej nadawał się do podróży w czasie niż do życia z duchami.

Potrząsnął głową, myśląc o nieprawdopodobieństwie obu rzeczy.

- Co takiego, mój przyjacielu? - spytał Kendrick. -Nadjeżdża prawnik - wyjaśnił sir Stephen.

- Czy mam go wpuścić?

* **337** *

- O, tak - Kendrick schował miecz do pochwy.

- Chodźmy. Poczekamy na niego w środku.

Jake podążył za Kendrickiem do donżonu, odłożył miecz na wysoki stół i z wdzięcznością przyjął szklanekę czystej zimnej wody. Pomyślał, że będzie to coś, za czym w pewnym momencie zatęskni. Woda w średniowiecznym zamku nie była zła, ale nie tak dobra jak współczesna, inaczej nie musieliby jej tyle dodawać do piwa lub wina. Jake dopił szklanekę i nalał sobie więcej. Miłe, ale niekonieczne.

Zdecydowanie warte zamiany.

Niebawem otworzyły się drzwi i wszedł wysoki, dobrze zbudowany ciemnowłosy mężczyzna, ubrany w dżinsy i koszulkę polo. Jedyłą sugestią wykonywanego zawodu była aktówka. Worthington zaprowadził go do wysokiego stołu.

- Aleksander, earl Falconberg - zapowiedział.

- Sądziłem, że nazywa się pan Alex Smith - zdziwił się Jake.

Alex wyciągnął do Jake'a dłoń.

- Falconberg to moje *alter ego* - wyjaśnił.

- Proszę mówić mi Alex. A pan jest Jakiem, jak sądzę.

- Zgadza się.

Alex zwrócił się do Kendricka.

- Milordzie - rzekł z pełnym szacunku skinieniem głowy. - Czuję się zaszczycony, mogąc przestąpić bramy Seakirk.

- Jeden z nielicznych wybrańców, lord Aleksander - uśmiechnął się Kendrick. - Proszę sobie z nami wygodnie usiąść. Worthington, coś na pokrzepienie?

Jake usiadł i obserwował, jak zapoznają się Kendrick i Alex. Uznał, że Falconberg pochodzi z dość niedalekiego południa i dziwił się, dlaczego obaj

* 347 *

panowie nigdy się jeszcze nie spotkali przy okazji jakichś arystokratycznych uroczystości.

Synowie Kendricka skakali i biegali dokoła ojca, aż wreszcie na tyle zwrócili na siebie uwagę, że Kendrick przeprosił na chwilę gości, aby stoczyć z malcami towarzyską rundę zapasów. Jake został z Aleksem sam przy stole.

- Gideon mówił, że ciekawe są pana dzieje - zagaił Jake, dolewając sobie wody. - I że jest pan jakoś z nim spowinowacony?

- Zona Gideona, Megan, jest krewną męża mojej siostry Elizabeth, Jamiego - powiedział z uśmiechem Alex. - Droga dość zawiłych koligacji rodzinnych. Mimo to jesteśmy jednak szczęśliwą gromadką - odsunął odrobinę aktówkę, nalał sobie drinka, a potem znów spojrzał na Jake'a.

- Wygląda na to, że ma pan do rozwiązania nie lada skomplikowany prawny supeł.

- Jest pan dobry w rozwiązywaniu supełów?

- To moja specjalność. Do rozsypywania zabierzemy się za moment. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, gdzie znalazł pan tak piękny miecz - skinął głową w kierunku oręza-Jake'a, które leżało na stole.

- Wykonała go dla mnie pewna kobieta.

- Niewiele kobiet w dzisiejszych czasach ma wyczucie, jeśli chodzi o klingi - zauważył Alex. - Musi być kimś wyjątkowym.

Jake umilkł, zastanawiając się, co mógłby powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to jak wypowiedź człowieka niespełna rozumu. Właściwie jeszcze nie rozmawiał z Aleksem, większość spraw załatwiali, porozumiewając się za pomocą faksów i bezpiecznych łączy poczty elektronicznej Thada. Jake poinformował Aleksa o wszelkich możliwych szczegółach, nie mówiąc jednakże o kluczowej sprawie,

*** 348 ***

a mianowicie dlaczego musi wrócić do świata żywych, żeby znów cofnąć się w czasie.
Cofnąć się w czasie do kobiety, która w kwestii mieczy istotnie miała doskonałe wyczucie.
No cóż, nadeszła pora, by wyłożyć wszystkie karty na stół.

Jake zaczerpnął głęboko powietrza.

- Wie pan, że mój ojciec oficjalnie uznał mnie za zmarłego, a kiedy później pojawiłem się na chwilę, uwięził mnie wbrew mojej woli.

- Tyle dowiedziałem się z pana e-maili. Pański ojciec wygląda na szycę.

- Jest prawdziwym księciem - przyznał Jake.

- Zapewne jednak powinienem wyjaśnić, gdzie byłem przez te wszystkie tygodnie, zanim jego bandziory porwały mnie i nafaszerowały lekami.

- Tak, przydałoby się - zgodził się Alex.

- Nie uwierzy pan - zaczął powoli Jake - a gdybym tego sam nie przeżył, także bym nie uwierzył

- urwał, ale Alex tylko przyglądał mu się z uprzejmym wyrazem łagodnego zainteresowania. No dobrze, pomyślał Jake, jeśli skakać na głęboką wodę, to tylko teraz. - Wypadłem z drogi i ocknąłem się w 1227 roku.

Alex nie zmienił wyrazu twarzy.

- Rozumiem.

Jake czekał, lecz Alex nie rzekł słowa więcej.

- W Anglii w trzynastym wieku - powtórzył Jake wolno i wyraźnie.

- Słyszałem.

- No i? - nie wytrzymał Jake. - Nie będzie pan podawać w wątpliwość mojego zdrowia psychicznego?

- No i - odparł powoli Alex, uśmiechając się - to jest niesamowicie średniowiecznie wyglądający miecz, ten, co tam leży.

* 340 *

- Przeniosiem się w czasie - spróbował ponownie Jake. - Do średniowiecznej Anglii.

- Zrozumiałem za pierwszym razem.

- I nie uważa pan, że jestem stuknięty? Alex znów się uśmiechnął.

- A jak pan sądzi, gdzie zdobyłem swój tytuł?

Przyswojenie sobie w pełni wagi tych słów zajęło dobrą chwilę, a nawet dwie. Jake poczuł, jak opada mu szczęka. Uważał, że teraz powinien być już przyzwyczajony do rzeczy niemożliwych, lecz najwidoczniej wciąż pozostawało jeszcze mnóstwo miejsca na zdziwienie.

- Żartuje pan - wykrztusił.

- Moja siostra poślubiła średniowiecznego szkockiego właściciela ziemskiego, który już nie rezyduje w średniowiecznej Szkocji. - Alex uśmiechnął się szeroko. - Włóczyłem się po jego włościach, głupio lekceważąc ostrzeżenia, że jeśli nie zachowam ostrożności, to mogę się znaleźć w innej epoce. Jeden błędny krok i wylądowałem pod koniec dwunastego wieku.

- Kpi pan sobie ze mnie.

- Nigdy nie kpię, jeśli chodzi o podróże w czasie

- rzekł poważnie Alex.

- A pana tytuł? - dopytywał się Jake. Bez sensu było unikanie wysłuchania ściśle związanej z tematem części historii.

- To był rodzaj nagrody w turnieju - wyjaśnił prawnik. - Razem z moją żoną.

- Walczył pan w turnieju i wygrał? - uściślił Jake rozdarty między zdumieniem a straszliwą nadzieją.

- To nie jest tak niezwykle, na jakie wygląda

- Alex wzruszył ramionami. - Ćwiczyłem z moim szwagrem i władałem mieczem zupełnie nieźle, na-

* 350 *

wet jak na szkockie standardy. Musiałem naturalnie nauczyć się walki na kopie, a noszenie kolczugi było mocno upierdliwe. Ale wykonalne - spojrzał na Jake'a. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że dla zabawy spędza pan tyle czasu na placu musztry. Jake potrząsnął głową.

- Absolutnie nie dla zabawy; mam poważniejszy powód. Jest pewna kobieta...

- Zawsze jest - roześmiał się Alex. - Ta, która zrobiła dla pana miecz?

- Właśnie. I proszę mi wierzyć, jest warta katuszy na placu ćwiczeń. - Jake umilkł na moment.

- Mam jednak pewien problem.

- Proszę pozwolić, że zgadnę - wyręczył go Alex.

- Zakochał się pan w utytułowanej kobiecie i nie ma sposobu, aby ją zdobyć, jeśli samemu nie nosi się tytułu.

- No cóż...

- A żeby zdobyć tytuł, musi pan albo wyrzeć pozytywne wrażenie na potężnych osobach rycerską biegłością, albo pękatym workiem złotych su-werenów.

Jake zacisnął usta.

- Do tego to się sprowadza.

- Kiedy cofnąłem się w czasie, miałem szczęście i nie musiałem wykładać żadnej gotówki, co było dużym plusem, gdyż nie miałem przy sobie ani grosza. A w czasach współczesnych plusem jest to, że mam środki, aby móc remontować rodzinną posiadłość żony, co pochłania masę pieniędzy.

- Brzmi kosztownie.

- Bo tak też jest - Alex rozsiadł się w krześle, sięgając po kubek z herbatą. - Pana ojciec musiał być mocno zaskoczony, gdy zobaczył pana z powrotem.

* 342 *

- Jestem tego pewien. Jednak najwyraźniej przygotował się na ewentualną łyżkę dziegciu w beczce miodu.

- Ma dobrych prawników.

Jake popatrzył na rozmówcę z powagą.

- Jak dobrych?

- Bardzo dobrych - ocenił Alex. - Ale ma pan szczęście, jestem od nich lepszy.

-Tak?

- Oczywiście.

- To dobrze, bo mój ojciec jest kompletnie pozbawionym skrupułów, najbardziej chciwym człowiekiem, jakiego można spotkać.

- Znam takich - uspokoił go Alex - i wycisnąłem z nich więcej niż tylko swój udział.

Jake nie miał co do tego wątpliwości, a nie wątpił dlatego, że wiedział. On również odrobił swoją pracę domową. Gdy Gideon podał mu nazwisko Aleksa, wykonał kilka telefonów i odkrył, że za czasów swojej świetności, zanim został amerykańskim wygnańcem, Alex był ostrym korporacyjnym prawnikiem. Renoma zaciętego wojownika przyniosła mu niezachwianą lojalność jednych ludzi i dozgonną nienawiść drugich.

Typ Jake'a.

- A więc, co robimy? - zapytał Jake. - Poza uprowadzeniem go i przetrzymaniem wbrew woli - a nie, chwilczkę, to już mnie spotkało z jego strony. Znajdźmy mu coś oryginalniejszego.

Alex wyszczerzył się w uśmiechu.

- No, dobrze, mam pewien pomysł. Za dwa tygodnie odbędzie się w naszym małym Londynie spotkanie dla udziałowców brytyjskich firm holdingowych pana ojca. Proponuję, by złożył tam pan niezapowiedzianą wizytę. Trudno zaprzeczać

* 343 *

pana istnieniu w obecności pięciuset świadków. Znam człowieka, który może włamać się do prezentacji slajdów i wpleść pewne związane ze sprawą dokumenty. Według mnie w tego typu sytuacjach pomoce wizualne są nieocenione.

- Pewne nagłośnienie ze strony prasy także się przyda. Mógłby pan to załatwić?

- Naturalnie. Jako prawnik oferuję pełen zakres usług - Alex uśmiechnął się skromnie. - Mogę zapewnić jednego lub dwóch wygłodniałych reporte-rów-węszycieli. Oczywiście po spotkaniu będą nadal głodni i będą się zastanawiać, dlaczego likwiduje pan cały swój majątek, by kupić średniowieczne monety, ale może uda się panu wymyślić jakiś powód.

- Odczułem nieodpartą potrzebę porzucenia nowoczesnych luksusów i zostania pustelnikiem na Grenlandii. Albo na Antarktyce.

- To się sprzeda.

- A zatem proszę mi powiedzieć, co mam robić

- poprosił Jake, odstawiając kubek z powrotem na stół i pochylając się dla dodania wagi swoim słowom. - Muszę wrócić do swojego życia.

- Czy ona wie? - zapytał spokojnie Alex.

- Amanda? - Jake potrząsnął głową. - Jej brat wie. Ma jeszcze drugiego brata, który uważa mnie za czarodzieja, trzeciego, który sądzi, że jestem szpiegiem, i czwartego, który, krótko mówiąc, nie-nawidzi mnie.

- Zamierza pan jej powiedzieć?

- Kiedy będę mógł pokazać jej te drobiazgi, które sprawiają, że przestanie na mnie patrzeć w sposób mówiący „wariat spuszczonej ze smyczy”.

Alex roześmiał się.

- Znam to spojrzenie - przerwał na chwilę.

- Nie chce pan sprowadzić jej tutaj?

* 353 *

Jake zaprzeczył.

- Ona ma rodzinę, ja - nie. No, w każdym razie nikogo, na kim mi zależy. Nie mógłbym prosić jej, by zostawiła wszystko. A poza tym spodobała mi się średniowieczna Anglia. To dobre, proste życie.

Alex pokiwał głową.

- Zgadza się. Ma swoje niebezpieczne strony, jak każda epoka, ale ogólnie rzecz biorąc, to dobre miejsce - sięgnął po aktówkę. - No dobrze, tu jest cały plan. Mam kilka papierów, które musi pan podpisać. Jeden z moich przyjaciół sprawdza pana biuro. Najwyraźniej wszystko zostało zamknięte i pozostaje wciąż nietknięte, więc może pan również zacząć planować, co z nim począć. Jeśli chodzi o resztę pieniędzy, która przepada, przygotowałem dokumenty, które legalnie sprowadzą je do pana z powrotem. Nie potrafię powiedzieć, co zostało na funduszu powierniczym. Moglibyśmy spróbować odzyskać te środki od pana ojca, ale zajęłoby to trochę czasu.

- Nie mam czasu. Została mi także znikoma część majątku tam, gdzie Jackson III uważa, że jest - Jake uśmiechnął się. - Uwielbiam Szwajcarów, a pan?

- Ja również, lecz nadal potrzeba dowodu, że w świetle prawa nie jest pan martwy - wyjaśnił Alex. - Nawet banki szwajcarskie tego zażądają. Zabierzmy się więc do dzieła, przedstawię pana naszemu ulubionemu kolekcjonerowi monet i od tego może pan zacząć. Jednak proszę nie zaglądać na swoje konta, dopóki nie skonfrontujemy pana z ojcem.

- Nie będę - obiecał Jake. - Już raz miałem do czynienia z jego bandziorami. Nie mam czasu na drugą rundę.

* 345 *

Alex wręczył Jake'owi dokumenty, potem mu się przyjrzał.

- A zatem, co będzie pan robił, gdy pan tam wróci?

- Prawdopodobnie zajmę się trochę tym, co robię tutaj. Nie wiem, dlaczego nie miałbym projektować klejnotów. Jestem dobrym artystą. Może będę malował portrety rodziny królewskiej, żeby zarobić na życie, albo zostanę poszukiwaczem szlachetnych kamieni w odległych, jeszcze nieodkrytych krainach - wzruszył ramionami. - Znajdę sobie zajęcie.

- Uważa pan, że może pan wrócić?

- Liczę na to - Jake podniósł nagle wzrok znad papierów. - Gdzie cofnął się pan w czasie? Czy to było jakieś szczególne miejsce, czy też po prostu potknął się pan o jakąś dziwnie wyglądającą kępę trawy?

- Jeśli potrafi pan w to uwierzyć - zaczął Alex, ściągając usta - to magiczny krąg znajduje się niedaleko Falconbergu. Właściwie mój szwagier Jamie mógłby panu dać kompletną listę miejsc, z których można próbować podróży w czasie. Zdaje mi się, że jest coś pewnego nieopodal Artane. To właśnie tamtędy musiał pan wrócić.

Jake skinął głową.

- Znam to miejsce. Prawdę mówiąc, nie sądzę, bym kiedykolwiek mógł je zapomnieć.

- W takim razie nie będzie panu potrzebna mapa Jamiego - stwierdził Alex. - Ale jeśli to nie zadziała, to proszę dać mi znać, a sprawdzę inne możliwości.

Jake czuł się tak, jakby rezerwował lot i próbował zdecydować, którą trasę wybrać, by uniknąć długich przerw w podróży. Miał szczerą nadzieję, że nie trafi mu się przestój w czasach Anglii opalonej przez dżumę. Istniały dużo gorsze rzeczy

* 355 *

od zimnych kamiennych toalet i braku kostek lodu w średniowiecznych trunkach.

Wrócił do nich Kendrick, zmierzwiiony, wymięty i spocony, i usiadł po drugiej stronie Aleksa.

- Malcy - powiedział z czułością.

- Będziemy mieli malca - zdradził z uśmiechem Alex. - Dokładnie w październiku.

- Pierwsze dziecko?

- Pierwsze nasze dziecko - uściślił prawnik. - Mamy już dwójkę adoptowanych pociech. Kendrick otarł czoło.

- Życzę ci zatem powodzenia. Chłopcy są cudowni, ale przekonasz się, że dają równie forsowny trening, jak ten na placu musztry.

Jake wyłączył się z dyskusji Kendricka i Aleksa na temat przewagi treningu szkockiego nad angielskim i odwrotnie, oraz jak to się ma do wychowania małych chłopców. Skupił się na leżących przed nim papierach. Podpisał wszystkie dokumenty i odsunął na bok. Oparł się wygodnie, zastanawiając się nad swoją nieodległą przyszłością.

Cóż, najbliższa przyszłość zajmowała zbyt wiele czasu. Od sześciu tygodni nie widział się z Amandą. Musiał wracać, i to szybko.

Stawi czoło ojcu, odzyska firmę, a potem dalej pokieruje swoim życiem. Żałował, że nie ma możliwości, by porozumieć się z Amandą, żeby chociaż móc ją poprosić o cierpliwość jeszcze parę tygodni.

Chyba nie postawi na nim krzyżyka.

26

Montgomery stał w swoim zwykłym miejscu przed kominkiem, ale dziś nie mógł tu odpocząć. W domu panował zbyt wielki chaos, padało zbyt wiele pytań, słyhać było zbyt wiele podniesionych głosów, aby mógł odnaleźć spokój.

Nie mógł się uspokoić przede wszystkim dlatego, że nie wiedział jednego, czego nie wiedziała również reszta jego rodziny, a ta wiedza oszczędziłaby wszystkim smutku, w którym się pograżyli. Robin chodził tam i z powrotem i przeklinał. Nicholas siedział przy wysokim stole sam z kuflem mocnego piwa w rękach. Przez ostatnie siedem dni ten kufel stał się niemal jego nieodłącznym towarzyszem. Picie takich ilości piwa - to do niego niepodobne, lecz Montgomery nie mógł mieć mu tego za złe. Nicholas z pewnością uważał, że ucieczka Amandy to jego wina. Montgomery przypuszczał, że jest w tym odrobina prawdy. Gdyby Nicholas przemilczał swoje zamiary, być może Amanda by nie znikła.

Nie, to też nie była prawda. Wybrałaby wolność, niezależnie od tego, co Nicholas powiedział albo czego nie powiedział.

Uznała, że Jake nie wróci.

I to złamało jej serce.

*** 348 ***

Montgomery kołysał się na piętach i analizował fakty. Jake nie wrócił, to prawda, ale czy z własnej woli?

W ciągu minionego tygodnia Montgomery niemal uwierzył, że Jake był naprawdę czarodziejem i przybył, by wybawić Amandę od grubiańskich zalotników. Nie było wątpliwości, że udał się do ojczyzny, aby zabrać swój dobytek, ale nie pozwolono mu wrócić. Być może uwięziony usycha z tęsknoty, z całego serca pragnąc zjawić się z powrotem, przywożąc ze sobą złoto, by móc poślubić ukochaną kobietę.

A przynajmniej tak sobie Montgomery powtarzał.

Lecz nie mógł powiedzieć Robinowi i pozostałym braciom, gdzie się ukrywa Amanda. Obiecał jej to, a ponadto poprzysiągł sobie w sercu, że jeśli Jake wróci, to powie mu, gdzie Amanda wyjechała, żeby mógł pospieszyć jej na ratunek i sprowadzić ją do domu.

Opactwo Seakirk nie było bardzo oddalone, ale znajdowało się na tyle daleko, by Montgomery już zaczął tęsknić za siostrą.

Jednak Jake nie wrócił, więc Montgomery stał przy kominku, starając się ogrzać i dotrzymać złożonych ślubów milczenia. Starał się także nie wierzyć, że mężczyzna, którego pokochała jego siostra, uznał, że nie jest warta wysiłku, by do niej wrócić.

Naprawdę nie chciał w to uwierzyć.

Jake stał przed drzwiami do swojego skarbcza. Wsunął klucz Penelope do elektronicznego zamka i westchnął z ulgą, gdy usłyszał uspokajające kliknięcie. Zajrzał do mgliście oświetlonego pomieszczenia. Ściany były pomalowane na bardzo krzepiący czarny kolor, a stopy zapadały się w pluszowym kremowym dywanie. Jake zrzucił buty, powierzając bezpieczeństwo własnej osoby dwunastu bardzo potężnym mężczyznom, których zdobył poprzez Thada i Aleksa, i wszedł do swojej świątyni. Krążył po pokoju, zaglądając do małych oszklonych wnek wystawowych, gdzie trzymał najniezwyklesze klejnoty dla samej przyjemności patrzenia na nie. Nie kryły się za tym żadne inne prozaiczne względy. Jake zatrzymywał się przed każdym okazem, przypominał sobie proces tworzenia, co go wówczas inspirowało, dlaczego decydował, że akurat tego egzemplarza nie sprzeda. A potem stanął pośrodku skarbcza, rozejrzał się jeszcze raz i zastanowił, czy warto to wszystko zostawić.

Amanda.

Jej imię przemknęło szeptem w duszy, wywołując niepokój. Przebywał w domu już ponad dwa miesiące. Dla Amandy oznaczało to dwa miesiące

* 350 *

zastanawiania się, czy wróci. Dwa miesiące dla tego cholernego Nicholasa de Piageta, by przekonać siostrę, że jest lepszym kandydatem na męża od bezimiennego kupca, który nawet nie potrafi władać mieczem.

Jake wypuścił powietrze. Niestety, wszelkie sprawy trwają, zwłaszcza jeśli chce się pokierować ręką sprawiedliwości na swoją korzyść. Starał się dobrze wykorzystać czas, spędzając każdą godzinę dnia na placu musztry w Seakirk, szlifując swoje umiejętności czy to pod okiem Kendricka, czy też dawnego kapitana jego gwardii Royce'a. Może nigdy nie uda mu się dorównać Robinowi, ale przynajmniej pojedynk z nim potrwa trochę dłużej niż dotychczas.

Oczywiście nie były to jedyne ostatnie wydarzenia warte uwagi. Stał oko w oko z ojcem, a miało to miejsce dokładnie poprzedniego dnia i okazało się niesłychanie satysfakcjonującym przeżyciem.

Jake wszedł do sali wypełnionej po brzegi udziałowcami i podszedł prawie do samego podium, zanim ojciec podniósł wzrok znad notatek i dostrzegł syna. —

Jackson III wyglądał, jakby zobaczył ducha.

Jake nie rozumiał dlaczego. W końcu Kil-churn III musiał wiedzieć, że Jake uciekł ze szpitala psychiatrycznego. Co niby sobie wyobrażał, że jego syn tydzień lub dwa pije na umór w lokalnym pubie na golasa?

Naturalnie nie zadawał ojcu podobnych pytań. Zadał natomiast kilka innych, mających związek ze sprawą, gdy leniwie oglądał bardzo interesujący pokaz slajdów na dużym ekranie. Kiedy Jackson III odwrócił się, by zobaczyć, co tak zafascynowało jego syna, mocno się zachwiał.

*** 351 ***

Jake był pewien, że ojciec widział to wszystko pierwszy raz.

Akta medyczne, e-maile z instrukcjami dla wariatkowi na północy kraju, aby faszerować Ja-ke'a środkami uspokajającymi bez względu na zagrożenie życia czy uszkodzenie ciała. Zdjęcia ojca pogrążonego w żałobie zestawione z dokumentami świadczącymi o niepokojąco błyskawicznym przejęciu majątku i wyczyszczeniu kont syna. Nielegalne zatrzymanie asystentki Jake'a pod pozorem kontroli skarbowej dokonywanej przez niepaństwowych pracowników. Pomoce wizualne były naprawdę liczne i niesłychanie pasjonujące.

Reporterzy, którzy w milczeniu podążali za Jakiem do sali konferencyjnej razem z policjantami, rzucili się na żer, rejestrując Jacksona III w najbardziej niekorzystnych momentach.

Co zdumiewające, Kilchurn III był bardziej niż skłonny do poważnych rozmów.

I taką też rozmowę przeprowadzili w bardzo luksusowej hotelowej sali posiedzeń, w której Jackson III najwidoczniej zamierzał odprężyć się po powrocie z wyczerpującego wystąpienia przed udziałowcami. Jake pochłonął z apetytem całkiem niezły lunch, zachęcając do tego ojca, którego oblicze dziwnie poszarzało. Potem zadowolił się kilkoma podpisami, paroma dodatkowymi zdjęciami i kilkoma surowymi słowami w ramach synowskiego upomnienia. I tak zakończyła się konfrontacja ojciec - syn. Jake westchnął i wrócił do terażniejszości. Przeciągnął się, potem przemierzył całe pomieszczenie, by wziąć to, po co przyszedł. Wyjął kilka pięknych akwamarynów i wsunął je do kieszeni. A po-

*** 361 ***

tem otworzył szklaną gablotkę nad szufladami i wziął pierścionek, o którym myślał od chwili, gdy zobaczył Amandę.

To była prosta ozdoba. Bagiet* z diamentów i akwamarynów osadzonych w platynowej obrączce. Pierścionek nie przeszkadzałby jej w codziennych zajęciach. Jake ocenił rozmiar i miał nadzieję, że obrączka będzie odpowiednia, gdyż szanse na dopasowanie pierścionka, gdy już wróci w przeszłość, byłyby nikłe. Schował klejnot do kieszeni i dalej przemierzał pokój, wyciągając z szuflad egzemplarze, które mu się podobały albo sądził, że się przydadzą w przyszłości.

A raczej w przeszłości, biorąc pod uwagę okoliczności.

Wybrał także garść ukończonych klejnotów, które zamierzał wręczyć upatrzonym osobom.

A potem wyszukał trochę nieobrobionych kamieni. Mogłyby zostać oszlifowane na średniowieczną modłę albo zachowane w swojej postaci i wymienione na coś, czego by potrzebował. Włożył kamienie do sporego, specjalnie przyniesionego mieszka i ruszył-do wyjścia. Zatrzymał się, by po raz ostatni popatrzeć na dzieło swojego życia.

A teraz dzieło Penelope. Zamknął za sobą drzwi i spojrzał na asystentkę czującą się nieswojo na jego krześle. Wręczył jej klucz.

- Jest twój - uśmiechnął się. Penelope potrząsnęła głową.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Chcę.

Bagiet, bagieta - termin jubilerski, podłużno-prostokątny szlif kamienia (przyp. tłum.).

*** 362 ***

- Ale, Jake, nie możesz odejść. Nie po tym, jak stworzyłeś całą firmę. Jechać na Grenlandię! Co będziesz, do diabła, robił na Grenlandii??

- Ryby. Mroził.

Asystentka wpatrywała się w niego, a w jej zwykle suchych oczach zabłyśły łzy.

- Jesteś nieuleczalnie chory, tak? Robisz to dlatego, żebym się nie dowiedziała?

- Tu mnie masz - kłamstwo przyszło mu tak łatwo, że aż się zastanowił, dlaczego wcześniej na to nie wpadł. - Po prostu przejmij firmę, Penelope. Tak czy inaczej, przetrząsnąłem skarbiec, więc twoja niespodziewana wygrana wyda ci się trochę mniejsza, niż mogłabyś się spodziewać.

-Ale...

- Wiesz, jak prowadzić firmę. Będziesz wiedziała, jak zadbać o jej rozwój. Albo sprzedaj biznes i rób, co chcesz. Wszystko mi jedno.

- Nie umiem projektować tak dobrze jak ty

- przyznała drżącym głosem.

- Bzdura. Jesteś w każdym calu tak dobra jak ja, różnimy się tylko gustem. Masz tu mnóstwo szlachetnych kamieni, by wykorzystać je w bardzo ładnych klejnotach. Jeśli chcesz, to zachowaj markę i łagodnie oswój klientów ze zmianą. Znasz mój styl. Pomału wprowadź swój, a z biegiem czasu ludzie zapomną, co było, i skupią się na tym, co jest.

Penelope patrzyła na Jake'a kilka minut w milczeniu.

- Nie chcesz, by ktoś z tobą był? - spytała cicho.

- No, wiesz. Kiedy wyruszasz?

- Mam przyjaciół. Będą tam czekać.

- Wyjeżdżasz natychmiast?

- Za parę dni.

- Nie zadzwonisz... kiedy koniec...

* 354 *

Jake potrząsnął głową.

- To pożegnanie, Pen. Byłaś fantastyczną asystentką i dobrym przyjacielem...

Zerwała się z krzesła i zarzuciła mu ręce na szyję w zupełnie niespodziewanym gwałtownym geście. Szybko go pocałowała i wybiegła z pokoju. Jake spojrzał na Kendricka, który przebrał się za jednego z tuzina ochroniarzy. Kendrick wyszczerzył się w uśmiechu i wzruszył ramionami. Jake westchnął.

- No, dobrze, chłopcy. Jeszcze jeden przystanek, a potem możecie iść własną drogą.

Przesunął palcami po blacie biurka, rozejrzał się po gabinecie, a potem wyszedł za osiłkami i po raz ostatni zamknął za sobą drzwi.

* * *

Złapali z Kendrickiem pociąg na północ. Jake obserwował krajobraz przewijający się za oknem w zawrotnym tempie. Kendrick zostawił go z jego własnymi myślami, za co Jake był mu naprawdę wdzięczny. Zastanawiał się nad klejnotami schowanymi w kieszeni i jeszcze-większą ilością, którą ukrył w marynarskim worku z resztą bagażu. Myślał o olbrzymich sumach pieniędzy, które czekały, by je złożyć na dyskretnie oznaczonym koncie w szwajcarskim banku w zamian za setki średniowiecznych monet. Jake spoglądał przez okno i zdał sobie sprawę z faktu, że nigdy z Londynu do granicy ze Szkocją nie będzie podróżował z taką szybkością.

Szybkość została przereklamowana.

Tak samo jak wiele innych nowoczesnych wynalazków.

Przypuszczał jednak, że może naprawdę tęsknić za lutownicą i za bardzo drogim, ostro zakończono-

* **364** *

nym precyzyjnym palnikiem. Miał poważne wątpliwości, czy otwarty ogień, młotek i kowadło będą w stanie wydać takie dzieła, jakie tworzył w przeszłości.

No cóż, być może odkryje nowe metody pracy z kamieniami szlachetnymi i metalami. Trzeba oddać słuszość postępowi.

Wszystko to jednak były tanie błyskotki, zważywszy naturę prawdziwego klejnotu, z którym wiązał nadzieje.

- Mam nadzieję, że będzie czekała - mruknął Jake.

- Mandy jest porywcza - zauważył Kendrick. - Muszę przyznać, że gdy już poznałem jej charakter, nigdy nie zaskoczył mnie żaden z jej czynów.

Jake przyglądał się Kendrickowi siedzącemu naprzeciwko, średniowiecznemu rycerzowi, któremu idealnie pasowały džinsy i koszulka z krótkimi rękawami. Nie miał przypasanego miecza, mimo to roztaczał aurę człowieka, z którym nie należy zadzierać.

- Uda mi się? - zapytał Jake.

- Nie pytaj mnie o to - odrzekł Kendrick, wyglądając przez okno. - Działaj dalej tak, jak zaplanowałeś. Tylko nie pytaj mnie o rezultat.

- Istnieje określenie na takich ludzi jak ty - rzucił nonszalancko Jake.

Kendrick przyjrzał mu się przyćmionymi zielonymi oczami.

- A gdybym ci powiedział, że poślubi człowieka o nazwisku Rolfe, który spłodzi z nią dziesięcioro dzieci, będzie ją regularnie tłukł i zrobi jej z życia piekło, i że w końcu Amanda umrze przy porodzie jedenastego dziecka? Co byś wówczas zrobił?

- Zmieniłbym bieg historii - rzekł Jake.

* 356 *

- Więc jakie ma znaczenie to, co ci powiem? Jake westchnął.
 - Nie ma znaczenia. I tak się przeniosę i niech diabli wezmą konsekwencje.
 - Tak też myślałem.
- Jake roześmiał się wbrew woli. Uznał, że dostał to, na co zasłużył, wracając do swojej epoki na własne życzenie, aby ruszyć dalej, nie znając szczegółów historii.
- A poza tym, chyba nie chcesz zepsuć napięcia? - zapytał Kendrick z błyskiem w oku. - Co to za zabawa? Prawdziwi mężczyźni nie zaczynają od czytania ostatnich stron książki.
 - Twoja żona czyta.
 - Nie jest mężczyzną, tylko aniołem o miękkim sercu - Kendrick uśmiechnął się. - Nie wytrzymuje napięcia. Masz więcej pazura, prawda?
 - Jeżeli mój plan się uda, chyba przypomnę ci o swoim pazurze na milion drobnych sposobów, tytułem zapłaty czyniąc z twojej młodości piekło. Jak ci się to podoba?
- Kendrick pochylił się naprzód.
- Prawdziwi rycerze nie cofają się przed niczym.
 - Zapamiętam to.
 - Domyślam się.
- Jake zaśmiał się i znów usadowił wygodnie, by oglądać widoki za oknem. Pozwolił myślom spokojnie odpływać. Chyba nawet parę razy się zdrzemnął. Przypuszczał, że to może naprawdę ostatni raz, kiedy przysypia w pociągu, więc może wszystko zmierza w dobrym kierunku.
- Zakładając, że mu się uda.
- Zakładając, że nie będzie musiał spędzić następnych pięciu lat, na przemian błagając Penelope, by oddała mu firmę, i próbując rzucić na rynek pół

miliona dolarów w złotych średniowiecznych monetach.

Niech Bóg ma go w swojej opiece.

* * *

Genevieve czekała na nich na stacji razem z dziećmi. Kendrick wskoczył za nią do auta, a Jake załadował kilku ochroniarzy do wynajętego samochodu, za którym ruszyła druga wypożyczona limuzyna. Miał zamiar zwolnić tych ludzi, gdy już będzie pewien, że nie czyha na niego żadne niebezpieczeństwo - nastąpi to prawdopodobnie na trzy nanosekundy przed tym, jak przeniesie się z powrotem w przeszłość.

Jechali do Artane z Kendrickiem na czele. Ja-ke'a rozbawił fakt, że dla odmiany prowadziła Genevieve. Najwyraźniej nie była pewna reakcji męża na widok rodzinnej posiadłości po tylu latach. Jake nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć wyraz twarzy Kendricka, gdy na własne oczy ujrzy Gide-ona.

Na koniec zboczyli z autostrady A1, przejechali przez miasteczko i zatrzymali się na parkingu pod Artane. Jake ociągał się, podczas gdy Kendrick wszedł po schodach pod główne drzwi wraz z Genevieve i dziećmi skaczącymi dokoła niego niczym psiaki.

- Po szóstej nie można tutaj parkować - oznajmił zrzędlawy staruszek, który wyszedł ze stróżówki. - Jego lordowska mość na to nie pozwoli, mówię panu. A poza tym jest już zamknięte.

- Zadbam o to, byśmy stąd później odjechali - zapewnił oschle Jake.

Mężczyzna założył ręce na piersi.

* 358 *

- Musicie kupić bilety.

- Powiedział pan, że jest zamknięte.

Staruszek przyjrzał się Kendrickowi i jego rodzinie, popatrzył na Jake'a, spojrzął na ochroniarzy, a potem zachmurzył się i podreptał przez główne drzwi w głąb zamku. To tyle, jeśli chodzi o przybycie bez zapowiedzi. Jake dogonił Kendricka i Genevieve, gdy przechodzili pod barbakanem. Kendrick zatrzymał się, gdy dotarli na dziedziniec za pierwszymi murami i zwyczajnie wpatrywał się w zamek.

- Prawdziwi rycerze nie cofają się przed niczym

- mruknął pod nosem Jake.

- A niech cię - warknął Kendrick. Odetchnął głęboko, popatrzył na Jake'a i uśmiechnął się ze skruchą.

- Chyba na to zasłużyłem.

- Chyba tak.

Kendrick przeniósł wzrok na ścieżkę prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec, westchnął i wyprostował ramiona.

- Zakładam, że na nas czekają?

- Cóż, czekają na mnie - rzucił nonszalancko Jake. - Powiedziałem tylko, że przyprowadzę kilkoro przyjaciół. Ty masz mieć gotowe wyjaśnienie. No co, ja mam o wszystkim myśleć?

- Tutaj także jest plac musztry, tak jak w Seakirk

- zauważył Kendrick. - Mógłbym zażądać spotkania z tobą o świcie.

- Stawię się o brzasku. Ale na twoim miejscu wymyśliłbym jakąś historyjkę. Możesz też spróbować powiedzieć prawdę. A z drugiej strony, może powinniśmy na początek ocenić charakter lorda Edwarda. Jeśli będzie wyglądał na maminsynka, skłamiemy.

Genevieve roześmiała się.

* 368 *

- Jake, nie ułatwiasz mi zadania.
- Jestem ci winien parę chwil zakłopotania
- położył dłoń na ramieniu Kendricka. - Prawdę powiedziawszy, Gideon ma spotkać się z nami w drzwiach i już rozmawiał ze swoim ojcem. Najwidoczniej wszelkie upiorne zjawiska mają miejsce w Artane - uśmiechnął się. - Nie zaliczają się do dziesiątki najlepszych, ale to przecież tylko papierowa lista. Może zajmują jedenaste miejsce.
- Jeśli nie, mogę im to załatwić - zaproponował Kendrick ponurym tonem. - Znam kilka zjaw, które nie miałyby nic przeciw temu, gdyby mogłyby dzielić czas między Seakirk a jakimś nowym obiektem. Jake uśmiechnął się i ruszył za Kendrickiem. Nagle olśniło go, że właściwie znajduje się w jego skórze. Oto idzie tą samą ścieżką, którą przemierzał w pożyczonych średniowiecznych trzewikach, tylko teraz ma na sobie własne współczesne buty na gumowej podeszwie. Dżinsy i bluza w niczym nie przypominały rajtuzów i koszuli. Jake przystanął pod łukiem bramy w barbakanie i zajrzał na plac ćwiczeń. Różnił się od swojego odpowiednika z epoki, lecz gdyby usunąć trawę, dodatkowe budynki z kamienia i tego małego czerwonego mini-morisa za węglem, wszystko wyglądałoby tak samo. Jednakże zdawał sobie sprawę, że rodzina, do której chciał należeć, już tu nie mieszka. Westchnął i poszedł z Kendrickiem i Genevieve do donżonu. Wszedł po stopniach. Zaczekał, aż Kendrick zapuka. W końcu Kendrick tutaj się urodził i spędził większą część młodości. Byłoby stosowne, gdyby to on wprowadził ich do środka.
- Czuję się tak, jakby to nie był już mój dom
- zadumał się Kendrick. - Po tylu latach - spojrzął na Jake'a. - To tak dziwnie mija.

* 360 *

- Może przyznają ci prawo do odwiedzin - zastanowił się Jake.

Wtem drzwi się otworzyły i ukazał się Gideon cały w uśmiechach. Uśmiechał się, dopóki nie zauważył Kendricka, a wtedy zamarł z otwartymi ustami.

Jake zrozumiał.

- Gideonie de Piaget, poznaj Kendricka, earla Seakirk. - Jake dokonał prezentacji. - Kendricku, poznaj swojego bratanka, Gideona. Naturalnie w odstępie kilku pokoleń.

Kendrick i Gideon wpatrywali się jeden w drugiego, wyraźnie nie będąc w stanie zrobić nic innego.

Jake popatrzył na Genevieve z uśmiechem.

- Mogliby być bliźniakami, nieprawdaż?

- Pomijając kolor włosów, rzeczywiście mogliby

- przyznała rację, odwzajemniając uśmiech.

- Straszne.

- Bardzo - Jake przeniósł wzrok na Gideona.

- A więc, Gideonie, nie zaprosisz nas do środka?

- Proszę wejść - odezwał się wreszcie gospodarz, cofając się o krok, wciąż bezgranicznie zdumiony.

- To przeznaczenie - rzekł Jake z naciskiem.

- Pamiętasz, mówiłeś mi o tym?

- No tak - stwierdził Gideon. - No tak, rozumiem.

Kendrick wyciągnął wreszcie dłoń.

- No to przywitajmy się, bratanku.

Gideon popatrzył na jego rękę, a potem wyciągnął swoje obie i objął Kendricka w męskim uścisku, poklepując go i ściskając. I nagle, tak samo jak niespodziewanie przytulił gościa, odsunął się. Był uśmiechnięty.

- Przykro mi, że nie przyjechałeś wcześniej.

* 370 *

- Mnie również - wyznał Kendrick. Zawahał się. - Czy twój ojciec wie?

- Powiedziałem mu wczoraj wieczorem, gdy nalał sobie jednego - zaśmiał się Gideon. - Wypluł wszystko na bardzo kosztowny stylowy dywan. Pokażę ci plamy.

Kendrick z radości także pokazał wszystkie zęby, a Jake'a przeszył dreszcz. W roztargnieniu zastanowił się, czy często się zdarza, że przodek i potomek byli tak podobni z wyglądu i usposobienia. To byłby temat na fascynującą książkę.

Jaka szkoda, że miał inne rzeczy do zrobienia niż spisanie takiej historii.

Wymienił krótki uścisk dłoni z Gideonem, a potem usunął się na bok, pozwalając gospodarzowi wprowadzić Kendricka do wielkiej sali zamku Artane. Sam trzymał się z tyłu, pilnując dzieci, gdy zaszła taka potrzeba, i po prostu chłonąc widok współczesnego Artane. Uciał sobie miłą pogawędkę z ojcem Gideona, przyjął komplementy jego matki na temat projektowanej biżuterii i zasiadł przy bardzo, bardzo zniszczonym wysokim stole, by delektować się popołudniową herbatą.

Przy tym samym stole, przy którym siedział z Amandą z Artane osiemset lat temu.

Jake odkrył, że było wręcz niemożliwe nie myśleć o niej nieustannie, gdy siedziało się tutaj, pogryzając ciasteczka i popijając herbatę. Czy siedziała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie on teraz, tylko kilka wieków wstecz? Czy myślała o nim? Czy też straciła nadzieję?

Nie poddawaj się, błagał ją w duchu. Jeszcze tylko parę dni. Daj mi jeszcze kilka dni.

- Zwiedzanie - ogłosił uroczyście Edward z Artane. - A więc zobaczy pan, że Artane nie... hm...

*** 362 ***

nie zmieniło tak bardzo - urwał na chwilę. - Przez lata. Prawie zupełnie nie.

Jake skrył uśmiech za dłoń. Edward wypowiadał się śmiało, lecz ręka mu drżała, gdy wykonywał nią zamaszyste gesty. Któż mógłby mieć mu to za złe? W końcu nie co dzień zdarza się, by wnuk Rhysa de Piageta przychodził ocenić, jak kolejne pokolenia troszczyły się o starą kupę kamieni.

Jake z przyjemnością wziął udział w zwiedzaniu, przechadzając się po miejscach, w których już był, ożywiając wspomnienia, rozpaczliwie pragnąc cofnąć się w czasie i spacerować po tych korytarzach z kimś innym, bez obrazy, niż Kendrick.

- Loch - oznajmił Edward, pokazując za kuchnię. - Oczywiście ze względów bezpieczeństwa zamknęliśmy wejście, lecz, o ile mi wiadomo, kiedyś było to dość nieprzyjemne miejsce.

Spojrzał na Kendricka z ukosa. Kendrick wzruszył ramionami.

- Nigdy tam nie nocowałem. Proszę zapytać Jake'a. Domyślam się, że Amanda od razu go tam wtrąciła, nieprawdaż?

Jake parsknął. —

- Przecież ci opowiadałem. - Przeniósł wzrok na Edwarda - Dziękuję, milordzie, za zabicie lochu deskami. To naprawdę nieciekawe miejsce.

- Lochy zostały zamknięte, ale piwnica jest dostępna - opowiadał dalej Edward. - Obecnie używamy jej jako magazynu, ale rozumiem, że w przeszłości - i znów rzucił Kendrickowi spojrzenie - korzystano z niej w innych celach.

Kendrick tylko uśmiechnął się uprzejmie. Edward popatrzył na Jake'a.

- Mamy tutaj bez liku wszelkiego rodzaju zabytków, ale być może chciałby pan obejrzeć górne

* **363** *

piętro, gdzie trzymamy najznakomitsze dzieła sztuki. Naturalnie umieściliśmy wszystkie egzemplarze za szkłem, aby powstrzymać osobliwych turystów o lepkich rękach od podkradania kawałków naszej historii, lecz pan może badać dzieła tak długo, jak długo się panu spodoba.

- Ojcie, czemu nie mieliby się u nas rozgościć - zaproponował Gideon. - Zwiedzanie może poczekać do jutra. A dzieci może miałyby ochotę pobawić się trochę na dworze, zanim podamy kolację.

Na twarzy Edwarda odmalował się wyraz ulgi, lecz nie ulżyło mu na tyle, by zapomnieć szarmancko podać Genevieve ramię, prowadząc ją na górę. Kendrick włókł się obok Jake'a, gdy przemierzali kuchnię.

- No i jak? - spytał cicho Jake. Kendrick potrząsnął tylko głową.

- To dziwne uczucie, mój przyjacielu, znów chodzić po własnym domu po tak długim czasie.

Gdyby Jake'a stać było na więcej, dostrzegłby u Kendricka lekko zwilżone oczy.

- Jest w znośnym stanie - uśmiechnął się Kendrick. - Zaiste, w znośnym stanie. Mój dziadek byłby zadowolony - spojrzał na Jake'a. - Spotkałeś Rhysa?

- Jeszcze nie.

- Polubiłbyś go. Jest bardzo sprawiedliwym człowiekiem.

- Żywię głęboką nadzieję - westchnął z uczuciem Jake. Podążył za Kendrickiem po schodach i otrzymał pokój na pierwszym piętrze.

Pokój bliźniaków.

Musiał wejść i usiąść, aby nie upaść na podłogę. Musiał przenieść się z powrotem. I to niebawem.

Wszystkie te *déjà vu* go dobijały. Ukrył twarz

* 373 *

w dłoniach i zamknął oczy. Na następny dzień zostało zaplanowane spotkanie z numizmatykiem. Miał już ubranie. Wszystko, co zostało mu do zrobienia, to spakować się i podjąć próbę.

Uda się.

Musi się udać.

Ciche pukanie do drzwi podniosło Jake'a na nogi. Podszedł do drzwi, otworzył i ujrzał Genevieve de Piaget trzymającą w jednej ręce dziecko, a w drugiej małą walizkę. Jake uśmiechnął się do niej.

- Jak tam idzie Kendrickowi?

- Już węszy po wszystkich zakamarkach bez wiedzy jego lordowskiej mości. Jeżeli uda nam się zjeść tutaj przyzwoity posiłek, zanim nas wykopią, to będzie cud.

Jake roześmiał się.

- Nie jestem pewien, czy lord Edward może oskarżyć Kendricka o włamanie i najście albo kradzież, jeśli o to chodzi. Może to Kendrick zacznie rzucać takie oskarżenia.

- Wątpię - stwierdziła Genevieve. - Nie wolno mu było opuścić murów Seakirk, ale z pewnością miał ludzi, którzy mogli to zrobić. Jednym z nich był Jonathan, malarz, który namalował portret rodziny Kendricka wiszący nad biurkiem. Sądzę, że odbył więcej niż jedną podróż do Artane, aby odzyskać rzeczy mojego męża.

Jake popatrzył na nią w zamyśleniu.

- Jak to jest?

- Poślubić człowieka, dla którego współczesny angielski jest drugim językiem?

- Można tak to ująć. Genevieve uśmiechnęła się.

- No cóż, nauczyłam się normandzkiego dialektu, jeśli zadowala cię taka odpowiedź - potrząsnę-

* 365 *

ła głową, znów się uśmiechając. - To jak sen, od początku do końca. Nie żałuję niczego nawet przez chwilę. Kendrick jest wspaniałym ojcem, fantastycznym mężem i groźnym wojownikiem. Nie posiadam się ze szczęścia, że los zachowywał go dla mnie przez osiemset lat.

- Jestem przekonany, że byłaś tego warta. Mam nadzieję, że Amanda będzie miała takie same odczucia wobec mnie.

Genevieve zachęcająco pokiwała głową.

- Z pewnością. Liczę na to, że łatwo uda ci się znaleźć drogę powrotną.

Podawała mu walizeczkę.

- A to dla ciebie. Rzeczy, które sprawią, że twoja podróż w czasie okaże się jeszcze łatwiejsza. Ja muszę lecieć. Maleńka miała długi dzień, tak samo jak jej mama.

- Może pomóc ci przy chłopcach? Potrząsnęła głową.

- Żona Gideona, Megan, jest na miejscu i razem zabrali chłopców na podchody w poszukiwaniu skarbu.

- Jaki ojciec, tacy synowie. Genevieve roześmiała się.

- Wyprawa chłopców jest przynajmniej sponsorowana, jednak szczerze wątpię, by znaleźli coś choć w nikłym stopniu tak interesującego jak Kendrick. - Niemowlę zaczęło marudzić, więc Genevieve pokołysała je w ramionach. - Muszę iść. Do zobaczenia na kolacji.

Jake kiwnął głową i zamknął drzwi. Położył walizeczkę na krześle i otworzył ją. W środku znajdowało się kilka sztuk średniowiecznej odzieży, para nowych butów uszytych ściśle według średniowiecznej mody oraz bardzo rustykalnie wyglądają-

ca torba na plecy, żeby wszystko tam schować. A na dnie walizeczki leżało małe pudełko czekoladek Godiva z liścikiem:

Dla Amandy, ponieważ pudełko czekoladek w dowód uwielbienia nigdy nie jest złym prezentem.

Oczywiście zakładając, że ci się uda...

K

Jake uśmiechnął się, a potem spakował strój. Na drogę powrotną włożył przyodziewek, w którym tu przybył, a podarowany strój postanowił zachować na lepszą okazję. Być może na swój ślub.

Człowiekowi wolno marzyć.

Schował klejnoty i szlachetne kamienie pod łóżko. Rzucił ostatecznie spojrzenie na współczesną wersję komnaty, w której spędził tyle czasu, i wyszedł, by zejść na kolację.

28*

Amanda klęczała przechylona przez ławkę. Drgnęła na smagnięcie różgą przez plecy. Mocno zacisnęła powieki, lecz łzy i tak popłynęły po policzkach. Nie zamierzała krzyczeć. Wiedziała, że milczenie rozwściecza matkę przełożoną i przypuszczała, że gdyby miała tyle rozumu, ile dobry Bóg udzielił jeżowi, natychmiast by się rozplakała i oszczędziła sobie męczarni.

- A niech cię, dziewczko jedna! - wydusiła ksieni po zadaniu szczególnie dotkliwego ciosu -kajaj się! Jestem już tym znużona.

Amanda zacisnęła usta do białości, jednak siłą kolejnego razu wydusiła z niej głośny wydech. Na wszystkie świętości, gdyby mogła, zerwałaby się, wyrwała przełożonej różgę i potężnie ją zdzieliła. Niestety, nie mogła wstać. A szczerze mówiąc, zaczynała wątpić w swoją wytrzymałość pod razami tej zdeterminowanej kobiety, która była gotowa chłostą wydusić z Amandy jakiegokolwiek przyznanie się do winy.

Kolejny cios przekonał Amandę, że może spowiedź przyniesie jej większy pożytek.

- Wybacz mi, wielbna matko - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. - Mam wiele wad, które muszę z siebie wykorzenić.

*** 368 ***

Ksieni prychnęła i odrzuciła różgę w głąb celi.

- Nareszcie! To zbyt wiele jak na moje biedne ramię. Znajdę kogoś, by pomógł ci żałować za grzechy. Amanda opuściła z ulgą głowę, gdy przełożona wyszła z celi. Nie miała pojęcia, kto przyjdzie następny, lecz być może nikt nie będzie miał czasu lub chęci, by pomagać jej dostrzec błędnie obranych ścieżek. Amanda wsparła się niewygodnie o ławkę, zastanawiając się, kiedy jej plany poszły na opak.

Prawdopodobnie wtedy, gdy galopem wyjechała za masywne bramy Artane.

Oczywiście powinna była się zorientować, że coś jest nie w porządku, gdy przedstawiła się matce przełożonej. Mniszka natychmiast ją rozpoznała, co wielce Amandę zdumiało. Drugie zdanie, jakie padło z ust ksieni, nie brzmiało: „Jakie to wspaniałe, że poczułaś powołanie do modlitwy?” tylko: „Ile wnosisz złota i majątku?”.

Amanda uznała, że ktoś odpowiedzialny za tak duże opactwo musi zapytać o sprawy materialne, lecz rzecz tkwiła w sposobie zadania pytania. Poczula się nieswojo, gdy ksieni zachowywała się niczym kupiec szacujący worek złota i od razu rachujący w myślach, na co może je przeznaczyć.

Kupcy.

Niech ich wszystkich piekło pochłonie, czy wiecznie będzie cierpieć męki z ich powodu?

Następnie zabrano Amandzie odzienie i dano coś przypominającego worek na zboże. Ubiór sam w sobie jej nie przeszkadzał, zważywszy że większość życia spędziła w mniej niż wygodnym przyodziewku brata, ale paskudnie ocierał i szorstkimi szwami już zdarł skórę na łokciach do żywego.

Przemknęło jej przez myśl, czy siostrzyczki nie

*** 369 ***

wszywały przypadkiem kolców ostu, żeby poddać próbie oddanie postulantek.

Post stanowił kolejny punkt reguły. Amanda nie potrafiła sobie przypomnieć ostatniego razu, gdy ofiarowano jej coś do jedzenia, lecz sądziła, że mogło to być rankiem poprzedniego dnia. Była przekonana, że posiłek składał się z kleiku, którym nikt nie karmiłby nawet wieprzy.

Jednym słowem, zaczęła przypuszczać, że popełniła straszny błąd.

Możliwe, że nawet życie z Ledenhamem nie byłoby tak okropne.

Odwiązano jej nadgarstki od nóg ławki, na której wymierzano razy, i szarpnięciem przywrócono do pozycji pionowej. Amanda zachwiała się. Zachwiałaby się bardziej, gdyby nie podpierające klepnięcie, które ją otrzeźwiło.

- Czas spędzony w kuchni posłuży ci lepiej niż następne baty - oznajmiła bez ceregieli mniszka o ponurej twarzy. - Najlepiej od razu ruszaj do roboty, póki masz siły - przyjrzała się Amandzie krytycznym okiem. - I zbij włosy. Nie pojmuję, dlaczego nie ścięłaś ich zaraz po przyjeździe. To zapewne jakieś szczególne względy.

Amanda spróbowała zapleść włosy, lecz okazało się, że nie jest w stanie podnieść rąk na wysokość ramion bez bólu tak dotkliwego, że aż się zachłysnęła. Jednak spojrzenie siostry Eunice uświadomiło jej, że ból to najmniejsze z jej obecnych zmartwień, zatem Amanda postarała się zrobić, co w jej mocy.

Kuchnia. Cóż za łaska! Może przynajmniej uda jej się podebrać coś do jedzenia, gdy już tam będzie. Potrząsnęłaby z niedowierzaniem głową, gdyby nie było to zbyt bolesne, więc zadowolila się tylko cichym prychnięciem dezaprobaty z powodu

*** 370 ***

własnej głupoty. Wyobrażała sobie życie pełne cichej kontemplacji, spokoju i bezpieczeństwa. A trafiła w miejsce przesiąknięte intrygami gorzej niż na dworze.

Co gorsza, nie była pewna, czy mogłaby uciec.

A nawet, czy powinna próbować. Westchnęła głęboko. Być może raz w życiu należy okazać więcej determinacji, a nie tylko obmyślać sposób wydostania się z sytuacji, w jakich stawia człowieka życie.

Teraz to był jej wybór. Czy ma aż tak słaby charakter, że cofnęłaby się przed tym, co trudne?

Przyniosłaby wstyd ojcu.

Wyprostowała ramiona i ostrożnie, ale z determinacją pomaszerowała za siostrą Eunice. Postawiła stopę na tej ścieżce; będzie szła dalej, by zobaczyć, jak się ta droga skończy. Gdy już wyrazi skruchę ku satysfakcji Joan, matki przełożonej, i złoży śluby, wtedy będzie można powiadomić ojca, by przekazał wiano córki kościołowi. Zdaniem Amandy, ojciec nie będzie miał wyboru. Jej zobowiązanie byłoby nieodwołalne, a odmowa - nie do pomyślenia.

Amanda przynajmniej żywiła nadzieję, że ojciec uzna odmowę za rzecz nie do pomyślenia, lecz powątpiewała, czy jej ziemie i złoto w ogóle wystarczą, by kupić jej całkowity spokój od wielebnej matki.

Równie dobrze mogłyby posłużyć na zakup czegoś pożytecznego.

* * *

Dni Amandy płynęły jeden za drugim, aż w końcu straciła rachubę, ile czasu przebywa poza domem. To mógł być tydzień, a może dwa. To mogła być wieczność. Sypiała na brudnej podłodze bez

* 371 *

przykrycia, jadała resztki tego, co zostało na ogniu - jeśli jej pozwolono; pracowała w ogrodzie, w chlewie, w oborze, aż popękała jej skóra na krwawiących dłoniach, a bose stopy wyglądały podobnie. Dużo się modliła, lecz nigdy, jak chciałby los, w zaciszu kaplicy.

Dziś jej zadanie polegało na roznoszeniu posiłków do rozmaitych miejsc w klasztorze. Amanda uznała, że za tą decyzją kryje się fakt, że ziemia stawała się coraz chłodniejsza, jej stopy coraz bardziej krwawiły, a matka przełożona była już zmęczona chłostaniem Amandy, by zmusić ją do posłuszeństwa.

Prawdę mówiąc, Amanda również była tym zmęczona.

Kuśtykała po wyłożonych kamieniami drózkach, niosąc coś pachnącego smakowicie, i robiła, co mogła, by nie zrzucić przykrywki i nie zjeść zawartości naczynia za jednym zamachem, bez przerwy na oddech. Zdawała sobie jednak sprawę, do czego by to doprowadziło, zatem skupiała się na stopach, a nie na jedzeniu, i nie przystawała po drodze. Cela ksieni bardziej przypominała luksusową komnatę niż klasztorną celę, ale kimże była Amanda, żeby to osądzać?

Zatrzymała się przy wejściu tylko dlatego, że drzwi były uchylone i nie bardzo wiedziała, czym ma zapukać, skoro ręce miała zajęte drewnianą tacą uginającą się pod wspomnianymi przysmakami.

- Napisz to dla mnie - usłyszała wyraźny, rozkazujący głos matki przełożonej. - Nie chcę tym sobie kalać rąk.

- Jak sobie życzysz, matko przełożona - odpowiedziała siostra Eunice, ta od różgi, siostra, której zdecydowanie brakowało cierpliwości.

* 381 *

Amanda stała na progu, zastanawiając się, jak przerwanie mniszkom rozmowy wpłynie na jej najbliższą przyszłość, gdy nagle usłyszała coś naprawdę zdumiewającego.

- Do Ledenhama - zaczęła ksieni Joan - ode mnie. Przedstaw jakoś sprawę. Wiesz, jak chcę, żeby to brzmiało.

Amanda ścisnęła drewnianą tacę. Ledenham? Zaczęła się obawiać, że to nie wróży niczego dobrego.

- Mam kobietę, której wasza lordowska mość pragnie. Jest należycie uczona potulności i szacunku.

Nie ostrzegłam tych w Artane tylko dlatego, iż jestem przekonana, że ty, mój zacny Ledenhamie, pragnąłbyś dostąpić przyjemności powiadomienia Artane, że to właśnie ty dogoniłeś i pojmałeś... o nie, to niewłaściwe słowo. Jak powiedziałybyś, Eunice?

- Uratowałeś? - zaproponowała mniszka. - Zgładziłeś? Zapędziłeś w kozi róg?

- Och, na wszystkich świętych - matka przełożona była zdegustowana - nie masz dość oleju w głowie do takich spraw. Napisz „pojmałeś” i niech tak zostanie. Powiedz, że uznałam, iż Ledenham będzie tym, który powiadomi ród Artane, że odnalazł ich nieszczęsną córkę... nie, nie pisz tego, tępa-ku... i że z tego powodu nie dałam znać do Artane, że dziewczka jest tutaj - westchnęła tak głośno, aż Amanda się skrzywiła. - Powiedz mu, by przyjechał ją zabrać. Szybko. A jeśli sądzi, że dziewczyna potrzebuje więcej dyscypliny, z radością tego dopilnuję. Istotnie, mogłaby wzbudzić w sobie jeszcze więcej pokory. Dlaczego mnie przypadła ta misja w udziale, nie mam pojęcia, lecz mój trud wydaje się nie mieć kresu.

Zgrzyt krzesła o kamienną podłogę przestraszył Amandę tak bardzo, że niemal upuściła tacę na zie-

* 373 *

mie. Prędkim krokiem ruszyła w stronę, skąd przyszła, potem zawróciła i głośno pojękując szła ścieżką.

Niech święci mają ją w swojej opiece, jeśli matka przełożona domyśli się, że Amanda podsłuchiwała. I niech święci bronią ją przed tym, co usłyszała.

Nie powinna była dać się zaskoczyć. A więc jednak miała zostać sprzedana Ledenhamowi! W Artane przynajmniej mogłaby spędzić kilka ostatnich dni wygodnie i bezpiecznie. Życie w zamku wydawało się jej teraz o wiele znośniejsze niż zaledwie czternaście dni temu.

Delikatnie zapukała łokciem.

- Wielebna matko? - spytała. Potulnie. Drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się siostra Eunice z grymasem niezadowolenia na twarzy.

- Dość długo ci to zajęło.

- Wybacz mi, matko - Amanda pochyliła z pokorą głowę. - Następnym razem dołożę wszelkich starań, aby stawić się szybciej.

Przeorysza burknęła.

- Postaw przy niej straż. Dobrze, najpierw baty, a potem straż. Na wszystkie świętości, te rozpieszczone pańskie córki napawają mnie wstrętem. Nauczenie ich tego, co muszą wiedzieć, by stać się prawdziwymi mniszkami, to olbrzymi wysiłek.

Amanda o mało nie prychnęła. O tak, tylko ogromnym wysiłkiem woli udało jej się utrzymać pochyloną głowę i kamienny wyraz twarzy. A niech ją, tę tłustą, kłamliwą maciore! Wcale nie zamierzała uczynić z Amandy mniszki! Amanda zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby uciec, a jeśliby jej się to udało, jak zdoła pokonać całą drogę powrotną do Artane.

Było jasne, że ksieni nie odda jej konia.

Eunice uderzyła Amandę tak mocno, że zadzwoniło jej w uszach i niemal upuściła tacę.

* 383 *

- Niezgraba - rzuciła.

Amanda zdołała postawić tacę i uciec z celi, zanim coś jeszcze usłyszała lub poczuła. Przeczuwała jednak, że jej wieczór skończy się tak jak zawsze, na żmudnej nauce potulności. Jediną rzeczą, którą mogła przyznać Eunice, był fakt, że nie miała do tej nauki cierpliwości. Jedno lub dwa uderzenia i zakonnica udawała się na spoczynek.

Amanda spojrzała na niebo, gdy wracała do kuchni. Nawet nie miała siły płakać. Była głupia; sama dostała się w to straszne miejsce i mogła z tego powodu obwiniać tylko siebie.

Pomyślała, że może Jake jakimś cudem powrócił do Artane...

Czy nadal ją kocha?

Czy będzie w stanie wydobyć z Montgomery'ego prawdę?

Nie wiązała wielkich nadziei z żadną z tych kwestii. Powłokła się zatem do kuchni i modliła w duchu o odrobinę samotności, choćby o chwilę, by móc wyskrobać dno kociołka po duszonym mięsiwie i złagodzić dojmujący ból żołądka, nim siostra Eunice pośle po nią, aby kontynuować lekcje pokory. Jeszcze nie dotarła do kuchni, kiedy z obu stron otoczyli ją strażnicy o ponurych obliczach. Nie dotykali jej, nie odzywali się, lecz szli tak blisko, że Amanda nie miała cienia wątpliwości, że już nie uda jej się uciec.

Na wszystkich świętych, co zrobiła najlepszego?

Nie potrafiła udzielić odpowiedzi na to pytanie, więc szła dalej.

I modliła się o cud.

Jack przyjrzał się ekwipunkowi rozłożonemu na łóżku, by upewnić się, że ma wszystko, czego mu potrzeba. Osiem worków złota, które aż nadto powinny wystarczyć na zakup olbrzymiego zamku, a do tego wielkiego, wypasionego tytułu i jednej prześlicznej i niezastąpionej Amandy z Artane.

Nie chciał rozważać innej możliwości: majątny, utytułowany i wciąż samotny w roku 1227.

Sprawdził w pamięci listę klejnotów zapakowanych w kilka sakiewek i powkładanych w różne części garderoby. Postanowił pochować cenne drobiazgi w różnych miejscach, aby - gdyby został obrabowany - bandyci coś przeoczyli.

Przygotował także parę przyborów do obróbki kamieni. Myślał też o zabraniu czegoś, co mogłoby potwierdzić datę jego urodzenia, lecz porzucił ten pomysł. Nie był pewien, jak w trzynastym wieku przedstawiała się kwestia palenia czarownic na stosie, a nie miał ochoty przekonać się o tym na własnej skórze.

Ubrał się w stary średniowieczny przyodziewek, a potem spakował resztę bagażu. Wzwał znoszone buty, przypasał miecz i rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy niczego nie zapomniał. Posłał łóżko

* 376 *

i zostawił na widocznym miejscu małe puzderko. Było przeznaczone dla Kendricka. Jake był niemal pewien, że mu się spodoba.

Zarzucił torbę na ramię i zszedł po schodach. Lord Edward już siedział przy stole, zajadając wędzonego łososia z tostami na zimno. Jake przystał na zaproszenie i usiadł naprzeciwko gospodarza. Lord popatrzył na Jake'a sponad brzegu filiżanki.

- A więc rusza pan dzisiejszego ranka? - zagaił uprzejmą rozmowę.

- Trzeba mieć nadzieję - Jake się uśmiechnął. Lord Edward potrząsnął głową, jakby nie mógł w coś uwierzyć.

Być może w to, co przydarzyło mu się w zeszłym tygodniu, domyślił się Jake.

- Życzę panu szczęścia - rzekł Edward, odstawiając filiżankę. - Czy jest coś, co mógłbym dla pana zrobić?

- Zrobił już pan bardzo dużo. Był pan tak uprzejmy i pozwolił mi dotknąć wielu z pańskich skarbów. Sprawił mi pan nieoczekiwaną przyjemność.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić - przyznał Edward. - Moja żona przepada za pana biżuterią i było niesłychanie miło z pana strony, że ofiarował jej pan coś nowego w ramach pożegnalnego prezentu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - przyznał szczerze Jake.

I tak było. Helen, obecna pani Artane, tak rozplýwała się w zachwytach poprzedniego wieczoru, że Jake'a aż kusiło, by się zaczerwienić. Ach, gdy-byż wszyscy klienci byli tak usatysfakcjonowani.

Podniósł wzrok znad talerza ze śniadaniem i zobaczył, że do stołu podchodzi Gideon ze swoją żo-

* 386 *

ną Megan u boku. Jake usiadł wygodniej i obserwował, jak się przyłączają i zaczynają pogawędkę z lordem Edwardem. Gideon i jego rodzina w jakiś sposób wydawali mu się surrealistyczni, jakby oglądał ich w odpowiednim miejscu, ale w zupełnie niewłaściwym czasie.

- Twoi ochroniarze czekają na ciebie przy bramie, daj znać, gdy tylko będziesz gotów - zwrócił się do niego Gideon.

- Dziękuję - odrzekł Jake. - Nie sądzę, bym ich jeszcze potrzebował. Zostawiłem dla nich wypłatę. Czy wręczycie im pieniądze, gdy już będę bezpieczny, daleko stąd?

- Naturalnie - zapewnił Gideon. Uśmiechnął się smutno. - Wie pan, czuję się jakoś strasznie odpowiedzialny za to, co się stało.

- Będę pana mile wspominał po wieczne czasy - roześmiał się Jake.

- No tak, ale te prymitywne warunki - zauważył Gideon. - Bez komórek, komputerów, bez możliwości prowadzenia interesów na całym świecie z zacisznego i wygodnego biura - wzdrygnął się. - Nie sądzę, bym potrafił zdobyć się na coś takiego.

- Powiedziałbym, że przeceniamy technikę, ale to mogłoby okazać się dla pana zbyt wielkim wyzwaniem - zaproponował Jake. - Przyznaję, że będzie mi brakowało pewnych narzędzi związanych z moim rzemiosłem i łatwości zdobywania materiału do obróbki. Ale to, co otrzymuję w zamian, jest tego warte.

- Musi być wyjątkowa.

- Jest. Pod każdym względem. Gideon umilkł na chwilę.

- A pana rodzina tutaj?

* 378 *

- Dadzą sobie radę - powiedział Jake i było to niedopowiedzenie tysiąclecia*. - Liczę na nową gromadkę krewnych w bliskiej przyszłości.

- No cóż, wżeni się pan w niezłą rodzinę - Gideon uśmiechnął się. - Ludzie najwyższej próby, od wieków.

Jake skinął głową z uśmiechem. Amanda nosiłaby nazwisko Kilchurn, a nie de Piaget, lecz miał nadzieję, że jej rodzina nie będzie miała mu tego za złe.

Zakładając, że mimo wszystko go poślubi.

- A przyjaciele? - pytał dalej Gideon.

- Już się z nimi pożegnałem - stwierdził lekko Jake. Zadzwoił do swojego starego kumpla z Eton, Alistaira, aby znów, raz do roku, podzielić się wieściami. Penelope już zamydlił oczy. Thad w milczeniu wysłuchał historii, przy czym miarowy rytm jego oddechu nawet nie uległ zakłóceniu, na ile Jake mógł się zorientować przez telefon. Życzył przyjacielowi powodzenia, powiedział, by pamiętał o wszystkim, czego nauczył się w Szkole Przetrwania Thada, a potem przyznał, że będzie za nim tęsknić.

Faktycznie powiedział: „Na razie, brachu”, ale Jake łatwo mógł te słowa przetłumaczyć.

Zabrał się do ostatniego współczesnego posiłku, nie pozwalając sobie na deliberacje, że równie dobrze może to nie być jego ostatni współczesny posiłek, i gawędził o wszystkim i o niczym z gospodarzami, Gideonem i Megan, a w końcu z Kendric-kiem i Genevieve.

W oryginale kapitalna gra słów z utartym angielskim wyrażeniem *century understatement* - niedopowiedzenie stulecia, na określenie grubego niedopowiedzenia Autorka wprowadziła neologizm *understatement of the millennium* - niedopowiedzenie tysiąclecia (przyp. tłum.).

* 388 *

A potem nagle zrozumiał, że musi iść. Zupełnie tak, jakby usłyszał przez głośniki ostatnie wezwanie do stawienia się na pokładzie samolotu. Wstał, podziękował za gościnę i spytał Kendricka, czy mógłby go podwieźć. Kendrick skinął głową i wyszedł z nim za drzwi zamku.

- Niesamowite, prawda? - spytał Jake, gdy zstępowali na dziedziniec.

- O, tak, bardzo - odrzekł z przekonaniem Kendrick.

- Żałujesz, że tu przyjechałeś?

- Nie, absolutnie. To trzeba było zrobić dawno temu. Przypuszczam, że przeprowadzimy z Gideonem wiele kapitalnych dyskusji o rzeczach minionych i obecnych. Sprawi mi to wiele radości.

- Wspomnijcie o mnie w swoich pogawędkach.

- Hmm - mruknął Kendrick wymijająco.

- Nie masz odrobiny litości - zaśmiał się Jake. - Nie zrobisz ani jednej cholernej aluzji?

- Nie chciałbym ci psuć niespodzianki.

- A jeśli mi się nie uda?

- Zadzwoń, a przyjadę cię odebrać. Możesz rozpocząć nowe życie jako handlarz zabytkowymi monetami.

Jake potrząsnął głową. Miał własne zdanie na temat, co by się stało później, ale postąpił dokładnie tak jak Kendrick i zachował swoje poglądy dla siebie.

Podróż na miejsce trwała dużo krócej, niż się Jake spodziewał, choć uważał, że nie powinien być tym zaskoczony. Prawdę mówiąc, samochody są szybsze od koni.

Kendrick zatrzymał jaguara, wyłączył silnik i popatrzył na Jake'a.

- Jesteś pewien?

* 380 *

- Jestem pewien.

- No to życzę ci szczęścia. Daj nam jakoś znać, jeżeli zgubisz się w czasoprzestrzeni. Podobno szwagier twojego prawnika jest niezłym podróżnikiem w czasie.

- James MacLeod? - zapytał z uśmiechem Jake. - Tak, wiem o tym. Myślę, że powinieneś go poznać. Może czasem zechciałbyś się z nim gdzieś wybrać.

Kendrick gwałtownie potrząsnął głową.

- Chyba żartujesz! Widziałem już wszystkie wieki dzielące moją i twoją epokę i nie mam ochoty oglądać ich ponownie. Chociaż muszę przyznać, że mógłbym odbyć z Gideonem jedną czy dwie ciekawe rozmowy na ich temat - położył dłoń na ramieniu Jake'a. - Jeśli się zgubisz, spróbuj jakoś zostawić ślad, a przybędziemy po ciebie i przeniesiemy cię w odpowiednie miejsce.

- Ależ mi ulżyło.

- Powinno - odrzekł Kendrick, nagle całkiem serio. - To nie są kpiny.

- Nigdy tak nie uważałem - odparł bez zająknięcia Jake. Wysiadł z auta, nachylił się jeszcze i spojrzał na Kendricka. - Lepiej zabierz stąd ochroniarzy. Wydaje mi się, że potrzebuję samotności, by to należycie przeprowadzić.

Kendrick skłonił głowę.

- Jak sobie życzysz. Uważaj na siebie.

- Ty też. Ci twoi chłopcy to diabły wcielone, ale wydaje mi się, że dopiero córka da ci naprawdę popalić.

- Łajdak - obruszył się Kendrick. - Ona jest aniołem.

Jake zacisnął usta i zamknął drzwi samochodu. Zarzucił tobołek na ramię, poklepał miecz wiszący

*** 390 ***

u pasa i przelazł przez ogrodzenie na pole, na które przybył z przeszłości. Rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy spomiędzy drzew nie wyskoczy ojciec otoczony dziesiątkami goryli, potem obejrzał się na Kendricka i odprawił go, machając na pożegnanie.

Auta ruszyły powoli z miejsca. Jake patrzył, jak odjeżdżają, uświadamiając sobie, że jeśli będzie miał wyjątkowe szczęście, to będą to ostatnie samochody, jakie zobaczy w życiu.

Westchnął i brnąc przez zarośla, przedarł się przez przesmyk między drzewami. Wyszedł na polankę, gdzie przekroczył bramę czasu. Znów czuł, że musi się spieszyć, tak jak poprzednio, gdy wiedział, że musi znaleźć się we właściwym miejscu o właściwej porze. Mocno ścisnął paski zgrzebnej torby na plecach i wypowiedział krótką modlitwę. Zastanawiał się, jak naprawdę powinien postąpić.

Czy powinien zaśpiewać? Zrobić trzy okrążenia w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, mrużąc druidyczne zaklęcia? Alex powiedział mu, by myślał o miejscu, do którego chce się przenieść, a wtedy brama go tam zabierze.

A więc Jake pomyślał o Amandzie. Wyobraził ją sobie tak wyraźnie, jakby widział ją stojącą przed nim. Zamknął oczy i zapragnął tego z całego serca. Czekał.

Nic się nie wydarzyło.

No cóż, był niewątpliwie cierpliwy. Stał z nadzieją, że nie usłyszy zaraz ojca wrzeszczącego na swoich najemnych zbirów, by ruszali do ataku. Prawdę powiedziawszy, słyszał niewiele odgłosów. Lekki wiatr poruszający liście drzew. Daleki szum samochodów na autostradzie A1. Fale rozbijające się

*** 382 ***

o brzeg nieopodal zamku. A potem już z trudem potrafił rozróżnić wszystkie trzy dźwięki. Jednak zupełnie bez trudu usłyszał, jak ktoś zachłysnął się za jego plecami. Odwrócił się błyskawicznie. Zobaczył nie kogo innego tylko Montgomery'ego we własnej osobie, ściskającego cugle wierzchowca, jakby były jedyną rzeczą, jaka trzyma go przy życiu.

Montgomery przeżegnał się.

Jake poświęcił krótką chwilę na drżący wydech. Udało się. Jedna olbrzymia przeszkoda pokonana; jeszcze kilka przed nim.

Montgomery zaczął się cofać. Jake przewrócił oczami i zrobił krok naprzód.

- To tylko ja, Montgomery - powiedział, chwytając chłopaka za ramię. - Nie patrz na mnie, jakbym był diabłem.

- Jesteś czarodziejem - wykrztusił Montgomery zduszonym głosem.

- Nie jestem.

- Właśnie, że jesteś. Wyrosłeś z trawy.

- Jesteś pewien?

Montgomery skinął-głową z szeroko otwartymi oczyma.

- Co tutaj robisz? - uśmiechnął się Jake. Montgomery także uśmiechnął się nieoczekiwanie.

- Szukałem cię. Miałem nadzieję, że czarodzieje cię niedługo wypuszczą... I oto jesteś.

Jake przyjrzał się uważnie młodemu człowiekowi wyglądającemu na bardzo zmęczonego.

- Dobrze spałeś ostatniej nocy, Montgomery?

- Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze - przyznał chłopak.

- Gdybyś mnie spytał - zaczął Jake - to powiedziałbym, że spałeś na stojąco. Mnie się to zdarza.

* 392 *

Bywam tak znużony, że w jednej chwili wpatruję się w pustkę, a zaraz potem widzę coś konkretnego. W rzeczywistości dzieje się tak, że zasypiam na moment lub dwa - uśmiechnął się uspokajająco. - To się ciągle zdarza.

- Ja nadal uważam, że jesteś czarodziejem - upierał się Montgomery, ale potem również się uśmiechnął. - I bałem się, że twoi ziomkowie wzięli cię do niewoli i nie pozwalają wrócić - spojrzał za Jake'a. - Gdzie jest twój rumak?

- Szedłem piechotą.

Montgomery pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Nic dziwnego, że zajęło ci to tyle czasu.

- Czy Amanda o mnie zapomniała? - spytał lekkim tonem Jake. - Czy też starła Robina na proch w szermierczych pojedynkach?

Montgomery zawahał się. Jake patrzył na młodzieńca i nagle opanowały go wątpliwości, czy przypadkiem nie przyjął uczucia Amandy za pewnik.

- Co takiego? - spytał ostro Jake. - Co się stało?

- Nie ma jej w Artane - powiedział ostrożnie Montgomery.

- Została uprowadzona? Czy... - zaczął powoli Jake czy też postanowiła poślubić kogoś innego?

Montgomery potrząsnął żałośnie głową.

- Uciekła.

- Uciekła? Dlaczego?!

- Zapewne uznała - teraz Montgomery powoli dobierał słowa - uznała, że zmieniłeś zdanie.

Jake złapał chłopaka za ramię.

- Chodź. Ruszajmy do domu. Czy Robin jest wciąż na miejscu?

- Tak. I Nicholas również. Wszystko jest tak jak było, gdy odjechałeś.

* 384 *

Jake wskoczył na siodło konia Montgomery'ego i wciągnął chłopaka, by usiadł za nim. Gnali do Artane na złamanie karku przez miasteczko, i w górę, pod bramy zamku, doskonale parodiując Nicholasa de Piageta. Jack zeskoczył na dziedziniec i wbiegł po schodach do wielkiej sali. Robin stał przed kominkiem, pocierając na przemian podbródek i kark. Anne siedziała na krześle obok ognia, tuląc synka i przemawiając doń ściszym głosem. Pierwsza podniosła wzrok, gdy Jake pojawił się na progu, i na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

Jake bardzo się ucieszył, że wziął dla niej coś wyjątkowo pięknego.

Robin wyglądał na mniej pocieszonego, lecz nie mniej przyjaznego.

- Spóźniłeś się - oznajmił krótko.

- Spieszyłem się. Co się wydarzyło?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Robin. - Amanda martwiła się, jak możesz się domyślać, ale przypisywałem to trosce z powodu opóźnienia twojego powrotu i niepokoju, czy uda cię się ją zdobyć.

- Cóż, jeżeli złoto meże zapewnić zwycięstwo, to zwyciężyłem - powiedział Jake. Zdjął z ramion sarkwę. - Czy jest w zamku jakieś bezpieczne miejsce, w którym mógłbym to przechować? To moja przyszłość.

- Komnata ojca - stwierdził Robin. - Tam jest równie bezpiecznie jak gdzie indziej. Chodź ze mną. Ukryjemy twój skarb.

Jake skinął głową, uśmiechnął się do Anne i podążył za Robinem w głąb wielkiej sali.

Ta sama wielka sala, w której tego samego ranka delektował się smażonymi jajkami, pomidorami i zimnymi tostami, gdyby ktoś był ciekaw. Wciąż

*** 394 ***

dumał nad zupełnym nieprawdopodobieństwem tego faktu, gdy nagle wpadł całym ciałem na drugiego starszego brata Amandy.

Spojrzał Nicholasowi w oczy - wdzięczny za to, że mógł to uczynić bez podnoszenia wzroku - i uśmiechnął się uprzejmie.

- Milordzie - pochylił głowę.

- Wróciłeś - zauważył bezbarwnym głosem Nicholas.

- Wróciłem.

- Ona zniknęła, wiesz - ciągnął Nicholas tym samym pozbawionym emocji tonem, który mówił aż za wiele o szczerości jego żalu. - Tylko święci raczą wiedzieć, gdzie teraz jest.

- Dlaczego odeszła? - zapytał Jake. Nicholas otworzył usta, by przemówić, ale zaraz zamknął je i wykonał gest głową w stronę Robina.

- Komnata ojca. Tam porozmawiamy.

Jake nie oponował. Ruszył w ślad za Robinem do komnaty Rhysa, w pełni świadom, że Nicholas idzie za nim i w każdej chwili może wbić mu nóż w plecy. Robin wskazał masywny kufer stojący pod oknem.

- To wystarczająco bezpieczne miejsce. Jake ledwo wierzył własnym oczom.

- W tym? - wydusił. - W czymś takim?

- Jak najbardziej - Robin był zdziwiony. - Mój ojciec trzyma tutaj swoje złoto.

- Ależ można dostać się do środka w ciągu paru chwil! - wybuchnął Jake.

- Jesteś zatem także złodziejem, poza tym że handlujesz towarami - uznał Nicholas.

Jake odwrócił się i popatrzył na niego tak obojętnie, jak tylko zdołał.

* 386 *

- Umiejętność otwierania zamków i klódek jest bardzo pożyteczna. Gdyby wtrącono nas do lochu, potrafiłbyś nas oswobodzić?

Nicholas zacisnął usta.

- Nigdy nie pozwoliłbym się wtrącić do lochu.

- A więc zawsze będę się trzymał blisko ciebie. Posiadam wiele umiejętności mających złą sławę i przypuszczam, że otwieranie zamków się do nich zalicza - spojrzał na Robina, kładąc swoją torbę na stole pod oknem. - W tej torbie znajduje się cała moja przyszłość - powiedział spokojnie. - Jeśli to przepadnie, ja przepadłem. Przykro mi, ale nie mogę zaufać zwykłemu kufrowi, jeśli chodzi o przechowanie tego, co mam w sakwie.

- Obawiam się, że nie mam dla ciebie innej propozycji poza zatopieniem tego w szambie - wyznał Robin. Przyjrzał się z zainteresowaniem bagażowi Jake'a. - Co tam masz? Złoto?

- Tak, i parę innych rzeczy.

- No to pokaż - rzekł Robin i zatarł ręce. - Amanda może chwilę poczekać.

Jake westchnął i przełożył tobolek na stół Rhysa. Wyjął worki ze złotem+klejnoty, a potem pozostałe przedmioty zza cholew butów - gdzie dość mocno uwierały go w kostki i golenie. Robin uniósł jeden z mieszków i wysypał trochę złota na dłoń. Milczał tak długo, aż Jake zaczął się niepokoić.

- Nie wystarczy?

- Ile tego masz?

- Osiem mieszków. Robin namyślał się.

- Dodaj to złoto do posagu Amandy - zaczął w zamyśleniu - a możesz zrównać się z małą częścią mojego majątku - spojrzał na Jake'a spod brwi i oczy mu zabłyśły.

* 396 *

Jake nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Znow widział przed sobą Kendricka.

- Masz coś jeszcze? - zapytał Robin, wężąc z zaciekawieniem wśród przedmiotów Jake'a.
- Przywiozłem prezent dla twojej matki - wyjaśnił Jake. - I dla Anne - urwał na dłuższą chwilę, a potem popatrzył na Nicholasa. - Prawdę mówiąc, przywiozłem coś dla każdej z pań w Artane.
- Mądrze zrobiłeś, że wzięłeś coś dla Isabelle, w przeciwnym razie żałowałbyś tego do późnej starości
- ostrzegł Robin. - Pokaż, co masz dla Anne.

Jake przeszukał jedną z sakiewek i wyjął broszę z białego złota wysadzaną żółtawozielonymi oliwi-nami i diamentami. Osobliwe zestawienie, sam musiał to przyznać, ale swego czasu podobało mu się takie połączenie. Robin cichutko zagwizdał.

- Lepiej, żebym ci za to zapłacił. Pokocha cię mocniej niż mnie, jeśli tak nie zrobię.
- Nie wzięłbym rekompensaty - zapewnił Jake. Robin burknął.
- Weźmiesz i jeszcze będziesz dziękował. Ale jeśli sądzisz, że zabiegając o względy mojej pani i ofiarowując jej klejnoty, zyskasz moją przychylność i łagodniejsze traktowanie na placu musztry, to się mylisz.

Jake roześmiał się.

- Liczę tylko, że dla Anne będzie oczywiste, jeśli od czasu do czasu poproszę ją, by mi pocerowała koszulę.
- No tak, pewnie nie chcesz, by robiła to dla ciebie Amanda - parsknął Robin. Oddał broszę Ja-ke'owi.
- Schowaj to. Jeden worek złota zamkniemy w skarbcu, a resztę ukryję wśród kamieni.
- Wśród kamieni?

* 388 *

- Za obłuzowanymi kamieniami w murach - wyjaśnił Robin. - Nie obawiaj się, będę pamiętał, gdzie ukryłem twoje skarby.

- Sam bym ich pilnował - mruknął Nicholas.

- Robin stracił w ten sposób więcej niż jedną cenną rzecz.

Robin poklepał brata w czoło.

- Mój rozum wzbudza w ludziach strach i drzenie, gdyż czują, jak wiele im brakuje, by dorównać mojej nieprzeciętnej inteligencji.

- Jak już wspominałem, umieść skarby w kufrze

- zasugerował Nicholas. - Albo trzymaj przy sobie. Tak będzie bezpiecznie.

Jake zastanowił się głęboko, a na koniec wręczył Robinowi większość złota i kamieni. Zatrzymał to, co uznał za przydatne w poszukiwaniach. Spojrzał na Nicholasa.

- Zabrałem także coś dla cie... Nicholas gwałtownie potrząsnął głową.

- Bardzo dziękuję, ale nie chcę. Sam zadbam o swoją pannę młodą.

Robin zaprzeczył gestem głowy.

- Powinieneś przyjąć-dar Jake'a. Ma dużo lepszy gust od ciebie.

- Pilnuj własnego nosa - warknął Nicholas. Jake uskoczył z drogi, gdy Nicholas rzucił się na Robina. Ledwo zdołał uratować klejnoty i złoto, by nie wylądowały na ziemi i nie zostały porozbijane pięściami, które starsi bracia Amandy puścili w ruch.

Jake stał i patrzył na mężczyzn usiłujących się pozabijać nawzajem i zastanawiał się, ile też mają lat. Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, w jakim wieku jest Amanda. Zakładał, że to jest względne, a Robina i Nicholasa traktował jak do-

* 398 *

rosłych mężczyzn o średniowiecznej krzepie, która prawdopodobnie maskuje ich prawdziwy wiek. Wyciągnął nogę i nadepnął na rękaw, część ubrania Robina, która znajdowała się na tyle blisko ziemi, że dawało się ją przycisnąć.

Robin obrzucił go wściekłym wzrokiem.

- Czego? - burknął.

- Ile lat liczy sobie Amanda?

Robin spojrzał na Jake'a, jakby ten postradał rozum.

- Dwadzieścia jeden wiosen, a bo co?

Jake zdjął stopę z rękawa rycerza i przez kolejnych kilka minut przyglądał się, jak młodzieńcy kontynuują swoje zajęcie. A więc, jeśli Amanda ma dwadzieścia jeden lat, było bardzo prawdopodobne, że Nicholas i Robin są co najmniej dwa, a może nawet trzy czy cztery lata od niej starsi. Dziwnie się czuł w roli rozjemcy, ale był przekonany, że jeśli kiedykolwiek ma się jej podjąć, to właśnie teraz. Jake odpiął swój miecz i odłożył go na bok w bezpieczne miejsce, a potem schylił się i postawił na nogi jednego z braci de Piagetów. Nie przejmował się zbytnio, którego z nich złapał, dopóki trzymał osobnika mocno za koszulę.

Okazało się, co go nie zdziwiło, że złapał Nicholasa.

Nicholas wił się niczym wąż i byłby wymierzył idealny cios w podbródek Jake'a, gdyby ten czegoś takiego nie przewidział. Upozorował atak z lewej strony, a potem złapał Nicholasa i obrócił go plecami do siebie. Wykręcił mu ramię do tyłu, a drugą ręką niesłychanie czule ucisnął pewien punkt gwarantujący natychmiastową współpracę.

- Niech cię diabli - wysapał Nicholas.

- Przestańcie! Obaj - nakazał Jake.

* 390 *

- Kimże ty jesteś, żeby mi mówić, co mam robić? - wydusił z siebie Nicholas, a potem stęknął z bólu. Jake był niemal pewien, iż rycerz bardzo niechętnie okazał, że cierpi.

- Jestem od ciebie starszy.

- Tak sądzisz?

- A ile ty masz lat? Nicholas zaklął wściekle.

- Czy to ma w ogóle jakieś znaczenie?

- Zaspokój moją ciekawość.

- Dwadzieścia sześć wiosen, a gdy już cię dosięgnę, skorzystam z umiejętności nabytych przez te dwadzieścia sześć wiosen, żeby zetrzeć cię w proch.

- Ja liczę sobie trzydzieści dwie wiosny i ponieważ jestem starszy od was obu, proponuję, byśmy przestali się kłócić i zaczęli martwić o Amandę.

- Tu ma słuszość - zgodził się Robin, ostrożnie dotykając knykциями rozciętej wargi. - A poza tym możesz zabić Jake'a później, jeśli twoje uczucia nadal będą zranione.

Nicholas znieruchomiał.

- Puść mnie. —

- Mam się odważyć?

- Puść mnie, niech cię piekło pochłonie - warknął Nicholas.

Jake zerknął na Robina, który uśmiechnął się szeroko. Uwolnił Nicholasa bez ceregieli; mężczyzna wyrwał się szarpnięciem. Jake pomyślał, że mógłby go przytrzymać i przycisnąć do ziemi, żeby dać mu porządną lekcję pokory, ale może to nie była właściwa pora.

Może po ślubie z Amandą.

Nicholas spiorunował Jake'a wzrokiem i potarł ramię.

* **391** *

- Pożałujesz tego.
 - Na pewno - odrzekł Jake, sięgając po miecz.
 - Ale może później, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Robin pozbiierał kilka przedmiotów przyniesionych przez Jake'a.
- Wezmę to, ty zachowaj resztę. Nick, nie rób mu jeszcze krzywdy. Może okazać się przydatny w poszukiwaniu tej niemądrej dziewczki. A ponadto
 - oznajmił z bardzo poważnym wyrazem twarzy
 - jest od ciebie starszy. Należy mu się szacunek. Nicholas popatrzył na Jake'a z wyraźną niechęcią.
 - Będę go szanował, jeśli uda mu się pokonać mnie na polu walki - oznajmił i dumnym krokiem pomaszerował do drzwi. - Nie wcześniej.
 - Pokonał cię w komnacie ojca - zawołał za nim wesoło Robin, a potem wzruszył ramionami i spojrzał na Jake'a. - Zwykle nie jest taki zgorzkniały. Z nas dwóch on jest zdecydowanie miłszą osobą. Nie mam pojęcia, co go gryzie.
 - Czyżby? - spytał Jake najzwyczajniej w świecie. Robin umilkł na dość długą chwilę. Na koniec westchnął.
 - Myślałem, że to tylko moja wyobraźnia.
 - Nie łączą ich więzy krwi.
 - Jak to możliwe, że ty to wszystko wiesz? - nie dowierzał Robin.
 - Montgomery.
- Robin przeciągnął dłonią po włosach.
- Akurat on jest lepszy od wszystkich osób, jakie znam, jeśli chodzi o utrzymywanie w sekre... - nagle zaskoczony spojrzał na Jake'a. - A byłem już bliski stwierdzenia, że bardzo dobrze dochowuje tajemnicy.

- Do diabła z tym - bez ceregieli przerwał mu Jake. - Ukryj dla mnie moje złoto; ja wrzucę gdzieś resztę, a potem pójdę go poszukać.

Robin skinął głową i razem wyszli z komnaty. Jake pobiegł na górę, by przechować dobytek w pokoju bliźniaków. Na miejscu odkrył, że jego kolczuga leży tak, jak ją zostawił.

I z jakiegoś powodu wydawało mu się, że to najradośniejszy widok na świecie.

Jake uśmiechnął się do siebie, a następnie wybrał na poszukiwania.

Montgomery kręcił się przy placu musztry. Nie był głupi. Gdy tylko ujrzał Jake'a stanowczym krokiem zmierzającego w jego stronę, natychmiast dał nogę.

Jake bez trudu go dogonił i odwrócił do siebie, łapiąc za ramię.

- Prrrr, mały - rzekł ze swobodnym uśmiechem.

- Myślę, że możesz wiedzieć coś, co jest mi potrzebne.

- Nic nie wiem - zaprzeczył chłopak nerwowo.

- Montgomery - skarcił go Jake. - Rycerz nie kłamie.

- Montgomery! --ryknął Robin już z daleka.

- Niech cię diabli, strachliwy tępaku! Jak cię złapię...

Montgomery aż się zakrztusił, próbując się wyrwać. Jake spojrział przez ramię i zobaczył biegnących w ich stronę Robina i Nicholasa. Przez moment kusiło go, by puścić Montgomery'ego, ale był pewien, że chłopak coś wie. Ciągle usiłował uwolnić się z uścisku.

- Proszę, Jake - błagał. - Puść mnie. Jeśli mnie złapią, obedną ze skóry.

- Nie uda ci się im wymknąć. Lepiej zostań ze mną i odpowiedz na kilka pytań - zasugerował Ja-

* 402 *

ke, chwytając Montgomery'ego za ramiona tak mocno, że uniemożliwiało to jakąkolwiek ucieczkę. - Porozmawiajmy. Dlaczego pamięć zawodzi cię właśnie w tej sprawie?

Robin i Nicholas zatrzymali się tuż przed nimi, a po paru chwilach za ich plecami zjawili się Miles i John. Starsi bracia założyli ręce na piersi i przybrali surowe miny. Miles i John uczynili tak samo. Jake byłby się roześmiał, gdyby nie był tak przygnębiony. Wszystko mogło się jej przydarzyć. Wszystko.

- Mów - rozkazał Robin. Montgomery trząśł się jak liść.

- Nie obedrzemy cię ze skóry - obiecał Jake, nadal mocno trzymając chłopaka - ale potrzebujemy wyjaśnień.

- Przysiągłem, że nic nie powiem - wydusił Montgomery, wyglądając na tyle niezłomnie, na ile pozwalały okoliczności. - Dałem słowo rycerza.

- Jeszcze nie jesteś rycerzem - burknął Nicholas.

- Ale nim będzie - wtrącił gładko Jake. - No dobrze, Montgomery, z pewnością widzisz, w czym tkwi problem. Jeżeli wiesz coś o tym, gdzie mogła udać się Amanda, i nam tego nie powiesz, narazisz ją na niebezpieczeństwo. Nie sądzisz?

Montgomery zastanowił się.

- Ale moje ślubowanie...

- Albo bezpieczeństwo twojej siostry - Jake popatrzył na chłopaka z uśmiechem. - Wybór należy do ciebie, Montgomery. Nie możemy cię zmusić.

- Ależ tak, możemy - odezwał się Nicholas. Położył dłoń na rękojeści miecza.

Montgomery spojrział na Robina.

- Co wy sobie myślicie?

*** 394 ***

- Myślimy, że jesteś...

Robin podniósł rękę, by uciszyć mruknięcie Nicholasa. Popatrzył na brata bardzo poważnie.

- Nie można beztrąsko łamać przysięgi - rzekł Robin. - Rycerz musi szanować swoje słowo, mieć waleczne ramię i charakter. Jednak w tym przypadku śmiem twierdzić, że okazałeś charakter w pełni, będąc gotów dotrzymać przyrzeczenia złożonego Amandzie. Lecz być mężczyzną to także wiedzieć, kiedy... - rozważał chwilę myśl, a potem ciągnął dalej - ...kiedy należy poświęcić siebie, a być może nawet swój honor, dla dobra kogoś, kogo się kocha.

- Jest w opactwie Seakirk - wyrzucił z siebie Montgomery. Oczy napęłniły mu się łzami. - Chce zostać mniszka.

Jake nie przeżyłby większego szoku, gdyby Montgomery powiedział mu, że Amanda podążyła za nim w przyszłość.

- Kim? - Nie dowierzał.

- Mniszką - powtórzył chłopak, przenosząc na Jake'a wzrok. - Nie byłem w stanie jej od tego odwieść

- przełknął z-trudem. - Obawiała się, że o niej zapomniawsz. I... - spojrzał na Nicholasa.

- Do wszystkich diabłów! - mruknął Nicholas.

- Ruszajmy w drogę - nakazał Robin. - Jake?

- Tu jestem. Czy mógłbym pożyczyć konia?

- Naturalnie - Robin zawahał się, a potem rzucił Jake'owi spojrzenie z ukosa. - Mniszka.

- Wcale mnie to nie dziwi - parsknął Jake. - Od kiedy jej nie ma?

- Od kilkunastu dni - odpowiedział Robin. - I nie szukaliście jej? - zdumiał się Jake.

- Szukaliśmy jej ponad dwa tygodnie! - wybuchnął Nicholas. - Po prostu nie mieliśmy pojęcia,

* 395 *

gdzie jej szukać. Coś, czemu można było zaradzić, gdyby ktoś otworzył usta.

Montgomery szarpnął się i błyskawicznie schował za plecami Jake'a.

Jake obejrzał się przez ramię.

- Myślę, że powinieneś zostać w zamku, prawda?

Chłopak pokiwał głową, szeroko otwierając oczy.

- Zgadza się - potwierdził Robin. - Lecz sądzę, że jeden z nas także powinien zostać na miejscu - popatrzył na Nicholasa. - Może to ty.

- Nie zostanę - zaprotestował Nicholas. - Pojedziemy razem, Kilchurn i ja. Ty zostań tutaj.

- O, nie ma mowy - Robin potrząsnął głową, śmiejąc się pod nosem. - Chcę, by Amandę uratował ktoś, kto jeszcze pozostanie przy życiu. Jeżeli puszcze was obu samych, prawdopodobnie pozabijacie się, zanim dotrzecie do Seakirk.

- Ja zostanę - postanowił Miles. - Nie będę wam potrzebny.

Robin przytaknął.

- Prawda, raczej nie. A poza tym w zamku jest jeszcze straż Amandy, a nasi chłopcy są dostatecznie niezłomni - wyjrzał zza Jake'a, by popatrzeć na Montgomery'ego. - Chcę, żebyś nieustannie czuwał u boku Anne. Jeśli przyjdzie wybierać między jej życiem a twoim, mam nadzieję, że rozumiesz, co powinieneś wybrać.

Montgomery pokiwał głową z animuszem.

- Z chęcią oddam życie za nią, bracie - urwał na chwilę. - Wybacz mi. Starłem się uszanować życzenie Amandy.

Robin wyciągnął młodszego brata zza Jake'a i zwichrzył mu włosy.

*** 405 ***

- Postąpiłeś słusznie, Montgomery. Nic złego z tego nie wyniknie.

Chłopak uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Idę strzec Anne.

- Koniecznie - odparł Robin.

Jake patrzył, jak Montgomery pospiesznie schodzi z placu musztry, a w ślad za nim jego bliźniaczy brat. Za nimi podążał Miles swoim zwykłym spacerowym krokiem. Jake jednym uchem słuchał rozważań Robina z Nicholasem na temat zaopatrzenia i broni, jakie powinni wziąć na drogę, a potem poszedł za mężczyznami, gdy zeszli z placu ćwiczeń.

Mniszka?

Co ona sobie, do diabła, wyobrażała?

Towarzyszył Robinowi i Nicholasowi aż do drzwi donżonu, po czym pobiegł po schodach, by zabrać swój ekwipunek. Seakirk leży dobre trzy godziny jazdy samochodem stąd, a więc kto wie, ile czasu zajmie tam dojazd konno. Cóż, im wcześniej wyruszą, tym szybciej znajdą się w opactwie.

I oby nie dotarli tam za późno.

Genevieve stała w drzwiach wielkiej sali Artane i przyglądała się, jak jej mąż przechadza się ze swoim bratankiem. Zdążyła przyzwycząć się do tego widoku. Nie była przekonana, czy przyzwyczął się również lord Edward, ale najwyraźniej Kendrick przedstawił mu jakiś niezbity dowód tożsamości, pokazując kryjówki w murach, o których nawet Edward nie miał pojęcia. Genevieve uśmiechała się, słuchając, jak mąż opowiada swojemu, no cóż, bratankowi, o wszystkich budowlach dokoła zamku, które w młodości rozebrał na części, a potem w jakiś sposób poskładał z powrotem. Gideon i Kendrick szybko się zaprzyjaźnili, a Genevieve odniosła wrażenie, że w Megan znalazła siostrę. Trzeba przyznać, że wielopokoleniowa rodzina i radość z przynależności do niej mają swoje dobre strony.

Genevieve żywiła szczerą nadzieję, że Jake również dostąpi tej radości.

Resztę dnia spędziła, biegając za dziećmi po całej rodowej posiadłości męża albo przyglądając się jak lord Edward, Gideon lub Megan w bardzo zaawansowanej ciąży także się za nimi uganiają. Wszystko to budziło w niej uśmiech, ale miała uczucie, że o wiele bardziej porusza Kendricka. Był tak szczęśliwy, jakim nie widziała go od lat.

*** 398 ***

Jeśli w ogóle widziała go równie szczęśliwego. Może miało to coś wspólnego z pobytem w domu.

* * *

Wczesnym wieczorem tego samego dnia Genevieve zagoniła chłopców do łóżek w obszernej sypialni, a potem opadła na krzesło obok kojca, w którym spała jej córeczka. Zapatrzyła się w sufit i zamyśliła nad upływem czasu. Czy Jake'owi udało się cofnąć do epoki Amandy? Czy przeżył swoje życie, kochając Amandę, został ojcem kilkorga dzieci, a potem umarł w spokoju?

Dziwnie było myśleć, że jeszcze dziś rano widziała go przy śniadaniu, a teraz było całkiem prawdopodobne, że życie Jake'a zakończyło się dobrze ponad siedemset lat temu.

Wyprostowała się, kiedy otworzyły się drzwi. Kendrick uśmiechnął się i przyłożył palec do ust.

- To tylko ja. Małeńka zasnęła?

- Nareszcie - odparła Genevieve, ziewając. Kendrick przemierzył komnatę na palcach i usiadł obok żony na ławie.

- Wydaje mi się, jakbym nie widział cię przez cały dzień.

- Bo nie widziałeś - uśmiechnęła się - ale ja cię obserwowałam.

- Ach tak? A co takiego robiłem?

- Wałęsałeś się. Na placu musztry na nowo przeżywałeś chwile chwały. Oprowadzałeś chłopców, sprawiając, by wyglądało to tak, jakby to Gideon pokazywał największe atrakcje.

Kendrick zaśmiał się i wziął Genevieve za rękę.

- Wkrótce będę musiał powiedzieć trojaczkom prawdę. Może jutro mógłbym porwać cię na chwi-

* 399 «

lę i pokazać ci scenerię moich paru najbardziej niezapomnianych czynów.

- Nie mogę się doczekać - rzekła oschle.

- Bez wątpienia.

Kendrick umilkł, Genevieve również. Do chwili, gdy dostrzegła małe puzderko, które Jake zostawił na stoliku obok łóżka.

- Zagłądałeś do środka? Potrząsnął głową.

- Nie, jeszcze nie.

- Dlaczego? Czy domyślasz się, co tam może być? Zostawił to dla ciebie.

- Zapewne coś śmierdzącego, paskudnego albo obrzydliwego, w ramach zapłaty za to, jak trakto-
wałem go na placu musztry.

Genevieve roześmiała się.

- Ale tak na serio, Kendrick, dlaczego nie zajrzysz? To może być coś, co powie nam, czy mu się udało.

- A gdzie cała zabawa? - mrugnął do żony. - Posłuchaj, zostawmy to, żeby dojrzało, na tydzień lub
dwa, a potem sprawdzimy. Może Jake przepadł w elżbietańskiej Anglii. Bardzo bym nie chciał po-
zbawiać go tych wszystkich krez i koronek.

- Nie jesteś ani trochę ciekawski - poskarżyła się Genevieve.

- Och, przecież wiesz, że jestem.

- W takim razie wiesz coś, czego ja nie wiem - odparła, grożąc mu palcem. - Pamiętasz go? Czy zdobył
tytuł? Czy poślubił Amandę?

Kendrick ziewnął przeciągle.

- Strasznie chce mi się spać. Może lepiej by było, gdybyśmy zażyli choć trochę snu, zanim malutka
znów nas obudzi.

- Kendrick - ostrzegła go.

* 409 *

- Dwa tygodnie - odrzekł, nachylając się, by pocałować Genevieve. - Zajmijmy się przez czternaście dni stworzeniem sobie tutaj domu i myślm tylko o morskim wybrzeżu, naszych dzieciach i samych miłych rzeczach. A potem zajrzemy do pudełka.
- 1 puścisz farbę? -1 puszcę farbę.
- Zgoda - przystała. - Dwa tygodnie. Czy to może zaszkodzić?
- Właśnie - mruknął Kendrick.

31*

Jake zastanawiał się, czy słusznie zrobił, zgadzając się na konia, na którym teraz jechał. To był Jasper, wierzchowiec Amandy, i Jake zdawał sobie sprawę, że nie potrafi sprostać możliwościom tego rumaka. Jednak ogier był szybki i to zapewne wyrównywało jeździeckie braki Jake'a w porównaniu z Robinem i Nicholasem.

Starął się nie stracić poważania nie tylko w oczach braci Amandy. Chociaż większa część garnizonu z Artane została w zamku, Robin wybrał trzech mężczyzn, aby im towarzyszyli. Byli to trzej wojownicy w stylu Thada, o ponurych obliczach, którzy chyba nie wiedzieli, co to uśmiech. Jake'owi to nie przeszkadzało. Wsparcie jest wsparciem, nieważne - uśmiechające się czy nie. Jednak mimo to nie chciał wyjść przed gwardzistami na fajtlapę.

Przez resztę dnia pędzili niczym wiatr, zatrzymując się tylko po to, by napoić konie i trochę odpocząć. Drugiego dnia pod wieczór znaleźli się na wyciągnięcie ręki od opactwa. Jake mógł w oddali dostrzec zamek Seakirk. Starął się, by ów fakt, już sam w sobie niepokojący, nie wytrącił go z równowagi.

Przekonał się, że życie jest bardzo, bardzo dziwaczne.

* 401 *

- Bierzmy się do dzieła - oznajmił Nicholas, gdy przystanęli na chwilę, by przegrupować siły.
- Chwileczkę - przerwał mu Robin, podnosząc dłoń. Rozejrzał się po okolicy bardzo niechętnym okiem. - Coś mi się tu nie podoba.
- Jesteś głupi - odburknął Nicholas. - Jedźmy ją zabrać, nim minie kolejny dzień.

Jake zawahał się.

- Muszę się zgodzić z Robinem. Coś tu wisi w powietrzu, co... - szukał właściwego słowa, lecz nic nie przyszło mu na myśl. Wzruszył ramionami.

- Też mi się to nie podoba.

- Tobie też odebrało rozum! - wykrzyknął Nicholas. - To wiesz, głupcy. Niby jak ma wyglądać?

- Cóż, po pierwsze - zaczął spokojnie Robin

- chyba powinniśmy spotkać jednego lub ze dwóch wieśniaków. Widziałeś jakiegoś?

Nicholas ciężko westchnął.

- Nie. Już mniej więcej od mili nie widziałem.

- A po drugie, nieważne, jak jesteśmy zaciętymi wojownikami, jest nas tylko sześciu - ciągnął Robin - i chociaż jedziemy na rokowania z mniszkami, to powinniśmy wziąć pod uwagę, że one mogą mieć własnych żołnierzy. Być może najlepiej będzie, jeśli podjedziemy po cichu. Nie sądzisz, Jake?

- Tak sądzę - przytaknął Jake. - A noc to dobra pora, by zostawić konie i wymknąć się na mały zwiad. Zawsze lepiej wiedzieć więcej o nieprzyjacielu, niż żeby on wiedział więcej o tobie.

- Ha! - parsknął Nicholas. - Nawet ja to wiem, choć uchodzę za tępaka.

- Nigdy nie dawałem do zrozumienia, że nie wiesz - przyznał szczerze Jake. - Jestem przekonany, że dzięki tobie możemy przewyciężyć, hm,

*** 412 ***

opór wewnątrz opactwa. Twoja zmyślność, miecz Robina i moje ręce. Jak mogłoby nam się nie udać?
- Z gromadą przerażonych mniszek? - zapytał Nicholas tylko odrobinę mniej wrogim tonem niż przed chwilą. - Niech święci się nad nami zlitują, jeśli nie damy rady ich wykurzyć.

Robin zsiadł z konia.

- Przeczekajmy tutaj do zmroku, a dalej ruszymy pieszo i przyjrzymy się prawdziwej twarzy nieprzyjaciela. Miejmy nadzieję, że spotkamy się tylko z atakiem opryskliwości ze strony Amandy i z niczym groźniejszym.

Jake'owi nie podobała się taka zwłoka, skoro jednak było to także po jego myśli, nie mógł narzekać. Usiadł na powalonej kłodzie i przyjrzał się swoim dłoniom, zastanawiając się, czego jeszcze dokonają, nim upłynie noc. Nie chciał nikogo zabijać, ale czy będzie mu dany wybór? I jakie będą tego skutki?

Może życie w wiekach średnich nie jest jednak takie proste.

Był już późny wieczór, kiedy Robin zebrał się do drogi. Wyznaczył jednego ze swoich ludzi, by został z wierzchowcami, a pozostałym dwóm dał znak, by szli razem z nim. Jake również wstał i podążył za Robinem i Nicholasem.

Szedł zatopiony w myślach, prawdopodobnie bardziej niż powinien. Z trudem docierało do niego, gdzie się znajduje, a raczej fakt, że idzie razem ze średniowieczną arystokracją na misję ratunkową, by uwolnić innego członka tej arystokracji z łagodnych szponów jakichś bez wątpienia dobrotliwych zakonnic.

Och, a ponadto miał przy sobie miecz.

Nagle zjeżyły mu się włosy na karku tak nagle, jak szybko Robin podniósł rękę, by zatrzymać

* 403 *

wszystkich. Robin chciał pójść naprzód, ale Jake powstrzymał go, łapiąc za ramię. Wskazał na rycerza siedzącego pod drzewem jakieś dwadzieścia jardów przed nimi.

- Pozwól mi - bąknął półgłosem Jake.

- Nie zabijaj go - odszepnął Robin.

- Wcale nie zamierzałem. Kryj mnie - Jake rozejrzał się za łukiem albo czymś innym użytecznym w rękach Robina. - No, w każdym razie kryj mnie jakkolwiek.

Robin dobył sztyletu i uśmiechnął się szeroko.

- Jakoś się postaram.

Jake skinął głową i ruszył po cichu naprzód. Na szczęście miał za sobą lata doświadczeń w bezszelestnym chodzeniu, choć tę umiejętność posiadał, zaspokajając humory Thada w czasie długich marszów po niegościnnych terenach. Według Thada, jeżeli już musisz gdzieś iść, to utrzyj to w tajemnicy.

A więc Jake zakradł się w pobliże nieruchomego rycerza bez problemu. Niebawem przekonał się, że mężczyzna był pogrążony w głębokim śnie. Gestem ręki ponad ramieniem przywołał swoich i wkrótce miał obok siebie Robina.

- A gdzież reszta? - spytał Jake.

- Przeprowadzają zwiad. Obudźmy tego i sprawdźmy, czy jego zdolność mowy się nam na coś przyda.

- Obszedł śpiącego dokoła i dobył miecza. Potem kopnął drzemiącego rycerza.

Mężczyzna skoczył na równe nogi, lecz Jake przycisnął go do ziemi, zanim zdołał chwycić za jakąkolwiek broń. Jęknął, gdy Jake ukląkł mu na plecach.

- Kim jesteś? - zapytał cicho Robin.

- Człowiekiem Ledenhama - odrzekł prędko mężczyzna. - Nigdy go nie lubiłem... ajaj, pomąlu

*** 414 ***

z tym kolanem... i nadal go nie poważam. Przestraszył nieszczęsne mniszki. Bydlak.

- Z pewnością przestraszy i ciebie za to, że zasnąłeś na warcie - zauważył surowo Robin.

- Gdzie są twoi kompani?

- Wszyscy pilnują opactwa - powiedział strażnik Ledenhama. Spojrzał na Robina. - Jesteś z Arta-ne, nieprawdaż?

- Jestem dziedzicem - przyznał Robin.

- Nie sądzę, byś potrzebował, panie, nowego gwardzisty, prawda?

- Nie potrzebuję, ale może znam kogoś, kto będzie wkrótce potrzebował - zerknął na Jake'a.

- Uważam, że powinniśmy go związać i jeśli cokolwiek z niego zostanie, gdy wrócimy, zabierzemy go ze sobą do domu. Czy masz rodzinę, panie rycerzu?

- A jakże. Mam siostrę, która jest jedną ze starszych służących lady Ledenhamem. Ona też chętnie przeniosłaby się gdzie indziej, więc najlepiej by było, gdybyście udali, że uczciwie mnie pokonaliście, wtedy mogłaby odejść.

Robin zacisnął usta.

- Nie potrzebuję człowieka, który tak łatwo się poddaje.

- Nie jestem głupcem - wysapał strażnik.

- Związałbym swój los z kimkolwiek, kto nie jest lordem Ledenham, a nie będę mógł, jeśli teraz padnę martwy, nieprawdaż?

Miał słuszość. Jake szarpnął go i postawił na nogi. Mężczyzna przygotował się, że Robin coś mu zrobi.

- obraż go - zaproponował Jake. Strażnik zaczerpnął głęboko powietrza.

- Czy moja siostra jest jedyną jasnowłosą białogłową, z którą nie spłodziłeś bękarta, mój panie?

* 405 *

Jake'a aż zatchnęło, gdy usłyszał te słowa, ale Robin zareagował o wiele gwałtowniej. Jake odczekał, aż Robin wyrządzi gwardziście odpowiednio dużo szkód, a potem odciągnął rycerza.

- Drażliwy jesteś, nie ma co - stwierdził, przewracając poturbowanego mężczyznę, aby móc go związać.

- No cóż - odparł Robin, ciężko dysząc - powiedziałaś mu, żeby mnie obraził.

- Najwyraźniej wykonał swoje zadanie sumiennie. - Jake na dokładkę zakneblował strażnika ode-
rwanym rękawem swojej koszuli, a potem podniósł się i popatrzył na Robina. - To był interesujący do-
bór słów. Nie żeby mnie to cokolwiek obchodziło.

- I niech nie obchodzi - uciał Robin. Urwał, chciał coś powiedzieć, w końcu potrząsnął głową. - Zbyt
długa opowieść. Porozmawiamy o tym któregoś wieczoru, gdy będziemy mieli dobrze w czubie i
znajdziemy się poza zasięgiem uszu naszych dam.

- Nie mogę się doczekać.

Robin rozmasował knykcie prawej dłoni, a potem uśmiechnął się do Jake'a.

- Czuję już smak tego, co nas czeka. Zabierajmy się do dzieła i zakończmy je szybko. Rozumiem, że w
klasztorze mają lichy zastawiony stół, lecz krążą plotki, że ksieni zachowuje jadalne wiktuały tylko
dla siebie. Chciałbym sprawdzić, na ile to prawda.

- Prowadź, milordzie. - Jake skłonił się. - Jestem z tobą.

Robin prowadził. Jake z trudem mógł wypatrzeć Nicholasa i dwóch pozostałych rycerzy, kiedy zbli-
żali się do opactwa, ale w końcu ich dostrzegł, gdy wyłonili się z cienia. Kilku innych ludzi Ledenha-

* 406 *

ma trzymało wartę na zewnątrz murów klasztoru. Ci strażnicy nie byli tak skorzy, by paść plackiem i udawać nieboszczyków. Mimo to zostali prędko unieszkodliwieni i pogrążeni w nieświadomości, z perspektywą przebudzenia się z gargantuicznym bólem głowy.

Jake prześlizgnął się przez mur opactwa razem z innymi i upadł na miękką trawę. Robin uznał, że trafili do prywatnego ogrodu matki przełożonej.

- Dość zbytkowne życie jak na mniszkę - zauważył cierpko Nicholas.

- Hm - zgodził się Robin, idąc dalej.

Jake szedł za nimi, zaraz jednak zatrzymał Robina, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Spójrz - wskazał przed siebie.

Grupka zbrojnych stała przed małym domkiem. Czy sprawił to pech, czy też los zagrał im na nosie, dość, że wartownicy spojrzeli wprost na nich i natychmiast podnieśli krzyk.

- Niech to diabli! - westchnął Robin. - No, chłopcy, bierzmy się do pracy i miejmy to już za sobą.

Jake wiedział, że to nie powinno być dla niego zaskoczeniem, niemniej jednak nie spodziewał się, że jeden z nacierających strażników za wszelką cenę będzie chciał go zgładzić. Dobył miecza i nie poddawał się, ale niełatwo było walczyć w nocy. Pomagała mu jedynie zatknięta nieopodal drzwi do komnaty ksieni pochodnia, która niewiele dawała światła.

Po chwili zorientował się, że jest jedynym z przybyszów, który jeszcze walczy. Robin i Nicholas obezwładnili swoich przeciwników, podobnie jak dwaj przybrani rycerze, a teraz tylko beznamiętnie przyglądali się Jake'owi.

- Poradzi sobie, jak myślisz? - zapytał Nicholas.

*** 417 ***

- Skoro miał mnie za nauczyciela szermierki, mógłby lepiej, prawda? Do dzieła, Kilchurn! Prawdziwa próba czeka nas w środku.

Wtem strażnik Ledenhama wrzasnął i rzucił się naprzód w dzikim ataku. Czy to dzięki swoim umiejętnościom, czy też sprawił to pech, że Jake trzymał miecz pod prawidłowym kątem i we właściwym czasie. Wartownik nabił się na ostrze.

Zacharczał, wydając ostatnie tchnienie, skręcił się i upadł na ziemię, ześlizgując z miecza Jake'a.

Jake miał wrażenie, że zwróci resztki z węgorza z zimnej kolacji, którą spożył zaledwie kilka godzin temu. Nie miał słabego charakteru ani nie był tchórzem, jednak zabijając człowieka, którego się nie zna i tak naprawdę nie chce się pozbawić życia, czuje się coś...

Ktoś wziął z jego rąk miecz. Robin otarł ostrze o koszulę martwego mężczyzny, a potem wcisnął miecz z powrotem w dłonie Jake'a.

- Schowaj to.

Odrętwiały Jake wsunął miecz do pochwy. Robin spoliczkował go. Jake zamrugnął, a potem otrząsnął się gwałtownie.

- Dziękuję.

- Zrobisz to jeszcze nie raz - rzekł szorstko Robin. - Przyzwyczajaj się. Jeśli musisz, bolej nad tym na osobności, ale nie tutaj.

- Tak jest - odparł zwięźle Jake.

Robin zawahał się, po czym z poważną miną popatrzył na Jake'a.

- Kiedy wrócimy do domu, zapoznam cię z beczkami w piwnicy mojego ojca i wtedy porozmawiamy. Teraz pomyśl o tym, że Ledenham może mieć w łóżu twoją wybranekę.

* 418 *

Jake nie potrzebował dalszej zachęty. Skinął energicznie głową i ruszył za Robinem do drzwi domku matki przełożonej. Naparli razem na skrzydło i roztrzaskali je na kawałki. Jake przekoziółkował pod nogi Ledenhama i zobaczył tylko, jak rywal zwinnie wyskakuje przez okno.

Robin przemierzył komnatę i zatrzymał się naprzeciwko kobiety siedzącej przy stole. Jake domyślił się, oceniając strój, że to ksieni. A po jej zachowaniu odgadł, że nie jest miłą osobą.

- Gdzie jest moja siostra? - zawołał Robin.

- Ależ, milordzie Robinie, nie ma jej tutaj - odpowiedziała matka przełożona, mrugając niewinnie oczami.

- Łżesz! - przerwał jej, uderzając dłońmi o blat stołu. - Gdzie ona jest?

Ksieni jedynie uśmiechnęła się.

- Spóźniłeś się, mój panie. Sądzę, że jego lor-dowska mość zmierza już do kaplicy, aby połączyć się ze swoją wybranką. Swoją należycie przyuczoną panną młodą. Rozumiesz, panie, było w niej tyle pychy, którą trzeba było wykorzenić... - westchnęła i potrząsnęła smutno głową. - Wymagało to wielkiego trudu z mej strony.

Jake nie tracił już ani chwili. Przeskoczył przez parapet tego samego okna co Ledenham i pomknął za nim. Pomogłoby mu, gdyby mógł dostrzec go w ciemności, lecz bez trudu odnalazł opactwo. Gdyby tylko wiedział, które to drzwi...

- Tędy - rzucił Nicholas, mijając go w biegu. - Za mną!

Wspięli się susami po stopniach, szarpnęli masywne drzwi i wpadli do przedsionka. Ciężkie żelazne wrota oddzielały ich od nawy kościoła.

*** 419 ***

- Zatrzymaj pospólstwo na miejscu - warknął Nicholas. - Spójrz, tam jest Ledenham, próbuje otworzyć kłódkę.

Jake podążył naprzód, złapał Ledenhama za ramię i odwrócił go. Instynktownie odskoczył w tył, jednak nie na tyle szybko, by uniknąć zadraśnięcia nożem w żebra.

- Niech cię diabli - syknął Jake.

Ledenham był szybki niczym wąż i równie bezlitosny. Pierwsze trzydzieści sekund zajęło Jake'owi wyłącznie umykanie mu z drogi, podczas gdy Ledenham nieustannie go atakował. W końcu Jake'owi udało się odpasać miecz i rzucić go Nicholasowi, nie dając się przy tym zabić, chociaż mało brakowało. Ledenham zaprzestał ataków na tyle długo, by wbić w Jake'a zdumiony wzrok.

- Odrzuciłeś broń - powiedział skonsternowany.

- Rzuć swoją, a będziemy kwita - odparł Jake. - A jeżeli nie, to ci dołożę.

Ledenham tylko parsknął i dobył miecza. Jake nie marnował więcej czasu na uprzejmości. Kopnięciem wytrącił oręż z ręki przeciwnika, a potem błyskawicznie poczęstował Ledenhama uderzeniem pięści w podbródek. Podczas gdy mężczyzna usiłował sprawdzić, czy ma wszystkie zęby na miejscu, Jake chwycił go za rękę i wykręcił tak mocno, aż usłyszał trzask kości. Ledenham wrzasnął. Jake oddał wszystkim przysługę, kolejnym ciosem pozbawiając rywala przytomności. Rozejrzał się.

- Klucz?

- Mam.

Wpatrzył się w mrok przedsionka i dostrzegł matkę przełożoną z triumfującym uśmiechem na twarzy.

- To ci nie pomoże - oznajmiła. - Patrz.

* 420 *

Jake spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył postać rozciągniętą przed ołtarzem. Nie potrafił powiedzieć, kto to jest, widział tylko, że kobieta jest ubrana na biało i leży zwrócona twarzą do posadzki.

- Amanda? - wykrztusił Nicholas zdławionym głosem.

- Czy złożyła śluby? - zażądał odpowiedzi Robin. Ksieni wzruszyła ramionami.

- A któż to wie?

- Ty wiesz, przekłeta nędznico - natarł Nicholas.

Przeorysza tylko się uśmiechała.

- Daj mi ten cholerny klucz! - ryknął.

- Sam go sobie weź, milordzie - powiedziała, a w jej dłoniach zabłysł nagle nóż. - Muszę chronić moje podopieczne i zrobię to, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jake podniósł wzrok. Zwieńczenie wrót znajdowało się ponad jego głową i było najeżone szpikulcami. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak noga mu się ześlizguje, a on sam nabija się na kolce... no cóż, nie była to szczególnie piękna wizja. Zastanowił się więc i popatrzył na Robina.

- Znajdź mi jakieś narzędzie. Mają tu szpikulec do mięsa? A może łyżkę? Coś, co mógłbym zgiąć.

Robin, który najwidoczniej był mądrzejszy od przedstawiciela dwudziestego pierwszego wieku i nie zadawał zbyt wielu pytań, skinął tylko głową i zniknął za drzwiami. Jake ścisnął rękami kraty i wbił wzrok w nawę. Słuchał jednym uchem coraz paskudniejszych gróźb Nicholasa pod adresem ksieni, która z kolei przysięgała, że znajdzie sposoby na wieczne potępienie jego duszy. Jake podejrzewał, że Nicholas o to nie dba, sądził również, że

*** 411 ***

matka przełożona nie dysponuje aż tak wielką mocą, w związku z tym faktycznie oboje znaleźli się w impasie.

Robin niebawem pojawił się z powrotem i wręczył Jake'owi kilka sztuczków.

- Tylko to udało mi się znaleźć.

- Wystarczy.

Operacja zajęła Jake'owi pół godziny i Thad znów byłby tym zbulwersowany, lecz ostatecznie Jake otworzył wrota. Nicholas aż przerwał swoją litanię gróźb, skoro zauważył, co się dzieje.

- No proszę - oznajmił zaskoczony.

- Do zobaczenia w lochu, bracie - rozjaśnił się Jake. Przez krótką chwilę Nicholas odwzajemnił uśmiech. Jake uznał, że oto może uchwycił mgliste wyobrażenie, dlaczego ten rycerz jest tak lubiany. Jednak czar natychmiast prysł, gdy zaczęli walczyć o to, który pierwszy dostanie się do nawy.

- Odsuń się, cholerniku - Jake odepchnął łokciem Nicholasa, uderzając go w żebra pod kolczugą.

- Jestem jej bratem.

- No i co z tego? - spytał Jake, przepychając się obok i ruszając przejściem między kolumnami.

Mniszki rozpięchły się niczym zdmuchnięte liście. No, poza jedną, która stała nad postacią leżącą na posadzce.

- Zejdź mi z drogi - zaproponował Jake.

- Prędzej umrę - zawzięła się mniszka, zakładając ręce na piersi. - Dziecina zasługuje na spokój.

Musicie jej to przyznać.

- Święci pańscy - odezwał się oburzony Robin zza pleców Jake'a. - Pamiętam czasy, kiedy przybycie do opactwa Seakirk i przekroczenie progu kaplicy oznaczało prawdziwą duchową ucztę. Widzę, że wszystko się zmieniło.

* 412 *

Z tymi słowy rozbroił mniszkę skrywającą nóż w rękawie i własnoręcznie odsunął ją na bok. Nicholas nachylił się, aby podnieść białą odzianą postać na nogi, lecz Jake go powstrzymał.

- A jeśli jest ranna?

Nicholas zawahał się, po czym ukląkł obok dziewczyny. Jake uczynił tak samo, delikatnie przesuwając dłońmi po ramionach i nogach leżącej. Spojrzał w dół i ujrzał palce Amandy widoczne spod białej szaty. Były blade i bez życia.

Z nadzieją, że nie wyrządzi jej żadnej nieodwracalnej krzywdy, ujął Amandę pod ramiona i postawił ją

- a nie wymagało to żadnego wysiłku

- na nogi. Objął kobietę, by ją podtrzymać. Krzyknęła z bólu.

Z głowy Amandy zsunął się kaptur i wszyscy trzej, Jake, Robin i Nicholas, jednogłośnie się zachłysłeni.

- Kto ci obciął włosy? - rozzłościł się Robin.

- Ja - zawołała wyzywająco ksieni zza wrót, gdzie pilnowało jej dwóch strażników z Artane.

- Właśnie dzisiaj, i zrobiłam to z przyjemnością! Nicholas wyciągnął nóż i Jake już myślał, że rzuci się na matkę przełożoną. Jednak tylko rozciął tył szaty Amandy.

Tym razem zachłysnięcie zabrzmiało zupełnie inaczej.

Jake tylko przelotnie dostrzegł obrażenia, lecz to wystarczyło, by nie zatrzymywać Nicholasa, gdy wściekły, stanowczym krokiem skierował się do przedsionka. Jake nie wiedział, jak pomóc Amandzie; nie mógł jej podnieść, nie mógł jej trzymać w objęciach. Usiadł szybko na ławce, by jakoś mogła przetrzymać te chwile. Łagodnie położył ją sobie na kolanach. Nie miał pojęcia, gdzie może

*** 423 ***

dotknąć jej pleców, by nie sprawić bólu, zatem ujął jej dłonie jedną ręką, a drugą gładził to, co pozostało z włosów dziewczyny - a nie było tego wiele.

Amanda zaczęła płakać.

Jake wzdrygnął się.

- Przepraszam - szepnął.

Nic nie odpowiedziała, lecz jedna z jej dłoni powędrowała w górę i spoczęła na jego piersi. Amanda przywarła do Jake'a i zaniosła się szlochem. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszał, żeby ktoś tak płakał. Nie był pewien, czy to dobrze, czy źle, ale nie zamierzał jej powstrzymywać. Trzymał ją na kolanach, miał zamknięte oczy i słuchał, co się dokoła dzieje, ale nie dbał o to, co z tego wyniknie. Robin i Nicholas zajęli się tym, czym trzeba było się zająć, i uznał, że pozbierają resztki, gdy już będzie po wszystkim.

Mogły upłynąć minuty, a może była to godzina, nie potrafił ocenić. W końcu Amanda ostrożnie dotknęła twarzy rękawem, a potem spojrzała na Jake'a przekrwionymi błękitnymi oczami, których kolor wciąż przywodził na myśl egzotyczny skrawek oceanu na Bahamach.

- Spóźniłeś się - wyszeptała.

- Spieszyłem się.

Amanda poruszyła się, lecz syknęła z bólu.

- Nigdy więcej się nie spóźniaj.

-Nigdy więcej tego nie zrobię - powtórzył z uczuciem. - Ale co cię opętało, żeby tu przyjeżdżać?

- Nie sądziłam, że mam jakiś wybór.

- A teraz masz?

Znów popatrzyła na Jake'a przez dłuższą chwilę, po czym złożyła głowę na jego ramieniu.

- Chcę wrócić do domu.

- Zabiorę cię tam.

* 414 *

Jake podniósł wzrok na Nicholasa, który nagle wyrósł tuż przed nim. A może stał tam już całe wieki.

Jake nie miał pojęcia, lecz zrozumiał wyraz jego twarzy.

Rezygnacja, jeśli nie pogodzenie się z faktem.

Jake przytaknął ze zrozumieniem. W odpowiedzi spotkał się ze zwięzłym skinieniem głowy.

- A więc? - zapytał, aż nadto gotów do drogi.

- Co z wielebną matką?

- Jeszcze żyje - odparł Nicholas - lecz przypuszczam, że będzie tego żałować, gdy już z nią skończę.

- Uważam, że powinniśmy ją zdegradować do rangi pomywaczki.

- „Zdegradować do rangi...”? - nie zrozumiał Nicholas.

- Przerobić na kogoś innego - wyjaśnił Jake.

- Możemy to zrobić?

- Uznaj to za załatwione - Nicholas popatrzył na Amandę. - Oczyszczyłem komnaty ksieni dla Amandy, ale nie wiem, jak ją tam zaniemiemy.

- Przyszykujemy siedzisko. Amando, możesz wstać?

- Na chwilę - odrzekła, krzywiąc się. Nicholas podniósł siostrę, a Jake wstał z ławki.

Pokazał Nicholasowi, jak spleść ręce na kształt krzeselka, po czym zanieśli Amandę do pokojów przeoryszy. Mimo że Jake nie nosił jej wcześniej, nie mógł nie zauważyć, że dziewczyna waży tyle co nic.

- Jadałaś coś? - zapytał.

- Nie pamiętam - odpowiedziała ze znużeniem.

- Często pościłam, żeby wykorzenić z siebie wady.

- A wiemy, że są ich nieprzebrane ilości - zauważył oschle Jake. Opuścili Amandę na podłogę,

*** 425 ***

a potem pomogli jej z Nicholasem położyć się twarzą do pościeli na bardzo miękko wyglądającym łożu ksieni.

- Ach, to jest warte wszystkich cierpień - westchnęła ze szczerą ulgą Amanda.

- Pójdę poszukać uzdrowiciela - oznajmił Nicholas.

- Zaczekaj - zatrzymał go Jake, nie podnosząc się z klęczek obok łóżka. - Kto wie, komu tutaj możemy zaufać?

- Nie ufać uzdrowicielowi? - zapytał osłupiały Nicholas.

- Przynieś mi tylko trochę wina - poprosiła Amanda.

- I zioła - dodał Jake. - Czy mamy teraz jakieś zioła w Anglii?

Nicholas zagapił się na niego, jakby Jake postradał zmysły. Amanda obróciła głowę, żeby spojrzeć na brata.

- Mamy - odrzekła. - Nicky, przypuść szturm na kuchnię. Zobacz, czy mają suszoną babkę lancetową lub żywokost. Każde z tych ziół się przyda.

Nicholas przewrócił oczami, niemniej opuścił małą komnatę bez dalszych komentarzy. Jake okrył dłoń Amandy swoją i popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

- Tak mi przykro - wyznał.

- Przykro ci, że się spóźniłeś - spytała, uśmiechając się słabo - czy że byłam na tyle niemądra, że nie poczekałam dłużej?

- Przykro mi, że przed odejściem nie powiedziałem ci wszystkiego, co powinienem.

Wyczuł w Amandzie napięcie.

- Wszystkiego?

*** 416 ***

- Nie odpowiedziałem na wszystkie pytania, które mi stawiałaś.

Odetchnęła ostrożnie.

- I jak będzie z tymi odpowiedziami? Czy przypadną mi do gustu?

- Mam nadzieję.

Amanda patrzyła na niego przez jakiś czas w milczeniu.

- Czy znowu odjedziesz?

- Już nie sam - odparł.

Uśmiechnęła się, a raczej lekko wygięła usta, ale dla Jake'a ten uśmiech był zupełnie czarujący.

- Czy to propozycja małżeństwa?

- Jeszcze nie.

-Jeszcze nie zdecydowałeś, czy dostatecznie mnie lubisz? - zapytała i nawet nie drgnęła.

- Od chwili, gdy cię ujrzałem, wiedziałem, że cię wystarczająco polubiłem - wyznał uczciwie. - Lecz muszę uporządkować jeszcze kilka spraw, zanim ugnę przed tobą kolano i wyznam ci dozgonną miłość.

- Możesz to zrobić, nie pytając, czy zechcę cię poślubić.

Jake roześmiał się, a potem nachylił i bardzo delikatnie pocałował Amandę w czoło.

- Kocham cię, Amando z Artane i będę cię kochał do ostatniego tchnienia, a nawet dalej, po śmierci.

Rozważyła te słowa, a potem z uśmiechem zamknęła oczy.

- To mi wystarczy.

Jake czekał. Spojrzał na jej dłoń, która oplotła jego rękę, i odczekał jeszcze chwilę. I już miał otworzyć usta i skarcić Amandę, że nie odwzajem-

* 427 *

nia się miłosnym wyznaniem, gdy zorientował się, że to nie ma sensu. Usłyszał pochrapywanie.

Jake miał nadzieję, że to nie jest złowróźbny znak.

Przyjrzał się ranom Amandy - i swoim - i uznał, że mogą poczekać kilka chwil. Usiadł na podłodze, wciąż trzymając dziewczynę za rękę. W którymś momencie poczuł, że może paść na ziemię, jeśli nie wesprze głowy, więc oparł ją obok twarzy Amandy i zamknął powieki.

Udało mu się.

Zdawał sobie sprawę, że najtrudniejsza część zadania jeszcze przed nim, a nie za nim. Jednak nie należało lekceważyć faktu, że zaszedł tak daleko i najwyraźniej cieszył się przynajmniej odrobiną szacunku i uczucia ze strony kobiety spoczywającej obok.

Da sobie radę z resztą.

Nie miał najmniejszego zamiaru przegrać.

Amanda siedziała opatulona pledem na stołku przy kominku w wielkiej sali Artane. Jeszcze nigdy w życiu nie była za nic tak wdzięczna jak teraz, ciesząc się po prostu z tego, że jest w domu. No, może czułaby głębszą wdzięczność, gdyby miała krzesło, ale kimże była, żeby czepiać się szczegółów? Siedziała na stołku, a nie na krześle, ponieważ jej plecy jeszcze się goiły i nie była w stanie o nic się oprzeć. To była ostatnia instrukcja ksieni, która omal Amandy nie zabiła. Amanda pamiętała początek nauki, lecz końca już nie. Być może z bólu straciła przytomność. Wiedziała tylko tyle, że przez dzień lub dwa spędzone w komnacie wielebnej matki, jej bracia i Jake zastanawiali się, czy w ogóle da radę wrócić do domu. Z gorączki nie wiedziała, co się dzieje. Pamiętała jak przez mgłę, że Jake nie pozwalał nikomu puszczać jej krwi i Amanda była niemal pewna, że słyszała szcęk broni. Robin paradował z podbitym okiem. Nie pytała go, jak się tego nabawił. Nicholas kiepsko oddychał i Amanda podejrzewała, że mógł mieć złamane żebro lub dwa. W jego przypadku również nie dociekała pochodzenia obrażeń. Jake był cały i zdrowy i tak opiekuńczy, że nie odstępował Amandy na krok. A przynajmniej do-

*** 419 ***

póty, dopóki nie dotarli do zamku, gdzie upewnił się, że Annę nie dopuści do Amandy żadnych medyków z pijawkami. Wtedy Robin zaprosił go na plac musztry na mały trening.

Mogła mu to przyznać: widział przed sobą tylko jeden cel.

Było to oczywiście widoczne, jak okazywał względy Amandzie. Gdy Jake wracał po dniu pełnym trudów, koncentrował się tylko i wyłącznie na niej i na niczym więcej; nawet możliwość zwyciężenia Nicholasa w partii szachów nie była w stanie odwrócić jego uwagi.

W istocie, Amanda nie miała na co narzekać, a z bardzo wielu powodów mogła czuć wdzięczność. Poruszyła się na stołku, skrzywiła, potem jeszcze raz poruszyła, aż przyjęła możliwie najbardziej znośną pozycję.

- Boli? - zaniepokoiła się Anne.

- Nie tak, żebym na to nie zasłużyła - stwierdziła ponuro Amanda.

- Mandy, przestań - złajęła ją Anne. - Ucieczka była niemądrym pomysłem, ale nawet to nie usprawiedliwia takiego traktowania - wzdrygnęła się.

- Co to za straszna kobieta, ta ksieni.

- O tak, odbierze swoją zapłatę - popatrzyła na Anne. - Robin ci nie powiedział?

- Prawie go nie widuję - uśmiechnęła się Anne.

- Cały czas spędza na placu ćwiczeń z Jakiem.

- Przepraszam za to, siostró - odrzekła Amanda. Anne potrząsnęła głową.

- Nie przepraszaj. Gdyby nie zamęczał twojego ukochanego na placu musztry, wystawałby nade mną i nękał, że nic nie robię, tylko wciąż odpoczywam. Nie, to uczciwa zamiana i jestem zadowolony-

*** 430 ***

na, że tak się stało. Jednak oznacza to również, że bardzo mało wiem o twojej ucieczce.

- Zaraz opowiem ci wszystko, czego byłam w stanie dowiedzieć się, leżąc w łóżku przez ostatnie dwa tygodnie - Amanda znów zmieniła pozycję. Nie wiedziała już, co ją bardziej drażni: ból obitych mięśni czy swędzenie pod opatrunkami. - Jak wiesz, Jake uratował mnie tuż, zanim złożyłam śluby.
- W samą porę - Anne pokiwała głową z aprobatą.
- Otóż to. Te śluby związałyby mnie z Ledenha-mem, był zatem naprawdę najwyższy czas. I wiesz także, jak Jake zajmował się mną, gdy byłam nieprzytomna.
- Widziałam rezultaty na Nickym i Robinie - zaśmiała się Anne. - Ach, Mandy, twój Jake będzie się tobą wspaniale zajmować.
- Zapewne. Jednak najwidoczniej jego umiejętności nie kończą się na odpieraniu najlepszych intencji moich braci. Kiedy przybył opat, aby upewnić się, że opactwo zostało właściwie przygotowane na wizytę króla...
- Króla? - przerwała jej Anne. - Tutaj?
- W Seakirk - poprawiła ją Amanda. - Przypuszczam, że ojciec pojedzie się z nim spotkać.
- Nie ma sensu bez potrzeby uszczuplać naszej spiżarni - przyznała Anne.
- Oczywiście, pozwólmy mu pustoszyć zamek Seakirk i okoliczne wioski. Dzięki temu, że uniknęliśmy królewskiej wizyty, opat Bartłomiej znalazł się pod ręką i mógł się naocznie przekonać, co planowała nasza lady Joan. Jake zaproponował, że najlepszym sposobem na zbawienie duszy tej kobiety będzie stworzenie jej szansy na spędzenie

* 421 *

reszty życia na służbie, prawdziwej służbie mniszkom, które ją otaczały.

- Jak to, na czyszczeniu wygódek? - roześmiała się Anne.

- Och, to również - potwierdziła Amanda.

- Służba pomywaczki oraz sprzątanie wygódek i stajni, jeśli dobrze pamiętam. Mogę dodać, że w obowiązkach miała jej pomagać pewna siostra Eunice, o dość ciężkiej, lecz gnuśnej ręce. - Amandę przeszedł dreszcz. - W każdym razie dzięki niech będą niebiosom, że to Eunice biła mnie najczęściej. Nie miała na tyle mocnych nerwów ani nie była tak wytrwała, by wymierzać więcej niż parę razów.

- Amando - rzekła Anne ściszone głosem.

- Jak to znosiłaś?

- Miałam złamane serce - Amanda wzruszyła ramionami. - W związku z tym, czy to miało jakieś znaczenie?

- A teraz?

A teraz? Drzwi się otworzyły. Amanda podniosła wzrok i zobaczyła Jake'a, który wszedł z Robinem i młodym Christopherem z Blackmour. Śmiali się z czegoś. Amanda straciła już nadzieję, że kiedykolwiek ujrzy Nicholasa równie swobodnie jak Robin odnoszącego się do jej ukochanego, ale być może wszystko przyjdzie z czasem. Na razie cieszyła się, widząc tego mężczyznę, jedyne, którego kochała, przygarniętego na łono rodziny przez jej najstarszego brata. Jeśli Robin potrafił dojrzeć w Jake'u to co ona, to być może dostrzeże to także jej ojciec.

Patrzyła, jak podeszli do kominka, i czuła, że jej serce rwie się do niego. Na wszystkie świętości, była tak blisko utraty najprostszyc radości życia,

*** 432 ***

którymi cieszyła się w tej chwili! Gdyby zmuszono ją do poślubienia Ledenhama... Jake uklęknął przed Amandą.

- Znow się zamyśliłaś.

- Często mi się to zdarza - odrzekła lekkim tonem.

- Czy mogę żywić nadzieję, że dumiałaś nad moimi wspaniałymi osiągnięciami na placu musztry?

- Nad tym także - uśmiechnęła się. Jake popatrzył na Amandę uważniej.

- Jak się czujesz?

- Lepiej. Jestem w domu. A to bardzo dużo. A jak ty się miewasz?

- Wciąż trzymam się na nogach i nie broczę krwią z dziesiątków ran.

Robin opadł na krzesło obok Anne.

- Robi duże postępy. Christopher, chłopcze, przyniesiesz mi wina? I dla Jake'a także.

- I dla mnie, jeśli pozwolisz, Christopherze - poprosił Nicholas. Przyniósł dwa krzesła od wysokiego stołu. Postawił je przy kominku i zajął jedno z nich. Wykonał gest głową w kierunku drugiego.

- Kilchurn - powiedział, a w jego głosie nie brzmiała wroga nuta.

Amanda spojrzała na Jake'a, podnosząc brwi.

- Jak przyjaźnie się do siebie odnosicie...

- Amando, to nie jest temat do żartów - ostrzegł Nicholas.

Spojrzała na niego z nadzieją, że w końcu zrozumie, jak bardzo go kocha, że zawsze będzie go nosić w sercu, którego Jake nigdy w pełni nie zagarnie. Niech wszyscy święci mają go w opiece, czy nie mówiła mu tego, gdy wracali z opactwa?

- Głuptas - oznajmiła bez ogródek. - Przecież żartowałam.

* 423 *

Nicholas popatrzył na nią wilkiem.

- Mógł pokonać mnie w rywalizacji do twojego serca, lecz nigdy nie pokona na placu boju.

- Nigdy to niebezpieczne słowo - zauważył spokojnie Robin. - Daj mu rok lub dwa, a ci dorówna.

Mnie oczywiście nie. - Na jego twarzy zakwitł skromny uśmiech. - Lecz niewielu ma zaszczyt chociażby marzyć o takich wyżynach. Jeszcze bardziej nielicznym się to udaje. W rzeczy samej, nikt mi nie przychodzi do głowy.

Nicholas burknął i popatrzył na Jake'a.

- Lepiej się dobrze zastanów, Jackson, nim się w pełni zaangażujesz i wżenisz w tę rodzinę, gdyż, niestety, do niej należy Robin. Jest nie tylko nieznośnie arogancki bez powodu, ale także jego ulubionym zajęciem jest wścibianie nosa w cudze sprawy.

- Amanda powiedziała, że będę wystarczająco dużo podróżował, by nie miał ku temu okazji - odrzekł Jake z przebiegłym uśmiechem. Wyciągnął dłoń i wziął Amandę za rękę. - Wytrzymam.

Amanda siedziała blisko ciepłego kominka, trzymając dłoń ukochanego mężczyzny i zastanawiała się, czy może spotkać ją coś lepszego. Pomyślała, że jej dolegliwości ustąpią, a Jake mógłby jakoś zdobyć tytuł, by przypodobać się jej ojcu, ale w tej chwili nie powinna prosić o nic innego.

- Masz chętkę na więcej? - zapytał Jake i popatrzył na Robina.

Robin spojrział na Amandę.

- To twoja sprawa, siostró, nie moja. Już się nastawiłem, że spędzę ten wieczór w domu, ciesząc się towarzystwem żony i syna, a tymczasem twój wybranek ciągnie mnie z powrotem na plac musztry, żeby...

- Ja pójdę - przerwał mu Nicholas.

*** 434 ***

Amanda zmarszczyła brwi.

- Może lepiej Robin...

Nicholas uśmiechnął się. Zupełnie niewymuszenie.

- Wróci zdrów i cały, siostró. Posiadam pewne umiejętności, choć Robinowi trudno to przyznać.

Jake ucałował dłoń Amandy, po czym wstał.

- Wrócę - obiecał. Przeniósł wzrok na Nicholasa. - Chodźmy.

- Przejdziemy przez kuchnię - rzekł Nicholas, podnosząc się. - Robinie, pozwól, że wypożyczę twojego pazia. A w ogóle, dlaczego ty masz pazia, a ja nie?

- Dlatego że Christopher, nawet jak na swój młody wiek, ma wyjątkowo bystre oko i trzeźwy osąd. Możesz go pożyczyć, ale uważaj na niego i staraj się go nie zepsuć, pozwalając mu obserwować kiepską technikę.

Nicholas popatrzył na Jake'a.

- Już rozumiesz, dlaczego tak nienawidzę Robina? Jake odchrząknął i popchnął Nicholasa w stronę kuchni.

- Ruszajmy. Jeśli będziesz dla mnie miły, pokażę ci niesławny chwyt rozbijający nieodpowiednich zalotników bez rozlewu krwi, który zastosowałem wobec naszego zacnego lorda Ledenhama.

- Doprawdy? - Nicholas sprawiał wrażenie zadowolonego. - Muszę przyznać, że mi się to spodobało. Gdzie się tego nauczyłeś?

- To bardzo długa historia...

Amanda obserwowała obu oddalających się mężczyzn, i poczuła, że jej serce się uspokaja. Szli razem bez obnażonych ostrych narzędzi śmierci. To bardzo dobrze. Byli tego samego wzrostu, dość podobnej budowy ciała i nawet po trosze usposo-

* 425 *

bienia. Mimo to bardzo się różnili i Amanda nie mogła nie wierzyć, że wybrała dla siebie właściwego mężczyznę.

- Nick przestał przemyśliwać, jak najlepiej zgładzić Jake'a - zauważył leniwie Robin. - Powinnaś odczuwać ulgę, siostró.

- Odczuwam. Jutro zacznę skakać i ruszę w tany, gdy tylko poczuję się sobą.

Amanda chciała się odchylić, ale nie dała rady. Owinęła się więc tylko szczelniej pledem i nachyliła w kierunku kominka. Rzuciła Robinowi uważne spojrzenie.

- Jak sądzisz, gdzie Jake przebywał przez cały ten czas?

- Nie pytałaś go?

- Nie potrafiłabym znieść takiej wiedzy - potrząsnęła głową.

- No cóż, z pewnością nie umiał sobie drogi stąd do Londynu i z powrotem figlami z tanimi dziewczkami.

- Robinie! - wykrzyknęła Amanda. Robin mrugnął.

- Wybacz mi. Jeśli chcesz znać prawdę, siostró, wyjechał po worki ze złotem i klejnoty, by zapłacić za ciebie odpowiednią cenę. Jednak kto wie, jak zdobył te skarby.

Amanda przez długi czas wpatrywała się w ogień, zanim znów się odezwała.

- Montgomery uważa, że Jake jest czarodziejem i że został uwięziony w ich krainie... aż w końcu udało mu się przekonać swoich pobratymców, by go puścili.

- Montgomery'emu wyszłoby na zdrowie, gdyby mniej czasu poświęcał na myślenie, a więcej na szermierkę.

*** 436 ***

Amanda uśmiechnęła się do Robina.

- Widziałeś, jak teraz poszedł za Jakiem i Nickiem? Uwielbia Jake'a i nie dba o to, gdzie się po-dziewał - westchnęła i znów zatopiła wzrok w ogniu. - Mam tylko nadzieję, że czas, jaki Jake spędził na placu ćwiczeń, wystarczy, by jego umiejętności dorównywały złotu i klejnotom.

- Jakaś część mnie boleje nad tym, że musi oddać wszystko, co w życiu wypracował, tylko po to, by mnie zdobyć.

Robin wypił potężny łyk wina.

- Siostrzo, masz niewielkie pojęcie o tym, co poświęcił, aby pozostać z tobą - a w grę wchodzi o wiele więcej niż złoto.

- Czy zatem aż tak bardzo kocha Londyn?

- Amanda zrobiła się smętna.

- Londyn to ostatnia z rzeczy, której musiał się wyrzec.

Anne roześmiała się.

- Na wszystkich świętych, Robinie, czy już nie potrafisz być bardziej tajemniczy? Zdradź biedaczce szczegóły albo przestań ją dręczyć.

- Nic więcej nie powiem...

- Chwała niebiosom - mruknęła Amanda. Robin zachmurzył się.

- Tego, czego się o nim dowiesz, musisz się dowiedzieć od Jake'a. Dlaczego sama nie zapytasz?

- Zapytam. Czułam po prostu, że to wyjątkowo niestosowne dopytywać się o stan jego szkatuły

- odrzekła sztywno.

- Dlaczego? - Nie rozumiał Robin. - Każdy mężczyzna w Anglii w odpowiednim wieku do ożenku pytał o twój posag.

- Nie życzę sobie żadnego z nich naśladować

- odparła.

*** 427 ***

Przez dobrą chwilę patrzyła tylko w ogień, słuchając, jak Robin i Anne cicho rozmawiają ze sobą o prostych rzeczach i zazdrościła im ich spokoju. Robin znalazł swoje miejsce, podobnie Anne. Przeniosła na nich zamyślony wzrok, aż w końcu Anne zwróciła na nią uwagę i uśmiechnęła się.

- O co chodzi, Amando?

Amanda potrząsnęła głową. Wolałaby wzruszyć ramionami, lecz zbyt ją bolały.

- Martwię się.

- Raczej powinnaś - rzekł wyjątkowo życzliwie Robin. - Będzie musiał nie tylko wyrzucić dobre wrażenie na ojcu, ale i wydrzeć tytuł od króla.

- Robinie! - skarciła męża Anne. Spojrzała na Amandę. - Jestem pewna, że Rhys mu pomoże.

- Hm - odpowiedziała Amanda, lecz wcale nie była taka pewna.

- Nie trać nadziei - dorzuciła łagodnie Anne.

- Słuchaj jej - poradził Robin. - Już raz porzuciłaś nadzieję i zobacz, do czego cię to doprowadziło.

- Wielkie dzięki za przypomnienie - Amanda pociągnęła się za włosy - To im nie pomoże - zauważył Robin. Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie masz nic mądrego do powiedzenia? Może powinieneś udać się na plac musztry i zaszczyścić ich swoim ciepłym słowem.

Robin wstał i przeciągnął się, a potem spojrzał na Anne.

- Masz coś przeciw temu?

- Czy kiedykolwiek miałam? Uśmiechnął się i pochylił, by pocałować żonę.

- Jesteś nadzwyczajną kobietą, Anno z Artane - rzekł cicho. - I bardzo cię kocham.

* 428 *

Anne rozpromieniła się. Amanda uśmiechnęła się na ten widok. Robin potrafił być gburem, to prawda, ale umiał też być uroczy i Amanda cieszyła się, że przynajmniej Anne mogła dostrzec tę stronę jego natury, o której inni tak rzadko mogli się przekonać.

Robin zmierzwił siostrze włosy, przechodząc obok.

- Jesteś niemal równie znośna - podzielił się wielkoduszną uwagą.

Amanda zdmuchnęła spadające na oczy włosy i popatrzyła na Anne.

- Już widzisz, dlaczego doprowadza mnie do szału?

Anne śmiała się.

- Bardzo cię kocha. I lubi Jake'a. Nie zamartwiałabym się zbytnio. Zadba o to, by Jake był przygotowany.

- Na co? - spytała Amanda. - Na to, że gdy wróci ojciec, to zetrze go obcasem w proch?

- Rhys okaże przychylność Jake'owi - przepowiedziała radośnie Anne. - Jaki będzie miał wybór? Kochasz Jake'a.

- Będzie chciał wybrać dla mnie kogoś, kto ma tytuł i ziemię! - wybuchnęła Amanda.

- Jake kupi to wszystko. To, czego nie można kupić, moja najdroższa siostrze, to mężczyzna, który będzie cię kochał i poważał do końca twoich dni, a właśnie to znalazłaś. Twój ojciec to zrozumie.

Amanda rozluźniła dłonie i dopiero wtedy dostrzegła, jak mocno je zaciskała.

- Mam nadzieję, że masz rację.

- Potrzebujesz teraz spacerów brzegiem morza - stwierdziła Anne. - Zabierz jutro Jake'a. Z dala

* 439 *

od zamku, z dala od placu ćwiczeń radujcie się blaskiem słońca, bo niedługo ciepłe dni się skończą.
Weź Jake'a i wyznaj mu, co kryje twoje serce.

- Sądzę, że on wie.

- Powiedz mu to jeszcze raz. Oni muszą często tego słuchać.

Amanda skinęła głową.

- Zrobię tak. Morskie powietrze też dobrze mi robi.

- Nie rozumiem, dlaczego uważałaś opactwo Sea-kirk za słuszny wybór - zauważyła Anne z udawaną zgrozą. - Tak daleko od morza. Jak byś to przeżyła?

- Było mi wszystko jedno - odparła Amanda. Przetarła oczy i westchnęła. - Było mi wszystko jedno i byłam głupia. Powinnam była poczekać.

- Miłość czyni każdego z nas głupcem - rzekła Anne.

- Czyja to myśl?

- Nie wiem, ale taka jest prawda, czyż nie?

- Istotnie - odparła z przekonaniem Amanda. W każdym razie czuła się jak szczęśliwy głupiec i za to była bezmiernie-wdzięczna.

Jake patrzył na morze i zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się zamoczyć palce stóp, nie przejmując się przy tym, na ile wypada mu się obnażyć. Położył to wyrzeczenie na jednej szali, a rozkosz trzymania dłoni Amandy na drugiej, i uznał, że nie ma mowy o żadnych wyrzeczeniach. A poza tym morze było zimne. Łatwo się bez tego obejść.

Dzień był piękny. Było chłodno, ale naprawdę przyjemnie, i świeciło słońce. Prawdopodobnie był to jeden z ostatnich dni przed nastaniem jesiennych deszczy i Jake czuł wielką wdzięczność za to, że mógł znaleźć się dla odmiany na plaży, a nie na placu musztry.

Rzecz nie w tym, że nie doceniał czasu spędzanego na szermierce. Jednak spacer z Amandą to zdecydowanie większa przyjemność w porównaniu z drzeniem przetrenowanych mięśni za sprawą jednego z jej starszych braci. Choć przeważnie toczył sparingowe walki z Robinem, to kiedy Robin robił sobie przerwę, by się czegoś napić albo udać do wygodki, pod ręką był Nicholas, zawsze gotów ochoczo chwycić za miecz i zrobić, co w jego mocy, by pogrążyć Jake'a w nieświadomości. Jake nie skarżył się. Im więcej ćwiczył, tym bardziej rosły jego szanse na to, że zaimponuje ojcu Amandy.

*** 431 ***

Zważywszy że przyszłość Jake'a zależała od dobrego wrażenia, jakie wywrze, był więcej niż chętny do słuchania instrukcji któregośkolwiek spośród starszych braci de Piagetów.

Poza tym zaczynał naprawdę lubić Nicholasa. Rycerz był bardziej swobodny w obejściu niż Robin, przebieglej szy, bardziej skłonny wbić nóż między żebra z uśmiechem na ustach. Jake to rozumiał. I miał nadzieję, że pewnego dnia Nicholas wybaczy mu na tyle, że będą mogli po prostu usiąść i uciąć sobie przyjacielską pogawędkę, nie pamiętając o tym nożu. Zdarzają się takie osobliwości.

Jake i tak już był świadkiem wystarczająco dziwnych zdarzeń.

Dziwnych i nieskończenie cudownych.

Patrzył na wspaniałą istotę idącą obok. Milczała, lecz Jake przypuszczał, że po części z powodu bólu.

Amanda wciąż utykała i niekiedy traciła oddech, gdy rwało ją w plecach.

Zdegradowanie matki przełożonej do rangi po-mywaczki było chyba zbyt łagodnym posunięciem.

Amanda zatrzymała się bez uprzedzenia i popatrzyła na Jake'a. ~

- Montgomery mówi, że jesteś czarodziejem - oznajmiła nagle.

Najwidoczniej zamierzała pominąć uprzejmości i przejść od razu do rzeczy. Jake uznał, że nie nadarzy się lepsza okazja, aby odpowiedzieć na kilka z jej pytań.

- Czy Montgomery przedstawił ci na to jakiś dowód?

- Powiedział, że powinnam o to zapytać ciebie. Montgomery najwyraźniej był bardzo dobry w dochowywaniu tajemnic. Tylko mu pogratulować.

*** 442 ***

- A więc pytam - ciągnęła Amanda. - Czy jesteś czarodziejem?
- Wierzysz w czarodziei, Amando? - spytał po chwili.
- Wierzę w to, czego mogę dotknąć, co mogę zobaczyć, co mogę chwycić w obie ręce. Ale - przyznała z uśmiechem - chętnie rozważę i inne możliwości.

Jake przyglądał się Amandzie, ostrzyżonym włosom powiewającym dokoła jej głowy, przejrzystym błękitnym oczom i urzekająco pięknemu obliczu. Ogarnęło go niepokojące uczucie, że nic z tego nie jest rzeczywiste.

A potem wzięła go za rękę.

- Zatem powiedz mi, opowiedz mi całą historię, gdyż czuję, że chodzi o coś więcej niż o zwykłą podróż do Londynu. A jeśli chcesz mi wyjawić, że wyskoczyłeś z trawy, w to prawdopodobnie także uwierzę.

Jake uśmiechnął się.

- Tego ci nie powiem. Ale z pewnością chodzi o coś więcej niż o wyprawę do Londynu.
- To mnie uspokaja.

Jake przypuszczał, że dopiero z upływem czasu przekona się, na ile prawda uspokoi Amandę. Objął ją ramieniem, ostrożnie, i zawrócił, by przejść z nią wzdłuż brzegu.

- Na ile mi ufasz?

- Tobie? Skinął głową.

Szła kilka chwil w milczeniu, a potem spojrzała na Jake'a.

- Obserwowałam cię przez sporą część lata i teraz przez część jesieni, jak ćwiczysz na placu musztry tak, że przy tobie Robin wygląda na gnuśnego. Czy myślę się, zakładając, że to wszystko dla mnie?

* 433 *

- Nie, nie mylisz się - odpowiedział powoli.
- Robin mówi, że porzuciłeś znane sobie życie w zamian za złoto i kamienie, za które możesz kupić tytuł szlachecki, aby udobruchać mojego ojca. Czyż nie tak?
- Właśnie tak.
- Więc jak mogłabym ci nie ufać?
- Nie znasz jeszcze wszystkich faktów.
- Nie jestem strachliwym dziewczęciem, niezdolnym wytrzymać napięcia - rzekła ostro. - Nie ufasz mi?

Jake nachylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Ufam.
- No to przestań mnie całować wszędzie, tylko nie tam, gdzie przyniosłoby to największy pożytek. Roześmiał się, a potem delikatnie obrócił do siebie Amandę. Wsunął rękę za jej kark i zaczął ją naprawdę sumiennie całować.
- Lepiej?
- Teraz możesz mówić dalej - odparła nieco bez tchu.

Jake zaczerpnął głęboki, wyrównujący oddech, a potem skinął głową. —

- W porządku. Lecz idźmy dalej, jeśli tylko możesz. Lepiej mi się mówi, kiedy idę.
- Jak sobie życzysz.

Przez moment obejmował ją mocniej, a potem, gdy szli powoli brzegiem morza, patrzył na Amandę, by sama mogła ocenić, czy nie kłamie.

- Montgomery miał powody, by sądzić, że jestem czarodziejem, lecz nie powinien był kierować się rozsądkiem. Sam bym w to nie uwierzył, gdyby mi się to nie przydarzyło i proszę, nie patrz na mnie, jakbym postradał zmysły... Istnieją, rozrzucone po całej Anglii i Szkocji... - urwał na chwilę, by

* 434 *

sprawdzić, czy zdoła to powiedzieć, nie sprawiając wrażenia kompletnego pomyleńca -... wrota czasu.

- Co takiego?! - Przystanęła.

- Wrota czasu.

Amanda była w każdym calu pokerowym graczem, tak jak Robin. Przez dłuższą chwilę tylko na niego patrzyła, a potem przeniosła wzrok na morze.

- Czasu - powtórzyła w zamyśleniu.

- Tak jak wrota do i na zewnątrz zamku. Z jednej strony jest jeden rok, a z drugiej inny.

Przez chwilę lub dwie przetrawiała tę nowość.

- Możesz podać jakiś przykład?

- Mogę. Z jednej strony wrót mamy rok 1227. Z drugiej 2005.

- 2005 - powtórzyła, wstrzymując oddech. Nagle spojrzała na Jake'a. - Zapewne stroisz sobie ze mnie żarty. Wolno zaprzeczył głową.

- Bynajmniej.

- A co te wrota mają z tobą wspólnego? - zapytała, lecz Jake czuł, że Amanda już zna odpowiedź.

- Przekroczyłem jedne z nich.

- Przekroczyłeś jedne z tych wrót.

- Zgadza się. Z roku 2005.

- Z Roku Pańskiego 2005 - powtórzyła i przeszedł ją dreszcz. - Samo wypowiedzenie tych słów jest prawie ponad moje siły - umilkła. - Nie jestem nieuczo-na, ale to przerasta granice mojego pojmowania.

- Pozwól mi dokończyć opowieść, a potem zdecydujesz, jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz - zaproponował swobodnym tonem.

Amanda milczała kilka minut, po czym skinęła głową.

- Tak będzie ucziwie - przystała. - No dobrze, zatem, jak znalazłeś się, hm... tutaj?

* 445 *

- Podróżowałem i mój... - urwał, gdyż uznał, że pewnego razu będzie musiał usiąść i naszkicować jej kilka przedmiotów - wóz wypadł z drogi. Wirowanie zdawało się trwać bardzo długo, a kiedy się ocknąłem, znalazłem się w komnacie twojego ojca.

Rozważała te słowa.

- Jakim językiem posługują się ludzie w 2005 roku?

- Odmianą chłopskiego angielskiego. Francuski, jaki znam, bardzo się różni od języka, w którym teraz rozmawiamy.

- W jaki sposób się bronicie?

- Przeważnie z pomocą prawa - rzucił oschle. - Nie, w mojej epoce nie walczyliśmy na miecze i zwykle nie jeździliśmy konno, chyba że dla rozrywki, ani nie mieszkamy w zamkach. No, niektórzy mieszkają, ale większość ludzi nie. To zbyt kosztowne.

- A kupcy?

- Kupiectwo to zajęcie bardzo wielu osób - wyjaśnił Jake. - A moja dziedzina, czyli handel szlachetnymi kamieniami, wymaga gruntownego wykształcenia i szczególnych umiejętności.

- Ale mieszkasz w Londynie?

- Mieszkałem.

- Ile liczysz sobie wiosen? - zapytała, a potem uśmiechnęła się, prawie nieśmiało. - Nigdy cię o to nie pytałam.

- Trzydzieści dwie.

Amanda rzuciła mu krótkie spojrzenie, nim skinęła głową i znów zaczęła iść krok w krok. Szli długo i cały ten czas patrzyła na swoje stopy, aż Jake zaczął się zastanawiać, czy też nie uznała, że jej wybranek jest niespełna rozumu i lepiej byłoby zapobiec dalszym stratom, uciekając, zanim bardziej zaangażuje się w związek z obląkańcem. Jake żałował.

* 446 *

wał przez chwilę, że nie odkrył przed nią kart, gdy po raz pierwszy się spotkali, i nie opowiedział całej historii. Lecz z drugiej strony, przecież nie znał dostatecznie dialektu normandzkiego, by właściwie przekazać myśli.

Wtem Amanda przystanąła i popatrzyła na Jake'a.

- Staram się przyjąć to na wiarę.

- Czy chcesz dowodu?

Nagle zamrugła kilka razy, jakby usiłowała się nie rozplakać.

- Przeklęty piasek - zachmurzyła się. Przetarła rękawem oczy. - Nie żywię wobec ciebie żadnych wątpliwości - podkreśliła. - Ale... - spojrzała na niego zbolą. - Dowód by pomógł.

Jake zaśmiał się, ujął twarz Amandy w dłonie i delikatnie ją pocałował.

- Dowody zajmą trochę czasu, ale powiem ci

o nich. Dziecię, które nosi teraz w łonie Anne? To będzie chłopiec i będzie się nazywać Kendrick.

Anne będzie miała jeszcze dwie pociechy, dziewczynkę i drugiego chłopca, Mary i Jasona.

Amanda wzięła głęboki oddech.

- Jeszcze czymś chciałbyś się podzielić?

- Mam monetę z 2005 roku. Jest u Robina. Otworzyła usta i odsunęła się od Jake'a.

- Robin wie?! Powierzyłeś tę tajemnicę Robinowi, a mnie nie?

- Patrzył, jak przechodzę przez wrota czasu

1 znikam - wyjaśnił zwyczajnie. - Nie miałem wyboru i musiałem mu powiedzieć.

Amanda założyła ręce na piersi i obrzuciła go piorunującym wzrokiem.

- Nie mogę uwierzyć, że najpierw zaufałeś temu gburowatemu prostakowi, a dopiero potem mnie.

* 437 *

- Myślałem, że masz dość kłopotów.
 - Następnym razem - oznajmiła, a jej oczy płonęły - bądź tak uprzejmy i nie myśl za mnie, Jacksonie Aleksandrze Kilchurnie.
 - Czwarty.
 - Czwarty, niech cię diabli. Jake roześmiał się.
 - Obiecuję, nigdy więcej nie będę tak robił.
 - Jeśli sądzisz, że ci to wybaczyłam, popełniasz olbrzymi błąd, drogi panie. Po prostu nie jestem w stanie uwierzyć, że powierzyłeś mojemu nie-umiejącemu się zachować bratu tajemnicę takiej wagi, zanim zdołałeś przygotować grunt, by powiadomić mnie pierwszą - patrzyła wściekłym wzrokiem. - Jestem mocno zagniewana.
 - Widzę. Jak mam przeprosić?
- Patrzyła na niego wzburzona przez dobrych parę minut. Przez ten czas Jake zastanawiał się, czy nie powinien przeprosić na chwilę i przynieść tego pudełka bardzo drogich czekoladek, które Ken-drick zapakował mu do sakwy.
- Zanim jednak stało się to absolutnie niezbędne, Amanda westchnęła. _
- Powiedz mi, że uda ci się tego dokonać - powiedziała. - Tak się boję, że...
 - Że przegram?
 - Ze inni ci to uniemożliwią - odrzekła żałośnie.
 - Pozwól mi zrozumieć - odparł. - Potrafisz uwierzyć, że jestem z przyszłości, ale nie możesz uwierzyć, że jestem w stanie przekonać Henryka, by nadał mi tytuł?
 - Dwór to prawdziwe siedlisko intryg. Jake uśmiechnął się.
 - Powiem ci coś, co może rozproszy twoje obawy. W wigilię dnia, gdy przeniosłem się do twojej epoki,
- * 448 ***

przebywałem w długim holu w zamku Seakirk i obserwowałem, jak dwa duchy kłócą się ze sobą o to, kto był piękniejszy, Anne z Artane czy lady Gwen. Amandę aż zatkało.

- Doprawdy?

- Doprawdy. Kłótnia trwała jakiś czas, dopóki trzeci mężczyzna, Robert z Conyers nie wymienił twojego imienia. Oba pozostałe duchy opuściły miecze i zgodziły się w bardzo pochlebnych słowach, że w istocie ty byłeś z nich wszystkich naj-urodziwsza. Kiedy zapytałem ich o ciebie, popatrzyli na mnie tak, jakbym dostał pomieszania zmysłów. Być może wiedzieli coś, czego ja nie wiem. Może znali mnie z 1227 roku. Może Robert strzegł mnie razem z tobą przez lata i zastanawiał się, dlaczego o wszystkim zapomniałem.

- Robert to jeden z moich gwardzistów - słabym głosem przyznała Amanda.

- Jak widać, osiem stuleci później nadal sądzi, że jesteś piękna.

- Długo po tym, jak umarłam - mruknęła.

- Długo po tym, jak oboje umarliśmy - dodał Jake. Amanda zawahała się, po czym objęła go ramionami i złożyła głowę na jego piersi.

- Będę ci ufać, choć trudno mi wierzyć. Jake również ją objął, bardzo ostrożnie.

- Łatwiej uwierzyć, że jestem prostym kupcem, który upatrzył sobie cel poza zasięgiem ludzi swojego stanu?

Roześmiała się krótko.

- Zapewne właśnie tak jest.

- Zaufaj mi, dopóki nie zdecydujesz, jaką postawę przyjąć. I zachowaj to, co ci powiedziałem, dla siebie, do chwili gdy przekonasz się, że to prawda.

-Jake! Amando!

*** 439 ***

Jake obejrzał się i zobaczył pędzącego w ich kierunku Montgomery'ego. Chłopak wymachiwał rękami ponad głową.

- Mamy towarzystwo - westchnął Jake.

- Pocałuj mnie - rozkazała. - Moja ostatnia chwila spokoju, nim zaczniesz prześladować nas przez resztę dnia.

Jake wyświadczył jej tę grzeczność, dopóki krzyki Montgomery'ego nie rozległy się tak blisko, że musiał już zwrócić na nie uwagę. Westchnął i spojrzał na brata Amandy.

- O co chodzi?

- Ojciec wrócił - wysapał chłopak. - Chce was oboje zobaczyć.

Jake sądził, że jest już zbyt stary, by żołądek wywracał mu się na nice, jak to się właśnie stało.

Amanda popatrzyła na niego z poważną miną.

- Nadszedł czas próby - odezwała się cicho. - Jesteś pewien?

- Czy myślisz, że teraz odejdę? Chyba że jest ktoś inny, kogo wolałabyś widzieć walczącego o ciebie...

- No cóż, lord Ledenham jest całkiem pociągający - rzekła z uśmiechem.

- Kłamczucha - odparł, zwracając w stronę zamku. - Chodźmy. Lepiej przedstawić moją sprawę wcześniej niż później.

Amanda rzuciła mu spojrzenie pełne niepokoju. Jake wziął ją za rękę i ruszyli wzdłuż plaży, a potem powoli przez wydmy do zamku. Jeszcze raz ucałował jej dłoń, gdy przechodzili pod barbakanem w zewnętrznym murze, a potem puścił.

- Lepiej, żebym sobie nie pozwalał na zbyt wiele poufałości - oznajmił uroczyście.

- Nie podchodzisz do tego tak poważnie, jak by należało - skarciła go Amanda.

*** 450 ***

- Ależ jak najbardziej. Stawką jest moją przyszłość, a także twoja - wyprostował się. - Żałuję, że nie dane mi jest ćwiczyć jeszcze przez rok, aby udoskonalić szermierkę.
- Ja również - dodała usłużnie Amanda. - Pociął by cię na plasterki.
- Bardzo ci dziękuję za wiarę w moje zdolności.
- A powinnam kłamać? Mój ojciec dorósł do lat męskich z mieczem w dłoni, podobnie jak Robin. Jak możesz w ogóle żywić nadzieję, że uda ci się osiągnąć podobny poziom umiejętności w ciągu jednego lata?
- Nie mogę mieć nadziei - zgodził się nonszalancko Jake. - Zrobię tylko to, co będzie w mojej mocy.
- Wiem.

Ruszyli pod górę w stronę wielkiej sali zamkowej. Zbrojni krążyli po dziedzińcu, wchodzili po schodach i schodzili z nich, po pokrzepieniu się w sali. Jake i Amanda weszli do środka, gdy tylko ciżba ludzi rozproszyła się po terenie zamku. Obok wysokiego stołu stała starsza para. Oboje byli odziani w proste szaty, lecz Jake bez trudu rozpoznał w nich rodziców Amandy.

Pierwszy raz, uczciwie mówiąc, pozwolił sobie na refleksję, co sobie, do diabła, myślał, by teraz mieć śmiałość podejść do ojca Amandy z Artane i wyznać swoje zamiary wzięcia jej za żonę. By skrzyżować miecz z człowiekiem, który Robinowi z Artane przekazał całą swoją wiedzę?

Ze zdenerwowania odchodził od zmysłów.

Poczuł na sobie wzrok Amandy. Odwzajemnił jej się spojrzeniem z czymś, był tego pewien, w rodzaju lekko bladego uśmiechu.

- Nie zmuszaj mnie, bym musiała cię nieść przez resztę drogi - ostrzegła.

*** 441 ***

Jake poczuł, jak napięcie w nim odrobinę zelżało.

- Dziękuję.

- Ależ nie, to ja ci dziękuję. Wyglądasz na takiego, co ma swoją wagę.

Po czym podeszła i objęła ramionami matkę.

A Jake zrozumiał, dlaczego duchy z Seakirk uważały, że za Gwennelyn de Piaget warto stawać w szranki.

Podziwiał kobietę, stojąc w pewnej odległości, i zdawał sobie sprawę, że oto widzi Amandę za dwadzieścia lat. Gwen była oszalamiająco urodziwa, chociaż w jej długich, ciemnych włosach po-błyskiwały srebrzyste pasemka, a na twarzy rysowało się kilka zmarszczek. Jednak oczy Gwen były oczami Amandy i Jake poczuł, jak szybko i dokładnie obrzuciły go przenikliwym wzrokiem.

A potem zorientował się, że kobieta wyciąga do niego rękę.

Jake zastanawiał się, czy byłoby przesadą, gdyby teraz padł na kolana.

Tymczasem zrobił krok naprzód, ujął jej dłoń i nisko się nad nią pochylił. Następnie wyprostował się i posłał pełen najgłębszego szacunku, najszczerzy, na jaki go było stać, uśmiech proszący--by-oddała-mu-swoją-córkę.

- Jak rozumiem - odezwała się Gwen, przygarniając do siebie Amandę ramieniem - winnam ci podziękowanie za ocalenie mojej córki przed skutkami bardzo niemądrej decyzji.

- Miejmy nadzieję, że nie popełni kolejnego głupstwa - rzekł surowo Rhys de Piaget.

Jake rozpromienił się w pełnym wdzięczności uśmiechu pod adresem Gwen, a potem obrócił się, by złożyć ukłon ojcu Amandy.

*** 452 ***

- Panie - przywitał się, prostując. Nie był pewien, czy teraz jest odpowiednia pora, by przedstawić Rhysowi swoje plany, więc na wszelki wypadek milczał. Czuł, że mężczyzna mierzy go badawczym spojrzeniem; nie bardzo potrafił określić, czy zyskał aprobatę, czy też nie.

- Rozmawiałem z Robinem - zaczął Rhys. - Powiedział mi, że to dzięki tobie moja córka stoi teraz przede mną.

- Twój synowie również tam byli, panie, niosąc jej ratunek.

Rhys rozważał te słowa z rękami założonymi na piersi, a jego oblicze wyrażało wyłącznie serdeczność. Jake zastanawiał się, nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich pięciu minut, czy naprawdę uda mu się zrealizować swój cel.

- Jesteś kupcem, jak rozumiem - ciągnął Rhys. Trafiony, zatopiony. Jake skinął głową.

- Istotnie, panie.

Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się. Nagle popatrzył na żonę.

- Siądziemy razem, a potem muszę porozmawiać z sir Walterem, aby sprawdzić, czy zostało cokolwiek w spiżarni, czy też muszę sięgnąć do moich szkatuł. A do tej sprawy wrócę później.

I z tymi słowy odwrócił się i odszedł.

- Zaprosił cię na wieczerzę, prawda?

Jake obejrzał się na Robina i ledwo stłumił chęć wymierzenia mu ciosu pięścią.

- Zawsze tak podkradasz się do ludzi? Robin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Stałem obok ciebie od dobrych paru chwil. Nie zauważyłeś?

- Oczywiście, że nie zauważył, tępaku - odcięła się Amanda. - Masz okropny zwyczaj i powinieneś

* 443 *

go zarzucić. Jake ma wystarczająco dużo zmartwień i bez twojego nękania.

- A czym się tu martwić? - Zdziwił się uprzejmie Robin. - Ojciec nawet nie stanął z tobą na polu walki, a już cię rozniósł na strzępy.

- Ach, starasz się być uczynny? - upewnił się Jake. - Bo się pogubiłem.

Robin tylko się roześmiał, klepnął go w ramię i mrugnął do Amandy.

- Biedny chłopak. Lepiej przynieś łopatę, Amando, aby zgarnąć to, co zostawi z niego ojciec.

- Idź precz, wstrętny parszywcze - zachnęła się Amanda. - Skoro do niczego się nie przydajesz, wynieś się gdzie indziej.

Robin radośnie ucałował matkę w oba policzki, po czym oddalił się spacerowym krokiem, nucąc sobie pod nosem.

Gwen jednak się uśmiechała.

- Pan Kilchurn, prawda? - zapytała.

Cóż, przynajmniej pamiętała jego nazwisko. To musiał być dobry znak.

- Jackson - dodał z kolejnym pełnym uszanowania ukłonem. - Jake, jeśli wolisz, pani.

- Strawa dla psów, jeśli chcesz być dokładny

- zawołał jeszcze do nich Robin.

- Tym razem go zabiję - poprzysięgła Amanda.

- Pilnuj mnie, żebym tego nie zrobiła.

Gwen wzięła Jake'a pod rękę i poprowadziła go w stronę schodów.

- Musiałeś przypaść Robinowi do gustu - rzekła swobodnym tonem - w przeciwnym razie warczałby zamiast chichotać. Słyszałam tylko urywki wieści od Montgomery'ego i mogę się domyślać, co Amanda uczyniła z włosami, ale być może zechciałbyś, panie, dotrzymać mi towarzystwa w mo-

*** 454 ***

ich komnatach i opowiedzieć mi wydarzenia tego lata, gdy będziemy odpoczywać?

Jake skinął głową i odprowadził damy na górę, a potem do pokoju, w którym nigdy nie był. Przy-
puszczał, że do wielu pomieszczeń jeszcze nie zaglądał i zastanawiał się, jak to wróży na przyszłość.

- Ach, Anne, moja kochana - Gwen przywitała się z synową, całując ją w oba policzki. - Doskonale
wyglądasz.

- Czuję się też dużo lepiej - przyznała Anne z uśmiechem. - Wybacz, że nie zeszłam na dół się
przywitać, ale Phillip zasnął i nie chciałam go zostawiać samego. Czy podróż upłynęła ci przyjemnie?
Gwen uśmiechnęła się.

- Wiesz, że wolałabym pozostać w domu, lecz złożyliśmy wizyty tym, których należało odwiedzić. A
teraz po powrocie przekonaliśmy się, że to wy ciekawiej spędziliście te kilka miesięcy.

Jake przyniósł krzesła, pomógł Amandzie usadowić się jak najwygodniej, a potem stanął za nią z
rękami założonymi na plecach. Starał się przybrać najbardziej średniowieczny, najbardziej
jak--mogłabyś-nie-chcieć-mieć-mnie-za-zięcia wygląd. Amanda sięgnęła po jego dłoń.

- Usiądź obok mnie, Jake - rzekła cicho. - Jeśli chcesz.

Jake przysunął sobie mały zydel i przycupnął na nim odważnie, starając się, by miecz nie uwierał go w
żebra. Ostatecznie musiał wstać, odpiąć broń, a potem znów usiąść z westchnieniem ulgi. Zorientował
się, że wszystkie kobiety w komnacie patrzą na niego z różnym natężeniem rozbawienia i czułości.

Czułość płynęła oczywiście ze strony Amandy. Rozbawienie okazywały Anne i Gwen.

*** 445 ***

- Które z was chciałoby zacząć pierwsze? - spytała Gwen. - Ach, a oto i Isabelle. Dziękuję, kochanie, że przyniosłaś wino. Jake, czy mógłbyś nas obsłużyć?

Jake nie spodziewał się, że Isabelle dorówna matce i siostrze urodą, lecz gdy ją ujrzał, przyszło mu do głowy, że jest to możliwe. Ustąpił dziewczynie miejsca na zydlu i wziął od niej tacę. Nie miał gdzie jej oprzeć, więc postawił tacę na ziemi, napełnił winem pięć pucharków i rozdał je wszystkim obecnym. Usiadł wygodnie na posadzce obok Amandy, zastanawiając się, czy uda mu się przeżyć to popołudnie.

- Nie musisz siedzieć na ziemi - zauważyła z uśmiechem Gwen.

- To najlepsze, co mogę uczynić - odrzekł szczerze. - Gdyby do komnaty weszła jeszcze jedna piękna kobieta i tak bym upadł.

- Pochlebca - uznała Amanda, leniwie gładząc jego włosy.

- Nigdy nie mówię pochlebstw. Przyzwyczailem się, że olśniewają mnie doskonałe szlachetne kamienie. Nie jestem jednak przyzwyczajony, by olśniły mnie cztery klejnoty równocześnie.

Anne roześmiała się.

- Na wszystkich świętych, Jake, babka Robina byłaby tobą oczarowana. Nie sądzisz, matko?

Gwen skinęła głową.

- Matka już straciła nadzieję, że moi chłopcy kiedykolwiek nauczą się wytwornie wysławiać. Są wyśmienitymi wojownikami, lecz ich języki są zaledwie pozłacane. A więc, Jake'u, jeśli nie masz nic przeciwko temu, może zechciałbyś opowiedzieć, dlaczego włosy mojej córki nie są dłuższe niż na szerokość dłoni, i jak udało ci się ją uratować,

*** 456 ***

zanim obcięła je jeszcze krócej. Dowiedzmy się wszystkiego, co zaszło, zaczynając od tego punktu. Jake spędził resztę popołudnia w bardzo miłym towarzystwie, czując się dużo swobodniej niż kiedykolwiek przedtem, odkąd sięgał pamięcią. Gwen zachowywała się w taki sposób, że sprawiała wrażenie zainteresowanej wszystkim, co mówił. Anne wchodziła i wychodziła z komnaty, zależnie od tego, co próbował spsocić jej synek. Isabelle tylko patrzyła na Jake'a szeroko otwartymi oczami. Ale to Amanda sprawiała, że za każdym razem, gdy na nią spojrzął, zapierało mu dech w piersi. Nawet nie chodziło o to, że była piękna, ani że wyglądała na przepełnioną nadzieją. Rzecz w tym, że wyczuwało się w niej harmonię. Zupełnie jakby znalazła to, czego pragnęło jej serce. Jakaś część Jake'a nadal nie mogła uwierzyć, że na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu, pomimo braku tytułu i szermierczych umiejętności, wbrew wiekom upływającego czasu, to on został jej wybrankiem.

Niesamowite.

Drzwi po prawej otworzyły się i do komnaty zajrzał Montgomery.

- Już skończyliście?
- Za chwilę - odpowiedziała Gwen.
- Wieczera gotowa. A potem ojciec planuje rokowania w swojej komnacie - spojrzął na Jake'a.
- Ciebie nie zaprosił.
- Montgomery - skarciła go Gwen. - To niegrzecznie wykluczać kogoś w ten sposób.
- Ależ to nie ja, mamó - odparł Montgomery.
- Ojciec powiedział, by go nie zapraszać. Chciałem dotrzymać Jake'owi towarzystwa, ale ojciec mówi,

* 447 *

że ja też muszę przyjść - uśmiechnął się do Jake'a. - Natomiast jesteś mile widziany na kolacji, jeśli tylko sobie życzysz. Przynajmniej ojciec nie zamierza zamorzyć cię głodem.

- Bogu niech będą dzięki za tę łaskawość. - Jake wstał, odprowadził damy do drzwi, a następnie poczuł, że ktoś zatrzymuje go na progu, kładąc mu dłoń na piersi. Amanda uniosła twarz i przyciągnęła do siebie jego głowę. Delikatnie go pocałowała.

- Ojciec cię dręczy. Zachowywał się tak wobec każdego mężczyzny, który starał się o moją rękę.

- A zatem to dobry znak.

- Traktuje cię tak jak innych. Zaiste, to bardzo dobry znak.

- Czuję ulgę.

- Śmiem twierdzić, że ta ulga nie potrwa długo. Lecz uśmiechnęła się szeroko przy tych słowach, a Jake pomyślał, że może znieść jeszcze sporo męczących kolacji, aby znów zobaczyć ten uśmiech.

* * *

Wieczera okazała się krępująco krótkim wydarzeniem. Jake'owi ledwie udało się przełknąć kilka kęsów mimo niewidzialnej miazdzącej ręki, ściskającej bez litości jego serce, zanim Rhys podniósł się i wyprowadził za sobą rodzinę. Amanda, która zajmowała miejsce na drugim końcu stołu, zdążyła rzucić Jake'owi ostatnie spojrzenie przed wyjściem.

Jake został na swoim miejscu, dokończył, ile mógł z wieczornego posiłku, zastanawiając się, co będzie dalej.

Miał tylko nadzieję, że Robin zwróci Rhysowi uwagę, że te małe mieszki wypełnione monetami,

* **458** *

które znajdują się w jego kufrze, nie są jakąś nieoczekiwaną wygraną, którą powinien jak najszybciej upłynnić.

Wieczór ciągnął się niemiłosiernie.

Nagle u jego boku pojawił się Montgomery. Nie wyglądał na zadowolonego.

-1 jak? - zapytał Jake.

- Omawiają twoje niedostatki. -Niedobrze?

- Nicholas wie dzie prym w dyskusji.

- Niech to szlag!

Zza pleców Montgomery'ego wyjrzał John. Jake popatrzył na niego posepnie.

- Jeszcze jakieś dobre wieści?

- Robin dokładnie omawia twoje umiejętności szermiercze.

- Niedobrze?

John wyglądał na nieco speszonego.

- Oczywiście, że niedobrze. W końcu to Robin. Jake bawił się drewnianą tacką. Gdy skończył ją badać i już miał zacząć rozdrabniać na okruszki, niespiesznym krokiem podszedł do nich Miles, potwornie ziewając. -1 jak? - zapytał Jake.

- Wciąż dyskutują - odparł Miles i rzucił się na krzesło obok Jake'a. - Ojciec chce zobaczyć twoje towary.

- Czy to dobrze? Miles uśmiechnął się.

- Dobrze, jeśli chcesz zarobić więcej złota. Niedobrze, jeżeli chcesz poślubić jego córkę. Sądzę, że bardziej interesowałyby go twoje cechy predestynujące cię na męża.

- A co mówi Amanda? - nalegał Jake. - Występuje w mojej obronie?

* 449 *

- Zasnęła godzinę temu - wyjaśnił usłużnie Miles. - Pochrapuje szczęśliwa z głową na kolanach Nicholasa.

Jake wyrzucił w górę rękę.

- Toż to istna katastrofa!

- Nie słyszałeś jeszcze najgorszego - odezwał się Robin, pojawiając się nieoczekiwanie przed Jakiem.

- Niech to diabli, mógłbyś wreszcie z tym przestać! - rozzłościł się Jake.

Robin oparł się rękami na stole i uśmiechnął życzliwie.

- Jutro rano masz się stawić na placu musztry.

- Da się zrobić - odrzekł pewnym siebie tonem Jake.

- Zaczнеш z Montgomerym, a potem z coraz bardziej zaawansowanymi. Z ojcem zmierzysz się na końcu.

Jake się zakrztusił. Ostatecznie musiał pozwolić Milesowi uderzyć się w plecy.

- Cudownie - wydusił. Spojrzał na Robina. - Czy idziemy jeszcze poćwiczyć, czy powinienem po prostu już teraz rzucić się na własny miecz?

Robin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wyśpij się dobrze. Nick powiedział, że możesz spać w jego łóżku. Myślę, że lituje się nad tobą.

- Miło z jego strony.

- Albo miło, albo chce, by coś z ciebie zostało, gdy nadejdzie jego kolej.

Jake nie był w stanie się śmiać. Patrzył na Robina poważnym wzrokiem.

- A jeżeli przegram?

- Tracisz nagrodę - wyjaśnił zwyczajnie Robin. Jake oparł się i westchnął.

- A więc...

*** 450 ***

- Nie przegraj - rzekł Robin.
- Wszystko, co mogę zrobić, to...
- Zwyciężyć - przerwał mu Robin. - Nie ma innej drogi. Nie ma starania się. Nie ma tłumaczenia się: „To najlepsze, na co mnie stać”. Musisz wygrać.
- Robin, doceniam twoją wiarę we mnie, ale stając w szranki z całą twoją rodziną, nie mam cienia szansy wytrwać do końca na własnych nogach.
- Nie? - Robin się zamyślił. - Może i nie. Ale o biegłości wojownika przesądza nie tylko biegłość we władaniu mieczem.

I z tymi słowami odwrócił się i odszedł. Jake patrzył, jak odchodzi, po czym przeniósł wzrok na Montgomery'ego.

- Czy będziesz moim giermkim? Oczywiście, gdy już skończymy walkę.

Montgomery uśmiechnął się.

- Z przyjemnością. Pokażę ci teraz, gdzie sypia Nicholas. Najlepiej, jeśli się prześpisz, póki możesz. I nie przejmuj się. Nikt nie jest w stanie pokonać mojego ojca. Nawet Robin.

-Już mi lepiej.

Miles roześmiał się, a Jake poczuł, jak serce rozgrzewa mu niespotykane ciepło. Popatrzył po trzech młodych mężczyznach, którzy wciąż siedzieli z nim przy stole, i pomyślał, że posiadanie braci może być naprawdę bardzo dobrą rzeczą.

Jeśli tylko przeżyje jutrzejszy poranek.

Nie miał innego wyboru, ponieważ jeśli myśl o posiadaniu braci była miła, to myśl o posiadaniu Amandy była po prostu czystą rozkoszą.

Jake wstał i poszedł za Montgomerym na górę, by spróbować przespać się choć kilka godzin.

34

Amanda powoli przechadzała się tam i z powrotem wzdłuż muru przy wewnętrznym dziedzińcu. Nie była w stanie usiedzieć w miejscu nie tylko z powodu rwącego bólu w plecach, lecz także dlatego, że ze zdenerwowania czuła się na wskroś chora.

- Dobrze mu idzie.

Amanda spojrzała na matkę powoli idącą obok.

- Mamo, walczy z Milesem. Jak w ogóle może mu marnie iść?

W powietrzu pofrunął miecz. Amanda patrzyła, jak słońce odbija się w ostrzu, gdy broń kreśliła łuk w powietrzu. Miecz spadł z łoskotem na ziemię u jej stóp. Odczuła ulgę, gdy zobaczyła, że choć był gładki, nie miał w rękojeści błękitnego kamienia.

To był miecz Milesa, a nie Jake'a.

- Chwała niech będzie niebiosom - podziękowała żarliwie. - Może powinnam udać się do kaplicy na cały dzień.

Gwen splotła przedramię Amandy ze swoim.

- Skarbie, tam nie będziesz się mniej denerwować niż tutaj. Być może najlepiej będzie, jeśli zostaniesz i będziesz się wszystkiemu przyglądać.

Amanda przystanęła i popatrzyła matce w oczy.

- Jak ty to zniosłaś? To oczekiwanie? Zastanawianie się, czy ojcu się uda?

* 462 *

Gwen uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Zapewne znosiłam to samo, co ty znosisz teraz. Trapiłam się, chodziłam tam i z powrotem i spędzałam mnóstwo czasu na modlitwie.

- Mamo, czy Jake ci się spodobał? - spytała Amanda. - Czy też popełniam poważny błąd?

Gwen zastanawiała się nad odpowiedzią tak długo, że Amanda zaczęła żałować, że w ogóle zadała to pytanie.

- Moje zdanie jest następujące - podjęła z namysłem Gwen. - Po trosze przypomina mi twoich starszych braci, z wyjątkiem tego, że nie jest zaprawiony w wojaczce. Z trudem mogę uwierzyć, że jest tylko kupcem. Pięknie się wysławia, jest rozumny i dość pewny siebie. Jakikolwiek mężczyzna, który ma czelność ubiegać się o twoją rękę, nie będąc równy ci stanem, jest albo największym szaleńcem w Anglii, albo mężczyzną, który dostatecznie cię kocha, aby zaryzykować dla ciebie wszystko. Jak mógłby ktoś taki nie przypaść mi do gustu? Właściwe pytanie brzmi, czy tobie przypadł do serca?

- O, tak! - rzekła ponuro Amanda.

- I stąd się wzięły twoje ostrzyżone włosy?

- Myślałam, że nie mam innego wyjścia. Gwen ścisnęła dłoń córki.

- Kochanie, zawsze masz możliwość wyboru.

- Ojciec chciał, bym wyszła za mąż. Myślałam, że straciłam upragnionego mężczyznę. Cóż miałam innego robić?

- Och, Amando - przejęła się Gwen i drugą dłonią dotknęła twarzy dziewczyny. - Wybacz nam, skarbie. Chcieliśmy po prostu, żebyś była szczęśliwa.

- W takim razie weź ojca na bok i powiedz mu, by nie zabijał Jake'a.

* 453 *

- Sądzę, że to nie ojca powinnaś się obawiać
- Gwen skinęła głową w stronę pola musztry.
- Spójrz.

Amanda popatrzyła we wskazanym kierunku i pożałowała, że to zrobiła. Jake mierzył się właśnie z Nicholasem, a Nicholas nie okazywał ani krzty litości. Jedyne, co mogło napawać otuchą, było to, że Jake nie zużył zbyt dużo sił, by pokonać jej najmłodszych braci, choć starcia z Montgomerym i Johnem przeciągał o wiele za długo. Wówczas Amanda zerkała na ojca, by przekonać się, co o tym myśli, ale z wyrazu jego twarzy nic nie dało się wyczytać. Natomiast matka uśmiechała się wtedy do niej i kiwała głową na znak aprobaty.

Fakt, że Jake skończył walkę z Milesem w tak krótkim czasie i zachowując rezerwę siły i sprawności, całkiem dobrze wróżył.

Z drugiej strony, Miles nie był Nicholasem, a poranek mijał.

Słońce wędrowało w stronę zenitu, a końca walki Jake'a z Nicholasem nie było widać.

- To dobrze - stwierdziła twardo Gwen.
- Dobrze? - powtórzyła z niedowierzaniem Amanda. - Jak możesz coś takiego mówić?
- Nicholas też spływa potem, moja droga.
- No tak, cóż, życzyłabym sobie, żeby mniej ociekał potem i się poddał - oznajmiła stanowczo Amanda. - Zanim Nicholas z nim skończy, z Jake'a nie zostanie nic.

I wtedy, zupełnie nagle, Nicholasa wryło w miejscu z mieczem wbitym czubkiem w ziemi. Ostrze Jake'a znalazło się tuż przy jego gardle.

- Litościwi święci niebiescy - odetchnęła Amanda.
- Zaiste - przyznała Gwen. -1 na dodatek uczciwy manewr.

*** 464 ***

Nicholas złożył broń. Amanda patrzyła, jak brat wymienił z Jakiem uścisk dłoni i zszedł z pola. Minał siostrę, zмирzając do ławy, na której stały napełnione kubki. Napił się, wylał resztę wody na głowę, a potem podszedł do Amandy. Dziewczyna zmarszczyła nos.

- Powinieneś wziąć kąpiel. Nicholas posłał jej uprzejmy uśmiech.

- Wykąpię się, gdy wszystko się skończy. Skoro sprawy zaszły tak daleko, nie mogę przegapić końca. Ledwo rozbrzmiał szczęk oręża, gdy walka się rozstrzygnęła. Amanda ujrzała ze zgrozą, że miecz wylatuje Jake'owi z rąk. Robin, wiadomo, nie okazał więcej litości niż Nicholas, nacierając na Jake'a, jakby naprawdę chciał go zgładzić. Amanda myślała gorączkowo, jak to możliwe, że Jake wytrwał wobec tak nieprzejednanej postawy Robina. Ogłosiłaby zawieszenie broni, byle tylko na to więcej nie patrzeć.

Jake uskoczył Robinowi z drogi, by uniknąć wyjątkowo morderczego pchnięcia. Robin spojrział nań spode łba.

- Prawdziwy rycerz się nie cofa. Jake uśmiechnął się.

Robina to nie rozbawiło.

Lecz zupełnie nieoczekiwanie okazało się, że Robin nie ma noża u pasa. Spojrzął na Jake'a, który pewnym chwytem dzierżył jego nóż, i spochmurniał.

- Już po Jake'u - zauważył usłużnie Nicholas. - Czy sądzisz, że miałby coś przeciwko temu, bym zaopiekował się jego złotem, gdy już sam nie będzie w stanie? Mój dach okazał się dość kosztownym przedsięwzięciem.

- Milcz! - syknęła Amanda, zbyt przerażona, by przynajmniej zwymyślać brata jak należy. - Jeśli

*** 455 ***

potrafisz w ogóle okazać litość, odmów za niego modlitwę lub dwie.

- Nie potrzebuje modlitw - rzekł pewnym siebie tonem Nicholas. - Jak myślisz, dlaczego nie zamordowałem go we śnie już dawno temu? Jest bardzo sprytny. Jeśli masz wyjść za mąż, wyjdź za niego.

Amanda popatrzyła na brata z otwartymi ustami.

- Mówisz poważnie? Nicholas uśmiechnął się lekko.

- Będziemy dalej go ćwiczyć. Aby być lordem, potrzeba nie tylko biegłości we władaniu mieczem. Znam kilku, którzy nie potrafiliby podnieść oręża, by ocalić swoje życie. Z drugiej strony, nie starają się o rękę mojej siostry, ale to już zupełnie inna historia. A ten Kilchurn...

Urwali rozmowę, gdyż Gwen nagle westchnęła. Amanda obejrzała się i zobaczyła Robina pozbawionego także miecza.

Od tego momentu walka potoczyła się szybko i zdecydowanie. Robin legł twarzą do ziemi przygwożdżony przez Jake'a.

Amanda rozejrzała się. Na placu musztry nie było nikogo, na czym obliczu nie malowałby się wyraz bezgranicznego zdumienia.

Gdy znów przeniosła wzrok na walczących, Jake już się podniósł i szarpnięciem poderwał Robina na nogi, w związku z czym Amandzie przeszło przez myśl, że wszystko, co zaszło przed chwilą, mogło być wytworem jej wyobraźni. Robin głośno oznajmiał każdemu, kto chciał słuchać, że w rzeczywistości Jake nie pokonał go za pomocą miecza.

A potem jeden głos uciał tyradę Robina niczym ostrze przecinające ciało.

- Podnieś swój oręż, jeśli łaska.

*** 466 ***

Amanda odwróciła się w prawo i ujrzała ojca, jak stoi z rękami założonymi na piersi i z mieczem wciąż tkwiącym w pochwie.

Nawet Robin rozumiał, że milczenie będzie najmądrzejszym posunięciem, gdyż schylił się po broń i zszedł z pola typowym dla siebie, pysznym krokiem zwycięzcy. Orzeźwił się paroma łykami wody, po czym przystanął obok matki. Patrzył na Amandę.

- Przeklęty kameleon - odezwał się wesoło.

- Myślałem, że już go mam, lecz opuszczanie gardy przed Kilchurnem najwyraźniej jest kiepskim pomysłem. Jednak zauważ, że nie pokonał mnie, walcząc na miecze.

Amanda prychnęła, lecz to najwidoczniej nie wystarczyło, by odstraszyć brata. Robin dalej paplał o swojej niezrównanej biegłości, aż Amanda musiała objąć się rękami, by się powstrzymać i go nie spoliczkować.

- Matko - odezwała się w końcu rozdrażniona.

- Proszę, ucisz go albo zabierz z pola musztry. Rozprasza mnie.

- Robin, mój drogi, daj siostrze odrobinę spokoju - rzekła Gwen - zanim podniesie na ciebie miecz i zostaniesz pokonany także przez nią.

Robin miał coś na ten temat do powiedzenia, a Amandzie nie pozostało nic innego poza usilnym staraniem całkowitego zignorowania go. Obserwowała ojca i natychmiast zorientowała się, do czego zmierza. Zaczął pojedynek powoli, stosując najprostsze ćwiczenia, które wykorzystywał w walkach ze swoimi najmłodszymi paziami. Ten pierwszy etap nie trwał długo. Rhys prędko przeszedł do bardziej skomplikowanych manewrów obronnych i do gruntownego sprawdzianu wszystkiego, czego uczył najpierw swoich giermków, a potem rycerzy.

*** 457 ***

Jake się nie poddawał.

- Wiesz co - szepnął jej Robin na ucho. - Nie przypominam sobie, żeby jakkolwiek poprzedni łobuz, którego znosiłaś, w ogóle zaszedł tak daleko. A jak tobie się wydaje?

- A mnie się wydaje, że jeśli jeszcze raz podkradniesz się do mnie w ten sposób - było jej teraz bardzo łatwo obrzucić go ciężkim spojrzeniem, gdy nagle stanął tuż obok niej - to sztylet, który tak uprzejmie mi wybrałeś, zatopię ci w wąpściach i wreszcie się ciebie pozbędę raz na zawsze!

- Na dokładkę szturchnęła go mocno łokciem w żebra. - Stań teraz koło matki, żeby mogła cię przede mną ochronić.

- A więc? - upewnił się Robin. - Jak ci się wydaje?

Amanda miała ochotę załamać ręce, ale wyglądałoby na to, że okazuje słabość. Złożyła je tylko w powściągliwym geście przed sobą i skierowała wzrok na pole musztry, gdzie Jake i jej ojciec wciąż pozostawali w ferworze walki.

- Nie mogę znieść tej myśli - odezwała się. Potem spojrzała na brata. - Całkiem nieźle sobie radzi, prawda? —

- Wciąż się trzyma - odrzekł zwyczajnie Robin.

- I cóż z tego? Wszak w jego najlepszym interesie nie leży upokorzenie swojego przyszłego teścia, czyż nie?

- Nigdy by mu to się nie udało - powiedziała spokojnie Amanda.

- Nie uda mu się, jeśli jest roztropny - zauważył pogodnie Robin. - Choć Jake z pewnością nie poddałby się, gdyby było trzeba. Mógłby pozbawić ojca miecza, użyć swoich rąk i nóg, złamać kość lub dwie... na wszystkie świętości, Amando, czy ty masz pojęcie, w czyje ręce się oddajesz? Oczywiście-

* 468 *

ście mnie nie dorównuje, niemniej jest niebezpiecznym człowiekiem.

Amanda nie mogła zareagować inaczej, jak tylko niepewnie skinąć głową. W istocie, Jake krył 0 wiele więcej tajemnic, niż można było sądzić na pierwszy rzut oka.

- Ach, popatrz teraz, Amando. Widzisz, że ojciec zaczyna naprawdę walczyć? To już nie potrwa długo.

Amanda patrzyła, wzdragając się i modliła. Pojedynek przeciągnął się bardziej, niż przypuszczała, lecz na koniec Jake musiał się poddać. Schował miecz do pochwy i złożył Rhysowi niski ukłon.

- Dobrze - mruknął Robin. - Schlebiaj mu, a potem przedstaw swoją prośbę.

I zdawało się, że Jake właśnie to zrobił. Rhys położył mu dłoń na ramieniu i zeszli razem z pola musztry, tocząc przyjacielską pogawędkę. Amanda rozejrzała się za jakimś miejscem, by usiąść.

Robin przyniósł jej zydelek i dziewczyna opadła na niego z wdzięcznością.

Ojciec i Jake poszli na odległy koniec placu, niemożliwie długo rozmawiali, po czym odwrócili się i skierowali do Amandy, która o mały włos nie zsunęła się ze stołka. Rhys uśmiechnął się do córki.

- Niezłe przedstawienie - rzekł wielkodusznie. - Naturalnie jest jeszcze parę spraw, które muszę omówić z tym mężczyzną, zanim podejmę decyzję co do niego.

Amanda wreszcie przełknęła, zdając sobie sprawę, że upłynęła dłuższa chwila od momentu, kiedy zrobiła to po raz ostatni. Chociaż nie było to ostateczne słowo aprobaty, z pewnością nie można by tego nazwać wskazówką, jak znaleźć bramę wyjściową.

*** 459 ***

A nieraz słyszała, jak rodzic udzielał podobnych instrukcji.

Rhys zaprosił Jake'a na wieczerzę, a po niej na poważną rozmowę. Amanda chciała pogratulować wybrankowi owocnych wysiłków, lecz ojciec zabrał go ze sobą. Jake odszukał jej spojrzenie wzrokiem, po czym ruszył za panem zamku. Amanda westchnęła i wróciła do donżonu z matką i braćmi plotącymi jeden przez drugiego. Nawet Isabelle miała wyjątkowo dużo do powiedzenia. Pierwszy sprawdzian był już za nim. Teraz Ja-ke'owi pozostało tylko wyjawić jej ojcu prawdę o sobie i uniknąć szubienicy.

* * *

Wieczera upłynęła w niezwykle radosnej atmosferze. Amanda czuła się dostatecznie uprzywilejowana, siedząc obok Jake'a, podczas gdy on zajmował miejsce obok jej ojca. Rhys i Jake byli pochłonięci na dobre przemiłą kolacją, dyskutując z ożywieniem pomysł wolnej Szkocji, gdy nagle drzwi do wielkiej sarr otworzyły się z hukiem

1 do środka wkroczyło z pół tuzina mężczyzn.

Zebrani dokoła stołu zerwali się na równe nogi i byliby przegnali intruzów, gdyby Rhys nagle ich nie powstrzymał. Sam jednakże pozostał na miejscu, sprawiając wrażenie zupełnie swobodnego.

Lord Ledenham podszedł do wysokiego stołu, a potem rzucił na talerz Rhysa pękaty worek ubrań i niewielki, obleczony na czarno portfel. Drugą rękę, najwidoczniej tę złamaną, miał przywiązaną do boku. Zdrową ręką wskazał na Jake'a.

- To jego dobytek. Zaprosiłeś do stołu czarownika.

* 470 *

Jake już, już miał się podnieść, ale Rhys spokojnym gestem posadził go z powrotem.

- Ledenhamie - zaczął, nie zmieniając nawet tonu głosu. - Podarunki? Jak to miło z twojej strony.

- Zmienisz zdanie, gdy przyjrzysz się tym rzeczom - odparł zimno Ledenham. Przeszył Jake'a dzikim wzrokiem. - Myślę, że oskarżenie o czary jest prawdopodobne...

Robin wstał i przeskoczył stół, nim Amanda zdołała zaczerpnąć oddechu.

- Na świętych niebieskich - rzekł, przeciągając słowa i opierając się o stół z założonymi na piersi rękami. - Czy nie potrafisz wymyślić niczego lepszego, Ledenhamie? Wiem, że Amanda jest warta majątek, ale czy jest warta czegoś takiego? Rzucanie tak haniebnego oskarżenia na niewinnego człowieka... - potrzęsnał ze smutkiem głową - świadczy o tak wielkiej desperacji, że aby zdobyć to, czego się pragnie, zapomina się, że za łgarstwo przychodzi zapłacić wysoką cenę.

Nawet Amandzie nie umknął prawdziwy sens słów brata.

Jeśli Ledenham się nie wycofa, Artane zaatakuje.

Przesunęła pod stołem rękę i zacisnęła ją na kolanie Jake'a. Nie patrzyła na niego i domyślała się, że i on na nią nie patrzy, ale położył dłoń na jej dłoni.

Na wszystkie świętości, szykowała się katastrofa.

Rhys wyjął czarny portfel ze swojej mięsnej potrawy i wytarł go w skraj obrusa. Z podobnym spokojem zdjął worek i razem z portfelem wręczył przedmioty stojącemu za jego plecami Christophe-rowi.

- Młodzieńcze, zabierz to do mojej komnaty. Za chwilę się tam udamy.

Przeniósł wzrok na Ledenhama.

*** 461 ***

- Zapropnowałbym ci gošcinę w moim zamku, lecz, niestety, właŝnie kończymy wieczerę i szykujemy się na spoczynek. Moŝe innym razem.

Lord Ledenham rzucił Rhysowi piorunujące spojrzenie.

- Mówię ci, ŝe to czarownik. Jego strój...

- Skąd wiesz, ŝe naleŝy do niego? - Rhys zmarszczył czoło ze zdziwieniem.

- Bo zdarłem to z jego... - Ledenham nagle urwał i zamilkł.

Rhys przyjrzał mu się pytajaco.

- Zabrałem mu to? Dajesz do zrozumienia, ŝe obrabowałem tego tutaj człowieka? - Władczym gestem położył rękę na ramieniu Jake'a. - Tego człowieka, który jest mile widzianym gościem przy moim stole?

Twarz Ledenhama nabrała bardzo nieciekawego czerwonego koloru.

- Oskarŝę go wobec kaŝdego, kto zechce słuŝać

- wypalił. - Mam dowody.

- Pokaŝ je - odparł niewzruszenie Rhys. Ledenham poŝłał Jake'owi uporczywe spojrzenie. —

- Daj mi kiesę.

Jake aŝ zamrugał w zakłopotaniu.

- Kiesę? Jaką kiesę?

- Ten fortel ci nie pomoŝe - rzekł Ledenham z szyderczym uŝmieszkiem. - Wszyscy moi ludzie to widzieli i przysięgną, ŝe w ŝrodku znajdowały się czarodziejskie przedmioty.

- A wszyscy moi ludzie przysięgną, ŝe nic nie widzieli - przerwał mu Rhys. - Sir Walterze - zawołał.

- Czy nasi poczciwi ludzie widzieli coŝ osobliwego? Sir Walter stanął w pobliŝu drzwi z ramionami załóŝonymi na piersi, przybrawszy najgroźniejszą

*** 472 ***

postawę, na jaką mógł się zdobyć, a wokół niego zgromadziło się kilku gwardzistów Artane. Przed nim zebrało się jeszcze paru.

- Osobliwego? - powtórzył sir Walter. - Nie widzieliśmy niczego osobliwego, panie. Muszę jednakowoż zauważyć, panie, że czuję w powietrzu wyjątkowo cuchnący odór, który musiał jakoś niedawno wedrzeć się do wielkiej sali.

Rhys uśmiechnął się uprzejmie.

- Jak widać, zacny Ledenhamie, nie ma tu nic do oglądania.

- Czy twoje dzieci przez wzgląd na ciebie także posuną się do krzywoprzysięstwa? - wybuchnął gniewem lord Ledenham.

- Jeśli dobrze rozumiem - odezwał się Robin, popychając Ledenhama - to właśnie nazwałeś mojego ojca łgarzem.

- Właściwie ty także to powiedziałeś, Rob, jeśli wolno zauważyć - wtrącił się Nicholas.

Ledenham okazał się aż takim głupcem, co nie stanowiło niespodzianki, że dobył miecza w obrębie murów Artane. Dokonał tego z trudem i z równym trudem dzierżył oręż, biorąc pod uwagę fakt, że prawą rękę miał niewładną. Robin zachichotał, a potem zaklął, gdy zdał sobie sprawę ze słabości przeciwnika.

- Och, na wszystkie świętości, wróć, kiedy będziesz w stanie walczyć - poprosił zde gustowany.

- Mogę walczyć - chełpił się Ledenham. - Do-bądź miecza jak mężczyzna i przekonajmy się, czy potrafisz stawić czoła mnie i mojej osłabionej ręce.

Robin wzruszył ramionami, potem umilkł na chwilę.

- Będę walczył lewą - oznajmił wspaniałomyślnie. - By dać ci szansę.

*** 463 ***

- Mógłbym cię pokonać, trzymając miecz w zębach - puszył się dalej Ledenham.
- Spróbujemy później - obiecał Robin, po czym z radosnym, szerokim uśmiechem rzucił się w wir walki.
- Powiniennem pomóc - rzekł Jake, podnosząc się z miejsca.
Amanda zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.
- Domyślam się, że upokorzyłeś go już w opactwie. Pozostaw Robinowi tę drobną przyjemność, jeśli możesz.
Jake usiadł z powrotem.
- Chyba tak.
Amanda oparła się ostrożnie na krześle i obserwowała, jak Robin zawstydzona nieproszonego gościa w ciągu paru minut, nie starając się nawet wytrącić przeciwnikowi broni z ręki w jakiś szczególnie widowiskowy sposób. Po prostu we właściwej chwili zrobił krok naprzód i złapał Ledenhama za zdrowy nadgarstek.
- Zginiesz - spytał Robin - czy odejdziesz?
- Zabiję cię - zapluł się Ledenham. - Zobaczysz, że tak będzie.
Robin ziewnął.
- Jak sobie życzysz. - Po czym chwycił swój miecz za rękojeść i przycisnął ją dość mocno do czoła Ledenhama.
Napastnik z jękiem runął na ziemię.
- Posprzątajcie odpadki - zagrzmiął Robin.
Ludzie Ledenhama podnieśli pokonanego i pędem uciekli z wielkiej sali. Sir Walter i spora reprezentacja młodej gwardii Artane towarzyszyła uciekinierom jeszcze na zewnątrz. Amanda popatrzyła na ojca.

*** 464 ***

Czy pomyśli sobie, że Jake to istota nadprzyrodzona? Jake odchrząknął.

- Panie, powinniśmy omówić pewne sprawy... Rhys wstał.

- A zatem, jeśli sobie tego życzysz, Robinie, chodźmy. Nicholasie, wy także chodźcie. Miles, zostań tutaj i czuwaj nad matką i dziewczętami - uśmiechnął się do Montgomery'ego i Johna, którzy siedzieli na końcu stołu. - Wy dacie radę czuwać nad sobą, prawda?

- Chciałbym pójść z wami, ojcze - ośmielił się Montgomery, błyskawicznie podnosząc się z miejsca i składając Rhysowi niski ukłon. - Lubię Jake'a, jak się domyślasz, i mógłbym się za nim wstawić, jeśli nie będzie nikogo innego.

Amanda pomyślała, że powinna zadbać, by jej najmłodszy braciszek dostawał w przyszłości wiele, bardzo wiele smakołyków z kuchni.

Rhys skinął głową w stronę najmłodszego syna.

- Myślę, że możesz przyjść. Jake bez wątpienia doceni twoją obecność. - Mijając Amandę, przelotnym gestem położył dłoń na jej głowie. - Córko.

- Ojcze - szepnęła. Popatrzyła na zbierającego się Jake'a. - Życzę szczęścia, miły panie.

Odpowiedział jak najbardziej zdecydowanym uśmiechem i opuścił wielką salę za ojcem Amandy.

Jeśli czuł się nieswojo, to doskonale to ukrywał. Amanda przeniosła wzrok na matkę, która tymczasem przesiadła się na miejsce obok niej.

- Zajmujące - stwierdziła Gwen.

- Matko, on nie jest czarownikiem.

- A dlaczegóż miałabym tak sądzić? - Gwen zamrugła ze zdziwienia.

*** 475 ***

- Nie powinnaś - zgodziła się Amanda, przygryzając wargę, by się powstrzymać i nie powiedzieć tego, czego nie powinna. Nie była pewna, czym Le-denham rzucił w Jake'a, lecz podejrzewała, że było to coś, co zawierało przedmioty z przyszłych epok.

Być może były to dowody.

Bawiła się resztkami kolacji na talerzu i głęboko się zastanawiała. Czy chciałaby obejrzeć te przedmioty dla samej siebie, by mieć pewność, że jest tym za kogo się podaje, czy też po prostu mu uwierzy?

Amanda bardzo długo nad tym dumiała. Odpowiedź, której sobie udzieli, może mieć ogromne znaczenie.

Jake nadstawił uszu na trzaśnięcie zamykających się za nim drzwi komnaty. Jego ubrania i portfel leżały na tym, co służyło Rhysowi za pulpit. No cóż, najlepiej uporać się ze wszystkim od razu. Jeśli Rhys de Piaget będzie musiał spalić go za uprawianie czarów, równie dobrze może mieć pełen komplet powodów, by tak właśnie postąpić. Rhys uniósł sakwę, po czym spojrzał na Jake'a.

- Za pozwoleniem?

Jake skinął głową. Cóż miał innego zrobić?

Rhys opróżnił worek. Jake przyglądał się, jak rozłożono jego odzież: dżinsy, podkoszulek, marynarkę. Oczywiście brakowało butów. Najwyraźniej elegancko podniszczona para martensów była zbyt dobrą okazją, żeby ją przepuścić.

Rhys oglądał rzeczy jedna po drugiej z drobiazgową starannością. Potem ostrożnie je złożył i odłożył na bok.

- Więcej światła, jeśli łaska.

Robin przyniósł dwie osadzone świece, zapalił je i postawił na stole. Rhys usiadł i wziął portfel. Obracał go na wszystkie strony, w końcu otworzył.

Przyglądał się papierowym pieniądzom - pięćdziesiętofuntowemu i stufuntowemu banknotowi, a w wyrazie jego twarzy nie można było dostrzec

* 467 *

zauważalnej zmiany. Podniósł pieniądze w kierunku okna, by popatrzeć na nie pod światło, po czym przysunął blisko do świecy. Nie tak blisko, by je spalić, lecz dostatecznie blisko, by się przyjrzeć. Widać było, że mężczyzna korzysta z blasku ognia, by móc odczytać...

Rhys odłożył banknoty na bok. Przeszukał portfel dalej i wyciągnął karty kredytowe.

I prawo jazdy.

Jake bacznie go obserwował, lecz oblicze Rhysa nie zdradzało absolutnie nic. Jeśli myślał, że dotyka diabelskich przedmiotów, nic na to nie wskazywało.

Rhys kilkakrotnie przesunął palcami po kartach, przypatrując się wypukłym znakom, i odkładając karty jedna po drugiej - dopiero po długotrwałym badaniu.

Najdłużej zatrzymał się nad prawem jazdy Jake'a.

Rhys patrzył na zdjęcie - okropne, jak zwykle - a potem na Jake'a. Porównywał oba oblicza, podnosząc dokument w dłoni i studiując go. To było nowojorskie prawo jazdy. Jake dbał, by co cztery lata wracać do USA: i odnawiać licencję. Nigdy nie był pewien, dlaczego tak robi, ale miał i amerykański paszport, i amerykańskie prawo jazdy. Choć bardzo kochał Anglię, przede wszystkim był Amerykaninem i nigdy nie brał pod uwagę ewentualności, że mógłby zrezygnować z dowodów, które to potwierdzają.

Ostatecznie dotarło do Jake'a, że o ile Rhys spokojnie podchodził do sprawy, o tyle reszta zebranych w komnacie przyjmowała nowe fakty dużo gorzej. Zaniepokojenie, konsternacja i ostentacyjne chrząknięcia w końcu zmusiły Rhysa, by spojrzeć na synów. Jake uczynił to samo.

*** 478 ***

Robin przestępował z nogi na nogę, ledwo mogąc się powstrzymać. Nicholas gapił się z otwartymi ustami. Montgomery po raz kolejny się przeżegnał.

- Montgomery - zaczął zirytowany Jake. - Nie jestem czarodziejem!

- Nie jest czarodziejem - przyznał Rhys. - Jest człowiekiem, tak jak ty, czy ja uważamy się za ludzi. To są tylko przedmioty o kupieckim charakterze, które Jake nabył podczas swoich podróży. Mam rację? - Patrzył na Jake'a oczami tak szarymi jak burzliwe, środkowozachodnie niebo.

- Tak, mój panie - odparł Jake.

- Ale... - wyrwało się żałośnie Montgomery'emu. Rhys uśmiechnął się do chłopca.

- Wyświadczyłeś Jake'owi przysługę, będąc tutaj aż do tej pory i będę się zachowywał tak, jakbyś tu był nadal, aby się za nim wstawiać. Ale teraz życzę sobie, byś wyszedł i sprawdź, jak się miewa matka. - Rhys urwał na chwilę. - Jeśli uwiniesz się szybko i bez słowa skargi, to być może Jake pewnego dnia zabierze cię w jedną ze swoich podróży i zobaczysz te same cuda co on.

Montgomery spojrział na Jake'a z uwielbieniem, najwyraźniej zapominając o wszystkich czarodziejach świata w obliczu przeżycia wspaniałej przygody.

- Naprawdę?

- Kupiectwo to niepewne zajęcie - rzekł Jake, kiwając głową. - Nigdy nie zawadzi mieć u boku znakomitego szermierza. Będiesz mile widzianym kompanem.

Montgomery zarzucił Jake'owi ręce na szyję, a potem w podskokach wybiegł z pracowni, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Nicholas wziął się pod boki.

*** 469 ***

- Dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego - zauważył surowo - i ja chciałbym wiedzieć, o co chodzi.

Jake popatrzył na Nicholasa i uśmiechnął się.

- Jestem czarodziejem.

- To nie jest zabawne - odciął się rycerz.

- Prawda jest znacznie bardziej osobliwa.

- Mam rozum w głowie i nie jestem bojaźliwy. Słowa do złudzenia przypominały reakcję Amandy. Jake wziął głęboki oddech.

- No dobrze, oto jak się sprawa przedstawia. Urodziłem się osiem stuleci później od chwili obecnej. W Roku Pańskim 2005 podsłuchałem rozmowę duchów o twojej siostrze i proszę, uwierz mi, osiem wieków później ona wciąż wywołuje emocje. Następnego dnia wyruszyłem w drogę i wpadłem w pułapkę wrót czasu, przenosząc się ze swojej epoki do waszej. Gdy zakochałem się w twojej siostrze, uznałem, że jedynym sposobem, by ją zdobyć, będzie powrót do przyszłości, aby odzyskać majątek. I tak oto znalazłem się z powrotem w przeszłości z nadzieją, że twój ojciec powstrzyma się od wydania twojej siostry za-kogoś innego, dopóki nie zdobędę tytułu i trochę ziemi.

Nicholas przez kilka chwil wpatrywał się w Jake'a w kompletnym milczeniu. Potem popatrzył na ojca.

- On jest obłąkany.

- Mnie się wydaje, że jest przy zdrowych zmysłach - rzekł bez wyrazu Rhys.

Nicholas podszedł i stanął tuż przy Jake'u.

- Jesteś obłąkany.

Jake wolno zaprzeczył głową. -Nie.

Nicholas spojrział wilkiem.

*** 480 ***

- A już zaczynałem cię lubić. - Odwrócił się i wyszedł z komnaty, huknąwszy drzwiami.

Rhys przeniósł wzrok na Robina.

- A ty? Masz coś do powiedzenia? Robin wzruszył ramionami.

- Na własne oczy widziałem, jak znika we wrotach czasu. Chociaż nie mogę mówić w imieniu Jake'a, mogę cię zapewnić, że ja nie oszalałem.

- Klepnął Jake'a w ramię, a potem podszedł do wyjścia. - Ledenham nie dał mi skończyć kolacji. Idę jeszcze coś przekąsić.

I z tymi słowami opuścił komnatę, zamykając za sobą drzwi.

Jake przeniósł wzrok z powrotem na Rhysa, który właśnie rozsiadł się na krześle. Jake'owi udało się przelotnie uśmiechnąć.

- A co ty powiesz, panie? Mężczyzna pokręcił wolno głową.

- Gdybym nie oglądał tego wszystkiego własnymi oczami, to przypuszczam, że nie uwierzyłbym.

- Ja mógłbym powiedzieć to samo - rzekł sucho Jake.

Rhys wskazał krzesło naprzeciwko.

- Usiądź.

- Dziękuję, panie - Jake usiadł. No dobrze, raczej opadł niż usiadł, lecz miał za sobą bardzo długi dzień i nie wyglądało na to, że w najbliższym czasie dobiegnie on końca. Uśmiechnął się.

- Dziękuję.

Rhys przyglądał mu się badawczo w milczeniu. Trwało to wieki. A potem znów spojrzął na prawo jazdy Jake'a.

- 2005 - odezwał się, rozmyślając nad słowami, jakby jeszcze nigdy się nad nimi nie zastanawiał.

- To nie do wiary.

* 471 *

- Wiem, mój panie.

Rhys znów popatrzył na Jake'a.

- A mimo to jesteś tutaj. I te rzeczy są tego dowodem ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość. - Jeszcze raz potrząsnął głową z uśmiechem, po czym odłożył prawo jazdy. - Dobrze dziś wypadłeś - zauważył.

- Dziękuję, panie.

- Ale musisz jeszcze popracować.

- Wiem, panie.

- Rozumiem, że ćwiczysz zaledwie od kilku miesięcy.

- To prawda, mój panie. Rhys skinął głową.

- Bardzo dobrze. Możesz dalej uczyć się z Robinem, jeśli chcesz, lecz chciałbym dopilnować twojego szkolenia tak długo, jak długo jeszcze będziesz gościł w moim zamku.

- Dziękuję - Jake'owi udało się wydobyć głos. Nie był pewien, czy to była dobra propozycja czy nie. Nie należał do osób, które wyciągają pochopne wnioski, ale sformułowanie: „jak długo będziesz w moim zamku” - trudno uznać za gorące poparcie Jake'a jako kandydata na męża.

- Robin mówi, że te ciężkie brunatne mieszki złota w moim kufrze należą do ciebie.

Nim Jake zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Robin najpierw grzecznie wetknął głowę, a potem wszedł i rzucił na stół przed Jake'em trzy dodatkowe brunatne mieszki i cztery granatowe woreczki z aksamitu.

- Pomyślałem, że mogą się przydać - wyjaśnił, po czym zawrócił do wyjścia. - Zauważ, że żadnego nie zgubiłem.

*** 482 ***

- Zauważyłem - rzekł Jake, gdy Robin już zamykał drzwi.

Rhys popatrzył na nowe podarunki, a potem dobył pozostałe ze swojego kufra. Zerknął na Jake'a.

- Mogę?

- Naturalnie, mój panie.

Rhys wysypał całe złoto, przeliczył bardzo skrupulatnie, następnie oparł się wygodnie i znowu patrzył na to wszystko przez nieznośnie przeciągającą się chwilę. Jake poczuł ogromną wdzięczność za dorosłe lata, kiedy to wielokrotnie musiał sobie radzić w podobnych sytuacjach. Wysiadywał godzinami z handlarzami klejnotów, grając w cykora i czekając na pierwszy ruch wykonany przez tego drugiego.

Tylko że wtedy stawką były tylko kamienie. Teraz chodziło o Amandę. Rhys spojrzał na granatowe mieszki. - A to?

- Drogocenne kamienie.

- Mogę?

- Naturalnie, panie.

Rhys po kolei-opróźniał mieszki. Nie okazywał szczególnych emocji, dopóki nie otworzył woreczka z ukończonymi klejnotami. Wyjmował każdą sztukę z osobna. Powoli i bardzo ostrożnie. Po obejrzeniu każdej z nich rzucał Jake'owi krótkie spojrzenie. Gdy na koniec wyjął pierścionek z diamentami i akwamarynami, wreszcie się odezwał.

- To jest dla Amandy - powiedział. -Tak.

- Sam nadałeś temu kształt.

- Zgadza się.

*** 473 ***

Rhys zaczerpnął głęboko powietrza, wypuścił je patrząc ku niebu, po czym skupił wzrok na Jake'u.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nawet król nie ma tak pięknych klejnotów.

- Jego rzemieślnicy prawdopodobnie nie mają takich narzędzi, jakie ja miałem.

- Albo wyobraźni - uznał Rhys, uśmiechając się ponownie. Przyglądał się wszystkim ozdobom rozłożonym przed nim na stole i potrząsał głową.

- Imponujące.

- Czy to wystarczy?

Rhys spojrział na Jake'a z błyskiem w oku.

- Jak dla mnie, czy dla Henryka?

- Dla was obu.

- Dla mnie wystarczył dzisiejszy poranek - wyznał Rhys. - A dla Henryka? - Wzruszył ramionami. - To wciąż młodzieniec i ledwo jest w stanie udźwignąć ciężar korony, lecz jego regentowi, lordowi de Burgh, chciwość nie jest obca. Mimo to - wystarczy.

- Wszystko? - zapytał Jake, mrugając ze zdziwieniem.

- Czy moja córka nie jest tego warta?

- Miałem nadzieję[^]że zachowam mały zapas na życie - wyznał szczerze Jake.

Rhys bardzo starannie zapakował klejnoty i pozamieniał je w woreczkach. Włożył kamienie z powrotem do mieszkań. Podzielił monety na stosiki i je także poprzekładał. Mieszki z klejnotami oraz dwie sakiewki z monetami dał na jedną stronę. Pozostałe mieszki, chyba sześć sztuk, czym Jake nie był zaskoczony, zostały zebrane razem, jakby dla jakiegoś fortelu.

- Te wystarczą - oznajmił Rhys.

- Ulżyło mi.

Rhys popatrzył na niego, podnosząc brew.

*** 484 ***

- To nie za dużo?
- Oddałbym to wszystko. - Jake był uczciwy.
- Ale nie pierścień.
- Cóż - uśmiechnął się Jake. - Może pierścienia nie.

Rhys przeniósł wzrok na sakiewki.

- Czy mam je bezpiecznie przechować do chwili, gdy wyruszymy do Seakirk spotkać się z królem?
- A masz, panie, po temu powód?

Rhys uśmiechnął się i skinął głową w kierunku drzwi.

- Idź po swoją damę i przekonajmy się, co o tobie sądzi.
- Oczywiście, mój panie. - Zawahał się. - A jeśli otrzymam ziemię i tytuł?

Rhys uśmiechał się dalej.

- Wtedy zaspokoisz pragnienie serca - umilkł na chwilę. - Bardzo dużo dla niej poświęciłeś.
- Zrobiłbym to jeszcze tysiąc razy. Rhys uśmiechnął się jeszcze pogodniej.
- Dobrze powiedziane. Jake wciąż był niepewny.
- Wiesz, panie, że jeśli chodzi o Seakirk... - zaczął powoli - chyba nie jestem tam popularny.
- Ja również, chociaż śmiem twierdzić, że nie zasłużyłem się jako rycerz, który napędził stracha nieszczęsnym mniszkom - uśmiechnął się Rhys, po czym spoważniał. - Twój przydzwiewek - wykonał gest głową w kierunku ubrań Jake'a. - To obciążający dowód.

Jake przytaknął.

- Istotnie. Jak duży ogień można rozpałcić w kuchni?
- Wystarczający. Zejdziemy tam później, jeszcze dziś, i załatwimy to razem. Nikt mi nie stanie

* 475 *

na drodze, choć kuchmistrzynie może myszkować potem w popiele, by upewnić się, czy nie naruszyłem granic jej włości i nie zostawiłem czegoś paskudnego - skinął głową w stronę drzwi. - Na razie przyprowadź Amandę.

- Dziękuję - Jake uśmiechnął się.

- Cóż, wygrałeś bitwę, lecz wojna się jeszcze nie skończyła. I nie słyszałem, że zgodziła się przyjąć twoje oświadczenia - rzekł Rhys z iskierką w oku.

- To prawda - przyznał Jake, niemniej jednak ruszył do wyjścia.

Zza pleców dobiegło go chrząknięcie Rhysa.

- Jake?

- Panie? - Odwrócił się z ręką na drzwiach. Mężczyzna milczał chwilę i po raz pierwszy na jego obliczu można było wyczytać wahanie. Jake już miał go zapytać, czym się niepokoi, gdy nagle dotarło do niego, że chyba wie.

W końcu nie co dzień się zdarza, by średniowieczny lord stawał twarzą w twarz z człowiekiem z przyszłości.

Zapadła między nimi cisza tak spokojna i nieruchoma, jak śnieg padający w środku głębokiej zimy. Jake był zupełnie pewien, że owa chwila wryje mu się w pamięć równie mocno jak pierwszy raz, gdy ujrzał Amandę lub pierwsze mgliste wyobrażenie średniowiecznego Artane. Przez resztę życia, za każdym razem, gdy będzie siadał w komnacie Rhysa de Piageta, będzie przywoływać w pamięci ten moment. Moment, kiedy patrzył na władcę Artane i udzielał mu odpowiedzi na pytania, których ów człowiek nie odważył się zadać.

- Mój panie - odezwał się Jake - czy jest coś, co mógłbym ci powiedzieć?

* 476 *

Rhys przytaknął z niemal niedostrzegalnym westchnieniem.

- Jeśli byłbyś łaskaw - urwał na chwilę. - Trzy rzeczy.

Jake'a kusiło, by spytać, czy nie ma więcej niż trzy pytania dotyczące przyszłości, lecz nie mógł się do tego zmusić. Sądził, że jeśli wszystko dobrze się ułoży, znajdzie dość czasu, by opowiedzieć ojcu Amandy wszystko, co chciałby wiedzieć o cudach, które czekają ludzkość. W owej chwili miał zaspokoić ciekawość tego człowieka w małym stopniu, najlepiej jak potrafi.

- Trzy rzeczy - zaczął Jake, czekając, aż Rhys potwierdzi jego słowa ruchem głowy. - No dobrze, mój panie, pierwszą rzeczą, którą powinienes wiedzieć, jest fakt, że świat nie kończy się w roku Pańskim 1300.

Rhys podniósł brew. -Nie?

- Nie.

Rhys przyjął to do wiadomości, po czym skinął głową.

- Mów dalej.

- Ziemia jest kulą.

- Właśnie - rzekł Rhys, wyglądając na zaskoczonego. - Kulą, naprawdę? Twierdzi się inaczej, lecz muszę przyznać, że myśl o spadaniu z jej krawędzi nigdy mi nie pasowała. Bardzo zajmujące - znów kiwnął głową. - A teraz ostatnia rzecz, jeśli pozwolisz.

Jake rozważał, co jeszcze mógłby powiedzieć, co zadowoliłoby tego bardzo dumnego, bardzo wnikliwego człowieka siedzącego przed nim. Przez chwilę rozglądał się po komnacie Rhysa. Widać było oznaki średniowiecznego dostatku. Co dziw-

* 487 *

ne, Jake to samo wrażenie powściąganej potęgi i wpływów odniósł w gabinecie Gideona de Piage-ta. Najwidoczniej aura potęgi i władzy emanuje podobnym blaskiem, niezależnie od epoki. Jake pomyślał o Gideonie i o dotknięciu przeznaczenia. Wspomnił jeszcze życzliwie rodzinę Gideona i jego krewnych z wielu pokoleń.

I gdy ocknął się z tych wspomnień, zorientował się, co będzie miało dla Rhysa de Piageta największe znaczenie.

- Trzecia sprawa - zaczął powoli Jake. Rhys równie powoli skinął głową.

-Za osiem wieków, mój panie, Artane wciąż będzie tu stało. Rhys uśmiechnął się lekko.

- Czy teraz też stoi?

- Tak. I twoi potomkowie wciąż je zamieszkują. Oczy Rhysa zrobiły się nagle wilgotne. Rozejrzał się po swojej komnacie, a potem przez kilka chwil trzymał dłonie na stole, zanim gwałtownie odchrząknął.

- Powinieneś pójść po swoją damę - oznajmił ochrypłym głosem. - Nim wydepcze zagłębienie w posadzce, o które przez stulecia będą się potykać przyszłe pokolenia.

Jake uśmiechnął się, pokłonił nisko Rhysowi i wyszedł, by na chwilę zostawić mężczyznę samego.

Zamknął za sobą drzwi i przystanął, aby pozbierać myśli. Podniósł wzrok i odetchnął głęboko.

Udało się.

W porządku, czeka go jeszcze jedna przeszkoda do pokonania - król. Tylko że teraz Jake miał uczucie, że może mieć sprzymierzeńca w swojej sprawie, potężnego sojusznika, który siedział teraz za dopiero co zamkniętymi drzwiami i bez wąpie-

*** 478 ***

nia dumał nad stanem swojego zamku stulecia naprzód. I któż mógłby czynić Rhysowi z tego powodu wyrzuty? Artane było wspaniałym miejscem, a rodzina, jak wyznał raz Gideon, stanowiła przyzwoitą kompanię od wieków. Jake wiedział, że przez resztę życia będzie wdzięczny za to, że może rościć sobie do niej prawa.

Mimo to wszyscy oni byli tylko oprawą dla prawdziwego klejnotu, co do którego nie wątpił, że zachowuje się tak, jak przewidział jej ojciec i wydeptuje dół w posadzce wielkiej sali.

Podążając korytarzem, Jake przesunął dłonią po murze z kamieni. Kamieni, które przetrwają co najmniej osiem wieków.

Przy odrobinie szczęścia i z wystarczającą ilością złota w garści zdobędzie kobietę swoich marzeń i da początek rodzinie, która przetrwa równie długo-

Uśmiechnął się i przyspieszył kroku.

Amanda szła wzdłuż plaży, rozgarniając bosymi stopami piasek i z tego powodu marznąc na wskroś. Otuliła się szczelniej płaszczem i zastanawiała, czy postradała resztki rozumu, jakie jej jeszcze pozostały. Było zimno, padał deszcz i wiał wiatr. Lepiej by dla niej było, gdyby została w zamku, gdzie siedziałaby w cieple przy kominku.

Jednak myśl o pozostaniu w domu, podczas gdy nie miała pojęcia, jak potoczy się jej przyszłość, była tak pociągająca jak kilka tygodni w ojcowskich lochach. Musiała się przejść. A najlepiej przechadzać się tam, gdzie jest wystarczająco dużo przestrzeni.

Minął niemal miesiąc od chwili, gdy ojciec wrócił do domu. Amanda przyglądała się, jak Jake rankami ćwiczy pod jego okiem, a popołudniami z Robinem. Spędzał wieczory, rozmawiając o sprawach królestwa z kimkolwiek, kto był w stanie to znieść. Przeważnie ojciec wciągał Jake'a w tego rodzaju dyskusje, co sprawiało mu niekłamaną przyjemność. Amanda podejrzewała, że działo się tak, ponieważ Jake był interesującym rozmówcą, ale mogło być też tak, że to Jake był ciekaw, co Rhys ma do powiedzenia, albo po prostu Rhys go sobie upodobał. Amanda nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

Jedno, czego była pewna, to tego, że jej ojciec, Ro-

bin, Nicholas i Jake pojechali do opactwa Seakirk już prawie siedem dni temu i od tej pory nie było od nich żadnej wiadomości.

Gbury. Czy nie potrafią pojąć jej udręki?

Potarła mocno ręce, żałowała, że nie narzuciła drugiego płaszcza, potem obróciła twarz w stronę wiatru i skierowała wzrok w morze. Spędzała mnóstwo czasu w ten sposób przez ostatnie dwa tygodnie - jeszcze zanim Jake wyruszył do Seakirk. Miała wiele spraw do przemyślenia.

Jedną z kwestii, nie taką ostatnią, dotyczyła czasów, z których się tutaj przeniósł.

Widziała monetę, którą Jake dał Robinowi. Widziała jego ubiór z przyszłości. Poznała wszelkie dowody, których mogłaby sobie życzyć.

I więcej, niż potrzebowała.

Pewnego wieczoru, gdy stali razem na murach, wyznał, iż żałuje, że nie powiedział jej o wszystkim wcześniej. Wtedy takie wyznanie ukołoby jej dumę, ale teraz doszła do wniosku, że Jake okazał się mądry ponad wszelką mądrość.

2005. Sama liczba nadal nie mogła zadomowić się w jej głowie. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że świat może trwać tak długo albo że ktoś z tak odległej przyszłości mógłby pojawić się w jej zamku.

I zawładnąć jej sercem.

A teraz, teraz kiedy znów wyjechał, by postarać się zapewnić jej przyszłość, zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że kiedykolwiek wyobrażała sobie przyszłość bez Jake'a.

Nicholas przy każdej sposobności przypominał jej, że Jake jest głupkowaty. Montgomery od czasu do czasu rzucał jej porozumiewawcze spojrzenia i rękami wykonywał zgrabne ruchy, jakby machał dwoma czarodziejskimi skrzydłami. Jednak mimo

*** 481 ***

tych oznak nieufności co do pochodzenia Jake'a, Nicholas przekonał się do niego. A Montgomery go uwielbiał.

Amanda doskonale rozumiała młodszego brata.

Mężczyzna był fascynujący, przypominał klejnot, który nigdy nie przestaje cieszyć oka albo przyciąga wzrok, gdy pokazuje raz swoją jedną, raz drugą stronę.

Amanda objęła się ramionami, wdzięczna, że ciało już nie protestuje przy takich uściskach, i odmówiła krótką modlitwę. Powinna raczej klęczeć w kaplicy, lecz była zbyt niespokojna.

Król Henryk właśnie ogłosił swoją pełnoletność i wstąpił na tron. Na pewno będzie oczekiwał wsparcia na północy. Jake z pewnością spojrzy na młodego króla w sposób, który z taką łatwością wymusza traktowanie go serio i zgodę z jego zdaniem. A pękaty mieszek lub dwa złota, które ze sobą zabrał, będą miały dużo większą moc przekonywania niż jakiegokolwiek perswazje.

Wiatr wzmógł się. Amandę przebiegł dreszcz. Chłód nasilił się tak bardzo, że już nie mogła go znieść. Odwróciła się, "by wrócić do zamku, i zamarła.

Jakieś sto kroków od niej na brzegu stał Jake i zwyczajnie na nią patrzył. Nie ruszał się, Amanda nie potrafiła nawet ocenić, czy się uśmiecha.

Ruszyła w jego stronę. A potem zaczęła biec.

Spotkali się w połowie drogi.

Jake porwał ją w ramiona, śmiejąc się triumfalnie, i zakręcił Amandą w miejscu, aż musiała go prosić, by przestał.

-1 jak? - niecierpliwiła się.

Postawił ją na ziemi, odsunął na krok lub dwa, po czym złożył niski ukłon.

*** 482 ***

- Jeśli wolno mi się przedstawić mojej damie - rzekł oficjalnie. - Jackson, lord Raventhorpe. Do usług. W nocy. Za dnia. I przez wszystkie godziny pomiędzy.

Amandę zatchnęło.

- Raventhorpe?

Jake uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Kapitalny pomysł, nieprawdaż?

- Niebezpieczny - poprawiła go prędko. - Na granicy z tymi bestialskimi Szkotami. Groźne miejsce. Ruina. Niestrzeżone.

- Moje miejsce - powiedział Jake, przyciągając ją do siebie i obejmując ramionami. - Jest także nad samym morzem, moja najukochańsza Amando, i o ile mi wiadomo, w pogodne dni będziesz mogła dostrzec w oddali Artane. Jeśli zmrużysz oczy - dodał.

Przytuliła Jake'a mocno.

- Gratulacje.

- Nie wyrazi współczucia? - zamruczał jej do ucha.

Uśmiechnęła się wbrew woli.

- Kocham nieznane. Tylko spójrz, z kim wezmę ślub.

Odciągnął Amandę od siebie i popatrzył na nią.

- Jesteś więc zaręczona? Rzuciła mu spojrzenie spode łba.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Jeszcze nie poprosiłem cię o rękę.

- No to, do diabła, lepiej zabierz się do dzieła, mój lordzie, żebym się nie rozmyśliła.

Lecz uśmiechała się, mówiąc te słowa, tak szeroko, że aż rozboleły ją policzki. Jake był równie szczęśliwy. Ukląkł na jedno kolano prosto na piasku i spojrzał jej w oczy.

*** 493 ***

- Amando z Artane, miłości mego życia i światło mej duszy, czy zechcesz mnie poślubić?
 - Jesteś pewien, że mnie chcesz? Teraz, gdy zostałeś panem własnego zamku i wszystkiego?
 - Przemierzyłem bardzo długą drogę, by cię zdobyć i byłaś bardzo kosztowna - rzekł, a w jego oczach zamigotały isierki. - Ale widzę, że nie przekonuje cię moja szczerość - sięgnął za cholewę buta i wyjął coś, co następnie wsunął jej na palec. - Czy to zwiększy moje szanse na zdobycie twojego serca? Amanda spojrzała na obrączkę usianą gwiazdkami otaczającą jej palec, lśniąca nawet w szarości deszczowego jesiennego dnia. A po chwili zorientowała się, że ozdoba mieni się jeszcze silniej poprzez jej łzy.
 - Gwiazdka z nieba - szepnęła, nie mogąc oderwać wzroku od drżącej dłoni. Potem przyłożyła dłonie do policzków Jake'a, nachyliła się i delikatnie go pocałowała. - Dokonałeś tego wszystkiego. Tak jak mówiłeś.
 - Czy mogę to potraktować jako odpowiedź? Amanda potrząsnęła głową, a potem podniosła go na nogi. _
 - Nie, odpowiedź brzmi: tak, poślubię cię, Jacksonie, lordzie tego opanowanego przez buntowników zamku Raventhorpe, i uważam się za najszczęśliwszą kobietę na ziemi.
 - A ja za najszczęśliwszego mężczyznę - dodał. I pocałował ją.
- Amanda zamknęła oczy i rozplynęła się w ramionach Jake'a. Rzeczywistość przyniosła jej więcej, niż kiedykolwiek oczekiwała, a ponadto przerosła najśmielsze marzenia. Mężczyzna, którego kochała, którego pragnęła i bez którego nie mogła sobie wyobrazić życia.

*** 494 ***

Prawdziwe marzenie o gwiazdce z nieba. Wreszcie Jake oderwał się od ust Amandy i złapał nierówny oddech.

- Powinniśmy wracać.

- Dlaczego?

- Ponieważ jeśli prędko nie znajdę przyzwoitki, będziemy mieli kłopoty.

- Moi gwardziści nie wystarczą?

- Do diabła, zapomniałem o nich - uśmiechnął się do Amandy. - Ale i tak powinniśmy wracać.

Domyślam się, że spacerowałaś tutaj cały tydzień. Nie chcę, byś składała przysięgę, bucząc przez nos.

Ludzie pomyślą, że płaczesz, ponieważ zaciągnąłem cię do ołtarza siłą.

- Nikomu nie przyjdzie to do głowy - obiecała.

- Już ja o to zadbam. Lecz teraz, skoro już nie potrzebuję się przechadzać, chętnie ogrzałabym się w ciepłe kominka - wzięła Jake'a za rękę i ruszyli razem wzdłuż brzegu w stronę Artane. - A więc, opowiedz mi, jak przebiegła rozmowa z Henrykiem. Jest bardzo młody, prawda?

- Liczy sobie dwadzieścia pięć wiosen. Wydaje mi się jednak, że przez lata spędzone na dworze nabrał doświadczenia i nie pozwoli się łatwo oszukać.

- Co mu powiedziałeś?

- Z początku w ogóle się z nim nie widziałem

- wyjaśnił Jake. - Twój ojciec załatwił posłuchanie u Hugh de Burgha. Najwidoczniej on również zaczynał z niewielkim majątkiem, więc moja historia do niego przemówiła.

- Na pewno - przyznała Amanda. - Od drobnej szlachty do regenta Anglii. Zatem użyłeś swego daru wymowy, aby go przekonać?

- Słów i złota. To potężna kombinacja.

- A jak było z Henrykiem?

* 485 *

- Mowa, złoto i reprezentacja panów z Artane stojąca za mną - wyjaśnił z szerokim uśmiechem.
- Bardzo skuteczny zestaw. Złożyłem królowi obietnicę, że będę go wspierać na północy, podarowałem mu jeden czy dwa klejnoty i, znowu, parę mieszków złota i sprawa została załatwiona. Amanda popatrzyła na Jake'a, nie mogąc przestać się uśmiechać.
- Zrobiłeś to!
- Nie udałoby mi się bez pomocy twojego ojca i braci. Choć muszę przyznać - wyznał skromnie
- że kiedy czekałem na audiencję, naszkicowałem mały portret jego królewskiej mości. Gdy wręczyłem mu rysunek razem z resztą podarków, był bardzo zadowolony.
- Jak bardzo?
- Tak bardzo, że zaprosił nas oboje do Londynu, gdy tylko będziemy w stanie wyruszyć w podróż, abym wykonał jego wierną podobiznę.
- Jake - Amandzie zapało dech w piersiach.
- Naprawdę?
- Interesuje cię to?
- Nie byłam w Londynie od lat - wyjawiała.
- Sprawiłoby mi to ogromną przyjemność.
- Ja też nie miałbym nic przeciwko temu - zgodził się Jake. - A poza tym, nie sędzę, by wolno nam było odmówić. Sam nie wiem. Co ty o tym myślisz?
- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli omówisz kwestie właściwego zachowania wobec członków rodziny królewskiej z moim ojcem - stwierdziła oschle. - W przeciwnym razie będziemy malowali mury celi w Tower.
- Nie obawiaj się, żaden średniowieczny zamek mnie nie powstrzyma - chełpił się Jake. - Chociaż

przypuszczam, że przez chwilę mocno ryzykowałem, kiedy przyjechał Ledenham, tocząc pianę z ust. Amanda się zachłysnęła.

- Ledenham? A powiedział...

- Mniej więcej to samo - Jake wzruszył ramionami. - Obmyśliłem zawczasu linię obrony, ale de Burgh sprawił, że nie była konieczna. Gdy Ledenham zaczął wysuwać oskarżenia, de Burgh popatrzył na niego jak na kogoś niespełna rozumu. Głośno rzucił uwagę, że guz na czole Ledenhama po uderzeniu rękojęścią miecza Robina na stałe uszkodził mu rozum, a potem wyrzucił go na, hm, tyłek.

Amanda potrząsnęła głową.

- Jake, to nie będzie jego ostatnie słowo. Teraz już nigdy nie odpuści.

- Wtedy będzie miał ze mną do czynienia

- stwierdził Jake. - No i naturalnie z twoim ojcem.

- Wzruszył ramionami. - Przyłgnie do mnie aura tajemnicy i, przepraszam już zawczasu, do ciebie.

- Która tylko przybierze na sile, gdy wprowadzisz się do Raventhorpe - zauważyła z uśmiechem. -

Mimo to jeszcze raz gratuluję, mój panie. Doskonały wyczyn.

Jake pogładził dłonią jej wilgotne włosy.

- Byłaś moim natchnieniem. - I twoją nagrodą.

- Czy jutro będzie zbyt wcześnie, by urządzić zaślubiny?

Amanda roześmiała się.

- Jeśli możesz to sobie wyobrazić, to jesteśmy już na to przygotowani.

- Wierzyłaś we mnie - odrzekł z wyraźnym zadowoleniem.

* 487 *

- Wierzyłam.
- Jake uśmiechnął się.
- Chodźmy więc do domu.
- Jak sobie *życzysz*, mój panie.

* * *

Nieco później tego samego dnia, w przeddzień swoich zaślubin, Amanda siedziała w komnacie ojca i przyglądała się zgromadzonej dokoła rodzinie. Przynajmniej raz mogła cieszyć się z faktu, że to nie ona była głównym tematem rozmów. Wyglądało na to, że Rhys i Robin wypatrzyli kilka czarujących panien w opactwie Seakirk, które z pewnością nie szykowały się do rychłego złożenia ślubów zakonnych. Nicholas siedział na krześle i przewracał oczami, słuchając propozycji. Zarzekał się, że się nie ożeni, dopóki nie znajdzie takiej, która będzie go kochać dla niego samego, a nie dlatego, że potrafił wybawić ją od klasztoru.

Amanda uśmiechała się, trzymając Jake'a za rękę, i czuła się w pełni ukontentowana z przebywania w tej komnacie. Przyglądała się swojemu pierścionkowi połyskującemu w blasku ognia i zdumiewało ją, że Jake był w stanie zrobić coś takiego. Być może królowi tylko wyjdzie na dobre, jeśli Jake wykona dla niego jedną czy dwie błyskotki. Z pewnością by tak było, gdyby mógł zobaczyć inne dzieła, które Jake zabrał ze sobą.

Anna miała przypiętą do sukni jedną z jego brosz, Gwen od czasu do czasu podziwiała bransoletę oplatającą jej nadgarstek, wykonaną z takich samych błękitnych kamieni, jakimi była usiana ozdoba Amandy. Isabelle nie zachowywała się aż tak powściągliwie. Ścisnęła w dłoni naszyjnik

* **488** *

i na przemian spoglądała to na swój klejnot, to na Jake'a.

Rozmowa toczyła się wokół sytuacji na północy kraju. Amanda czuła niewysłowioną wdzięczność, że już nie jest pionkiem w tej grze. Teraz to Jake był zainteresowany obrotem spraw.

Trzymała go za rękę i patrzyła, jak rozmawia niczym równy z równym z jej ojcem i braćmi. Nie mogła się nadziwić. Obserwowała, jak się zmienił, choć po prawdzie wcale się nie zmienił. Od samego początku nosił się jak człowiek majątny i uczony. To jej uprzedzenia sprawiły, że wydawał się kimś gorszym, niż był w istocie. Zaiste, przez ostatnich parę miesięcy nauczyła się bardzo wiele o wartości człowieka i jego miejscu w życiu.

Amanda uznała, że już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Przyglądała się więc swojemu wartościowemu mężczyźnie i z trudem przychodziło jej uwierzyć, ile dla niej poświęcił. Przyszłość z jej wszystkimi wspaniałościami. Żywiła szczerą nadzieję, że jest warta tej ceny.

Westchnęła i oparła się wygodniej o krzesło. Po chwili zorientowała się, że ktoś ją obserwuje.

Spotkała się wzrokiem z Robinem i spodziewała się ujrzeć jego uśmiezek lub niemy śmiech na widok jej uwielbienia dla wybranka.

Tymczasem brat patrzył na nią z wyrazem najczulszego przywiązania, jakie zwykle zachowywał dla Anne i Phillipa.

- Szczęśliwa? - bezgłośnie poruszył ustami.

Amanda przytaknęła. Nie potrafiła zdobyć się na jakieś słowo czy żart, gdyż nagle poczuła, że serce ma wypełnione po brzegi. Pozwoliła zatem, by łza, a może dwie, spłynęły jej po policzku i ponow-

*** 499 ***

nie kiwnęła głową. O tak, szczęśliwa. Znów była wśród najbliższych, lecz teraz jej serce było nie tylko całe, lecz także pełne miłości do człowieka siedzącego obok niej. Człowieka, który w swoim czasie będzie gościł ich rodzinę na swoim własnym dworze.

Nagle Jake uniósł dłoń Amandy do swoich ust, ucałował ją, po czym ujął w swoje ręce. Delikatnie pocierał kciukiem pierścionek na palcu ukochanej i od czasu do czasu spoglądał na ozdobę, jakby chciał się upewnić, że wciąż tam jest.

Amanda spojrzała na Robina, który przyglądał się im obojgu z uśmiechem zadowolenia. Skinęła głową.

Nie mogła się z nim nie zgodzić.

37*

Rankiem w dniu swojego ślubu Jake stał przed średniowieczną kaplicą. Czekając na pannę młodą, rozmyślał nad zdarzeniami ostatnich kilku miesięcy, aby przekonać się, kiedy postąpił słusznie. Pierwszym wydarzeniem na liście była napaść na parkingu Artane Enterprises Inc. W ten sposób otworzyła się przed nim droga wiodącą przez korytarze pełne duchów, wrota czasu i przed oblicze średniowiecznego monarchy, aby ostatecznie wylądować przed drzwiami stosunkowo nowej kaplicy, gdzie oczekiwał swojej przyszłej małżonki, która miała powierzyć swój los w jego ręce.

Od napadu do ślubu.

Jake nie widział powodów do narzekań.

Wszedł do kaplicy i rozejrzał się dokoła po zgromadzonych osobach, zebranych, by przyglądać się ceremonii. Gwen, Anne i Isabelle stały na drugim końcu nawy. Na ich twarzach malowało się szczęście, więc Jake uznał, że może spokojnie założyć, iż nie mają nic przeciwko temu, że poślubi Amandę. Montgomery i John razem z Milesem zebrali się przy bliższym końcu nawy i również wyglądali na zadowolonych. Nicholas i Robin czekali z Jakiem przy ołtarzu. Jake pomyślał, że okazuje wielkie zaufanie, pozwalając Nicholasowi de Piagetowi

*** 490 ***

stanąć za swoimi plecami ze sztyletem za pasem. Jednak wydarzały się bardziej zdumiewające rzeczy niż morderstwo w angielskiej kaplicy. Może, w razie czego, Robin zadba o jego bezpieczeństwo. Wtem drzwi się otwarły i weszła Amanda z Rhysem. Jake przekonał się, że po jakkolwiek długo trwającej przerwie, widok Amandy zawsze wywoływał wrażenie porównywalne z ciosem pięścią w brzuch. Był prawie pewien, że się zachwiał.

- Spokojnie - mruknął zza pleców Robin.
 - Choć nie jest za późno, by jeszcze uciec.
 - Cicho bądź - wymamrotał Jake.
 - Skok lub dwa przez ławki i *voilà!*, już cię nie ma. Jake odwrócił głowę, by zgasić spojrzeniem przyszłego szwagra, ale zobaczył tylko uśmiechniętego od ucha do ucha Robina.
 - Naznaczyłbym cię odpowiednio - szepnął Jake
 - ale jesteśmy w kościele.
 - Zawsze można wybrać się później na plac musztry.
 - Będę zajęty.
 - To może o świcie?
 - Na wszystkich świętych - syknął Nicholas
 - przestaniecie wreszcie? Zaraz na naszych oczach odbędzie się ślub.
 - Zabawiam go - wyjaśnił wesoło Robin. - Jeśli dokładnie przyjrzy się tej dziewczynie, jest gotów zemdleć.
 - Bądź mężczyzną - poradził Nicholas półgłosem. - Wytrzymaj napięcie.
 - Z chęcią - odparł Jake, uśmiechając się, gdy Rhys prowadził Amandę do ołtarza. Pan młody
- * 502 ***

skłonił głowę przed ojcem panny młodej, po czym ujął ją za rękę i odwrócił się w stronę kapłana. Jej palce przypominały lód. Zerknął na nią zaskoczony, ale nie okazywała ani śladu cierpienia. Patrzyła na Jake'a z uśmiechem tak olśniewającym, że musiał zmrużyć oczy. Przypuszczał, że znów się zachwiał; to pewnie dlatego Robin szturchnął go łokciem pod żebro. Jake wziął dłonie Amandy w swoje ręce i pozwolił sobie po raz kolejny zanurzyć się w zupełnie nierealnej chwili - nie tak dalekiej od tej, kiedy przebywał w komnacie Rhysa i rozmawiał z nim o przyszłości. Oto stoi w średniowiecznej kaplicy, przyobleczony w średniowieczny tytuł lordowski i trzyma za rękę średniowieczną arystokratkę, z którą na dodatek bierze ślub. Nie tego się spodziewał, jak wcześniej sądził, owego ranka, gdy ojciec wyciągnął go z łóżka, wysyłając proroczo z przesyłką do Artane Enterprises.

- Wiana? - spytał duchowny.

Zanim Jake zdołał się zastanowić, co ma zrobić, Rhys wystąpił krok naprzód.

- Ja przedstawię posag mojej córki. Skrybo, jesteś gotów?

- Lepiej znajdź sobie krzesło - szepnął głośno Robin.

Jake uchwycił spojrzenie, jakim Rhys zgromił najstarszego syna, ale Robin tylko miło się uśmiechnął. Jake stał, trzymając rękę Amandy, i po raz pierwszy przekonał się, jak zamożna jest jego panna młoda. Zdał sobie sprawę, że słucha z otwartymi ustami tylko dlatego, że od czasu do czasu musiał przełknąć i zamknąć usta. Popatrzył na Amandę.

- O rany.

* 492 *

Uśmiechnęła się.

- Nie wiedziałaś?

- Nie wiedziałem i nie dbałem o to.

- Teraz lepiej dbaj - zauważył Rhys. Jake uśmiechnął się do ojca Amandy.

- Naturalnie, panie. Wiesz, że uczynię wszystko, co będzie konieczne, by należycie się o to zatroszczyć.

Rhys skinął głową z widocznym zadowoleniem, mimo iż Jake wiedział, że ta kwestia nigdy nie budziła wątpliwości. Przypuszczał, że ojcu sprawi przyjemność świadomość, że mężczyzna, któremu oddaje córkę, potraktuje poważnie swoje obowiązki, gdy nadejdzie po temu czas.

- Lordzie Raventhorpe - zwrócił się kapelan do pana młodego.

- Ja wymienię dobra za niego - rzekł Robin. - Obowiązki drużby i tak dalej. - Odchrząknął i z namaszczeniem splótł palce. - W wianie wnosi oczywiście Raventhorpe. Złoto i klejnoty równoważą lenna kilkuset rycerzy.

- Czy to wszystko? - spytał ksiądz.

Czy to było wszystko? Jake uśmiechnął się. Jego majątek nie dorównywał majątkowi Amandy, lecz mimo wszystko coś sobą reprezentował.

- Nie, to nie wszystko - oznajmił filuternie Robin. - Jeszcze muszę wymienić parę rzeczy. Skrybo, czy jesteś gotów?

- Tak, mój panie.

- Mój lord Raventhorpe wnosi także ze sobą znakomitego kowala, sprzęty do sypialnej komnaty, wielkiej sali oraz bawialni - uśmiechnął się Robin. - Dzięki mojej uprzejmości.

- Dziękuję - odezwał się zaskoczony i wzruszony Jake.

*** 504 ***

- Oraz stado koni do swoich stajni, a także ze dwa ogary do sfory psów - dorzucił Nicholas z ledwie zauważalną ponurą nutką. - Ode mnie.

- Bardzo dziękuję - odparł jeszcze bardziej zdumiony i wzruszony Jake.

- A także dwóch giermków! - włączyli się chórem Montgomery i John.

- Chodzi o nas - dodał Montgomery.

- Prezent z nas od nas - uściśli! John z szerokim uśmiechem.

Jake spojrział na młodszych braci Amandy i także się uśmiechnął.

- Przyjmuję was.

- I rządcę - dorzucił Rhys - od matki panny młodej i ode mnie. Ale kucharza możecie znaleźć już sobie sami.

- Znajdź go szybko - poradził Miles. - Ona przypała wszystko, czego się dotknie.

Jake roześmiał się i spojrział na Amandę, której po policzkach płynęły łzy. Jednak uśmiechała się.

- Co za rodzina! - rzekł Jake.

Kiwnęła tylko głową, po czym zwróciła się do kapłana.

- Ośmielę się powiedzieć, drogi ojczy, że to już wystarczy. Bądź tak łaskaw i dopełnijmy reszty.

Jake skupił się na tym, co mówiono, by odpowiadać we właściwym momencie właściwymi słowami, ale z nadmiaru wszystkich rewelacji tego ranka w głowie wciąż słyszał ryk tajfunu.

No dobrze, był przyzwyczajony posiadać pieniądze. Jego ojciec mógł być godnym nagany łajdakiem, lecz nie skąpił wydatków, by Jake odebrał należyte wykształcenie i był odpowiednio traktowany podczas studiów w Eton i później w Cambridge. A samemu Jake'owi, gdy minął czas odej-

mowania sobie od ust, aby rozkręcić wiasne interesy, z pewnością nie brakowało co bardziej ekskluzywnych uroków życia. Podróżował luksusowo, kupował, co mu się żywnie podobało, otaczał się pięknymi przedmiotami.

Jednakże taki dostatek w warunkach średniowiecznych wręcz przytłaczał.

- Jake?

Zamrugął i popatrzył na Amandę.

- Co takiego?

- Możesz mnie teraz pocałować. Znów zamrugął.

- Już po wszystkim?

Nicholas wydał jęk rozpacz, a Robin zaczął się śmiać. Jake patrzył na Amandę.

- Przypuszczam, że to oznacza „tak”? Amanda wspięła się na palce i pocałowała go. -Tak.

Jake objął ją i również pocałował, ale nie tak starannie, jak by sobie tego życzył. W końcu działo się to na oczach jej ojca. Dopilnuje jednak tego później, gdy już nie będą mieli towarzystwa.

- Jesteś pewien, że nie chcesz zrobić małego wypadu na plac musztry? - zapytał usłużnie Robin.

- Zamknij się - odpowiedział Jake równie uprzejmie.

- Dajcie zatem temu człowiekowi jeść - oznajmił Robin, klepiąc serdecznie Jake'a w plecy. - Musi mieć siłę do pracy.

Jake przeniósł wzrok na Amandę, która się tylko roześmiała. Nie było sposobu, by powstrzymać Robina, kiedy się rozkręcał, a najwidoczniej humor zaczął mu dopisywać. Jake wziął żonę za rękę i obrócił się, by opuścić kaplicę. Nie mógł jednak wyjść, nie uściskawszy dłoni Rhysa i nie pokłoniw-

* 506 *

szy się nisko nad ręką Gwen, dziękując jej ponownie za dar, jakim była jej córka. A gdy wychodzili z kaplicy, odebrał gratulacje od Milesa i bliźniaków, a Isabelle nieśmiało ujęła go za wolną dłoń, wpatrując się w niego jak zwykle wzrokiem pełnym szacunku.

Robin i Anne podążali za młodą parą, przy czym Anne uciszała męża, gdy Robin wciąż kontynuował swój ślubny monolog.

Wkrótce wszyscy wygodnie zasiedli przy wysokim stole w głównej sali. Jake przypuszczał, że podano mu posiłek, lecz niewiele z tego pamiętał. Większość czasu po prostu patrzył na Amandę.

Uśmiechał się sam do siebie. Nic dziwnego, że duchy dawały mu do zrozumienia, że postradał rozum, kiedy zapytał je o Amandę. Powinien był uznać to za dobry znak.

Nagle Robin zaklaskał w dłonie, po czym je zatarł.

- Sądzę, że nadszedł już czas, by wstać od stołu, nie uważacie?

- Wstać? - zdziwił się Jake.

- Robin - skarciła męża Anne. - Daj mu spokój. I Amandzie również.

Jake spojrzał na żonę.

- Wstać?

- Nie odpowiadaj mu, siostró - przerwał Robin, szczerząc się w uśmiechu. - Po prostu mu pokażemy.

- Nie - zaprotestowała Amanda. - Mój pan nie skończył jeszcze wina, a kiedy je dopije, odejdzie od stołu bez twojej pomocy. Ani któregośkolwiek z was - oznajmiła, obrzucając mężczyzn przy stole ostrzegawczym spojrzeniem. - Ja na przykład nie pozwolę, by obnażono mnie wobec ojca i braci - obraziła się. - Ośmielę się stwierdzić, że

*** 496 ***

po wszystkim, co Jake przeszedł, aby mnie zdobyć, nie ma zamiaru mnie odtrącać.

- Czy możesz to powtórzyć - poprosił Jake z uczuciem. Popatrzył na Milesa, który siedział na-
przeciwko. - Przecież nie robicie takich rzeczy?

- Ależ oczywiście - uśmiechnął się Miles. - Jakże inaczej miałbyś ostatnią szansę, aby odrzucić
koślawonogą pannę młodą o zapadniętej piersi i kościstych łokciach?

- Mogę cię zapewnić, że nie należę do tego typu kobiet - wtrąciła ostro Amanda. - A teraz proszę
zostawić Jake'a w spokoju i pozwolić mu dokończyć posiłek. Jeśli o nas chodzi, życzyłby sobie w dniu
swojego ślubu po południu odbyć krótki spacer wzdłuż plaży.

Robin parsknął winem po całym stole.

- Chyba stroisz sobie żarty - zakrzuszył się.

- Spacer po plaży? W dniu ślubu? Jake zerknął na Amandę.

- Czy dziś uda nam się pobyć trochę w odosobnieniu?

- Odosobnieniu? - parsknęła. - Tak, ale dopiero w Raventhorpe. -

- Za daleko. Musimy osiąść gdzieś bliżej. Amanda odsunęła krzesło i wstała. Pochyliła się
i ucałowała ojca w policzek.

- Mój pan jest zmęczony. Swoimi nowymi szwagrami - dodała, gromiąc spojrzeniem Robina.

- Jeśli pozwolicie... Ojczy? Matko?

- Mnie także zapytasz o pozwolenie? - uśmiechnął się szeroko Robin.

Jake wstał razem z nią i przechodząc obok Robina, pacnął go dłonią w kark.

- Zapłacisz mi za to, Kilchurn - odgrażał się Robin. - Później, gdy już nie będę miał wina w kielichu.

*** 508 ***

- Oczywiście - odrzekł Jake. Doszedł do końca stołu z Amandą, potem przystanął i przeprosił ją.

Obszedł stół i zatrzymał się przed Rhysem i Gwen. Złożył im bardzo uniżony ukłon.

- Dziękuję wam, mój panie i moja pani, za dar, jakim jest wasza córka - oznajmił.

Rhys skinął głową z poważnym wyrazem twarzy. Gwen uśmiechnęła się przez łzy. Jake popatrzył po reszcie rodziny Amandy, im także się pokłonił, a potem znów okrążył stół, by zabrać swoją pannę młodą. Przystanął u stóp schodów i uśmiechnął się do Amandy.

- Pani.

- Panie.

Roześmiał się i wziął ją za rękę, by poprowadzić na górę.

* * *

Jake obudził się w środku nocy. Wymknął się z łóża, odszukał świecę, po czym zawinąwszy się w przykrycie, wyszedł na korytarz po światło. Wrócił do komnaty z zapaloną świeczką i postawił ją na stole obok posłania.

Odszukał szkicownik i węgiel, a potem przysunął sobie stołek, by usiąść. Uwiecznienie Amandy tak, jak sobie życzył, zajęło mu może godzinę. Potem odłożył przybory do rysowania i po prostu na nią patrzył. Pomyślał, że od tej pory każdego dnia aż do chwili śmierci nigdy nie będzie mu dość patrzenia na nią, by upajać się, by zdumiewać się, że ta czarodziejska, olśniewająca i elokwentna kobieta została dana do kochania właśnie jemu. Po tych wszystkich latach, które spędził, przemie-

* **498** *

rzając świat w poszukiwaniu klejnotu doskonałego, oto znalazł ten najcenniejszy.

Prawdziwy, jedyny w swoim rodzaju okaz.

Amanda otworzyła powoli oczy, popatrzyła na Jake'a i uśmiechnęła się.

- Hej! - powiedziała.

Jake uśmiechnął się odruchowo. Będzie musiał zwracać uwagę, jak do niej mówi, inaczej będzie miał u boku średniowieczną zblazowaną panienkę. Wcześniej tego wieczoru już zepsuł Amandę czekoladą. Kto wie, jakimi skazi ją jeszcze futuryzma-mi, zważywszy na czas, jaki mają przed sobą?

- Hej! - odparł.

- Co tam takiego robisz w środku nocy? Jake podniósł szkicownik.

- Rysuję mój ulubiony temat. Amanda aż wstrzymała oddech.

- Ach, Jake, jakie to piękne. Dużo piękniejsze, niż na to zasługuję.

- Wcale nie. Udowodnię ci, że jestem znakomitym artystą, który przedstawia swoje modele z bezwzględną precyzją i cynicznym okiem.

- Skoro tak mówisz - oparła się na łokciu. - Narysujesz coś jeszcze? - zapytała niepewnie. - Jakieś rzeczy z przyszłości? Nie teraz, ale w ogóle?

- Jeśli zechcesz - uśmiechnął się Jake. - Ale tak naprawdę to chciałbym namalować twój portret. Gdy tylko znajdę farby i tak dalej.

- Naprawdę? - Amanda nie ukrywała zadowolenia.

- Tak. W tej błękitnej sukni, którą miałaś dziś na sobie. Niezwykle pięknie w niej wyglądałaś.

- Musisz namalować mnie z długimi włosami. Jake roześmiał się.

- Dlaczego?

*** 499 ***

- Nie chcę, by potomni wiedzieli, jaka byłam głupia, czekając, aż do mnie wróci ich przodek.

- Zgoda - obiecał. - Włosy do pasa, jeśli tak sobie życzysz.

Amanda uśmiechnęła się leniwie.

- Tak sobie życzę. A teraz odłóż swoje przybory, mój panie, i chodź tutaj. Mam dla ciebie inne zaję-cie.

Jak mógłby odmówić? Zdjął okrycie, ale świecy nie zgasił. W końcu gdy ma się skarb w rękach, to najlepiej oglądać go przy świetle.

Świeca dopalała się, nim wywiązał się z zadanej przez Amandę pracy, lecz nie dbał o to. Wypaliłby tysiąc świec i więcej, by sprawić jej przyjemność.

Jake zasnął z Amandą z Artane w ramionach.

Uśmiechał się przez sen.

38

Kilka miesięcy później Amanda stała u stóp innego łoża i żałowała, że nie może spacerować. Jednak obawiała się, że odwracałaby uwagę, więc trwała w miejscu i patrzyła na osobę na pościeli. Krzywiła się, słuchając jęków, które jeszcze przed chwilą można było znieść, ale teraz stawały się coraz donośniej sze.

- Niedługo - oznajmiła Gwen. - Już wkrótce.

- Jeszcze nie tak szybko - wydusiła Anne przez zaciśnięte zęby.

Gwen zaśmiała się.

- Kochanie, wysiłek okaże się taki sam. Pośpiech nic tu nie pomoże.

- Ale szybciej będzie po wszystkim - stęknęła Anne.

Amanda przesunęła dłonią po brzuchu, który jak dotąd na nic nie wskazywał, i zastanawiała się, jak ona sobie poradzi, gdy nadejdzie jej pora, by powić dziecko.

Czas mijał, a Amanda nie była pewna, komu bardziej się dłuży. Anne przynajmniej miała co robić.

Amanda mogła się tylko przyglądać.

- Gdzie jest Robin? - wysapała przyszła matka.

- Na dole - odpowiedziała Amanda.

- Dlaczego?

* 512 *

- Myślę, że boi się tego, co mu grozi, jeśli znajdzie się w zasięgu twojej ręki - przyznała uczciwie Amanda.

- Sprowadź go - nakazała, po czym krzyknęła z bólu.

Amanda pobiegła do drzwi i otworzyła je szeroko. Nie musiała daleko szukać. Brat stał dziwnie nieruchomo oparty o przeciwną ścianę. Był tak blady z napięcia jak Anne z bólu.

- Chce cię widzieć - wyjaśniła Amanda. Robin skinął głową i odepchnął się od muru.

Amanda ujęła brata za rękę i uśmiechnęła się.

- Jest silna i zdrowa. Wszystko będzie dobrze. Popatrzyl na nią ostro.

- Tak uważasz?

- Po prostu wiem - powiedziała z przekonaniem. .

Nie miała zamiaru mówić mu, skąd wie, choć przypuszczała, że i tak zgadnie.

Robin wyprostował się i wszedł za siostrą do komnaty.

* * *

Godzinę później Amanda zeszła do wielkiej sali. Isabelle była już na górze i rozczułała się nad niemowlęciem. Amanda nie wątpiła, że jej bracia, mąż i ojciec zabawiają się na placu musztry.

Jednak na wszelki wypadek, gdyby się jednak myliła, postanowiła zajrzeć do komnaty. Zapukała, po czym weszła i zobaczyła, że naprzeciwko ojca, nad szachownicą, siedzi Jake. Obaj podnieśli głowy.

- Dziecina już na świecie? - spytał Rhys. Amanda przytaknęła.

- Chłopiec czy dziewczynka?

* 502 *

Spojrzała przelotnie na Jake'a, nim przeniosła wzrok z powrotem na ojca.

- Chłopczyk - oznajmiła poważnym tonem.

- A imię? Jakie? - ciągnął Rhys. - Tylko proszę, niech będzie to coś, co będę w stanie wymówić.

Amanda uśmiechnęła się chłodno.

- Phillip nie był trudny, ojczu.

- Po prostu z Robinem nigdy nic nie wiadomo. Amanda znów popatrzyła na Jake'a. Spoglądał na nią spokojnie, bez oznak troski czy obawy, ze zwykłą pewnością, na którą nauczyła się liczyć, nawet gdy przychodziło mu poruszać się po omacku w nieznanym sytuacjach. Jake czekał, pewny siebie i opanowany.

- Jakie mu dano imię? - ponaglał Rhys. Amanda drgnęła.

- Kendrick.

- Kendrick! - powtórzył mężczyzna. - A cóż to za imię?

- Robin gdzieś je usłyszał - przełknęła. - Postanowił nadać dziecku takie imię, gdy dowiedział się, że Anne znów jest przy nadziei - urwała. - Nikomu o tym nie mówił, nawet Anne.

- No cóż - stwierdził Rhys. - Każdemu, co mu się należy. - Potrząsnął głową. - Kendrick, doprawdy. Myślę, że je polubię.

- Jestem pewien, że będzie wspaniałym chłopcem - rzekł z przekonaniem Jake. - W istocie, przepowiadam, że będzie wspaniałym wojownikiem kontynuującym tradycje ojca i dziadka.

-1 wuja - zauważył poważnie Rhys. Jake uśmiechnął się.

- Jesteś, panie, zbyt łaskawy.

- Już zawodzi niczym upiór - mruknęła Anne. Rhys wstał.

* 503 *

- Jak sądzisz, mógłbym ośmielić się złożyć im wizytę, czy jest jeszcze za wcześnie?

Amanda zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dziecię urodziło się pół godziny temu, przypuszczam, że możesz najwyżej rzucić okiem na swojego nowego wnuka.

Rhys pogładził córkę po włosach, gdy szedł do drzwi, po czym zatrzymał się i uśmiechnął do Amandy.

- Z tobą także wszystko będzie dobrze, skarbie, gdy przyjdzie twój czas.

- Wiem, ojciec - odrzekła cicho. Czekwała, aż wyjdzie, a potem spojrzała na męża.

Siedział na krześle, przyglądając się jej z półuśmiechem.

Amanda przeszła przez komnatę i usiadła Ja-ke'owi na kolanach.

- Uff - wyrwało mu się.

- Niezguła - odparła, obejmując go za szyję. - Wcale nie jestem taka ciężka.

Pocałował ją delikatnie.

- Tylko się droczyć. A więc, Anne szczęśliwie urodziła, jak widzę.

- Jesteś zaskoczony? Jake uśmiechnął się.

- A jak myślisz?

- Myślę, że nie byłeś zaskoczony - stwierdziła, przytulając się policzkiem do jego policzka. Zamknęła oczy i westchnęła. - Cieszę się z ich szczęścia.

- Ja również - umilkł na chwilę i by popatrzeć na nią, odsunął się trochę. - Przekonałem cię teraz? , .

Uśmiechnęła się, rozumiejąc, o czym mówi.

- Dałam się przekonać wcześniej.

- Dowód cię uspokoił?

* 515 *

- Jake - roześmiała się. - Nigdy nie potrzebowałam dowodu.

- Nigdy we mnie nie wątpiłaś? Ani razu?

- Nigdy. No... - odgarnęła włosy szarpnięciem głowy - ... może tylko wtedy, gdy nie sądziłam, że jeszcze wrócisz, a poza tym, to nie, ani razu. Przede wszystkim nie wtedy, gdy osobiście się przekonałam, że nie masz skrzydeł jak jakiś czarodziej.

- Bogu niech będą dzięki.

Amanda patrzyła na niego w milczeniu chwilę, a potem zapytała ostrożnie:

- Będzie jeszcze dwoje?

- Dwoje, które przeżyją - odparł spokojnie.

- Czy Robin i Anne będą mieli dzieci, które nie przeżyją, trudno mi powiedzieć.

- A jeśli chodzi o nasze? - ciągnęła temat jeszcze ostrożniej. - Wiesz coś o naszych dzieciach?

Jake potrząsnął głową. -Nie.

- Nie mogłeś poszukać? - W głosie Amandy słychać było żal. - Kiedy wróciłeś po swoje złoto i klejnoty? —

Przyciągnął ją blisko do siebie i pogłaskał po włosach.

- Jeśli mam być zupełnie szczery, Amando, to nie mogłem się zmusić i zajrzeć do jakiegokolwiek książki, która powiedziałaaby mi, co się z tobą stało

- westchnął. - Pewnie obawiałem się, że mógłbym się dowiedzieć, że poślubiłaś jakiegoś tępego osiłka o imieniu Sven, który spłodził z tobą tuzin chłopaków o imieniu Sven, i że spędziłaś całe życie w błogim szwedzkim szczęściu.

Amanda uśmiechnęła się i odsunęła, żeby spojrzeć na męża.

* 516 *

- A gdybyś się tego dowiedział? Co wtedy byś zrobił?
 - Zmieniłbym bieg historii - rzekł z przekonaniem.
 - Niech będą pochwaleni wszyscy święci! Jake pogładził jej policzek.
 - Wiesz, kiedy byliśmy w Londynie i wszyscy mężczyźni na dworze leżeli u twoich stóp, wyskoczyłem po farby i pędzle. Bardzo chciałbym namalować twój portret, jeśli tylko pozwolisz. W ślubnej sukni.
 - Jeśli sobie życzysz - odrzekła z zadowoleniem. Portret króla autorstwa Jake'a okazał się olbrzymim sukcesem i otrzymywali zamówienia na wykonanie podobnych konterfektów od wielu arystokratów w Londynie.
 - Z długimi włosami - przypomniała Amanda.
 - Oczywiście.
- Siedziała mu na kolanach i przez długą chwilę tuliła się do niego, aż w końcu przyszło jej na myśl, że Jake zasnął. Uniosła głowę z jego ramienia i popatrzyła na niego. Oczy miał otwarte, ale wpatrywał się w przestrzeń.
- Jake?
- Otrząsnął się z zamyślenia i uśmiechnął.
- Tak, kochanie?
 - Żałujesz?
 - Jak możesz o coś takiego pytać?
 - Ponieważ narysowałeś mi te cuda, które porzuciłeś. Zastanawiam się, czy za nimi tęsknisz.
- Jake potarł podbródek.
- Hm, niech pomyślę. Zamieniłem beztroskie życie bez ciebie, podróże i luksusy, na podróże, luksusy i beztroskie życie razem z tobą. W jaki sposób mogłaby to być kiepska transakcja?

- Nie żyjesz w luksusie i beztrosko - zauważyła.
 - Ach nie? - Zadumał się. - Piękny zamek...
 - Ze szczurami w piwnicach i ptakami gnieźdzącymi się w twojej sypialni.
 - Prawda, ale to można naprawić - stwierdził. - Przecież ten zaszczurzony zamek nad brzegiem morza tak naprawdę wygląda bardzo dostatnio.
- Amanda roześmiała się i pocałowała go.
- No dobrze, mój panie, zgadzam się. Ta twoja twierdza jest oszałamiająco piękna i cieszę się, że będę tam mieszkać, skoro tylko Nicholas i jego ludzie zreperują dach. Jednak dlaczego pozwoliłeś Nicholasowi znaleźć się tak blisko zamku...
 - Wie, że ty także będziesz tam mieszkać. Dopilnuje, by wszystko było porządnie naprawione - wyjaśnił pewnym tonem Jake. - To dobre życie, Amando, i takie, za które zawsze będę wdzięczny. A ty jesteś tego powodem.
- Objęła go ramionami i przytuliła mocno. Musiała przyznać mu rację. Zamieniła beztroskie życie bez Jake'a na cudowne życie z nim.
- Pomyślała o tym wieczorze na blankach Artane, gdy obiecał, że zdobędzie dla niej gwiazdkę z nieba. Jeśli gwiazdy oznaczały szczęście, to udało mu się nim Amandę obdarować, a nawet ofiarować jeszcze więcej.
- Odchyliła się i pocałowała Jake'a jeszcze raz.
- Chodź ze mną obejrzyć małego bratanka. To śliczny, silny chłopiec.
- Uśmiechnął się.
- Jestem tego pewien. Nie mogę się doczekać, kiedy dorośnie, aby móc go zacząć dręczyć, tak jak na to zasługuje.
 - Widzę, że masz mi coś do opowiedzenia.

* 507 *

- Mam - pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.
- I to jest ta najbardziej niezwykła historia. Lecz nie mniej niezwykła od naszej - zsunął Amandę z kolan i wstał. - Może zacznę go dręczyć już dziś
- mruknął, gdy wychodzili z komnaty. - Zasłuży na każdą chwilę udręki, bachorek jeden.
- Jake!

Uśmiechnął się.

- Poczekam, aż podrośnie, zanim zamienię jego życie w piekło - ścisnął jej dłoń. - Chodźmy.
- Amanda podążyła za nim, żałując, że nie zna przyszłości, ale może tak szczęśliwa nie musiała jej znać. Wszak jej przyszłość szła obok niej, nucąc pod nosem, tak jak miał w zwyczaju Robin, gdy coś sprawiało mu szczególną przyjemność. Uśmiechnęła się do siebie doskonale to rozumiejąc. Przecież mieli przed sobą całą przyszłość i miłość, by ją wypełnić. Zaiste, marzenia z gwiezdneho pyłu.

Genevieve de Piaget siedziała w wygodnym fotelu w pomieszczeniu, które przez wieki służyło za prywatny gabinet lordom Artane. Westchnęła z poczuciem szczęścia. To były fantastyczne dwa tygodnie, które przeciągnęły się do miesiąca. Przyglądanie się Kendrickowi na łonie rodziny było cudowne, lecz jakże przyjemnie było kręcić się z nim po domu jego lat chłopięcych, słuchać jego wspomnień, śmiać z jego psot... obserwować go w Artane.

Kendrick siedział teraz obok niej, żartując z Gi-deonem z jednej z jego dziecięcych katastrof. Genevieve patrzyła na Megan w zaawansowanej ciąży i wyraźnie gotową już-do rozwiązania, ale jakże szczęśliwą. Dzieci na różnym etapie pełzania po dywanach i wspinania się po krzesłach i ławach grasowały w komnacie, dopóki Kendrick nie zabrał ich wszystkich na górę i do łóżek. Najmłodsza dziewczynka, jak zwykle, słodko spała w ramionach mamy.

Wszystko było w najlepszym porządku.

- Jak myślisz, udało mu się? - zapytała nagle Megan.

Padło pytanie, którego nikt nie postawił przez cały miesiąc, od kiedy Jake zniknął. Genevieve była pewna, że i inni się nad tym zastanawiali, lecz

*** 520 ***

najwyraźniej nikt nie miał odwagi zapytać głośno. Nie mogła mieć im tego za złe. Po prostu myśl o współczesnym człowieku, który porzuca swoje życie dla marzenia pozostawionego w przeszłości, była aż nadto osobliwa. Poruszała ten temat z Kendrickiem wiele razy przed pójściem spać, ale za każdym razem on od razu zaczynał chrapać. Nie znał odpowiedzi czy też nie chciał wyjawić, że Jake przepadł w anglosaskiej Anglii, gdzie bez wątpienia albo zginął, albo został porwany na pokład statku Wikingów jako galernik.

- Dzwoniłem wczoraj do Aleksa - odezwał się z uśmiechem Gideon. - Powiedział, cytuję: „Nie ma człowieka, nie ma problemu”.

- Typowy prawnik - roześmiała się Megan.

- No cóż, może nadszedł czas, by wtajemniczona osoba zdradziła jakieś informacje - zauważyła znacząco Genevieve. Spojrzała na Kendricka. - To chodzi o ciebie, mój panie. Czy myślisz, że mu się udało? I czy nie nadeszła już pora, by otworzyć to pudełko, które dla ciebie zostawił?

- Zostawił pudełko? - zdumiał się Gideon, nadstawiając uszu.

Kendrick westchnął i się podniósł.

- Zaraz wracam.

Genevieve była przekonana, że to była jedna z najdłuższych chwil w jej życiu. Nie uważała się za zbyt ciekawską, jednak musiała przyznać, że w tym wypadku nie potrafiła dłużej wytrzymać napięcia.

Kendrick wrócił do gabinetu. Genevieve po plecach przebiegł dreszcz. Ileż razy tak robił te osiemset lat temu?

Prawdopodobnie zbyt wiele, by liczyć.

Kendrick ponownie zajął swoje miejsce i pokazał zebrany puzderko.

*** 510 ***

- Oto jest - oznajmił - pudełko, które może odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania.
- To otwórz je - zaśmiał się Gideon. Kendrick zrobił z otwierania pudełka wielkie przedstawienie. Wyjął mały obrazek i podał Genevieve.
- Proszę, pani ciekawska. Ty pierwsza. Genevieve popatrzyła na sportretowaną osobę. Była ubrana w ciemnobłękitną suknię i siedziała na kamiennej ławie przy oknie. Obok niej oparto miecz, a na kolanach i na ławie rozsypano szlachetne kamienie. Kobieta była, Genevieve przyznała bez wahania, wyjątkowo piękna, miała ciemne długie włosy i przykuwające uwagę oczy w kolorze akwamaryny.
- Amanda? - zapytała.
- Amanda - potwierdził Kendrick. - Była nader urodziwa.
- Nie, oszłamiająca - poprawiła Genevieve. - Nic dziwnego, że słyszę, jak twoje duchy bez końca opowiadają o niej na placu musztry, w ogrodzie, w kuchni...
- Kiedy nie pieją na twoją cześć - przypomniał żonie Kendrick. —
Genevieve uśmiechnęła się.
- W porządku. Może być piękna i wcale mi to nie przeszkadza. Zastanawiam się jednak, dlaczego Jake zostawił ci ten portrecik i skąd go miał?
- Obrazek był w jednym z gabinetów w nowym skrzydle zamku - podsunął Gideon. - No, przypuszczam, że określenie „nowy” jest względne. Skrzydło zostało zbudowane w osiemnastym wieku.
- To prawie współczesność - uznała sucho Genevieve. - Ciekawe, jak Jake go zdobył?
- Zwędził, łobuz - powiedział Kendrick. - A jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, to odwróć obrazek.

* 522 *

Genevieve odwróciła portret i przeczytała:

Mojej ukochanej Amandzie, zawsze i na wieki, JAK W

Genevieve podniosła prędko wzrok na Kendricka.

- A więc udało mu się. Kendrick podał jej kartkę papieru.

- Najwidoczniej. Przypuszczam, że znalazł portret, zanim napisał te słowa.

Genevieve podała obrazek Megan, po czym odczytała liścik:

Kendricku - nie pozwolę im zburzyć Seakirk w 1260 roku, chociaż powinienem, mrukliwy draniu. Nie musisz mi dziękować. JAK

Odłożyła kartkę i uśmiechnęła się do Kendricka.

- No, w każdym razie mamy kilka wskazówek. Tak sobie myślę, co jeszcze im się przydarzyło?

- Mamy bardzo obszerny tom o historii rodziny - wtrącił Gideon. - Ale po cóż sięgać do książki, gdy mamy naocznego świadka?

- Właśnie, Kendricku, wygadaj się - nakazała Genevieve. - Obiecałeś.

- Skoro obiecałem - Kendrick zatarł z uśmiechem rękę. - No dobrze, co chcecie wiedzieć najpierw?

- Ile mieli dzieci? - zainteresowała się Megan.

- Ośmioro - odparł Kendrick. - Sześcioro, które przeżyły dzieciństwo.

- Ojej - wzdrygnęła się Genevieve. - Biedna Amanda.

- O tak, bardzo nad tym bolała, jak możesz sobie wyobrazić, i pewnie bardzo ją to zmieniło, ale

*** 512 ***

nigdy nie należała do osób, które uciekają przed trudnościami. Była wdzięczna za dzieci, które rosły jak należy.

- Czy byli szczęśliwi? - pytała Genevieve, która nagle z tego wszystkiego mocno się rozczuliła.

- Bardzo - ciągnął Kendrick. - Jake stał się dość wpływowy z racji swojej osobowości i wielu zewsząd doń przyjeżdżało, by zasięgnąć rady - popatrzył na Gideona. - Może ta książka byłaby ciekawa. Ja w każdym razie chciałbym zobaczyć, co tam piszą o paru sprawach.

- Pójdę po nią, jeśli chcesz. - Gideon zniknął w czeluściach zamku. Wrócił po dobrej chwili, niosąc w rękach opasłe tomisko. Usiadł obok innych przy stole, otworzył księgę i szybko przewertował niektóre strony, zwolnił przy pewnej części, a wreszcie się zatrzymał. Kilka minut czytał w milczeniu.

- No i? - niecierpliwiła się Megan. - Gideonie, co tam jest napisane?

Gideon podniósł wzrok na zebranych i uśmiechnął się.

- Faktycznie, byli dumnymi rodzicami ośmiorga dzieci, z których żadne-nie nosiło imienia Kendrick. Kendrick roześmiał się.

- Ale doprawdy, co tam piszą?

- Jeśli chodzi o dzieci, jest tak, jak Kendrick nam powiedział - odparł z uśmiechem Gideon. - I podobno Jake stał się sławnym malarzem portrecistą, bardzo rozchwytywanym nie tylko z powodu talentu do obróbki srebra i szlachetnych kamieni, lecz także dzięki swoim umiejętnościom szermierczym.

- O tak, za to ostatnie mogę ręczyć - oznajmił Kendrick, przeciągając się z zadowoleniem.

* 524 *

- Bądź co bądź, nauczyłem go sporo z tego, co umiał.

- A czego prawdopodobnie nauczyłeś się najpierw od niego - stwierdził Gideon. - Piszą tutaj, że służyłeś u niego za giermka przez kilka lat.

Kendrick wzruszył ramionami, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Nie mogę zaprzeczyć. Ciocia Amanda me umiała gotować ani szyć, lecz mimo to potrafiła pięknie przyszykować stół i wyglądała przy tym ślicznie. Pod bramami jej zamku ustawiały się kolejki mężczyzn rywalizujących o szansę przygotowania przysmaków, które skusiłyby jej ogólnie znane, wyszukane podniebienie. Inni pragnęli uszyć piękne suknie, by sprawić jej przyjemność. Poza tym Raventhorpe znajdowało się tuż przy granicy. Okazja do mnóstwa kapitalnych przygód czekających na wyrostka z odpowiednim zestawem umiejętności.

- Awanturnik - rzekła czule Genevieve.

- O, jak najbardziej, a nawet więcej - zgodził się Kendrick.

- Jake napisał, że nie pozwoli twojej rodzime zniszczyć Seakirk - ciągnęła Genevieve. - Jak udało mu się do tego nie dopuścić? Czy próbował cię odwieść od poślubienia Matildy z Seakirk? Czy próbował cię ostrzec przed planami, jakie miała wobec ciebie?

- Ach, teraz dopiero zaczyna się prawdziwa opowieść - przytaknął Kendrick. - Co dziwne, Jake miał mało do powiedzenia na temat Matildy czy też mojej ugody z królem. Niezwykłe, gdyż nigdy nie krępował się wypowiadać opinii. To mój najlepszy przyjaciel, Richard z Burwyck on the Sea, najbardziej obstawał przy tym, bym nie żenił się z Matyl-

*** 514 ***

da, ale Jake nie, Jake niewiele mówił na ten temat. Ostatecznie mój ojciec *zaządał*, by przedstawił swoje zdanie i Jake dał się nakłonić. Zauważył tylko, że jest pewien, iż sprawy się w końcu ułożą.

- Tajemniczy człowiek - uznała Megan.

- Cóż, przypuszczam, że ojciec w pełni mu ufał. W owym czasie nie miałem pojęcia o prawdziwym pochodzeniu Jake'a. Mój wuj Montgomery do śmierci zaklinał się, że Jake naprawdę był czarodziejem, lecz nikt z naszego młodszego pokolenia mu nie wierzył. Dla nas Jake był cudownym skarbem, który przywoził nam zdumiewające rzeczy ze swoich podróży.

- Dużo podróżowali? - spytał Gideon. - Z Amandą?

- O, tak, a nawet z dziećmi - opowiadał dalej Kendrick. - Jake zabierał całą swoją rodzinę we wspaniałe podróże wszędzie tam, gdzie tylko mógł dotrzeć. Uważał, że doświadczenie to najlepszy nauczyciel. Właśnie był we Włoszech z Amandą, gdy zostałem... no cóż, zamordowany.

Gideon zakrztusił się i Megan musiała kilka razy klepnąć go w plecy by mu przeszło.

Genevieve roześmiała się. Wyglądało na to, że Gideon nie był obeznany z historią Kendricka.

Kendrick popatrzył na wszystkich błyszczącymi oczami.

- Moi krewni, jak możecie się domyślić, desperacko mnie szukali, a kiedy nie znaleźli, postanowili mnie pomścić. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że posłaniec dostarczył mojemu ojcu poufny list od Jake'a. Mój przyjaciel Richard dostał szału, że ojciec zwyczajnie nie zawrócił i nie zrównał Seakirk z ziemią, gdy przekonali się, że tam spotkał mnie koniec.

*** 515 ***

- Posłaniec odnalazł Robina w samą porę - przyznała sucho Genevieve.
 - Istotnie - zgodził się Kendrick. - Myślę, że w rzeczywistości chłopak podążał za kompanią mojego ojca i czekał na ustalony przez Jake'a moment. Zresztą, później dowiedziałem się od innych duchów-towarzyszy, że list przestrzegał Robina. Zawierał radę, by po prostu odstąpił, a Jake miał mu przekazać resztę szczegółów później.
 - I przekazał? - zapytała cicho Genevieve.
 - Oczywiście - uśmiechnął się Kendrick. - Powiedział mojemu ojcu, że spotkał mnie w przyszłości, że mam żonę, liczną rodzinę i jestem lordem Seakirk. Wówczas była to dla ojca marna pociecha, lecz był wdzięczny za tę informację. Oczywiście ojciec nie uznał za stosowne podzielić się tą wiedzą z kimkolwiek prócz matki, więc reszta rodziny smuciła się bardziej niż powinna, ale taki był jego wybór.
- Genevieve popatrzyła na męża i potrząsnęła głową.
- A ty nic z tego nie powiedziałeś Jake'owi, gdy się tutaj zjawił. Dlaczego?
 - Bezlitośnie mi dokuczał, kiedy byłem mały. Zasłużył na to za te lata udreki.
 - A poradził sobie bez wątpienia dzięki temu, jak potraktowałeś go te kilka tygodni temu - podsumował Gideon.
 - I tak trwamy dalej - westchnął z zadowoleniem Kendrick. - Czas i więzy rodzinne zataczają koła - wziął Genevieve za rękę i delikatnie przytrzymał ją obiema dłońmi. - Nie oddałbym z tego ani jednej chwili.
- Genevieve rozumiała to. Siedziała z mężem w zamku jego przodków i przyglądała się miejscu,
- * 527 ***

gdzie osiągnął wiek męski - kolejny krąg, który się domknął. Megan wkrótce urodzi i powstanie nowy krąg, z Gideonem, Megan i ich dzieckiem.

Jednak teraz ona i Kendrick, razem ze swoimi dziećmi, będą stanowili część tego powtarzającego się procesu. Rodziny, miłość, wspomnienia, - wszystko płynęło i płynie przez zamek, który stoi nad brzegiem morza od ośmiuset lat.

Genevieve jeszcze raz odwróciła portret Amandy. Popatrzyła na piękną, uśmiechniętą twarz. Kobieta wyglądała na szczęśliwą, jakby znalazła wszystko, czego pragnęło jej serce.

Genevieve to rozumiała.

Doprawdy, rozumiała doskonale.